

# Kochanek Lady Chatterley



DAVID HERBERT LAWRENCE

# Kochanek Lady Chatterley

TŁUM. MARCELI TARNOWSKI, ALEKSANDRA SEKUŁA

## OD AUTORA

Wydawcy angielscy nalegają na mnie, abym opublikował oczyszczone wydanie niniejszej książki, obiecują mi pokaźne zyski i podkreślają, iż wykazałbym w ten sposób publiczności, że jest to doskonała powieść niezależnie od całego „erotyzmu” i od „nieprzyzwoitych słów”. Poczynam więc ulegać pokusie i zabieram się do oczyszczania. Ale to niemożliwe! Z równym powodzeniem mógłbym próbować przykroić swój nos nożyczkami. Książka krwawi<sup>1</sup>.

Na przekór więc wszystkim nieprzyjaciołom puszczam tę powieść w świat jako uczciwą, zdrową książkę, jakiej nam dzisiaj potrzeba. Owe wyrazy, które początkowo tak bardzo człowieka przerażają i detonują, po pewnym czasie nie robią na nim zupełnie wrażenia. Czy dzieje się to dlatego, że umysł deprawuje się wskutek przyzwyczajenia? Bynajmniej. Wyrazy te obrażały tylko oko, rozumu jednak w najmniejszej nawet mierze nie raziły. Ludzie bez rozumu może będą się nadal czuli zdeprymowani, ale nie o nich przecież chodzi. Rozumni ludzie uświadomią sobie, że nie są i nigdy nie byli urażeni tymi wyrazami — i doznają uczucia ulgi.

A to jest najważniejsze.

Jako istoty ludzkie wyrosliśmy dzisiaj rozwojem daleko poza owe tabu tkwiące w naszej kulturze. Uświadomić sobie ten fakt to rzecz niezmiernie ważna. Rycerze krzyżowi uważali zapewne już samo słowo za coś potężnego i przykuwającego w takim stopniu, w jakim my wcale sobie tego wyobrazić nie potrafimy. Zaklinająca potęga tak zwanych nieprzyzwoitych wyrazów musiała być dla upośledzonych duchowo, ponurych, gwałtownych natur średniowiecza niezmiernie niebezpieczna, a możliwe, że ciągle jeszcze jest zbyt silna dla gnuśnych duchowo, niedorozwiniętych, niskich natur dzisiejszych. Ale prawdziwa kultura sprawia, że na dźwięk wyrazu przeżywamy te tylko reakcje ducha i siły wyobraźni, które należą do obrębu ducha; kultura ta chroni nas przed gwałtownymi, ślepyimi, fizycznymi reakcjami, które mogłyby zburzyć naszą obyczajność społeczną.

W minionych czasach człowiek był duchowo zbyt słaby lub zbyt nieokrzesany, aby móc obserwować swoje ciało i swoje funkcje cielesne bez zupełnego uwikłania się w reakcjach fizycznych, które osiągały nad nim władzę. Teraz już tak nie jest. Kultura i cywilizacja nauczyły nas odróżniać słowo od czynu, myśl od postępuku albo reakcji fizycznej. Wiemy teraz, że za myślą niekoniecznie nastąpić musi postępek. W istocie myśl i postępek, słowo i czyn są dwiema odrębnymi formami świadomości, dwoma odrębnymi żywotami, jakie wiemy. Jest dla nas rzeczą niezmiernie potrzebną utrzymać związek pomiędzy tymi dwoma żywotami. Ale myśląc, nie działamy, a działając, nie myślimy. Największą właśnie koniecznością jest działać odpowiednio do swoich myśli i myśleć odpowiednio do swoich czynów. Jednakowoż w chwili myślenia nie możemy naprawdę działać, kiedy zaś dokonujemy jakiegoś czynu, nie możemy naprawdę myśleć. Dwa te stany, myślenia

Słowo

Czyn

<sup>1</sup>nalegają na mnie, abym opublikował oczyszczone wydanie niniejszej książki (...). Ale to niemożliwe! (...) *Książka krwawi* — Mimo publikacji przedmowy autora, zwierającej niniejszą deklarację, tłumaczenie Marcelgo Tarnowskiego zostało oparte na okrojonej wersji; opuszczone fragmenty zostały w większości zaznaczone w tekście wykropkowaniem. Po porównaniu z oryginałem fragmenty te zostały uzupełnione przez redakcję WL. [przypis edytorski]

i działania, wyłączają się wzajem. Powinny jednakże pozostawać w harmonijnym stosunku.

I na tym właśnie polega istotny sens tej książki. Pragnę, aby mężczyźni i kobiety potrafili gruntownie, wyczerpująco, uczciwie i czysto myśleć o sprawach seksualnych. Jeśli nawet nie zawsze możemy działać płciowo ku swemu pełnemu zadowoleniu, nauczmy się przynajmniej idealnie i jasno myśleć płciowo. Cała ta gadanina o młodych dziewczętach i dziewiczości niczym śnieżnobiała, niezapisana karta jest zwykłym nonsensem. Młoda dziewczyna czy też młody mężczyzna jest kłębowiskiem udręki, kipiącym wirem uczuć seksualnych i seksualnych myśli, wśród których lata dopiero zaprowadzą jakiś ład. Dopiero lata uczciwych rozmyślań i czynów, zmierzających z wysiłkiem we właściwym kierunku, mogą nas w sprawach seksualnych doprowadzić tam, dokąd dotrzeć pragniemy, do prawdziwej, zdobytej cnoty, do absolutnego człowieczeństwa — mogą nas doprowadzić do tego, aby nasze czyny i nasze myśli w dziedzinie życia płciowego harmonizowały ze sobą i nie przeciwstawiały się sobie nawzajem.

Daleki jestem od tego, aby doradzać wszystkim kobietom, by goniły za leśniczymi i zdobywały sobie w nich kochanków. Daleki jestem od tego, aby im doradzać, by za kimkolwiek w ogóle goniły. Bardzo wielu mężczyzn i kobiet widzi dzisiaj największe swoje szczęście w tym, aby żyć w powściągliwości płciowej, aby z pełną czystością stać na uboczu, posiadając jednak przy tym pełne zrozumienie dla spraw płciowych i absolutnie je sobie uświadamiając. Epoka nasza jest raczej epoką uświadamiania sobie niżeli epoką czynu. Tyle było działania w okresach minionych, zwłaszcza działania płciowego, tyle było powtarzania i powtarzania aż do przesyty, bez odpowiedniego myślenia, bez odpowiedniego uświadomienia sobie! Dzisiaj zadaniem naszym jest uświadomić sobie sprawy płciowe. Absolutne, świadome uprzytomnienie sobie spraw płciowych jest dzisiaj rzeczą ważniejszą nawet niż sama działalność płciowa. Po stuleciach zamroczenia duch pragnie nareszcie wiedzieć, i to wiedzieć bez ogródek. Zaprawdę, ciało jest przy tym niemal zupełnie wyłączone. Jeśli ludzie spełniają dzisiaj czyny seksualne, często spełniają je tylko na niby, dokonywają ich tylko konwencjonalnie. Postępują tak dlatego, iż sądzą, że się tego po nich oczekuje. W istocie duch tylko doznaje zainteresowania, ciało zaś musi być jedynie podniecane. Przyczyna polega na tym, iż przodkowie nasi, nie zastanawiając się zupełnie nad swoim życiem płciowym ani nie uświadamiając go sobie nawet, uprawiali je tak pilnie, że czynność ta zaczyna być dzisiaj mechaniczna, nudna, zaczyna sprawiać rozczarowanie, i tylko ponowne duchowe uprzytomnienie jej sobie może wpłynąć dodatnio na rezultat.

Duch musi wiele nadgonić w dziedzinie życia płciowego, jak i w dziedzinie wszelkich czynów fizycznych. Jeśli idzie o nasze myślenie płciowe, znajdujemy się duchowo w mroku, wydani na łup czyhającej, skradającej się trwogi, która jest dziedzictwem po naszych nieokrzesanych i nieco bestialskich przodkach. Pod tym jednym względem, płciowym i cielesnym, duch nasz pozostał niedorozwinięty.

Musimy teraz nadganiać i przywrócić równowagę pomiędzy świadomością wrażeń i doświadczeń ciała a samymi tymi wrażeniami i doświadczeniami. Równowagę pomiędzy świadomością aktu a samym aktem. Musimy doprowadzić do harmonii pomiędzy nimi. A to wymaga należytego szacunku dla spraw płciowych i należytej czci dla dziwnych doświadczeń ciała. Wymaga to dalej zdolności używania tak zwanych nieprzyzwoitych wyrazów, ponieważ są one naturalną częścią składową świadomości ducha o ciele. Nieprzyzwoitość zachodzi tylko wówczas, kiedy duch gardzi ciałem a ciało nienawidzi ducha i stawia mu opór.

Kiedy czytamy o tego rodzaju wypadkach, jak sprawa pułkownika Barkera<sup>2</sup>, uświadamiamy sobie dopiero, o co idzie. Pułkownik Barker był kobietą, która żyła w przebraniu mężczyzny. „Pułkownik” ożenił się i przeżył z żoną pięć lat w „szczęściu małżeńskim”. A biedna kobieta myślała przez cały ten czas, że jest normalnie i szczęśliwie poślubiona prawdziwemu mężowi. Rewelacja końcowa jest bezgranicznie okrutna dla nieszczęśliwej kobiety. Sytuacja jest potworna. A jednak istnieją dzisiaj tysiące kobiet, które mogłyby zostać w ten sposób oszukane i żyć nadal w tej nieświadomości. Dlaczego? Ponieważ

<sup>2</sup>Barker, Victor a. Valerie Arkell-Smith (1895–1960) — transmężczyzna, działacz angielskiej partii faszystowskiej National Fascisti. [przypis edytorski]

Seks

Dziewictwo

Cnota

Seks

Seks, Dusza

Ciało, Dusza, Seks, Słowo,  
Wiedza, Nienawiść,  
Konflikt wewnętrzny

nie wiedzą o niczym, ponieważ nie potrafią w ogóle myśleć płciowo, ponieważ są pod tym względem nieświadomione i głupie. Lepiej by było dawać tę książkę wszystkim dziewczętom, gdy dochodzą do lat siedemnastu.

Duch żywi prastary, tchórzliwy lęk przed ciałem i jego mocami. Ducha właśnie musimy w tych sprawach wyzwolić i ucywilizować. Lęk ducha wobec ciała prawdopodobnie więcej ludzi wpędził w obłąd, niżeli można naliczyć.

Chorobliwość wielkiego umysłu, jak na przykład Swifta<sup>3</sup>, daje się przynajmniej po części sprowadzić do tej samej przyczyny. W wierszu do jego ukochanej Celi, posiadającym ów obłąkany refren: „Lecz — Celia, Celia, Celia sra”<sup>4</sup>, widzimy, co się może przytrafić wielkiemu duchowi, kiedy ulega bezmyślnemu przerażeniu. Tak inteligentny umysł jak Swift nie potrafił pojąć, jak się ośmiesza. Naturalnie, że Celia sra! Któż tego nie robi? I o ileż gorzej byłoby, gdyby tego nie robiła! Jest to coś beznadziejnego. I proszę sobie potem wyobrazić biedną Celię, którą doprowadzono do tego, że musi się wstydić swoich naturalnych funkcji jako czegoś haniebnego — a doprowadził ją do tego jej „kochanek”! Jest to coś potwornego. A pochodzi to stąd, że posiadamy wyrazy, które są tabu, oraz że nie rozwinęliśmy w swym duchu dostatecznej świadomości spraw cielesnych i płciowych.

W przeciwieństwie do człowieka seksualnie niedorozwiniętego, który jest owocem purytańskiego przemilczania, widzimy nowoczesnego, przesiąkniętego jazzem, wyniosłego duchowo młodzieńca, który sądzi, że musi zawsze iść jeszcze o krok dalej, który nie pozwoli się skrepić żadnymi względami ani respektem i po prostu „robi co chce”. Z lęku przed ciałem i w zaprzeczeniu jego istnienia popada postępową młodzież współczesna w przeciwną skrajność i traktuje ciało jako pewnego rodzaju zabawkę, z której się czerpie przyjemność, jako nieco niegrzeczną zabawkę, z której jednak można mieć trochę rozrywki, zanim sobie człowiek poparzy przy tym palce. Ci młodzi ludzie drwiąco marszczą nos nad doniosłością spraw płciowych, traktują je jak cocktail i szydzą z ludzi starszych. Chłopcy ci uważają się za postępowych i przypisują sobie wyższość. Gardzą oni taką książką jak *Kochanek Lady Chatterley*. Jest dla nich o wiele za prosta i zwyczajna. Z nieprzyzwoitych słów nic sobie nie robią, a jej ujęcie miłości wydaje im się staroświeckie. Po co robić tyle hałasu z powodu miłości? Bierz ją jak cocktail! Książka ta, powiadają, zdradza mentalność czternastolatka. Ale może mentalność chłopca czternastoletniego, odczuwającego jeszcze nieco należytego lęku i naturalnej trwogi wobec spraw płciowych, jest zdrowsza od mentalności takiego młodego zwolennika cocktailu, który nie zna szacunku przed niczym, którego duch nie potrafi nic więcej, jak igrać zabawkami życia (przy czym pleć jest jedną z głównych zabawek) i który przy tym procesie traci rozum. Zaprawdę, Heliogabal<sup>5</sup>!

I tak oto, pomiędzy istniejącym jeszcze starym purytaninem, który w podeszłym wieku łatwo popada w nieobyczajność płciową, a wytwornym zwolennikiem jazzu z młodego pokolenia, który powiada: „Nam wolno wszystko. Jeżeli o czymś myślimy, możemy to także robić” — i wreszcie niżej stojącym, niekulturalnym człowiekiem o brudnej wyobraźni, który szuka brudu — pomiędzy nimi książka ta nieledwie znajdzie dość powietrza do oddychania. Ale wszystkim im powiadam to samo:

Zachowajcie sobie swoje perwersje, jeżeli wam są miłe — swoją perwersję purytanizmu, swoją perwersję wytwornego nieokiełznania, swoją perwersję plugawej fantazji. A ja pozostanę przy swojej książce i przy swoim poglądzie: Życie jest możliwe wtedy tylko, gdy duch i ciało są w harmonii, gdy panuje pomiędzy nimi naturalna równowaga, gdy posiadają one dla siebie wzajem naturalny szacunek.

D. H. Lawrence

<sup>3</sup>Swift, Jonatan (1667–1745) — słynny satyryk angielski, autor *Podróży Guliwera*. [przypis tłumacza]

<sup>4</sup>refren: „Lecz — Celia, Celia, Celia sra” — nawiązanie do wiersza Jonathana Swifta *The Lady's Dressing Room* (publ. 1732 r.), w którym młodzieniec zakrada się do garderoby swej ukochanej wiedziony gorącą miłością i pożądaniami, by rozczarować się tym, co udało się mu podpatrzeć. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>Heliogabal (204–222) — kapłan syryjskiego boga słońca, w 218 r., jako 16-latek, obwołany przez wojsko cesarzem rzymskim, rozpoczął panowanie pod imieniem Marcus Aurelius Antoninus; jednakże jego styl życia pozostawał w sprzeczności z obyczajami Rzymian: sposób ubierania się (w powłóczyście szaty), liczenie się ze zdaniem matki i babki, wystawne uczyty i wyrafinowany gust przyczyniły się do tego, że zyskał reputację rozpustnika i hedonisty. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Epoka nasza jest w istocie swojej tragiczna, dlatego wzbraniamy się traktować ją tragicznie. Katakлизм nastąpił, stoimy pośród ruin, poczynamy budować nowe, małe osiedla, żywić nowe, małe nadzieje. Bardzo to ciężka praca: w przyszłość nie prowadzi gładka droga; ale my kroczymy okrężnymi manowcami, przedzieramy się przez przeszkody. Musimy żyć, ilekolek by się nieb zapadło nad nami.

W takim mniej więcej położeniu znajdowała się również Constance Chatterley. Wojna zawaliła jej dach nad głową. Wówczas zrozumiała, że trzeba żyć i uczyć się.

Poślubiła Clifforda Chatterleya w roku 1917, kiedy przyjechał na miesiąc urlopu do domu. Miesiąc trwał jej okres miodowy. Potem mąż jej powrócił do Flandrii<sup>6</sup>: w pół roku później przywieziono go z powrotem do Anglii, mniej lub bardziej w kawałkach. Constance, jego żona, liczyła wtedy dwadzieścia trzy lata, on sam dwadzieścia dziewięć.

Zdumiewająca była siła, z jaką trzymał się życia. Nie umarł, a kawałki poczęły się zrastać. Przez dwa lata pozostawał w rękach lekarzy. Potem uznano go za uleczonego i pozwolono mu powrócić do życia. Dolna część ciała, począwszy od bioder, pozostała na zawsze sparaliżowana.

Było to w roku 1920. Clifford i Constance zamieszkali w starym domu Chatterleyów, Wragby Hall, „gnieździe rodzinnym”. Wobec śmierci ojca był teraz Clifford baronetem, Sir Cliffordem, zaś Constance była Lady Chatterley. Rozpoczęli gospodarkę i życie małżeńskie w dość opuszczonej siedzibie rodzinnej Chatterleyów z nader skromnymi dochodami. Siostra Clifforda wyprowadziła się. Innych bliskich krewnych nie miał. Starszy brat padł na wojnie. Okaleczyli na zawsze, wiedząc, że nigdy nie będzie miał dzieci, powrócił Clifford do zadymionej Anglii Środkowej<sup>7</sup>, aby — póki zdoła — zachować nazwisko Chatterleyów przy życiu.

Nie był zupełnie zmiążdżony. Mógł jeździć sam w fotelu na kółkach i posiadał specjalny fotel z wmontowanym motorkiem, tak że mógł jeździć powoli przez ogród i piękny, melancholijny park, z którego był w istocie bardzo dumny, chociaż udawał, że wcale mu na nim nie zależy.

Wycierpiawszy tyle, Clifford zatracił do pewnego stopnia zdolność cierpienia. Był dziwnie wesół i swobodny, można by niemal powiedzieć: zadowolony, cerę miał rumianą, zdrową, a bladoniebieskie oczy połyskiwały wyzywająco. Ramiona jego były szerokie i silne, ręce bardzo mocne. Ubrany był starannie i nosił eleganckie krawaty z Bond Street. Ale w twarzy jego dostrzegało się czujne, lecz nieco puste spojrzenie kaleki.

Tak bliski już był utraty życia, że to, co mu z niego pozostało, wydawało mu się szczególnie cenne. Pożądliwy błysk jego oczu zdradzał, jak dumny był, że po tak wielkim wstrząśnieniu znajdował się jeszcze przy życiu. Ale zraniony był tak dotkliwie, że coś w nim uległo zniszczeniu, że niektóre jego uczucia zniknęły. Było w nim jakieś miejsce bez wrażliwości.

Żona jego, Constance, była rumianą, młodą kobietą o wiejskim wyglądzie, miękkich, brunatnych włosach, silnym ciele i powolnych ruchach, pełnych niezwyklej energii. Miała wielkie, zdumione oczy i miękkie, łagodny głos; zdawało się, że dopiero co przybyła ze wsi rodzinnej. Bynajmniej tak nie było. Ojcem jej był znany niegdyś członek Królewskiej Akademii Sztuk, stary Sir Malcolm Reid. Matka jej za pięknych czasów prerafaelizmu była jedną z ówczesnych wykształconych fabianek<sup>8</sup>. W otoczeniu artystów i inteligent-

<sup>6</sup>Flandria — kraina historyczna i geograficzna, rozciągająca się wzdłuż wybrzeża Morza Północnego, na terenach dzisiejszej Belgii, Francji i Holandii; podczas I wojny światowej Flandria była terenem walk między wojskami niemieckimi i państwami Ententy, w czasie których poległo lub zaginęło w akcji milion żołnierzy z kilkudziesięciu państw, m.in. w szeregu bitew pod Ypres (Ieper). [przypis edytorski]

<sup>7</sup>Anglia Środkowa — ang. Midlands; geograficzno-historyczna kraina, na ogół nizinna, rozciągająca się od Walii na zachodzie po Morze Północne na wschodzie, zamykają ją Góry Kambryjskie na zach., a na półn.-zach. Góry Pennińskie; wyróżnione na tym terenie regiony administracyjne dzielą krainę na część zachodnią i wschodnią: West Midlands (nazywaną „Sercem Anglii”, ang. Heart of England) i East Midlands. Kraina obejmuje część silnie uprzemysłowionych miast (m.in. Birmingham, Coventry, Leicester, Derby, Nottingham) oraz obszary wiejskie i leśne, w tym las Sherwood, rozślawiony przez legendę o Robin Hoodzie. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>była jedną z ówczesnych wykształconych fabianek — Fabian Society, stowarzyszenie socjalistyczne, powstałe w Anglii pod koniec ubiegłego wieku [tj. XIX w.; red. WL] w sferach inteligencji i propagujące powolne przeprowadzanie zmian w układzie społecznym. Jednym z najwybitniejszych przedstawicieli tego kierunku jest dzisiaj [tj. w l. 30. XX w.; red. WL] w Anglii G. B. Shaw. [przypis tłumacza]

Katastrofa, Ruiny

Żołnierz, Wojna, Kaleka,  
Mąż

Cierpienie, Kaleka

ných socjalistów doznawały Constance i jej siostra Hilda wychowania, które można by nazwać estetycznie niekonwencjonalnym. Zabierano je do Paryża, Florencji i Rzymu, aby oddychały sztuką, zabierano je i w innym kierunku, do Hagi i Berlina, na wielkie kongresy socjalistyczne, gdzie słyszało się mówców przemawiających wszystkimi językami kulturalnymi i gdzie nikt nie narzucał sobie powściągliwości.

Toteż dziewczęta od najwcześniejszej młodości nie czuły lęku ani przed sztuką, ani przed idealistyczną polityką. Były to ich naturalne żywioły. Były one zarazem kosmopolitkami i prowincjonalkami, w owym kosmopolitycznym prowincjonalizmie sztuki, idącym w parze z czystymi ideałami socjalistycznymi.

W wieku piętnastu lat zostały wysłane do Drezna, między innymi także dla muzyki. I dobrze się tam urządziły. Żyły swobodnie ze studentami, staczały z mężczyznami długie utarczki słowne na tematy filozoficzne, socjologiczne i artystyczne, były tyleż warte, co i sami mężczyźni: więcej jeszcze, ponieważ były kobietami. I waleśały się po lasach z barczystymi młodzieńcami, którzy nosili gitary, ping-ping! Śpiewały pieśni ptaków wędrownych i były wolne. Wolne! To było wielkie słowo. Tutaj, w otwartym świecie, w lasach o poranku, z rześkimi, śpiewającymi, barczystymi kolegami, były wolne, mogły robić, co im się chciało i — przede wszystkim — mówić, co im się chciało. W pierwszym rzędzie szło właśnie o rozmowy: o namiętną wymianę słów. Miłość była tylko drugorzędnym akompaniamentem.

Hilda i Constance, obie zanim doszły do lat osiemnastu, miały już poza sobą próbnę przygody miłosne. Młodzieńcy, z którymi tak namiętnie rozprawiły, tak wesoło śpiewały i z taką swobodą obozowały pod drzewami, pragnęły oczywiście miłości. Dziewczęta były w rozterce, ale ostatecznie tyle się o tej sprawie mówiło, uważało się ją za tak ważną! A mężczyźni byli tak pokorni i spragnieni! Dlaczegoż dziewczyna nie miała być po królewsku wspaniałomyślna, dlaczego nie miała podarować siebie?

Podarowały więc siebie, każda młodzieńcowi, z którym wiodła najzawikłańsze i najpoufniejsze rozmowy. Te właśnie rozmowy, te dyskusje były rzeczą najważniejszą: miłość i stosunek miłosny stanowiły tylko rodzaj prymitywnej reakcji, drobne otrzeźwienie. Było się potem mniej zakochaną w młodzieńcu, trochę skłonną do nienawidzenia go, jak gdyby wtargnął on niepowołany w zakazaną dziedzinę życia prywatnego i wolności wewnętrznej. Dla dziewczyny bowiem cała godność i znaczenie, jakie posiadała w życiu, polegały na osiągnięciu bezwarunkowej, doskonałej, czystej i szlachetnej wolności. Jaki był sens życia dziewczyny? Uwolnić się od starych, niskich więzów i niewoli.

I mimo całej sentymentalnej gadaniny na ten temat, wszystkie te bzdury seksualne należały do najstarszych i najniższych więzów i niewoli. Poeci, którzy je wielbili, byli to przeważnie mężczyźni. Kobiety wiedziały zawsze, że istnieje coś lepszego jeszcze, coś wyższego. A teraz wiedziały o tym z daleko większą pewnością niż dawniej. Piękna, czysta wolność kobiety była nieskończenie cudowniejsza niż jakakolwiek zmysłowa miłość. Jedyne nieszczęście, że mężczyźni pozostawali w tych sprawach tak dalece w tyle za kobietami. Zawzięci byli na te sprawy seksualne jak psy.

I kobieta musiała ulec. Pod względem apetytu mężczyzna tak bardzo przypominał dziecko. Kobieta musiała mu dać, czego chciał, inaczej stałby się zapewne niegrzeczny jak dziecko, uciekłby i zniszczył to, co było bardzo miłym stosunkiem. Ale kobieta mogła się oddać mężczyźnie, nie tracąc swojej wewnętrznej, wolnej jaźni. Poeci i ludzie, którzy mówili wiele o seksualizmie, nie wzięli tego widocznie pod rozwagę. Kobieta mogła brać mężczyznę, nie oddając się sama. Mogła raczej użyć tych głupstw seksualnych, aby zdobyć nad nim władzę. Wystarczyło, aby w stosunkach płciowych powstrzymała się tylko, pozwoliła mu dojść do końca i wyładować się, nie dochodząc sama do kryzysu<sup>9</sup>; potem zaś mogła przedłużyć stosunek i osiągnąć swój własny orgazm i moment kulminacyjny, podczas gdy on był tylko narzędziem.

W chwili wybuchu wojny obie siostry poczyniły już swoje doświadczenia; wezwano je natychmiast do domu. Żadna z nich nie była nigdy zakochana w jakimś młodzieńcu bez wzajemnego zbliżenia w słowach: to znaczy bez głębokich i z przejęciem prowadzonych *rozmów*. Owey zdumiewającej, głębokiej, niewiarogodnej emocji, polegającej na tym, że się godzinami rozmawiało namiętnie z naprawdę mądrym chłopcem, dzień za

<sup>9</sup>kryzys — tu: moment przelomowy. [przypis edytorski]

Kobieta, Mężczyzna,  
Wolność, Słowo

Słowo, Seks, Kobieta,  
Młodość

Kobieta, Mężczyzna, Seks,  
Wolność

dniem, miesiącami, zaczynając ciągle na nowo — owej emocji nie potrafiły sobie uświadomić, zanim jej nie przeżyły! Rajska obietnica: „Będziesz miała mężczyznę, aby z nim rozmawiać!” — nigdy nie była udzielona. Spełniła się, zanim się dowiedziały, jaka to była obietnica.

Raj, Kobieta

A gdy po podnieconej poufalskości tych ożywionych i uduchowionych dyskusji życie płciowe stawało się mniej lub bardziej nieuniknione, przyjmowało się je obojętnie. Oznaczało ono koniec rozdziału. Posiadało też własny urok: jakiś dziwnie drgający dreszcz w głębi ciała, jakiś ostatni skurcz zwycięstwa, jak ostatnie słowo, podniecający i bardzo podobny do szeregu gwiazdek, jakie można postawić, aby zaznaczyć koniec ustępu lub przerwę w temacie.

Kiedy dziewczęta powróciły do domu latem roku 1913 (Hilda miała wtedy dwadzieścia lat, Connie osiemnaście), ojciec ich mógł dostrzec wyraźnie, że miały już doświadczenia miłosne.

*L'amour avait passé par là*<sup>10</sup>, jak to ktoś wyraził. Ale ojciec ich był sam człowiekiem doświadczonym i pozostawiał życiu wolną drogę. Natomiast matka, nerwowa, ciężko chora osoba, w ostatnich już miesiącach życia, pragnęła tylko, aby córki jej były „wolne” i aby „osiągnęły swoje ja”. Ona sama nigdy nie zdołała stać się zupełnie sobą: nie dane jej to było. Niebo wie dlaczego, gdyż była kobietą posiadającą własny majątek i własną wolę. Przypisywała winę mężowi. Prawdziwa jednak przyczyna polegała na tym, że nie umiała wyzbyć się starego wrażenia autorytetu, jakie wżarło się w jej ducha czy w jej duszę. Nie miało to nic wspólnego z Sir Malcolmem, który pozwalał swojej nerwowej, wrażliwej żonie rządzić w jej kurniku, sam zaś kroczył własnymi drogami.

Dziewczęta były więc „wolne” i powróciły do Drezna, do swojej muzyki, do uniwersytetu i do młodzieńców. Kochały swoich młodzieńców, a młodzieńcy kochali je nawzajem z całą namiętnością duchowego pociągu. Wszystkie te cudowne rzeczy, które młodzieńcy myśleli, wyrażali i pisali, myśleli oni, mówili i pisali dla dziewcząt. Młodzieniec Connie był muzykalny, młodzieniec Hildy posiadał zdolności techniczne. Ale żyli jedynie dla swoich dziewcząt. Znaczący to: w duchu i w podniętach duchowych. Poza tym byli nieco zastraszeni, ale nie wiedzieli o tym.

I po nich znać było wyraźnie, że przeniknęła ich miłość: to znaczy przeżycie fizyczne. Dziwna to rzecz, jak niedostrzegalne niemal, a jednak niechybne zmiany sprawia ona w ciele zarówno mężczyzny, jak i kobiety: kobieta staje się bardziej kwitnąca, delikatniej zaokrąglona, kanty młodego ciała wygładzają się, wyraz jej twarzy staje się bądź zalękniony, bądź triumfalny; mężczyzna jest o wiele spokojniejszy, bardziej zatopiony w sobie, nawet kształt jego ramion i pośladka staje się mniej pewien siebie, bardziej wahający.

Seks, Ciało, Kobieta,  
Mężczyzna, Przemiana

We właściwym, cieleśnie odczuwanym dreszczu płciowym siostry prawie ulegały dziwnej mocy męskiej. Ale opanowywały się szybko, przyjmowały dreszcz płciowy jako sensację i pozostawały wolne. Mężczyźni natomiast wdzięczni kobietom za przeżycie seksualne, oddawali im dusze. A potem sprawiali niemal takie wrażenie, jakby zgubili szylinga<sup>11</sup>, a znaleźli monetę sześciopensową. Przyjaciel Connie był niekiedy nieco mrukliwy, przyjaciel Hildy nieco ironiczny. Ale tacy są przecież mężczyźni! Niewdzięczni i nigdy niezadowoleni. Jeżeli ich nie bierzesz, nienawidzą cię, że nie chcesz; jeżeli ich bierzesz, nienawidzą cię także, z jakiegoś innego powodu. Albo i bez powodu, po prostu dlatego, że są niezadowolonymi dziećmi i nie potrafią być zadowoleni, cokolwiek by otrzymali, cokolwiek by kobieta czyniła.

Mężczyzna

Ale przyszła wojna. Hilda i Connie musiały znowu powrócić do domu, gdzie były już w maju na pogrzebie matki. Przed Bożym Narodzeniem roku 1914 obaj ich młodzieńcy niemieccy nie żyli już; siostry płakały i kochały swoich młodzieńców namiętnie, ale wśród tej miłości zapomniały o nich. Nie istnieli już.

Wojna, Miłość, Kochanek,  
Śmierć

Connie i Hilda mieszkaly w domu ojca, a raczej w domu matki w Kensington, i obracały się w sferze młodzieży z Cambridge, sferze, która opowiadała się za „wolnością” i odznaczała się flanelowymi spodniami, otwartymi przy szyi flanelowymi koszulami i przykładnym gatunkiem uczuciowej anarchii, szepczącym, dyskretnie pomrukującym głosem i arcsyubtelnymi manierami. Ale Hilda poślubiła nagle starszego o dziesięć lat mężczy-

<sup>10</sup>*L'amour avait passé par là* (fr.) — miłość przeszła tamtędy. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>*szyling* — dawna angielska jednostka monetarna; szyling dzielił się na 12 pensów. [przypis edytorski]

znę, członka tej samej sfery z Cambridge, mężczyznę o okazałym majątku i wygodnej, dziedzicznej niemal w jego rodzinie posiadłości rządowej; pisywał on także rozprawy filozoficzne. Zamieszkała z nim w niewielkim domu w Westminsterze i obracała się w owym dobrym towarzystwie wyższych urzędników państwowych, którzy niezupełnie należą do szczytów, ale stanowią lub pragną stanowić prawdziwie inteligentną siłę narodu: są to ludzie, którzy wiedzą, o czym mówią, albo mówią, jakby wiedzieli.

Connie zajmowała się nieco miłosierdziem wojennym i obcowała z odzianymi we flanelowe spodnie *intransigent*'ami<sup>12</sup> z Cambridge, którzy chwilowo wydrwiwali z lekka wszystko i wszystkich. „Przyjacielem” jej był niejaki Clifford Chatterley, młodzieniec lat dwudziestu dwu, który pośpieszył do domu z Bonn, gdzie studiował szczegóły techniczne górnictwa węglowego. Przedtem spędził dwa lata w Cambridge. Teraz został podporucznikiem eleganckiego pułku, a w mundurze tym bardziej wypadało mu wydrwiwać wszystko.

Clifford Chatterley pochodził z wyższych sfer niż Connie. Connie należała do zamoznej inteligencji, on do arystokracji. Nie z feudalnego gatunku, ale w każdym razie do arystokracji. Ojciec jego go był baronetem, matka córką wicehrabiego.

Chociaż jednak Clifford był lepszego pochodzenia niż Connie i bardziej należał do „towarzystwa”, był jednak z usposobienia lękliwszy i bardziej prowincjonalny. Poruszał się swobodnie w „wielkim świecie”, to znaczy wśród arystokracji ziemiańskiej, był jednak lękliwy i nerwowy w owym innym wielkim świecie, składającym się z hord stanu średniego i niższych klas oraz cudzoziemców. Aby powiedzieć prawdę, odczuwał nawet nieco lęku przed klasą średnią, proletariatem i cudzoziemcami, nienależącymi do jego klasy. W jakiś obezwładniający sposób uświadamiał sobie własną bezbronność, aczkolwiek miał do dyspozycji wszelkie szanse uprzywilejowania. Jest to dziwne, ale powszechne zjawisko naszych czasów.

Dlatego działała na niego łagodna pewność siebie takiej dziewczyny, jak Constance Reid. W owym zewnętrznym świecie chaosu panowała ona nad sobą o tyle bardziej niż on.

Tym niemniej i on był buntownikiem: buntował się nawet przeciwko własnej klasie. Może buntownik to za silne słowo; o wiele za silne. Został wciągnięty w powszechny, ulubiony opór młodych przeciwko konwencjom i przeciwko wszelkiego rodzaju prawdziwemu autorytetowi. Ojcowie byli śmieszni: jego własny, uparty ojciec był najbardziej śmieszny. Rządy były także śmieszne: nasz własny, wyczekujący i przyglądający się — szczególnie śmieszny. Armia była również śmieszna, a zwłaszcza starzy partacze generałowie, przede wszystkim czerwonolicy Kitchener<sup>13</sup>. Nawet wojna była śmieszna, chociaż zabijała wcale okazałą liczbę ludzi.

W istocie wszystko było nieco śmieszne, nawet bardzo śmieszne; z pewnością wszystko, co miało coś wspólnego z autorytetem, czy to w armii, czy w rządzie, czy na uniwersytecie, było do pewnego stopnia śmieszne. A klasa panująca, o ile rościła sobie pretensje do panowania, także była śmieszna. Sir Geoffrey, ojciec Clifforda, był niezwykle śmieszny, gdy rąbał swoje drzewa i wypędzał mężczyzn z kopalń, pchając ich w objęcia wojny, sam zaś patriotycznie pozostawał w bezpiecznym miejscu. I trwonął przy tym dla kraju więcej pieniędzy, niż posiadał.

Kiedy panna Chatterley — Emma — przybyła z Anglii Środkowej do Londynu, aby się poświęcić pracy pielęgniarki, wyrażała się w spokojny sposób, bardzo dowcipnie o Sir Geoffrey'u i jego zdecydowanym patriotyzmie. Herbert, starszy brat, śmiał się głośno, chociaż to jego drzewa rąbano na użytek okopów. Ale Clifford śmiał się trochę nieswojo. Wszystko było śmieszne, to prawda. Ale jeśli to człowieka zbyt blisko obchodziło i sam stawał się śmieszny...? Ludzie z innej klasy, jak na przykład Connie, pod jednym przynajmniej względem byli poważni. W jedno przynajmniej wierzyli.

<sup>12</sup>*intransigent* (fr.) — nieprzejednany, bezkompromisowy. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*Kitchener, Horatio* — (1850–1916) — brytyjski wojskowy i polityk; brał udział w stłumieniu powstania Mahdiego w Sudanie (1898), dowodził siłami brytyjskimi w czasie II wojny burskiej, mianowany ministrem wojny w liberalnym rządzie Asquitha; jego wizerunek z charakterystycznym sumiastym wąsem i palcem wskazującym „wycelowanym” w widza został wykorzystany na plakatach werbunkowych z napisem „*Lord Kitchener Wants You*”, udało mu się błyskawicznie rozbudować armię; zginął podczas działań wojennych, na krążowniku pancernym HMS „*Hampshire*” zatopionym przez niemieckiego U-Boota. [przypis edytorski]



Byli bardzo poważni, gdy szło o Tommiech<sup>14</sup> i o grożący powszechny obowiązek wojskowy, i o brak cukru, i o karmelki dla dzieci. We wszystkich tych sprawach władze popełniały oczywiście śmieszne błędy. Ale Clifford nie potrafił brać sobie tego do serca. Dla niego władze były śmieszne *ab ovo*<sup>15</sup>, nie z powodu cukierków lub Tommiech.

Władze zaś same wydawały się sobie śmieszne i zachowywały się w sposób naprawdę śmieszny, a wszystko razem było jednym wielkim domem wariatów. Aż rozwinęły się sprawy na kontynencie i przyszedł Lloyd George<sup>16</sup>, aby tam uratować sytuację. To przekroczyło już granice tego, co mogło być ośmieszzone, i dzielni młodzieńcy nie śmiali się już.

W roku 1916 Herbert Chatterley padł i Clifford został spadkobiercą. Nawet to uczyniło go łęklwym. Ważność jego jako syna Sir Geoffreya i dziedzica Wragby była w nim tak zakorzeniona, że nie mógł się jej wyzbyć. A jednak wiedział, że i to jest w oczach olbrzymiego, kipiącego świata śmieszne. Teraz więc był dziedzicem, był odpowiedzialny za Wragby. Czyż to nie było straszne? A jednak i wspaniałe, a zarazem może tylko absurdalne?

Sir Geoffrey nie uznawał absurdalności. Był błądliwy i naprężony, zatopiony w sobie i zdecydowany stanowczo ratować swój kraj i własne stanowisko, bez względu na to, czy u steru byłby Lloyd George czy ktokolwiek inny. Tak dalece był odosobniony, tak odcięty od owej Anglii, która naprawdę była Anglią, tak zupełnie niezdolny zrozumieć prawdziwy stan rzeczy. Sir Geoffrey opowiadał się za Anglią i Lloydem Georgem, jak przodkowie jego opowiadali się za Anglią i św. Jerzym<sup>17</sup>: i nigdy nie dostrzegał różnicy. Sir Geoffrey rąbał drzewa użytkowe i opowiadał się za Lloydem Georgem i Anglią, za Anglią i Lloydem Georgem.

Pragnął, aby Clifford ożenił się i miał potomka. Clifford miał wrażenie, że ojciec jego jest beznadziejnym anachronizmem. Ale pod jakimże względem wyprzedzał go on sam choćby o krok, poza łęklwym poczuciem śmieszności wszystkiego, a nade wszystko śmieszności swego własnego położenia? Gdyż chcąc nie chcąc traktował swoje szlachectwo i Wragby niezmiernie poważnie.

Radosne podniecenie z wojny zniknęło... martwe. Za wiele śmierci i grozy. Mężczyzna potrzebował otuchy i podpory. Mężczyzna musiał mieć kotwicę w pewnym świecie. Mężczyzna potrzebował żony.

Rodzeństwo Chatterley, dwaj bracia i siostra, zamknięci razem w Wragby, mimo wszystkich swoich stosunków żyli dziwnie odosobnieni. Uczucie odosobnienia wzmocniało więzy rodzinne, uczucie słabości ich pozycji, uczucie bezbronności mimo — a może i z powodu — tytułu i posiadania ziemi. Byli odcięci od owej przemysłowej Anglii Środkowej, w której wiodli życie. I odcięci byli od swojej klasy przez uparty, zamknięty charakter Sir Geoffreya, ich ojca, z którego sobie podrzywali, chociaż byli tak wrażliwi na punkcie wszystkiego, co go dotyczyło.

Troje rodzeństwa oświadczyło, że chcą być zawsze razem. Ale oto Herbert nie żył, zaś Sir Geoffrey chciał, aby się Clifford ożenił. Sir Geoffrey zaledwie o tym wspomniał: mówił niezmiernie mało. Ale jego milcząca, skryta stanowczość niezmiernie utrudniała Cliffordowi obronę.

Jednakże Emma powiedziała: nie! Była o dziesięć lat starsza od Clifforda i czuła, że małżeństwo jego byłoby dezercją, zdradą wobec wszystkiego, co stanowiło ideał młodych członków rodziny.

Tym niemniej Clifford poślubił Connie i przeżył z nią miodowy miesiąc. Był to straszliwy rok 1917, a oni byli z sobą zżyci jak dwoje ludzi stojących na tonącym okręcie. Clifford był w chwili małżeństwa nietknięty i strona seksualna znaczyła dla niego niewiele. Nawet pomijając to, byli sobie oboje, on i ona, tak bliscy. Zaś Connie odczuwała to zbliżenie, pozostające poza sferą życia płciowego, poza „zaspokojeniem” mężczyzny, jako mały triumf.

<sup>14</sup>*Tommie* (pot. ang.; lm: *Tommies*) — żołnierz brytyjski, zwykły szeregowy. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>*ab ovo* (łac.) — dosł.: od jajka; przen.: od samego początku, od zarania, od podstaw itp. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*Lloyd George, David* (1863–1945) — brytyjski polityk i mąż stanu walijskiego pochodzenia, premier Wielkiej Brytanii w latach 1916–1922 i minister wojny w 1916 r., jeden z sygnatariuszy traktatu wersalskiego kończącego I wojnę światową. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>*opowiadał się za Anglią i Lloydem Georgem, jak przodkowie jego opowiadali się za Anglią i św. Jerzym* — W oryginale gra słów: „Lloyd George” i „St. George”. [przypis tłumacza]

W każdym razie Clifford nie był tak zawzięty na swoje „zaspokojenie”, jak tyłu innych mężczyzn. Nie, zażyłość była głębsza, była bardziej osobista niż to. Kwestia seksualna była tylko czymś przypadkowym, jakimś dodatkiem: jednym z owych dziwnych, niejasnych procesów organicznych, które uporczywie zachowały się w swej gminnej postaci, ale nie były nieodzowne. Connie chciała jednak koniecznie mieć dzieci, chociażby aby wzmocnić swoje stanowisko wobec szwagierki Emmy.

Tymczasem w roku 1918 przywieziono Clifforda rannego, a dziecka nie było. Zaś Sir Geoffrey zmarł ze zgrzyoty.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Connie i Clifford przybyli do Wragby jesienią roku 1920. Panna Chatterley, ciągle jeszcze oburzona na odstępstwo brata, wyprowadziła się i wynajęła sobie małe mieszkanie w Londynie.

Wragby był to długi, niski, stary budynek z brązowych cegieł, rozpoczęty w połowie osiemnastego wieku, później rozszerzony, aż stał się podobny do królikarni i sprawiał niezbyt wytworne wrażenie. Stał on na wzgórzu w bardzo pięknym, starym parku dębowym, niestety jednak widać było w niewielkim oddaleniu komin kopalni Tevershall, z którego wydobywały się obłoki pary i dymu, dalej zaś, w wilgotnych oparach, rozciągał się stok wzgórza z rozszanymi domami wsi Tevershall, która zaczynała się niemal u wrót parku i w beznadziejnej brzydocie ciągnęła się przez ohydny milę: domy, całe szeregi nędznych, małych, zakopconych domków murowanych z czarnymi dachami łupkowymi, z ostrymi kantami, o celowej, rozpaczliwej posępności.

Connie mieszkała w Kensington albo w górach szkockich, albo w pagórkowatym Sussex: to była jej Anglia. Z całym stoicyzmem młodości pojęła od pierwszego wejrzenia absolutną, bezduszną brzydotę Środkowej Anglii węgla i żelaza i pogodziła się z nią: brzydota ta była tak niewiarogodna, tak bezgraniczna, że nie można było wprost myśleć o niej. W niezbyt miłych komnatach Wragby słyszała szmer sita węglowego przy otworze szybu, sapanie dźwigarki parowej, stukot przesuwanego wózków i ochryple, krótkie gwizdki lokomotywy kopalnianej. Hałdy dokoła szybu Tevershall płonęły, płonęły od lat, trzeba by poświęcić tysiące, aby je ugasić. Musiały więc płonąć. A gdy wiatr wiał z owej strony, co zdarzało się często, dom pełen był zaduchu tego siarczanego spalania się ekskrementów ziemi. Ale nawet podczas dni bezwietrznych w powietrzu czuło się coś podziemnego: siarkę, żelazo, węgiel czy kwasy. Nawet na różach wigilijnych sadze osiadały uporczywie, niewiarogodnie, niby czarna manna Sądu Ostatecznego.

Tak, tak właśnie było: fatum, jak we wszelkich innych sprawach! Było to okropne, ale dlaczego się przeciwko temu dąsać? Dąsaniem się nie można było tego usunąć. Wszystko szło swoją drogą. Życie i wszystko inne! Na niskich, ciemnych zwalach chmur płonęły nocą czerwone płamy, drżały, wzdymając się i kurcząc, jak oparzelizny sprawiające ból. To były piece hutnicze. Początkowo przykuwały one Connie w pewnego rodzaju grozie; doznawała uczucia, jakby wiodła życie podziemne. Potem przyzwyczaiła się. A rankami padał deszcz.

Clifford twierdził, że woli Wragby od Londynu. Krajobraz posiada tu spokojną, własną wolę, a ludzie wytrwałość. Connie zadawała sobie pytanie, co posiadali poza tym: z pewnością ani oczu, ani mózgow. Ludzie byli tak samo wychudli, niezdarni i posępni, jak krajobraz, i tak samo nieuprzejmi. Tylko w ich rozwlekłej gwarze i w stukcie ich okutych gwoździami butów roboczych, kiedy małymi grupami kroczyli po pracy przez asfalt, było coś zagadkowego, coś, co budziło przerażenie.

Z okazji powrotu dziedzica nie było uroczystości powitalnej, nie było obchodu ani deputacji, nie było nawet kwiatka. Tylko wilgotna, zimna jazda w samochodzie, wzdłuż ciemnej, mokrej alei, wijącej się między ponurymi drzewami, aż na stok parku, gdzie pasły się szare, mokre owce, aż na wierzchołek, gdzie rozciągała się ciemnobrunatna fasada domu i gdzie czekali gospodyni i jej mąż, upiorni, niby niepewni mieszkańcy oblicza ziemi, czekali, gotowi wyjąkać swoje powitanie.

Nie było zupełnie kontaktu między Wragby Hall a Tevershall, zupełnie. Nikt nie podnosił ręki do czapki, nikt nie dygał. Górnicy patrzeli tylko; właściciele sklepików zdejmowali przed Connie czapki, jak przed znajomą, a Cliffordowi kiwali ze zmieszaniem

Kobieta, Dziecko

Pozycja społeczna, Obcy,  
Robotnik, Lud

głowami: to było wszystko. Nieprzekraczalna przepaść, a po obu stronach ukryta odraza. Początkowo Connie cierpiała pod wpływem nieustannego dżdżu niechęci, sączącego się ze wsi. Później zahartowała się na to, stało się to pewnego rodzaju środkiem podniecającym, czymś, na co się można było okazać przygotowaną. Nie znaczy to, aby ona i Clifford byli nieulubiani — po prostu należeli do innego gatunku niżeli górnicy. Nieprzekraczalna przepaść, nieopisany rozłam, jaki nie istnieje może na południe od rzeki Trent. Atoli w Anglii Środkowej i w przemysłowej Północnej istnieje taka nieprzekraczalna przepaść, ponad którą nie może powstać kontakt. Ty pozostań po swojej stronie, a ja pozostanę po swojej! Dziwne zaprzeczenie wspólnego tętna ludzkości.

Abstrakcyjnie wieś sympatyzowała z Cliffordem i Connie. Ale owo „Zostaw mnie w spokoju!” zakorzenione było we krwi po obu stronach.

Proboszcz był miłym mężczyzną lat około sześćdziesięciu, przejętym zupełnie swymi obowiązkami i osobiście przytłoczonym niemal do granic niepozorności, niemal do zera przez owo milczące hasło wsi: „Zostaw mnie w spokoju!”. Żony górników prawie wszystkie były metodystkami. Górnicy byli niczym. Ale nawet ta odrobina oficjalnego uniformu, jaką nosił duchowny, wystarczała, aby zupełnie zaćmić fakt, że był on człowiekiem jak każdy inny. Nie, był on Mester Ashbym, rodzajem automatycznej instalacji modlitewnej i kaznodziejskiej.

Owo ukryte, instynktowne: „Uważamy się za tyleż warte, co ty, jeżeli już koniecznie chcesz być panią Chatterley!” było dla Connie początkowo niezmiernie deprymujące i zagadkowe. Owa dziwna, podejrzliwa, fałszywa uprzejmość, z jaką żony górników odpowiadały na jej próby zbliżenia, ów dziwnie obelżywy podton tego „O rety, teraz naprawdę jestem czymś, jeżeli Lady Chatterley raczy ze mną mówić! Ale niech się jej nie zdaje, że mimo to nie jestem tyleż warta, co ona!” — ten podton, który wyczuwała zawsze w na wpół pochlebnych głosach kobiet, był czymś niemożliwym do zniesienia. Niepodobna było ominąć tego. Było to beznadziejne i obelżywie niekonformistyczne.

Clifford zostawiał ludzi w spokoju, a Connie nauczyła się czynić to samo: po prostu przechodziła obok nich, nie spoglądając na nich, a kobiety wybałuszały oczy, jakby była chodzącą figurą woskową. Kiedy Clifford musiał się z nimi stykać, zachowywał się wyniosłe i pogardliwe; niepodobna było pozwolić sobie jeszcze na uprzejmość. Na ogół był raczej wyniosły i pogardliwy wobec każdego, kto nie należał do jego klasy. Trwał na swoim stanowisku bez próby pojednania. A ludzie ani go lubili, ani nie lubili: po prostu należał do całej reszty rzeczy, jak hałdy węglowe i jak samo Wragby.

W istocie jednak Clifford był niezmiernie łekliwy i łatwo popadał w zakłopotanie, teraz, kiedy był sparaliżowany. Nie znosił w swoim pobliżu czyjejkolwiek obecności, poza swoją osobistą służbą, gdyż musiał siedzieć w ruchomym krześle lub w pewnego rodzaju fotelu dla chorych. Mimo to wierny jego krawiec ubierał go równie starannie jak dawniej, Clifford nosił jak dawniej eleganckie krawaty z Bond Street i w górnej części ciała prezentował się tak samo wytwornie jak dawniej. Nie należał nigdy do modnych zniewieściałych młodzieńców: miał w sobie raczej coś wiejskiego, dzięki rumianym policzkom i barczystym plecocom. Ale głos jego, bardzo spokojny, wahający się, i oczy, zarazem wyzywające i łekliwe, spoglądające chwilami z pewnością siebie, chwilami niepewnie, zdradzały jego prawdziwą naturę. Zachowanie jego było na przemian obelżywie wyniosłe i skromne, natarczywe i niemal trwożne.

Connie i jej mąż byli sobie wzajem bardzo oddani, zachowując jednak nowoczesny dystans. Clifford zbyt został urażony w najtajniejszej głębi przez wielki szok swego paraliżu, aby móc być swobodnym i lekkim w pożyciu. Był istotą zranioną, a ponieważ nią był, Connie czuła do niego namiętne przywiązanie.

Nie mogła się jednak obronić przed uczuciem zdziwienia, jak mało posiadał w istocie łączności z ludźmi. Górnicy byli w pewnym sensie jego własnymi ludźmi; on jednak patrzył na nich raczej jako na przedmioty niż jako na ludzi, raczej jako na cząstki kopalni niż jako na cząstki swego własnego życia, raczej jako na brutalne, nieukształtowane fenomeny niż jako na bliźnich, z którymi miał coś wspólnego. Poniekąd lękał się ich, nie mógł znieść, gdy patrzeli na niego, który był teraz sparaliżowany. A ich dziwne, surowe życie, wydawało mu się tak samo nienaturalne jak życie jeźdźców.

Małżeństwo

Okazywał niejaki zainteresowanie, ale jak człowiek, który spogląda przez mikroskop w dół lub przez teleskop w górę. Nie posiadał kontaktu. Z nikim nie posiadał faktycznego kontaktu, jedynie — przez tradycję — z Wragby, i — dzięki silnym węzłom obrony rodzinnej — z Emmą. Poza tym nie obchodził go w istocie nikt. Connie sama czuła, że i ona nie obchodzi go naprawdę, naprawdę; może ostatecznie nie było w nim niczego, do czego by można dojść; jedynie tylko zaprzeczenie ludzkiego kontaktu.

Tymczasem był od niej bezwarunkowo zależny, była mu potrzebna każdej chwili. Chociaż tak wielki i silny, był jednak bezradny. Mógł jeździć dokoła w krześle na kółkach, posiadał rodzaj fotelu dla chorych z wmontowanym motorem i mógł w nim powoli okrężyć park. Ale sam był istotą zupełnie bezradną. Potrzeba mu było Connie, aby była przy nim, aby go upewniała, że i on istnieje naprawdę.

A jednak był ambitny. Zaczął pisać nowele; dziwne, bardzo osobiste historie o ludziach, których znał. Mądre, bardzo złośliwe, a jednak w jakiś tajemniczy sposób pozbawione znaczenia. Zdradzały one niezwykły i swoisty dar spostrzegawczy. Ale nie było w nich zetknięcia się z przedmiotem, nie było prawdziwego kontaktu. Miało się wrażenie, jakby wszystko rozgrywało się w próżni. A że błonia życia są dzisiaj w przeważnej części sztucznie oświetloną sceną, nowele te dziwnie odpowiadały nowoczesnemu życiu, to znaczy nowoczesnej psychologii.

Jeżeli szło o te opowiadania, był Clifford niemal chorobliwie wrażliwy. Chciał, aby wszyscy uważali je za dobre, za najlepsze, za *non plus ultra*<sup>18</sup>. Ukazywały się one w najnowszych miesięcznikach, i jak się to zwykle dzieje, spotykały się z pochwałami i naganami. Dla Clifforda jednak nagany były torturą, nożami, które go kłuły. Jak gdyby całe jego „ja” zawarte było w tych nowelach.

Connie dopomagała mu jak mogła. Początkowo była zachwycona. Clifford omawiał z nią wszystko, omawiał monotonicznie, przenikliwie, uparcie, a ona musiała się na wszystko gorliwie godzić. Jak gdyby cała jej dusza, całe ciało i zmysły musiały się zbudzić i wejść w te opowieści. Owładnęło to nią i absorbowało ją zupełnie.

Fizycznym życiem żyli bardzo mało. Connie musiała czuwać nad gospodarstwem. Ale gospodyni służyła przez wiele lat Sir Geoffrey'owi, zaś zasuszona, stara, w najwyższym stopniu poprawna osoba — niepodobna było niemal nazwać jej służącą ani w ogóle kobietą — która obsługiwała przy stole, przebywała w domu od lat czterdziestu. Nawet pokojówki nie były już młode. Było to coś okropnego! Cóż można było począć z takim domem, jeżeli nie unikać go! Wszystkie te liczne, nieskończone pokoje, których nikt nie używał, cała ta środkowoangielska codzienna monotonia, mechaniczna czystość, mechaniczny porządek! Clifford nalegał, aby przyjąć nową kucharkę, kobietę doświadczoną, która służyła już u niego na kawalerskim mieszkaniu w Londynie. Zresztą wszystko zdawało się kierowane mechaniczną anarchią. Wszystko odbywało się w najlepszym porządku, w najskrupulatniejszej czystości, największej punktualności; nawet w najskrupulatniejszej uczciwości. A jednak była to dla Connie metodyczna anarchia. Najmniejsze ciepło nie łączyło tego wszystkiego organicznie. Dom wydawał się tak posępny jak nieużywana już droga.

Cóż mogła czynić innego, jak nie pozostawiać rzeczy ich biegowi?... Pozostawiała je więc ich biegowi. Panna Chatterley o arystokratycznie wąskiej twarzy przyjeżdżała niekiedy i triumfowała, gdyż nie zastawała żadnych zmian. Nie potrafiłaby nigdy wybaczyć Connie, że pozbawiła ją wspólnoty świadomości z bratem. Ona, Emma, powinna mu była pisać te nowele, te książki; te Chatterleyowskie nowele, coś nowego na świecie, co stworzyli *oni*, Chatterleyowie. Nie istniała skala porównania. Nie istniał organiczny związek z dawniejszymi myślami i formami wyrazu. Istniało tylko coś zupełnie nowego na świecie: Chatterleyowskie książki, coś zupełnie osobistego.

Ojciec Connie, bawiąc z wizytą we Wragby, powiedział do córki w zaufaniu:

— Pisanina Clifforda jest dość rozsądna, ale nic w tym nie ma. To nie jest trwałe!...

Connie spojrzała na otyłego szlachcica szkockiego,<sup>19</sup> który dzielnie radził sobie przez całe życie, a oczy jej, wielkie, zdumione, niebieskie oczy nabrały zamglonego wyrazu. Nic w tym nie ma! Co on rozumiał przez to: *nic w tym nie ma*? Jeżeli krytycy to chwalili,

<sup>18</sup>*non plus ultra* (łac.) — dosł. nic ponad to; przen. coś doskonałego, niedoścignionego. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>*szlachcic szkocki* — [w oryginalnej] *knight*, tytuł niższy od baroneta, [dosł.] „rycerz”. [przypis tłumacza]

jeżeli Clifford stał się niemal sławny, jeżeli mu to nawet przynosiło pieniądze... co miał jej ojciec na myśli, mówiąc, że w tym, co Clifford pisał, nic nie ma? A cóż w tym miało jeszcze być?

Ale Connie przyswoiła sobie probierz młodych: co zawierała chwila, to było wszystkim. Chwile zaś następowały po sobie, bez konieczności wewnętrznego wzajemnego związku.

Podczas drugiej jej zimy we Wragby ojciec powiedział do niej:

— Spodziewam się, Connie, że nie pozwolisz się zmusić przez okoliczności, aby zostać *demi-vierge*?

— *Demi-vierge*? — odpowiedziała Connie niepewnie. — Dlaczego? Dlaczego nie?

— Oczywiście, chyba że ci to odpowiada! — dodał ojciec szybko.

To samo powiedział do Clifforda, kiedy zostali sami.

— Obawiam się, że dla Connie nie jest rzeczą odpowiednią być *demi-vierge*.

— Póldziewicą! — odpowiedział Clifford, tłumacząc sobie to wyrażenie, aby się upewnić.

Zastanowił się chwilę, potem poczerwieniał silnie. Był zły i urażony.

— Pod jakim względem nie jest to dla niej rzeczą odpowiednią? — zapytał sztywno.

— Chudnie... staje się kanciasta. To nie odpowiada jej usposobieniu. Nie należy ona do śledziowatego gatunku wątłych dziewcząt. To rzeński pstrąg szkocki.

— Oczywiście bez plam — rzekł Clifford.

Chciał potem powiedzieć Connie o tej sprawie *demi-vierge*'ostwa... o tym półdziewiczym stanie rzeczy. Ale nie mógł się na to zdobyć. Był z nią zbyt żyty, a jednak nie dość żyty. Był z nią tak bardzo zjednoczony we własnym i w jej duchu, ale cieleśnie nie istnieli dla siebie nawzajem, a żadne z nich nie miało odwagi poruszenia *corpus delicti*<sup>20</sup>. Byli z sobą tak żyty, a tak zupełnie bez kontaktu.

Connie odgadła jednak, że ojciec jej powiedział coś Cliffordowi, którego to teraz trapiło. Wiedziała, że nie zależy mu zupełnie na tym, czy ona jest *demi-vierge* czy *demi-monde*<sup>21</sup>, póki o tym nie wiedział z zupełną pewnością i póki mu na to nie zwracano uwagi. Czego oko nie widzi, o czym mózg nie wie, to nie istnieje.

Wzrok, Rozum, Wiedza

Connie i Clifford żyli już od dwóch blisko lat we Wragby, nieokreślonym życiem, obracającym się dokoła Clifforda i jego pracy. Zainteresowania ich nigdy nie przestały zbiegać się nad jego dziełem. Mówili i zmagali się w boleściach tworzenia i mieli wrażenie, jak gdyby się coś działo, jak gdyby się naprawdę coś działo, w próżni.

I tak dalece było to życiem: w próżni. Poza tym był to niebyt. Istniało Wragby i istniała służba... ale istniały upiornie, nierzeczywiście. Connie odbywała spacer w parku i w laskach przylegających do parku, rozkoszowała się samotnością i tajemniczością, trącała stopą brunatne liście jesieni i zrywała prymulki wiosny. Ale wszystko to działo się we śnie; a raczej było to niby odbicie rzeczywistości. Liście dębowe były dla niej niby liście dębowe widziane w lustrze, ona sama była postacią, o której ktoś czytał, i zrywała pierwiosnki, które były tylko cieniami albo wspomnieniami, albo słowami. Ani one, ani cokolwiek innego nie miało substancji... nie było zetknięcia, nie było kontaktu! Tylko to życie z Cliffordem, to bezgraniczne snucie nici mózgowej tkaniny, te notatki świadomości, te opowiadania, o których Sir Malcolm powiedział, że w nich nic nie ma i że nie będą one trwałe. Dlaczego miało w nich coś być, dlaczego miały być trwałe? Na jeden dzień wystarczy zło jednego dnia. Na jedną chwilę wystarczy *pozór* rzeczywistości.

Clifford posiadał sporo przyjaciół, a raczej znajomych, i zapraszał ich do Wragby. Zapraszał najrozmaitszych ludzi, krytyków i pisarzy, ludzi, którzy mogli dopomagać w wychwalaniu jego książek. Im zaś schlebiali, że zapraszano ich do Wragby, i chwalili. Connie doskonale to rozumiała. Ale dlaczego nie? Był to jeden z przelotnych obrazów w zwierciadle. Cóż w tym było złego?

Była panią domu dla tych gości, przeważnie mężczyzn. Była też panią domu dla zjawiających się niekiedy krewnych Clifforda. Ponieważ była istotą miękką, rumianą, o większym wyglądzie, skłoną do piegów, miała wielkie, niebieskie oczy, kędzierzawe brunatne

Kobieta, Uroda, Moda,  
Ciało

<sup>20</sup>*corpus delicti* (łac.) — przedmiot przestępstwa, dowód rzeczowy. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>*demi-monde* (fr.) — półświatek; środowisko kurtyzan naśladujących styl życia wyższych sfer. [przypis edytorski]

włosy, miękki głos i dość silne, kobiece biodra, uważano ją za nieco staromodną i „zba-  
białą”. Nie była „śledziowatą rybą” o kształtach chłopięcych, z płaską piersią i małym  
pośladkiem. Była zbyt kobieca, aby być zupełnie szykowną.

Toteż mężczyźni, szczególnie niezbyt młodzi, byli dla niej naprawdę bardzo uprzejmi.  
Connie wiedziała jednak, jakie męki przeżywałby Clifford za najłżejszą oznaką jej flir-  
tu, więc nie zachęcała ich zupełnie. Była spokojna i niezdecydowana, nie miała z nimi  
kontaktu i nie pragnęła go mieć. Clifford był z siebie niezwykle dumny.

Krewni jego traktowali ją nader uprzejmie. Wiedziała, że uprzejmość ta świadczyła  
o braku lęku i że ludzie ci nie mają szacunku dla człowieka, który nie potrafi zastraszyć  
ich trochę. Ale i z nimi nie miała kontaktu. Pozwalała im zachowywać się uprzejmie  
i z lekka wzgardliwie, dawała im wyczuć, że nie potrzebują chować sztyletu w zanadru.  
Nie miała z nimi rzeczywistej styczności.

Czas mijał. Cokolwiek się działo, nie działo się nic, ponieważ ona była tak cudownie  
pozbawiona kontaktu. Ona i Clifford żyli swymi ideami i jego książkami. Przyjmowała  
gości, zawsze ktoś był w ich domu. Czas posuwał się naprzód jak zegar, następowało pół  
do dziewiątej zamiast pół do ósmej.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Connie doznawała jednakże wzrastającego niepokoju. Brak kontaktu rodził w niej za-  
niepokojenie, które ogarniało ją jak obłąd. Członki jej wzdrygały się, kiedy nie chciała,  
aby się wzdrygały, grzbiet jej podrywał się, kiedy nie pragnęła go wcale wyprostować, lecz  
wolałaby raczej wygodnie spoczywać. Uczucie to przenikało jej ciało, jej łono, aż ogarnia-  
ło ją wrażenie, że powinna by skoczyć w wodę i płynąć, aby uciec od tego; był to obłądny  
niepokój. Budził w niej bez powodu silne bicie serca, sprawiał, że Connie chudła.

Był to po prostu brak spokoju. Uciekała nagle przez park, pozostawiając Clifforda  
samego, i rozciągała się pośród paproci. Tylko uciec od domu... musiała uciekać od domu  
i od ludzi. Las był jej jedynym schronieniem, jej sanktuarium.

Nie był jednak prawdziwym schronieniem, prawdziwym sanktuarium, gdyż nie miała  
z nim związku. Był jedynie miejscem, w którym mogła się uwolnić od wszystkiego innego.  
Nigdy nie odczuła kontaktu z samym duchem lasu... jeśli las posiadał w ogóle coś tak  
bezsensownego.

Niejasno zdawała sobie sprawę, że marnuje się przez to. Niejasno uświadamiała sobie,  
że nie posiada kontaktu: zatraciła związek z dotykającym i żywym światem. Tylko Clifford  
i jego książki, które nie posiadały rzeczywistego bytu... w których nic nie było! Pustka  
a pustka. Niejasno zdawała sobie z tego sprawę, ale działo się to tak, jakby uderzała głową  
o kamień.

Ojciec ostrzegał ją nieraz:

— Dlaczego nie bierzesz sobie przyjaciela? Toby było dla ciebie najlepsze.

Tej zimy Michaelis przyjechał na kilka dni z wizytą. Był to młody Irlandczyk, który  
zdobył już swymi sztukami teatralnymi wielki majątek w Ameryce. Eleganckie towarzy-  
stwo Londynu przyjmowało go przez pewien czas z zapalem, gdyż pisywał udatne sztuki  
towarzyskie. Potem eleganckie towarzystwo zrozumiało z wolna, że było ośmieszane  
przez nędznego szczura dublińskiego, i nastąpiła reakcja. Michaelis stał się uosobieniem  
wszystkiego, co plugawe i nikczemne. Zdemaskowano go jako wroga angielszczyzny, zaś  
w sferze, która uczyniła to odkrycie, uchodziło to za najgorsze i najszeptniejsze przestęp-  
stwo. Utrupiono go zupełnie, a zwłoki jego wyrzucono na śmietnik.

Tym niemniej posiadał Michaelis nadal swój elegancki apartament w Mayfair, a kro-  
cząc po Bond Street stanowił ideał gentlemana, gdyż najlepszych nawet krawców nie-  
podobna zmusić do tego, aby nie szyli dla swoich upadłych klientów, jeżeli ci klienci  
płacą.

Clifford zaprosił tego trzydziestoletniego młodzieńca w chwili niezbyt obiecującej  
dla towarzyskich widoków Michaelisa. Ale Clifford nie zawahał się. Michaelis znajdował  
zapewne posłuch u kilku milionów ludzi; a że był beznadziejnym *outsiderem*, niewąt-  
pliwie okaże się wdzięczny za zaproszenie do Wragby właśnie w tej chwili, gdy reszta  
eleganckiego świata odtrącała go. Z wdzięczności zaś niewątpliwie dopomoże Cliffor-  
dowi w Ameryce. A może się to przydać, gdy o kim dobrze mówią, zwłaszcza w Ameryce.

Pozycja społeczna, Strach

Ciało

Ucieczka, Las

Clifford był człowiekiem przyszłości; i było rzeczą zdumiewającą, jak silny instynkt reklamy posiadał. Doszło do tego, że Michaelis bardzo szlachetnie uwiecznił go w jednej ze swoich sztuk, i Clifford stał się czymś w rodzaju bohatera narodowego. Aż nadeszła reakcja, kiedy spostrzegł, że został ośmieszony.

Connie dziwiła się trochę ślepemu, nieprzepatemu popędowi Clifforda, aby się stać głośnym; to znaczy stać się głośnym w owym olbrzymim, bezkształtnym świecie, którego sam nie znał i którego się lękał; stać się głośnym jako pisarz, jako pierwszorzędnym, nowoczesnym pisarzem. Connie wiedziała od cieszącego się powodzeniem starego, serdecznego, kpiącego Sir Malcolma, że artyści rzeczywiście reklamowali się sami i starali się o zbyt dla swego towaru. Ale ojciec jej korzystał z udeptanych już ścieżek, z których korzystali wszyscy inni członkowie Akademii Królewskiej, kiedy sprzedawali swoje obrazy. Gdy natomiast Clifford odkrywał zupełnie nowe drogi reklamy, i to najrozmaitsze. Zapraszał do Wragby najróżnorodniejszych ludzi, nie krępując się niczym. Zdecydowany zbudować sobie szybko pomnik sławy, używał do budowy wszelkiego gruzu, jaki mu się nawinął pod rękę.

Michaelis przybył punktualnie, w bardzo ładnym aucie, z szoferem i służącym. Był żywym okazem z Bond Street! Ale na jego widok w ziemiańskiej duszy Clifforda coś się wzdrygnęło. Michaelis był niezupełnie... niezupełnie, tak, absolutnie nie był tym, czym starał się okazać na zewnątrz. Dla Clifforda było to decydujące i dostateczne. Był jednak bardzo uprzejmy dla gościa; dla jego zdumiewającego powodzenia. Psia bogini Powodzenia, jak ją nazywano, warcząc broniła na wpół pokornego, na wpół przekornego Michaelisa i zupełnie oszołomiła Clifforda: i on bowiem pragnął sprostytuować się z psią boginią Powodzenia, gdyby go tylko zechciała wziąć.

Widać było, że Michaelis nie jest Anglikiem, mimo wszystkich krawców, kapeluszników, fryzjerów i szewców najlepszej dzielnicy Londynu. Nie, nie, widać było, że nie jest Anglikiem: ten fałszywy gatunek płaskiej, bladej twarzy i zachowania; i ten fałszywy rodzaj rozżalenia. Był w nim gniew i rozżalenie: to było jasne dla każdego rodowitego Anglika, który brzydziłby się tak jawnym okazywaniem tych uczuć. Biedny Michaelis dostał niemało cięgow i teraz jeszcze miał wygląd obitego psa. Jedynie instynkt, a bardziej jeszcze bezwstyd utorował jego sztukom drogę na scenę i na jej czoło. Chwytał publiczność za kark. I zdawało mu się, że dni kopniaków przeminęły. Ale one nie przeminęły... Nie przeminą nigdy. Gdyż Michaelis w pewnym sensie prowokował kopniaki. Łaknął jednego: być tam, gdzie było nie jego miejsce... wśród wyższych sfer angielskich. A jak się te sfery cieszyły z kopniaków, które mu mogły zadawać! I jak on ich za to nienawidził!

Tym niemniej podróżował ze swoim służącym, w swoim eleganckim aucie — pokurcz dubliński.

Było w nim coś, co się Connie podobało. Nie dodawał sobie fasonu; nie posiadał co do siebie złudzeń. Rozmawiał z Cliffordem rozsądnie, krótko, praktycznie o wszystkim, co Clifford chciał wiedzieć. Nie rozpierał się i nie lekcewał siebie. Wiedział, że został zaproszony do Wragby, aby być wykorzystany, i niby stary, szczywany, niemal zubożniały człowiek interesu, albo jak wielki człowiek interesu, pozwalał się wypytwać i odpowiadał z możliwie najmniejszym nakładem uczucia.

— Pieniądz! — rzekł. — Pieniądz to rodzaj instynktu. Zbijanie pieniędzy to pewnego rodzaju usposobienie człowieka. To nie jakaś czynność. To nie *trick*, który się wykonuje. Jest to niejako nieustanny przypadek własnej natury człowieka; kiedy się raz zaczyna, zarabia się pieniądze, i to już trwa; do pewnego punktu, jak sądzę.

— Ale trzeba właśnie zacząć — odpowiedział Clifford.

— O, oczywiście! Trzeba w to wejść. Nie można nic zrobić, gdy się jest trzymanym z daleka. Trzeba sobie wywalczyć wstęp. Kiedy się to zrobiło, reszta robi się sama.

— A czy pan potrafiłby zarabiać pieniądze inaczej niż przez sztuki teatralne? — zapytał Clifford.

— O, prawdopodobnie nie! Mogę być dobrym lub złym pisarzem, ale jestem pisarzem, a w szczególności dramatopisarzem, i muszę nim być. To nie ulega kwestii.

— I sądzi pan, że musi pan być pisarzem popularnych sztuk? — zapytała Connie.

— Tak, bezwarunkowo! — odpowiedział Michaelis, zwracając ku niej nagle spojrzenie. — Nic w tym nie ma. Nic nie ma w popularności, i jeżeli o to idzie, nic nie ma w publiczności. Naprawdę nie ma w moich sztukach nic, coby je czyniło popularnymi. To

Sława

Pieniądz

nie o to idzie. Są one, podobnie jak pogoda... takie, jakimi być *powinny*... przynajmniej w danej chwili.

Skierował na Connie swoje leniwe, bardzo okrągłe oczy, które zatonęły w takim braku złudzeń, a ona zadrżała z lekka. Wydawał się tak stary... tak nieskończenie stary, wzrosły na pokładach deziluzji, sięgającej w nim na głębokość wielu pokoleń, niby warstwa geologiczna; a zarazem był bezbronny jak dziecko. W pewnym stopniu nawet napiętnowany, ale obdarzony rozpacziwą odwagą swojej szczerzej egzystencji.

— W każdym razie zdumiewające jest, ile pan osiągnął w swoim wieku — rzekł Clifford w zamyśleniu.

— Mam trzydzieści lat... tak, mam trzydzieści lat! — odpowiedział Michaelis szorstko, z nagłym, dziwnym śmiechem, pustym, triumfalnym i gorzkim.

— I jest pan samotny? — zapytała Connie.

— Jak pani to rozumie? Czy żyję sam? Mam służącego. Jest Grekiem, tak twierdzi, i nie nadaje się do niczego. Ale trzymam go. I mam zamiar ożenić się. O, tak, muszę się ożenić.

— Brzmi to tak, jakby pan musiał kazać sobie operować migdałki — zaśmiała się Connie. — Czy będzie to dla pana taki sam wysiłek?

Spojrzał na nią zdziwiony.

— No tak, Lady Chatterley, w pewnym sensie! Uważam... proszę mi wybaczyć... że nie mogę się ożenić z Angielką, nawet nie z Irlandką...

— Więc niech pan spróbuje z Amerykanką — rzekł Clifford.

— O, Amerykanka! — roześmiał się Michaelis głucho. — Nie, powiedziałem swemu służącemu, żeby mi wyszukał Turczynkę czy coś podobnego... coś bliższego typowi wschodniemu.

Connie dziwiła się naprawdę temu osobliwemu, melancholijnemu egzemplarzowi człowieka, który miał powodzenie. Powiadano, że posiadał on dochód pięćdziesięciu tysięcy dolarów z samej Ameryki. Niekiedy był ładny: niekiedy, gdy spoglądał w bok i padało na niego światło, było w nim ciche, trwale piękno rzeźbionej w kości słoniowej maski murzyńskiej; w jego bardzo okrągłych oczach i grubych, charakterystycznie wygiętych brwiach, w jego nieruchomych, zaciśniętych wargach, w jego chwilowej, ale znamiennej nieruchomości — owej beczasowej nieruchomości, do jakiej dąży Budda i jaką, nie dążąc do niej, posiadają niekiedy Murzyni — było coś prastarego, jakieś podporządkowanie się rasie! Eony podporządkowania się przeznaczeniom rasy, zamiast naszego indywidualnego oporu. A potem przepływanie, jak szczury przepływają przez rzekę. Connie poczuła nagły, dziwny napływ sympatii dla niego, sympatii połączonej ze współczuciem i odrobiną niechęci, jakiś napływ uczucia, które było niemal miłością. *Outsider! Outsider!* A nazywano go karierowiczem! O ileż bardziej karierowiczem był Clifford, o ileż był bardziej natarczywy! I o ile bardziej głupi!

Michaelis odczuł natychmiast, że wywarł na niej wrażenie. Z wyrazem zupełnej obojętności skierował na nią okrągłe, brunatne, nieco wypukłe oczy. Szacował ją i rozmiary wrażenia, jakie wywarł. W stosunku do Anglików nic nie mogło go ustrzec przed tym, aby być wiecznym *outsiderem*, nawet miłość. Ale kobiety durzyły się w nim niekiedy... nawet Angielki.

Ze swego stosunku do Clifforda zdawał sobie doskonale sprawę. Byli jak dwa obce psy, które chętnie warknęłyby na siebie, a tymczasem uśmiechają się do siebie z przymusem. Ale co do niej, nie był zupełnie pewien.

Śniadanie przynoszono zwykle do sypialni; Clifford nie zjawiał się nigdy przed obiadem, a jadalnia była nieco ponura. Po kawie Michaelis, dusza nieznająca spokoju i niestała, zadał sobie pytanie, co ma robić. Był piękny dzień listopadowy... piękny jak na Wragby. Spoglądał na melancholijny park. Boże wielki! Co za miejscowość!

Posłał służącą zapytać, czy może załatwić coś dla Lady Chatterley, gdyż jedzie do Sheffield. Odpowiedź brzmiała, że Lady Chatterley prosi, aby wstąpił do jej pokoju.

Connie miała własny salonik na trzecim piętrze, najwyższym w środkowej części domu. Pokoje Clifforda znajdowały się oczywiście na parterze. Michaelisowi schlebiało, że zaproszono go do buduaru Lady Chatterley. Nieuważnie szedł za służącą... nigdy nie spostrzegł otaczających go rzeczy, nigdy nie miał kontaktu ze swoim otoczeniem. W pokoju



jej rozejrzał się dokoła, przesunął wzrokiem po pięknych niemieckich reprodukcjach Renoira i Cezanne'a.

— Bardzo tu miło — powiedział z dziwnym uśmiechem, jakby ten uśmiech sprawiał mu ból, i pokazując przy tym zęby. — To bardzo mądrze, że się pani ulokowała tak wysoko.

— Tak, zdaje się — odpowiedziała Connie.

Pokój jej był jedynym wesołym, nowoczesnym pokojem w całym domu, jedynym w ogóle pokojem we Wragby, w którym indywidualność jej mogła sobie znaleźć wyraz. Clifford nigdy go nie widział, a Connie zapraszała tu bardzo mało ludzi.

Siedzieli teraz, ona i Michaelis, naprzeciwko siebie przy kominku i gawędzili. Pytała go o niego samego, o jego matkę, ojca, braci... obcy ludzie byli dla niej zawsze jakby cudem, a gdy sympatia jej budziła się, nie znała różnic klasowych. Michaelis mówił o sobie szczerze, zupełnie szczerze i bez ozdób odsłaniał po prostu swoją zgorzkniałą, obojętną duszę zbląkanego psa, zdradzając przy tym przeblysk mściwej dumy ze swego powodzenia.

— Dlaczego pan jest takim samotnikiem? — zapytała go Connie; znowu spojrzął na nią pełnym, badawczym wzrokiem brunatnych oczu.

— Niektórzy ludzie już tacy są — odpowiedział. Potem dodał z odcieniem poufalej ironii: — A jakże jest z panią? I czy pani nie jest również czymś w rodzaju takiego samotnika?

Connie, nieco zaskoczona, zastanowiła się przez chwilę, potem powiedziała:

— Tylko w pewnym sensie! Nie tak dalece, jak pan!

— Czy ja jestem tak dalece samotnikiem? — zapytał Michaelis ze swoim dziwnym uśmiechem, tak bolesnym, że był już skrzywieniem się, jakby go bolały zęby; oczy jego były przy tym zupełnie melancholijne, czy też stoickie, czy pozbawione złudzeń, czy zaleźnione.

— Co? — zapytała Connie prawie bez tchu, kiedy na nią spojrzął. — Czy pan nim nie jest?

Czuła tak straszliwe wezwanie, płynące od niego ku niej, że omal nie straciła równowagi.

— O, ma pani zupełną rację! — rzekł Michaelis, odwracając głowę i spoglądając w bok, z ową dziwną nieruchomością starej rasy, ową nieruchomością, jaka dzisiaj niemal już nie istnieje. I ona to właśnie pozbawiła Connie siły obserwowania go w odosobnieniu od siebie samej.

Spojrzął na nią, owym pełnym wzrokiem, który widział wszystko, wszystko spostrzeżał. Ale jednocześnie dziecko płaczące w nocy krzyknęło ku niej z jego piersi w taki sposób, że odczuła to w głębi swego łona.

— To bardzo ładnie, że pani o mnie myśli — powiedział lakonicznie.

— Dlaczego nie miałabym myśleć o panu? — zawołała Connie, ledwie znajdując dość tchu, aby to wypowiedzieć.

Michaelis wybuchnął gorzkim śmiechem, który brzmiał jak szybki syk.

— O, w ten sposób!... Czy mogę potrzymać pani rękę przez chwilę? — zapytał nagle i z hipnotyczną niemal siłą skierował na nią oczy, w których było błagalne wezwanie, przenikające bezpośrednio w jej łono.

Wlepiała w niego wzrok, oszołomiona i stropiona, a on podszedł do niej, uklęknął obok niej, ujął mocno jej stopy w obie dłonie, ukrył twarz na jej kolanach i pozostał tak nieruchomy. Connie była zupełnie ogluszona i przejęta i spoglądała z niejakim podziwem na jego delikatny kark, czując, jak twarz jego wciska się w jej uda. W płomiennym oszołomieniu nie mogła się powstrzymać od tego, aby z czułością i współczuciem położyć rękę na jego bezbronnym karku, a on zadrżał na całym ciele pod tym dotknięciem.

Potem spojrzął na nią z owym przeraźliwym wezwaniem w okrągłych, płonących oczach. Connie była zupełnie niezdolna do oporu. Z piersi jej płynęła ku niemu w odpowiedzi bezgraniczna tęsknota; musiała mu dać wszystko, wszystko.

Był dziwnym i bardzo łagodnym kochankiem, bardzo łagodnym w stosunku do kobiety, drżącym bez opanowania, a zarazem jak gdyby stojącym na uboczu, świadomym, świadomym każdego zewnętrznego dźwięku.

Dla niej nie oznaczało to nic więcej, tylko że mu się oddała. A on przestał wreszcie drżeć i leżał zupełnie cicho. I wówczas Connie zakłopotanymi, współczującymi palcami pogładziła jego głowę, leżącą na jej piersi.

Kiedy się podniósł, ucałował obie jej dłonie, potem obie jej stopy w zamszowych pantoflach i w milczeniu przeszedł na drugi koniec pokoju, gdzie zatrzymał się, zwrócony do niej plecami. Przez kilka minut panowało milczenie. Potem Michaelis odwrócił się i podszedł do Connie, która siedziała na dawnym miejscu przy kominku.

— A teraz będzie mnie pani zapewne nienawidziła! — powiedział spokojnym, niewzruszonym tonem.

Connie rzuciła nań szybkie spojrzenie.

— Dlaczego miałabym pana nienawidzić? — zapytała.

— Tak postępuje większość kobiet — odpowiedział Michaelis i opanował się szybko — a raczej... tak się o większości kobiet sądzi.

— Nie jest to bynajmniej odpowiednia chwila, aby pana nienawidzić — rzekła Connie stropiona.

— Wiem! Wiem! Tak powinno być! Pani jest dla mnie *okropnie* dobra... — zawołał Michaelis z przejęciem.

Connie zadawała sobie pytanie, dlaczego czuje się on tak nędznie.

— Może pan siądzie znowu? — zapytała.

Michaelis spojrział na drzwi.

— Sir Clifford! — rzekł. — Czy on... czy on nie?...

Connie milczała przez chwilę, zastanawiając się.

— Może! — rzekła i spojrzała na niego. — Nie chcę, aby Clifford wiedział... ani nawet podejrzewał. Tobo dla niego było takie bolesne! Nie sądzę jednak, aby to było złe. Czy może tak?

— Złe? Miły Boże, nie! Pani jest tak bezgranicznie dobra dla mnie... niemal nie mogę tego znieść.

Odwrócił się, a Connie spostrzegła, że za chwilę zacznie łkać.

— Ale nie potrzebujemy zdradzać tego Cliffordowi, prawda? — broniła się. — Tobo naprawdę tak zabolalo, a jeżeli się nie dowie, jeżeli nie będzie nawet podejrzewał, nikogo to nie zaboli.

— Ode mnie — zawołał Michaelis niemal gniewnie — ode mnie nie dowie się niczego. Może długo czekać. Ja miałbym się sam zdradzić? Ha! Ha! — Roześmiał się cynicznie na taką myśl. Connie obserwowała go ze zdumieniem. Michaelis powiedział do niej: — Czy mogę ucałować pani ręce i odejść? Jeżeli pani pozwoli, pojedę do Sheffield i zjem tam obiad, a na herbatę będę z powrotem. Czy mogę coś dla pani załatwić? Czy mogę być pewien, że mnie pani nie nienawidzi... i nie będzie nienawidziła? — zakończył z rozpaczliwym tonem cynizmu.

— Nie, nie nienawidzę pana — rzekła Connie. — Uważam, że pan jest miły.

— Ach! — zawołał Michaelis zapalczywie. — Milsze mi to, niż gdyby pani powiedziała, że mnie pani kocha! To oznacza o tyle więcej... Więc do popołudnia. Do tego czasu muszę wiele przemyśleć.

Ucałował pokornie jej ręce i wyszedł.

— Zdaje się, że nie będę mógł znieść obecności tego młodzieńca — rzekł Clifford przy obiedzie.

— Dlaczego? — zapytała Connie.

— Taki z niego karierowicz pod tą przykrywką... czeka tylko, aby człowieka pchnąć z zasadzki.

— Mam wrażenie, że ludzie byli dla niego bardzo niezyczliwi — rzekła Connie.

— Czy cię to dziwi? I czy sądzisz, że on spędza swoje najlepsze godziny na spełnianiu dobrych uczynków?

— Sądzę, że posiada pewnego rodzaju wspaniałomyślność.

— Wobec kogo?

— Nie wiem tego dobrze.

— Naturalnie, że nie. Obawiam się, że uważasz brak sumienia za wspaniałomyślność.

Connie zamilkła. Czy tak było w istocie? Możliwe. Ale brak sumienia u Michaelisa miał w sobie dla niej coś przykuwającego. Gdzie Clifford mógł się odważyć zaledwie

na kilka lęklwych kroków, on przechodził całą drogę. Na swój sposób zwyciężył świat. I był tym, czym Clifford chciał być. Środki i drogi?... Czy środki i drogi Michaelisa były gorsze niż Clifforda? Czy sposób, w jaki ten biedny *outsider* we własnej osobie posuwał się i przepychał naprzód, zawsze przez tylne drzwi, był gorszy niż sposób Clifforda osiągnięcia sławy przez reklamę? Za psią boginią Powodzenia biegły tysiące sapiących psów z wywieszonymi ozorami. Ten jedyny, który jej pierwszy dopadł, był prawdziwym psem wśród psów, jeżeli sądzić po rezultatach! Michaelis mógł więc nieść głowę wysoko.

Sława, Pies, Obyczaje

Dziwne było tylko, że tego nie robił. Na herbatę powrócił z wielkim bukietem fiołków i lilii i z tą samą miną wychłostanego psa. Connie zadawała sobie niekiedy pytanie, czy to jest pewnego rodzaju maska, aby rozbroić opór, gdyż wyraz ten był u niego omalże nazbyt trwały. Czy rzeczywiście był takim nędznym psem?

To zachowanie nędznego psa nie uległo u niego zmianie przez cały wieczór, ale Clifford wyczuwał poza tym potajemne wyzwanie. Connie nie czuła tego, może dlatego, że nie było ono skierowane przeciwko kobietom, lecz jedynie przeciwko mężczyznom oraz ich uroszczeniom i pysze. Ten nieustanny bezwstyd wewnętrzny w chudym młodzieńcu był powodem, dla którego mężczyźni okazywali wobec Michaelisa taką zawziętość. Sama jego obecność była prowokacją dla mężczyzny z towarzystwa, chociażby się starał ukryć ją pod pozorami dobrych manier.

Męczyzna, Walka,  
Obyczaje, Salon

Connie była w nim zakochana, przezwyciężyła się jednak o tyle, że siedziała nad swoją robotką i pozwalała mężczyznom mówić, nie zdradzając swoich uczuć. Michaelis zachowywał się doskonale; był tym samym melancholijnym, uważnym, trzymającym się na uboczu młodzieńcem, co poprzedniego wieczora, oddalonym o miliony stopni od swoich gospodarzy, ale dostosowującym się do nich lakonicznie w koniecznej mierze i nigdy, ani na chwilę niewpadającym w podniecenie. Connie miała wrażenie, że zapomniał o poranku. Nie zapomniał. Ale wiedział, gdzie był... na tym samym zewnętrznym miejscu, gdzie byli wszyscy *outsiderzy* z urodzenia. Miłości nie traktował zupełnie osobiście. Wiedział, że nie przemieni go ona z bezpańskiego psa, któremu każdy zazdrościł złotej obroży, w sympatycznego pieska salonowego.

Miłość, Pozycja społeczna

Faktem decydującym było, że w głębi duszy Michaelis był istotnie *outsiderem* i człowiekiem antyspołecznym, a z faktem tym godził się obojętnie, chociaż zewnętrznie tak bardzo przypominał Bond Street. Stan wyzwolenia był dla niego koniecznością; podobnie jak pozorne dostosowanie się i kontakt z wytwornymi ludźmi były dla niego koniecznością.

Ale przelotna miłość jako pociecha i ulga także była nie do pogardzenia, a Michaelis nie był niewdzięczny. Przeciwnie, był żarliwie, przejmująco wdzięczny za odrobinę naturalnej, niewymuszonej dobroci — wdzięczny niemal do łez. Poza jego błądą, nieruchomą, pozbawioną złudzeń twarzą drżał szloch wdzięczności wobec kobiety, płonąć pożądaniem ponownego spotkania z nią; chociaż w głębi swej duszy napiętnowanego wiedział dobrze, że w istocie zejdzie jej z drogi.

Gdy zapalali na korytarzu świece w swoich lichtarzach, znalazł sposobność, aby ją zapytać:

— Czy mogę przyjść?

— Przyjdę do ciebie — odpowiedziała Connie.

— O, dobrze!

Czekał na nią długo... ale przyszła.

Michaelis był drzącym, podnieconym kochankiem, którego kryzys<sup>22</sup> następował szybko i szybko się kończył. Coś dziwnie dziecięcego i bezbronnego było w jego nagim ciele: tak właśnie nagimi są dzieci. Wszystkie jego środki obrony polegały na rozumie i przebiegłości, na popędzie do przebiegłości, a gdy ten popęd zawodził, był podwójnie nagi, niby dziecko o niedojrzałym, delikatnym ciele, niby dziecko drepczące bezradnie.

Budził w kobiecie nieposkromione współczucie i tęsknotę i szalejące, łaknące pożądanie fizyczne. Nie zaspokajał w niej jednak tego fizycznego pożądania; tak szybko dochodził do celu, a potem padał na jej pierś i odzyskiwał odrobinę swego bezwstydu, podczas gdy ona leżała zupełnie oszołomiona, rozczarowana, bezradna.

Seks, Współczucie, Kobieta,  
Męczyzna, Rozczarowanie

<sup>22</sup>kryzys — tu: przesilenie, szczytowanie. [przypis edytorski]

Tym razem pozostał we Wragby tylko trzy dni i zachowywał się wobec Clifforda zupełnie tak samo, jak pierwszego wieczora; wobec Connie także. Człowiek zewnętrzny nie załamał się.

Pisywał do Connie tym samym skargliwym, melancholijnym tonem, co zwykle, niekiedy dowcipnie i z nalotem dziwnie bezpłciowej życzliwości. Zdawało się, że żywi dla niej rodzaj beznadziejnej skłonności, zaś istotne oddalenie nie ulegało zmianie. Był beznadziejny do szpiku kości i chciał być beznadziejny. Nienawidził nadziei. „*Une immense espérance a traversé la terre*”,<sup>23</sup> przeczytał gdzieś, a komentarz jego do tego zdania brzmiał: „i, do licha — utopiła wszystko, co miało jakąś wartość”.

Connie nigdy nie mogła zrozumieć go naprawdę, ale kochała go na swój sposób i przez cały ten czas czuła w sobie odbłask jego beznadziejności. Ale w beznadziejności nie mogła kochać zupełnie, zupełnie. Zaś on, który był beznadziejny, nigdy w ogóle nie mógł kochać zupełnie.

Taki był ich stosunek przez pewien czas, wymieniali listy i spotykali się niekiedy w Londynie. Connie ciągle jeszcze pragnęła owej fizycznej, seksualnej emocji, jakiej doznawała z nim przez swoją własną aktywność, gdy tylko jego mały orgazm przemijał. A on ciągle jeszcze pragnął jej tę emocję dawać. Wystarczyło to, aby utrzymać ich stosunek.

I wystarczyło także, aby nadać jej ledwo dostrzegalnego nalotu pewności siebie, czegoś ślepego i nieco aroganckiego. Było to mechaniczne niemal zaufanie do własnych sił, idące ręką w rękę z wielką, radosną ufnością.

Bardzo ufna była we Wragby i korzystała z całej swojej zbudzonej żądzy życia i zaspokojenia, aby pobudzić Clifforda, tak że w tym czasie napisał najlepsze swoje dzieła i w dziwny, ślepy sposób czuł się niemal szczęśliwy. On to zbierał w istocie owoce jej zmysłowego zaspokojenia, zaspokojenia, jakie osiągała dzięki męskiej, sztywnej pasywności Michaelisa. Ale tego oczywiście nie wiedział, a gdyby wiedział, nie podziękowałby za to!

Ale gdy przeminęły dni jej wielkiej, radosnej ufności i podniecenia, gdy przeminęły zupełnie, a Connie była przygnębiona i podrażniona, jakże bardzo tęsknił znowu Clifford za nimi! Może, gdyby o tym wiedział, pragnąłby, aby Connie i Michaelis zeszli się znowu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Connie miała stale uczucie, że jej afery z Mickiem, jak go nazywano, jest beznadziejna. A jednak inni mężczyźni nic dla niej nie znaczyli. Była oddana Cliffordowi. Potrzebował sporej części jej życia, a Connie dawała mu ją. Ale ona potrzebowała sporej części życia mężczyzny, a tego jej Clifford nie dawał, nie mógł dawać. Od czasu do czasu nadchodziły okresy Michaelisowskie. Ale Connie przeczuwała, że skończą się one rychło. Mick *nie potrafił* po prostu w niczym wytrwać przez czas dłuższy. Było to cechą jego prawdziwego charakteru, że musiał zrywać wszelki stosunek i stawać się znowu odosobnionym, osamotnionym, zblakłym psem. Była to w nim wyższa konieczność, aczkolwiek twierdził zawsze: ona dała mi kosza!

Powiada się, że świat pełen jest możliwości, ale w osobistych przeżyciach większości ludzi możliwości te ograniczają się do dość małej liczby. Mnóstwo dobrych ryb jest w morzu... zapewne... ale największe masy to makrele i śledzie, a jeżeli sam nie jesteś makrelą lub śledziem, niewiele znajdziesz dobrych ryb w morzu.

Clifford począł zdobywać sławę, a nawet pieniądze. Ludzie odwiedzali go. Connie miała stale gości we Wragby. Ale jeżeli to nie były makrele, były to śledzie, a z rzadka tylko okoń morski lub węgorz.

Było kilku mężczyzn powracających regularnie, stałych bywalców; mężczyzn, którzy studiowali z Cliffordem w Cambridge. Należał do nich Tommy Dukes, który pozostał w wojsku i awansował na generała brygady.

— Służba wojskowa pozostawia mi czas do myślenia i chroni mnie przed koniecznością brania udziału w walce życiowej — mawiał.

Dalej był Charles May, Irlandczyk, który pisywał naukowe rozprawy o gwiazdach. Był Hammond, również pisarz. Wszyscy byli mniej więcej rówieśnikami Clifforda; byli to młodzi intelektualiści nowocześni. Wszyscy wierzyli w życie duchowe. Co czyniłeś

<sup>23</sup>*Une immense espérance a traversé la terre* (fr.) — Głęboka nadzieja ogarnęła ziemię. [przypis edytorski]

poza tym, było twoją sprawą osobistą i nie posiadało znaczenia. Nikomu nie przychodzi na myśl informować się, kiedy kto inny chadza do toalety. Nie zaciekawia to nikogo prócz zainteresowanego.

Tak samo jest z większością spraw zwykłego życia... w jaki sposób zarabiasz pieniądze, czy kochasz żonę, czy też mieszasz „stosunki”. Wszystkie te sprawy obchodzą tylko osobę, której dotyczą, i podobnie jak odwiedzanie toalety nie interesują nikogo poza tym.

— Cała pointa problemu seksualnego — rzekł Hammond, wysoki, chudy mężczyzna, który miał żonę i dwoje dzieci, ale pozostawał w znacznie bliższym stosunku ze swoją maszyną do pisania — polega na tym, że nie ma on w ogóle pointy. Ściśle biorąc, nie jest to w ogóle problem. Nie zdradzamy ochoty towarzyszenia człowiekowi do WC, dlatego więc mamy mu towarzyszyć, gdy idzie z kobietą do łóżka? I na tym właśnie polega problem. Gdybyśmy nie poświęcali jednemu więcej uwagi niż drugiemu, nie byłoby w ogóle problemu. Wszystko to nie posiada ani sensu, ani pointy; jest to kwestia źle zastosowanej ciekawości.

— Oczywiście, Hammond, oczywiście! Ale jeżeli ktoś zbyt gorliwie emabluje Julię, wpadasz we wściekłość; a jeżeli to trwa dłużej, gotów jesteś wybuchnąć.

Julia była to żona Hammonda.

— Tak, bezwarunkowo! Tak samo wściekły byłbym, gdyby ktoś zaczął w kącie mego salonu oddawać urynę. Wszystko na swoim miejscu.

— To znaczy, że nie miałbyś nic przeciwko temu, gdybym kochał Julię w dyskretnej alkowie?

Charlie May mówił nieco sarkastycznie, gdyż flirtował troszeczkę z Julią, a Hammond patrzył na to bardzo krzywo.

— Oczywiście, że miałbym wiele przeciwko temu. Rzeczy płciowe są prywatną sprawą pomiędzy mną a Julią. I miałbym oczywiście wiele przeciwko temu, gdyby się ktoś chciał do tej sprawy mieszać.

— Faktem jest — wtrącił chudy, piegowaty Tommy Dukes, który wyglądał daleko bardziej po irlandzku niż dość tęgi May — faktem jest, Hammond, że masz silny instynkt posiadania oraz silny popęd samozachowawczy, i że chcesz mieć powodzenie. Odkąd pozostałem na stałe w wojsku, odsunąłem się od zamętu świata, i teraz widzę, jak nieproporcjonalnie wielki jest w człowieku popęd samozachowawczy i żądza powodzenia. Instynkty te rozwinięte są nadmiernie. Cała nasza indywidualność płynie tym korytem. I oczywiście mężczyźni tacy jak ty sądzą, że wspierani przez kobietę łatwiej dadzą sobie radę. Dlatego jesteś tak zazdrosny. Tym właśnie jest dla ciebie sprawa płciowa... małą witalną dynamomaszyną pomiędzy Julią a tobą, mającą ci przynieść powodzenie. Gdybyś przestał mieć powodzenie, zacząłbyś flirtować jak Charlie, który nie ma powodzenia. Ludzie żonaci i zamężni, jak ty i Julia, mają na sobie kartki, niby walizy podrózne. Julia nosi napis *Mrs. Arnold B. Hammond*... zupełnie jak waliza na kolei, należąca do kogoś. A ty nosisz napis *Arnold B. Hammond, pod opieką Mrs. Arnold B. Hammond*. O, masz zupełną słuszność, zupełną słuszność! Życie duchowe wymaga miłego domu i dobrej kuchni. Masz zupełną słuszność. Wymaga nawet potomstwa. Ale wszystko zależy od instynktu powodzenia. On jest osią, dokoła której wszystko się kręci.

Hammond był rozgniewany. Czuł się przecież dumny z nieskazitelności swego ducha i z tego, że nie był niewolnikiem epoki. Tym niemniej pragnął powodzenia.

— To zupełna prawda, niepodobna żyć bez pieniędzy — rzekł May. — Trzeba mieć pewną kwotę, żeby móc żyć i radzić sobie... nawet żeby mieć konieczną swobodę *myślenia*, trzeba posiadać pewną ilość pieniędzy, w przeciwnym razie żołądek przeszkadza w myśleniu. Sądzę jednak, że mógłbyś zrezygnować z tych seksualnych kartek z napisami. Mamy wolność mówienia z każdym człowiekiem; dlatego więc nie mielibyśmy mieć wolności spania z każdą kobietą, z którą mamy ochotę spać?

— To mówi lubieżny Celt — rzekł Clifford.

— Lubieżny! Dobrze, dlaczego nie? Nie rozumiem, dlaczego wyrządzam kobiecie większą krzywdę, śpiąc z nią niżeli tańcząc z nią... albo rozmawiając z nią o pogodzie. Jest to po prostu wymiana wrażeń zmysłowych zamiast słów. Więc dlaczego nie?

— Aby się parzyć jak króliki — rzekł Hammond.

Seks, Literat, Żona,  
Obyczaje

Dusza, Pieniądz,  
Bezpieczeństwo, Dom

Seks, Taniec, Rozmowa

— Dlaczego nie? Co ci się nie podoba w królikach? Czy one są gorsze niż zrewolucjonizowana ludzkość, pełna nienawiści?

— Ale my nie jesteśmy królikami — odpowiedział Hammond.

— To racja! Posiadam duszę: mam dokonać pewnych wyliczeń w pewnych sprawach astronomicznych, które są mi ważniejsze, niż śmierć i życie. Niekiedy przeszkadza mi złe trawienie. Głód przeszkadzałby mi w tym katastrofalnie. W ten sam sposób przeszkadza mi wygłodzony popęd płciowy. Więc cóż?

— Sądzę, że płciowe zaburzenia w trawieniu wskutek przejedzenia szkodzą ci bardziej — rzekł Hammond ironicznie.

— Bynajmniej! Nie jem nad miarę i nie obłapiam nad miarę. Człowiek posiada swobodę jedzenia za dużo. Ale ty chcesz mnie koniecznie zagłodzić.

— Wcale nie! Możesz się ożenić.

— Skąd wiesz, że mogę? Może byliby to niezdrowe dla moich procesów duchowych. Małżeństwo mogłoby ogłupić moje czynności umysłowe... i ogłupiłoby je na pewno. Po prostu to nie moja droga. Więc mam się kazać zamknąć w celi jak mnich? To wszystko brednie, mój kochany. Muszę żyć i dokonywać swoich obliczeń. Czasami potrzebuję kobiet. Ale nie chcę tej sprawy wyolbrzymiać. I odrzucam czyjkolwiek moralny wyrok potępiający i czyjkolwiek zakaz. Wstydzilibym się, gdyby kobieta chodziła z kartką noszącą moje nazwisko, adres i stację kolejową, niby waliza.

Obaj mężczyźni nie wybaczyli sobie wzajemnie flirtu z Julią.

— To ciekawa idea, Charlie — rzekł Dukes — że seksualizm jest tylko inną formą rozmawiania, przy której się słowa czyni, zamiast je mówić. Sądzę, że to prawda. Przypuszczam, iż moglibyśmy wymieniać z kobietami tyleż wrażeń zmysłowych i uczuć, co myśli o pogodzie i tak dalej. Seksualizm mógłby być rodzajem normalnej konwersacji fizycznej między mężczyzną a kobietą. Nie prowadzisz rozmów z kobietą, jeżeli nie macie wspólnych idei, to znaczy nie mówisz wtedy z zainteresowaniem. Podobnie nie spałbyś z kobietą, gdybyś nie posiadał z nią jakichś wspólnych uczuć lub sympatii. A gdybyś je posiadał...

— Jeżeli *posiada się* z kobietą właściwy rodzaj wspólnych uczuć lub sympatii, *powinno się* z nią spać — rzekł May. — Jedyną przyzwoitą rzeczą, jaką można uczynić, to iść z nią do łóżka. Podobnie jak kiedy się ma zainteresowanie do wspólnej rozmowy z kimś, jedyną przyzwoitą rzeczą jest doprowadzić rozmowę do końca. Nie chowa się wstydliwie języka za zębami i nie przygryza się go. Po prostu mówi się, co się ma do powiedzenia. Zupełnie tak samo jest z tamtą sprawą.

— Nie — odpowiedział Hammond — to nieprawda. Na przykład ty, May, trwonisz połowę swoich sił z kobietami. Nigdy nie dokonasz tego, czego mógłbyś dokonać przy tak subtelnym umyśle, jaki posiadasz. Za wiele tracisz z siebie w tamtych sprawach.

— Może... a ty za mało się tamtym sprawom oddajesz, mój Hammondzie, czy jesteś żonaty, czy nie. Możesz zachować czystość i nieskazitelność swego ducha, ale zasycha on diabelnie szybko. Twój czysty rozum staje się suchy jak smyczek skrzypiec. Po prostu zabijasz go mówieniem.

Tommy Dukes wybuchnął śmiechem.

— Dajcie pokój, wzniosłe duchy! — zawołał — Spójrzcie na mnie... Nie spełniam wielkiej i czystej pracy duchowej, notuję tylko parę nędznych myśli. A jednak ani się nie żenię, ani nie latam za kobietami. Uważam, że Charlie ma w zupełności rację; jeżeli chce latać za kobietami, wolno mu to robić. Nie zbyt często, ale samego latania nie zabroniłbym mu. Natomiast Hammond ma instynkt posiadacza, więc prosta droga i ciasna brama są dla niego najodpowiedniejsze. Przekonacie się, że zanim zginie, zostanie wielkim angielskim mistrzem pióra, A. B. C. od stóp do głowy. A teraz ja. Jestem niczym. Po prostu rakietka. A jakże jest z tobą, Cliffordzie? Czy uważasz, że seksualizm jest dynamomaszyną, dopomagającą mężczyźnie do osiągnięcia w życiu powodzenia?

Clifford rzadko odzywał się w takich okolicznościach. Nie zabierał głosu; myśli jego nie były na to dość żywe, był zbyt oszołomiony i pobudliwy. Teraz zarumienił się i zmieszał:

Głód, Seks, Dusza

Seks, Rozmowa

— Widzicie — rzekł — ponieważ ja sam jestem *hors de combat*<sup>24</sup>, uważam, że nie mogę w tej sprawie wiele powiedzieć.

— Bynajmniej — odpowiedział Dukes — górna część twego ciała wcale nie jest *hors de combat*. Życie duchowe jest u ciebie zdrowe i nieuszkodzone. Wylóż nam więc swoje zapatrywanie.

— No — wyjąkał Clifford — zresztą... zdaje mi się, że nie posiadam w tej sprawie specjalnego poglądu... Sądzę, że dewiza „ożeń się, żeby to mieć poza sobą” wyraża mniej więcej to, co o tym myślę. Chociaż między mężczyzną a kobietą, którzy się wzajemnie lubią, może to być wielką sprawą.

— Jaką wielką sprawą? — zapytał Tommy.

— O... to udoskonalą zażyłość — rzekł Clifford, zmieszany jak kobieta przy takiej rozmowie.

— Doskonale, Charlie i ja uważamy, że seksualizm jest pewnego rodzaju środkiem porozumiewania się, jak mowa. Jeżeli jakakolwiek kobieta rozpoczęła ze mną porozumienie płciowe, jest dla mnie rzeczą naturalną iść z nią do łóżka, aby tę całą rzecz zakończyć. Oczywiście wszystko o właściwym czasie. Niestety żadna kobieta nie robi ze mną szczególnego początku, sypiam więc sam i wcale na tym gorzej nie wychodzę... Tak się przynajmniej spodziewam, bo skądże bym to mógł wiedzieć? W każdym razie nie muszę dokonywać obliczeń gwiazdnych, w których by mi to mogło przeszkodzić, ani pisać nieśmiertelnych dzieł. Jestem po prostu człowiekiem, który się para rzemiosłem wojennym...

Zapadło milczenie. Czterej mężczyźni palili. A Connie siedziała i wykonała znowu ścieg w swojej robótce... Tak, siedziała przy tym! Musiała siedzieć niemo. Musiała być cicha jak myszka, aby nie przeszkadzać tak niezmiernie ważnym debatom tych wielce uduchowionych panów. Ale musiała siedzieć przy tym. Czwórka przyjaciół bez niej nie uporałaby się tak łatwo z tematem; myśli ich nie płynęłyby tak gładko. W nieobecności Connie, Clifford był daleko bardziej skryty i nerwowy, a rozmowa nie posuwała się naprzód. Tommy Dukes wyróżniał się najkorzystniej; obecność jej dodawała mu trochę natchnienia. Hammonda rzeczywiście nie lubiła; był on na sposób duchowy takim egoistą! Zaś Charles May, chociaż lubiła w nim niektóre cechy, wydawał się jej trochę niemiły i niesympatyczny, mimo swoich gwiazd.

Ileż wieczorów siedziała tak Connie, słuchając wynurzeń tych czterech mężczyzn! Tych czterech i jeszcze jednego lub dwóch. Że nigdy nie dochodzili do żadnego rezultatu, to jej zbytnio nie niepokoiło. Słuchała chętnie tego, co mieli do powiedzenia, zwłaszcza, jeżeli był i Tommy. Była to dla niej zabawa. Mężczyźni, zamiast całować kobietę i dotykać jej swoim ciałem, spowijali ją swoim duchem. To była doskonała zabawa! Ale jakież zimne duchy!

I trochę to było denerwujące. Miała więcej szacunku dla Michaelisa, którego imię oni wszyscy wymawiali z druzgoczącą pogardą, imię tego nędznego obojnaka i nieokrzesanego karierowicza w najgorszym gatunku. Czy był obojnakiem i karierowiczem czy nie, wyciągał jednak własne wnioski. Nie obnosił tylko milionów snów, nie paradował z życiem duchowym.

Connie lubiła życie duchowe i znajdowała w nim wielkie emocje, była jednakże zdania, że przywiązuje się do niego zbyt wielką wagę. Lubiała siedzieć przy tych rozmowach, spowita w dym papierosów tych koleżków, jak ich w duchu nazywała. Bawiło ją niezmiernie i czuła się dumna, że bez jej milczącej obecności nie potrafili wygłaszać swoich przemówień. Miała olbrzymi szacunek przed myślą... a ci mężczyźni czynili przynajmniej uczciwe próby myślenia. Jednakże, jeśli tak można powiedzieć, zając był, ale nie chciał biegać. Wszyscy oni mówili o czymś, ale co to było, tego Connie nie potrafiłaby żadną miarą wyjaśnić. Było to coś, czego nawet Mick nie umiałby wytłumaczyć.

Mick nie próbował jednak w ogóle czynić czegokolwiek innego, jak tylko przebijać się przez życie i wyrządzać innym ludziom tyle zła, ile oni usiłowali jemu wyrządzić. W istocie rzeczy był on człowiekiem antyspołecznym, i to właśnie brali mu za złe Clifford i jego koleżkowie. Clifford i jego koleżkowie nie byli antyspołeczni; starali się oni w mniejszym lub większym stopniu ratować ludzkość lub skromnie mówiąc — pouczać ją.

<sup>24</sup>*hors de combat* (fr.) — niezdolny do walki. [przypis edytorski]

W niedzielę wieczór odbyła się wielka rozmowa skierowana na temat miłości.

— *Błogosławione niechaj będą więzy, które łączą w jednakim serca nasze...*<sup>25</sup> czy coś podobnego — rzekł Tommy Dukes. — Ciekaw jestem, co to za więzy... Więzy, które nas teraz łączą, to wzajemne duchowe ocieranie się. Poza tym diabelnie mało jest między nami więzów. Lubimy się wzajemnie i mówimy jedni o drugich bardzo zjadliwe rzeczy, jak wszyscy inni przekłeci intelektualiści na świecie. Przekłeci „wszyscy”, jeżeli o to idzie, gdyż wszyscy ludzie tak postępują. Zmierzamy więc każdy w inną stronę, a nienawiść, jaką do siebie wzajemnie odczuwamy, pokrywamy fałszywymi, ocukrzonymi słowami. Dziwna to rzecz, że życie duchowe zdaje się kwitnąć najlepiej, kiedy korzenie jego tkwią w nienawiści, w niewysłowionej, bezdennej nienawiści. Zawsze tak było! Pomyślcie o Sokratesie i Platonie, i o potoku słów Platona na temat Sokratesa! Zwyczajna nienawiść we wszystkim, po prostu zwyczajna radość z rozrywania kogoś innego na kawały... Protagoras, czy kto to był! I Alcybiades, i te wszystkie inne drobne psiny-uczniowie, które brały udział w nagonce! Muszę przyznać, że zniewala to człowieka do oddania pierwszeństwa Buddzie, który spokojnie siedział pod drzewem „bo”, albo Jezusowi, który opowiadał swoim uczniom drobne przypowieści niedzielne, łagodnie i bez rakiet duchowych. Nie, w życiu duchowym jest coś zgniętego, w samym rdzeniu. Korzenie jego tkwią w nienawiści i zazdrości, w zazdrości i złośliwości. Po owocach jego poznacie drzewo.

— Nie sądzę, abyśmy byli tak zupełnie złośliwi — zaoponował Clifford.

— Drogi Cliffordzie, zastanów się tylko nad tym, jacy my wszyscy jesteśmy nawzajem wobec siebie obłudni. Ja jestem pod tym względem gorszy może od innych, wolę bowiem spontaniczną złośliwość od smacznie przyrządzonych cukierków; to jest naprawdę trucizna; kiedy zaczynam mówić o tym, jakim to pysznym chłopem jest Clifford i tak dalej, wówczas biedny Clifford zasługuje na współczucie. Na miłość boską, mówcie o mnie wszyscy rzeczy naprawdę złośliwe, a będę wiedział, że rzeczywiście coś dla was znaczą. Nie obdarzajcie mnie cukierkami, bo wtedy koniec ze mną.

— O, ale ja sądzę, że my się naprawdę nawzajem lubimy — rzekł Hammond.

— Powiadam ci przecież, że musimy się wzajemnie lubić... bo za plecami mówimy jeden o drugim takie złośliwe rzeczy! Ja jestem pod tym względem najgorszy.

— A ja sądzę, że pomieszales życie duchowe z działalnością krytyczną. Zgadzam się z tobą, że Sokrates w najwspanialszy sposób zapoczątkował działalność krytyczną, ale uczynił coś więcej jeszcze, niżeli tylko to — rzekł Charlie May tonem pouczającym.

Koleżkowie odznaczali się tak dziwną pompatycznością pod przybranym skromnym tonem. Wszystko to było tak bardzo *ex cathedra*, a chciało uchodzić za tak pokorne!

Tommy Dukes nie dał się podrażnić Sokratesem.

— Zupełnie słusznie. Krytyka i wiedza to nie to samo — rzekł Hammond.

— Naturalnie, że nie — zgodził się Berry, lękliwy młodzieniec, który przyjechał, aby się zobaczyć z Dukesem, i został na noc.

Wszyscy spojrzeli na niego, jakby osioł zaczął mówić.

— Nie mówiłem o wiedzy... mówiłem o życiu duchowym — zaśmiał się Dukes. — Prawdziwa wiedza pochodzi z całokształtu świadomości; zarówno z twego brzucha i twego prącia, jak z twego mózgu i duszy. Duch potrafi tylko analizować i racjonalizować. Oddajcie przewagę duchowi i rozumowi, a wszystko, co potrafią uczynić, to krytykować i płodzić obumarłość. Powiadam, *wszystko*, co potrafią uczynić. Jest to niezmiernie doniosłe. Boże wielki, światu trzeba dzisiaj, aby go krytykowano... aby go skrytykowano na śmierć. Dlatego żyjmy życiem duchowym i pysznijmy się swoją złośliwością, i zrywajmy lachmany z tego złudnego omamienia. Ale zrozumcie mnie, idzie o to: póki *przeżywacie* swoje życie, stanowicie poniekąd organiczną całość ze wszelkim życiem. Gdy jednak rozpoczynacie życie duchowe, zrywacie jabłko. Zerwaliście związek między jabłkiem a drzewem: związek organiczny. A gdy nie macie w życiu nic poza życiem duchowym, wówczas sami jesteście zerwanym jabłkiem... sami spadliście z drzewa. A wtedy logiczną koniecznością jest stać się złośliwym, zupełnie tak samo, jak dla zerwanego jabłka logiczną koniecznością jest zacząć gnić.

<sup>25</sup> *Błogosławione niechaj będą więzy, które łączą w jednakim serca nasze...* — w oryg. „*Blest be the tie that binds / Our hearts in kindred something-or-other*”. [przypis edytorski]



Clifford otworzył szeroko oczy: wszystko to było dla niego niezrozumiałe. Connie uśmiechnęła się potajemnie.

— W takim razie jesteśmy zerwanymi jabłkami — rzekł Hammond dość szorstko i niecierpliwie.

— Więc zróbmy z siebie moszcz<sup>26</sup> — dodał Charlie.

— Ale co sądzicie o bolszewizmie? — wtrącił brunatny Berry, jakby wszystko zmierzalo do tego pytania.

— Brawo! — ryknął Charlie — Co sądzicie o bolszewizmie?

— Naprzód! Zabierajmy się do bolszewizmu! — zawołał Dukes.

— Obawiam się, że bolszewizm to rozległe zagadnienie — rzekł Hammond, potrząsając poważnie głową.

— Moim zdaniem — oznajmił Charlie — bolszewizm jest superlatywną nienawiścią wobec tego, co oni nazywają *bourgeois*; zaś co jest tym *bourgeois*, to nie zostało zdefiniowane. Między innymi jest nim kapitalizm. Uczucia i wrażenia są również tak bardzo *bourgeois*, że trzeba by wynaleźć człowieka, który by ich nie posiadał. Dalej *bourgeois* jest człowiek posiadający indywidualność, a zwłaszcza *osobowość*: dlatego trzeba go zgłębić. Musisz się pogрузić w największej rzeczy, w tworze sowiecko-socjalnym. Nawet organizm jest *bourgeois*: ideał musi więc być mechanizmem. Jedyną rzeczą, która stanowi jedność, złożoną z wielu rozmaitych, a przecież jednakowo ważnych części, jest maszyna. Każdy człowiek stanowi cząstkę maszyny, zaś siłą popędową tej maszyny jest nienawiść. Nienawiść wobec tego, co jest *bourgeois*. Oto, czym jest dla mnie bolszewizm.

— Bezwarunkowo! — rzekł Tommy. — Ale wydaje mi się to zarazem doskonałym opisem ideału przemysłowego. Jest to pod osłonką ideał fabrykanta; tylko że on zaprzeczyłby, jakoby siłą popędową była nienawiść. A mimo to jest nią nienawiść: nienawiść do samego życia. Spójrzcie tylko na tę Anglię Środkową, czy nie jest to napisane w poprzek niej... Wszystko to jednak jest cząstką życia duchowego, jest logicznym rozwojem.

— Zaprzeczam, jakoby bolszewizm był czymś logicznym, odrzuca on przeważną część przesłanek — odpowiedział Hammond.

— Mój kochany, pozostawia przesłankę materii; tak samo postępuje czysty duch... wyłączając ją.

— W każdym razie bolszewizm dotarł na samo dno — rzekł Charlie.

— Samo dno! Dno nieposiadające dna! Bolszewicy będą niezadługo mieli najlepszą armię na świecie z najlepszym wyposażeniem technicznym.

— Ale to tak dłużej trwać nie może... mam na myśli nienawiść. Musi nastąpić reakcja... — rzekł Hammond.

— Czekaliśmy lata... poczekamy i dłużej. Nienawiść rośnie, jak wszystko inne. Jest ona nieuniknionym skutkiem, kiedy się życiu narzuca idee, kiedy się najniższym instynktom zadaje gwałt; naginamy swoje najgłębsze uczucia do pewnych idei. Popędzamy się sami jakąś formułą, niby maszynę. Myślenie logiczne udaje, jakoby panowało nad wszystkim, zaś wszystko zmienia się w nienawiść. Wszyscy jesteśmy bolszewikami, ale wszyscy jesteśmy obłudni. Rosjanie są bolszewikami bez obłudy.

— Istnieje jednak jeszcze wiele innych dróg — wtrącił Hammond — poza drogą sowiecką. Bolszewicy nie są zbyt mądrzy.

— Naprawdę nie. Niekiedy jednak mądrze jest być na wpół głupcem: kiedy się chce osiągnąć cel. Co do mnie osobiście, to uważam bolszewizm za na wpół zwariowany; ale uważam także nasze życie społeczne na Zachodzie za na wpół zwariowane. Tak, uważam nasze słynne życie duchowe za na wpół zwariowane. Wszyscy jesteśmy tak zimni jak kretyni, wszyscy jesteśmy tak beznamiętni jak idioci. Wszyscy bez wyjątku jesteśmy bolszewikami, tylko nadajemy temu inną nazwę. Sądzimy, że jesteśmy bogami... ludźmi jako bogowie! Jest to zupełnie to samo, co bolszewizm. Trzeba być ludzkim, trzeba mieć serce i penis, jeśli się chce nie być ani bogiem, ani bolszewikiem... gdyż bogowie i bolszewicy są jednakowi: za dobrzy na to, aby byli prawdziwi.

Wśród niechętnego milczenia rozległo się lękliwe pytanie Berry'ego:

— Więc wierzysz w miłość, Tommy, prawda?

<sup>26</sup>moszcz (z łac. *mustum*) — świeżo wyciśnięty sok z owoców wykorzystywany jako półprodukt w procesie wyrobu napoju finalnego, np. wina, cydru itp. [przypis edytorski]

Nienawiść

Kondycja ludzka

— Słodki chłopak! — zawołał Tommy. — Nie, mój cherubie, dziewięć razy na dziesięć nie! Miłość jest dzisiaj tylko innym jeszcze spośród tych na wpół zwariowanych omamień. Chłopcy o kołyszących się biodrach, spółkujący z dziewczętami z jazzu o małych, chłopięcych kuperkach niby dwa guziki! Czy masz na myśli ten rodzaj miłości? Czy też miłość wspólnoty majątkowej albo miłość sympatycznego współzycia, albo miłość, w której mąż idzie w prawo, a żona w lewo? Nie, mój cudowny chłopcze, w to wszystko ja nie wierzę!

— Ale w coś przecież wierzysz?

— Ja? O, rozumowo wierzę, że trzeba mieć dobre serce, dzielny penis, żywy umysł i odwagę powiedzenia „usrać się!” w towarzystwie damy.

— No, to wszystko przecież posiadasz — rzekł Berry.

Tommy Dukas zawył ze śmiechu.

— Anielskie dziecię! Gdybymż to miał! Gdybymż to miał! Nie, moje serce jest tak bez uczucia, jak kartofel, mój penis jest obwisły i nigdy nie podnosi głowy, a raczej odważyłbym się obciąć go sobie niż powiedzieć „usrać się!” w obecności swojej matki lub ciotki... trzeba wam wiedzieć, że one są prawdziwymi damami; i nie jestem naprawdę inteligentny, jestem tylko „żyjącym w duchu”. Cudownie byłoby być inteligentnym. Wtedy byłoby się żywym we wszystkich wspomnianych i niewspomnianych członkach. Penis podniósłby głowę i mówiłby „jak się masz?” do każdej naprawdę inteligentnej osoby. Renoir powiadał, że malował swoje obrazy prąciem... i robił to naprawdę: wspaniałe obrazy! Chciałbym i ja móc coś swoim zrobić. Boże! Kiedy się nie umie nic, tylko mówić! Nowa męka Hadesu! A rozpoczął ją Sokrates.

— Bywają też na świecie czule kobiety — wtrąciła Connie, podnosząc wzrok i odzywając się nareszcie.

Mężczyźni zgorszyli się... powinna była udawać, że nic nie słyszała. Stropiło ich, kiedy przyznała w ten sposób, że przysłuchiwała się uważnie takiej rozmowie.

— Boże mój! „Jeżeli one nie są dla mnie czule, po co ja się mam trapić, by być czułym dla nich?”<sup>27</sup> Nie, to jest beznadziejne! Po prostu nie potrafię współdziewieć harmonicznie z kobietą. Nie istnieje kobieta, której bym naprawdę mógł pożądać, kiedy stoję naprzeciw niej, a nie mam zamiaru zmuszać się do tego... Boże mój, nie, wolę pozostać takim, jakim jestem, i żyć nadal życiem duchowym. Jest to jedyna rzecz uczciwa, jaką potrafię robić. Mogę być zupełnie szczęśliwy, rozmawiając z kobietą; ale to wszystko jest czyste, beznadziejnie czyste. Beznadziejnie czyste! A cóż ty na to, Hildebrandzie, synu mój?

— O wiele mniej skomplikowane jest, kiedy się pozostaje czystym — odpowiedział Berry.

— Tak, życie jest o wiele za proste!

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Pewnego mroźnego poranka rozjaśnionego słabym słońcem lutowym Clifford i Connie udali się na przechadzkę przez park do lasu. Clifford jechał w swoim fotelu motorowym, a Connie szła obok niego.

Ostre powietrze ciągle jeszcze przesiąknięte było siarką, ale oni przywykli już do tego. Nad niedalekim horyzontem unosiły się opary, opalizując od mrozu i dymu, zaś w górze leżało małe, błękitne niebo; miało się wrażenie, jakby się było wewnątrz ogrodzenia, zawsze wewnątrz. Życie było zawsze snem albo szaleństwem wewnątrz ogrodzenia.

Owce pasły się na grubej, suchej trawie parku, gdzie szron pokrywał niebieskawą warstwą żdźbła i kępki trawy. Przez park biegła ścieżka do furtki lasu, wąska, różowa wstęga. Clifford kazał ją świeżo wysypać przesiewanym gruzem z hałd kopalni. Kiedy kamienie i odpadki świata podziemnego wypaliły się i oddały swoją siarkę, przybierały barwę jasnoróżową, barwę krewetek w dni suche, ciemną barwę krabów w dni dżdżyste. Dzisiaj żwir miał błąd kolor krewetek z niebieskawobiałą powłoką szronu. Connie podobał się zawsze ten kobierzec przesiewanych, jasnoróżowych kamyków. Zły to wiatr, który nikomu nie przynosi nic dobrego.

<sup>27</sup> Boże mój! „Jeżeli one nie są dla mnie czule, po co ja się mam trapić, by być czułym dla nich?” — w oryg. „My God! — If they be not nice to me / What care I how nice they be?”. [przypis edytorski]

Clifford kierował ostrożnie po stoku wiodącym od domu; ręka Connie spoczywała na poręczy fotela. Przed nimi leżał las, najpierw leszczynowy zagajnik, za nim fioletowa masa dębów. Przed lasem skakały, skubiąc coś, króliki. Wrony uniosły się nagle czarną chmurą i odfrunęły.

Connie otworzyła furtkę wiodącą do lasu, a Clifford wyjechał powoli na szeroką drogę, biegnącą wzdłuż pagórka między gęstwą leszczyny. Las we Wragby był pozostałością wielkiego boru, w którym polował jeszcze Robin Hood<sup>28</sup>, ta zaś ścieżka była prastarą drogą, przecinającą okolicę. Teraz jednak była tylko ścieżką, wiodącą przez prywatny las. Droga z Mansfield obiegała łukiem bardziej na północ.

Las

W lesie wszystko było nieruchome. Stare listowie na ziemi zachowało jeszcze szron na dolnej stronie. Kraska<sup>29</sup> krzyknęła przenikliwie. Mnóstwo małych ptaków trzepotało się dokoła. Ale nie widać było zwierzyny ani bażantów. Podczas wojny bażanty i zwierzyna zostały wytrzebione, a las pozostawał bez opieki, aż dopiero Clifford sprowadził teraz leśniczego.

Clifford kochał las; kochał stare dęby. Czuł, że należały do niego od pokoleń. Pragnął się nimi opiekować. Pragnął zachować to miejsce w stanie nieuszkodzonym, w odosobnieniu od świata.

Ruchomy fotel wspinał się powoli po stoku, kołysząc się i tańcząc po zmarzłych grudach. I nagle z lewej strony ukazała się polana, na której nie było nic poza gmatwaną martwych paproci, i tylko tu i ówdzie cienkie, ostre, nachylone ukośnie, młode drzewo albo wielki pień, ukazujący powierzchnię cięcia i rozłożyste korzenie — martwy. I czarne plamy w miejscach, gdzie drwale palili chrust i odpadki.

Było to jedno z owych miejsc, w których Sir Geoffrey w czasie wojny kazał rąbać drzewa dla okopów. Cały pagórek, wznoszący się łagodnie z prawej strony drogi, był ogołocony i wyglądał dziwnie nago i bezradnie. Na szczycie wzgórza, gdzie stały niegdyś dęby, teraz była pustka; ponad drzewami rozciągał się stąd widok na kolejkę kopalnianą i nowe zakłady pod Stacks Gate. Connie zatrzymała się, patrząc dokoła. Była to wyrwa w zamkniętym wszędzie lesie. Wpuszczała ona świat. Ale tego Connie nie powiedziała Cliffordowi.

To wyrębane miejsce zawsze budziło w Cliffordzie dziwny gniew. Brał udział w wojnie i widział, co ona znaczyła. Ale prawdziwy gniew nie ogarnął go, póki nie ujrzał tego nagiego wzgórza. Kazał je zalesić. Budziło w nim jednak nadal nienawiść do Sir Geoffreya.

Clifford siedział z nieruchomą twarzą, podczas gdy fotel posuwał się z wolna pod górę. Kiedy przybyli na wierzchołek wzgórza, Clifford zatrzymał swój pojazd. Nie mógł się zdecydować na zjazd po długim i bardzo wyboistym zboczu z drugiej strony. Siedział, spoglądając na opadającą, zielonawą ścieżkę, wolną drogę między paprociami i dębami. U stóp pagórka opisywała ona łuk i znikala; ale miała taki wdzięczny, nieprzymuszony bieg, przypominała jezdnych rycerzy i damy na koniach.

— Mam wrażenie, że to naprawdę serce Anglii — rzekł Clifford do Connie, siedząc w słabym świetle lutowym.

— Tak sądzisz? — odpowiedziała Connie, siadając na pniu drzewa u skraju ścieżki.

— Tak, to stara Anglia, jej serce; i pragnę je zachować w nieuszkodzonym stanie.

— O, tak! — rzekła Connie.

W chwili, gdy to mówiła, usłyszała syreny południowe na dole, w kopalni koło Stacks Gate. Clifford był zbyt przyzwyczajony do tego dźwięku, aby zwrócić na niego uwagę.

— Chcę zachować ten las w doskonałym stanie... nietknięty. Nie ścierpię w nim intruzów — rzekł Clifford.

W słowach tych był jakiś patos. Las krył jeszcze ciągle coś z tajemnic dawnej, dzikiej Anglii; ale wyręby Sir Geoffreya w czasie wojny zadały mu cios. Jak ciche były te drzewa o niezliczonych, skłębionych gałęziach, sterczących ku niebu, i szarych, upartych pniach, wznoszących się spomiędzy brunatnych paproci! Jak bezpiecznie latały między nimi ptaki!

<sup>28</sup>*Robin Hood* — bohater średniowiecznych ludowych legend angielskich, wybitny łucznik, banita, walczący z bogatymi i możnymi w obronie biedaków i gnębionego ludu; wraz z grupą swych towarzyszy wyjętych spod prawa, do których należeli m.in. Lady Marion, mnich brat Tuck czy silacz Little John, zamieszkiwał w lesie Sherwood, przeciwstawiając się władzy niesprawiedliwego i despotycznego szeryfa z Nottingham. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>*kraska* — gatunek ptaka o błękitnym upierzeniu. [przypis edytorski]

A niegdyś były tu jelenie, i łucznicy, i mnisi na osłach. To miejsce pamiętało, pamiętało ciągle.

Clifford siedział w bladym słońcu, którego światło padało na jego gładkie, bardzo jasne włosy, na jego rumianą, pełną, nieodgadnioną twarz.

— Kiedy tu jestem, bardziej mi zależy na synu niż kiedykolwiek indziej — powiedział.

— Ale las jest starszy niż twój ród — rzekła Connie łagodnie.

— Oczywiście! — odpowiedział Clifford. — Myśmy go jednak zachowali. Gdyby nas nie było, zniknąłby... zniknąłby tak samo, jak reszta boru. Trzeba zachować coś ze starej Anglii!

— Trzeba? — zapytała Connie. — Czy to musi być zachowane, zachowane nawet wbrew nowej Anglii? To smutne, rozumiem.

— Jeżeli coś ze starej Anglii nie zostanie zachowane, to Anglia w ogóle trwać nie będzie — odpowiedział Clifford. — A my, którzy posiadamy ten rodzaj własności i jej poczucie, musimy to zachować.

Nastąpiła posępna pauza.

— Tak, na krótką chwilę — rzekła Connie.

— Na krótką chwilę! To wszystko, co możemy uczynić. Możemy spełnić tylko swoją część. Mam wrażenie, że każdy mężczyzna w moim rodzie spełnił swoją część, odkąd ta posiadłość należy do nas. Można się zwracać przeciwko konwencjom, ale trzeba utrzymywać tradycję.

Znowu nastąpiła pauza.

— Jaką tradycję? — zapytała Connie.

— Tradycję Anglii! Tęgo wszystkiego!

— Tak — rzekła Connie przeciągle.

— Dlatego dobrze jest mieć syna; jest się wtedy tylko ogniwiem łańcucha — dodał Clifford.

Connie nie żywiła zbyt wielkiego nabożeństwa dla łańcuchów, ale nie powiedziała nic. Zastanawiała się nad dziwną nieosobowością jego pragnienia syna.

— Ubolewam, że nie możemy mieć syna — rzekła.

Clifford spoglądał na nią nieustannie okrągłymi, bladoniebieskimi oczyma.

— Byłoby niemal dobrze, gdybyś miała dziecko z jakimś innym mężczyzną — rzekł.

— Gdybyśmy je wychowali we Wragby, należałoby do nas i do naszej posiadłości. Niezbyt wierzę w ojcostwo. Gdybyśmy to dziecko wychowywali u siebie, byłoby nasze własne i kontynuowałoby nasze dzieło. Czy nie sądzisz, że warto się nad tą myślą zastanowić?

Connie spojrzała wreszcie na niego. Dziecko, jej dziecko, to było dla niego po prostu „ono”. Ono... ono... ono!

— A ten drugi mężczyzna? — zapytała.

— Czy to ma tak wielkie znaczenie? Czy takie sprawy istotnie tak głęboko nas obchodzą?... Miałś tego kochanka w Niemczech... co to dzisiaj znaczy? Prawie nic. Mam wrażenie, że nie te drobne postęпки i te drobne stosunki mają w życiu wielkie znaczenie. One przemijają. Gdzie one pozostają? Gdzie?... Gdzie jest zeszłoroczny śnieg?...<sup>30</sup> To tylko, co trwa w naszym własnym życiu, posiada znaczenie; moje własne życie w jego trwaniu i rozwoju posiada dla mnie znaczenie. Ale cóż znaczą przelotne stosunki? A zwłaszcza przelotne stosunki płciowe! Jeśli ludzie nie doprowadzają ich do śmiesznej przesady, mijają one, jak parzenie się ptaków. I tak być powinno. Cóż to ma za znaczenie? Jedynie związek na całe życie znaczy coś. Współżycie z dnia na dzień, a nie tylko wspólne przespanie się raz czy dwa razy. Ty i ja jesteśmy poślubieni, cokolwiek by nas spotkało. Staliśmy się jedno dla drugiego przyzwyczajeniem, a przyzwyczajenie posiada moim zdaniem daleko większą doniosłość życiową niżeli jakiegokolwiek chwilowe podniecenie. To, co długotrwałe, powolne, ciągle, tym żyjemy... a nie przypadkowym skurczem jakiegokolwiek rodzaju. Z wolna, z wolna dwoje ludzi, żyjących razem, popada w pewnego rodzaju *unisono*<sup>31</sup>, drgania ich stają się nieuchronnie zestrojone. To jest prawdziwa tajemnica małżeństwa, nie strona seksualna; a w każdym razie nie zwykła funkcja seksualna.

<sup>30</sup> *Gdzie jest zeszłoroczny śnieg?*... — por. *Balladę o paniach minionego czasu* François Villona z powtarzającym się refranem: „Ach, gdzie są niegdyśjsze śniegi!”, jedną z najsławniejszych realizacji motywu przemijania, tj. *ubi sunt*, łac. gdzież są. [przypis edytorski]

<sup>31</sup> *unisono* — zgodność dźwięku, tonu. [przypis edytorski]

Dziedzictwo, Mężczyzna, ,  
Syn

Syn, Dziedzictwo

Małżeństwo, Dziecko,  
Mężczyzna, Kaleka,  
Kobieta, Żona, Seks

Ty i ja jesteśmy wpleceni w małżeństwo. Jeśli w nim trwamy, musimy być zdolni w ten sposób urządzić sprawy płciowe, jakbyśmy się wybierali z wizytą do dentysty; ponieważ los dał nam tutaj fizycznie mata.

Connie siedziała, słuchając w jakimś zadziwieniu, w jakiejś trwodze. Nie wiedziała, czy miała rację, czy nie. Oto był Michaelis, którego kochała; tak sobie powiadała. Ale miłość ta była poniekąd tylko wycieczką z jej małżeństwa z Cliffordem; z tego długiego, powolnego nawyku zażyłości, ukształtowanego w ciągu długich lat cierpienia i cierpliwości. Może dusza ludzka potrzebuje takich wycieczek, może nie trzeba jej tego odmawiać. Ale istota wycieczki polega na tym, że się znowu powraca do domu.

— I nie obchodziłoby cię, z *którym* mężczyzną miałabym dziecko? — zapytała.

— Ależ Connie, zaufałbym twemu naturalnemu instynktowi przyzwoitości i twemu smakowi. Nie dopuściłabyś po prostu, aby cię dotknął mężczyzna niewłaściwego gatunku.

Pomyślała o Michaelisie! Ucieleśniał on idealnie to, co Clifford rozumiał pod *mężczyzną* niewłaściwego gatunku.

— Ale mężczyźni i kobiety mogą mieć zupełnie odmienne pojęcia o *mężczyźnie* niewłaściwego gatunku — powiedziała.

— Nie — odparł Clifford. — Żywiłaś dla mnie skłonność. Nie sądzę więc, abyś ją mogła kiedykolwiek powziąć dla mężczyzny, który by mi był zupełnie antypatyczny. Rytm twego życia nie dopuściłby do tego.

Connie milczała. Na tę logikę mogło nie być odpowiedzi, ponieważ była zupełnie fałszywa.

— I spodziewałbyś się po mnie, że ci o tym powiem? — zapytała, spoglądając na niego niemal ukradkiem.

— Bynajmniej. Powiniennem raczej nie wiedzieć... Ale zgadzasz się przecież ze mną, że przypadkowy stosunek płciowy jest niczym w porównaniu z długim, wspólnie przeżytym życiem? Czy nie uważasz, że można po prostu podporządkować sprawy seksualne koniecznościom długiego życia? Po prostu wykorzystywać je, jeśli nas do tego pcha popęd? Ostatecznie, czyż te chwilowe podniety posiadają jakieś znaczenie? Czyż całe zagadnienie życia nie polega na tym, aby z biegiem lat z wolna stworzyć integralną osobowość? Życie nierozszczępionym życiem? Rozszczępione życie nie ma sensu. Jeżeli brak zadowolenia płciowego grozi ci rozszczępieniem, nawiąż lepiej stosunek miłosny. Jeżeli brak dziecka grozi ci rozszczępieniem, miej dziecko, w jakikolwiek sposób zdołasz. Ale rób te rzeczy tak, abyś miała nierozszczępione życie, tworzące długą, harmonijną całość. Zaś ty i ja potrafimy mieć razem takie życie... czy nie sądzisz?... jeżeli dostosujemy się do konieczności, a zarazem spleciemy to dostosowanie się z naszym życiem, przeżywanym w sposób ciągły. Czy nie jesteś tego zdania?

Connie była nieco oszołomiona jego słowami. Wiedziała, że teoretycznie miała rację. Ale jeśli istotnie dotykała owego życia przeżywanego z nim w sposób ciągły... wzdrygała się. Czy naprawdę przeznaczeniem jej było na resztę życia wpleść się w jego życie? Tylko to?

I czy właśnie to? Miała się zadowolić przeżywaniem z nim w sposób ciągły wspólnego życia, jednej tkaniny, przetykanej może przypadkowym kwiecikiem jakiejś przygody. Ale skąd mogła wiedzieć, co będzie czuła w przyszłym roku? Skąd to można było w ogóle wiedzieć? Jak można było powiedzieć „tak” na całe lata naprzód? Owo maleńkie „tak”, rozwiewające się w jednym tchnieniu! Dlaczego pozwolić się przygwoździć przez to motyle słowo? Musiało ono przecież ulecieć i zniknąć, aby mogły po nim nastąpić inne „tak” i „nie”! Niby wir motyli.

— Sądzę, że masz rację, Cliffordzie. I jak daleko sięga mój wzrok, zgadzam się z tobą. Tylko że życie nada może wszystkiemu inne oblicze.

— Zanim jednak życie nada wszystkiemu nowe oblicze, zgadzasz się ze mną?

— O, tak! Sądzę, że tak, naprawdę.

Przyglądała się brunatnemu ogarowi, który wybiegł z bocznej ścieżki, patrzył na nią z podniesionym nosem i wydawał miękkie, urywane szczekanie. Mężczyzna z fuzją nadzedeł szybko i cicho za psem i zwrócił się ku nim, jakby chciał ich oboje zaatakować; potem zatrzymał się jednak, przyłożył na powitanie rękę do kapelusza i skierował się w dół zbocza. Był to nowy leśniczy, ale przestraszył Connie, kiedy wynurzył się tak na-

Małżeństwo

Słowo, Motyl, Przemijanie

gle z lasu, na pozór groźnie. Tak go przynajmniej ona widziała, niby nagłą falę groźby, wylaniającą się z nicości.

Był to mężczyzna w ciemnozielonym, aksamitnym ubraniu i getrach... według dawnej mody, o twarzy opalanej i rudawo-blond włosach, o dalekim wzroku. Szybko schodził po stoku.

— Mellors! — zawołał Clifford.

Leśniczy odwrócił się i zsalutował szybkim, skąpym ruchem. Żołnierz!

— Odwróćcie fotel i pchnijcie go. Będzie mi potem łatwiej — rzekł Clifford.

Leśniczy natychmiast przewiesił fuzję przez ramię i zbliżył się równymi, dziwnie szybkimi, a jednak miękkimi ruchami, jakby pozostawał niewidzialny. Był średniego wzrostu, szczupły i milczący. Nie patrzył zupełnie na Connie, tylko na ruchomy fotel.

— Connie, to nasz nowy leśniczy Mellors. Nie znacie jeszcze Lady Chatterley, Mellors?

— Nie, Sir! — brzmiała szybka, obojętna odpowiedź.

Nie ruszając się z miejsca, leśniczy uchylił kapelusza, ukazując gęste, prawie jasne włosy. Spoglądał Connie prosto w oczy, pełnym, nieustraszonym, bezosobowym wzrokiem, jakby się chciał przekonać, jak wyglądała; pod wpływem tego wzroku Connie stała się lękliwa. Skinęła mu nieśmiało głową, a on przełożył kapelusz z prawej ręki do lewej i wykonał przed nią lekki ukłon, jak gentleman; ale nie powiedział ani słowa. Przez chwilę stał nieruchomo, z kapeluszem w ręku.

— Ale jest pan tu już od niejakiego czasu, prawda? — zapytała go Connie.

— Od ośmiu miesięcy, proszę pani... jaśnie pani! — poprawił się spokojnie.

— I podoba się tu panu?

Spojrzała mu w oczy. Jego oczy zmrużyły się lekko, niejako ironicznie, może trochę zuchwale.

— No toć, dziękują im pięknie, panucho. Wychowalech się tukej<sup>32</sup>

Uklonił się jeszcze lekko, odwrócił się, włożył kapelusz i podszedł, aby pchnąć fotel. Przy ostatnich słowach głos jego przeszedł w szeroką, przeciągłą wymowę gwarową... może z pewną dozą ironii, gdyż przedtem mówił bez śladu dialektu. Mógł uchodzić niemal za gentlemana. W każdym razie był dziwnym, zręcznym człowiekiem, odludkiem, samotnym, ale bardzo pewnym siebie.

Clifford puścił motor w ruch, leśniczy ostrożnie odwrócił fotel i skierował go ku stokowi, opadającemu łagodnie w stronę ciemnej gęstwy leszczyny.

— Czy to wszystko, Sir Cliffordzie? — zapytał Mellors.

— Nie, niech pan lepiej pójdzie z nami, na wypadek, gdyby się motor zaciął. Maszyna nie jest zbyt dobra do jazdy po pagórkach.

Leśniczy obejrzał się za swoim psem... było to rozważne spojrzenie. Ogar spojrzał na niego i machnął ogonem. Lekki uśmiech, drwiący czy też wabiący psa, ale łagodny, zjawił się na chwilę w oczach leśnika i zniknął zaraz. Twarz pozostała jednak bez wyrazu. Dość szybko zeszli ze stoku, przy czym leśniczy trzymał rękę na poręczy fotela, aby go ustrzec przed chybotaniem się. Wyglądał raczej na wolnego żołnierza niż na sługę. Coś w jego zachowaniu przypominało Connie osobę Tommy'ego Dukesa.

Kiedy przybyli do lasku leszczynowego, Connie pobiegła nagle naprzód i otworzyła furtkę do parku. Gdy tak stała przy otwartej furtce, dwaj mężczyźni spojrzeli na nią, przejeżdżając, Clifford krytycznie, leśnik z osobliwym, chłodnym podziwem, jak gdyby zupełnie bezosobowo pragnął wiedzieć, jak ona wygląda. A Connie dostrzegła w jego niebieskich, bezosobowych oczach wyraz jakiegoś cierpienia i obojętności, ale także jakiegoś ciepła. Dlaczego jednak był takim odludkiem, takim samotnikiem?

Clifford zatrzymał maszynę zaraz za bramą, a leśniczy podszedł szybko i uprzejmie, aby ją zamknąć.

— Dlaczego wybiegłaś naprzód otworzyć furtkę? — zapytał Clifford niewzruszenie spokojnym głosem, który świadczył u niego zawsze, że mu się coś nie podobało. — Mellors mógł to zrobić.

— Myślałam, że pojedziesz zaraz dalej — odpowiedziała Connie.

<sup>32</sup>No toć, dziękują im pięknie, panucho. Wychowalech się tukej — W oryginale leśniczy mówi dialektem hrabstwa Derbyshire. Uważałem za najodpowiedniejsze zastąpić go w przekładzie gwarą górnośląską. [przypis tłumacza]

— A tobie każe biec z tyłu? — rzekł Clifford.

— O, co tam, ja bardzo lubię czasami pobiegać!

Mellors podszedł znowu do fotela; wzrok miał zupełnie obojętny, ale Connie czuła, że zauważył wszystko. Popychając fotel pod górę po dość stromym stoku wzgórza parkowego, oddychał szybko, z rozchylonymi wargami. Właściwie był dość wątpy. Dziwnie pełen siły żywotnej, ale nieco wątpy i przytłoczony. Kobięcy jej instynkt wyczuwał to.

Connie pozostała w tyle. Dzień poszarzał; błękitny skrawek nieba, który rozpościerał się przedtem nad okrągłymi skrajami mgły, zawarł się znowu, pokrywa była zamknięta, w powietrzu czuło się przenikliwy chłód. Zanosilo się na śnieg. Wszystko szare, wszystko szare! Świat miał wygląd zmęczony i wyczerpany.

Ruchomy fotel czekał na górnym krańcu różowej ścieżki. Clifford obejrzał się za żoną.

— Nie jesteś zmęczona? — zapytał.

— O, nie! — odpowiedziała Connie.

A jednak była zmęczona. Zbudziła się w niej jakaś dziwna, znużona tęsknota, jakieś niezadowolenie. Clifford nie spostrzegał tego: nie były to rzeczy, które zwykł spostrzegać. Ale obcy człowiek zauważył to. Wszystko w świecie i życiu Connie wydawało się jej znużone, a niezadowolenie jej było starsze niż góry.

Zbliżyli się do domu i do tylnych drzwi, przy których nie było stopni. Clifford zdołał się przenieść do niskiego domowego fotela ruchomego; miał bardzo silne i ruchliwe ramiona. Potem Connie przeniosła za nim brzemień jego martwych nóg.

Leśniczy, który czekał w służbowej postawie, aż zostanie zwolniony, dostrzegał wszystko dokładnie, nic nie uchodziło jego wzrokowi. Poblądł z przerażenia, gdy Connie uniosła w ramionach nieruchome nogi męża i przesunęła je na drugi fotel, a Clifford przenosił jednocześnie swój tułów. Był oszołomiony.

— Dziękuję za pomoc, Mellorsie — rzekł Clifford niedbale, skierowując fotel przez korytarz skrzydła służbowego.

— Czy życzy pan sobie jeszcze czegoś, sir? — zabrzmiał obojętny głos, jak głos we śnie.

— Nie, do widzenia!

— Do widzenia, sir!

— Do widzenia! To bardzo ładnie, że pan wtoczył fotel po wzgórzu... Mam nadzieję, że nie zmęczyło to pana bardzo — rzekła Connie, odwracając się do leśnika, który stał za drzwiami.

Oczy jego na chwilę zetknęły się z jej oczyma, jakby się budził. Dostrzegł ją.

— O, nie, zupełnie — rzekł szybko.

Potem głos jego przeszedł znowu w rozlewne brzmienie dialektu.

— Dowidzynio, panucho.

— Kim jest twój leśniczy? — zapytała Connie przy lunchu.

— No, Mellors, widziałas go przecież — odpowiedział Clifford.

— Tak, ale skąd on przybył?

— Znikąd! To chłopak z Tevershall... zdaje się, że syn górnika.

— A on sam był także górnikiem?

— Jeżeli się nie mylę, kowalem w warsztacie kopalnianym, starszym kowalem. Ale przed wojną był tu przez dwa lata leśniczym, zanim poszedł do wojska. Ojciec mój był o nim zawsze dobrego zdania, więc kiedy wrócił i chciał wstąpić znowu do kopalni jako kowal, zatrzymałem go po prostu tutaj jako leśniczego. Ucieszyłem się naprawdę, że go dostałem... tu w okolicy niepodobna wprost znaleźć odpowiedniego człowieka jako dozorcę zwierzyny... A trzeba na to kogoś, kto zna tutejszych ludzi.

— Nie jest żonaty?

— Był. Ale żona uciekła mu z... z rozmaitymi ludźmi... ale ostatecznie z jakimś górnikiem ze Stacks Gate, i zdaje się, że jeszcze tam mieszka.

— Więc on jest samotny?

— Mniej więcej! Ma we wsi matkę... i zdaje się, dziecko.

Nuda, Melancholia

Kaleka

Clifford spojrział na Connie bladymi, nieco wypukłymi oczyma, w których była jakaś rozlewność. Na przednim planie wydawał się ożywiony i czujny, ale na tylnym planie panowała atmosfera Anglii Środkowej, opary, zakopcona mgła. I mgła ta zdawała się wypełzać ku przodowi. Takie miała wrażenie, kiedy patrzył na nią w swój osobliwy sposób i w swój osobliwy sposób dawał jej dokładnie do zrozumienia, że tylny plan jego ducha zapelnia się mgłą, nicością. Budziło to w niej trwogę. Wydawał się jej przez to bezosobowy, aż do idiotyzmu.

Niejasno pojęła jedno z wielkich praw duszy ludzkiej: jeżeli dozna ona miażdżącego udaru, który nie zabija ciała, dusza zdaje się wraz z ciałem powracać do zdrowia. Ale jest to tylko pozorne. W istocie jest to jedynie mechanizm powracających nawyknień. Z wolna, z wolna, poczyna się rana duszy dawać we znaki, jak uraz zewnętrzny, który stopniowo przenika straszliwym bólem coraz głębiej, aż wreszcie ta rana duszy wypełnia całą psychę. A gdy nam się zdaje, żeśmy się uleczyli i zapomnieli, nadchodzi chwila, gdy trzeba zwalczać okropne skutki zranienia w ich najzłośliwszej formie.

Tak się działo z Cliffordem. Gdy tylko powrócił do zdrowia, gdy tylko znalazł się we Wragby i zaczął pisać swoje nowele i mimo wszystko poczuł się pewien życia — zapomniał na pozór o wszystkim i odzyskał równowagę umysłu. Ale teraz, gdy lata mijały wolno, wolno, Connie czuła, jak rana, zadana mu przez przez przerażenie i zgrozę, poczynała wychodzić na jaw i rozprzestrzeniać się w nim. Przez pewien czas znajdowała się tak głęboko, że niepodobna było ją wyczuć, że niejako nie istniała wcale. Teraz poczynała się z wolna przejawiać, a towarzyszyło jej przerażenie i niemal obezwładnienie. Duchowo ciągle jeszcze był rześki. Ale paraliż, spowodowany wielkim udarem, rozciągał się z wolna na jego życie uczuciowe.

I podobnie, jak się ten paraliż rozprzestrzenił w Cliffordzie, tak czuła też Connie, że wkradał się i do niej. Jakiś lęk wewnętrzny, jakaś pustka, jakaś obojętność na wszystko rozpościerała się z wolna w jej duszy. Gdy potrząsano Cliffordem, potrafił jeszcze ciągle wspaniale przemawiać i niejako panować nad przyszłością, jak na przykład dzisiaj w lesie, kiedy mówił o tym, że chciałby mieć dziecko i dać swojej posiadłości dziedzica. Ale następnego dnia najwspanialsze słowa wydawały się skurczone jak uschłe liście, rozsypywały się w proch, nie znaczyły w istocie nic, rozwiewał je lada wiatr. Nie było to świeże listowie słów aktywnego życia, młode i pełne siły, przynależne do drzewa. Były to chmary opadłych liści życia, które stało się już nieczynne.

Wydawało się jej, że tak jest wszędzie. Górnicy z Tevershall mówili znowu o strajku, a Connie i tu wydawało się, że nie jest to przejaw energii, lecz rana, zadana przez wojnę, rana, która przez długi czas pozostawała niewidoczna, teraz zaś z wolna wypłynęła na powierzchnię, stwarzając wielki ból nieukoju i paraliżujące ośpienie niezadowolenia. Była to rana głęboka, głęboka, głęboka... rana zadana przez fałszywą, nieludzką wojnę. Trzeba będzie żywej krwi pokoleń, aby rozpuścić gruby, czarny skrzep utraconej krwi, głęboko w ich duszach i ciałach. I trzeba będzie nowej nadziei.

Biedna Connie! Kiedy tak lata mijały, ogarniał ją lęk przed nicością jej życia. Życie duchowe Clifforda i własne napawały ją z wolna uczuciem nicości. Małżeństwo ich, ich życie, uzupełniające się nawzajem, ugruntowane na nawykowej poufności, o której Clifford tyle mówił: bywały dni, kiedy wszystko to wydawało się zupełnie puste, wydawało się nicością. Były to słowa, tylko słowa. Jedyłą rzeczywistością była ta nicność, a ponad nią tylko obłuda słów.

Było jeszcze powodzenie Clifforda: psia bogini! Prawda, stał się niemal sławny, a książki jego przynosiły mu tysiące funtów. Jego fotografie zjawiały się wszędzie. W pewnej galerii sztuk stało jego popiersie, w dwóch innych wisiały jego portrety. Wydawał się najnowocześniejszym ze wszystkich nowoczesnych głosów. Przy swoim niesamowitym, bezwładnym instynkcie reklamy stał się w ciągu czterech czy pięciu lat jednym z najpopularniejszych młodych „intelektualistów”. Gdzie tkwił ten intelekt, nie mogła Connie stwierdzić. Clifford był istotnie rozumny, jeżeli szło o z lekka humorystyczną analizę ludzi i motywów, która ostatecznie rozszczepia wszystko do ostateczności. Ale sprawiało to niemal takie wrażenie, jakby młode psiaki rozszarpały poduszkę na sztuki; tylko że to nie miało cech młodości i swawoli, ale dziwnego zestarzenia i dość upartej zarozumiałości. Było to niesamowite i było jałowe. Takie było uczucie, które bez końca odzywało się

Dusza, Ciało, Choroba,  
Katastrofa

Wojna, Robotnik, Rana

Sława, Literat



echem w głębinach duszy Connie: wszystko to było nicością, cudownym widowiskiem nicości. I tylko widowiskiem. Widowiskiem! Widowiskiem! Widowiskiem!

Michaelis obrał Clifforda za główną osobę jednej ze swoich sztuk; ułożył już akcję i napisał pierwszy akt. Michaelis potrafił bowiem jeszcze lepiej niż Clifford dawać widowisko nicości. Była to ostatnia resztką namiętności w tych ludziach: namiętność dawania z siebie widowiska. Płciowo byli oni pozbawieni namiętności, wręcz martwi. I nie o pieniądze szło Michaelisowi. Clifford także nigdy nie myślał w pierwszym rzędzie o pieniądzu, chociaż zgarniał je, gdzie to było możliwe, gdyż pieniądze są oznaką i przypiecztowaniem powodzenia. A celem ich było powodzenie. Obaj oni pragnęli dać prawdziwe widowisko... prawdziwe widowisko, przy którym mężczyzna wystawia siebie samego na widok, aby na chwilę ujarzmić olbrzymie rzesze publiczności.

Dziwne to było... prostytuowanie się z psią boginią. Dla Connie, odkąd stała w istocie na uboczu, a zwłaszcza, odkąd przestała odczuwać podniecenie w tej grze, i to było tylko nicością. Nawet prostytuowanie się z psią boginią było nicością, chociaż mężczyźni prostytuowali się niezliczone razy. I to jest nicością.

Michaelis napisał do Clifforda o swojej sztuce. Connie oczywiście dawno już wiedziała o niej. Clifford był zachwycony. Znowu zostanie wystawiony na widok publiczny, tym razem przez kogoś innego, i to w korzystnym świetle. Zaprosił Michaelisa i jego pierwszy akt do Wragby.

Michaelis przyjechał: latem, w jasnym ubraniu i białych rękawiczkach zamszowych, z fiołkowymi orchideami dla Connie (były przepiękne), zaś akt pierwszy okazał się wielkim sukcesem. Nawet Connie była zachwycona... zachwycona poza odrobiną trzeźwości, jaka jej pozostała... Michaelis, zachwycony swoją mocą zachwywania, był naprawdę cudowny... w oczach Connie nawet piękny. Widziała go w owej prastarej nieruchomości rasy, która nie mogła już być pozbawiona złudzeń, może z nadmiaru nieczystości, która stała się już znowu czystością. Na przeciwległym krańcu swego zewnętrznego prostytuowania się z psią boginią wydawał się znowu czysty. Czysty jak afrykańska maska z kości słoniowej, która marzeniami przemienia nieczystość w czystość, w swoich kościanych liniach i płaszczynach.

Chwila prawdziwego zachwycenia w towarzystwie dwojga Chatterleyostwa, kiedy po prostu porwał Connie i Clifforda, była jedną z najwyższych chwil w życiu Michaelisa. Udało mu się: porwał ich. Nawet Clifford był w nim przez niejaki czas zakochany... jeżeli można to tak wyrazić.

Następnego ranka Mick był bardziej niż kiedykolwiek niepewny w zachowaniu: niespokojny, strapiony, z rękoma nerwowo ukrytymi w kieszeniach spodni. Connie nie przyszła do niego tej nocy... a on nie wiedział, gdzie jej szukać. Kokieteria!... w takiej chwili triumfu.

Przed południem poszedł do jej saloniku. Wiedziała, że przyjdzie. A niepokój jego był nieukrywany. Pytał ją o swoją sztukę: czy sądzi, że jest dobra? *Musiał* słyszeć pochwały — dawało mu to ostatni, słaby dreszcz namiętności, przewyższający znacznie wszelki orgazm seksualny. Connie chwaliła sztukę z zapalem. A jednak w głębi duszy wiedziała z pewnością, że sztuka ta była niczym.

— Słuchaj! — wybuchnął wreszcie Michaelis. — Dlaczego nie postępujemy otwarcie? Dlaczego się nie pobieramy?

— Przecież ja jestem zamężna — odpowiedziała Connie stropiona, nie czując jednak nic.

— Ach tak!... On się na pewno zgodzi na rozwód... Dlaczego się nie pobieramy? Chcę się ożenić. Wiem, że to byłoby dla mnie najlepsze... ożenić się i prowadzić regularne życie. Prowadzę piekielne życie i szarpie się przy tym na kawały. Widzisz, my dwoje jesteśmy dla siebie stworzeni... nadajemy się dla siebie. Więc dlaczego nie mielibyśmy się pobrać? Czy widzisz jakikolwiek powód, dla którego nie mielibyśmy tego zrobić?

Connie patrzyła na niego zdumiona. A jednak nie czuła nic. Mężczyźni byli wszyscy jednakowi, nie myśleli o niczym. Pędzili tylko na oslep, jakby byli raketami<sup>33</sup>, i spodziewali się po każdym, że się da porwać w niebo razem z ich cienkimi patyczkami.

<sup>33</sup>jakby byli raketami — w oryg. *squibs*: petardami. [przypis edytorski]

— Ale ja jestem już przecież zamężna — rzekła. — Nie mogę opuścić Clifforda. Wiesz przecież.

— Dlaczego? Dlaczego nie możesz? — zawołał Michaelis. — Po sześciu miesiącach nie będzie wcale wiedział, że cię nie ma. On nie wie, że istnieje jeszcze ktoś prócz niego. Ten człowiek, o ile widzę, nie wie w ogóle, co z tobą począć; jest zupełnie zaabsorbowany sobą samym.

Connie czuła, że w słowach tych była prawda. Ale czuła też, że to, co robił Mick, bynajmniej nie mogło uchodzić za przejaw bezinteresowności.

— Czyż nie wszyscy mężczyźni są zaabsorbowani sobą? — zapytała.

— O, mniej więcej, przynajmniej. Dla mężczyzny to rzecz konieczna, żeby się przebić przez życie. Ale nie o to idzie. Idzie o to, co mężczyzna może zaoferować kobiecie. Czy może jej dać dobre życie czy nie? Jeżeli nie, nie ma do kobiety prawa... — Urwał i spojrzał na nią niemal hipnotycznie okrągłymi, brunatnymi oczyma. — Otóż, jestem zdania — dodał — że potrafię zaoferować kobiecie najlepsze życie, jakiego może zapragnąć. Sądzę, że mogę za siebie ręczyć.

— A jaki to rodzaj dobrego życia? — zapytała Connie, patrząc na niego ciągle z jakimś zdziwieniem, które sprawiało wrażenie zachwyty; a przy tym ciągle jeszcze nie czuła nic.

— Wszelki rodzaj dobrego życia, do licha, wszelki rodzaj! Stroje, klejnoty do pewnych granic, nocne lokale, ile zapragniesz, poznawanie każdego człowieka, którego poznać zechcesz, udział we wszystkim... podróże, odgrywanie jakiejś roli, gdziekolwiek przyjdiesz... Do licha, wszelki rodzaj dobrego życia.

Mówił z błyskotliwym triumfem, a Connie spoglądała na niego zmieszana i naprawdę nie czuła nic. Zaledwie powierzchnia jej duszy została podrażniona pociągającymi widokami, jakie jej ofiarowywał. Zaledwie jej najzewnętrniejsze „ja”, które kiedykolwiek indziej byłoby zadrżało z zachwyty, odpowiadało na to. Nie budziło się w niej najmniejsze uczucie, nie mogła „szaleć”. Siedziała po prostu na miejscu, utkwivszy wzrok przed siebie, patrzyła i nie czuła nic, jedynie dochodziła ją skądś niezwykle niemiła woń psiej bogini.

Mick siedział jak na szpilkach, przechylony na krześle, wlepiając w nią wzrok niemal histerycznie: trudno było zdecydować, czy z próżności oczekiwał jej „tak”, czy też przejęty był lękiem, obawą, że ona mogłaby powiedzieć „tak”!

— Muszę się nad tym zastanowić — rzekła Connie. — Teraz nie mogę ci nic powiedzieć. Może wydaje się, jakoby Clifford nie wchodził w rachubę, ale on wchodzi w rachubę. Jeżeli się zastanowisz, jaki on jest bezradny...

— A, do licha! Jeżeli człowiek ma ciągnąć korzyści ze swojej bezradności, mógłbym ci zacząć opowiadać, jaki ja jestem samotny, i zawsze byłem, i te wszystkie inne brednie o męczarniach duchowych! Do licha! Jeżeli mężczyzna działa pociągająco tylko przez swoją ułomność...

Odwrócił się, a ręce jego, ukryte w kieszeniach spodni, drżały z wściekłości. Tego wieczora powiedział do niej:

— Przyjdiesz do mnie dzisiaj w nocy, prawda? Nie wiem przecież nawet, gdzie jest twój pokój.

— Dobrze — odpowiedziała Connie.

Tej nocy był jako kochanek bardziej podekscytowany, ze swą dziwną, kruchą nagością małego chłopca. Connie nie mogła osiągnąć szczytowania, zanim on nie skończył swojego. I wzbudził w niej pewną pożądliwą namietność przez tę chłopięcą nagość i kruchość; gdy już skończył, musiała kontynuować, jej lędźwie unosiły się w dzikiej galopadzie, podczas gdy on bohatercko podtrzymywał się, obecny w niej, z całą wolą i ofiarnością, aż sama doprowadziła do swojego orgazmu, wydając dziwne, drobne okrzyki.

Kiedy w końcu odsunął się od niej, powiedział gorzkim, niemal szyderczym głosem:

— Nie mogłaś dojść w tym samym czasie, co mężczyzna, prawda? Musiałaś się wyrwać! Musiałaś przejąć show!

Ta krótka przemowa, w takiej chwili, była jednym z szoków jej życia. Ponieważ ów bierny rodzaj oddawania siebie był ewidentnie jego jedynym prawdziwym sposobem obcowania.

— O co ci chodzi? — spytała.

— Wiesz, o co mi chodzi. Ty kontynuujesz godzinami, kiedy ja już skończyłem... a ja muszę trzymać się zębami, dopóki nie dojdiesz dzięki własnym wysiłkom.

Była oszołomiona tą niespodziewaną brutalnością właśnie w chwili, gdy ona promieniała przyjemnością wykraczającą poza słowa i rodzajem miłości do niego. Bo przecież, jak wielu współczesnych mężczyzn, skończył, niemal zanim zaczął. I to zmusiło kobietę do działania.

— Ale chcesz chyba, żebym kontynuowała, żeby też osiągnąć satysfakcję? — zapytała.

Zaśmiał się ponuro:

— Czy chcę tego! — powiedział. — To dobre! Chcę trzymać się z zaciśniętymi zębami, podczas gdy ty będziesz mnie atakować!

— Więc nie chcesz?

Pominął to pytanie.

— Wszystkie cholerne kobiety są takie — powiedział. — Albo wcale nie odchodzą, jakby były tam martwe... albo czekają, aż facet już skończy, i dopiero potem zaczyna je naprawdę brać, a facet musi się trzymać. Nigdy jeszcze nie miałem kobiety, która doszła dokładnie w tym samym momencie co ja.

Connie tylko w połowie usłyszała ten kawałek opowieści, męskie wyznanie. Była oszołomiona tylko jego wrogim nastawieniem wobec niej... jego niepojętą brutalnością. Czuli się zupełnie niewinna.

— Ale chcesz przecież, żebym i ja miała swoje zaspokojenie? — zapytała.

— O, owszem! Nie mam nic przeciwko temu. Ale niech mnie licho porwie, jeżeli to przyjemność dla mężczyzny, trwać tak i czekać, aż kobieta...

Słowa te były decydującym ciosem dla życia Connie. Zabiły w niej coś. Nie zależało jej wcale tak bardzo na Michaelisie. Zanim się zaczął ich stosunek, nie pragnęła go wcale. Miała wrażenie, jakby go nigdy zdecydowanie nie pragnęła. Ale z chwilą, gdy ją do tego doprowadził, uważała za naturalne, że i ona powinna z nim przeżywać własny orgazm. Niemal kochała go za to... tej nocy niemal kochała Michaelisa i chciała za niego wyjść.

Może on wiedział o tym instynktownie i dlatego musiał to wszystko zburzyć jak domek z kart gwałtowną sceną. Całe jej uczucie płciowe dla niego czy dla jakiegokolwiek mężczyzny załamało się tej nocy. Życie jej tak zupełnie oderwało się od jego życia, jakby Michaelis nigdy nie istniał.

Posepnie mijaly jej dni. Teraz nie miała już nic poza pustym kieratem tego, co Clifford nazywał uzupełniającym się wzajemnie życiem, poza owym długim współżyciem dwojga ludzi, którzy nabrali przyzwyczajenia przebywania w tym samym domu.

Nicość! Pogodzić się z wielką nicością życia — to wydawało się jedynym celem życia. Tyle absorbujących i ważnych, drobnych spraw, które dawały wielką łączną sumę nicości!

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

— Dlaczego mężczyźni i kobiety nie lubią się dzisiaj prawdziwie? — zapytała Connie Tommy'ego Duke'sa, który był mniej lub więcej jej wyrocznią.

— O, przecież się lubią! Sądzę, że odkąd wynaleziony został gatunek człowieka, nie było nigdy okresu, w którym kobiety i mężczyźni lubiliby się tak bardzo, jak obecnie. Prawdziwa sympatia! Ja sam chociażby... Naprawdę lubię kobiety bardziej niż mężczyzn. Są odważniejsze, można być z nimi szczerym.

Connie zastanowiła się nad jego słowami.

— Ach, tak, ale pan nigdy z nimi nie ma do czynienia! — rzekła.

— Ja? A cóż teraz robię? Przecież właśnie rozmawiam niezmiernie poważnie z kobietą!

— Tak, rozmawia pan...

— A cóż więcej mógłbym robić, gdyby pani była mężczyzną, jak tylko rozmawiać z panią zupełnie uczciwie?

— Może nic. Ale kobieta...

— Kobieta chce, aby ją lubić i rozmawiać z nią, a zarazem, aby ją kochać i pożądać jej. Mnie zaś wydaje się, że dwie te rzeczy wyłączają się nawzajem.

— Ale nie powinny się wyłączać!

Seks, Miłość, Kobieta,  
Mężczyzna

— Bez wątpienia, woda nie powinna być tak mokra, jak jest; przesadza w swojej wilgoci. Ale tak już jest. Lubię kobiety i chętnie z nimi rozmawiam. I dlatego nie Kocham ich ani nie pożądam. Te dwie rzeczy nie dzieją się we mnie jednocześnie.

— Uważam, że powinny się dzieć jednocześnie.

— Doskonale. Fakt, że rzeczy powinny być inne, niż są, nie należy do mojej specjalności.

Connie zastanowiła się nad tym.

— To nieprawda — rzekła. — Mężczyźni mogą kochać kobiety i rozmawiać z nimi. Nie pojmuję, jak mogą je kochać i nie rozmawiać z nimi po przyjacielsku i poufnie.

— Ba — odpowiedział Tommy. — Nie wiem. Jaki cel ma moje uogólnianie? Znam tylko swój własny przypadek. Ja kobiety lubię, ale ich nie pożądam. Chętnie z nimi rozmawiam, a rozmawianie z nimi powoduje co prawda między nami zażyłość, ale przenosi mnie na inny biegun, niżeli dziedzina całowania. Oto wszystko! Ale niechaj mnie pani nie traktuje jako przykładu ogólnego. Prawdopodobnie jestem przypadkiem specjalnym. Jednym z owych mężczyzn, którzy lubią kobiety, ale ich nie Kochają, którzy ich wręcz nienawidzą, gdy ich zmuszają do udawania miłości albo przybierania wyglądu zdobytych.

— Ale czy to pana nie martwi?

— Dlaczego miałbym się tym martwić? Bynajmniej! Przyglądam się Charliemu Mayowi i innym mężczyznom, którzy miewają miłostki... Nie, nie zazdrozczę im wcale! Gdyby los zesłał mi kobietę, którą bym pragnął posiadać: doskonale, ale że nie znam kobiety, którą bym chciał posiadać, i nie widzę takiej nigdzie... Ba, prawdopodobnie jestem zimny, ale naprawdę niektóre kobiety *lubię szczerze*.

— Czy mnie pan lubi?

— Nawet bardzo! I widzi pani, między nami nie istnieje w ogóle kwestia pocałunków, prawda?

— Nie, zupełnie — odpowiedziała Connie. — Ale czy nie powinna istnieć?

— *Dlaczego*, na Boga! Bardzo lubię Clifforda, ale coby pani powiedziała, gdybym podszedł do niego i pocałował go?

— Czy tu nie ma żadnej różnicy?

— Na czym ona polega w naszym przypadku? Wszyscy jesteśmy ludźmi inteligentnymi, a męskość i kobiecość jest na uboczu. Po prostu na uboczu. Czy byłaby pani zadowolona, gdybym zaczął w tej chwili zachowywać się jak kontynentalny samczyk i stosować swój seksualizm?

— Uważałabym to za wstrętne.

— No więc! Powiadam pani, że jeżeli w ogóle jestem samcem, to nie spotykam nigdy samiczki mego gatunku. I nie odczuwam jej braku. Po prostu tylko lubię kobiety. Kto może mnie zmusić, żeby je kochać lub udawać, jakobym je kochał, kto może mnie zmusić do stosowania mego seksualizmu?

— Nie, ja na pewno nie. Ale coś tu jeszcze jest nie w porządku.

— Pani to tak odczuwa. Ja nie.

— Tak, czuję, że między mężczyznami a kobietami coś jeszcze jest nie w porządku. Kobieta nie posiada już dla mężczyzny uroku.

— A czy posiada go mężczyzna dla kobiety?

Connie zastanowiła się nad drugą stroną kwestii.

— Niewiele — odpowiedziała szczerze.

— W takim razie pozostawmy sprawy ich biegowi i obcujmy lepiej z sobą przyzwyczajenie i z prostotą, jak prawdziwi ludzie. Diabli niech porwą sztuczny przymus płciowy! Wyrzekam się go!

Connie wiedziała, że właściwie miał rację. Ale budziło w niej to uczucie takiego osamotnienia, takiego osamotnienia i zbłąkania. Czula się jak kawałek drzewa na mętnym stawie. Jaki sens miała ona albo cokolwiek na świecie?

To młodość jej tak się burzyła. Ci mężczyźni wydawali się tak starzy i zimni. Wszystko wydawało się stare i zimne. A Michaelis zawiódł ją; był do niczego. Mężczyźni nie pragnęli kobiety; po prostu nie chcieli naprawdę posiadać kobiety. Nawet Michaelis.

A fircykowie, którzy udawali tylko i rozpoczynali grę płciową, byli najgorsi.

Było to smutne, ale trzeba się z tym było pogodzić. To prawda: mężczyźni nie posiadali dla kobiet istotnego uroku. Kiedy sobie kobieta zdołała wmówić, że go posiadają, jak

to ona uczyniła w stosunku do Michaelisa, to robiła jeszcze rzecz najrozsądniejszą, jaką zrobić mogła. Tymczasem żyło się po prostu i niepodobna było tego zmienić. Connie rozumiała doskonale, dlaczego ludzie pili cocktail, słuchali jazzu i do upadłego tańczyli charlestona. Młodość musiała się na tej czy na innej drodze wyszumieć, inaczej pożarłaby człowieka. Ale jakże ohydną rzeczą była ta młodość! Człowiek czuł się stary jak Matuzalem, a ta młodość świerzbiła go tymczasem i nie pozwalała mu żyć w spokojnych wygodach. Wstrętne życie! I bez żadnych widoków! Pragnęła już niemal uciec z Mikiem i uczynić ze swego życia jedną długą zabawę wieczorową z cocktailem i jazzem. Byłoby to w każdym razie lepsze, niż po prostu wpędzać się do grobu głupimi, tęsknymi marzeniami.

Podczas jednego ze swoich niedobrych dni wyszła sama i przechadzała się po lesie zamysłona, nie zwracając na nic uwagi, nie wiedząc nawet, gdzie się znajduje. Odgłos wystrzału w niewielkiej odległości przeraził ją i rozgniewał.

Po chwili, idąc dalej, usłyszała głosy i cofnęła się. Ludzie! Nie chciała widzieć ludzi. Ale bystry jej słuch pochwycił jeszcze inny dźwięk, który zbudził jej ciekawość; był to płacz dziecka. Natychmiast ogarnęła ją troska; ktoś obchodził się źle z dzieckiem. Szybko ruszyła przez wilgotną ścieżkę leśną; budziła się w niej głucha niechęć. Czuli się właśnie w odpowiednim nastroju, aby urządzić scenę.

Minąwszy zakręt, ujrzała przed sobą dwie postacie stojące na drodze: leśniczego i małą dziewczynkę w czerwonym płaszczku i kreciej czapeczce. Dziewczynka płakała.

— Przystaniesz buceć, ty diosecki skrzocie! — usłyszała gniewny głos mężczyzny, a dziecko poczęło płakać głośniej.

Constance zbliżyła się z płonącymi oczyma. Leśniczy odwrócił się i spojrzął na nią, uklonił się chłodno, ale był błądny z gniewu.

— Co się stało? Dlaczego ona płacze? — zapytała Constance tonem rozkazującym, ale prawie bez tchu.

Lekki uśmiech, niby szydercze skrzywienie, zjawił się na twarzy mężczyzny.

— No, to się już jom samom niech zapytajom, panucho — odpowiedział gruboskórnym, posługując się dialektem.

Connie miała wrażenie, jakby ją uderzył w twarz. Poczzerwiała. Potem skupiła siły i spojrziała na niego ciemnoniebieskimi oczyma, płonącymi trochę niepewnie.

— Ale ja *pana* pytałam — odparła.

Leśniczy wykonał dziwny, lekki ukłon i zdjął kapelusz.

— Tak jest, proszę jasnie pani — rzekł, a potem, powracając do dialektu. — Jo im tego, panucho, pedzieć nie moga.

I stał się cały żołnierzem, niezbadanym i tylko trochę bladym z gniewu.

Connie zwróciła się do dziecka, krępej, ciemnowłosej dziewczynki w wieku dziesięciu lub dziesięciu lat.

— Co ci się stało, maleńka? Powiedz mi, dlaczego płaczesz! — zapytała z konwencjonalną słodyczą w głosie.

Jeszcze gwałtowniejszy, świadomy celu płacz. Jeszcze więcej słodyczy ze strony Connie.

— Ależ, ależ, nie płaczże już. Powiedz mi, co ci uczyniono!...

Podkreślona czułość w głosie. Jednocześnie sięgnęła do kieszeni żakietu i na szczęście znalazła sześciopensową monetę.

— Nie płacz już! — powiedziała i pochyliła się nad dzieckiem. — Patrz, co dla ciebie mam!

Jeszcze kilka łkań, krótki szloch, piąstka odrywa się od twarzy, czarne, przebiegłe oczko rzuca szybkie spojrzenie na monetę. Potem znowu szloch, ale już słabszy.

— No, no, powiedz mi, co ci się stało, powiedz!

Connie wcisnęła monetę do brudnej rączki dziecka, która zacisnęła się natychmiast dookoła sześciopensówki.

— To bez... bez... kocika.

Dreszcz przemijającego łkania.

— Jakiego kocika, moje dziecko?

Po chwili milczenia lękliwa rączka, zacisnięta wokół monety, wskazuje w stronę krzaków jeżyny.

— Hań!

Connie spojrzała w tym kierunku i rzeczywiście leżał tam wielki, czarny kot, ohydnie rozciągnięty, z odrobiną krwi na futrze.

— O! — zawołała Connie z odrazą.

— Robsik<sup>34</sup>, jasno panucho — rzekł leśniczy drwiąco.

Connie rzuciła na niego gniewne spojrzenie.

— Nic dziwnego, że mała płacze — powiedziała — jeżeli zastrzelił go pan w jej obecności. Nic dziwnego, że płacze!

Leśniczy spojrział w oczy Connie lakonicznie, pogarliwie, nie ukrywając swoich uczuć. Connie zaczerwieniła się znowu; czuła, że urządziła scenę, dla której ten człowiek nie żywił szacunku.

— Jak się nazywasz, mała? — zapytała dziecka czule. — Powiesz mi swoje nazwisko? Znowu szloch; potem ostentacyjnie, piskliwym głosikiem:

— Connie Mellors.

— Connie Mellors! Ach, co za piękne nazwisko! I przyszedł tutaj z tatusiem, a on zastrzelił kotka? Ale to był zły kot!

Dziecko spojrzało na nią odważnymi, ciemnymi, badawczymi oczyma, szacując ją i jej współczucie.

— Chciałach zostać u starki<sup>35</sup> — rzekła dziewczynka.

— Tak? A gdzie jest twoja babcia?

Dziecko uniosło ramię i wskazało wzdłuż drogi.

— Hań, w doma.

— W domu! A chciałabyś wrócić do niej?

Znowu nagle drganie, niby wspomnienie poprzedniego płaczu.

— Dyc!

— Więc chodź! Zaprowadzić cię? Mam cię zaprowadzić do babci? A tatuś niech tu sobie robi, co chce. — Zwróciła się do leśniczego. — To pańska córeczka, prawda?

Leśniczy uniosł rękę do kapelusza i wykonał lekki, potakujący ruch głowy.

— Mogę ją chyba odprowadzić do domu? — zapytała Connie.

— Jak sobie jaśnie pani życzy.

Znowu spojrział jej w oczy owym spokojnym, badawczym, chłodnym wzrokiem. Człowiek, który był bardzo samotny i zupełnie zdany na siebie.

— Chcesz pójść ze mną do domu, do babci?

Dziecko podniosło znowu wzrok.

— Dyc! — zapiszczało.

Connie nie podobała się ta skrzywiona, fałszywa kobietka. Otarła jej jednak twarzyczkę i ujęła ją za rękę. Leśniczy uklonił się w milczeniu.

— Do widzenia — rzekła Connie.

Do domu była prawie mila i Connie starsza była już dość znudzona Connie młodszą, gdy ukazało się wreszcie niewielkie, malownicze osiedle leśniczego. Dziecko było rozkapryszone jak mała małpka i niezmiernie zarozumiałe.

Drzwi leśniczówki stały otworem, z izby dochodziło stukanie. Connie zatrzymała się przed domem, dziecko wyrwało jej rączkę i wbiegło do środka.

— Starko! Starko!

— Cego to? Zaś eś sam?

Babka uczerniła właśnie świeżo kotlinę<sup>36</sup>, gdyż było to sobotnie przedpołudnie. Po-deszła do drzwi w zwisającym luźno fartuchu, ze szczotką w ręku, z czarnym pasmem sadzy koło nosa. Była to maleńka, chuda jak deska kobieta.

— No, co to zaś takiego? — zawołała, widząc Connie za drzwiami, i szybko otarła twarz rękawem.

— Dzień dobry! — rzekła Connie. — Mała płakała, więc przyprowadziłam ją do domu.

Babka spojrzała szybko na dziecko.

<sup>34</sup>*robsik* — rabuś, kłusownik. [przypis tłumacza]

<sup>35</sup>*starka* — babka. [przypis tłumacza]

<sup>36</sup>*kotlina* — tu: wnętrze pieca. [przypis edytorski]

— A kaj tatulek?

Mała uczepliła się spódnicy babci i zalewała się łzami.

— Był w lesie — wyjaśniła Connie — ale zastrzelił kłusującego kota, co bardzo wystraszyło małą.

— Maryjko święta, a to zaś co? Nie gańba cie tropić jasno panuchne, co? Dyc to doprowdy bardzo pieknie z jeich strony, jasno panuchno, ale nie potrzebowali sie przeca sami tropić. Ludkowie złoci, cy to wto coś takiego widziol?

I staruszka zwróciła się znowu do wnuczki:

— Dziwej sie, wiela utropy narobili se panuchna lo ciebie! Wierza sie bardzo umęcylu, jasno panuchno?

— To nic męczącego, to tylko spacer — rzekła Connie z uśmiechem.

— Doprowdy, to za mocno łaski z jeich strony, jasno panuchno. A podziękowałaś to aby? Joch razym wiedziła, iże sie cosik zrobi, jak z śnim pódzie. Łona sie go boi, ło to jeny chodzi. Łon jes lo niej jak cudzy, blank jak cudzy. Joch se tyż myśla, że łoni łoba nieprendko sie ze sobom zżyjom. Łon ma takie jakieś dziwne manierey.

Connie nie wiedziła, co powiedzieć.

— Dziwejcie sie, starko! — zaszcebiotało dziecko.

Staruszka spojrzła na sześciopensówkę w lewej ręce dziewczynki.

— Sześć pientoków! Nie, jasno panuchno, tego przeca nie muszom robić, tego przeca nie muszom robić. Panuchna Chatterley som lo ciebie za dobrzi! Sprawiedliwie, to dziolszysko mo szczęście!

Wymawiała to nazwisko, jak wszyscy ludzie we wsi: Czatli. „Panuchna Czatli som lo ciebie za dobrzi!” — Connie nie mogła się powstrzymać, musiała spojrzeć znowu na nos staruszki, która raz po raz przejeżdżała ręką po twarzy, ale nie trafiała na smugę sadzy.

Connie skierowała się do odejścia.

— Dzieńkuja im pieknie, panuchno Czatli, bardzo pieknie im dzieńkuja. Podziękuj zys jasnej panuchnie! — rozkazała staruszka dziecku.

— Dzieńkuja... — pisała mała.

— Ślicznie! — uśmiechnęła się Connie i rzuciwszy jeszcze „do widzenia”, oddaliła się, rada szczerze, że jest znowu wolna. „To dziwne — pomyślała — że ten wysmukły, dumny mężczyzna miał za matkę tę małą, szorstką kobietę!”

Zaś stara kobieta, gdy tylko Connie odeszła, pobięła szybko do lusterka w kuchni i obejrzała sobie twarz. Kiedy ujrzła swój obraz, tupnęła nogą ze złości.

— Prawie w tej usmolonej zapasce i z tom cornom gembom musiała mie zastać. Co se terozki ło mnie bydzie myśleć!

Connie powracała powoli do domu, do Wragby. „Dom!”... to było zbyt ciepłe słowo dla tej wielkiej, niesympatycznej budowli. Ale było to ostatecznie słowo, którego chwila już minęła. Było ono niejako wymazane. Wszystkie te wielkie słowa, tak się Connie wydawało, wymazane były dla jej pokolenia: miłość, radość, szczęście, dom, matka, ojciec, mąż, wszystkie te wielkie, dynamiczne słowa były teraz na wpół umarłe i z dnia na dzień zamierały coraz bardziej. Dom był miejscem, w którym się mieszkało, miłość — rzeczą, dla której nie warto było wystawiać się na śmieszność, radość — wyrazem, który się stosowało do dobrego charlestona, szczęście — obłudnym wyrażeniem, aby zamydlić oczy innym ludziom, ojciec — odrębną istotą, która wiodła własny żywot, mąż — mężczyzną, z którym się żyło i którego utrzymywało się w dobrym humorze. A płęć, ostatnie z wielkich słów, to był po prostu cocktail, wyraz oznaczający podniętę, która na chwilę pobudzała człowieka; a potem pozostawiała go jeszcze bardziej zużytym. Zużyty! Miało się wrażenie, jakby nawet materia, z jakiej się było stworzonym, była tanią materia, która się strzepiła i z której w końcu nic nie pozostawało.

I istotnie nie pozostawało nic poza załęcznionym stoicyzmem; była w tym jakaś przyjemność. W samym przeżywaniu nicości życia, szczebel po szczeblu, stopień po stopniu było jakieś okrutne zadośćuczynienie. Więc to było to! Zawsze to było ostatnie słowo: dom, miłość, małżeństwo. Michaelis: Więc to było *to!* A gdy się będzie umierało, ostatnie słowa, skierowane do życia, będą: Więc to było *to!*...

Pieniądze? O nich nie można było może powiedzieć tego samego. Pieniądzy potrzebowało się stale. Pieniądze, powodzenie, psia bogini, jak Tommy Dukes nazywał ją upo-

rczywie za przykładem Henry'ego Jamesa<sup>37</sup> — to były trwałe konieczności. Nie można było wydać ostatniego grosza, a w końcu powiedzieć sobie: Więc to było *to!* Nie, jeśli się miało żyć jeszcze chociażby tylko dziesięć minut, trzeba było mieć pieniądze na to i na owo. Już dla samego wprawienia mechanizmu w ruch potrzebowało się pieniędzy. Trzeba je było mieć. Pieniądze *trzeba* było mieć. Niczego innego w istocie się nie potrzebowało. Więc to było *to!*

Oczywiście nie jest twoim błędem, że żyjesz. Ale jeżeli żyjesz, pieniądze są ci konieczne, jest to jedyna nieodzowna konieczność. Bez wszelkich innych rzeczy można się w razie potrzeby obyć. Ale nie bez pieniędzy. Istotnie: Więc to jest *to!*

Pomyślała o Michaelisie i o pieniądzach, jakie by z nim miała; ale i tego nie chciała. Woląla skromną sumę, jaką Clifford zarabiał przy jej pomocy pisarstwem. Rzeczywiście przy jej pomocy. „Clifford i ja zarabiamy swoim pisaniem tysiąc dwieście funtów rocznie”; tak to w duchu wyrażała. Zarabiać pieniądze! Zarabiać! Z niczego! Łapać je z powietrza! Jedyny czyn, z którego mógł być człowiek dumny! Reszta to przesada.

Z takimi myślami szła naprzód, do domu, do Clifforda, aby znowu usiąść z nim razem i stworzyć jeszcze jedną nowelę z niczego: a nowela to były pieniądze. Cliffordowi najwidoczniej zależało bardzo na tym, czy się uważało jego opowiadania za pierwszorzędną literaturę czy nie. Jej było to, ściśle biorąc, obojętne. „Nic w tym nie ma!” — mówił jej ojciec. „Tysiąc dwieście funtów rocznie!” — brzmiała prosta i rozstrzygająca odpowiedź.

Jeśli człowiek był młody — zagryzał zęby, brał się do roboty i dopinał tego, że pieniądze zaczynały płynąć z niewidzialnego źródła; była to kwestia siły. Była to kwestia woli; subtelne, subtelne, ale silne promieniowanie woli z własnej jaźni przynosiło człowiekowi tajemniczą nicość pieniądza: słowo na kawałku papieru. Był to rodzaj magii i bez wątpienia było to triumfem. Psia bogini! Dobrze, jeśli już trzeba się było prostytuować, to niechaj to będzie psia bogini; można nią było zawsze gardzić, nawet prostytuując się z nią, i tak było dobrze.

Clifford posiadał oczywiście jeszcze wiele innych dziecięcych tabu i fetyszów. Chciał uchodzić za pisarza „naprawdę dobrego”, a to były bzdury. Naprawdę dobre było to, co się udawało. Na nic się nie zda pisać naprawdę dobrze i siedzieć z tym na lodzie. Ludzie, którzy byli czymś „naprawdę dobrym”, właśnie nie potrafili złapać w porę autobusu. Ostatecznie żyło się tylko raz, a kto spóźnił się do autobusu, pozostawał po prostu na chodniku, razem z innymi ludźmi, którzy nie potrafili niczego dopiąć.

Connie myślała o tym, aby spędzić zimę z Cliffordem w Londynie, najbliższą zimę. Oni oboje zdążyli w samą porę na autobus, mogli więc jechać przez pewien czas na pomoście i pokazać się.

Najgorsze było, że Clifford skłaniał się do tego, aby być niewyraźnym i nieprzytomnym, a chwilami popadał w puste przygnębienie. Były to przejawy owej rany w jego psyche. Ale na Connie oddziaływało to w ten sposób, że niekiedy miała ochotę krzyczeć. O Boże, jeśli sam mechanizm świadomości doznawał zakłóceń, cóż człowiekowi pozostawało! Do licha, robiło się swoje! Czyż było się zupełnie bezsilnym?

Niekiedy płakała gorzko, ale płacząc powiadała sobie: „Głuptasie, moczysz tylko chusteczki, jakby ci to mogło pomóc!”

Od czasów Michaelisa postanowiła nie pragnąć niczego więcej. Wydawało się to jej najprostszym rozwiązaniem nierozwiązalnej sytuacji. Nie pragnęła niczego więcej, niżeli posiadała. Chciała tylko ułożyć sobie życie z tym, co posiadała. Clifford, nowele, Wragby, żywot Lady Chatterley, pieniądze i sława, tyle tego było... z tym wszystkim chciała sobie ułożyć życie. Miłość, płęć, wszystkie te głupstwa — to po prostu lodowaty cukier! Poliz go i zapomnij o nim! Jeśli się nie przywiązywało do tego w duchu wagi, było to niczym. Zwłaszcza płęć... była niczym! Wystarczy się na to raz zdecydować, a zagadnienie będzie rozwiązane. Rozkosz płciowa i cocktail: obydwie trwały mniej więcej jednakowo długo, wywierały taki sam skutek i mniej więcej sprowadzały się do tego samego.

Ale dziecko, bobasek! To jednak dawało jakieś uczucia. Postanowiła traktować tę sprawę bardzo ostrożnie. Trzeba się było przede wszystkim zastanowić co do mężczyzny. I rzecz dziwna: na całym świecie nie było mężczyzny, z którym pragnęłaby mieć dzieci. Dzieci Micka! Obrzydliwa myśl! Z równą przyjemnością mogłaby mieć dzieci z króli-

Sława, Literat

Kobieta, Seks, Dziecko

<sup>37</sup>James, Henry (1843–1916) — amerykańsko-brytyjski pisarz, krytyk i teoretyk literatury. [przypis edytorski]



kiem. Tommy Dukes?... Był bardzo miły, a jednak niepodobna było wyobrazić go sobie w związku z noworodkiem, z innym pokoleniem. Kończył się na sobie. A wśród wszystkich pozostałych, tak rozległych znajomości Clifforda nie było ani jednego mężczyzny, który by nie budził jej odrazy na myśl, że mogłaby z nim mieć dziecko. Wielu było, którzy doskonale nadawaliby się na kochanków, nawet Mick. Ale mieć z nimi dziecko! Brrr! Poniżające i ohydne!

Więc to było to!

Tym niemniej Connie nie przestawała myśleć o dziecku. Cierpliwości! Cierpliwości! Przesieje całe pokolenie mężczyzn i przekona się, czy nie znajdzie się wśród nich choćby jeden, który by się nadawał. „Idźcie na ulice i w zaułki Jerozolimy i patrzcie, czy znajdziecie męża<sup>38</sup>”. Niemożliwością było znaleźć męża w Jerozolimie proroka, chociaż były tam tysiące mieszkańców płci męskiej. Ale mężczyzna! *C'est une autre chose!*<sup>39</sup>

Miała wrażenie, że musi to być cudzoziemiec. Nie Anglik, a tym mniej Irlandczyk. Prawdziwy cudzoziemiec.

Ale cierpliwości! cierpliwości! Najbliższej zimy zawiezie Clifforda do Londynu; następnej nakłoni go do wyjazdu zagranicę, do południowej Francji, do Włoch. Cierpliwości! Nie śpieszyło się jej z dzieckiem. Była to jej własna sprawa i jedyna sprawa, którą traktowała niezmiernie poważnie, w jakiś sobie tylko właściwy, dziwnie kobiecy sposób. Nie zaryzykuje tego z jakimś przypadkowo spotkanym człowiekiem, ona nie! Kochanka można sobie było wziąć każdej chwili, ale mężczyznę, z którym się chciało mieć dziecko... cierpliwości! cierpliwości! to zupełnie inna sprawa. „Idźcie na ulice i w zaułki Jerozolimy...” Nie była to kwestia miłości; szło tylko o *mężczyznę*. Ba, można by go nawet osobiście niemal nienawidzić. Ale jeśli był prawdziwy, cóż znaczyła osobista nienawiść? Szło tutaj o drugą część własnego „ja”.

Padało jak zwykle i drogi były zbyt rozmokłe, aby Clifford mógł wyjeżdżać w swoim fotelu. Connie chciała jednak spacerować. Wychodziła teraz codziennie sama, przeważnie do lasu, gdzie była naprawdę samotna. Tam nie widział jej nikt.

Tego jednak dnia Clifford chciał przesłać leśniczemu jakieś zlecenie, a że chłopiec stajenny zachorował na gripę — we Wragby zawsze ktoś chorował na gripę — Connie oznajmiła, że wstąpi do leśniczówki.

Powietrze było miękkie i martwe, jakby powoli obumierał cały świat. Wszystko szare, wilgotne i ciche, nikt nawet nie krzątał się przy kopalni, gdyż szyby pracowały teraz niepełny tydzień, a dzisiaj zupełnie nie pracowały. Kres wszystkiego!

W lesie panowała bezgraniczna nieruchomość, tylko wielkie krople spadały z nagich gałęzi, z głuchym, stłumionym dźwiękiem. Poza tym pośród szarych drzew była tylko szarzyzna, beznadziejne rozleniwienie, milczenie, pustka.

Connie szła naprzód nieświadomie. Ze starego lasu płynęła ku niej prastara melancholia, jakaś ulga, miłsza niż brutalna bezuczuciowość zewnętrznego świata. Lubiła to ucieleśnienie resztek dawnego boru, to bezsłowne milczenie starych drzew. Wydawały się one prawdziwą potęgą milczenia, a zarazem żywą obecnością. I one czekały: czekały uparcie, stoicko, rozsiewając potęgę milczenia. Może czekały tylko na kres: na ścięcie i wywiezienie, kres lasu, dla nich kres wszystkiego. Ale może ich surowe i arystokratyczne milczenie, milczenie silnych drzew, oznaczało coś innego.

Kiedy wyszła z lasu od północnej strony, leśniczówka, dość ciemny budynek ceglany ze szczytowym dachem i zgrabnym kominem, wydała się jej niezamieszkała, taka była cicha i samotna. Ale z komina unosiła się smuga dymu, a mały, ogrodzony ogródek przed domem był okopany i bardzo starannie utrzymany. Drzwi wejściowe były zamknięte.

Kiedy już tu była, uczuła lekką obawę przed tym mężczyzną o dziwnych, spoglądających w dal oczach. Nie było jej miło przynosić mu rozkazy, miała ochotę zawrócić. Zapukała cicho, nikt się nie zjawił. Zapukała ponownie, ale ciągle jeszcze nie głośno. Nie otrzymała odpowiedzi. Zajrzała przez okno i zobaczyła ciemny, niewielki pokój w ponurym niemal zamknięciu, jakby nie dopuszczał do siebie niczego.

Stała, nasłuchując, i wydało się jej, że słyszy szmery za domem. Ponieważ nie udało się jej zwrócić na siebie uwagi, uczuła się podrażniona i nie chciała się dać zwyciężyć.

<sup>38</sup>Idźcie na ulice i w zaułki Jerozolimy i patrzcie, czy znajdziecie męża — w oryg. „Go ye into the streets and byways of Jerusalem, and see if ye can find a man”, cytat z *Księgi Jeremiasza* (Jr 5,1). [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*C'est une autre chose* (fr.) — to inna sprawa. [przypis edytorski]

Obeszła więc dom dokoła. Z tyłu grunt opadał stromo, tak że podwórze leżało niżej i otoczone było niskim murem. Wyszła zza węgła domu i zatrzymała się. Na małym dziedzińcu, kilka kroków przed nią, stał nieświadomy jej obecności leśniczy i mył się. Był nagi do pasa, a aksamitne spodnie osunęły się nieco z jego smukłych bioder. Jego biały, wąski grzbiet pochylony był nad wielką miską mydlin, w których zanurzał głowę, potrząsając nią dziwnie drobnymi ruchami, unosił białe, szczupłe ramiona i wyciskał mydliny z uszu, zręczny, gibki jak łasica i zupełnie sam. Connie cofnęła się za węgiel domu i pobiegła w stronę lasu. Walczyła z sobą po doznanym wstrząsie. Ale ostatecznie był to tylko myjący się mężczyzna; rzecz zupełnie zwyczajna. Niebo świadkiem!

A jednak w jakimś dziwnym znaczeniu było to wizjonerskie przeżycie: przejęło ją do głębi. Widziała niezgrabne, krótkie spodnie zsuwające się po czystych, delikatnych, białych biodrach, na których trochę wystawały kości, a wrażenie samotności, wrażenie czystej i samotnej istoty przeniknęło ją na wskroś. Idealna biel samotnej nagości istoty, która żyła sama, wewnątrz także sama. A poza tym pewnego rodzaju piękność czystego stworzenia. Nie istota piękności, nawet nie ciało piękności, tylko jakieś promieniowanie, gorący, biały płomień jednego jedyne go życia, odsłaniający się w zarysach, których można było dotknąć: ciało!

Nagła przeraźliwość tej wizji przejęła Connie do głębi; wiedziała o tym; i teraz było to w niej. Ale w duchu miała ochotę ośmieszenia. Mężczyzna myjący się na tylnym podwórzu! I na domiar na pewno żółtym mydłem o złym zapachu! Była zła; dlaczego jej się przytrafiło, że natknęła się na tę wulgarną czynność.

Szła więc naprzód, ale po pewnym czasie usiadła na pniu. Była zbyt oszołomiona, aby myśleć. Ale mimo tej gmatwaniny oszołomienia była zdecydowana oznajmić temu człowiekowi o poleceniu, jakie dla niego miała. Nie pozwoli, aby jej coś przeszkodziło. Musi mu dać czas na ubranie się, ale nie dość czasu na wyjście z domu. Widocznie szykował się do wyjścia.

Zawróciła powoli, nadsluchując. Kiedy się zbliżyła, domek wyglądał zupełnie tak samo, jak przedtem. Pies zaszczekał, Connie zapukała do drzwi i nie mogła zapobiec temu, że serce jej biło mocno.

Usłyszała, jak mężczyzna schodził lekkimi krokami ze schodów. Szybko otworzył drzwi i przestraszył ją. On sam był trochę zakłopotany, ale natychmiast ukazał się na jego twarzy uśmiech.

— Lady Chatterley! — rzekł. — Może pani wejdzie?

Zachowanie jego było zupełnie swobodne i dobre. Connie przekroczyła próg i znalazła się w dość ponurym, małym pokoju.

— Wstąpiłam tylko z polecenia sir Clifforda — rzekła miękko, trochę zadyszany głosem.

Leśniczy spojrział na nią niebieskimi, wszystko widzącymi oczyma, co ją skłoniło do odwrócenia twarzy. Wydała mu się ładna, niemal piękna w tym zalęknieniu, natychmiast więc opanował sam sytuację.

— Może pani usiądzie? — zapytał w przypuszczeniu, że tego nie zrobi. Drzwi były otwarte.

— Nie, dziękuję. Sir Clifford chciał wiedzieć, czy pan... — i powtórzyła polecenie męża, patrząc mu nieświadomie w oczy. Teraz oczy jego spoglądały ciepło i łagodnie, zwłaszcza jak dla kobiety, cudownie ciepło i łagodnie, i swobodnie.

— Dobrze, proszę jaśnie pani. Zaraz to załatwię.

Z chwilą przyjęcia rozkazu całe jego zachowanie zmieniło się zupełnie, przybrało odcień oschłości i oddalenia. Connie zawahała się, powinna była odejść. Rozglądała się jednak po małym, czystym, ale dość ponurym pokoiku z pewnego rodzaju zalęknieniem.

— Mieszka pan tu zupełnie sam? — zapytała.

— Zupełnie sam, proszę jaśnie pani.

— A przecież matka pańska...?

— Matka mieszka we własnym domu we wsi.

— Z dzieckiem? — zapytała Connie.

— Z dzieckiem!

Jego prosta, wyniszczona twarz przybrała nieokreślony, uśmiechnięty wyraz. Była to twarz, która zawsze zmieniała się w oszołamiający sposób.

— Nie — powiedział, widząc, że Connie stała, nie rozumiejąc nic. — Matka moja przychodzi co sobotę i sprząta mi; resztę robię sam.

Connie spojrzała na niego znowu. Oczy jego znów się uśmiechały, nieco drwiąco, ale ciepło i niebiesko, i łagodnie zarazem. Dziwiła mu się. Był teraz ubrany w długie spodnie, flanelową koszulę i szary krawat, włosy miał miękkie i wilgotne, twarz bladą i wyniszczoną. Gdy oczy przestawały się uśmiechać, wyglądały, jakby wycierpiały wiele, nie utraciwszy jednak swego ciepła. Ale otaczał go jakiś nalot odosobnienia; Connie nie istniała dla niego realnie.

Chciała powiedzieć wiele rzeczy, ale nie powiedziała nic. Spojrzała tylko na niego i rzekła:

— Mam nadzieję, że panu nie przeszkodziłam?

Lekki, drwiący uśmiech zwięził jego oczy.

— Cesałem się tylko, za pozwoleniem jaśnie pani. Przepraszam, że jestem bez marynarki, ale nie wiedziałem, kto puka. Tutaj nikt nigdy nie puka. A to, co nieoczekiwane, brzmi zwykle złowieszczo.

Wyszedł przed nią na ścieżkę ogródka, aby jej otworzyć furtkę. Widząc go w koszuli, bez niezgrabnej marynarki aksamitnej, Connie zauważyła znowu, jaki był szczupły, jaki chudy i trochę zgarbiony. A jednak kiedy przechodził teraz obok niej, coś młodego i jasnego było w jego włosach i żywych oczach. Mógł mieć trzydzieści siedem lub osiem lat.

Skierowała się w stronę lasu, wiedząc, że on spogląda za nią; wbrew woli czuła się przez to stropiona.

A on, powróciwszy do pokoju, pomyślał: „Miła jest, prawdziwa jest! Milsza jest, niż sobie sama uświadamia”.

Connie była bardzo zdziwiona jego osobą. Wydawał się tak różny od zwykłego leśniczego, w każdym razie był zupełnie inny, niż bywają robotnicy, chociaż miał coś wspólnego z miejscowymi ludźmi. Ale było w nim też coś niezwykłego.

— Leśniczy Mellors jest dziwnym człowiekiem — rzekła do Clifforda. — Mógłby być niemal gentlemanem.

— Tak? — odpowiedział Clifford. — Nie zauważyłem.

— Czyż on nie ma w sobie czegoś osobliwego? — nastawała Connie.

— Zdaje się, że to przyzwoity chłopak, ale wiem o nim bardzo mało. Powrócił dopiero w zeszłym roku z wojska, nie ma jeszcze roku. Jeżeli się nie mylę, z Indii. Może podchwycił tam trochę manier, może był ordynansem oficerskim i poduczyl się na swoim stanowisku. Z niektórymi tak bywało. Ale to dla nich niedobrze; kiedy wracają do domu, muszą też wracać na swoje miejsce.

Connie spojrzała na Clifforda w zamyśleniu. Wyczuwała w nim jakąś osobliwą niechęć do każdego człowieka z niższej sfery, który mógłby się wybić, niechęć, którą знаła jako charakterystyczną dla ludzi jego typu.

— Nie sądzisz jednak, że jest w nim coś szczególnego? — zapytała.

— Szczerze mówiąc, nie! Przynajmniej ja nic nie zauważyłem.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem, nieswojo, na wpół podejrzliwie, a Connie czuła, że nie mówił prawdy; sam sobie prawdy nie mówił, o to właśnie szło. Nie mógł znieść napomknienia o rzeczywistej niezwykłości jakiegoś człowieka. Ludzie powinni stać w przybliżeniu na jego szczeblu albo niżej od niego.

Connie odczuła znowu, jak zaskorupiali, jak nieżyczliwi byli mężczyźni jej pokolenia, tacy byli zaskorupiali, tacy zastraszeni przez życie!

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Powróciwszy do swojej sypialni, Connie zrobiła rzecz, której już od dawna nie robiła: rozebrała się zupełnie i stanęła naga przed wielkim lustrem. Nie wiedziała, co chciała zobaczyć, nie wiedziała nawet dokładnie, co widziała, przesunęła jednak lampę, aż światło padło pełnym blaskiem na jej postać.

I pomyślała, o czym myślała tak często, jak ułomną, jak kruchą, jak wzruszającą rzeczą jest nagie ciało ludzkie; poniekąd rzeczą niewykończoną, niedoskonałą!

Pozycja społeczna

Uważała zawsze, że ma dość dobrą figurę, teraz jednak była niemodna: trochę za kobieca, nie dość podobna do chłopięcego młodzieńca. Była niezbyt wysoka, raczej nieco barczysta, o wiejskiej postawie; posiadała jednak jakąś płynną grację, która stanowiła trwałą ostoję jej urody. Skóra jej była nieco brunatna, członki odznaczały się spokojem, ciało jej miałoby jakąś bujną pełnię, ale brakło mu czegoś.

Zamiast rozwijać swoje mocne, spadające krzywizny, ciało jej zaczynało się stawać płaskie i trochę kanciaste. Miało się wrażenie, jakby nie posiadało ono dość słońca i ciepła; było trochę szare, bez soków.

Ciału temu, oszukanemu w jego prawdziwej kobiecości, nie udało się stać chłopięcym i bezcielesnym i przeźroczystym; przeciwnie, stało się nieprzejrzyste.

Piersi miała dość małe, w kształcie gruszek. Były jednak niedojrzałe, nieco cierpkie, i zwisały bez znaczenia. Zaś brzuch jej utracił ów świeży, okrągły blask, jaki posiadał, gdy Connie była młoda, za czasów jej niemieckiego chłopca, który naprawdę kochał ją fizycznie. Wówczas ciało jej było młode i wyczekujące, posiadało istotnie swój własny wygląd. Teraz stało się wątłe i płaskie, wprawdzie wysmuklejsze, ale była to wąta wysmukłość. Nawet uda jej, które połyskiwały tak zgrabnie i lśniąc w swojej kobiecej krągłości, nawet uda jej stały się jakby płaskie, wiotkie, bez znaczenia.

Ciało jej straciło znaczenie, stało się niepołyskliwe, nieprzejrzyste, niby kawałek bezużytecznej materii. Napawało ją to uczuciem bezgranicznego przygnębienia i beznadziejności. Jakaż istniała nadzieja? Była stara, stara mimo dwudziestu siedmiu lat, bez połysku, bez iskry w ciele. Stara wskutek zaniedbania i wyrzeczenia, tak, wyrzeczenia. Modne kobiety z największą troskliwością zachowywały swoje ciała w migotliwym blasku, niby delikatną porcelanę. W porcelanie nie było nic; ale ona nie połyskiwała nawet w ten sposób. Życie duchowe! Znienawdziła je nagle w rosnącej wściekłości, znienawdziła to oszustwo!

Spojrzała w drugie lustro, na odbicie swoich pleców, talii i bioder. Była szczuplejsza, ale nie było jej z tym dobrze. Kiedy się przechylała w tył, aby obserwować swoje ciało, fałda biodrowa na jej plecach miała w sobie coś znużonego; a niegdyś wyglądała tak wesoło! Podługowaty spad jej bioder i pośladka zatracił swój blask i wyrazistość. Minęło! Tylko chłopiec niemiecki kochał to wszystko, ale on nie żył od dziesięciu lat, prawie od dziesięciu. Jak ten czas mijał! Nie żył od dziesięciu lat, a ona miała teraz dwadzieścia siedem. Ów zdrowy chłopak o rześkiej, niezręcznej zmysłowości, która jej wydawała się tak godna pogardy! Gdzież znalazłaby dzisiaj taką zmysłowość? Mężczyźni utracili ją. Mężczyźni posiadali tylko wzruszające dwusekundowe spazmy, jak Michaelis; ale nie mieli już zdrowej, ludzkiej zmysłowości, która rozgrzewała krew i orzeźwiała całe jestestwo.

Ciągłe jeszcze — myślała — najpiękniejszy był w niej podługowaty spad bioder od punktu wgłębienia pleców i drzemiąca, cicha krągłość pośladka. Niby pagórki piaskowe, powiadali Arabowie, tak międko i podługowato opadające. Tutaj życie czekało jeszcze z nadzieją. Ale i tutaj stała się chudsza, zatraciła dojrzałość, skurczyła się.

Przednia jednak część ciała doprowadzała ją do rozpacz. Zaczynała się już stawać wiotka, w jakiejś wiotkiej szczupłości, niemal zwiędła, starzała się, zanim naprawdę zdążyła żyć. Pomyślała o dziecku, które może jednak będzie jeszcze kiedyś nosiła w łonie. Czy nadawała się w ogóle do tego?

Narzuciła koszulę nocną, a w łóżku łkała potem gorzko. W goryczy tej płonęło jakieś zimne oburzenie na Clifforda i jego pisaninę, i jego gadaninę, na wszystkich tych mężczyzn jego pokroju, którzy oszukiwali kobietę, pozbawiając ją nawet jej ciała.

Niesprawiedliwość! Niesprawiedliwość! Poczucie głębokiej, fizycznej niesprawiedliwości paliło jej duszę.

Rano wstała jednak o siódmej i zeszła do Clifforda. Musiała mu pomagać we wszystkich intymnych sprawach, gdyż nie miał służącego i nie chciał kobiecej obsługi. Mąż gospodyni, który znał go jeszcze jako chłopca, pomagał mu niekiedy i podnosił go, gdy zachodziła potrzeba; Connie jednak spełniała wszystkie postęgi osobiste, i spełniała je chętnie. Żądano od niej wiele, ale ona chciała czynić wszystko, co tylko mogła.

Nie opuszczała więc Wragby prawie nigdy, i nigdy na dłużej niż kilka dni, podczas których Cliffordem opiekował się mąż pani Betts, gospodyni. Jak się można było spo-

dziewać, z biegiem czasu począł Clifford uważać wszystkie te posługi z jej strony za rzecz naturalną. Nie było w tym nic dziwnego.

A jednak w Connie, w samej głębi jej duszy, płonąć zaczęło uczucie, że dzieje się jej krzywda, że została pod jakimś względem oszukana. Fizyczne uczucie doznawanej niesprawiedliwości jest uczuciem niebezpiecznym, kiedy się raz zbudzi. Musi ono znaleźć sobie ujście, w przeciwnym razie trawi człowieka, w którym się zbudziło. Nie można było ganić biednego Clifforda. Jego nieszczęście było większe. Wszystko to było częścią powszechnej katastrofy.

Ale czy jednak nie można go było pod pewnym względem ganić? Ten brak ciepła, ten brak prostego, ciepłego, fizycznego kontaktu... czy za to nie można go było ganić? Nigdy nie był naprawdę ciepły ani nawet życzliwy, zawsze tylko uprzejmy i wyrozumiały, w sposób taktowny i chłodny. Ale nigdy ciepły, jak ciepły mógł być mężczyzna w stosunku do kobiety, jak nawet ojciec Connie potrafił być wobec niej ciepły, ciepłem człowieka, który zawsze myślał tylko o sobie, i to zupełnie świadomie, ale mimo to potrafił jeszcze pocieszyć kobietę odrobiną swego męskiego żaru.

Clifford nie był taki. Cała jego rasa nie była taka. Wszyscy oni byli wewnętrznie twardzi i zamknięci, a ciepło było dla nich po prostu brakiem smaku. Należało przebijać się przez życie bez niego, bez niego bronić swego stanowiska; wszystko to było dobre, jeśli się należało do tej samej klasy i rasy. Wtedy można było zachowywać się chłodno, być poważnym, bronić swego stanowiska i mieć z tego satysfakcję. Ale jeśli się należało do innej klasy i do innej rasy, nie zdało się to na nic; nie było w tym nic miłego, aby tylko bronić swego stanowiska i czuć, że się należy do klasy panującej. Jakiż to miało sens, jeśli nawet najwytworniejsi arystokraci nie mieli do bronienia nic pozytywnie własnego, a panowanie ich było w rzeczywistości farsą, a nie panowaniem? Gdzież tu był sens? Był to zimny absurd.

Uczucie buntu żarzyło się w Connie. Jakiż cel miało to wszystko? Jaki cel miała jej ofiara? Jaki cel miało poświęcać życie Cliffordowi? Komuż tym ostatecznie służyła? Zimnemu duchowi próżności, nieznającemu gorących, ludzkich punktów styczności i tak zepsutemu w swoim pragnieniu prostytuowania się z psią boginią Powodzenia, jak pierwszy lepszy nisko urodzony Żyd. Nawet chłodna i powściągliwa pewność Clifforda, iż należy do klasy panującej, nie zapobiegała temu, że język zwisał mu z gęby, gdy pędził dysząc za psią boginią. Ostatecznie Michaelis miał pod tym względem naprawdę więcej godności i daleko, daleko więcej powodzenia. Rzeczywiście, jeśli spojrzeć dobrze na Clifforda, był błaznem, a być błaznem to daleko bardziej poniżające niż być karierowiczem.

Z tych dwóch mężczyzn mogła się naprawdę daleko bardziej przydać Michaelisowi niż Cliffordowi. Była mu nawet o wiele bardziej potrzebna. Każda dobra pielęgniarzka mogła się opiekować nogami kaleki! A jeśli szło o heroiczny wysiłek, to Michaelis był wprawdzie bohaterem szczerem, ale Clifford był raczej produkującym się pudlem.

W domu byli goście, między innymi ciotka Ewa, Lady Bennerley. Była to chuda pani lat sześćdziesięciu, z czerwonym nosem, wdowa, ciągle jeszcze coś w rodzaju „*grande dame*”. Należała do jednej z najlepszych rodzin i posiadała dość charakteru, aby sobie nadać znaczenie. Connie lubiła ją, gdyż była idealnie prosta i otwarta (na tyle, ile chciała być otwarta), i w powierzchowny sposób pocziwa. W istocie była prawdziwą mistrzynią w bronieniu swojego stanowiska i utrzymywaniu innych ludzi nieco niżej od siebie. Nie była bynajmniej snobką: na to była o wiele za pewna siebie. Posiadała idealną wprawę w sporcie towarzyskim, polegającym na tym, aby zachowywać się chłodno i zmuszać innych ludzi do poddawania się.

Wobec Connie była uprzejma i usiłowała przeniknąć ostrym świdrem swoich zręcznych obserwacji jej duszę kobiecą.

— Moim zdaniem jesteś cudowna — rzekła do Connie. — Uczyniłaś cuda dla Clifforda. Nigdy nie potrafiłam w nim dostrzec drzemiącego geniuszu, a oto nagle stał się przedmiotem powszechnego zachwyty.

Ciotka Ewa była zrozumiałe dumna z powodzenia Clifforda. Znowu listek wawrzynu dla rodziny! A przy tym książki jego zupełnie jej nie obchodziły, bo i dlaczego?

— O, nie sądzę, abym się do tego przyczyniła — odpowiedziała Connie.

— Owszem! Nikt inny nie mógł tego sprawić. A mnie się zdaje, że ty sama niewiele masz z tego.

— Pod jakim względem?  
— Zastanów się tylko, jak ty jesteś zamknięta. Powiedziałam Cliffordowi: Jeżeli to dziecko zbuntuje się, będziesz mógł podziękować sobie samemu!  
— Ależ Clifford niczego mi nigdy nie broni — rzekła Connie.  
— Spójrz na mnie, moje dziecko... — I Lady Bennerley położyła rękę na ramieniu Connie. — Kobieta musi przeżyć swoje życie albo pokutować, że go nie przeżyła. Wierź mi!

I popiła znowu brandy, która była może jej formą pokuty.

— Przecież ja przeżywam swoje życie!

— Nie tak, jak ja to rozumiem. Clifford powinien cię zabrać do Londynu i pozwolić ci bywać w towarzystwie. Jego rodzaj przyjaciół jest zupełnie dobry dla niego. Ale czym oni mogą być dla ciebie? Na twoim miejscu nie pogodziłabym się z tym wszystkim. Przejdziesz obok młodości, a starość i nawet wiek średni minie ci na żalu po niej.

Ukojona przez brandy stara pani zapadła w milczenie zadumy.

Ale Connie nie miała ochoty jechać do Londynu, aby pod kierunkiem Lady Bennerley wejść do towarzystwa. Czuli się nie dość szykowni, nie było to dla niej zajmujące. Wyczuwała pod tym wszystkim charakterystyczny chłód, wysuszający wszystko; jak grunt Labradoru, który nosi na powierzchni wesołe, małe kwiatki, a o stopę niżej jest zamrznięty.

Tommy Dukes był we Wragby, a prócz niego jeszcze jakiś pan, nazwiskiem Harry Winterslow, dalej Jack Strangeways z żoną Olive. Rozmowa była daleko bardziej niejednolita, niż kiedy byli tylko „koleżkowie”, wszyscy czuli się trochę znużeni, gdyż pogoda była brzydka i za rozrywkę mógł służyć tylko bilard i pianola do tańca.

Olive czytała książkę o przyszłości, gdy dzieci będą hodowane w butelkach, a kobiety „wyjaławiane”.

— Byłoby to bardzo dobre — rzekła. — Wtedy kobieta mogłaby żyć własnym życiem. Strangeways chciał mieć dzieci, a ona nie chciała.

— Czy chciałyby pani być wyjałowiona? — zapytał Winterslow z brzydkim uśmiechem.

— Mam wrażenie, że jestem nią; z natury — odpowiedziała Olive. — W każdym razie przyszłość będzie rozumniejsza i kobieta nie będzie potrzebowała się wyniszczać swoimi funkcjami.

— Może uleci zupełnie w przestworza — wtrącił Dukes.

— Uważam, że dostateczna cywilizacja usunęłaby mnóstwo niedomagań fizycznych — rzekł Clifford. — Wszystkie te na przykład sprawy miłosne mogłyby zupełnie odpaść. Prawdopodobnie stałoby się też tak, gdybyśmy mogli hodować dzieci w butelkach.

— Nie! — zawołała Olive. — Toby ludziom tym bardziej dało wolną rękę do tej zabawy.

— Przypuszczam — rzekła Lady Bennerley w zamyśleniu — że gdyby odpadły sprawy miłosne, zjawiliby się zamiast nich coś innego. Może morfina. Trochę morfiny wszędzie w powietrzu. Byłoby to dla wszystkich niezwykle orzeźwiające.

— Rząd musiałby w sobotę wieczorem dodawać do powietrza trochę eteru dla uprzyjemnienia niedzieli! — zaproponował Jack. — Brzmi to bardzo ładnie, ale do czego doszlibyśmy w środę?

— Póki można zapomnieć o swoim ciele, jest się szczęśliwym — rzekła Lady Bennerley. — A w chwili, gdy zaczynamy sobie uświadamiać swoje ciało, stajemy się nieszczęśliwi. Jeśli więc cywilizacja ma się na co zdać, musi nam dopomóc zapomnieć o ciele. A wówczas bez naszej wiedzy czas będzie mijał szczęśliwie.

— Dopomóc nam wyzbyć się zupełnie ciała — rzekł Winterslow. — Najwyższy już czas, aby człowiek zaczął poprawiać swoją naturę, zwłaszcza jej stronę fizyczną.

— Wyobraźcie sobie, że unosilibyśmy się wszyscy jak dym z papierosa — rzekła Connie.

— To się nie stanie — odparł Dukes. — Cała nasza stara buda zbankrutuje; nasza cywilizacja załamie się. Zleci na łeb i szyję w bezdenny szyb, w przepaść. I wiercie mi, ostatnim mostem ponad tą przepaścią będzie *phallus*!

— O, proszę, proszę, niech pan *będzie* nieznośny, generale! — zawołała Olive.

— I ja sądzę, że nasza cywilizacja załamie się — rzekła ciotka Ewa.

Dziecko, Kobieta, Ciąży,  
Seks, Narkotyki

Ciało

— A co będzie potem? — zapytał Clifford.

— Nie mam najmniejszego pojęcia, ale przypuszczam, że nic — odparła stara pani.

— Connie mówi, że ludzie niby obłoki dymu, Olive twierdzi, że wyjąłowane kobiety i niemowlęta w butelkach, Dukes zaś powiada, że *phallus* będzie mostem do tego, co nastąpi. Rad bym wiedzieć, co to będzie naprawdę — rzekł Clifford.

— O, nie łamcie sobie głowy. Zastanówmy się lepiej, jak sobie radzić z życiem dzisiejszym — zawołała Olive. — Pośpieszcie się tylko z butelkami do wylęgania i uwolnijcie nas biedne kobiety.

— Może w następnej fazie będą nawet istnieli prawdziwi mężczyźni — rzekł Tommy. — Prawdziwi, inteligentni, zdrowi mężczyźni i zdrowe, piękne kobiety! Czy nie byłaby to odmiana? Olbrzymia zmiana w porównaniu z nami? My nie jesteśmy mężczyznami, a kobiety nie są kobietami. Jesteśmy tylko pracującymi mózgowo figurantami, mechanicznymi i intelektualnymi eksperymentami. Może nastąpi nawet cywilizacja prawdziwych mężczyzn i kobiet po nas, zadzierającej nosa hałastrze o inteligencji siedmiolatków. Byłoby to jeszcze bardziej zdumiewające niż ludzie z dymu i niemowlęta w butelkach.

— O, kiedy ludzie zaczynają mówić o prawdziwych kobietach, ja ustępuję — rzekła Olive.

— Bez wątpienia nic poza duchem nie jest w nas godne posiadania — rzekł Winterslow.

— Duch! — zawołał Jack i wypił whisky z wodą sodową.

— Sądysz? Daj mi zmartwychwstanie ciała! — rzekł Dukes. — Ale przyjdzie ono z czasem, gdy odsuniemy trochę na bok kamień mózgowy i pieniądz, i resztę. Wówczas dożyjemy demokracji ludzkiego kontaktu zamiast demokracji kieszeni.

Jakieś echo wołało w Connie: „Daj mi demokrację kontaktu, daj mi odrodzenie ciała!” Nie rozumiała zupełnie, co to znaczyło, ale pocieszało ją to, jak niekiedy pocieszają rzeczy niezrozumiałe.

W każdym razie wszystko było przeraźliwie niedorzeczne, a ona czuła się rozpaczliwie znużona, znużona Cliffordem, ciotką Ewą, Jackiem i Olive, i Winterslowem, i nawet Dukes'em. Gadanina, gadanina, gadanina! Jakimż piekłem było to nieustanne trajkotanie!

Gdy wszyscy ci ludzie rozjechali się potem, nie było wcale lepiej. Connie wlekła się dalej, ale przesyta i rozdrażnienie oświadczyły jej ciałem, nie mogła przed nimi uciec. Dni zdawały się dziwnie boleśnie rozciągać i nic się nie działo. Chudła tylko. Nawet gospodyni zauważyła to i zapytała, co to znaczy. Nawet Tommy Dukes twierdził, że Connie nie jest zdrowa, chociaż ona powiadała, że czuje się zupełnie dobrze. Poczęła tylko lękać się przeraźliwych, białych nagrobków, które w dziwnie ohydnej białości karraryjskiego marmuru, wstrętne niby sztuczne zęby, sterczały na zboczu poniżej kościoła tevershalskiego i które z tak okropną wyrazistością widziała z parku. Kolczasta nieruchomość tych obmierzłych sztucznych zębów na pagórku budziła w niej przerażenie grozy. Czuła, że niedaleki jest już czas, gdy i ona zostanie tam pogrzebana jako jeszcze jedna pośród tej przeraźliwej gromady nagrobków i pomników w tej strasznej Anglii Środkowej.

Potrzebowała pomocy i wiedziała o tym. Napisała więc mały „*cri de coeur*”<sup>40</sup> do swojej siostry Hildy. „Czuję się ostatnimi czasy niezbyt dobrze i nie wiem, co mi dolega”.

Hilda przyjechała natychmiast ze Szkocji, gdzie się osiedliła. Przybyła w marcu, sama, kierując sama zgrabnym dwuosobowym autem. Zajechała główną drogą, zatrąbiła na stoku, potem zatoczyła łuk dokoła owalnego trawnika, gdzie na płaszczyźnie przed domem stały dwa wielkie, dzikie buki.

Connie wybiegła na schodki. Hilda zatrzymała auto, wysiadła i ucałowała siostrę.

— Ależ Connie! — zawołała. — Co się stało?

— Nic! — odpowiedziała Connie nieco zawstydzona; wiedziała jednak, jak bardzo, w przeciwieństwie do Hildy, cierpiała. Obie siostry posiadały taką samą, niemal złotą, ciepło połyskującą skórę, miękkie, brunatne włosy i z przyrodzenia silną i gorącą strukturę fizyczną. Ale Connie była teraz szczupła i miała ziemistą cerę przy chudej, żółtej szyi, wychylającej się ze swetra.

— Przecież ty jesteś chora, moje dziecko! — rzekła Hilda miękko, nieco zadyszany głosem, właściwym obu siostrom.

<sup>40</sup>*cri de coeur* (fr.) — krzyk serca; tu: szczery list. [przypis edytorski]

Hilda była prawie o dwa lata starsza od Connie.

— Nie, chora nie jestem. Może jestem znudzona — odpowiedziała Connie nieco patetycznie.

Na twarzy Hildy widniała wojowniczość. Mimo łagodnego i spokojnego wyglądu była ona kobietą z gatunku dawnych Amazonek, kobietą niestworzoną do dostosowywania się do mężczyzny.

— Co za okropna miejscowość! — powiedziała cicho i z istotną nienawiścią spojrzała na stare, zrujnowane Wragby. Ona sama wyglądała miękko i ciepło, niby dojrzała gruszka, i była Amazonką prawdziwego, dawnego pokroju.

Poszła do Clifforda. Pomyślał, jak ona ładnie wygląda, ale i on cofał się przed nią. Rodzina jego żony nie posiadała jego gatunku manier ani jego gatunku etykiety. Uważał ich za *outsiderów*.

Siedział w swoim fotelu bezwładny i wypiełgowany, z gładko przyczesanymi blond włosami, ze świeżą twarzą, z bladymi, nieco wypukłymi, niebieskimi oczyma, z wyrazem twarzy nieprzeniknionym, ale ugrzecznonym. Hilda uważała, że ma minę zgorzkniałą i głupkowatą, a on czekał. Było w nim trochę patosu, ale Hilda nie troszczyła się o to. Była pod bronią i choćby Clifford był papieżem albo cesarzem, jej by to nie obchodziło.

— Connie wygląda okropnie niezdrowo — rzekła miękkiem głosem, skierowując na niego stanowczo swoje piękne, ciemno połyskujące, szare oczy. Wyglądała tak dziewczęco, zupełnie jak i Connie. Ale Clifford znał doskonale kryjącą się poza tym skalę szkockiej nieugiętości.

— Schudła trochę — odpowiedział.

— Nie staraliście się temu zaradzić?

— Czy sądzisz, że to konieczne? — zapytał Clifford z najuprzejmniejszą sztywnością angielską, gdyż dwie te właściwości idą w parze.

Hilda nie odpowiedziała, spojrzała tylko na niego groźnie. Bystrość odpowiedzi nie była mocną stroną ani jej, ani Connie. Spoglądała więc tylko posępnie przed siebie, a Clifford czuł się bardziej nieswojo, niż gdyby mu powiedziała najnieprzyjemniejsze rzeczy.

— Pójdę z nią do lekarza — oznajmiła wreszcie Hilda. — Czy znasz tu dobrego doktora w okolicy?

— Niestety nie.

— W takim razie zabiorę ją do Londynu, gdzie znam lekarza, któremu można zaufać. Clifford wrzał z gniewu, ale nie odpowiedział.

— Sądzę, że mogę pozostać tutaj przez noc — rzekła Hilda, wciągając rękawiczki. — A jutro zawiozę ją do miasta.

Clifford pożółkł jeszcze bardziej z wściekłości, a wieczorem nawet białka jego oczu były żółtawe. Żółć jego została zaatakowana. Ale Hilda była niezmiennie skromna i dziewczęca.

— Powinieneś mieć pielęgniarkę albo kogoś, kto troszczyłby się o twoją osobę. Właściwie potrzebny ci jest służący — rzekła Hilda, gdy niezmiernie spokojnie siedzieli wszyscy po kolacji przy kawie. Mówiła cicho, na pozór łagodnie, ale Clifford miał wrażenie, jakby go waliła maczugą po głowie.

— Sądzisz? — odpowiedział chłodno.

— Jestem przekonana! To rzecz konieczna. Albo to, albo ojciec i ja musimy zabrać stąd Connie na kilka miesięcy. Tak dłużej być nie może.

— Co nie może być dłużej?

— Czy nie przyjrzałeś się temu dziecku? — zapytała Hilda, spoglądając mu pełnym wzrokiem w twarz.

Był w tej chwili niezmiernie podobny do olbrzymiego, gotowanego raka; tak jej się przynajmniej zdawało.

— Omówię to z Connie — rzekł.

— Już z nią to omówiłam — odpowiedziała Hilda.

Clifford był przez dość długi czas w rękach pielęgniarek. Nienawidził ich, gdyż nie pozostawiały go dostatecznie w spokoju. A na domiar służący!... Nie mógł znieść myśli, że mężczyzna kręciłby się koło niego. Jakakolwiek kobieta była już lepsza. Ale dlaczego nie Connie?



Siostry wyjechały rano. Connie wyglądała niemal jak owieczka wielkanocna, skulona obok Hildy, która siedziała przy kierownicy. Sir Malcolm nie było, ale dom w Kensington był otwarty.

Lekarz zbadał Connie starannie, wypytując o szczegóły jej życia.

— Widywałem nieraz portrety pani i Sir Clifforda w pismach ilustrowanych. Jesteście państwo niemal sławami, prawda? Tak to podrastają spokojne, małe dziewczęta, chociaż i teraz jest pani jeszcze tylko małą, spokojną dziewczynką, mimo pism ilustrowanych. Nie, nie! Organicznie wszystko w porządku, ale tak być nie może! Tak dłużej być nie może! Niech pani powie Sir Cliffordowi, że musi z panią przyjechać do miasta, albo zabrać panią zagranicę dla rozrywki. Musi pani mieć rozrywkę, musi pani! Ochota do życia jest w pani za słaba; brak rezerw, brak rezerw. Nerwy sercowe już teraz trochę dziwne, o, tak! To tylko nerwy; uzdrowiłbym panią natychmiast miesiącem spędzonym w Cannes albo w Biarritz. Obecny stan musi się jednak skończyć, *musi* się skończyć, powiadam, albo nie rękę za skutki. Trwoni pani życie, nie odnawiając go. Musi pani mieć rozrywkę, prawdziwą, zdrową rozrywkę. Zużywa pani energię życiową, nie tworząc sobie nowej. Tak być dalej nie może, rozumie pani. Depresje! Niech pani unika depresji!

Hilda zrobiła stanowczą minę, a to coś znaczyło.

Michaelis dowiedział się, że Connie jest w mieście, i pośpieszył z różami.

— Co to ma znaczyć? — zawołał. — Jesteś przecież cieniem siebie samej. Nigdy nie widziałem takiej zmiany! Dlaczego mi o niczym nie dałaś znać? Pojedź ze mną do Nizzy! Jedźmy na Sycylię! Zgódź się, jedź ze mną na Sycylię, teraz jest tam właśnie najpiękniej. Potrzeba ci słońca! Potrzeba ci życia! Usychasz przecież zupełnie! Pojedź ze mną! Jedźmy do Afryki! O, do licha z Sir Cliffordem! Rzuć go i jedź ze mną. Ożenię się z tobą w chwili, gdy on ci da rozwód. Zgódź się i spróbuj nowego życia! Wielki Boże! To Wragby zdolne jest przecież każdego zabić. Ohydna miejscowość! Zapowietrzona miejscowość! Zabija każdego! Jedź ze mną do słońca! Potrzeba ci słońca, naprawdę, tylko słońca i trochę normalnego życia!

Ale serce Connie zamarło po prostu na myśl o natychmiastowym opuszczeniu Clifforda. Nie mogła tego zrobić. Nie... nie! Po prostu nie mogła. Musiała powrócić do Wragby.

Michaelis był oburzony. Hilda nie lubiła Michaelisa, ale *niemal* wolała go od Clifforda. Siostry powróciły więc do Anglii Środkowej.

Hilda pomówiła z Cliffordem, który za ich powrotem ciągle jeszcze miał żółtawe białka. I on był na swój sposób przeczulony, ale musiał wysłuchać wszystkiego, co Hilda mówiła, wszystkiego, co powiedział lekarz, oczywiście nie tego, co powiedział Michaelis — a podczas tego ultimatum siedział niemy jak ryba.

— Oto adres dobrego służącego, który był u zmarłego przed miesiącem kaleki, pacjenta naszego doktora. Jest to naprawdę dzielny człowiek i przyjechałby na pewno.

— Nie jestem kaleką i nie chcę mieć służącego — oponował nieszczęsny Clifford.

— A tutaj są adresy dwóch kobiet. Z jedną już rozmawiałam. Byłaby bardzo dobrą pielęgniarką. Kobieta lat około pięćdziesięciu, spokojna, silna, uprzejma i w swoim zakresie inteligentna...

Clifford sprzeciwiał się i nie odpowiadał.

— Więc dobrze, Cliffordzie. Jeżeli do jutra nie dojdziemy do porozumienia, zatelegrafuję do ojca i zabierzemy Connie.

— Czy Connie pojedzie? — zapytał Clifford.

— Nie chce, ale wie, że musi. Matka umarła na raka, którego się nabawiła z nadmiaru utrapień. Wolimy nie ryzykować.

Nazajutrz więc Clifford zaproponował panią Bolton, pielęgniarkę gminną z Tevershall. Widocznie pani Betts przypomniała sobie o niej. Pani Bolton zamierzała zrezygnować niebawem ze swojej posady, aby zostać pielęgniarką prywatną. Clifford czuł dziwny lęk przed oddaniem się w ręce obcej osoby, ale ta pani Bolton pielęgnowała go niegdyś, kiedy miał szkarlatynę, więc znał ją.

Siostry odwiedziły natychmiast panią Bolton, która mieszkała w nowym, jak na Tevershall niemal wytwornym domu. Zastały ładną kobietę lat około czterdziestu, w stroju

pielęgniarki z białym kołnierzem i białym fartuchem; przyrządzała sobie właśnie herbatę w przeładowanym małym saloniku.

Pani Bolton była niezmiernie uprzejma i ujmująca, wydawała się bardzo miła, mówiła z lekkim zabarwieniem gwarowym, ocieężała, ale czystą angielszczyzną, a ponieważ przez wiele lat wydawała rozkazy chorym górnikom, była o sobie wielkiego zdania i posiadała sporą dozę zarozumiałości. Słowem, w swoim małym zakresie kobieta z klasy panującej i bardzo we wsi poważana.

— Tak, Lady Chatterley wygląda nieszczególnie! Zawsze przecież była taka silna, prawda? Ale przez całą zimę chudła coraz bardziej. O, to trudna sprawa, to trudna sprawa! Biedny Sir Clifford! Ach, ta wojna, ile ona szkody wyrządziła!

I pani Bolton zgodziła się natychmiast jechać do Wragby, jeśli ją doktor Shardlow zwolni. Prawnie powinna jeszcze pozostać na swoim stanowisku pielęgniarki gminnej przez dwa tygodnie, ale może lekarz znajdzie dla niej zastępczynię.

Hilda pośpieszyła natychmiast do doktora Shardlowa i następnej niedzieli pani Bolton zjechała z dwoma kufkami do Wragby. Hilda rozmawiała z nią; panią Bolton można było każdej chwili nakłonić do rozmowy. I wydawała się taka młoda! Jak namiętnie potrafiły się barwić jej tak blade zwykle policzki! Miała czterdzieści siedem lat.

Mąż jej, Ted Bolton, zszedł do grobu przed dwudziestu dwoma laty (dwadzieścia dwa lata było na Boże Narodzenie) i pozostawił ją z dwojgiem dzieci, z których jedno było jeszcze przy piersi. O, to niemowlę, Edyta, wyszła teraz za młodzieńca z firmy Boots Cash Chemists w Sheffield. Druga była nauczycielką w Chesterfield i na niedziele przyjeżdżała do domu, jeżeli nie była zaproszona gdzie indziej. Młodzież bawiła się dzisiaj, miała inne życie niż wówczas, kiedy ona, Ivy Bolton, była młoda.

Ted Bolton miał dwadzieścia osiem lat, kiedy zginął podczas wybuchu w kopalni. Nadsztygar, idący na przodzie, krzyknął na nich, żeby padli na ziemię. Wszyscy padli na czas, tylko Ted nie i jego tylko zabiło. A potem, przy śledztwie, nadsztygar twierdził, że Ted zląkł się i próbował uciekać, nie słuchając rozkazu, że więc w istocie wszystko to było jego własną winą. Odszkodowanie wyniosło więc zaledwie trzysta funtów i jeszcze na domiar dano jej to raczej jako prezent, niż jako prawne odszkodowanie, bo przecież w istocie była to wina jej męża. Nie chcieli jej wypłacić tych pieniędzy w gotówce; chętnie byłaby sobie założyła mały sklepik. Ale oni powiadali, że na pewno roztrwoni pieniądze, może nawet przepije! Musiała je więc odbierać ratami po trzydzieści szylingów tygodniowo. Tak, co poniedziałek musiała chodzić do kancelarii i stać tam przez dwie godziny, czekając swojej kolei; tak, blisko dwa lata chodziła tam co poniedziałek. I cóż mogła począć z dwojgiem małych dzieci na karku? Ale matka Teda była dla niej bardzo dobra. Gdy mała nauczyła się biegać, zatrzymywała u siebie dzieci przez cały dzień, podczas gdy ona, Ivy Bolton, jeździła do Sheffield i uczyła się pielęgniarstwa. Później, w czwartym roku, uczęszczała nawet na kurs pielęgniarek i otrzymała dyplom. Postanowiła zostać samodzielną i zatrzymać dzieci przy sobie. Przez pewien więc czas pełniła funkcje młodszej pielęgniarki w szpitalu w Uthwaite, bardzo małej miejscowości. Ale gdy Towarzystwo, Thevershallskie Towarzystwo Górnicze, a właściwie gdy Sir Geoffrey przekonał się, że potrafiła sobie sama radzić, okazano jej wielką przychylność, przyjęto ją na pielęgniarkę gminną i popierano ją, to musiała przyznać. Tak sobie radziła od owego czasu, aż teraz było jej już tego wszystkiego za wiele. Potrzeba jej było pracy trochę lepszej. Jako pielęgniarka gminna miała za dużo bieraniny.

— Tak, Towarzystwo było *dla mnie* bardzo dobre. Powtarzam to zawsze. Ale nie zapomnę nigdy tego, co powiedzieli o Tedzie, gdyż on był naprawdę nieustraszony, takich górników, jak on, mało zjeżdża do szybu. A oni go napiętnowali jako tchórza. Ale on nie żył i nie mógł im nic odpowiedzieć.

Kiedy kobieta ta mówiła, w słowach jej wyrażała się dziwna mieszanina uczuć. Lubiła górników, których pielęgnowała przez tak wiele lat, ale czuła się wyższa od nich. Czuła się niemal przynależna do wyższej klasy. A zarazem tlił się w niej gniew przeciwko klasie panującej. Panowie! W sporze między panami a robotnikami stawała stale po stronie robotników. Jeżeli jednak nie szło o walkę, łaknęła zawsze wyższego stanowiska, przynależności do wyższych klas. Wyższe klasy fascynowały ją, budziły w niej charakterystyczną angielską namiętność dla przewagi towarzyskiej. Była zachwycona sposobnością przeniesienia się do Wragby; zachwycona możliwością rozmawiania z Lady Chatterley,

Pozycja społeczna, Lud

która naprawdę była czymś innym niż żony zwykłych górników! Mówiła to też zupełnie otwarcie. Ale w słowach jej można było mimo to wyczuć jakąś niechęć do Chatterleyów; niechęć do panów.

— Naturalnie, naturalnie, toby zupełnie zrujnowało Lady Chatterley! Szczęście, że ma siostrę, która mogła przyjechać i dopomóc jej. Mężczyźni nigdy nie myślą: czy to ci na górze, czy na dole; wszystko, co kobieta robi dla nich, uważają za rzecz naturalną. O, górnikom nieraz już mówiłam otwarcie swoje zdanie o tym. Ale wie pani, ciężki to los dla Sir Clifforda, być tak na całe życie sparaliżowanym. Chatterleyowie byli zawsze bardzo dumną rodziną, byli o sobie wielkiego zdania i mieli prawo po temu. A potem doznać takiego upadku! Bardzo to wielki cios dla Lady Chatterley, może dla niej najcięższy. Iluż rzeczy musi się wyrzec! Ja miałam Teda tylko przez trzy lata. Ale daję słowo, przez ten czas, co go miałam, miałam w nim męża, którego nie potrafię zapomnieć. Wesoly był jak słoneczny dzień, tacy to się rodzą jeden na tysiąc. Któż by kiedy pomyślał, że on w ten sposób zginie! Jeszcze dzisiaj nie mogę w to naprawdę uwierzyć, nigdy w to naprawdę nie wierzyłam, chociaż obmywałam go własnymi rękoma. Ale dla mnie on nigdy nie był martwy, nigdy! Nigdy się z tym zupełnie nie pogodziłam.

Był to nowy głos we Wragby, zupełnie nowy głos dla Connie; budził w niej nowe ucho.

Podczas pierwszego miesiąca pani Bolton zachowywała się we Wragby bardzo cicho; opuściła ją zwykła pewność siebie i żądza rozkazywania, stała się bardzo nerwowa. W stosunku do Clifforda była wprost lękliwa, niemal zastraszona, i milcząca. Podobało mu się to, a niebawem odzyskał zupełnie równowagę i pozwalał sobie usługiwać, jej samej prawie nie dostrzegając.

— Jest to użyteczne zero — mawiał.

Connie otwierała szeroko oczy ze zdziwienia, ale nie przeczyła mu. Tak odmienne było wrażenie na dwoje różnych ludzi!

Wkrótce począł się Clifford odnosić do pielęgniarki wyniośle, niemal z lordowskim dostojenstwem. Pani Bolton bodajże się tego spodziewała, a on nieświadomie starał się spełnić jej oczekiwania. Jak wrażliwi jesteśmy na to, czego się po nas ludzie spodziewają! Górnicy tak często podobni byli do dzieci, gdy w czasie opatrunków lub pielęgnacji rozmawiali z nią, opowiadając, co im dolega. Napawało ją to zawsze przy usługach, jakie im oddawała, poczuciem wielkości, prawie nadczłowieczeństwa. Clifford budził w niej uczucie, że jest bardzo mała, jak posługaczka, a ona przyjmowała to bez słowa i dostosowywała się do wyższej klasy.

Kiedy mu miała usługiwać, wchodziła zawsze bardzo cicho, z podługowatą, ładną twarzą i opuszczonymi oczyma. I mówiła bardzo pokornie:

— Czy mam teraz zrobić to lub owo, Sir Cliffordzie?

— Nie, niech pani chwilę zaczeka. Powiem pani później, co robić.

— Jak pan rozkaże, Sir Cliffordzie.

— Niech pani przyjdzie znowu za pół godziny.

— Jak pan rozkaże, Sir Cliffordzie.

— I niech pani zaraz zabierze ze sobą te gazety.

— Jak pan rozkaże, Sir Cliffordzie.

Wychodziła bardzo cicho i bardzo cicho powracała po pół godzinie. Była załęknioma, ale nie przejmowała się tym. Robiła doświadczenia z wyższą klasą. Wobec Clifforda nie czuła ani sympatii, ani antypatii. Był on po prostu częścią składową pewnego fenomenu, fenomenu ludzi z wyższej klasy, dotąd nieznanego jej, a teraz rozwierającego się przed jej oczyma. Lady Chatterley rozumiała nieco lepiej, a ostatecznie pani domu jest osobą najważniejszą.

Pani Bolton pomagała Cliffordowi wieczorem kłaść się do łóżka i sypiała w pokoju położonym po przeciwległej stronie korytarza; kiedy zadzwonił w nocy, przychodziła. Pomagała mu także rano, a niebawem poczęła go zupełnie obsługiwać, goliła go nawet łagodną, drzącą, kobiecą ręką. Była bardzo dobrą i dzielną pielęgniarką, a rychło zrozumiała, w jaki sposób osiągać nad nim władzę. Ostatecznie gdy mu się namydliło podbródek i łagodnie goliło zarost, nie różnił się tak bardzo od górników. Nie troszczyła się o jego pychę i brak szczerości, było to dla niej nowe doświadczenie.

Sluga, Pycha

Clifford nie wybaczył jednak Connie nigdy, że zrezygnowała z osobistego pielęgnowania go i powierzyła tę czynność obcej, najemnej kobiecie. Powiadał sobie, że zabiło to prawdziwe kwiecie zażyłości pomiędzy nim a nią. Ale Connie nic sobie z tego nie robiła. Piękne kwiecie tej zażyłości wydawało się jej raczej niby orchidea, niby pasożytniczy guz na drzewie jej życia, wypuszczający według jej zdania bardzo nędzne pąki.

Mając teraz więcej czasu dla siebie, mogła przesiadywać w swoim pokoju, grać cicho na fortepianie i śpiewać:

„Nie igrajcie z ogniem... bo trudno jest zerwać więzy miłości<sup>41</sup>”.

Do niedawna nie uświadamiała sobie, jak trudno jest zerwać te więzy miłości. Ale zerwała je, dzięki Bogu! Cieszyła się, że była sama, że nie musiała z nim ciągle rozmawiać. Kiedy on był sam, stuk-stuk-stukał nieustannie na maszynie, do nieskończoności. Gdy jednak nie „pracował”, a ona była w pokoju, mówił, ciągle tylko mówił. Bezgraniczne rozszczepianie ludzi i motywów, i wydarzeń, charakterów i cech indywidualnych, aż ją wreszcie przesyty ogarnął. Przez lata całe lubiła to, aż teraz nagle miała tego dość, nagle było jej tego za wiele. Była wdzięczna, że mogła być sama.

Było to coś podobnego, jakby tysiące tysięcy maleńkich korzonków i nitek świadomości w niej i w nim zrosły się w jedną skłębioną masę, aż nie mogły się już dalej tłoczyć razem i roślina obumierała. A teraz Connie spokojnie rozwikłała gmatwaninę swojej i jego świadomości, rozrywając łagodnie jedną po drugiej te subtelne nici, cierpliwie i niecierpliwie dążąc do wyzwolenia. Lecz więzy takiej miłości trudniej jest zerwać niż jakiegokolwiek inne więzy; chociaż przybycie pani Bolton stanowiło wielką pomoc.

Ale Clifford ciągle jeszcze pragnął tych poufanych wieczorów spędzanych na rozmowach z Connie: na rozmowach i czytaniu. Connie mogła jednak teraz polecić pani Bolton, aby przyszła o dziesiątej i przeszkodziła. O dziesiątej mogła wejść do swego pokoju i być sama. Clifford znajdował się w dobrych rękach pani Bolton.

Pani Bolton jadła z panią Betts w pokoju gospodyni, gdyż lubiły się one bardzo. Dziwne było w ogóle, o ile bardziej przybliżyło się teraz skrzydło służbowe; aż do samych drzwi pokoju Clifforda, podczas gdy dawniej znajdowało się tak daleko. Pani Betts siedziała bowiem czasami w pokoju pani Bolton, a Connie słyszała ich stłumione głosy i czuła niejako, jak tak zupełnie odmienne tętna ludzi pracujących przenikały niemal do salonu, gdy ona i Clifford byli sami. Tak dalece zmieniło się Wragby już dzięki samemu przybyciu pani Bolton.

I Connie czuła się wyzwolona, czuła się w innym świecie, miała wrażenie, że oddycha inaczej. Ciągle jeszcze doznawała jednak lęku na myśl, ile z jej korzeni, może najważniejszych dla życia, splątanych było z korzeniami Clifforda. A jednak oddychała swobodniej, w życiu jej zaczynał się nowy okres.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Pani Bolton baczny okiem spoglądała na Connie, czuła bowiem, że musi rozciągnąć swoją kobiecą i zawodową opiekę także i na nią. Nalegała zawsze, aby jaśnie pani wychodziła na spacer, wyjeżdżała do Uthwaite, przebywała na świeżym powietrzu, gdyż Connie nabrała przyzwyczajenia przesiadywania cicho przy kominku albo udawania, że czyta lub szyje, i nie wychodziła już prawie zupełnie.

Pewnego wietrznego dnia, wkrótce po wyjeździe Hildy, pani Bolton rzekła:

— Dlaczego nie przespaceruje się pani po lesie i nie pójdzie się przyjrzeć żółtym narcyzom za leśniczówką? Najpiękniejsza to rzecz, jaką można widzieć w te dni marcowe. Mogłaby pani przynieść kilka z nich do swego pokoju. Dzikie narcyzy mają zawsze tak rozweselający wygląd, prawda?

---

<sup>41</sup>Nie igrajcie z ogniem... bo trudno jest zerwać więzy miłości — cytat z tradycyjnej piosenki szkockiej:  
*Touch not the nettle lest it should burn ye*  
*Waly sae green as the bracken grows;*  
*Love not the lassie that never can win ye*  
*For the bonds of love are sore to loose.* [przypis edytorski]

Connie wysłuchiwała tego łagodnie. Dzikie narcyzy! Ostatecznie nie można było ciągle przetrwać własnych myśli. Nadeszła znowu wiosna... „Pory roku powracają, ale dla mnie nie powraca dzień ani słodkie zbliżanie się wieczora i ranka<sup>42</sup>”.

A leśniczy, jego wysmukłe, białe ciało niby samotny słupek niewidzialnego kwiatu! Zapomniała o nim w tym niewysłowionym przygnębieniu. Ale teraz zbudziło się coś... „Błady za drzwiami i wrotami”...<sup>43</sup> Trzeba było tylko przekroczyć te drzwi i wrota.

Czuła się silniejsza, łatwiej jej było chodzić, a w lesie wiatr nie będzie tak nużący, jak w drodze przez park, gdzie bił w nią z całą mocą. Chciała zapomnieć, zapomnieć o świecie i wszystkich tych na wpół zapowietrzonych ludziach. „Musicie się na nowo narodzić! Wierzę w zmartwychwstanie ciała! Jeśli ziarno zboża pada na ziemię i nie umiera, powinno rodzić dalej<sup>44</sup>. Jeśli kwiecie szafranu wschodzi, chcę i ja wejść i ujrzeć słońce!” Na wietrze marcowym przewijały się takie zdania bez ustanku przez jej świadomość.

Małe kępi światła słonecznego przemykały dziwnie jasno i rozświetlały jaskółcze ziele na skraju lasu albo połyskiwały lśniaco i żółto pod krzami leszczyny. Las był cichy, zupełnie cichy, a jednak przesiąknięty wpadającym weń słońcem. Wychyliły się już pierwsze sasanki, i cały las wydawał się błady od błądności niezliczonych małych przyłaszczek, którymi usiany był wstrząśnięty grunt. „Świat pobladł od twego oddechu”<sup>45</sup>. Ale tym razem był to oddech Persefony, która pewnego chłodnego poranku wymknęła się z podziemi. Zimne tchnienia oddechu przemykały dołem, a wyżej szalał gniew wichru, który upłatał się w gałęziach. I on, wicher, upłatał się w gałęziach i starał się wyrwać i uwolnić niby Absalom<sup>46</sup>. Jak zziębnięte wyglądały sasanki, których nagie, białe ramionka drżały nad zielonymi krynolinkami. Ale wytrzymały chłód. Podobnie jak kilka pierwszych, pobladłych pierwiosnków na skraju drogi i żółte pąki, które się dopiero rozwijały.

Poświt i poszum był w górze, a tylko zimny ciąg powietrza docierał na dół. Connie była w lesie dziwnie podniecona, krew napłynęła na jej policzki i żarzyła się niebiesko

---

<sup>42</sup>Pory roku powracają, ale dla mnie nie powraca dzień ani słodkie zbliżanie się wieczora i ranka — fragm. wiersza Johna Milтона *Light*: w oryg. wersji powieści „Seasons return, but not to me returns Day, or the sweet approach of Ev'n or Morn” w Księdze 3. *Raju utraconego (Paradise Lost)* Milтона:

„(...) Thus with the Year  
Seasons return, but not to me returns  
Day, or the sweet approach of Ev'n or Morn,  
Or sight of vernal bloom (...)”. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Błady za drzwiami i wrotami — fragm. wiersza Algernona Charlesa Swinburne’a *The Garden of Proserpine*, w którym słowa te odnoszą się do Prozerpiny:

*Pale, beyond porch and portal,  
Crowned with calm leaves, she stands  
Who gathers all things mortal  
With cold immortal hands;*

(w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka:

„U bram ogrodu, błada,  
W wieńcu z nasennych ziół,  
Stoi ta, co przykłada  
Chłodne dłonie do czoł”). [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Jeśli ziarno zboża pada na ziemię i nie umiera, powinno rodzić dalej — nawiązanie: J 12,24: „Truly, truly, I say to you, unless a grain of wheat falls into the earth and dies, it remains by itself alone; but if it dies, it bears much fruit”. [przypis edytorski]

<sup>45</sup>Świat pobladł od twego oddechu — w oryg. *the world has grown pale with thy breath*; cytat z: Algernon Charles Swinburne, *Hymn to Proserpine. (After the Proclamation in Rome of the Christian Faith)*. Pełen wers brzmi: *Thou hast conquered, O pale Galilean; the world has grown grey from thy breath* (Zwyciężyłeś, błady Galilejczyku; świat poszarzał pod twym tchnieniem), w wierszu Swinburne’a świat poszarzał pod wpływem tchnienia zwycięskiego „błatego Galilejczyka”, tj. Jezusa. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>Absalom — postać biblijna, syn króla Dawida, słynny z urody, szczególnie z bujnych włosów. Kiedy jego przyrodni brat, Amnon, pierworodny potomek króla, zgwałcił rodzoną siostrę Absaloma, Tamar i nie został ukarany, Absalom kazał swoim sługom zamordować go podstępnie podczas uczty, a następnie zbiegł na dwór swego dziada, Talmaja, króla Geszur. Po trzech latach uzyskał zgodę Dawida na powrót do Jerozolimy, ale nie miał wstępu na dwór. Absalom zawiązał bunt przeciw ojcu, został w Hebronie obwołany przez swoich zwolenników królem i wkrótce zajął Jerozolimę. Kiedy doszło do decydującego starcia w lesie Efraima, wojska Dawida odniosły zwycięstwo. Absalom ocalał, lecz kiedy uchodząc po bitwie przejeżdżał pod dębem, zaczęli włosami o jego gałęzie, zaś jego wierzchołek umknął: tak uwięzionego znalazł go jeden z dowódców wojsk Dawida, Joab i, wraz ze swymi sługami, zabił buntownika. Stało się to wbrew woli Dawida, który nakazał oględnie obchodzić się z synem. [przypis edytorski]

w jej oczach. Szła naprzód chwiejnym krokiem, zrywając pierwiosnki i pierwsze bratki, pachnące słodko i chłodno, słodko i chłodno. I szła naprzód, nie wiedząc, gdzie była.

Aż przybyła na polanę na drugim krańcu lasu i ujrzała upstrzony zielenią domek ceglany, prawie różowy, jak miąższ na dolnej stronie grzyba; cegły domu rozgrzane były nawałą słońca. A przy drzwiach było migotanie żółtego jaśminu — przy zamkniętych drzwiach. Nie słychać jednak było ani dźwięku; nie unosił się dym z komina; nie rozlegało się szczekanie psa.

Cicho okrążyła dom, wyszła na tył, gdzie grunt się wznosił. Miała pretekst, chciała obejrzyć narcyzy.

I ujrzała je, kwiaty na krótkich łodygach, szeleszczące i powiewające, i drgające, takie jasne i żywe, lecz niemające miejsca, gdzie mogłyby ukryć twarze, kiedy się odwracały od wiatru.

W trosce i rozpaczy potrząsały swymi jasnymi, słonecznymi chorągiewkami. Ale może im się to naprawdę podobało; może im się naprawdę podobało, że wiatr tak nimi wstrząsał.

Constance usiadła, oparłszy plecy o młodą jodłę, która skinęła jej, przeniknięta dziwnym życiem, wznosząca się elastycznie i potężnie. Wyprostowana, żywa istota, z głową zanurzoną w słońcu! Ujrzała, jak narcyzy rozłocily się nagle w przebijającym się świetle słonecznym, które leżało ciepło na jej rękach i na jej łonie. Nawet ona podchwyciła słaby, smolny zapach kwiatów. A potem, kiedy siedziała tak cicha i sama, zdało się jej, że przedostała się w prąd własnego, prawdziwego losu. Była uwiązana na postronku i szarpała się i jęczała jak łódź na łańcuchu; a teraz była wolna i płynęła w dal.

Słońce ustąpiło nagłemu chładowi; narcyzy stały w cieniu i chybotwały się w milczeniu. Będą się tak chybotwały przez cały dzień i przez długą, zimną noc. Takie silne, chociaż tak wątłe!

Podniosła się trochę sztywno, zerwała kilka narcyzów i zeszła po zboczu. Niechętnie zrywała kwiaty, ale pragnęła teraz móc zabrać ze sobą kilka z nich. Musiała powrócić do Wragby i do jego murów, a teraz nienawidziła Wragby, a zwłaszcza jego grubych murów. Mury! Zawsze mury! Ale potrzebne były na takim wietrze.

Kiedy powróciła do domu, Clifford zapytał:

— Gdzie byłaś?

— Chodziłam po lesie! Patrz, czy te małe narcyzy nie są cudowne? Pomyśleć, że coś podobnego powstaje z ziemi!

— Tak samo z powietrza i słońca — rzekł Clifford.

— Ale ukształtowało się w ziemi — zaoponowała tak rezolutnie, że aż sama się temu dziwiła.

Następnego popołudnia poszła znowu do lasu. Szła szeroką drogą wijącą się łukiem pod górę, między modrzewiami, ku źródłu, zwanemu „Świętojańskim”. Chłodno tu było na zboczu, a w mroku modrzewi nie rósł ani jeden kwiatek. Ale lodowate małe źródło wytryskało łagodnie ze swego małego łożyska czystego, czerwono-białego żwiru. Jakie ono było lodowato zimne i przejrzyste! Jakie migoczące! Nowy leśniczy na pewno powrzucał do niego świeżego żwiru. Słyszała cichy plusk, z jakim przejrzysty nadmiar wody wylewał się poza skraj i w dół stoku. Nawet poprzez syczący szum modrzewiowego lasu, rozciągającego swój sterczący, bezlistny, wilczy mrok ponad zboczem, słyszała dźwięk jak gdyby małych dzwoneczków wodnych.

Było to miejsce nieco posępne, chłodne i wilgotne. Ale źródło musiało być od setek lat wodopojem. Teraz jednak nie było już nim. Mała polana była wilgotna, chłodna i opustoszała.

Connie podniosła się i skierowała ku domowi. Idąc, usłyszała z daleka po prawej stronie ciche stukanie i zatrzymała się, nadsluchując. Czy to uderzenie młotka, czy może dzieciół? Na pewno uderzenia młotka.

Nadsluchując, szła dalej. A potem ujrzała między młodymi jodłami wąską ścieżkę, która na pozór nigdzie nie prowadziła. Connie miała jednak wrażenie, że ta ścieżka jest używana. W żądzy przygód ruszyła tą dróżką, między grubymi, młodymi jodłami, które niebawem ustąpiły miejsca staremu lasowi dębowemu. Szła ścieżką, a stukanie rozbrzmiewało coraz bliżej w ciszy lasu, gdyż drzewa nawet we wrzawie wichru stwarzały ciszę.

Woda

Las, Dźwięk, Cisza

Ujrzała ukrytą, małą polanę i ukryty, mały szałas z prostych belek. A ona tu jeszcze nigdy nie była! Domyśliła się, że było to owo spokojne miejsce, w którym hodowano młode bażanty; leśniczy kłęczął bez marynarki i walił młotkiem. Pies wybiegł naprzeciw niej z krótkim, głośnym ujadaniem, a leśniczy podniósł nagle głowę i ujrzał ją. W oczach jego zamigotał wyraz zdumienia.

Wyprostował się i pozdrowił ją, patrząc w milczeniu, jak zbliżała się do niego ze słabnącymi członkami. Niezadowolony był z tego wtargnięcia. Cenił swoją samotność jako jedyną i ostatnią wolność w życiu.

— Zastanawiałam się, co to za stukanie — rzekła Connie; kiedy tak patrzył jej prosto w oczy, czuła się słaba, bez tchu, nieco załęknioma.

— Robia chlywik do wylengania lo małych fazanów — rzekł leśniczy najwyrazistszym dialektem.

Connie nie wiedziała, co odpowiedzieć, i czuła się słaba.

— Chciałabym trochę usiąść — rzekła.

— Niech żyś panuchna wlyzom i siednom se w szopie — odpowiedział leśniczy, wszedł przed nią do szałas, odsunął na bok kilka kawałków drzewa i narzędzi i podał jej wielki stołek z leszczynowych patyków.

— Cy mom zrobić łogień? — zapytał z dziwną naiwnością dialektu.

— O, niech się pan nie trudzi — odpowiedziała Connie.

Ale leśniczy spojrzął na jej ręce: były prawie sine. Chwycił więc szybko kilka gałęzi modrzewiowych i rzucił je na mały kominek ceglany w kącie, a za chwilę buchnął ku kominowi żółty płomień. Mellors zrobił jej miejsce przy ognisku.

— Siednom se sam, panuchno, i łogrzejom sie — rzekł.

Connie usłuchała. Leśniczy posiadał ów dziwny rodzaj opiekuńczego autorytetu, któremu musiała być posłuszna. Siedziała więc i grzała ręce przy ogniu, dokładając raz po raz polano, podczas gdy on stukał dalej młotkiem przed szałasem. Nie chciało się jej siedzieć tak wciśniętej w kącik przy ogniu. Wolałaby przyglądać mu się ode drzwi, ale opiekowano się nią, musiała więc być posłuszna.

Chatka była bardzo miła, wykładana niepokostowanym drzewem, a prócz jej stolka był jeszcze drugi oraz wiejski stół, ława ciesielska i wielka skrzynia, narzędzia, nowe deski, gwoździe; na ścianach wisiało wiele przedmiotów: siekiera, toporek, potrzaski, narzędzia w workach, jego marynarka. Okna nie było, światło wpadało przez otwarte drzwi. Była to gmatwanina, ale było też coś w rodzaju małego sanktuarium.

Nadsłuchiwała uderzeń jego młotka; nie brzmiały już tak szczęśliwie. Był przygnębiony. W dziedzinę jego wdarł się intruz, i to niebezpieczny! Kobieta! Doszedł już do punktu, gdy wszelkie jego pragnienia na ziemi wyrażały się w tym jednym: być samotnym. A jednak nie posiadał mocy obronienia swojej samotności. Był najemnym człowiekiem, a ci ludzie byli jego panami.

Zwłaszcza z kobietą nie chciał się zetknąć. Lękał się tego; doznał bowiem głębokiej rany przy poprzednich zetknięciach. Czuł, że umrze, jeżeli nie będzie mógł być sam, jeżeli go się nie pozostawi samego. Unikał świata zewnętrznego bez zastrzeżeń; ostatnią jego ucieczką był ten las; tutaj się chronił!

Connie było ciepło przy ogniu, który Mellors zbyt hojnie rozpałił; potem zrobiło się jej gorąco. Wstała i usiadła na stołku w drzwiach, przyglądając się leśniczemu i jego pracy. Zdawało się, że jej nie spostrzega, ale wiedział, że ona jest. Mimo to pracował dalej, jakby był zupełnie zatopiony w swoim zajęciu, a brunatny jego pies siedział obok niego i badawczo rozglądał się po świetle, któremu nie można było ufać.

Wysmukły, cichy i zręczny mężczyzna zakończył pracę nad kojcem, który robił, wypróbował zasuwane drzwiczki, potem odstawił go. Wstał, wziął drugą klatkę i zaniósł ją do pnia, przy którym pracował. Schylił się i obejrzał pręty; kilka złamało się w jego ręku; zaczął wyciągać gwoździe. Potem odwrócił klatkę i zastanowił się, nie zdradzając ani znakiem, że uświadamia sobie w ogóle obecność pani.

Connie obserwowała go nieustannie. To samo samotne odosobnienie, jakie dostrzegła w nim, kiedy był nagi, widziała i teraz, gdy był ubrany: samotny i pełen zapału, jak zwierzę, które pracuje samo, ale też zadumany, jak dusza, która się cofa precz, precz od zetknięcia z ludźmi. Milczący, cierpliwy, cofał się nawet teraz przed nią. Ów spokój,

Samotność, Wolność,  
Samotnik

owa pozaczasowa cierpliwość niecierpliwego i namiętnego człowieka najbardziej wzruszała Connie. Dostrzegala ją w jego schylonej głowie, w zręcznych, pewnych dłoniach, w pochyleniu jego zgrabnych, wrażliwych bioder; coś cierpliwego i odwróconego. Czula, że jego przeżycia były głębsze i rozleglejsze niż jej. Daleko głębsze i rozleglejsze, może nawet bardziej śmiertelne. Było to dla niej ulgą; czula się niemal nieodpowiedzialna.

Siedziała więc tak w drzwiach szałas w rozmarzeniu, zupełnie nieświadoma czasu i szczególnych okoliczności. Zadumała się tak bardzo, że leśniczy podniósł szybko wzrok i dojrzał cichy i wyczekujący wyraz jej twarzy. Dla niego był to wyraz oczekiwania. I mały, wąski języczek ognisty wybuchnął nagle w jego łędźwiach, u korzenia grzbietu, aż jęknął w duchu. Niemał ze wstrętem obawiał się wszelkiego bliższego zetknięcia z ludźmi, obawiał się jak śmierci. Pragnął nade wszystko, aby odeszła i pozostawiła go w jego odosobnieniu. Lękał się jej woli, jej kobiecej woli i jej współcześnie kobiecego uporu. A przede wszystkim lękał się jej chłodnego bezwstydu, właściwego wyższym klasom, pragnącym zawsze wszystkiego wedle własnych zachcianek. Ostatecznie bowiem był najemnym człowiekiem. Nienawidził jej obecności.

Connie ocknęła się nagle i poczuła się dziwnie nieswojo. Wstała. Popołudnie miało się ku końcowi, a ona nie mogła odejść. Podeszła do mężczyzny, który stanął w służbowej postawie; twarz jego, wyniszczona troskami, była nieruchoma i pusta, oczy skierowane na nią badawczo.

— Pięknie tu jest, tak spokojnie — rzekła Connie. — Nigdy tu jeszcze nie byłam.

— Nie?

— Myślę, że będę przychodziła czasami posiedzieć tutaj trochę.

— Tak!

— Czy pan zamyka szałas, gdy pana nie ma?

— Tak, proszę jaśnie pani.

— Czy nie mogłabym mieć także klucza, aby tu czasem posiedzieć? Czy są dwa klucze?

— Nie wia, cy bydzie jeszcze jedyn.

Znowu zaczął mówić dialektem. Connie zawahała się; sprzeciwiał się jej. Może to był jego szałas?

— Czy nie moglibyśmy dostać drugiego klucza? — zapytała miękkiem głosem, w którym drgał ton kobiety zdecydowanej postawić na swoim.

— Drugiego? — powtórzył i rzucił na nią nagle spojrzenie pełne gniewu, w którym był też jakiś nalot szyderstwa.

— Tak, duplikatu — powiedziała Connie, rumieniąc się.

— Może jasny panoczek wiedzom — odparł leśniczy.

— Tak! — rzekła Connie. — Może on ma drugi klucz. A jeżeli nie, moglibyśmy kazać zrobić duplikat według pańskiego. Trwałoby to chyba nie dłużej jak dzień lub dwa. Czy może się pan przez taki czas obyć bez klucza?

— Tego im nie mogą pedzieć. Jo sam nie znóm żodnygo, kiryby robiól kluce.

Connie poczerwieniła nagle z gniewu.

— No, dobrze! — rzekła. — Pomyślę już o tym.

— Dobrze, jasno panucho, niech robiom jak chcom.

Oczy ich spotkały się. W jego oczach było brzydkie spojrzenie niechęci i pogardy, i obojętności na wszystko, co mogło się stać. Jej oczy płonęły z oburzenia.

Ale serce jej zatrwożyło się, ujrzała, jak bardzo był jej niechętny, gdy szła przeciwko niemu. I dostrzegła w nim coś w rodzaju desperacji.

— Do widzenia!

— Dowidzynio, panucho!

Uklonił się i odwrócił szorstko. Zbudziła w nim drzemiące psy dawnego, zajadłego gniewu, gniewu przeciwko niej, upartej samiczce. I był bezsilny, bezsilny. Wiedział o tym!

I ona czula gniew przeciwko upartemu samczykowi. Na domiar jeszcze sługa. Odeszła zła.

Pod wielkimi bukami na wzgórzu spotkała panią Bolton, która rozglądała się za nią.

— Zastanawiałam się właśnie, czy jaśnie pani przyjdzie — rzekła pielęgniarzka z ożywieniem.

— Spóźniłam się? — zapytała Connie.

— Nnie... tylko Sir Clifford czekał, żeby mu pani nalala herbatę.

Samotnik, Pożądanie,  
Sługa, Robotnik



— Dlaczego pani mu nie naląła?

— O, zdaje się, że to mi nie przystoi. Zdaje się, że Sir Clifford nie byłby z tego zadowolony, proszę jaśnie pani.

— Nie rozumiem dlaczego — odpowiedziała Connie.

Weszła do gabinetu Clifforda, gdzie na stoliku szumił stary imbryk mosiężny.

— Spóźniłam się, Cliffordzie! — powiedziała; odłożyła kwiaty i stojąc w kapeluszu i szalu przed stolikiem, zdjęła ogrzewacz herbaty. — Przykro mi bardzo. Dlaczego nie kazałaś pani Bolton podać herbaty?

— Nie przyszło mi to na myśl — odpowiedział Clifford ironicznie. — Trudno mi wyobrazić ją sobie prezydującą przy stoliku z herbatą.

— O, w srebrnym czajniku nie ma przecież nic świętego — rzekła Connie.

Clifford spojrział na nią z zaciekawieniem.

— Co robiłaś całe popołudnie?

— Spacerowałam i siedziałam trochę w osłoniętym miejscu. Czy wiesz, że na wielkim ostrokrzewiu są jeszcze ciągle jagody?

Zdjęła szal i w kapeluszu usiadła, aby przygotować herbatę. Tosty będą na pewno jak podeszwa. Nałożyła ogrzewacz na imbryk i wstała, aby przynieść wazonik na fiołki. Biedne kwiaty zwiesiły główki.

— Ożyją znowu — powiedziała i postawiła je przed nim w wazoniku, aby je powąchał.

— Słodsze niż powieki Junony<sup>47</sup> — zacytował Cliford.

— Nie widzę najmniejszego związku z prawdziwymi fiołkami — rzekła Connie. — Poeci okresu elżbietańskiego są jednak dość napuszeni.

Naląła mu herbaty.

— Jak ci się zdaje, czy istnieje drugi klucz do małego szałas w pobliżu Źródła Świętojańskiego, gdzie się hoduje bażanty? — zapytała.

— Możliwe. Dlaczego?

— Odkryłam dzisiaj to miejsce, nigdy go przedtem nie widziałam. Uważam, że to czarujący zakątek. Mogłabym tam czasem posiedzieć, prawda?

— Czy Mellors tam był?

— Tak! Dzięki temu znalazłam szałas: dzięki stukowi jego młotka. Wydawał się niezbyt zadowolony, że tam wtargnęłam. Tak, był prawie brutalny, kiedy go zapytałam o drugi klucz.

— Co powiedział?

— O, nic. Tak się tylko zachowywał; i powiedział, że nie wie, czy istnieje drugi klucz.

— Może w pracowni ojca będzie. Betts zna wszystkie klucze; wszystkie tam są. Każę mu zobaczyć.

— O, proszę cię! — rzekła Connie.

— Tak, więc Mellors był prawie brutalny?

— O, naprawdę, to nic wielkiego! Ale zdaje mi się, że byłby nierad, gdybym przychodziła do jego twierdzy.

— Prawdopodobnie.

— A jednak nie wiem, co mógłby mieć przeciwko temu. Ostatecznie nie mieszka tam przecież. To nie jego prywatny dom. Nie rozumiem, dlaczego nie miałabym tam siadywać, kiedy mam ochotę.

— Oczywiście! — rzekł Clifford. — Mellors jest zbyt wielkiego zdania o sobie.

— Sądzisz?

— O, stanowczo. Zdaje mu się, że jest czymś nadzwyczajnym. Miał żonę, wiesz, z którą nie żył dobrze. Więc zgłosił się w roku 1915 jako ochotnik do wojska i został wysłany do Indii, zdaje się. W każdym razie był przez dłuższy czas kowalem kawalerii w Egipcie. Zawsze miał do czynienia z końmi. Umiał się z nimi obchodzić. Potem jakiś pułkownik hinduski ogłupiał na jego punkcie i zrobił go porucznikiem. Tak, dano mu szarżę oficerską. Mam wrażenie, że potem po wojnie powrócił ze swoim pułkownikiem

Pozycja społeczna, Pan,  
Sługa, Żołnierz, Ambicja,  
Słowo

<sup>47</sup>Słodsze niż powieki Junony — w oryg. „*Sweeter than the lids of Juno's eyes*”; cytat z *Opowieści zimowej* (*The Winter's Tale*) Shakespeare'a (akt 4, fragm. wypowiedzi Perdity, w tłum. S. Rossowskiego: „fiołki, ciemne wprowadzie, / Lecz powabniejsze od powiek Junony”). [przypis edytorski]

do Indii, na północno-zachodnią granicę. Zachorował; teraz ma emeryturę. Dopiero zeszłego roku, zdaje się, powrócił ze służby wojskowej, a potem oczywiście niełatwo było takiemu człowiekowi zająć znowu dawne stanowisko. Dopuszcza się więc na każdym kroku nietaktów. Ale spełnia swoje obowiązki bardzo sumiennie, o ile to mnie dotyczy. Nie chcę tylko słyszeć o jego porucznikostwie.

— Jak mogli go zrobić porucznikiem, kiedy mówi najordynarniejszą gwarą?

— Wcale tak nie mówi... czasami tylko, wyjątkowo. Potrafi mówić bez zarzutu jak na takiego człowieka. Przypuszczam, iż wyobraża sobie, że jeżeli powrócił między zwyczajnych ludzi, musi też mówić jak zwyczajni ludzie.

— Dlaczego nie opowiedziałeś mi o nim wcześniej?

— O, nie jestem zwolennikiem takich romantycznych losów. Są one ruiną wszelkiego ładu. Wielka szkoda, że wojna przyniosła je ze sobą.

Connie skłaniała się do jego zdania. Cóż za korzyść, że się miało niezadowolonych ludzi, którzy się nigdzie nie nadawali?

Podczas tych pięknych dni zdecydował się i Clifford na przejażdżkę po lesie. Wiatr był zimny, ale nie uciążliwy, a słońce, gorące i pełne, było samym życiem.

— Zdumiewająca rzecz — rzekła Connie — jak innym czuje się człowiek w piękny, świeży dzień. Zazwyczaj ma się uczucie, że nawet powietrze jest na wpół martwe. Ludzie zabijają nawet powietrze.

— Sądysz, że to ludzie robią? — zapytał Clifford.

— Tak, jestem tego zdania. Wyziewy takiego mnóstwa nudy, niezadowolenia i złości wszystkich ludzi po prostu zabijają siłę życiową powietrza. Jestem przekonana, że tak jest.

— Może pewien stan atmosfery zmniejsza siłę życiową ludzi? — zapytał Clifford.

— Nie, to człowiek zatruwa wszechświat — oznajmiła Connie.

— Bruka własne gniazdo?

Ruchomy fotel posuwał się naprzód. W gęstwinie leszczynowej zwiślały blade złote baze, a w miejscach słonecznych przylaszczki leśne były szeroko otwarte, jakby tryskały radością życia, zupełnie jak za minionych czasów, gdy ludzie potrafili radować się nimi. Pachniały z lekka wonią kwiecia jabłoni, Connie zerwała kilka dla Clifforda.

Wziął je do ręki i obserwował uważnie.

— Niepokalana, cicha oblubienico pokoju<sup>48</sup> — zacytował. — To zdanie wydaje się o wiele odpowiedniejsze w zastosowaniu do kwiatów niż do urn greckich!

— Kalać: to takie wstrętne słowo! — rzekła Connie. — Tylko ludzie mogą coś skalać.

— O, nie wiem... ślimaki i inne takie rzeczy — rzekł Clifford.

— Nawet ślimaki tylko zjadają co najwyżej, a takie pszczoły nie kalają niczego.

Zła była na niego, że wszystko obracał w słowa. Fiołki były powiekami Junony, a saski niepokalanymi oblubienicami. Jakże nienawidziła słów — zawsze wciskały się pomiędzy nią a życie: jeśli coś kalało rzeczy, to tylko słowa; gotowe słowa i zdania, wysajające sok żywotny ze wszystkiego, co żyje.

Przechadzka z Cliffordem nie minęła zupełnie szczęśliwie. Pomiędzy Cliffordem a Connie panowało napięcie, a choć każde z nich udawało, że tego nie spostrzega, napięcie to istniało. Nagle, całą siłą swego instynktu kobiecego, odpychała go Connie w myślach od siebie. Chciała się od niego uwolnić, zwłaszcza uwolnić się od jego świadomości, jego słów, jego opętania własnym „ja”, jego bezgranicznego, kieratowego opętania sobą, własnymi słowami.

Pogoda stała się znowu dżdżysta. Ale po kilku dniach Connie wyszła mimo deszczu i skierowała się do lasu. A raz już tu będąc, poszła do szałas. Padało, ale nie było zbyt zimno, i las wydawał się tak cichy i daleki, niedosiężony w pomroce deszczu.

Wyszła na polanę. Nikogo nie ma! Szalas był zamknięty. Usiadła jednak na progu pod wiejskim okapem i skuliła się, aby się rozgrzać własnym ciepłem. Siedziała tak, spoglądając w deszcz, nad słuchując jego niezliczonych odgłosów i dziwnych westchnień wiatru na najwyższych gałęziach, kiedy na pozór nie powiewał najslabszy wiaterek. Stare dęby stały dokoła, siwe, potężne pnie, poczerńnię od deszczu, okrągłe i pełne życia, przeciągając swoje niezatroskane członki. Grunt był prawie zupełnie pozbawiony poszycia, nakrapiany

<sup>48</sup>Niepokalana, cicha oblubienico pokoju — w oryg. „*Thou still unravished bride of quietness*”; początkowy wers *Ody do greckiej urny* (*Ode on a Grecian Urn*) Johna Keatsa. [przypis edytorski]

jedynie przylaszczkami; gdzie indziej tylko kilka krzaków, olch czy kalin, i fioletowa gmatwanina gałęzi jeżyn. Stara, rudawa czerwień paproci znikła niemal pod zielonymi kryzami sasanek. Może to było jedno z niepokalanych miejsc. Niepokalane! Cały świat był skalany.

Niektóre rzeczy nie mogły być skalane. Nie można było skalać pudełka od sardynek. I tyle kobiet było takich. I mężczyzn. Ale ziemia...!

Deszcz ustawał. Tworzył jeszcze tylko szarą zasłonę pomiędzy dębami. Connie chciała odejść; a jednak siedziała. Ale zrobiło się jej zimno; a jednak przemożne lenistwo wewnętrznej niechęci trzymało ją na miejscu jak sparaliżowaną.

Skalanie! Jak skalanym można być, nie będąc nigdy dotkniętym! Skalany przez słowa, które się stały plugawe, i przez martwe idee, które się stały opętaniem.

Mokry, brunatny pies nadbiegł, nie szczekając, uniósł tylko mokry pióropusz ogona. Mężczyzna w mokrej, czarnej kurtce skórzanej jak szofer nadszedł za nim, a twarz jego zarumieniła się trochę. Connie czuła, jak wzdrygnął się w szybkim chodzie, kiedy ją zobaczył. Wstała w wąskim, suchym miejscu pod wiejskim okapem. Leśniczy uklonił się bez słowa i podszedł bliżej. Connie zaczęła się oddalać.

— Chciałam właśnie odejść — rzekła.

— Czekali, panucho, aż bydom mógli wylźć? — zapytał leśniczy, patrząc nie na nią, lecz na szalas.

— Nie, posiedziałam tylko kilka minut pod okapem — odpowiedziała Connie ze spokojną godnością.

Leśniczy spojrzął na nią. Connie patrzyła zimnym wzrokiem.

— Tóż jasny panoczek jednak nie mieli kluca? — zapytał Mellors.

— Nie, ale to nic nie szkodzi. Mogę siedzieć pod okapem, jest tu zupełnie sucho. Do widzenia!

Nienawidziła pychy, z jaką używał w mowie dialektu.

Kiedy się oddalała, leśniczy obserwował ją bystro. Potem uniósł kurtkę, sięgnął ręką do tylnej kieszeni spodni i wydobyl klucz od szalasu.

— No, to może jasno panuchna weznom se mój kluc, a jo se zaś wyszukom jakieś inksze miejsce na chlywik lo fazanów.

Connie spojrziała na niego.

— Jak pan to rozumie? — zapytała.

— No, rozumia tak, że se przeca moga wyszukać kej indziej jaki plac do hodowania małuśkich fazanów. Jak se panuchna bydom sam chcieli przichodzić, to przeca z tym nie bydzie utropy.

Connie spojrziała na niego i poprzez mgłę dialektu zrozumiała, co miał na myśli.

— Dlaczego pan nie mówi zwyczajnie? — zapytała chłodno.

— Jo? Myśla, że przeca godom zwyczajnie.

Connie milczała przez chwilę zagniewana.

— Tóż jak już jasno panuchna chcom mieć koniecznie kluc, to weznom se sam tyn. Abo dom im jutro, a do tego casu powynosza sam stąd te cołkie klamory. Cy się panuchna godzom na to?

Connie stała się jeszcze bardziej zła.

— Nie żadałam pańskiego klucza — rzekła. — Nie chcę wcale, aby się pan stąd wynosił ze swoimi rzeczami. Nie mam najmniejszego zamiaru wypędzać pana z pańskiego szalasu. Dziękuję! Chciałam tylko móc sobie tutaj posiedzieć czasami, jak dzisiaj. Ale mogę tak samo siedzieć pod okapem, więc proszę o tym więcej nie mówić.

Leśniczy spojrzął na nią znowu złymi, niebieskimi oczyma.

— No, ja, ja... — zaczął przeciągłym, powolnym dialektem — ale jasno panuchna majom przeca prawo i do tej szopy, i do kluca, i do wszystkiego, co hań jest. Jeno że w tym casie koźdego roku to jo sam móm kupa roboty, musza sam porząd doglondać i kręcić się i tak porząd... Bez zima to sem przichodzić nie musza. Ale terazki, kiej wiosna za pasem, a jasny panoczek chcom chować fazany... A panuchnie nie bydzie przeca miło, jak sem fórt byda przilził i gospodarował.

Connie przysłuchiwała mu się z niemym zdumieniem.

— Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu, aby pan był tutaj?

Spojrzął na nią dziwnie.

— No, bo to mnie to jest kłopotliwe! — rzekł krótko, ale znacząco.

Connie poczerwieniała.

— Dobrze więc! — rzekła stanowczo. — Nie będę panu sprawiała kłopotu. Nie miałabym jednak na pewno nic przeciwko temu, aby tu siedzieć i przyglądać się, jak pan pielęgnuje młode bażanty. Patrzałabym na to bardzo chętnie. Jeżeli pan jednak sądzi, że panu przeszkadza, nie będę przychodziła, niech się pan nie obawia. Jest pan leśniczym Sir Clifforda, nie moim.

Zdanie to brzmiało dziwnie, Connie nie wiedziała, dlaczego. Ale nie zważała już na to.

— Ale kaj tam, proszę jasny panuchny. To je przeca jeich szopa. Musi być wdycki tak, jak se to jasno panuchna uwożom i tak jak łozkożom. Mogom mie panuchna sam wyciepnąć, jak im sie tak spodobo. Mie sie jeno łozchodzilo to to...

— O co? — zapytała Connie stropiona.

Leśniczy w dziwny, komiczny sposób zsunął kapelusz z czoła.

— Dyc to to jeny, że wierza jasno panuchna chcieli mieć to miejsce jeny lo nich samych, jak sam przichodzim, wierza jasno panuchna chcieli, żebych jo se sam nie gospodarowół.

— Ależ dlaczego? — zapytała Connie z gniewem. — Czyż pan nie jest człowiekiem cywilizowanym? Czy sądzi pan, że musiałabym się pana bać? Dlaczego miałoby mnie obchodzić, czy pan tu jest, czy nie? Dlaczego to ma mieć jakieś znaczenie?

Mellors spojrział na nią, a cała jego twarz migotała złośliwym śmiechem.

— Nie to to idzie, panuchno, nie to to, sprawiedliwie nie.

— Więc o co? — zapytała Connie.

— Mom sie dla jasny panuchny wystarać to drugi kluc?

— Nie, dziękuję! Nie potrzebuję go.

— Wystarom sie panuchnie to kluc. Dyc nojlpiej bydzie, żebychmy każdy mieli swój kluc łod szopy.

— A ja uważam, że pan jest bezczelny — rzekła Connie; rumieniec uderzył jej na twarz, oddychała w przyspieszonym tempie.

— Ale kiej tam! Nie! Niech zys tego panuchna nie godajom! Sprawiedliwie! Nic ech se przeca przy tym nie myśloł złego. Miotech jedynie na myśli, że jak sam panuchna bydom przichodzili, jo byda musioł iść fórt, a z tym bydzie wela komedia i byda se musioł zność jakieś inksze miejsce. Ale dyc jak jasny panuchnie nie byda na zawadzie, no to... Dyc to jest przeca szopa łod jasnygo pana, i wszystko musi być tak, jak to panuchna łozkażom i zarzonzom, jeśli sie panuchna mojom łosobom nie bydom kłopocić, kiej sam byda robił swoja robota i wszystko, co sam bydzie do zrobienio.

Connie odeszła zupełnie stropiona. Nie była pewna, czy ma się czuć śmiertelnie urażona i obrażona czy nie. Może ten człowiek miał rzeczywiście tylko to na myśli, co mówił; może sądził naprawdę, że ona będzie chciała, aby się oddalił z tego miejsca. Jak gdyby jej to kiedykolwiek na myśl przyszło! I jak gdyby on mógł w ogóle być tak ważny dla niej, on i jego głupia obecność!

W gniewnej rozterce poszła do domu, nie wiedząc sama dobrze, co myślała i czuła.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Connie była zdumiona swoim uczuciem niechęci do Clifforda. Co więcej, czuła, że nigdy go prawdziwie nie lubiła. Nie była to nienawiść: w uczuciu tym nie było namiętności; ale była to głęboka niechęć fizyczna. Miała niemal wrażenie, jakby go poślubiła dlatego, że w jakiś tajemniczy, fizyczny sposób nie mogła go znieść. W istocie jednak poślubiła go oczywiście dlatego, że ją duchowo pociągał i podniecał. Wydawał się jej poniekąd mistrzem, człowiekiem wyższym od niej.

Teraz podniecenie duchowe wyczerpało się i załamało, a Connie uświadamiała sobie tylko odrazę fizyczną. Wyphywała ona z jej najgłębszej istoty, i Connie zdawała sobie z niej sprawę; pojmowała także, jak wielkie szkody wyrządzała ta odraza jej życiu.

Czuła się słaba i zupełnie bezradna. Pragnęła jakiejś pomocy z zewnątrz. Ale na całym świecie nie było pomocy. Społeczeństwo było okropne, ponieważ było obłąkane. Cywilizowane społeczeństwo było obłąkane. Pieniądz i tak zwana miłość — to były jego dwie

Obraz świata, Szaleństwo,  
Pieniądz, Miłość

wielkie manie; na pierwszym miejscu pieniądź. Jednostka mogła się utrzymać w tym bezskładnym obłędzie tylko przez te dwie moce: pieniądź i miłość. Na przykład Michaelis! Jego życie i działalność były po prostu obłędem. Miłość jego była rodzajem obłędu.

Z Cliffordem było tak samo. Cała ta gadanina! Cała ta pisanina! I to dzikie zmaganie się, aby się wysunąć na czoło! Był to po prostu obłęd i obłęd ten stawał się coraz groźniejszy, naprawdę maniacki.

Connie czuła w sobie pustkę przerażenia. Ale Clifford przełożył przynajmniej ciężar swego istnienia z niej na panią Bolton. Nie wiedział o tym. Jak u wielu obłąkanych, można było zmierzyć jego obłęd rozmiarami tego, czego sobie nie uświadamiał; olbrzymimi wyrwami w jego świadomości.

Pani Bolton była pod wieloma względami godna podziwu. Posiadała jednak ów dziwny gatunek żądzy władzy, owo bezgraniczne wysuwanie na pierwszy plan własnej woli, stanowiące u dzisiejszych kobiet cechą charakterystyczną obłędu. *Sądziła*, że jest zupełnie oddana służbie i żyje dla innych. Clifford fascynował ją, ponieważ stale lub bardzo często paraliżował jej wolę przez subtelniejsze narzędzie. Jego wola była subtelniejsza, zręczniejsza niż jej. Na tym polegał dla niej jego urok.

Może było to także urokiem dla Connie.

— Piękny dziś mamy dzień! — mówiła na przykład pani Bolton pochlebczym głosem namowy. — Myślę, że mała przejażdżka w fotelu sprawiłaby panu przyjemność; słońce jest wprost cudowne.

— Tak? Niech mi pani da książkę: tam leży, tę złotą. Myślę, że trzeba będzie wyrzucić hiacynty z pokoju.

— Przecież one są piękne! — Kładła szczególny nacisk na ten wyraz. — A zapach ich jest po prostu wspaniały.

— Właśnie ich zapachu nie mogę znieść — odpowiedział Clifford. — Zanadto mi przypomina pogrzeb.

— Mówi pan to poważnie? — zawołała pani Bolton zaskoczona i nieco urażona, ale stropiona.

I wyniosła hiacynty z pokoju, przytłoczona jego subtelniejszą wrażliwością.

— Mam pana dzisiaj ogolić czy też woli pan to sam zrobić?

Zawsze ten sam pochlebczy, poddańczy, a jednak rozkazujący głos.

— Nie wiem. Może pani jeszcze zaczeka. Zadzwoń, kiedy będę gotów.

— Słucham pana, Sir Cliffordzie — odpowiedziała pani Bolton łagodnie i posłusznie, wychodząc cicho z pokoju.

Ale każda odmowa budziła w niej nową siłę woli.

Gdy Clifford zadzwonił po pewnym czasie, przyszła natychmiast. A potem Clifford rzekł:

— Zdaje się, że będzie lepiej, jeżeli pani mnie dzisiaj ogoli.

Lekki dreszcz radości przeniknął jej serce; odpowiedziała ze szczególną wyrozumiałością:

— Słucham pana, Sir Cliffordzie.

Była bardzo zręczna, miała miękkie, wahające się, nieco powolne ręce. Początkowo odczuwał Clifford niechęć wobec nieskończenie lekkiego dotknięcia jej dłoni na twarzy. Ale teraz lubił to, budziło w nim to coraz większą rozkosz. Kazał się teraz prawie co rano golić przez panią Bolton; twarz jej była blisko jego twarzy, w oczach jej było baczne spojrzenie, czuwające, czy spełnia swoją czynność należycie. Niebawem palce jej знаły doskonale jego policzki i wargi, jego szczęki i podbródek, jego gardło. Był dobrze odżywiony, wyglądał doskonale, twarz jego i szyja były dość ładne, był gentlemanem.

I ona była ładna, blada, o twarzy raczej podługowatej i zupełnie spokojnej, o połyskliwych oczach, nieodslaniających niczego. Wolno, z bezgraniczną łagodnością, niemal z miłością, dotykała jego gardła, a on poddawał się jej.

Spełniała teraz dla niego prawie wszystko, a Clifford czuł się wobec niej mniej skrępowany niż wobec Connie, mniej się wstydził przyjmować jej posługi. Pani Bolton powiedziała kiedyś do Connie:

— Wszyscy mężczyźni są w istocie małymi dziećmi, jeśli ich poznać do gruntu. Ach, pielegnowałam niejednego z największych zuchów w Tevershall, ale niech ich tylko coś

zaboli, tak że trzeba się nimi opiekować, a stają się natychmiast małymi dziećmi, po prostu małymi dziećmi. O, niewielkie bywają różnice między mężczyznami!

Początkowo pani Bolton sądziła, że istnieje naprawdę różnica, jeśli idzie o gentlemanna, o *prawdziwego* gentlemanna, jak Sir Clifford. I stąd wyższość Clifforda nad nią. Ale potem, kiedy go poznała do gruntu, aby użyć jej własnego wyrażenia, przekonała się, że był taki sam, jak inni, że był małym dzieckiem, które wyrosło do rozmiarów mężczyzny, małym dzieckiem o cudownym temperamencie i subtelnych manierach, o mocy panowania nad sobą i rozmaitych dziwnych umiejętnościach, o jakich jej nigdy się nie śniło, umiejętnościach, którymi dziś jeszcze potrafił ją wprowadzić w załęknięcie.

Connie czuła nieraz pokusę, aby mu powiedzieć:

— Na Boga, nie poddawajże się tak zupełnie tej kobiecie!

Przekonała się jednak, że z biegiem czasu przestała do tego przywiązywać wagę tak dalece, aby mu to miała powiedzieć.

Ciągle jeszcze miała zwyczaj spędzać z nim wieczór do godziny dziesiątej. Rozmawiali albo czytali razem, niekiedy przeglądali jego rękopisy. Ale zapał ich znikł. Manuskrypty Clifforda nudziły Connie. Przepisywała je jednak nadal obowiązkowo na maszynie. Z czasem jednak pani Bolton obejmie i tę funkcję. Zaproponowała pani Bolton, aby się uczyła pisać na maszynie. A pani Bolton, zawsze do wszystkiego gotowa, rozpoczęła naukę i ćwiczyła się pilnie. Clifford dyktował jej więc niekiedy list, a ona pisała wprawdzie wolno, ale poprawnie. Zaś Clifford okazywał wiele cierpliwości, gdy musiał jej dyktować po literce trudniejsze wyrazy albo przytrafiające się zdania francuskie. Miała tyle zapału, że niemal przyjemnością było uczyć ją.

Connie udawała teraz niekiedy migrenę, aby móc zaraz po kolacji odejść do swego pokoju.

— Może pani Bolton zagra z tobą w pikietę — proponowała Cliffordowi.

— O, nie troszcz się o mnie. Idź do swojego pokoju i wypocznij, kochanie.

Zaledwie jednak wyszła, dzwonił na panią Bolton i prosił, aby z nim zagrała w pikietę, w bezika, a nawet w szachy. Nauczył ją wszystkich tych gier. Connie uważała to za dziwnie wstrętne widowisko, gdy pani Bolton lekko jak mała dziewczynka dotykała niepewnymi palcami damy albo waleta, a potem szybko cofała rękę. I gdy Clifford z na wpół szyderczą przewagą mówił z uśmiechem:

— Powinna pani powiedzieć *j'adoube!*<sup>49</sup>

Pani Bolton spoglądała na niego połyskującymi, zdumionymi oczyma i pomrukiwała lekko i posłusznie:

— *J'adoube!*

Tak, wychowywał ją. I sprawiało mu to przyjemność, a jej dawało poczucie mocy. Była zachwycona. Krok za krokiem zdobywała to wszystko, co wiedział wytworny świat, to wszystko, co stanowiło o przynależności do wyższej klasy: oczywiście poza pieniędzmi. Wprawiała ją to w zachwyt. A jednocześnie wzbudzało w Cliffordzie pragnienie ciągłego obcowania z nią. Ten jej szczerzy zachwyt był przebiegle subtelnym, głęboko ukrytym pochlebstwem dla niego.

Connie miała wrażenie, jakoby Clifford teraz dopiero ukazywał się w swojej właściwej postaci: nieco wulgarny, nieco powszedni i nieduchowy; dość otyły. Fortele i pokorne tyraństwo Ivy Bolton były także aż nazbyt przejrzyste. Ale Connie dziwiła się naprawdę szczeremu zapałowi, jaki kobieta ta potrafiła wydobyc z Clifforda. Powiedzieć, że była w nim zakochana, znaczyłoby źle się wyrazić. Była zachwycona wejściem w kontakt z mężczyzną należącym do wyższej klasy, z arystokratą i gentelmanem, z tym pisarzem, który umiał tworzyć opowiadania i poezje, którego fotografie ukazywały się w ilustrowanych pismach. Zachwyt jej dochodził aż do jakiejś niesamowitej namiętności. A okoliczność, że on ją wychowywał, budziła w niej namiętne podniecenie i odzew w stopniu daleko silniejszym, niżby to uczyniła przygoda miłosna. Tak, właśnie fakt, że *nie mogło* tu być przygody miłosnej, umożliwiał jej przejście się aż do szpiku kości tą namiętnością, namiętnością *posiadania wiedzy*, wiedzy tego samego rodzaju, jaką on posiadał.

Pozycja społeczna, Kobieta,  
Mężczyzna, Wiedza

<sup>49</sup>*j'adoube* (fr.) — dostosowuję (formuła wypowiedziana w szachach przy dotknięciu figury, jeśli nie wykonuje się jeszcze właściwego ruchu). [przypis edytorski]

Trudno było nie dostrzec, że osoba ta była w nim poniekąd zakochana: bez względu na to, jaką siłę przypisywałoby się wyrazowi miłość. Wyglądała tak ładnie i tak młodo, a szare jej oczy były niekiedy cudowne. Zarazem jednak otaczała ją jakieś ukryte, łagodne zadośćuczynienie, nawet coś w rodzaju triumfu i potajemnego zadowolenia. Ach, to potajemne zadowolenie! Jakież wstręt czuła przed nim Connie!

Nic dziwnego jednak, że Clifford dał się opętać przez tę kobietę! Spowijała go po prostu swoim uporem i oddawała się bezwarunkowo na jego usługi, aby z niej korzystał, ile zapragnie. Nic dziwnego, że mu to pochlebiało!

Connie przysłuchiwała się długim rozmowom między nimi. A raczej przeważnie mówiła pani Bolton. Rozpętała przed nim potok plotek na temat wsi Tevershall. Było to coś więcej niż plotki. Były to Mrs Gaskell i George Eliot, i Miss Mitford<sup>50</sup>, połączone razem, ale o znacznie większej wydajności niż te kobiety. Raz rozkręcona, pani Bolton była lepsza od wszelkiej książki o życiu ludu. Znała go tak dokładnie i żywiła tak silne, tak gorące zainteresowanie dla jego spraw, że było rzeczą cudowną, ale i nieco poniżającą przysłuchiwać się jej. Początkowo nie miała odwagi „mówić o Tevershall”, jak to nazywała. Ale gdy raz zaczęła, szło już dobrze. Clifford starał się podchwytować materiał i znajdował go mnóstwo. Connie rozumiała, że jego tak zwany talent na tym właśnie polegał: na wybitnym uzdolnieniu do osobistych plotek, rozumnym i najwidoczniej obiektywnym. Pani Bolton zapalała się oczywiście bardzo, „mówiąc o Tevershall”. Tak, była naprawdę przejęta. Dziwne to, ile rzeczy się działo i o ilu ona wiedziała. Mogłaby nagadać dziesiątki tomów.

Connie, przysłuchując się, była zainteresowana, ale potem doznawała zawsze lekkiego zawstydzenia. Nie powinna była przysłuchiwać się z takim dziwnym, porywczym zaciekawieniem. Ostatecznie można słuchać najtajemniejszych spraw innych ludzi, ale tylko w sensie szacunku dla owego zmagającego się, uciśnionego przez los tworu, jakim jest każda dusza człowiecza, w sensie szlachetnego, rozumnego współczucia. Gdyż i satyra jest rodzajem współczucia. Tym, co naprawdę charakteryzuje nasze życie, jest sposób, w jaki współczucie nasze ujawnia się i cofa. I na tym polega olbrzymie znaczenie powieści, jeśli się ją we właściwy sposób uprawia. Może ona dawać nową wiedzę i kierować prąd naszego współczucia w nowe miejsca, może odwracać nasze współczucie ze wstrętem od rzeczy, które są obumarłe. Dlatego powieść, gdy się ją we właściwy sposób uprawia, może odsłaniać najtajemniejsze źródła życia, gdyż przede wszystkim w namiętnych, tajemnych miejscach życia winny się wznosić i opadać fale zdolnej do odczuwania świadomości, zawsze działając oczyszczająco i orzeźwiająco.

Ale powieść, podobnie jak plotka, może też wzbudzać przejściowe sympatie i antypatie, mechaniczne, śmiertelne dla duszy. Powieść może upiększać najgorsze uczucia, póki są *konwencjonalnie* „czyste”. I wówczas powieść, podobnie jak plotka, staje się wreszcie występna i — podobnie jak plotka — tym bardziej występna, że zawsze staje ostentacyjnie po stronie aniołów. Plotka pani Bolton stawała zawsze po stronie aniołów. „A on był takim *podłym* mężczyzną, a ona była taką *piękną* kobietą”. Podczas gdy Connie nawet z samej plotki pani Bolton mogła się przekonać, że kobieta była tylko obdarzona niejaką elokwencją, zaś mężczyzna odznaczał się popędliwą uczciwością. Ale przy występny, konwencjonalnym skanalizowaniu sympatii przez panią Bolton popędlawa uczciwość dawała w rezultacie „*podłego* mężczyznę”, a gadulstwo „*piękną* kobietę”.

Dlatego to plotka jej była poniżająca. I z tego samego powodu powieści, zwłaszcza popularne, są także poniżające. Publiczność odpowiada dziś tylko na apel do własnych występków.

Tym niemniej można było z opowiadań pani Bolton powziąć wyobrażenie o Tevershall. Wieś wydawała się straszliwym, pieniącym się kłębowiskiem szpetnego życia, bynajmniej nie płytka i monotonna, jak wyglądała na pozór. Clifford znał oczywiście z widzenia większość ludzi, o których mówiła pani Bolton, Connie tylko nielicznych. Ale przypominało to naprawdę raczej dżunglę Afryki Środkowej niżeli wieś angielską<sup>51</sup>.

<sup>50</sup>Mrs Gaskell i George Eliot, i Miss Mitford — Elizabeth Cleghorn Gaskell, George Eliot (właściwie: Mary-Ann Evans) i Mary Russel Mitford, popularne autorki angielskie ubiegłego wieku [tj. wieku XIX; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>51</sup>Ale przypominało to naprawdę raczej dżunglę Afryki Środkowej niżeli wieś angielską — w oryginale po tych słowach następuje próbką wioskowych plotek przekazywanych przez panią Bolton: „Przypuszczam, że słyszał

Współczucie, Sztuka

Sztuka, Plotka, Literat

Clifford począł z jej opowiadań nabierać nowego pojęcia o swojej wsi. Budziła w nim ona zawsze lęk, uważał go jednak za mniej lub bardziej uzasadniony. Ale teraz —?

— Czy wiele jest wśród ludu socjalizmu, bolszewizmu? — zapytał.

— O! — odpowiedziała Pani Bolton. — Jest kilku krzykaczy. Ale przeważnie są to kobiety, które popadły w długi. Mężczyźni nie troszczą się o to. Nie sądzę, żeby z naszych tevershallczyków można było zrobić komunistów. Za przyzwoici są na to. Młodzi wierzą co prawda czasami. Nie znaczy to jednak, żeby im na tym naprawdę zależało. Chcą mieć tylko trochę pieniędzy w kieszeni, żeby je przepuszczać w Domu Ludowym albo w Sheffield. To jedyna rzecz, na której im zależy. Tylko wtedy, gdy nie mają pieniędzy, słuchają podszeptów czerwonych. W rzeczywistości jednak nikt w to nie wierzy.

— Więc sądzi pani, że nie ma niebezpieczeństwa?

— O nie! Póki dosyć zarabiają, na pewno nie. Ale gdyby jeszcze przez długi czas szło źle, chłopcy mogliby się stać nierozważni. Powiadam panu, że to egoistyczna, chciwa banda. Nie sądzę jednak, żeby kiedykolwiek coś przedsięwzięli. Nie traktują niczego poważnie, poza rozbijaniem się na motocyklach i poza *Palais de Dance* w Sheffield. Nie można ich namówić do niczego poważnego. Poważniejsi stroją się i chodzą do *Palais*, aby się pysznić przed jak największą ilością dziewczyn i tańczyć tego nowego charlestona czy Bóg wie co. Jestem pewna, że czasami autobus jest pełen młodzieńców w wieczorowych ubraniach, samych chłopaków z kopalni, jadących do *Palais*; nie mówiąc już o tych, któ-

---

pan, że panna Allsopp wyszła za mąż w zeszłym tygodniu! Ależ jakże mógłby pan słyszeć o tym! Panna Allsopp, córka starego Jamesa Allsopp, tego od butów. Wiesz pan, że zbudowali dom w Pye Croft. Staruszek zmarł w zeszłym roku na skutek upadku; miał osiemdziesiąt trzy lata i był zwinny jak młodzieniec. A potem poślizgnął się na Bestwood Hill, na ślizgawce, którą chłopcy zrobili zeszłej zimy, i złamał udo. I to go wykończyło, biedny staruszek, szkoda. Wszystkie swoje pieniądze zostawił Tattie, chłopcom nie zostawił ani grosza. A Tattie, ile to, pięć, tak, zeszłej jesieni skończyła pięćdziesiąt trzy lata. I wie pan, że oni byli tacy kościółkowi, słowo daję! Ona uczyła w szkółce niedzielnej przez trzydzieści lat, dopóki nie umarł jej ojciec. A potem zaczęła się prowadzić z facetem z Kinbrook, nie wiem, czy go pan zna, starszym facetem z czerwonym nosem, raczej z dandysowatym, Willcockiem, który pracuje w leśniczówce Harrisona. Cóż, ma sześćdziesiąt pięć lat, prawdę mówiąc, ale można by pomyśleć, że to para gołąbków, kiedy się ich widziało idących pod rączkę i całujących się przy bramie: tak, albo jak ona siedzi mu na kolanach w wykuszu na Pye Croft Road, żeby każdy mógł ją zobaczyć. On ma synów po czterdziestce, a żonę stracił dwa lata temu. Ze też stary James Allsopp nie wstał z grobu, bo przecież chował ją tak surowo! A teraz się pobrali i zamieszkali w Kinbrook, i mówią, że ona chodzi w szlafroku od rana do nocy, co za widok. Jestem pewna, że to okropne, jak te staruchy się zachowują! Są o wiele gorsi niż młodzi, to o wiele bardziej obrzydliwe. Według mnie to przez filmy. Ale nie można ich powstrzymać. Zawsze mówilem: idź na dobry, pouczający film, ale na litość boską trzymaj się z dala od tych melodramatów i filmów miłosnych. W każdym razie dzieci trzeba trzymać z daleka! No i proszę, dorosli są gorsi od dzieci, a starzy biją wszystkich na głowę. Moralność! Nikogo to nie obchodzi. Ludzie robią, co im się podoba, i muszę przyznać, że jest im z tym o wiele lepiej. Ale teraz pokazują rogi, teraz w szybach zła robota, a nie mają za to pieniędzy. Narzekają okropnie, zwłaszcza kobiety. Mężczyźni są dobrzy i cierpliwi! Co oni mogą zrobić, biedaki! Ale kobiety, och, nie przestają! Chodzą i popisują się, dając datki na prezent ślubny dla księżniczki Mary, a potem, gdy widzą wszystkie wspaniałe rzeczy, które zostały podarowane, po prostu zachwycają się: kim ona jest, lepsza od kogokolwiek w świecie! Dlaczego Swan i Edgar nie da mi jednego futra, zamiast dać jej sześ. Żałuję, że nie zatrzymałam swoich dziesięciu szylingów! Chciałbym wiedzieć, co ona mi da? Tu nie mogę dostać nowego wiosennego płaszcza, mój tata ma podłą pracę, a ona dostaje całe furgonetki. Nadszedł czas, aby biedni ludzie mieli trochę pieniędzy do wydania, bogaci mieli je wystarczająco długo. Chcę nowy wiosenny płaszcz, naprawdę, a gdzie go dostanę? Mówię im, bądźcie wdzięczni, że jesteście dobrze odżywieni i dobrze ubrani, bez tych wszystkich nowych ozdób, których pragniecie! A oni na to: „Dlaczego księżniczka Mary nie jest wdzięczna za to, że chodzi w swoich starych lachmanach i nic nie ma?”. Ludzie tacy jak ona dostają całe furgonetki, a ja nie mogę mieć nowego wiosennego płaszcza. To cholerny wstyd. Księżniczka! Żeby zgnilizna tę księżniczkę! To nie ma znaczenia, że ma dużo, właśnie dlatego dają jej więcej! Nikt mi nic nie daje, a mam takie samo prawo jak każdy inny. Próżne gadanie o edukacji. To nie ma znaczenia. Chcę nowy wiosenny płaszcz, ale go nie dostanę, bo nie ma na to pieniędzy... To wszystko, na czym im zależy, ubrania. Nie mają nic przeciwko temu, by dać siedem czy osiem gwinej za zimowy płaszcz (córkom górników, przypominam) i dwie gwinee za letni kapelusz dla dziecka. A potem idą do Starej Kaplicy w kapeluszu za dwie gwinee, dziewczęta, które w moich czasach byłyby dumne z kapelusza za trzy funty i sześć pensów. Słyszałem, że podczas tegorocznego jubileuszu metodystów, kiedy zbudowano platformę dla dzieci ze szkółki niedzielnej, przypominającą trybunę sięgającą prawie sufitu, panna Thompson, która ma pierwszą klasę dziewcząt w szkółce niedzielnej, powiedziała, że na tej platformie będzie ponad tysiąc funtów w nowych niedzielnych ubraniach! Takie są czasy! Ale nie można ich powstrzymać. Mają bzika na punkcie ubrań. Chłopcy wydają każdy grosz na siebie, ubrania, palenie, picie w Miners' Welfare, wyjazdy do Sheffield dwa lub trzy razy w tygodniu. To inny świat. I niczego się nie boją, i niczego nie szanują ci młodzi, nie. Starsi mężczyźni są cierpliwi i dobrzy, pozwalają kobietom na wszystko. I do tego to właśnie prowadzi. Kobiety są prawdziwymi demonami. Ale chłopcy nie są tacy jak ich ojcowie. Nie poświęcają się ani trochę: wszystko robią dla siebie. Jeśli powiesz im, że powinni odłożyć trochę na dom, powiedzą: „Co się zachowa, co się da, ja idę się bawić, póki mogę. Na nic więcej nie chcę ciuć! Och, są bezwzględni i samolubni, mówiąc wprost. Wszystko spada na starszych mężczyzn, a to zła perspektywa dla wszystkich”. [przypis edytorski]



rzy jadą tam ze swoimi dziewczętami autem albo motocyklem. Nie poświęcają oni ani jednej poważnej myśli niczemu poza wyścigami w Doncaster i Derby: gdyż wszyscy jak jeden mąż robią zakłady przy każdym wyścigach. I piłka nożna! Ale i piłka nożna nie jest już tym samym co dawniej, bynajmniej. Powiadają, że to o wiele za duży wysiłek. Nie, wolą jeździć w sobotę po południu motocyklami do Sheffield albo Nottingham.

— A co robią, kiedy tam są?

— O, wałęsają się dokoła.. wypijają herbatę w jakiejś eleganckiej kawiarni, jak Mikado... i chodzą ze swymi dziewczętami do Palais albo do Pictures albo do Empire. Dziewczęta zachowują się zupełnie tak samo swobodnie, jak chłopcy. Robią po prostu, co im się podoba.

— A co robią, jeżeli nie mają na te rzeczy pieniędzy?

— Zawsze je skądśsi wydostaną. A potem zaczynają brzydko mówić. Ale nie rozumiem, jak może tu powstać bolszewizm, jeżeli chłopcy nie pragną niczego, tylko pieniędzy na rozrywki, a dziewczęta tak samo i na dodatek jeszcze na ładne suknie, a o nic innego się nie troszczą. Nie mają dosyć rozumu, żeby zostać socjalistami. Nie mają dosyć powagi, żeby cokolwiek traktować naprawdę poważnie, i nigdy jej mieć nie będą.

Connie pomyślała, jak niezwykle podobne są klasy niższe do wszystkich innych klas, wedle tego, co tu słyszała. Było to po prostu to samo w innej odmianie, Tevershall, Mayfair czy Kensington. Jedna istniała dzisiaj klasa: ludzie łaknący pieniędzy. Mężczyźni łaknący pieniędzy i kobiety łaknące pieniędzy. Jedyna różnica polegała na tym, ile się posiadało i ile chciało się posiadać.

Pod wpływem pani Bolton Clifford zaczął okazywać nowe zainteresowanie kopalniami. Zaczął odczuwać, że należy do nich. Rozwinął się w nim nowy rodzaj pewności siebie. Ostatecznie był prawdziwym panem Tevershall, był naprawdę kopalnią. Było to nowe poczucie mocy, coś, przed czym dotąd cofał się lękliwie.

Pokłady tevershallskie stawały się coraz mniej wydajne. Istniały jeszcze tylko dwie kopalnie: samo Tevershall i Nowy Londyn. Tevershall było niegdyś słynną kopalnią i przynosiło słynną sumę pieniędzy. Ale najlepsze jego dni przeminęły. Nowy Londyn nigdy nie był zbyt bogaty i w normalnych czasach rozwijał się tylko jako tako. Ale teraz czasy były złe i szyby Nowego Londynu zostały zarzucone.

Głównie dzięki rozmowom z panią Bolton poczęła się w Cliffordzie budzić nowa energia. Pani Bolton dała mu do zrozumienia, że dochód jego ze spuścizny po ojcu był pewny, chociaż niewielki. Na kopalniach w istocie niewiele mu zależało. Pragnął on zdobyć inny świat, świat literatury i sławy; świat popularności, nie świat pracy.

Teraz uświadomił sobie różnicę między powodzeniem w zdobywaniu popularności, a powodzeniem w pracy, między ludnością używającą a pracującą. On sam wspierał swymi opowiadaniem ludność używającą. I nieźle się na tym obławiał. Ale pod warstwą ludności używającej była gniewna, zasmolona, straszliwa ludność robotników. I ona musiała mieć swoich opiekunów, a znacznie mniej miłym zajęciem było opiekować się ludnością pracującą niż ludnością poszukującą rozrywek. Podczas gdy on pisał swoje opowiadania i „doszedł do czegoś” na świecie, Tevershall znalazło się na ślepych torze.

Pojął teraz, że psia bogini Powodzenia miała dwa apetyty: jeden na pochlebstwa, przymilanie się, głaskanie i laskotanie, co dawali jej artyści i pisarze, i drugi, gwałtowny — na mięso i kości. A mięso i kości dostarczali psiej bogini ludzie, którzy robili pieniądze w przemyśle.

Tak, istniały dwie wielkie grupy psów walczących o psią boginię: grupa pochlebców, tych, którzy ofiarowali jej rozrywki, opowiadania, filmy, sztuki teatralne; i druga grupa, bardziej niepozorna, znacznie dzikszego chowu, grupa tych, co dawali jej mięso, prawdziwą strawę pieniądza. Wypielęgnowane, rzucające się w oczy luksusowe psy rozrywek warcząc rywalizowały między sobą o łaski psiej bogini. Ale było to niczym wobec niemych aż do ostatniego tchnienia walk, jakie toczyły się między nieodzownymi psami użytkowymi, przynoszącymi kości.

Pod wpływem pani Bolton doznał Clifford pokusy wzięcia udziału w tej drugiej walce i zawładnięcia psią boginią przez brutalne środki produkcji przemysłowej. Ogarnęła go żądza walki. Pod jednym względem pani Bolton zrobiła z niego mężczyznę, jakim Connie nigdy by go nie zrobiła. Connie trzymała go w odosobnieniu, czyniła go wrażliwym, świadomym siebie samego i swego stanu. Pani Bolton uczyniła go teraz świadomym rzeczy

Polityka, Lud, Pieniądz

Bogactwo, Pozycja społeczna

zewnątrznych. Wewnętrznie począł się stawać miękki jak galareta. Ale zewnętrze zaczął nabierać energii.

Zdobyl się nawet na to, że zwiedził kiedyś kopalnię: a gdy już tam raz był, zjechał do szybu i kazał się ciągnąć w wózku wyciągowym po chodnikach. Rzeczy, których się uczył przed wojną, a potem zupełnie zapomniał, odżyły znowu w jego umyśle. Siedział, kaleka, w wózku górniczym, a sztolnik oświetlał mu silną latarnią pokłady. Clifford mówił mało. Ale duch jego począł pracować.

Zaczął znowu czytać swoje dzieła techniczne o górnictwie, studiował sprawozdania rządowe i czytał starannie najnowsze niemieckie książki o wydobywaniu i chemii węgla i łupku. Najważniejsze odkrycia były oczywiście w miarę możliwości trzymane w tajemnicy. A gdy się raz rozpoczęło jakiś rodzaj badań w dziedzinie górnictwa węglowego, jakiś studium metod i środków, badanie produktów ubocznych i możliwości chemicznych węgla, trzeba się było dziwić wynalazczości i niemal niesamowitej przenikliwości nowoczesnego ducha technicznego, jak gdyby naprawdę sam diabeł udzielił technicznym naukom przemysłowym piekielnego rozumu. Było to daleko bardziej zajmujące niż sztuka i literatura; daleko bardziej emocjonująca, niż owe nędzne, uczuciowe, pógłówkowate brednie, była techniczna wiedza przemysłowa. Na tym polu ludzie byli podobni bogom lub demonom, byli natchnieni do odkryć i walczyli, aby ich dokonywać. W tej działalności ludzie wyprzedzali wszelki dający się wyliczyć wiek duchowy. Ale Clifford wiedział, że jeśli szło o stronę uczuciową i ludzką, ci *self-made-meni* byli mniej więcej w wieku lat trzynastu, byli słabymi chłopcami. Niezgodność była olbrzymia i przerażająca.

Ale niech tam. Niechaj człowiek pod względem uczuciowym i „ludzkim” stacza się do zupełnego zidiocenia, Cliffordowi zupełnie na tym nie zależało. Niech to wszystko diabli porwą. Interesowała go tylko technika współczesnego górnictwa i interesowało go wyciągnięcie Tevershall z opalów.

Dzień po dniu jeździł teraz do kopalni, studiował, konferował z naczelnym dyrektorem, z dyrektorem technicznym, ze sztolnikiem, z inżynierami, którym by się o tym nigdy nie śniło. Władza! Czuł się przeniknięty nowym poczuciem władzy. Władza nad tymi wszystkimi ludźmi, nad setkami a setkami górników. Począł się orientować; począł ujmować sprawy w swoje ręce.

I zdawało się, że się naprawdę odrodził. *Teraz* wstąpiło w niego życie! Żyjąc z Connie i w osobistej izolacji z artystami oraz świadomymi istotami, Clifford powoli obumierał. Teraz rzucił to wszystko. Precz z tym! Czuł niejako, jak z węgla, z szybu płynęło ku niemu niepokromione życie. Nawet mdłe powietrze podziemne wydawało mu się miłsze niż tlen. Dawało mu poczucie potęgi, potęgi. Robił coś: i był *na drodze* do czegoś. Był na drodze do zwycięstwa, zwycięstwa: nie, jak to było z jego opowiadaniem, na drodze do samej tylko popularności, którą trzeba było zdobywać największym wysiłkiem energii i złości. Ale na drodze do męskiego zwycięstwa.

Początkowo zdawało mu się, że rozwiązaniem jest elektryczność, przekształcenie węgla w siłę elektryczną. Potem przyszła mu nowa myśl. Niemcy wynaleźli nową lokomotywę samoczną, która nie potrzebowała palacza i popędzana była nowym paliwem, spalającym się w niewielkich ilościach w szczególnych warunkach i wydającym olbrzymie ciepło.

Idea nowego, skoncentrowanego paliwa, które by się spalało z wielką powolnością przy olbrzymiej wydajności ciepła, była pierwszą, która przykuła Clifforda. Przy spalaniu takiego paliwa musiał być jeszcze jakiś inny rodzaj wpływu, nie tylko dopływ powietrza. Począł robić doświadczenia i sprowadził sobie do pomocy dzielnego młodzieńca, który okazał się wspaniałym chemikiem.

I czuł swój triumf. Wyszedł wreszcie poza siebie samego, spełnił tęsknotę całego swego życia, tęsknotę, aby wyjść poza siebie. Sztuka nie dała mu tego, sztuka zaostrzyła tylko żądzę. Ale teraz, teraz dopiął swego.

Nie uświadamiał sobie, jak bardzo wspierała go w tym pani Bolton. Nie wiedział, jak dalece zależny był od niej. Mimo to jasne było, że kiedy był z nią, głos jego opadał do niedbalego tonu poufałości, który stawał się nawet nieco wulgarny.

Wobec Connie zachowywał się trochę sztywno. Czuł, że zawdzięcza jej wszystko, i okazywał jej wielki szacunek i względy, póki i ona okazywała mu przynajmniej zewnętrzny szacunek. Jasne jednak było, że czuł przed nią potajemny lęk. Nowy Achilles, który się w nim narodził, miał piętę. A w tę piętę mogła go kobieta, taka kobieta jak

Władza

Connie, jego żona, fatalnie zranić. Żył w jakiejś na wpół poddańczej trwodze przed nią i zachowywał się wobec niej niezwykle uprzejmie. Ale głos jego był trochę naprężony, kiedy z nią mówił, i zaczął się w jej obecności stawać milczący.

Tylko gdy był sam z panią Bolton, czuł się naprawdę panem i mistrzem, a w rozmowie z nią głos jego brzmiał niemal tak swobodnie i gadatliwie, jak jej głos. Pozwalał się przez nią golić albo obmywać sobie całe ciało gąbką, jak gdyby był dzieckiem, zaprawdę, jak gdyby był dzieckiem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Connie bywała teraz dość często sama, gdyż do Wragby przyjeżdżało mniej ludzi. Clifford nie potrzebował ich już. Zwrócił się nawet przeciwko „koleżkom”. Stał się dziwakiem. Wolał radio, które kazał sobie urządzić poważnym kosztem, ale i z poważnym sukcesem. Mógł słuchać niekiedy Madrytu lub Frankfurtu, nawet tutaj, w tej niespokojnej Anglii Środkowej.

Przesiadывał więc godzinami samotny i nadsluchiwał gadających z dala bez przerwy *speakerów*. Connie nie mogła się temu nadziwić. A on siedział ciągle, z nieruchomą, nieprzytomną twarzą, jak człowiek, który stracił rozum, i słuchał tych bzdur, a przynajmniej zdawało się, że słuchał.

Czy słuchał rzeczywiście? Czy też był to rodzaj środka oszołamiającego, jaki przyjmował, aby coś innego w nim mogło swobodnie pracować? Connie nie wiedziała. Chroniła się do swego pokoju albo uciekała z domu do lasu. Ogarniało ją niekiedy jakieś przerażenie, jakaś trwoga przed rozpoczynającym się oblędem całego cywilizowanego gatunku ludzkiego.

Ale teraz, gdy Clifford wdał się w tę inną niesamowitą działalność przemysłowej i stał się niemal stworzeniem o twardej, dzielnej skorupie i lepkim wnętrzu, okazem owych zdumiewających krabów i homarów nowoczesnego świata przemysłowego i finansowego, bezkręgowców z gatunku skorupiaków, ze skorupami ze stali jak maszyny i z wnętrzem z miękkiego یتu — teraz Connie naprawdę osiadła na mieliźnie.

Nie była nawet wolna, gdyż Clifford musiał ją mieć ciągle w pobliżu siebie. Żył snąc<sup>52</sup> nerwowo lęk, że go opuści. Owa dziwna, mulista część jego istoty, owa część emocjonalna i ludzko-indywidualna uzależniona była od niej w jakiejś trwodze, niby dziecko, bez mała niby półgłówki. Musiała być, być we Wragby, jako Lady Chatterley, jako jego żona. Inaczej zginąłby jak półgłówki w bagnie.

Connie uświadamiała sobie tę zdumiewającą zależność z pewnego rodzaju przerażeniem. Słyszała, jak Clifford rozmawiał ze swoimi dyrektorami, ze współpracownikami zarządu, z młodymi uczonymi, i była zdumiona jego mądrym poglądem na rzeczy, jego władzą, niesamowitą władzą nad tymi, których nazywano ludźmi czynu. I on sam stał się człowiekiem czynu, i to zdumiewająco przebiegłym i potężnym, mistrzem. Connie przypisywała to wpływowi pani Bolton, która zjawiała się właśnie w decydującej chwili jego życia.

Ale ten przebiegły i praktyczny mężczyzna był niemal półgłówkiem, gdy pozostawiano go wyłącznie jego życiu uczuciowemu. Uwielbiał Connie, była jego żoną, istotą wyższą, uwielbiał ją z osobliwym, tchórzliwym bałwochwalstwem, jak dziki; uwielbienie to opierało się na olbrzymim lęku, a nawet na nienawiści wobec potęgi bożka, bożka, którego się bał. Jedynym, czego pragnął, było, aby Connie poprzysięgła na wszystko, że go nie opuści, że go nie pozostawi na łasce losu.

— Cliffordzie — powiedziała do niego (ale było to już wtedy, kiedy miała klucz od szalasu) — czy naprawdę byłbyś zadowolony, gdybym miała dziecko?

Clifford spojrział na nią z wyrazem ukrytego zaniepokojenia w wypukłych, białych oczach.

— Nie miałbym nic przeciwko temu, jeśli to niczego nie zmieniło między nami — odpowiedział.

— Pod jakim względem nie zmieniło? — zapytała Connie.

— Co do ciebie i mnie. Co do naszej wzajemnej miłości. Gdyby to miało jej dotknąć, byłbym stanowczo przeciwny. Ostatecznie może i ja będę mógł mieć kiedyś dziecko.

<sup>52</sup> *snąć* a. *snadź* (daw.) — widocznie, najwyraźniej. [przypis edytorski]

Interes, Przemiana

Żona, Mąż, Małżeństwo,  
Dziecko, Kaleka

Connie spojrzała na niego zdumiona.

— Chcę przez to powiedzieć, że zdolność ta może mi kiedyś powrócić.

Wlepiała w niego wzrok, ciągle jeszcze zdumiona, a Clifford zmieszał się.

— Nie byłbyś więc zadowolony, gdybym miała dziecko? — zapytała Connie.

— Powiadam ci przecież — odpowiedział Clifford szybko, jak zaszczuty pies — zgadzam się w zupełności, pod warunkiem, że to nie dotknie twojej miłości do mnie. Gdyby to miało jej dotknąć, byłbym stanowczo przeciwny.

Connie mogła tylko milczeć, milczeć w zimnym lęku i pogardzie. Takie słowa były naprawdę bełkotem półgłówka. Nie wiedział już, co mówić.

— O, moich uczuć do ciebie to zupełnie nie zmieni — rzekła z niejakim szyderstwem.

— Widzisz! — zawołał Clifford. — O to przecież idzie! W takim razie nie mam nic przeciwko temu. Zdaje mi się, że byłaby to niezmiernie miła rzecz mieć w domu biegające po pokojach dziecko i czuć, że się dla niego tworzy przyszłość. Miałbym wówczas coś, co stanowiłoby cel moich wysiłków, i wiedziałbym, że to twoje dziecko, prawda, kochanie? I byłoby to zupełnie tak, jakby ono było moim dzieckiem. Gdyż o ciebie tu idzie. Wiesz o tym przecież, prawda, kochanie? Ja w tym nie odgrywam roli, ja nie wchodzę w rachubę. Jeżeli idzie o życie, ty jesteś owym wielkim „Jam jest!”. Wiesz przecież o tym, prawda? To znaczy, o ile to mnie dotyczy. To znaczy, że bez ciebie jestem absolutnym zerem. Żyję dla ciebie i dla twojej przyszłości. Dla siebie samego jestem niczym.

Connie słuchała tego wszystkiego z głęboką odrazą i niechęcią. Była to jedna z owych przeraźliwych półprawd, jakie zatruwały byt ludzki. Który mężczyzna o zdrowym rozumie mówiłby takie rzeczy swojej żonie! Ale mężczyźni nie posiadają zdrowego rozumu. Który mężczyzna, posiadający isierkę honoru, narzuciłby kobiecie to przeraźliwe brzemię odpowiedzialności życiowej, a potem pozostawiłby ją samą, w olbrzymiej pustce?

Na domiar w pół godziny później usłyszała Connie, jak Clifford rozmawiał ochryplym, podnieconym głosem z panią Bolton i wywnętrzał się przy tym przed tą kobietą z pewnego rodzaju beznamiętną namiętnością, jak gdyby była na wpół jego kochanką, na wpół piastunką. A pani Bolton ubrała go starannie we frak, gdyż w domu bawili ważni goście.

W owym czasie Connie miewała niekiedy naprawdę wrażenie, że umrze. Czują, że niesamowite kłamstwa i zdumiewające okrucieństwo idiotyzmu pchało ją w objęcia śmierci. Dziwne zainteresowanie Clifforda dla kwestii przemysłowych budziło w niej jakieś obawy, a wyznanie jego uwielbienia napawało ją paniczną grozą. Nie było między nimi nic. Nie miała już z nim nawet kontaktu, ani on z nią. W owych dniach nie ujął nawet nigdy jej dłoni i nie potrzymał jej serdecznie. Nie, a że byli oboje tak zupełnie bez kontaktu, tym bardziej dręczyło ją to wyznanie bałwochwalstwa. Było to okrucieństwo pełnej impotencji, a Connie miała wrażenie, że musi stracić rozum albo umrzeć.

W miarę możności chroniła się do lasu. Pewnego popołudnia, kiedy siedziała w zadumie i przyglądała się tryskającej chłodno wodzie Źródła Świętojańskiego, podszedł do niej leśniczy.

— Kazałem zrobić dla jasnie pani klucz! — rzekł, salutując i podając go jej.

— Dziękuję panu bardzo! — odpowiedziała Connie, ocknąwszy się z zamyślenia.

— Szalas nie jest zupełnie w porządku, ale mam nadzieję, że to pani nie będzie raziło — rzekł leśniczy. — Posprzątałem, co mogłem.

— Nie chciałam pana przecież fatygować!

— O, to nie fatyga. Mniej więcej za tydzień będę sadzał kokoszki na jajach. Nie przstraszy się ich pani. Będę musiał zaglądać rano i wieczorem, ale nie będę pani przeszkadzał bardziej, niż to konieczne.

— Nie będzie mi pan wcale przeszkadzał — zaoponowała Connie. — Wolałabym w ogóle nie chodzić do szalasu, gdybym pana miała krępować.

Leśniczy spojrział na nią bystrymi, niebieskimi oczyma. Wydawał się uprzejmy, ale daleki. Był jednak przynajmniej przytomny i zdrowy, chociaż wyglądał źle i wychudł. Dręczył go kaszel.

— Kaszle pan — rzekła Connie.

— To nic: przeziębienie! Od ostatniego zapalenia płuc kaszlę stale trochę, ale to nic ważnego.

Trzymał się od niej z daleka i nie chciał się zbliżyć.

Chodziła dość często do szałas, przed południem albo i po południu, ale jego tam nigdy nie było. Niewątpliwie rozmyślnie schodził jej z drogi. Chciał zachować swoje odosobnienie.

Uprzątnął szałas, podsunął mały stół i krzesło do kominka, naszykował niewielką kupkę wiórów i małych polan, a narzędzia i potrzebki odstawił możliwie najdalej: niejako zatarł swoje ślady. Poza szałasem, na skraju polany, ustawił niski daszek z gałęzi i słomy, schronisko dla ptaków, pod którym stało pięć kojców. A pewnego dnia, gdy Connie przysła na to miejsce, ujrzała dwie kokoszki, siedzące czujnie i gniewnie w kojcach. Wyśiadywały bażancie jaja, pyszniły się dumnie i rozpalone były żarem krwi samic w okresie wylęgania. Widok ten zranił serce Connie. Ona sama była tak bezradna i tak bezużyteczna, tak zupełnie niekobieca, po prostu jak przedmiot o przeraźliwych odruchach.

Później wszystkie pięć kojców zapełniło się kokoszkami, trzy były brunatne, jedna szara i jedna czarna. Wszystkie siedziały w jednakowy sposób skulone na jajach, z miękką, delikatną powagą samiczego popędu, samiczej natury, z nastroszonymi piórami. Błyszczącymi oczyma obserwowały Connie, jak przykuciała przed nimi; kokoszki wydawały donośne gulgotanie podniecenia, a szczególnie samiczego gniewu, że się do nich zbliżano.

Connie znalazła ziarno w skrzynce, stojącej w szałasie. Podała kurom na dłoni. Nie chciały jeść. Jedna tylko kokoszka dziobnęła gniewnym, krótkim ruchem jej dłoń, aż się Connie przelekła. Ale pragnęła dać im coś, dać coś tym wylęgającym matkom, które same ani nie jadły, ani nie piły. Przyniosła im wody w małym naczyniu blaszanym i była szczęśliwa, że jedna z kur piła.

Przychodziła teraz do kokoszek codziennie, były one jedyną rzeczą na świecie, która rozpalala jej serce. Wobec zapewnień Clifforda pozostawała absolutnie zimna. Chłodem też odpowiadała na słowa pani Bolton oraz gości przybywających za interesami do domu. Przypadkowy list Michaelisa tchnął w nią to samo uczucie chłodu. Czowała, że jeśli to dłużej potrwa, umrze na pewno.

Ale była wiosna i dzikie hiacenty zakwitwały w lesie, a na krzewach leszczynowych liściaste pąki rozwierały się niby tryskający zielony deszcz. Jakże to było straszne, że miała nadejść wiosna, a wszystko było w sercu tak zimne, tak zimne! Tylko kokoszki, tak cudownie nastroszone na jajach, były gorące, gorące były ich ciała wylęgających samiczek! Connie czuła przez cały czas, że żyje na skraju omdlenia.

A potem, pewnego dnia, wspaniałego, słonecznego dnia z wielkimi pękami pierwiosnków pod leszczyną i mnóstwem fiołków na skrajach dróg, przysła po południu do wylęgarni i ujrzała małeńkie, zuchwałe pisklą, skaczące dokoła jednego z kojców, zaś matka-kokosz gdała z przerażenia. Chude pisklą było szarawo-brunatne z ciemnymi plamami; w tej chwili było ono spośród wszystkich istot siedmiu królestw najżywszą iskierką. Connie przykucnęła w zachwycie, obserwując je. Życie, życie! Czyste, iskrzące się, nieustraszone, nowe życie! Nowe życie! Takie małeństwo, a takie doskonałe, tak zupełnie bez lęku. Nawet gdy, potykając się nieco, powróciło do kojca i znikło pod skrzydłami kokoszki, posłuszne dzikim okrzykom alarmowym matki, nie było naprawdę przerażone; traktowało to wszystko jako zabawę, zabawę życia. Gdyż w chwilę później czarna główka wychyliła się znowu pomiędzy zlocisto-brunatnych piór kokoszki, przyglądając się Kosmosowi.

Connie była oczarowana, a przy tym nigdy nie odczuwała tak dotkliwie swojej kobiecej bezradności. Uczucie to było nie do zniesienia.

Czuła odtąd tylko jedno pragnienie: pójść na polanę w lesie. Wszystko inne było bolesnym snem. Niekiedy jednak obowiązki gospodyni zatrzymywały ją przez cały dzień we Wragby. W takie dni miała wrażenie, jakby i ona miała się stać pusta, po prostu pusta i obłąkana.

Pewnego wieczora, nie zważając na gości, wymknęła się po podwieczorku. Było późno, i Connie pędziła przez park jak człowiek, który się boi, aby go nie zawołano z powrotem. Kiedy wchodziła do lasu, słońce zachodziło czerwono, ale ona śpieszyła dalej między kwiatami. Na pagórku będzie jeszcze przez długi czas jasno. Zgrzana i na wpół przytomna dobiegła do polany. Leśniczy stał bez marynarki i zamykał właśnie kojce na noc, aby

mieszkanki ich były bezpieczne. Pod słomianym daszkiem dreptało jednak ciągle jeszcze małeńkie trio zgrabnych, szarych istotek, nie zważając na wołanie zalęknionych matek.

— Musiałam przyjąć obejrzyć pisklęta! — rzekła Connie bez tchu, rzucając na leśniczego lękliwe spojrzenie z ukosa i zaledwie uświadamiając sobie jego obecność. — Czy przybyły nowe?

— Wszystkich jest teraz trzydzieści sześć! — rzekł leśniczy. — To nieźle.

I on z dziwną przyjemnością przyglądał się piskletom.

Connie przykucnęła przed ostatnim kojcem. Troje piskląt wbiegło do środka. Ale zuchwałe główki ciągle jeszcze wyglądały spod żółtego pierza matek, potem cofnęły się, potem jeszcze jedna główka o perłowych oczach wynurzyła się spod olbrzymiego ciała matki.

— Bardzo bym chciała dotknąć ich — rzekła Connie i lękliwie wsadziła palec przez pręty klatki.

Ale kokosz gniewnie dziobnęła w stronę jej ręki, i Connie cofnęła ją zaskoczona i wystraszona.

— Jak ona mnie dziobie! Nienawidzi mnie! — rzekła zdziwiona. — A ja bym im przecież nic złego nie zrobiła.

Mężczyzna, który stał pochylony nad nią, przykucnął obok niej na piętach i ze spokojną pewnością siebie wsadził rękę do klatki. Stara kokosz dziobnęła w jego stronę, ale nie tak gwałtownie. Powoli, delikatnie, pewnymi, ostrożnymi palcami pomacał między piórami starego ptaka i wyciągnął w zamkniętej dłoni piszczące cicho pisklę.

— Proszę! — rzekł i podsunął jej swoją rękę.

Connie ujęła w dłonie żółto-brunatne małeństwo; stało na niewiarogodnie małeńkich nóżkach, jak na patyczkach, atom tego chwiejnego życia drżał poprzez nieważkie niemal nóżki aż do rąk Connie. Ale uniosło odważnie śliczną, kształtną główkę, rozejrzało się bystro dokoła i zapiszczało cicho.

— Jakie słodkie! Jakie dzielne! — rzekła Connie cicho.

Leśniczy, który przykucnął obok niej, również z wesołą miną obserwował dzielnego ptaszka w jej rękach. Nagle ujrzał, jak na przegub jej dłoni spadła ła.

Wstał szybko i odszedł na bok, zbliżając się do drugiego kojca. Uświadomił sobie bowiem nagle, że dawny płomień wybuchnął w jego łędźwiach i pomknął ku górze, ów płomień, o którym sądził, że uspokoił się na zawsze. Walczył z tym, odwracał się od kobiety. Ale płomień posuwał się dalej, posuwał się ku dołowi i krążył w jego kolanach.

Odwrócił się znowu do niej, aby na nią spojrzeć. Klęczała, wyciągając powoli ręce ku przodowi, na oślep, byle pisklątko mogło wrócić do matki. I było w niej coś tak niemego i bezradnego, że w trzewiach jego zapłonęła litość.

Nie zdając sobie z tego sprawy, podszedł do niej szybko, i przykucnąwszy znowu obok niej, wziął pisklę z jej rąk, gdyż Connie bała się kury, i wsadził je z powrotem do kojca. W łędźwiach jego płomień wybuchnął nagle ze zwiększoną siłą.

Spojrzał na nią podejrzliwie. Twarz miała odwróconą i płakała bez pohamowania w trwożliwej męce bezradności całego swego pokolenia. Serce jego stopniało nagle jak kropla w ogniu, wyciągnął rękę i położył palce na jej kolanie.

— Niech pani nie płacze — rzekł łagodnie.

Ale ona zakryła nagle twarz rękoma i uczuła, że serce jej naprawdę było złamane i że na niczym już jej nie zależało.

Mellors dotknął jej ramienia, potem ręka jego poczęła powoli i łagodnie posuwać się w dół ku zgięciu jej grzbietu, po omacku, ruchem ślepo głaszczącym, ku zgięciu jej przykucniętych bioder. I łagodnie, łagodnie głaskała jego dłoń krzywizną jej boku, w ślepej, instynktownej pieszczocie.

Znalazła wreszcie małeńką chusteczkę do nosa i niezręcznie starała się wytrzeć twarz.

— Może pani wejdzie do szałas? — zapytał leśniczy spokojnym głosem bez wyrazu.

I lekko ujmując dłonią jej przedramię, uniósł ją w górę i poprowadził wolno do szałas, nie wypuszczając jej, aż się znaleźli w środku. Potem odsunął na bok stół i krzesło, wyjął ze skrzynki z narzędziami koc wojskowy i rozłożył go wolno na podłodze. Connie spoglądała na jego twarz, stojąc w miejscu nieruchomo.

Twarcz jego była blada i bez wyrazu, jak twarcz człowieka, który poddaje się swemu losowi.

— Połóż się — powiedział cicho i zamknął drzwi, tak że zrobiło się ciemno, całkiem ciemno.

Z dziwnym posłuszeństwem położyła się na kocu. Wtedy poczuła miękką dłoń, po omacku, z bezradną poządlivością dotykającą jej ciała, szukającą jej twarzy. Dłoń głaskała jej twarz delikatnie, delikatnie, nieskończenie kojąco, upewniającą, a w końcu na policzku poczuła lekki dotyk pocałunku.

Leżała nieruchomo, pogrążona w czymś w rodzaju snu. Potem zadrżała, gdy poczuła, jak jego dłoń delikatnie, acz z dziwną niezdarnością szpera wśród jej ubrań. Dłoń wiedziała jednak też, jak rozebrać ją tam, gdzie chciała. Powoli, ostrożnie zsunął z niej cienką jedwabną materię aż do stóp. Potem z drżeniem wykwiwintnej przyjemności dotknął ciepłego, miękkiego ciała i przez chwilę całował jej pępek. Musiał natychmiast w nią wejść, by poczuć spokój jej miękkiego, spokojnego ciała. To był dla niego moment czystego spokoju, wejście w ciało kobiety.

Leżała nieruchomo, w pewnego rodzaju śnie, ciągle jak we śnie. Aktywność, orgazm należały do niego, były tylko jego; nie mogła już więcej zadbać o siebie. Nawet ciasny uścisk jego ramion wokół niej, nawet intensywny ruch jego ciała i wytrysk jego nasienia w niej były rodzajem snu, z którego nie zaczęła się budzić, dopóki nie skończył i nie położył się, dysząc cicho, przy jej piersi.

Potem zastanawiała się, tylko mgliście zastanawiała się: dlaczego? Dlaczego było to konieczne? Dlaczego zdjęło to z niej wielką chmurę i dało jej spokój? Czy to było prawdziwe? Czy było prawdziwe?

Jej udręczony mózg nowoczesnej kobiety wciąż nie dawał jej spokoju. Czy to było prawdziwe? Wiedziała, że jeśli odda się mężczyźnie, będzie to realne. Ale jeśli zatrzymała siebie dla siebie, to było nic. Była stara; czuła, że ma miliony lat. W końcu nie mogła już dłużej dźwigać ciężaru samej siebie. Można ją było wziąć. Była do wzięcia.

Mężczyzna leżał w tajemniczym bezruchu. Co czuł? O czym myślał? Nie wiedziała. Był dla niej obcym człowiekiem, nie znała go. Musiała tylko czekać, bo nie odważyła się przerwać jego tajemniczego bezruchu. Leżał tam, obejmując ją ramionami, jego ciało na jej, jego mokre ciało dotykało jej, tak blisko. Zupełnie nieznany. Ale nie niespokojny. Jego bezruch był spokojny.

Wiedziała o tym, gdy w końcu obudził się i odsunął od niej. To było jak porzucenie. W ciemności ściągnął jej sukienkę przez kolana i stał kilka chwil, najwyraźniej poprawiając swoje ubranie. Potem cicho otworzył drzwi i wyszedł.

Connie ujrzała bardzo jasny księżyc, połyskujący ponad zorzą wieczorną za wierzchołkami dębów. Wstała szybko i doprowadziła się do porządku. Potem podeszła do drzwi szalasu.

Las w dole leżał zupełnie w cieniu, niemal w mroku. Ale niebo w górze było kryształowe. Nie promieniowało jednak prawie wcale światła.

Mężczyzna zbliżył się do niej poprzez cienie w dole, z twarzą wzniesioną niby błąda plama.

— Pójdziemy teraz? — zapytał.

— Dokąd?

— Odprowadzę panią do bramy.

Załatwił wszystko na swój sposób. Zamknął drzwi szalasu i podszedł do niej.

— Nie żałuje pani, prawda? — zapytał, idąc obok niej.

— Nie! Nie! A pan?

— Ja? Nie! — odpowiedział. Po chwili dodał: — Ale wszystko poza tym...

— Co wszystko? — zapytała Connie.

— Sir Clifford. Inni ludzie. Wszystkie zawikłania...

— Dlaczego zawikłania? — zapytała Connie rozczarowana.

— Zawsze tak jest. Zarówno dla pani, jak i dla mnie. Zawsze bywają zawikłania.

Niewzruszenie kroczył w ciemności naprzód.

— I żałuje pan? — powtórzyła Connie.

— W pewnym sensie — odpowiedział Mellors, spoglądając w niebo. — Myślałem, że mam już to wszystko poza sobą. Teraz zacząłem na nowo.

— Co pan zaczął?

— Życie.

— Życie! — powtórzyła Connie z dziwnym dreszczem.  
— To jest życie — rzekł Mellors. — Niepodobna uciec od niego. A gdy się od niego ucieka, lepiej od razu umrzeć. Jeżeli więc muszę zacząć znowu, to znaczy, że muszę.

Connie niezupełnie tak na to patrzyła, a jednak...

— To jest po prostu miłość — rzekła odważnie.

— Cokolwiek by to było — odpowiedział Mellors.

Szli w milczeniu dalej, przez ciemniejący las, aż się zbliżyli do furtki parku.

— Ale pan mnie nie nienawidzi? — zapytała Connie w zadumie.

— Nie, nie — odpowiedział leśniczy i nagle przycisnął ją znowu do piersi z poprzednią namiętnością. — Nie, dla mnie to było dobre, to było dobre. A dla pani?

— Tak, dla mnie także — odpowiedziała Connie trochę nieszczerze, gdyż niewiele z tego uświadamiała sobie wówczas.

Całował ją łagodnie, łagodnie, ciepłymi pocałunkami.

— Gdybyż nie było tylu innych ludzi na świecie — rzekł posepnie.

Roześmiała się. Stali przy furtce ogrodowej. Otworzył ją dla niej.

— Nie pójdę dalej — rzekł.

— Nie!

I wyciągnęła dłoń, jakby mu chciała podać rękę. Ale on uchwycił ją obydwoma dłońmi.

— Mam przyjść znowu? — zapytała Connie tęsknie.

— Tak! Tak!

Opuściła go i ruszyła przez park.

Mellors cofnął się i spoglądał, jak wchodziła w mrok, odcinając się od bladego horyzontu. Niemal z goryczą spoglądał za nią. Związała go znowu, jego, który chciał być przecież sam. Pozbawiła go owego gorzkiego odosobnienia mężczyzny, który pragnie wreszcie, aby go pozostawiono sobie samemu.

Skierował się w mrok lasu. Wszystko było ciche, księżyc zaszedł. Ale do uszu jego dochodziły szmery nocy, maszyny parowe w Stacks Gate, ruch na szosie. Wolno zbliżał się do ogołoconego wierzchołka wzgórza. Z góry mógł widzieć okolicę, szerokie szeregi świateł w Stacks Gate, mniejsze światła wokół kopalni Tevershall, żółte światła wsi Tevershall, wszędzie światła, tu i tam w ciemnej okolicy i — jako że noc była jasna — dalekie ognie wielkich pieców hutniczych, mdłe i czerwone od czerwieni wypływającego, rozżarzonego do białości metalu. Ostre, złośliwe światła elektryczne w Stacks Gate! Tkwiące w nich nieokreślone życie zła! I cały ten wieczny niepokój nocy przemysłowej Środkowej Anglii. Słyszał dźwięgi wyciągowe ze Stacks Gate, spuszczano właśnie zmianę na siódmą. Kopalnia pracowała na trzy zmiany.

Zszedł znowu w mrok i odosobnienie lasu. Ale wiedział, że odosobnienie lasu było złudą; szmery przemysłowe przerywały samotność, ostre światła, choć niewidzialne, szły z niej. Człowiek nie mógł długo żyć w ciszy, dla siebie, samotnie. Świat nie znosił pustelników. A oto teraz wziął tę kobietę i ściągnął na siebie korowód bólu i przeznaczenia. Wiedział bowiem z doświadczenia, co to znaczyło.

Nie była to wina tej kobiety, nawet nie wina miłości ani płci. Wina leżała tam, tam, w tych złych światłach elektrycznych i szatańskim warkocie maszyn. Tam, w świecie pożądanego mechanizmu i zmechanizowanej pożądanowości, migoczącym światłami i wypływającym gorący metal i wyjąłym środkami komunikacji, tam, w tym świecie leżała zła potworność, gotowa zburzyć wszystko, co się do niej nie chciało dostosować. Niebawem zniszczy i las, a hiacynty nie będą już tutaj rozkwitać. Wszystkie cudowne rzeczy muszą szczeznąć pod kołami i szaleństwem żelaza.

Z bezgraniczną czułością myślał o tej kobiecie. Biedna, zbląkana istota, nie wiedziała, jaka była miła i ach! o wiele za dobra dla tej gruboskórnej hałastry, z którą się stykała. Biedna istota, i ona miała w sobie coś z wrażliwości hiacyntów leśnych, nie składała się tylko z wyrobów gumowych i platyny, jak współczesne dziewczęta. A oni ją zniszczą! To było pewne, zniszczą ją, jak niszczą stale wszelkie, z natury delikatne, życie. Delikatność! Ta kobieta była delikatna ową delikatnością hiacyntów leśnych, ową delikatnością, której nie posiadały już dzisiejsze celuloidowe kobiety. Ale on ją na chwilę ochroni swoim

Maszyna, Zło



sercem. Na krótką chwilę, zanim nieczuły, lodowaty świat i Mammon zmechanizowanej chciwości powalą ich oboje. Zarówno ją, jak i jego.

Poszedł do domu z fuzją i psem, do ciemnej leśniczówki, zapalił lampę, rozniecił ogień i zjadł wieczerzę: chleb z serem, młodą cebulkę i piwo. Był sam, sam w owej ciszy, którą kochał. Pokój jego był czysty i porządkowy, lecz dość goły. Ale ogień był jasny, paleńsko wybielone, lampa naftowa oświetlała stół, nakryty ceratą. Spróbował czytać książkę o Indiach, ale dzisiejszego wieczora nie mógł czytać. Siedział bez marynarki przy ogniu, nie paląc, z kuflem piwa pod ręką. I myślał o Connie.

Prawdę mówiąc, smuciło go to, co się stało, może najbardziej ze względu na nią. Doznawał uczucia proroczego ostrzeżenia. Nie uczucia niesłuszności albo grzechu; pod tym względem nie trapiły go wyrzuty sumienia. Wiedział, że sumienie jest przede wszystkim lękiem przed społeczeństwem albo przed sobą samym. Nie lękał się siebie. Ale zupełnie świadomie lękał się społeczeństwa, które znał instynktownie jako złośliwe, poniekąd obłąkane zwierzę.

Ta kobieta! Gdybyż ona mogła być przy nim, a poza tym nie byłoby nikogo na świecie! Pożądanie zbudziło się znowu. A zarazem na barkach Mellorsa leżało jakieś brzemie, jakiś lęk przed wydaniem siebie i jej na łup owemu światu zewnętrznemu, który występnie migotał w lampach elektrycznych. Ona, biedna, młoda istota, była dla niego po prostu młodą kobietą, ale młodą kobietą, którą posiadał i której znowu pożądał.

Przeciwną się z dziwnym ziewnięciem pożądania, gdyż od czterech lat był samotny, nie stykał się z mężczyznami ani kobietami. Potem wstał, wziął znowu kurtkę i fuzję, przykręcił knot w lampie i wyszedł z psem w gwiazdzistą noc. Gnany pożądaniem i lękiem przed złośliwym światem zewnętrznym, siedł wolno i cicho po lesie. Lubił mrok i wtulił się w niego. Odpowiadał on jego wezbranej żądzy, która mimo wszystko była bogatym skarbem; odpowiadał podniecającemu niepokojowi jego męskości, podniecającemu ogniewi jego lędu! O, gdybyż byli i inni mężczyźni, z którymi można by społem zwalczać ten iskrzący się w dali świat lamp elektrycznych, aby chronić delikatność życia! Delikatność kobiet i przyrodzone skarby pożądania. Gdybyż byli mężczyźni, z którymi można by ramię w ramię walczyć! Ale mężczyźni byli wszyscy po tamtej stronie i szczylicili się tamtym światem, triumfowali lub pozwalali się deptać pod naporem zmechanizowanej żądzy lub pożądliwego mechanizmu.

Tymczasem Constance, bez myśli niemal, pobiegła przez park do domu. Dotychczas nie trapiła się skrupułami. Na kolację jeszcze zdąży. Ale ku swemu wielkiemu gniewowi zastała drzwi zamknięte, tak że musiała dzwonić. Otworzyła jej pani Bolton.

— Jest pani nareszcie! Myślałam już, że jaśnie pani zblądziła — rzekła nieco żartobliwie. — Ale Sir Clifford nie pytał o panią. Jest u niego pan Linley, omawiają jakieś sprawy. Mam wrażenie, jakby chciał zostać na kolacji, prawda, proszę jaśnie pani?

— Tak, i mnie się tak wydaje — odpowiedziała Connie.

— Czy podać kolację o kwadrans później? Miałyby pani czas przebrać się spokojnie.

— Tak, tak może będzie lepiej.

Pan Linley był naczelnym dyrektorem kopalni; był to starszy mężczyzna z północnych okolic kraju, nieposiadający dość energii, aby być odpowiednim towarzyszem dla Clifforda. Nie dorósł on do stosunków powojennych ani do powojennych górników, których hasłem było: „Bierz, co możesz!”. Ale Connie lubiła pana Linleya, choć rada była, gdy mogła uniknąć jego ślimaczej żony.

Linley został na kolacji, a Connie była tego dnia gospodynią, jaka się mężczyznom podoba, skromną, a jednak czujną, dostrzegającą wszystko, o szeroko otwartych niebieskich oczach i łagodnym spokoju, który ukrywał dostatecznie to, co myślała naprawdę. Connie tak często grała rolę takiej kobiety, że stało się to niemal jej drugą naturą. W każdym jednak razie stanowczo tylko drugą. Mimo to dziwne było, jak wszystko zniknęło z jej świadomości, kiedy grała tę rolę.

Czekała cierpliwie, aż będzie mogła pójść do siebie i oddać się swoim myślom. Czekwała zawsze na to, było to widocznie jej *forte*.

Ale gdy się wreszcie znalazła w swoim pokoju, czuła się ciągle jeszcze niepewna i zmieszana. Nie wiedziała, co miała myśleć. Jakiego rodzaju mężczyzną był on w rzeczywistości? Czy ją naprawdę lubił? Nie bardzo, czuła to. A jednak był dobry. Było w nim coś, jakiś rodzaj gorącej, naiwnej dobroci, dziwnej i naglej, która niemal rozwarła mu jej ciało,

Sumienie, Strach

Natura, Maszyna

lecz Connie miała wrażenie, że mógłby być wobec każdej kobiety w ten sposób dobry. Ale i to było dziwnie uspokajające i krzepiące. I był namiętnym mężczyzną, niezepsutym i namiętnym. Może był jednak niezupełnie indywidualny; może był wobec każdej kobiety taki, jakim był wobec niej. Naprawdę, nie było w tym nic osobistego. Była dla niego naprawdę tylko jakąkolwiek kobietą.

A może tak było lepiej. I ostatecznie, był dobry dla niej jako dla kobiety, a takim nie był nigdy żaden mężczyzna. Mężczyźni byli bardzo łaskawi dla osoby, którą była, ale dość okrutni dla kobiety, kobietą gardzili albo ignorowali ją zupełnie. Mężczyźni byli niezmiernie dobrzy dla Constance Reid albo dla Lady Chatterley, ale dla jej łona nie byli dobrzy. Jego nie obchodziła Constance ani Lady Chatterley; on po prostu głaskał czule jej uda i piersi.

Następnego dnia poszła do lasu. Było szare, ciche popołudnie, ciemnozielony szczyr<sup>53</sup> ścielił się pod krzakami leszczyny, a wszystkie drzewa czyniły nieme wysiłki, aby rozwrzeć swoje pąki. Dzisiaj wyczuwała niemal we własnym ciele to olbrzymie parcie soków w grubych drzewach, na zewnątrz, w górę, w górę ku koniuszkom pąków, aby wytrysnąć tam małymi, płomiennymi listeczkami dębowymi, brunatnymi jak krew. Był to przyływ, wzbierający z mocą ku górze i rozlewający się po niebie.

Przybyła na polanę, ale jego nie było. Na wpół tylko się go spodziewała. Piskłeta bażantów na lekkich nóżkach, lekkie jak owady wybiegły z kojców, gdzie żółte kokoszki gdakały lekliwie. Connie siedziała, przyglądając się im, i czekała. Czekala tylko. Nawet na piskłeta ledwo spojrzala. Czekala.

Czas mijał z senną powolnością, a on nie nadchodził. Na wpół się tylko spodziewała, że przyjdzie. Po południu nigdy nie przychodził. Musiała wrócić do domu na podwieczorek. Ale musiała się zmusić, żeby opuścić polanę.

Kiedy szła do domu, mżył drobny deszcz.

— Pada znowu? — zapytał Clifford, widząc, jak Connie otrząsa kapelusz.

— Mży tylko.

W milczeniu nalała herbatę, osnuta własnymi myślami. Za wszelką cenę chciała się dziś spotkać z leśniczym, aby się przekonać, czy to jest naprawdę rzeczywistość. Czy to jest naprawdę rzeczywistość.

— Poczytać ci trochę potem? — zapytał Clifford.

Connie spojrzala na niego. Musiał coś zauważyć.

— Wiosna czyni mnie tak dziwnie znużoną, chciałabym trochę odpocząć.

— Jak chcesz. Ale nie czujesz się chyba rzeczywiście chora, prawda?

— Nie! Tylko bardzo zmęczona, to przez wiosnę. Czy chcesz, żeby pani Bolton zagrała z tobą w coś?

— Nie! Posłucham trochę radia.

Wyczuwała w jego głosie dziwną satysfakcję. Weszła do swojej sypialni. Słyszała stamtąd, jak głośnik zaczął bełkotać idiotycznym, aksamitnie eleganckim głosem, coś w rodzaju serii ulicznych okrzyków, przy czym ideał afektowanej układności przedrzeźniał dawnych nawoływaczy. Connie narzuciła stary, fioletowy płaszcz przeciwdeszczowy i bocznymi drzwiami wymknęła się z domu.

Delikatny deszcz był niby zasłona narzucona na świat, tajemniczy, stłumiony, niezbyt zimny. Gdy biegła przez park, zrobiło się jej zupełnie ciepło. Musiała odpiąć lekki płaszcz nieprzemakalny.

Las milczał cicho i tajemniczo w mżącym deszczu wieczornym, pełen tajemnic wyleganych jaj, na wpół rozwartych pąków, na wpół rozwiniętych kwiatów. W zmięczeniu tego wszystkiego drzewa połyskiwały nagie i ciemne, jakby się rozebrały, a zielen na ziemi zdała się szumieć zielonością.

Ciągle jeszcze nikogo nie było na polanie. Piskłeta prawie wszystkie ukryły się pod kokoszkami, tylko jeden czy dwóch zbłąkanych awanturników dziobało w suchym miejscu pod słomianym dachem, niezupełnie zdając sobie sprawę ze swego położenia.

Tak! Więc ciągle jeszcze nie było go. Rozmyślnie nie przychodził, czy też może coś się stało? Może powinna pójść do leśniczówki i dowiedzieć się.

<sup>53</sup>szczyr — gatunek byliny z rodziny wilczomleczowatych. [przypis edytorski]

Ale była zrodzona do czekania. Otworzyła szafas swoim kluczem. Wszystko było uporządkowane, ziarno leżało w skrzyni, koce złożone były na ławce pod ścianą, słoma wymieciona czysto do kąta. Latarnia wisiała na gwoździu. Stół i krzesło były odsunięte z powrotem na to miejsce, gdzie z nim leżała.

Usiadła na krześle w drzwiach. Jak cicho było! Delikatny deszcz mżył bardzo łagodnie, niby zasłona, a wiatr nie sprawiał hałasu. Nic nie wydawało dźwięku. Drzewa stały niby tryskające mocą istoty, ledwo rozpoznawalne w półmroku, milczące i żywe. Jak żywe było wszystko!

Noc zapadała znowu z wolna; trzeba będzie wracać. On jej unikał.

Ale nagle wszedł na polanę w swojej czarnej kurtce skórzanej, jak szofer, połyskująca od wilgoci. Rzucił szybkie spojrzenie w stronę szafasu, uklonił się na wpół, potem zawrócił w bok i podszedł do kojców. Przykucnął tam w milczeniu, obejrzał wszystko dokładnie, potem pozamykał kury i piskłęta na noc.

Nareszcie wolno podszedł do niej. Siedziała cicho na swoim miejscu. Stał przed nią pod okapem.

— Przyšli panucho — rzekł, używając znowu dialektu.

— Tak — odpowiedziała Connie, podnosząc ku niemu wzrok — ale pan przychodzi późno.

— Dyc — odpowiedział i spojrzał w las.

Connie wstała wolno i odsunęła krzesło.

— Chciał pan wejść? — zapytała.

Spojrzał na nią przebiegle.

— Cy ludzie nie bydom sobie roztomaitych rzeczy myśleć, jak sam panuchna bydom w koždy wiecór przychodzić?

— Dlaczego? — Spojrzała na niego, nie rozumiejąc nic. — Powiedziałam przecież, że przyjdę. Nikt o tym nie wie.

— O niezadługo bydom ludzie wiedzieli — odpowiedział. — A jakóż potem?

Connie nie znalazła odpowiedzi.

— Dlaczego mają wiedzieć? — zapytała wreszcie.

— Ludzie bardzo wartko dowiadujom sie ło wszystkim — odpowiedział.

Wargi jej zadrżały lekko.

— Na to ja nic zaradzić nie mogę — wybełkotała.

— No — rzekł leśniczy — dyc mogli by panuchna na to zaradzić, kieby sam nie przichodzili, to jest, jakby panuchna chcieli — dodał ciszej.

— Ale ja tego nie chcę — mruknęła Connie.

On spojrzał znowu w las i milczał.

— A co bydzie, jak sie ludzie dowiedzom? — zapytał wreszcie. — Niech zys se panuchna ino pomysłom. Niech se ino panuchna łozwożom jakom sie to poniżonom bydom wydować: sługa jeich chłop!

Connie spojrzała na jego odwróconą twarz.

— Czy to — wybełkotała — czy to dlatego, że pan mnie nie chce?

— Niech panuchna pomysłom — rzekł. — Niech se ino pomysłom, co bydzie, jak sie ło tym ludzie dowiedzom: panoczek Clifford i... i kiej wszyscy ludzie zacnom ło tym godać...

— No, mogę przecież wtedy odejść stąd.

— Kaj to?

— Dokądkolwiek. Mam sama dość pieniędzy. Moja matka pozostawiła mi dwadzieścia tysięcy funtów, których Clifford nie może tknąć. Mogę wyjechać.

— Ale wierza panuchna nie bydom chcieli wyjechać?

— Owszem, tak! Nic sobie z tego nie robię, nie obchodzi mnie, co się ze mną stanie.

— No, to sie panuchnie ino tak zdo. Już ich to tam bydzie łobchodziło. Jeszce ich bydzie łobchodziło, tak jest ze wszystkimi. Nie śmiom zapomnieć, panuchna zadowajom się z prostym gojnym, to nie to samo, co z fajnym panoczkiem. Ło, zycher to panuchna bydzie łobchodzić. Ja, ja, pewnikiem. Bydzie to panuchna łobchodzić.

— Nie, mnie nie. Ja sobie nic nie robię z „jaśnie pani”! Właściwie nienawidzę tego. Mam wrażenie, że ludzie szydą ze mnie, kiedy to mówią. I tak też jest. Tak jest na pewno. Nawet pan drwi sobie ze mnie, kiedy pan to mówi.

— Jo?

Po raz pierwszy spojrzal na nią pełnym wzrokiem, spojrzal jej prosto w oczy.

— Jo z panuchny doprowdy nie błoznuja — rzekł.

I kiedy patrzal jej w oczy, ujrzala, jak jego oczy ciemnieja, ciemnieja zupełnie, a źrenice rozszerzaja się.

— Tóz łoni, panuchno, nic sobie z tego wszystkiego nie robiom? — zapytal ochryplym głosem. — Niech žys sie zastanowiom, na co sie łoni narożajom. Powinni, panuchno... o, powinni, panuchno, nim bydzie nieskoro.

Dziwne, błagalne ostrzeżenie brzmialo w jego głosie.

— Nie mam nic do stracenia — odpowiedzila Connie niecierpliwie. — Gdyby pan wiedzial, co to znaczy, uwierzylby mi pan, że cieszyłabym się, gdybym to wszystko stracila. Ale czy boi się pan o siebie?

— No dyc! — odpowiedzial krótko. — To prowda. Boja sie. Boja sie tyj całkiej historie.

— Czego? — zapytala Connie

Dziwnym ruchem przechylil w tył głowe, ruchem tym wskazywal cały świat.

— Wszystkiego. Kożdygo. Wszystkich.

Potem schylil się i pocałował nagle jej nieszczęśliwą twarz.

— Ano, mie tam wszystko jedno. Jo se tam z tego nic nie robia. Byle sie cłek mocno trzimol w gorści, to łostatek niech djosi porwiom! Ale jakbyś nieskorzyj žalowała, żeś to zrobiela...

— Nie odtracaj mnie — błagala Connie.

Położył rękę na jej policzku i szybko pocałował ją znowu.

— Tóz wlyżmy — rzekł. — A zciepnij ten mantel.

Odwiesil fuzję, zrzucil mokrą kurtkę skórzaną i chwycil wełniane koce.

— Prziniosech jeszcze jedno deka — rzekł. — Cobychmy sie mogli przikryć, jak bydymy chcieć.

— Nie mogę zostać długo — powiedzila Connie. — Kolacja jest o pół do ósmej.

Spojrzal na nią szybko, potem rzucil okiem na zegarek.

— Już dobrze — rzekł.

Zamknal drzwi i zapalil male światelko w wiszacej na ścianie latarni.

— Pewnego dnia będziemy mieli duzo czasu — powiedzial

Ostrożnie rozložyl koce, jeden podložyl jej pod głowe. Potem usiadł na chwile na stolku i przyciagnal ją do siebie, trzymajac ją blisko jednym ramieniem, a wolną ręką szukajac jej ciała. Uslyszala, jak wciaga powietrze, gdy ją znalazł. Pod cienką halką byla naga.

— Ech! Cóz to jest dotykać cię! — powiedzial, gdy jego palec pieścił delikatną, ciepłą, tajemniczą skóre jej talii i bioder.

Położył na niej twarz i raz po raz ocieral się policzkiem o jej brzuch i uda. I znów zastanawiala się trochę nad tym, jaki to był dla niego rodzaj uniesienia. Nie rozumiala piękna, które w niej odnalazł, dotykajac jej żywego, tajemniczego ciała, niemal ekstazy piękna. Bo tylko namiętność jest tego świadoma. A kiedy namiętność jest martwa lub nieobecna, wtedy wspanialy puls piękna jest niezrozumialy, a nawet trochę godny pogardy; ciepłe, żywe piękno kontaktu, o wiele głębsze niż piękno mądrości. Poczula, jak jego policzek przesuwa się po jej udach, brzuchu i pośladkach, bliskie muśnięcie jego wąsów i jego miękkih, gęstych włosów, a jej kolana zaczęly drzeć. Daleko w głębi siebie poczula nowe poruszenie, wylaniającą się nową nagość. Na wpół się bała. W połowie chciala, żeby jej tak nie pieścił. Obejmował ją całą w jakiś sposób. A jednak czekala, czekala.

A kiedy wszedł w nią, z nasileniem ulgi i spełnienia, co bylo dla niego czystym spokojem, wciąż czekala. Czula się trochę pominięta. I wiedziala, że częściowo byla to jej własna wina. Zmusila się do tej separacji. Teraz być może byla na nią skazana. Ležala nieruchomo, czujac jego ruch w sobie, jego głęboko zatopioną intencjonalność, nagle drzenie, gdy jego nasienie wypłynęło, a potem powolne, ustępujące pchnięcie. To pchnięcie pośladkami z pewnością bylo trochę śmieszne. Gdy jest się kobieta, w dodatku oddzieloną od całej tej sprawy, z pewnością to pchnięcie pośladkami mężczyzny jest wyjątkowo śmieszne. Z pewnością mężczyzna był bardzo śmieszny w tej pozie i tym akcie!

Ale ona leżała nieruchomo, nie cofając się. Nawet gdy skończył, nie spróbowała sięgnąć po własną satysfakcję, jak to zrobiła z Michaelisem; leżała nieruchomo, a lzy powoli wypełniały jej powieki i spływały z oczu.

On również leżał nieruchomo. Ale trzymał ją blisko i próbował objąć jej biedne, nagie nogi swoimi nogami, aby je ogrzać. Leżał na niej z bliskim, niewątpliwym ciepłem.

— Je ci zimno? — zapytał miękko, cichym głosem, jakby była blisko, tak blisko. Podczas gdy ona była na uboczu, odległa.

— Nie! Ale muszę iść — powiedziała łagodnie.

Westchnął, przytulił ją mocniej, po czym znów odprężył się, by odpocząć.

— Muszę iść — powtórzyła.

Podniósł się, klęknął obok niej na chwilę, pocałował wewnętrzną stronę jej ud, po czym obciągnął jej spódnicę, bez zastanowienia zapinając swoje ubranie, nie odwracając się nawet, w słabym, słabym świetle latarni.

— Musisz kejs przjść do tyj chatki — powiedział, patrząc na nią z ciepłym, pewnym, spokojnym obliczem.

Leżała nieruchomo i w zamyśleniu patrzyła na niego. Obcy! Obcy! Czula nawet do niego lekką niechęć.

Włożył kurtkę i obejrzał się za kapeluszem, który spadł na podłogę; potem przerzucił fuzję przez ramię.

— Tóż pójdź — rzekł i spojrzał na nią tymi gorącymi, spokojnymi oczyma.

Connie wstała powoli. Nie chciało jej się odchodzić, ale czula też silną niechęć do zostania. Mellors pomógł jej włożyć cienki płaszcz deszczowy, zwracając przy tym uwagę, aby wyglądała porządnie.

Potem otworzył drzwi. Na dworze było zupełnie ciemno. Wierna suka, leżąca pod okapem, zerwała się z radością, kiedy ujrzala swego pana. Drobny deszcz szaro przemykał przed mrokiem. Było zupełnie ciemno.

— Musza zabrać latarka — rzekł Mellors. — Nie spotkamy żodnego.

Szedł wąską ścieżką tuż przed nią, trzymając nisko kołyszącą się latarnię, aby oświetlała mokrą trawę, połyskującą czarno, podobne do żmij korzenie drzew i bezwładne kwiaty. Poza tym wszystko było szarą mgłą deszczu i absolutną ciemnością.

— Musisz przjść kiejs do fosztówki! — rzekł. — Dobrze? Przjdziesz?

Zagadką było dla niej to dziwne, uporczywe pragnienie jej, gdy przecież nic między nimi nie było, nigdy naprawdę do niej nie mówił. I wbrew woli brała mu za złe tę gwarę. Owo „musisz kiejs przjść” wydawało jej się skierowane nie do niej, ale do jakiejś zwyczajnej kobiety. Poznała na ścieżce listki napastrnicy i wiedziała mniej więcej, gdzie się znajdowali.

— Jest kwadrans na ósmą — rzekł Mellors. — Przjdzie pani na czas.

Zmienił ton głosu, jak gdyby dostrzegł oddalenie Connie. Gdy przy ostatnim zakręcie ścieżki zbliżyli się do leszczynowego lasku i furtki parkowej, zgasił latarnię.

— Tutaj widzimy już — rzekł i łagodnie ujął ją pod ramię.

Trudno było chodzić, ziemia pod ich stopami była tajemnicą, ale on stopą namacał drogę, był przecież przyzwyczajony do tego. Przy furtce podał jej swoją kieszonkową latarkę elektryczną.

— W parku jest trochę jaśniej — rzekł — ale niech ją pani weźmie, żeby nie zboczyć z drogi.

Connie odwróciła się, ale natychmiast zwróciła się znowu do niego i rzekła:

— Pocałuj mnie.

Pochylił się nad nią niewidzialny i pocałował ją w lewe oko. Nadstawiła mu usta, a on pocałował je delikatnie, ale cofnął się natychmiast. Nie znośił pocałunków w usta.

— Jutro przjdzę znowu — rzekła Connie, oddalając się. — Jeżeli będę mogła — dodała.

— No ja, dobrze, ale nie tak nieskoro — odpowiedział Mellors z mroku.

Nie mogła go już prawie dostrzec.

— Dobranoc — rzekła.

— Dobranoc jaśnie pani — zabrzmiał jego głos.

Connie zatrzymała się i spojrzała w wilgotny mrok. Rozpoznawała jeszcze zaledwie tylko zarysy jego postaci.

— Dlaczego to powiedziałaś?

— No — odpowiedział Mellors — tóż dobra noc, wrywey terozki.

Ruszyła szybko w ciemnoszarą, niemal namacalną noc. Boczne drzwi były otwarte i Connie wślizgnęła się niedostrzeżona do swego pokoju. Gdy zamykała drzwi, zabrzmiał gong, ale ona chciała się jeszcze wykąpać — musiała się wykąpać.

— Więcej nie będę się już spóźniać — powiedziała do siebie — to zbyt niemiłe.

Następnego dnia nie poszła do lasu. Natomiast pojechała z Cliffordem do Uthwaite. Mógł teraz wyjeżdżać niekiedy autem i przyjął silnego, młodego szofera, który w razie potrzeby mógł go wynieść z auta. Chciał się przede wszystkim zobaczyć ze swoim chrzestnym ojcem Leslie Winterem, który mieszkał w Shipley Hall, niedaleko Uthwaite. Winter był teraz starszym już panem, bardzo bogatym, jednym z owych bogatych właścicieli kopalń, których najświetniejszy okres przypadał na czasy panowania króla Edwarda. Król Edward nieraz przyjeżdżał na polowanie do Shipley. Była to piękna, stara budowla, ozdobiona sztukateriami, niezmiernie elegancko urządzona, gdyż Winter był kawalerem i szczyił się swoim stylem; ale posiadłość otoczona była kopalniami. Leslie Winter był oddany Cliffordowi, ale osobiście, ze względu na portrety w ilustrowanych pismach i na literaturę, żywił dla niego mało szacunku. Stary pan był bywalcem ze szkoły króla Edwarda i uważał, że życie to życie, a skryby to coś zupełnie innego. W stosunku do Connie był stary szlachcic zawsze niezmiernie szarmancki, uważał ją za pociągającą, stateczną dziewczynę, która marnuje się dla Clifforda, i ubolewał niezmiernie, że nie może ona wydać na świat potomka Wragby. On sam nie miał potomka.

Connie zadawała sobie pytanie, coby powiedział Winter, gdyby wiedział, że leśniczy Clifforda miał z nią stosunek płciowy i powiedział do niej: „Musisz kiejś przyjść do mnie do fosztówki”. Brzydziłby się nią i gardził, gdyż doszedł on do tego, że nienawidził niemal wyzwoleńczych dążeń klasy robotniczej. Mężczyzny z własnej klasy nie wzięłyby jej za złe, gdyż Connie była z natury uposażona w ów pozór skromnej, posłusznej dziewczęcości, i może było to częścią składową jej charakteru. Winter mówił do niej „moje dziecko” i prawie wbrew jej woli podarował jej czarującą miniaturę damy z osiemnastego wieku.

Ale myśli Connie były zaabsorbowane leśnictwem. Ostatecznie pan Winter, który był naprawdę gentlemanem i światowcem, traktował ją jako indywidualność i jako wyodrębnioną jednostkę; nie wrzucał jej do jednego worka z całą resztą świata kobiecego przez jakieś „wdycki” i „terozki”.

Nie poszła owego dnia do lasu, nie poszła też następnego, ani trzeciego dnia. Nie szła tak długo, jak długo czuła lub sądziła iż czuje, że mężczyzna czeka na nią, że jej pożąda. Ale czwartego dnia ogarnął ją straszliwy niepokój, który wytrącił ją z równowagi. Ciągle jeszcze wzbraniała się iść do lasu i rozewrzeć znowu uda przed tym człowiekiem. Myślała o wszystkim, co mogła uczynić — pojechać do Sheffield, składać wizyty — ale myśl o tym wszystkim była jej wstrętą. Wreszcie zdecydowała się pójść na spacer, ale nie do lasu, lecz w przeciwnym kierunku. Postanowiła pójść do Marehay, przez małą, żelazną furtkę po drugiej stronie parku.

Był cichy, szary poranek wiosenny, prawie ciepły. Szła nieuważnie, zatopiona w myślach, których sobie nawet nie uświadamiała. Nie uświadamiała sobie niczego poza sobą, aż wyrwało ją z zadumy głośne szczekanie psa w Marehay Farm. Marehay! Łąki folwarku ciągnęły się aż do wrót parku Wragby, byli więc sąsiadami. Ale Connie już od długiego czasu nie była tutaj z wizytą.

— Bella! — zawołała na wielkiego, białego bulteriera. — Bella, zapomniałaś mnie już? Nie poznajesz mnie?

Bała się psów, Bella stała przed nią bez ruchu i szczekała, a Connie chciała przejść przez dziedziniec i iść dalej ścieżką przez zagajnik.

Pani Flint ukazała się w drzwiach. Była to kobieta w wieku Constance, kiedyś była nauczycielką wiejską. Connie podejrzewała ją, że jest dość fałszywą istotą.

— Ach, ależ to Lady Chatterley! Ach! — I oczy pani Flint zajaśniały, zarumieniały jak młoda panienka. — Bella, Bella! Co to? Szczekasz na Lady Chatterley? Cicho, Bella! Będziesz ty cicho!

Skoczyła do psa i zaczęła go okładać białą chustką, którą właśnie miała w ręku. Potem podeszła do Connie.

— Zawsze mnie poznawała — rzekła Connie, podając jej rękę.

Flintowie byli dzierżawcami Chatterleyów.

— Naturalnie, że poznaje jaśnie panią! Jest tylko zbyt gorliwa — rzekła pani Flint rozpalona i spojrziała na Connie z rumieńcem zakłopotania. — Ale tak dawno już pani nie widziała. Mam nadzieję, że dobrze się pani wie dzie.

— Tak, dziękuję, bardzo dobrze.

— Przez całą zimę prawie pani nie widzieliśmy. Może pani wejdzie i zobaczy nasze maleństwo?

— Chętnie! — Connie zawahała się. — Ale tylko na chwilkę.

Pani Flint wbiegła pędem do domu, aby posprzątać w pokoju, a Connie weszła za nią powoli i zaczęła w dość ciemnej kuchni, gdzie w kociołku gotowała się woda. Pani Flint powróciła.

— Niech mi pani wybaczy — rzekła. — Może pani wejdzie tutaj.

Przeszły do pokoju, w którym dziecko siedziało na dywanie przed kominkiem, a stół nakryty był po wiejsku do herbaty. Młoda służąca wycofała się lękliwie i niezręcznie przez się.

Dziecko było ślicznym maleństwem w wieku mniej więcej dwunastu miesięcy, z rudymi włosami jak ojciec i bystrymi, bładoniebieskimi oczyma. Była to dziewczynka. Nie przestraszyła się wcale. Siedziała wśród poduszek, otoczona olbrzymią ilością lalek i innych zabawek.

— Jaka ona słodka! — rzekła Connie. — A jak urosła! Duża dziewczynka! Duża dziewczynka!

Kiedy się dziecko urodziło, przysłała mu wełnianą chustkę, a na Boże Narodzenie celuloidowe kaczki.

— Patrz, Józiu! Patrz, kto cię odwiedził! Kto to jest, Józiu? Lady Chatterley, znasz przecież Lady Chatterley, prawda?

Dziwna, odważna mała osóбка patrzała na Connie niewzruszona. Dla niej Lady czy inna kobieta to było zupełnie to samo.

— Chodź! Pójdiesz do mnie? — zawołała Connie do dziecka.

Mała nie zareagowała, więc Connie podniosła ją i posadziła sobie na kolanach. Jak to było cudownie i ciepło mieć dziecko na kolanach, te miękkie, małe ramionka, te nieświadome, odważne nóżki.

— Wypiłam właśnie sama filiżankę herbaty. Luke pojechał na jarmark, mogę więc pić herbatę, kiedy mi się spodoba. Może i pani się napije, Lady Chatterley? Nie jest to zapewne taka herbata, do jakiej pani jest przyzwyczajona, ale gdyby pani raczyła...

Connie raczyła, chociaż nie chciała, aby jej przypomniano, do czego była przyzwyczajona. Stół nakryto starannie na nowo, przyniesiono najlepsze talerze.

— Niech pani sobie nie zadaje trudu — rzekła Connie.

Ale gdyby pani Flint nie zadawała sobie trudu, gdzież byłaby przyjemność? Connie trzymała więc dziecko, ubawiona nieustraszoną małą kobietką; miękkie, młode ciepło maleństwa napawało ją silną rozkoszą. Młode życie! I takie nieustraszone! Takie nieustraszone, gdyż takie bezbronne. Wszyscy starsi ludzie żyli stale pod brzemieniem lęku!

Wypiła filiżankę herbaty, dość mocnej, i zjadła doskonały kawałek chleba z masłem i powidłami. Pani Flint czerwieniła się co chwila, mieszała się i płonęła z podniecenia, jakby Connie była jakimś wytwornym rycerzem. Gawędziły prawdziwie po kobiecemu i obie miały z tego przyjemność.

— To bardzo licha herbata — rzekła pani Flint.

— O wiele lepsza niż u mnie w domu — odpowiedziała Connie zgodnie z prawdą.

— Och! — zawołała pani Flint, nie wierząc jej oczywiście.

Ale po pewnym czasie Connie wstała wreszcie.

— Muszę już pójść — rzekła. — Mąż mój nie wie, gdzie jestem. Będzie sobie Bóg wie co wyobrażał.

— Nie przyjdzie mu nawet na myśl, że pani mogłaby być tutaj — zawołała pani Flint podniecona. — Każe trąbić na alarm.

— Do widzenia, Józiu — rzekła Connie, całując dziecko i głaszcząc jego rude, kudłate włoski.

Pani Flint z całą gorliwością otworzyła zamknięte i zaryglowane drzwi frontowe. Connie wyszła do małego ogródka przed domem, otoczonego żywopłotem.

Dziecko, Odwaga

Na lewo i prawo była ścieżka ogrodowa, obramowana aksamitnymi, wielkimi pierwiosnkami.

— Jakie cudowne pierwiosniki! — rzekła Connie.

— Niech pani weźmie kilka — rzekła pani Flint.

I gorliwie poczęła zrywać fioletowe i żółte kwiaty.

— Dość! Dość! — zawołała Connie.

Podeszły do małej furtki ogrodowej.

— Którędy pani idzie? — zapytała pani Flint.

— Przez zagajnik.

— Niech pani zaczeka! O, tak, krowy są jeszcze na jałowcowej łące. Powinny już być w domu. Ale furtka w płocie będzie zamknięta. Będzie pani musiała przejść przez płot.

— To potrafię — rzekła Connie.

— Odprowadzę panią przez łąkę.

Szły przez ubogą, objedzoną przez króliki łąkę. Ptaki śpiewały w lesie dziką, wieczorną pieśń triumfalną. Jakiś człowiek zwoływał ostatnie krowy, które powoli nadchodziły przez usianą ścieżkami zwierzęcymi łąkę.

— Ludzie późno dzisiaj wracają do udoju — rzekła pani Flint surowo. — Wiedzą, że Luke nie powróci przed zmrokiem.

Doszły do płotu, za którym rozciągał się młody lasek jodłowy, gęsty i kolczasty. Była tam mała furtka, ale zamknięta. Po wewnętrznej stronie stała w trawie pusta flaszka.

— To pusta flaszka leśniczego na mleko — wyjaśniła pani Flint. — Przynosimy mu je tutaj, a on je sobie potem zabiera.

— Kiedy? — zapytała Connie.

— O, kiedy jest akurat w pobliżu. Najczęściej rano. Więc do widzenia, Lady Chatterley! I niech pani do nas znowu wstąpi. To taka radość widzieć panią u nas!

Connie przelazła przez płot i wyszła na wąską ścieżkę pomiędzy gęstymi, usianymi igliwiem, młodymi jodłami. Pani Flint pobiegła przez łąkę z powrotem do domu, w słomkowym kapeluszu, gdyż była ona naprawdę kiedyś nauczycielką. Constance nie lubiła tej gęstej, nowej części lasu. Wydawała się jej taka przeraźliwa i dławiąca. Szła szybko naprzód z pochyloną głową i myślała o dziecku Flintów. Było to słodkie maleństwo, ale będzie miało trochę krzywe nogi, jak jego ojciec. Widać to było już teraz. Może jednak wyrośnie z tego. Jakaż to była gorąca rozkosz mieć dziecko i jak bardzo pyszniła się tym pani Flint! W każdym razie posiadała coś, czego Connie najprawdopodobniej nigdy posiadać nie będzie. Tak, pani Flint była dumna ze swego macierzyństwa. A Connie była trochę, troszeczkę zazdrosna. Nie mogła się temu oprzeć.

Ocknęła się z zamyślenia i wydała krótki okrzyk przerażenia. Przed nią stał mężczyzna. Był to leśniczy. Stał na ścieżce jak osioł Balaama<sup>54</sup> i zagradzał drogę.

— Co to znaczy? — zapytał zdziwiony.

— Skąd pan się tu wziął? — szepnęła Connie.

— A pani? Czy była pani koło szalasu?

— Nie! Nie! Byłam w Marehay.

Spojrzał na nią badawczo, z zaciekawieniem, a ona w poczuciu winy spuściła głowę.

— A teraz chciała pani pójść do szalasu? — zapytał prawie surowo.

— Nie! Teraz nie mogę. Zasiedziałam się w Marehay. Nikt nie wie, gdzie jestem. Spóźniłam się. Muszę się śpieszyć.

— Może żeby puścić mnie kantem? — rzekł Mellors z lekkim, ironicznym uśmiechem.

— Nie! Nie! To nie. Tylko...

<sup>54</sup>osioł Balaama — właściwie: oślica; biblijną historię pochodzącego z Mezopotamii proroka Balaama i jego oślicy zawiera Księga Liczb (Lb 22). Balaam cieszył się wielką sławą jako prorok, który rozmawiał z samym Jahwe; pewnego razu został poproszony przez króla Moabu, Balaka, aby rzucił klątwę na Izraelitów, którzy pokonali właśnie Amorytów i zagrażali jego królestwu. Wezwany przez króla Moabitów Balaam wyruszył na jego spotkanie, mimo ostrzeżeń ze strony Boga; po drodze wysłany przez Boga anioł z wyciągniętym mieczem próbował zatrzymać proroka, lecz oślica trzykrotnie zmieniła drogę i uchroniła przed anielskim ciosem swojego właściciela. Ten jednak nie widział anioła i pastwił się nad zwierzęciem, nie rozumiejąc jego zachowania. Zbita trzykrotnie, oślica przemówiła wreszcie z woli Boga do swego właściciela, skarżąc się na jego postępowanie. Ostatecznie Balaam nie przeklął, lecz trzykrotnie pobłogosławił Izraelitów. [przypis edytorski]



— Tak, więc co? — zapytał Mellors, podchodząc do niej i otaczając ją ramieniem. Czula jego ciało przeraźliwie blisko i żywo.

— O, nie teraz, nie teraz! — zawołała, usiłując go odepchnąć.

— Dlaczego nie? Jest dopiero szósta. Masz jeszcze pół godziny czasu.

— Nie! Nie! Nie chcę!

Trzymał ją mocno, czula jego pożądanie. Był to w niej dawny popęd walczenia o swoją wolność. Ale coś innego w niej było dziwne i leniwe, i ociężałe. Ciało jego napierało na nią, nie miała serca walczyć dłużej.

Rozejrzał się dokoła.

— Chodź — chodź tutaj! Tędy — rzekł, rzuciwszy bystro okiem między gęste jodły, młode i sięgające wierzchołkami niewiele więcej niż na pół wzrostu mężczyzny.

Obejrzał się za nią. Dostrzegła jego oczy, które były czujne i połyskujące, dzikie, nie rozkochane. Ale wola opuściła ją. Dziwne brzemie ciążyło jej członkom. Ustąpiła. Zrezygnowała.

Poprowadził ją przez ścianę kolczastych drzew, przez które trudno było przejść, do miejsca, gdzie było trochę przestrzeni i stos martwych konarów. Rzucił jeden lub dwa suche na ziemię, położył na nich swój płaszcz i kamizelkę, a ona musiała położyć się tam pod konarami drzewa, jak zwierzę, podczas gdy on czekał, stojąc tam w koszuli i spodniach, obserwując ją nawiedzonym wzrokiem. Ale mimo to był przewidujący — kazał jej leżeć odpowiednio. Zerwał jednak pasek jej bielizny, bo nie pomogła mu, tylko leżała bez ruchu.

On również obnażył przednią część ciała i poczuła jego nagie ciało przy sobie, gdy w nią wchodził. Przez chwilę był nadal w niej, nabrzmiały i drżący. Potem, gdy zaczął się poruszać, w nagłym, bezradnym orgazmie, obudziły się w niej nowe dziwne dreszcze falujące w jej wnętrzu. Falujące, falujące, falujące, jak trzepoczące nakładanie się miękkich płomieni, miękkich jak pióra, biegnące do punktów blasku, wykwiłtne, wykwiłtne i roztopiające ją całą roztopioną w środku. To było jak dzwonki falujące w górę i w górę, do kulminacji. Leżała nieświadoma dzikich, drobnych krzyków, które wydała na końcu. Ale to skończyło się zbyt wcześnie, zbyt wcześnie i nie mogła już wymusić swego zakończenia własną aktywnością. To było inne, inne. Nie mogła nic zrobić. Nie mogła już stwardnieć i chwycić go dla własnej satysfakcji. Mogła tylko czekać, czekać i jęczeć w duchu, gdy czuła, jak się wycofuje, wycofuje i kurczy, zbliżając się do strasznego momentu, gdy wyslizgnie się z niej i zniknie. Podczas gdy całe jej łono było otwarte i miękkie, i cicho jęczało, jak ukwiał morski pod przyplływem, domagając się, by wszedł ponownie i spełnił jej życzenie. Przyłgnęła do niego nieprzytomna z namiętności, a on wcale się z niej nie wyslizgnął całkiem, lecz czuła, jak miękki jego pączek porusza się w niej, a dziwne rytmy napływają do niej dziwnym rytmicznym ruchem narastającym, pęczniąc i pęczniąc, aż wypełniły całą jej rozszczępiającą się świadomość, a potem znów zaczął się niewypowiedziany ruch, który nie był prawdziwym ruchem, ale czystymi, pogłębiającymi się wirami wrażeń wirującymi coraz głębiej i głębiej przez wszystkie jej tkanki i jej świadomość, aż stała się jednym doskonałym, koncentrycznym płynem uczuć i leżała tam, płacząc nieświadomymi, niewyraźnymi krzykami. Głos z najdalszej nocy, życie! Mężczyzna słyszał go pod sobą z rodzajem podziwu, gdy jego życie wytrysnęło w nią. A gdy opadło, on również opadł i leżał zupełnie nieruchomo, nieświadomy, podczas gdy jej uścisk na nim powoli się rozluźnił, a ona leżała bezwładnie. Leżeli i nic nie wiedzieli, nawet o sobie nawzajem, oboje zagubieni. Aż w końcu zaczął się budzić i zdawać sobie sprawę ze swojej bezbronnej nagości, a ona zdawała sobie sprawę, że jego ciało rozluźnia swój uścisk na niej. Rozluźniał uścisk, ale w piersi czuła, że nie może znieść, aby zostawił ją odkrytą. Musi ją teraz przykryć na zawsze.

W końcu jednak odsunął się, pocałował ją, przykrył i sam zaczął się okrywać. Leżała wpatrzona w konary drzewa, nie mogąc się jeszcze poruszyć. On wstał i zapiął spodnie, rozglądając się dokoła. Wszystko było zęgśniałe i ciche, z wyjątkiem przerażonego psa, który leżał z łapami przy nosie. Ponownie usiadł na chruście i w milczeniu wziął Connie za rękę.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

— Tym razem doszliśmy razem — powiedział.

Nie odpowiedziała.

— To dobrze, kiedy tak jest. Większość ludzi przeżywa swoje życie i nawet o tym nie wie — powiedział raczej marzycielsko.

Spojrzała w jego zamyśloną twarz.

— Naprawdę? — powiedziała. — Cieszysz się?

Spojrzał jej w oczy.

— Cieszę się — powiedział. — Aj, ale nieważne.

Nie chciał, żeby mówiła. Pochylił się nad nią i pocałował ją, a ona poczuła, że musi ją całować zawsze.

W końcu usiadła.

— Ludzie często nie dochodzą razem? — zapytała z naiwną ciekawością.

— Dużo z nich nigdy. Widać to po ich surowym wyglądzie. — Mówił nieświadomie, żałując, że zaczął.

— Czy z innymi kobietami też tak miałeś?

— Nie wiem — powiedział. — Nie wiem.

I wiedziała, że nigdy nie powie jej niczego, czego nie chciałby jej powiedzieć. Obserwowała jego twarz i namiętność do niego budziła się w głębi jej istoty. Broniła się przed tym uczuciem, póki mogła, gdyż oznaczało ono, że wyzbywała się siebie samej.

Mellors włożył kamizelkę i kurtkę i utorował z powrotem drogę na ścieżkę. Ostatnie, poziome niemal promienie słońca padały na las.

— Nie pójdę z tobą — rzekł leśniczy — lepiej nie.

Spojrzała na niego w zadumie, zanim się odwróciła. Pies jego czekał tak lękliwie, aby leśniczy poszedł, a on jakby nie miał nic do powiedzenia. Nic nie pozostało.

Connie poszła wolno do domu, uświadamiając sobie głębie tego nowego uczucia w sobie. Zrodziło się w niej drugie „ja”, płonęło miękko w jej łonie i w jej trzewiach, i tym nowym „ja” uwielbiała go. Uwielbiała go, aż kolana poczęły pod nią drżeć w chodzie. Stapiała się teraz w swoim łonie i w swoich trzewiach i była żywa i wrażliwa, i bezradna w uwielbieniu dla niego, jak najnaiwniejsza kobieta.

„Mam takie wrażenie, jakbym czuła dziecko — powiadała sobie — jakbym czuła w sobie dziecko”.

I tak też było. Jak gdyby łono jej, które było mocno zamknięte, rozwarło się i napełniło nowym życiem, niemal brzemieniem, a jednak rozkoszą.

„Gdybymż miała dziecko — myślała. — Gdybym miała w sobie jego jako dziecko!”

I członki jej jakby stopniały pod tą myślą, i uświadomiła sobie olbrzymią różnicę między darowaniem dziecka sobie samej, a darowaniem dziecka mężczyźnie, za którym tęskniło jej łono. Pierwsza rzecz wydawała się w pewnym sensie normalna. Ale urodzić dziecko mężczyźnie, którego się w głębi duszy i w łonie uwielbiało, to napawało ją uczuciem, że stałaby się zupełnie odmienna od dawnego swego „ja” i niejako zstąpiłaby głęboko, głęboko ku centralnemu punktowi wszelkiej kobiecości, w sen tworzenia.

Nie namiętność była tu dla niej nowa, ale owo tęskne uwielbienie. Wiedziała, że zawsze się tego obawiała, gdyż uczucie to czyniło ją bezradną; obawiała się ciągle jeszcze, bo gdyby go zanadto uwielbiała, zatraciłaby siebie samą, zgasłaby, a zgasnąć nie chciała, nie chciała się stać niewolnicą, jak dzika kobieta. Nie wolno jej było stać się niewolnicą. Lękała się swego uwielbienia, a jednak nie chciała zacząć z nim zaraz walki. Wiedziała, że potrafiłaby je zmóc. Miała w piersi diabelski upór, który potrafiłby zmóc nieograniczone, pełne, wezbrane uwielbienie w jej łonie, potrafiłby je zdusić; mogłaby — tak przynajmniej sądziła — uczynić to nawet teraz jeszcze. I mogłaby wówczas z własnej woli poddać się znowu swojej namiętności.

Ach, tak, być namiętną jak bachantka, jak szalejąca po lasach menada, wzywać Iakchosa<sup>55</sup>, wspaniałego Phallusa, który nie miał poza sobą niezależnej osobowości, lecz był czystym bogiem-sługą kobiety! Mężczyzna, indywiduum, nie śmiał się do tego mieszać! On był tylko sługą świątyni, nosicielem i strażnikiem wspaniałego Phallusa, jej własności.

W ten sposób w potokach nowego przebudzenia płonęła w niej przez pewien czas dawna namiętność, a mężczyzna skurczył się do rozmiarów niepozornego przedmiotu, do roli nosiciela Phallusa, którego się rozrywało na sztuki, gdy tylko spełnił swoją służbę.

<sup>55</sup>*Iakchos* (mit. gr.) — młody bóg, przedstawiany w wieńcu z mirtu i pochodnią w dłoni, przewodnik misteriów eleuzyńskich; uważany za syna Zeusa i Demeter, Zeusa i Persefony a. Dionizosa i nimfy Aury. [przypis edytorski]

Czuła w członkach i w ciele siłę bachantki, kobiety, która była niby nagła błyskawica, zabijająca mężczyznę. Ale kiedy to czuła, doznała ciężaru na sercu. Nie chciała tego, było jej to za dobrze znane, było to bezpłodne, bezdzietne; uwielbienie było jej skarbem. Było ono tak niezgłębione, tak miękkie, tak głębokie i tak nieznanne! Nie, nie, wołała zrezygnować ze swej surowej, jasnej, kobiecej mocy; przesycała się nią, zaskorupiała się w niej; chciała się zanurzyć w tej nowej kąpieli życia, w głębinach swego łona i swoich trzewi, śpiewających bezgłośnie pieśń uwielbienia. Za wcześniej jeszcze było, aby zacząć się lękać mężczyzny.

— Doszłam aż do Marehay i wypiliśmy herbatę u pani Flint — powiedziała do Clifforda. — Chciałam sobie obejrzeć ich dziecko. Takie jest czarujące, włoski ma niby czerwona pajęczyna. Co za słodkie maleństwo! Pan Flint wyjechał na jarmark, wypiliśmy więc herbatę razem, ona i ja, i dziecko. Dziwiłeś się pewnie, że mnie tak długo nie ma?

— Tak, zastanawiałem się nad tym, ale domyśliłem się, że zostałeś gdzieś na herbacie — odpowiedział Clifford zazdrośnie.

Pewnego rodzaju drugim wzrokiem wyczuwał w niej coś nowego, coś zupełnie dla niego niezrozumiałego, ale przypisywał to dziecku. Pomyślał, że Connie cierpi jedynie nad tym, iż nie ma dziecka, iż nie potrafi niejako stworzyć go sobie automatycznie.

— Widziałam jaśnie panią, jak szła przez park do żelaznej furtki — rzekła pani Bolton — myślałam więc, że była pani z wizytą na plebanii.

— Miałam też ten zamiar, ale potem poszłam do Marehay.

Oczy dwóch kobiet spotkały się: oczy pani Bolton — szare, błyszczące i badawcze; oczy Connie — niebieskie, przesłonięte i dziwnie piękne. Pani Bolton była niemal pewna, że Connie ma kochankę, ale jakże to mogło być i kto nim mógł być? Gdzież tu był mężczyzna?

— To bardzo dobrze dla pani, jeżeli pani trochę wychodzi i przebywa w towarzystwie — rzekła pani Bolton. — Jak to powiedziałam przedtem do Sir Clifforda: dla jaśnie pani byłoby niezmiernie dobrze, gdyby się znalazła trochę między ludźmi.

— Tak, cieszę się, że tam poszłam, to takie dziwne, słodkie, śmiałe dzieciątko, Cliffordzie — rzekła Connie. — Włoski ma zupełnie jak pajęczyna, koloru jasnopomarańczowego. I ma najdziwniejsze, najodważniejsze, bladoniebieskie, porcelanowe oczęta. Naturalnie, że to dziewczynka, inaczej nie byłaby taka nieustraszona, bardziej nieustraszona niż jakiś mały Sir Francis Drake<sup>56</sup>.

— Jaśnie pani ma rację, prawdziwe małe Flinciątko. Oni wszyscy byli zawsze zuchwali, zapaleńcy — rzekła pani Bolton.

— Nie chciałbyś jej zobaczyć, Cliffordzie? Zaprosiłam panią Flint na herbatę, żebyś mógł zobaczyć jej małą.

— Kogo? — zapytał Clifford, spoglądając na Connie w najwyższym zakłopotaniu.

— Panią Flint i jej dziecko, na najbliższy poniedziałek.

— Możesz im podać herbatę na górze, w swoim pokoju — odpowiedział Clifford.

— Więc nie chcesz zobaczyć dziecka? — zawołała Connie.

— O, owszem, chcę je zobaczyć, ale nie chcę siedzieć z nimi przez godzinę przy stole.

— Ach, tak — rzekła Connie i spojrzała na niego wielkimi, przesłoniętymi oczyma. W istocie nie widziała jego, był to ktoś inny.

— Jaśnie pani może urządzić u siebie bardzo miłą herbatkę, a pani Flint nie będzie się czuła tak skrępowana, jak w obecności Sir Clifforda — wtrąciła pani Bolton.

Była pewna, że Connie ma kochankę, i jakiś głos w niej triumfował. Ale kto to był? Kto to był? Może pani Flint udzieli jej jakiejś wskazówki.

Tego wieczora Connie nie chciała się kąpać. Uczucie dotknięcia jego ciała, nawet jego potu, było jej drogie i w pewnym sensie święte.

Clifford był bardzo zaniepokojony. Nie chciał jej puścić po kolacji, a ona tak bardzo pragnęła być sama. Rzuciła na niego okiem, ale była dziwnie posłuszna.

— Zagramy w coś czy mam ci coś przeczytać, albo też będziemy robili coś innego? — zapytał Clifford niepewnym głosem.

— Przeczytaj mi coś — rzekła Connie.

— Co ci mam czytać: wiersze czy prozę? Albo jakiś dramat?

— Czytaj mi Racine'a.

<sup>56</sup>Sir Francis Drake — korsarz i odkrywca angielski z XVI wieku. [przypis tłumacza]

Czytanie Racine'a w prawdziwym, wielkim stylu francuskim było dawniej jedną z jego popisowych sztuk. Teraz jednak był nieco zaskorupały, nieco zakłopotany; wolał tak naprawdę głośnik radiowy. Ale Connie szyła, szyła małą sukienkę barwy sasanek, przykrojoną dla dziecka pani Flint z jakiejś starej sukni. Przykroiła ją przed kolacją, a teraz siedziała w łagodnym, uspokojonym zachwyceniu, słuchając czytania.

W głębi swego jestestwa słyszała poszum namiętności, niby echo głębokich dzwonów.

Clifford powiedział do niej coś o Racine'ie. Zrozumiała sens dopiero, gdy słowa już przebrzmiały.

— Tak! Tak! — rzekła, podnosząc ku niemu wzrok. — To naprawdę wspaniałe.

Znowu uczył lęk przed głębokim, błękitnym płomieniem w jej oczach i przed jej łagodną ciszą, kiedy tak siedziała nad robótką. Nigdy nie była tak absolutnie łagodna i cicha. Fascynowała go, czyniła go bezradnym, jakby go oszołamiła jakaś otaczająca ją atmosfera. Czytał więc bezradnie dalej, a gardlany ton jego francuszczyzny był dla niej niby wiatr w kominie. Z Racine'a nie słyszała ani słowa.

Zatopiona była we własnym, łagodnym zachwyceniu, jak las, który pod słabym, radosnym westchnieniem wiosny poczyna jęcząc puszczać pąki. Czowała, że w tym samym świecie był z nią mężczyzna, ów bezimienny mężczyzna, który kroczył na pięknych nogach, piękny w fallicznej tajemnicy. A w sobie samej, we wszystkich swoich żyłach, czuła jego i jego dziecko. Dziecko jego było we wszystkich jej żyłach niby łagodny zmierzch.

„Gdyż nie ma ona dłoni, ani oczu, ani stóp, ani złotego skarbu włosów...”<sup>57</sup>.

Była niby las, niby ciemny gąszcz gałęzi dębowego lasu, brzęczących niedosłyszalnie miliardami rozwijających się pąków. A tymczasem ptaki pożądania drzemały w bezgranicznie splecionej gęstwie gałęzi jej ciała.

Ale głos Clifforda brzmiał ciągle, trzaskał i bulgotał niecodziennymi dźwiękami. Jakie to było niezwykle! I jaki niezwykle był on, kiedy się tak pochylał nad książką, dziwaczny i pożądlivy, i kulturalny, z szerokimi barami i w istocie bez nóg! Co za dziwny stwór o surowej, zimnej, nieugiętej woli drapieżnego ptaka, a bez ciepła! Zupełnie bez ciepła! Jakiś z owych stworów dalekiej przyszłości, które nie będą miały duszy, tylko żywą, zimną wolę. Drżała nieco z trwogi przed nim. Ale łagodny, gorący płomień życia był jednak silniejszy od niego, a rzeczy prawdziwe były przed nim ukryte.

Czytanie skończyło się. Connie wzdrygnęła się. Podniosła wzrok i przeraziła się jeszcze bardziej, widząc, że Clifford obserwował ją bladymi, niesamowitymi oczyma, jakby z nienawiścią.

— Dziękuję ci bardzo! Czytasz Racine'a naprawdę cudownie! — rzekła cicho.

— Prawie tak cudownie, jak ty go słuchasz — odpowiedział Clifford okrutnie.

— Robię sukienkę dla dziecka pani Flint.

Clifford odwrócił się. Dziecko! Dziecko! Tym była zupełnie opętana.

— Ostatecznie — rzekł głosem deklamatorskim — można z Racine'a czerpać wszystko, czego człowiekowi potrzeba. Uczucia, które są uporządkowane i ukształtowane, są ważniejsze niż nieuporządkowane uczucia.

Connie przyglądała mu się rozwartymi, niepewnymi, przesłoniętymi oczyma.

— Tak. Jestem tego pewna — rzekła.

— Nowoczesny świat zwulgaryzował tylko uczucia, puściwszy je luzem. Brak nam właśnie klasycznej kontroli.

— Tak — odpowiedziała Connie i pomyślała o nim, jak z pozbawioną wyrazu twarzą uczuciowego idioty słuchał radia. — Ludzie udają, że posiadają uczucia, a w rzeczywistości nie czują nic. Zdaje się, że to się nazywa romantyzmem.

— Właśnie! — rzekł Clifford.

W istocie był zmęczony. Wieczór ten męczył go. Wolałby spędzić go nad swoimi technicznymi książkami albo z dyrektorem kopalni, albo słuchając radia.

Pani Bolton weszła z dwiema szklankami słodu. Dla Clifforda, żeby lepiej spał, i dla Connie, żeby znowu przytyła. Był to regularny napój nocny, który wprowadziła.

<sup>57</sup> *Gdyż nie ma ona dłoni, ani oczu, ani stóp, ani złotego skarbu włosów...* — w orygl. „*For hands she hath none, nor eyes, nor feet, nor golden Treasure of hair*”, cytat z wiersza Algernona Charlesa Swinburne'a *The Pilgrims*. [przypis edytorski]

Connie była rada, że może wejść do swego pokoju po wypiciu siodu, i wdzięczna, że nie potrzebowała pomagać Cliffordowi w rozbieraniu. Wzięła jego szklankę i postawiła na tacy, potem zabrała tacę, żeby ją wynieść.

— Dobranoc, Cliffordzie! Mam nadzieję, że będziesz dobrze spał. Racine przynika człowieka jak sen. Dobranoc!

Doszła już do drzwi. Odchodziła więc bez pożegnalnego pocałunku. Clifford obserwował ją baczny, zimny wzrokiem. Tak! Nie pocałowała go nawet na dobranoc, gdy on poświęcił cały wieczór na czytanie jej. Więc były w niej takie przepaści oschłości! Chociaż pocałunek ten był tylko formalnością, jednakże życie zależało od takich formalności. Była bolszewiczką, naprawdę. Uczucia jej były bolszewickie! Spoglądał zimno i gniewnie na drzwi, przez które wyszła. Ze złością.

I znowu ogarnął go lęk przed nocą. Był cały siecią nerwów, a jeśli nie był usposobiony do pracy i pełen energii, albo jeśli nie słuchał radia i nie był w ten sposób zupełnie zobojętniały, przejmował go lęk i uczucie czekającej go niebezpiecznej pustki. Bał się. A Connie mogła go ochronić przed tą trwogą, gdyby chciała. Ale jasne było, że nie chciała, nie chciała. Była niewrażliwa, zimna i niewrażliwa na wszystko, co on dla niej robił. Oddawał jej życie, a ona nie miała dla niego żadnego uczucia. Chciała tylko kroczyć własną drogą. „Lady ceni swoją wolę”.

Teraz była opętana dzieckiem. Ale żeby było jej własne, zupełnie własne, nie jego!

Ścisłe biorąc, Clifford był absolutnie zdrów. Wyglądał tak dobrze i świeżo, ramiona miał szerokie i silne, klatkę piersiową potężną, przytył nawet. A jednak lękał się śmierci. Zdawało mu się, że gdzieś grozi mu w jakiś sposób straszliwa przepaść, próżnia, a w tej próżni załamałaby się jego energia. Zaś bez energii — czuł to niekiedy — byłby trupem, naprawdę trupem.

Jego wypukłe, blade oczy miały więc dziwne spojrzenie, ukradkowe, a jednak zarazem okrutne, a takie były zimne i przy tym niemal zuchwałe. Bardzo dziwne było to zuchwałe spojrzenie: jak gdyby wbrew życiu triumfował nad życiem. „Kto zna tajemnice woli, ten może nawet wbrew aniołom triumfować...”<sup>58</sup>

Szczególnym jednak lękiem napawały go noce, kiedy nie mógł spać. To było naprawdę przeraźliwe, kiedy zniszczenie osaczało go ze wszystkich stron. Wtedy przejmowała go grozą egzystencja bez posiadania jakiegokolwiek życia. Egzystencja bez życia pośród nocy.

Ale teraz mógł zadzwonić na panią Bolton. Ona przyjdzie każdej chwili. To była wielka pociecha. Przyjdzie w szlafroku, z włosami zwisającymi w warkoczu na plecach, dziwnie dziewczęca i zakłopotana, chociaż brunatne warkocze przeplatane były siwizną. I zagotuje mu kawy albo rumianku i będzie z nim grała w szachy albo w pikietę. Posiadała dziwną, kobiecą właściwość, że choćby nawet w trzech czwartych spała, potrafiła jeszcze grać w szachy dość dobrze, aby się opłaciło wygrać od niej. Siedzieli więc tak w milczącej poufałości nocy albo ona siedziała przy nim, a on leżał na łóżku, lampka nocna rzucała samotne światło na nią, niemal zupełnie ogarniętą przez sen, i na niego, niemal zupełnie ogarniętego przez jakiś lęk, i grali, grali oboje — potem wypijali razem filiżankę kawy, dojadając biszkopty, i prawie nie mówili w ciszy nocy, ale byli dla siebie nawzajem ubezpieczeniem.

A dzisiejszej nocy pani Bolton zadawała sobie pytanie, kto jest kochankiem Lady Chatterley. I myślała o swoim Tedzie, który już od tak dawna nie żył, ale dla niej nigdy nie umarł zupełnie. A kiedy myślała o nim, zbudziła się w niej dawna, dawna nienawiść do świata, a szczególnie do panów, ponieważ oni zabili jej Teda. Nie zabili go naprawdę, ale w jej oczach, w jej uczuciu, oni to zrobili. I w jakimś zakątku duszy była właśnie dlatego nihilistką, prawdziwą anarchistką.

W półśnie mieszały się jej myśli o Tedzie i o nieznanym kochanku Lady Chatterley, a potem czuła, że dzieliła z tamtą kobietą głęboką nienawiść do Sir Clifforda i do wszyst-

<sup>58</sup> *Kto zna tajemnice woli, ten może nawet wbrew aniołom triumfować* — trawestacja motto z poetyckiego, baśniowego opowiadania *Ligeia* Edgara Allana Poe, który w całości brzmi: „*And the will therein lieth, which dieth not. Who knoweth the mysteries of the will, with its vigor. For God is but a great will pervading all things by nature of its intentness. Man doth not yield himself to the angels, nor unto death utterly, save only through the weakness of his feeble will*” (A w nim leży wola, która nie umiera. Który zna tajemnice woli z jej siłą. Albowiem Bóg jest tylko wielką wolą przenikającą wszystkie rzeczy z natury swej intencji. Człowiek nie poddaje się aniołom ani śmierci całkowitej, chyba że przez słabość swej słabej woli). [przypis edytorski]

kiego, co on uosabiał. Ale jednocześnie grała z nim w pikietę o sześć pensów. I było dla niej źródłem wielkiego zadowolenia grać w pikietę z baronetem i nawet przegrywać do niego sześciopensówki.

Grali w karty zawsze o pieniądze. Dawało to Cliffordowi zapomnienie. I zazwyczaj on wygrywał. I dzisiejszej nocy wygrywał. Nie zasnął więc wcześniej, aż zajaśniał pierwszy brzask. Na szczęście stało się to o pół do piątej czy około tej godziny.

Connie leżała w łóżku w głębokim śnie. Ale leśniczy nie mógł także zaznać spokoju. Pozamykał kojce i odbył przegląd lasu, potem wrócił do domu i zjadł kolację. Ale nie kładł się. Siedział przy ogniu i myślał.

Myślał o swoich chłopięcych czasach w Tevershall i o pięciu czy sześciu latach swego małżeństwa. Myślał o swojej żonie, myślał o niej zawsze z goryczą. Wydawała mu się taka brutalna! Ale oto nie widział jej od roku 1915, od owej wiosny, kiedy poszedł do wojska. A ona była tutaj, o niespełna trzy mile od niego, jeszcze brutalniejsza, niż dawniej. Spodziewał się, że do końca życia już jej nie zobaczy.

Myślał o swoim życiu żołnierskim na obczyźnie. Indie, Egipt i znowu Indie: ślepe, bezmyślne życie z końmi; pułkownik, który go lubił i którego on lubił; lata, kiedy był oficerem, porucznikiem z bardzo dobrymi widokami awansu na kapitana. Potem śmierć pułkownika na zapalenie płuc, i jak on sam ledwo uniknął śmierci; jego zmarnowane zdrowie; jego głęboki niepokój; wystąpienie z wojska i powrót do Anglii, aby znowu zostać robotnikiem.

Wlókł życie. Sądził, że w tym lesie będzie przynajmniej przez pewien czas bezpieczny. Dotąd nie było jeszcze końca: musiał najpierw wyhodować bażanty. Nie chciał obsługiwać dział. Chciał żyć sam i z dala od ludzi, to było wszystko, czego pragnął. Musiał mieć jakąś podstawę, a to było jego miejsce urodzenia. Nawet matka jego mieszkała tutaj. Co prawda nie miała ona dla niego wielkiego znaczenia. I mógł wieść dalej życie i istnieć dnia na dzień, bez związku i bez nadziei. Gdyż nie wiedział, co z sobą począć.

Nie wiedział, co z sobą począć. Odkąd był przez kilka lat oficerem i wraz z innymi oficerami i urzędnikami państwowymi obracał się w towarzystwie ich żon i rodzin, zatracił ambicję „wybicia się”. Poznał średnią i wyższą klasę: była w nich jakaś nieugiętość, jakaś dziwna, gruboskórna nieugiętość, która po prostu napawała go uczuciem chłodu i obcości.

Powrócił więc do własnej klasy, aby znaleźć tam to, o czym podczas tylu lat swojej nieobecności zapomniał: małostkowość i wulgarność zachowania, które mu były wstrętne. Zrozumiał dopiero teraz, jak ważne było dobre wychowanie. I zrozumiał, jak ważne było *udawać* choćby, że człowiekowi nie zależało na pół pensie albo na jakimś drobiazgu życia. Ale ludzie z ludu nie umieli tego udawać. Grosz mniej czy więcej na słoninie był rzeczą ważniejszą niż zmiana w Ewangelii. Nie mógł tego znieść.

A potem te wieczne spory o wynagrodzenie. Ponieważ żył pośród klasy posiadającej, wiedział, jak zupełnie beznadziejnym było spodziewać się rozwiązania kwestii płacy. Nie było innego rozwiązania, prócz chyba śmierci. Jedyna mądrość, to nic sobie z tego nie robić, nic sobie nie robić z wynagrodzenia.

Ale jeżeli się było biedakiem, nędzarzem, trzeba sobie było coś z tego robić. W każdym razie stało się to jedyną rzeczą, z której sobie ludzie coś robili. Troska o pieniądze była niby olbrzymi rak, który toczył jednostki wszystkich klas. On sam wzbraniał się przed przejmowaniem się kwestią pieniężną.

A cóż pozostawało poza tym? Co dawało życie, poza troskami pieniężnymi? Nic.

W każdym razie mógł żyć sam, z niewielkim zadośćuczynieniem, że jest sam; mógł hodować bażanty, aby je w końcu naźarci panowie zastrzelili po śniadaniu. Wszystko było bezcelowe, bezcelowe w entej potędze.

Lecz po co się martwić, po co się troszczyć? I dotychczas nie martwił się, nie troszczył. Aż ta kobieta wkroczyła w jego życie. Był prawie o dziesięć lat starszy od niej. A pod względem doświadczenia był od niej tysiąc razy starszy, ponieważ zaczął od dołu. Łączące ich więzy stawały się coraz ciaśniejsze. Mógł już przewidzieć dzień, gdy wszystko zazębi się zupełnie i wtedy będą musieli stworzyć z tego wspólne życie. „Gdyż trudno jest zerwać więzy miłości!”

I co wtedy? Co wtedy? Czy musiał znowu zaczynać bez niczego, z czym można by zacząć? Czy musiał wciągać w to tę kobietę? Czy musiał toczyć przeraźliwą walkę z jej mężem? I także pewnego rodzaju przeraźliwą walkę ze swoją brutalną żoną, która go

Pozycja społeczna, Pieniądz,  
Obcy

Pozycja społeczna

nienawidziła? Co za okropność! Co za straszliwa okropność! I nie był już młody, a tylko zgłodniały życia. Nie posiadał też beztróskiego, obojętnego usposobienia. Każda gorycz i każda szpetota zraniłaby go: jego i ją!

Ale gdyby się nawet oboje wyzwolili od Sir Clifforda i od jego żony, nawet gdyby się wyzwolili, co mieli począć? Co począłby on sam? Co miał zrobić ze swoim życiem? Bo coś przecież zrobić musiał. Nie mógł być tylko darmozjadem, żyć z jej pieniędzy i swojej małej emerytury.

Zadanie było nierozwiązalne. Nie przychodziło mu na myśl nic innego, jak tylko, że mógłby pojechać do Ameryki, aby zakosztować nowego powietrza. Nie pokładał najmniejszej wiary w dolarze. Ale może, może było tam coś innego jeszcze.

Nie mógł znaleźć spokoju albo przynajmniej położyć się do łóżka. Przesiedziawszy do północy w wichurze gorzkich myśli, wstał nagle i sięgnął po kurtkę i fuzję.

— Chodź, stara — rzekł do suki. — Nam jest najlepiej w lesie.

Noc była gwiazdzista, ale bezksiężycowa. Rozpoczął powolny, sumienny, cichy i potajemny obchód. Jedyne, z czym musiał walczyć, były to potrzaski na króliki, jakie zastawiali górnicy, zwłaszcza ze Stacks Gate, niedaleko Marehay. Był to okres pomiotu, ale górnicy nawet na to nie zważali. Tym niemniej potajemny obchód w poszukiwaniu kłusowników uspokoił jego nerwy i odciągnął jego myśli od poprzedniego przedmiotu.

Ale kiedy zbliżał się ku końcowi powolnego, ostrożnego obchodu — była to przestrzeń blisko pięciu mil — uczył się zmęczony. Wszedł na wierzchołek wzgórza i rozejrzał się. Ani dźwięku nie było słyhać poza słabo rozbrzemiwającym warkotem kopalni Stacks Gate, która nigdy nie przerywała pracy. I prawie nie widać było światła, poza szeregami elektrycznych lamp przy kopalniach. Świat leżał we śnie, ciemny i dyszący. Było pół do trzeciej. Ale nawet we śnie był to świat niespokojny, okrutny, poruszał się on we wrzawie pociągu albo wielkiego auta ciężarowego na szosie i drgał w czerwonej błyskawicy wielkiego pieca hutniczego. Był to świat żelaza i węgla, okrucieństwa żelaza i wyziewów węgla, i bezgranicznej, bezgranicznej chciwości, która była bodźcem tego wszystkiego. Tylko chciwość, chciwość, poruszająca się we śnie.

Było zimno, leśniczy kaszłał. Delikatny, zimny wiatr powiewał nad szczytem. Pomyślał o owej kobiecie. Teraz oddałby wszystko, co posiadał albo miał kiedykolwiek posiadać, za to, aby ją trzymać gorąco w swoich ramionach, aby otuleni w jedną koldrę mogli spać razem. Wszystkie nadzieje wieczności i wszystkie zdobycze przeszłości oddałby za to, aby ją mieć przy sobie, być z nią spowitym ciepło w jedną koldrę i spać, tylko spać. Sen z tą kobietą w jego ramionach wydawał mu się jedyną koniecznością.

Poszedł do szałasu, owinął się w wełniany koc i położył się na ziemi, żeby zasnąć. Ale nie mógł spać, było mu zimno. A przy tym odczuwał okrutnie swoją niedoskonałość. Gorzko odczuwał swoje osamotnienie. Pragnął jej, aby ją móc dotykać, aby ją przycisnąć mocno do siebie w chwili upojenia i snu.

Wstał znowu i opuścił szałas, tym razem w kierunku furtki parkowej, potem ruszył wolno ścieżką ku jej domowi. Była godzina blisko czwarta, ciągle jeszcze panował zmrok i chłód, ani śladu brzasku porannego. Był tak przyzwyczajony do ciemności, że widział doskonale.

Powoli, powoli przyciągał go wielki dom jak magnes. Chciał być blisko niej. Nie było to pożądanie, nie, nie to. Było to okrutne uczucie samotności, które pragnęło ułożonej cicho w jego ramionach kobiety. Gdzie mógł ją odszukać? Może zdołałby ją nawet zawołać albo znaleźć do niej drogę, gdyż niedola jego była przemożna.

Powoli i cicho wchodził po zboczu ku domowi. Potem znalazł się pod wielkimi drzewami na dojazdowej drodze, zataczającej olbrzymi łuk wokół murawy przed wejściem. Mógł już odróżnić dwa wielkie buki stojące na tej dużej płaszczyźnie przed domem i wznoszące się ciemno w ciemnym powietrzu.

Oto był dom, niski i wielki, i ciemny, tylko na parterze paliło się samotne światło w pokoju Sir Clifforda. Ale w którym pokoju była ona, kobieta trzymająca drugi koniec słabej nici pociągającej go tak bezlitośnie — tego nie wiedział.

Zbliżył się jeszcze bardziej, z fuzją w rękę, i stanął nieruchomo pośrodku drogi, przyglądając się domowi. Może zdołałby ją nawet teraz znaleźć i dostać się do niej w jakiś sposób. Dom nie był nieprzystępny, a on posiadał przebiegłość i zręczność włamywacza.

Chciwość

Czemu nie wejść do niej? Stał nieruchomo, wyczekująco, podczas gdy ranek poczynił świtać za nim słabo i niedostrzegalnie. Widział, jak światło w domu zgasło, ale nie widział, jak pani Bolton podeszła do okna, rozsunała stare firanki z granatowego jedwabiu i stojąc w ciemnym pokoju, wyjrzała ku upragnionemu brzaskowi, czekając, czekając, aż Clifford przekona się naprawdę, że to świt. Bo gdy był pewien, że dzień się budzi, zasypiał prawie natychmiast.

Stała przy oknie, oślepią sennością, i czekała. A gdy tak stała, wzdrygnęła się nagle i omal nie krzyknęła. Gdyż przy drodze ujrzała człowieka, ciemną postać w półmroku. Otrzeźwiała zupełnie i patrzyła bacznie, ale bez dźwięku, który zbudziłby Sir Clifforda.

Światło dzienne poczęło się sączyć na świat, a ciemna postać stała się mniejsza i wyraźniejsza. Pani Bolton poznała fuzję i skórzane sztylpy i faldzistą kurtkę — to musiał być leśniczy Oliver Mellors. Tak, dojrzała nawet psa, węszącego jak cień i czekającego na swego pana.

Ale czego ten człowiek tu chciał? Czy chciał zbudzić dom ze snu? Po co stał tam jak nieprzytomny i spoglądał w okna, jak zakochany pies przed domem, w którym jest suka?

Miły Boże! Jak błyskawica przeniknęło panią Bolton nagle zrozumienie. On był kochankiem Lady Chatterley! On! On!

Któż by to pomyślał? Ba, czyż i ona sama, Ivy Bolton, nie była w nim kiedyś trochę zadurzona? Kiedy on był chłopcem szesnastoletnim, a ona dwudziestosexioletnią kobietą! Było to w czasie, kiedy się przygotowywała do egzaminu pielęgniarstwa. A on pomagał jej wiele przy anatomii i w innych sprawach, których się musiała uczyć. Mądry to był chłopak, dostał stypendium do gimnazjum w Sheffield, uczył się francuskiego i innych rzeczy, a potem został ostatecznie kowalem i okuwał konie, ponieważ lubił konie, jak powiadał: w istocie zaś, ponieważ bał się ruszyć w świat i stawić mu czoła; tylko że do tego nigdy się nie chciał przyznać.

Ale ładny był z niego chłopak, ładny chłopak, i bardzo jej dopomógł; potrafił doskonale tłumaczyć człowiekowi trudne rzeczy. Był zupełnie taki mądry, jak Sir Clifford; a do kobiet zawsze miał szczęście. Raczej do kobiet niż do mężczyzn, powiadano.

Aż wreszcie ożenił się z Bertą Coutts, jakby to zrobił sobie na przekór. Niektórzy ludzie żenią się naprawdę sobie na przekór, ponieważ rozczarowali się czymś. I nic dziwnego, że mu się nie powiodło. Lata całe go nie było, przez cały czas wojny: i porucznikiem został, i w ogóle; prawdziwy gentleman, rzeczywiście prawdziwy gentleman! — A potem wrócił do Tevershall i zostać leśniczym! Naprawdę, niektórzy ludzie nie umieją wykorzystać nadarzających się im sposobności. I mówić najordynarniejszą gwarą jak najgorsi ludzie, gdy ona, Ivy Bolton, wiedziała przecież, że on *rzeczywiście* potrafi mówić jak elegancki człowiek.

Tak, tak! Więc jasnie pani zapatrzyła się w niego! Hm — jasnie pani nie była pierwsza: w tym człowieku coś było. Ale pomyśleć tylko! Chłopak urodzony w Tevershall, wychowany tutaj i ona, jasnie pani na Wragby Hall! Daję słowo, to dopiero policzek dla wielmożnych państwa Chatterleyów!

Tymczasem leśniczy, w miarę jak budził się dzień, począł pojmować, że to było bezcelowe! Bezcelowe były próby wyrwania się z osamotnienia. Trzeba było wytrwać w tym całe życie. Niekiedy tylko, niekiedy, luka wypełniała się. Niekiedy tylko! Ale trzeba było czekać na to. Trzeba było trwać w samotności i znosić ją przez całe życie. A chwile, gdy się luka wypełniała, przyjmować, kiedy się zdarzały. Ale musiały przyjść same. Niepodobna ich było zmusić do tego.

Za jednym zamachem opadły fale pożądania, które ciągnęły go do niej. Zdławił je, gdyż tak być musiało. Z obu stron musiało być pragnienie. A jeśli ona nie przychodziła do niego, on nie będzie biegał za nią. Nie wolno mu. Musiał odejść, aż ona przyjdzie.

Odwrócił się powoli, w zadumie i wchłonął znowu swoją samotność. Wiedział, że tak jest lepiej. Ona musiała przyjść do niego: bezcelowe byłoby gonić za nią. Bezcelowe!

Pani Bolton zobaczyła, jak leśniczy odchodził, zobaczyła, jak pies biegł za nim.

„Tak, tak! — powiedziała sobie. — Jest to jedyny mężczyzna, o którym nigdy w związku z tym nie pomyślałam, a przecież jedyny, o którym naprawdę mogłam pomyśleć! Jako młody chłopiec był dla mnie pocziwy, kiedy straciłam Teda. Tak, tak! Cóż by on na to powiedział, gdyby wiedział o tym!”



I rzuciła triumfujące spojrzenie na śpiącego już Clifforda, po czym cicho wyszła z pokoju.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Connie robiła porządki w jednym z lamusów Wragby. Było ich wiele: dom pełen był gratów, a rodzina nigdy nic nie sprzedawała. Ojciec Sir Geoffreya zbierał obrazy, a matka meble z *cinquecento*<sup>59</sup>. Sir Geoffrey sam miał zamiłowanie do starych, rzeźbionych skrzyń dębowych na garderobę. Tak było z pokolenia na pokolenie. Clifford zbierał bardzo nowoczesne obrazy po bardzo niskich cenach.

W lamusie były więc liche malowidła Sir Edwina Landseera<sup>60</sup> i patetyczne gniazda ptasie Williama Henry'ego Hunta<sup>61</sup> i inne partactwa akademickie, które wystarczyły, aby wzbudzić grozę w córce członka Akademii Królewskiej. Postanowiła przejrzeć to kiedyś i powyrzucać. Ale groteskowe meble interesowały ją.

Starannie owinięta dla ustrzeżenia przed uszkodzeniem i butwieniem stała tam stara kołyska rodzinna z różanego drzewa. Connie musiała ją rozpakować, aby się jej przyjrzeć. Mebel ten posiadał jakiś urok: przyglądała mu się długo.

— Wielka szkoda, że ta kołyska nie będzie nigdy używana — westchnęła pani Bolton, która pomagała Connie. — Chociaż kołyski należą dzisiaj do rzeczy przestarzałych.

— Może będzie jeszcze użyta. Może będę jeszcze miała dziecko — rzekła Connie swobodnie, jakby mówiła, że może pozwoli sobie jeszcze na kupno nowego kapelusza.

— Sądzi pani... gdyby się Sir Cliffordowi coś stało! — wyjąkała pani Bolton.

— Nie, mówię to tak, jak się rzeczy mają. Choroba Sir Clifforda polega tylko na paraliżu mięśni, nie ma ona nic wspólnego z nim samym — odpowiedziała Connie, kłamiąc w sposób równie naturalny, jak oddychała.

Clifford wbił jej tę myśl w głowę. Powiedział:

— Naturalnie może się zdarzyć, że będę jeszcze miał dziecko. Nie jestem wcale okaleczony naprawdę. Potencja może łatwo powrócić, nawet jeżeli mięśnie bioder i ud są sparaliżowane. A wtedy może uda się przenieść nasienie.

Podczas swego energicznego okresu, kiedy tak gorliwie pracował nad zagadnieniami górnictwa, miał istotnie wrażenie, jakby powracała mu potencja płciowa. Connie wlepiła w niego wzrok z przerażeniem. Była jednak dość rozsądna, aby zużytkować jego myśli do własnych celów. Chciała bowiem mieć dziecko, gdyby mogła: ale nie jego dziecko.

Pani Bolton na chwilę utraciła mowę, jak rażona gromem. Potem nie chciała uwierzyć: dopatrywała się w tym tylko podstęp. Ale lekarze dokonywali dzisiaj takich cudów. Może przeprowadzą też sztuczne zapłodnienie.

— Tak, proszę jaśnie pani, mam nadzieję i modłę się tylko, aby to pani było dane. Jakby to było wspaniale dla pani i dla nas wszystkich! Naprawdę, dziecko we Wragby, jakżeby się wtedy wszystko zmieniło!

— Prawda? — rzekła Connie.

I wybrała trzy kicze akademickie, liczące sobie już po sześćdziesiąt lat, aby je posłać księżnie Shortland na najbliższy kiermasz dobroczynny. Nazywano ją „bazarową księżną”, ponieważ stale prosiła całe hrabstwo o nadsyłanie jej różnych przedmiotów do sprzedaży. Będzie zachwycona tymi trzema malowidłami. Może nawet skłoni ją to do złożenia wizyty. Jak wściekły był Clifford zawsze, kiedy ona przyjeżdżała.

„Ależ moja kochana! — myślała pani Bolton w duchu. — Więc przygotowujesz nas na dziecko Olivera Mellorsa? O Boże wielki, tożby dopiero było coś! Dziecko tevershallowskie w kołysce rodowej z Wragby! Naprawdę, nie przyniosłoby jej ujmy!”

Pośród innych potworności stała w tym lamusie także dość duża szkatułka z japońskiej laki, sprzed sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu lat, niezwykle zręcznej i starannej

<sup>59</sup>*cinquecento* (wł.) — wiek XVI. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>*Landseer, Edwin Henry* (1802–1873) — ang. malarz i rzeźbiarz wiktoriański, animalista, ulubiony artysta królowej Wiktorii, niezwykle popularny w 2. poł. XIX w. wśród ang. klasy średniej; przyjaźnił się z wybitnymi osobistościami swego czasu, m.in. z Karolem Dickensem i Williamem Thackerayem; w 1850 otrzymał tytuł szlachecki. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>*Hunt, William Henry* (1790–1864) — ang. malarz naturalistycznych akwareli przedstawiających martwe natury oraz sceny rodzajowe. [przypis edytorski]

roboty, wyposażona w najbardziej pomysłowe urządzenia. Na górze był skoncentrowany garnitur toaletowy: szczotki, flakoniki, lustro, grzebienie, puderniczki, nawet trzy niezwykle małe brzytwy w pochawkach, mydelniczka i tak dalej. Poniżej następowały przybory piśmienne: suszki, pióra, kałamarze, papier, koperty, notesy. Następnie komplet przyborów do szycia: trzy pary różnej wielkości nożyczek, napastrki, igły, jedwab do szycia, nici i szydełka, wszystko w najlepszym gatunku i cudownie wykonane. Dalej była tam mała apteczka z butelkami, na których widniały napisy: *Laudanum*, *Tinctura myrrhea*, *Ess. Clovis* i tak dalej, ale wszystkie były puste.

Wszystko zupełnie nowiutkie, a całość była po zamknięciu wielkości małej, ale grubej walizeczki, wewnątrz zaś składała się jak lamigłówka. Z buteleczek nic się wylać nie mogło, bo nie było miejsca.

Szkatułka była cudownie pomyślana i cudownie wykonana. Była to doskonała robota w solidnym stylu wiktoriańskim. Ale w pewnym sensie było to monstrualne. Nawet jakiś Chatterley musiał sobie z tego zdawać sprawę, gdyż szkatułka nie była nigdy w użyciu. Odznaczała się ona szczególną bezdusnością.

Ale pani Bolton była zachwycona.

— Niech pani spojrzy, co za cudowne szczoteczki! I jakie to wszystko luksusowe! Nawet pędzelki do golenia, trzy doskonałe pędzelki! Nie! I co za nożyczki! Naprawdę, najlepsze, jakie można dostać! O, to jest coś zachwycającego!

— Tak pani sądzi? — rzekła Connie. — Więc niech ją sobie pani weźmie.

— Ach, nie, proszę jaśnie pani!

— Naprawdę! Tutaj ta szkatułka będzie leżała do końca świata. Jeżeli jej pani nie chce, pošlę ją księżnej razem z obrazami. A nie zasługuje ona w istocie, żeby jej tyle dać. Niechże pani weźmie!

— O, proszę jaśnie pani! Nie wiem, jak mam pani za to dziękować.

— Nie potrzebuje pani wcale dziękować — zaśmiała się Connie.

I pani Bolton zbiegła triumfalnie na dół, trzymając w ramionach dużą, czarną szkatułkę, czerwona zupełnie z podniecenia.

Pani Betts zawiozła ją jednokonką razem ze szkatułką do jej domu we wsi.

A pani Bolton po prostu *musiała* zaprosić kilka przyjaciółek, aby im pokazać podarunek: żonę nauczyciela, aptekarżową, panią Weedon, żonę drugiego kasjera. Wszystkie były zdania, że szkatułka jest istnym cudem. A potem zaczęły się szept o dziecku Lady Chatterley.

— Cuda ciągle się jeszcze zdarzają! — rzekła pani Weedon.

Ale pani Bolton była *przekonana*, że gdyby dziecko przyszło na świat, byłoby dzieckiem Sir Clifforda. Tak jest!

W niejaki czas potem proboszcz rzekł łagodnie do Clifforda:

— Czy naprawdę możemy się spodziewać dziedzica Wragby? Ach, byłaby to rzecz-wiście ręka boża!

— Ba! *Spodziewajmy się* — odpowiedział Clifford z lekką ironią, a zarazem z niejakim przekonaniem. Zaczął już sam uważać za możliwe, że będzie jeszcze miał swoje dziecko.

Potem pewnego popołudnia przyjechał Leslie Winter, Squire<sup>62</sup> Winter, jak go wszyscy nazywali: chudy jak zapalka, siedemdziesięcioletni i w każdym calu gentleman, jak pani Bolton powiedziała do pani Betts. Naprawdę w każdym milimetrze! Dzięki swojej staromodnej, silnie nosowej wymowie, wydawał się bardziej jeszcze niewspółczesny, niż peruka z warkoczem. Czas odrzuca w swoim biegu takie wytworne, stare pióra.

Rozmawiali o kopalniach. Idea Clifforda polegała na tym, że węgiel jego, nawet lichszy gatunek, mógłby być przerabiany na twarde, skoncentrowane paliwo, które spalałoby się z wielką wydajnością ciepła, gdyby się do niego doprowadzało pod silnym ciśnieniem wilgotne powietrze, przesycone kwasami. Zauważono od dawna, że przy szczególnie silnym, wilgotnym wietrze hałdy płonęły niezmiernie silnie, nie wydając prawie zupełnie dymu i pozostawiając bardzo drobny, sproszkowany popiół zamiast twardego, różowego żużlu.

<sup>62</sup>*Squire* — Skrócone od: Esquire; dawniej najniższy tytuł szlachecki, obecnie używany przez osoby nienależące do klasy rzemieślniczej lub kupieckiej. [przypis tłumacza]

— Ale gdzie znajdziesz odpowiednie zakłady do zużywania swego paliwa? — zapytał Winter.

— Sam je pobuduję. Będę sam zużywał swoje paliwo. I będę sprzedawał siłę elektryczną. Jestem przekonany, że zdołałbym to zrobić.

— Gdybyś tego dokonał, byłaby to rzecz wspaniała, wspaniała, mój chłopcze! Hm! Wspaniała! Byłbym niezmiernie rad, gdybym ci w tym mógł dopomóc. Obawiam się, że jestem już może trochę staroświecki i moje kopalnie także. Ale kto wie, gdy mnie już nie będzie, może będą sami tacy ludzie, jak ty. Wspaniały pomysł! Da znowu zatrudnienie ludziom i nie będzie się zmuszonym sprzedawać swego węgla albo nie mieć możliwości sprzedania go. Wspaniały pomysł i mam nadzieję, że będzie miał powodzenie. Gdybym ja miał synów, niewątpliwie wpadliby oni na jakiś nowoczesny pomysł co do Shipley, niewątpliwie! Nawiasem mówiąc, drogi chłopcze, czy uzasadnione są pogłoski, jakobyśmy mogli spodziewać się potomka dla Wragby?

— Czy istnieją takie pogłoski? — zapytał Clifford.

— Owszem, mój chłopcze. Pytał mnie o to Marshall z Fillingwood. To wszystko, co mogę powiedzieć o tej pogłosce. Oczywiście nie będę jej rozpowszechniał dalej, jeżeli nie jest uzasadniona.

— Tak — odpowiedział Clifford nieswój, ale z oczyma dziwnie połyskującymi. — Nadzieja istnieje. Nadzieja istnieje.

Winter podszedł do Clifforda i uściśnął mu rękę.

— Kochany chłopcze, kochany chłopcze, czy możesz sobie wyobrazić, co znaczą dla mnie twoje słowa? Co znaczy dla mnie usłyszeć, że przy swojej pracy masz nadzieję na syna? I że będziesz mógł znowu zatrudnić wszystkich ludzi z Tevershall? Ach, mój chłopcze! zachować swój ród i mieć pracę dla każdego, kto chce pracować!...

Stary pan był szczerze wzruszony.

Następnego dnia Connie ustawiała żółte tulipany o długich łodygach w szklanym wazonie.

— Connie — rzekł Clifford — czy słyszałaś o krążącej pogłosce, że obdarzysz Wragby synem i dziedzicem?

Connie doznała zawrotu głowy z przerażenia, ale stała zupełnie spokojnie, z ręką na kwiatach.

— Nie! — odpowiedziała. — Czy to żart? Czy złośliwość?

Clifford nie odpowiedział od razu.

— Mam nadzieję, że ani jedno, ani drugie. Mam nadzieję, że to prorocstwo.

Connie zajęła się znowu kwiatami.

— Miałam dziś rano list od ojca — rzekła. — Zapytuje, czy pamiętam o tym, że przyjął w moim imieniu zaproszenie Sir Aleksandra Coopera do willi Esmeraldy w Wenecji na lipiec i sierpień.

— Na lipiec i sierpień? — powtórzył Clifford.

— O, nie pozostałabym tam przez ten cały czas. Czy nie zabrałbyś się także?

— Nie wyjadę zagranicę — odpowiedział Clifford szybko.

Connie postawiła kwiaty na oknie.

— A czy masz coś przeciwko temu, żebym ja pojechała? — zapytała. — Wiesz przecież, że sprawa była na to lato umówiona.

— Na jak długo pojechałabyś?

— Może na trzy tygodnie.

Przez chwilę panowało milczenie.

— Dobrze — rzekł Clifford z wahaniem i trochę pośępnie — myślę, że trzy tygodnie zdołałbym wytrzymać: gdybym był absolutnie pewien, że powrócisz.

— Powrócę na pewno — odpowiedziała Connie ze spokojną prostotą i przekonaniem. Myślała o tamtym mężczyźnie.

Clifford wyczuł jej przekonanie i uwierzył w nie. Sądził, że odnosi się do niego. Doznał niezmierniej ulgi i natychmiast odzyskał humor.

— W takim razie — rzekł — wszystko byłoby, jak sądzę, w porządku. Czyż nie tak?

— I ja tak sądzę — odpowiedziała Connie.

— Zmiana sprawi ci przyjemność?

Connie spojrzała na niego dziwnie niebieskimi oczyma.

— Bardzo bym chciała zobaczyć znowu Wenecję — rzekła — i kąpać się na jednej z wysp przy lagunie. Wiesz przecież, że nie znoszę Lido! Nie sądzę, żeby Sir Aleksander Cooper i Lady Cooper okazali się dla mnie bardzo sympatyczni. Ale jeżeli jest tam Hilda i jeżeli będziemy miały własną gondolę: tak, będzie mi na pewno bardzo miło. Chciałabym, abys i ty pojechał.

Mówiła to szczerze. Chętnie by go w ten sposób uczyniła szczęśliwym.

— Ach, wyobraź sobie mnie na Gare du Nord albo w przystani Calais.

— Dlaczego nie? Widuje się przecież i innych mężczyzn, rannych na wojnie, na noszach. Zresztą odbędziemy całą podróż autem.

— Musielibyśmy zabrać dwóch służących.

— O, nie! Dalibyśmy sobie rady z Fieldem. Drugiego człowieka znalazłoby się zawsze na miejscu.

Ale Clifford potrząsnął głową.

— Nie, nie w tym roku, moja kochana! Nie w tym roku. Na przyszły rok prawdopodobnie spróbuję.

Connie opuściła go w ponurym nastroju. Na przyszły rok! Co przyniesie przyszły rok? Ona sama nie miała właściwie ochoty jechać do Wenecji: nie teraz, teraz, kiedy miała tamtego mężczyznę. Postanowiła jednak przedsięwziąć tę podróż jako pewnego rodzaju dyscyplinę: a także dlatego, że gdyby miała dziecko, Clifford pomyślałby, iż miała w Wenecji kochanka.

Był już maj, a w czerwcu miała wyjechać. Zawsze te podziały. Życie było stale podzielone! Koła, które wprawiały człowieka w ruch i popędzały, a nad którymi nie miało się prawdziwej kontroli!

Był maj, ale pogoda była jeszcze chłodna i wilgotna. Chłodny, wilgotny maj, dobry dla zboża i siana! Bardzo ważną rzeczą było teraz zboże i siano! Connie musiała pojechać do Uthwaite, było to okoliczne miasteczko, a Chatterleyowie byli tam jeszcze Chatterleyami. Pojechała sama, Field prowadził auto.

Mimo maja i świeżej zieleni okolica miała wygląd posępny. Było dość mroźno, a deszcz przesiąknięty był chmurami dymu, zaś w powietrzu unosiła się jakby płynąca strumieniami para. Trzeba było po prostu żyć wytrwałością. Nic dziwnego, że ludzie byli tu brzydki i twardzi.

Auto posuwało się pod górę przez długie, brudne, rozciągnięte Tevershall, obok poczerniałych murowanych domów o czarnych dachach łupkowych, których ostre kanty połyskiwały. Błoto na jezdni było czarne od pyłu węglowego, chodniki mokre i czarne. Miało się wrażenie, jakby wszystko przepojone było jednakową posępnością. Przeróżliwe było to absolutne zaprzeczenie naturalnego piękna, to absolutne zaprzeczenie radości życia, ten zupełny brak zmysłu wdzięku, jaki cechuje każdego ptaka i każde zwierzę, ta zupełna śmierć wszelkiej intuicyjnej zdolności ludzkiej. Wieżyczki z mydła w sklepikach, rumbarbarum i cytryny w składach spożywczych! okropne kapelusze w oknach modystek! Wszystko to przewijało się przed okiem, brzydkie, brzydkie, brzydkie, w otoczeniu ohydnych gipsowo-złotych fasad kinowych z mokrymi plakatami: „Miłość mężatki!”, a potem wielki kościół *Primitive Chapel*<sup>63</sup>, dość prymitywny w szacie surowych cegieł z szybkami z zielonkawego i fioletowego szkła. Dalej *Wesleyan Chapel*<sup>64</sup> z poczerniałych cegieł za żelaznymi kratami i szerniałymi krzakami. *Congregational Chapel*, kościół, który uchodził za dostojny, zbudowany był z fugowanego piaskowca i miał dzwonnice, ale niezbyt wysoką. Tuż za nim znajdowały się nowe budynki szkolne, kosztowne, różowe budowle ceglane i wysypane żwirem place zabawowe za żelaznymi kratami parkanów, wszystko bardzo imponujące i noszące cechy połączenia kościoła z więzieniem. Uczennice piątej klasy miały lekcję śpiewu, skończyły właśnie ćwiczenia w gamach i rozpoczęły „piosenkę grzecznego dziecka”. Trudno było wyobrazić sobie coś bardziej niepodobnego do spontanicznego śpiewu: było to jakieś dziwne, krzykliwe wycie, wtłoczone w zarzysy melodii. Nie jak u dzikich: dzicy mają pewien subtelny rytm. Nie jak u zwierząt: zwie-

Miasto, Lud, Piękno,  
Natura, Trup

<sup>63</sup>*Primitive Chapel* — budynek kościoła jednej z odmian zgromadzenia metodystów (*Primitive Methodist Church* 1807–1932), która wyodrębniła się z *Wesleyan Methodist Church*. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>*Wesleyan Chapel* — zgromadzenie metodystów kierujących się naukami Johna Wesleya (1703–1791), wyodrębnione ok. 1740 r. i funkcjonujące do 1932, kiedy nastąpiła unia różnych kościołów metodystycznych Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

rzęta, wyjąć, mają coś na myśli. Było to niepodobne do niczego na świecie, a nazywało się śpiewem. Connie siedziała, słuchając, a serce uciekało jej w pięty, podczas gdy Field dolewał benzyny. Cóż mogło powstać z takiego ludu, z takiego ludu, w którym żywe, intuicyjne zdolności były martwe jak ćwieki, w którym nie było nic poza dziwnie mechanicznym wyciem i niesamowitą siłą woli?

Wóz z węglem zjechał ze zbocza, turkocząc wśród deszczu. Field ruszył znowu, minął wielkie, lecz o niechlujnym wyglądzie sklepy materiałów i sklepy z ubraniami, potem pocztę na małym rynku o nieokreślonych konturach, gdzie Sam Black wyjrzał z drzwi „Słońca”, które mieniło się hotelem, nie zajazdem, i gdzie zatrzymywali się komiwojażerowie; Sam skłonił się nisko przed autem Lady Chatterley.

Kościół stał nieco na lewo, między czarnymi drzewami. Auto zjechało z góry, obok „Zacisza Górników”. Minęło już przedtem „Wellingtona”, „Nelsona”, „Trzy beczki” i „Słońce”, teraz przejechało obok „Zacisza Górników”, potem obok „Zajazdu Mechaników” i nowego, niemal hałaśliwego „Domu Górniczego”, a minawszy jeszcze kilka nowych „willi”, wjechało między ciemne żywopłoty i ciemnozielone pola na poczerniałą drogę, wiodącą do Stacks Gate.

Tevershall! To było Tevershall! Wesola Anglia! Anglia Szekspira! Nie, to była Anglia dzisiejsza, z czego Connie zdawała sobie sprawę, odkąd tu przybyła i odkąd żyła w tej okolicy. Ta Anglia wydawała na świat nową rasę ludzką, arcyświadomioną w sprawach pieniężnych, społecznych i politycznych, ale martwą, jeśli szło o rzeczy spontaniczne, intuicyjne. Wszyscy oni byli w połowie trupami: ale z okropną, uporczywą świadomością drugiej połowy. We wszystkim tym było coś niesamowitego, podziemnego. Był to świat podziemny. I to zupełnie nieobliczalny. Jakże można było zrozumieć odruchy nawiedzające półtrupę?

Gdy Connie ujrzała wielkie auta ciężarowe, pełne robotników z hut żelaznych Sheffield, niesamowitych, drobnych istot na podobieństwo mężczyzn, robotników, odbywających wycieczkę do Matlock — zrobiło się jej zupełnie niedobrze i pomyślała:

„Ach, Boże, co człowiek uczynił człowiekowi? Co uczynili przywódcy ludzkości swoim bliźnim? Doprowadzili ich do stanu istot na poziomie niższym niż ludzki; a teraz nie istnieje już wspólne poczucie człowieczeństwa! To wszystko po prostu koszmar!”

Znowu odczuła w przystępie grozy szarą, piaszczystą beznadziejność życia. Jeśli masy robotników przemysłu składały się z takich istot, a wyższe klasy były takie, jakimi je ona знаła, to nie mogło już być nadziei, nie mogło już być nadziei. A ona chciała dziecka, chciała dziedzica dla Wragby! Dziedzica dla Wragby! Zadrżała ze zgrozy.

A jednak Mellors wyszedł z tego życia! — Tak, ale on stał na uboczu, jak i ona. I w nim nie było już poczucia wspólnoty. Było ono martwe. Poczucie wspólnoty było martwe. Było w nim tylko odosobnienie i beznadziejność, jeżeli szło o te sprawy. A to była Anglia, olbrzymie masy angielskie: Connie wiedziała o tym, gdyż jechała autem z jej centrum.

Auto pędziło ku Stacks Gate. Deszcz ustał, a powietrze przeniknięte było dziwnie przejrzystymi promieniami majowymi. Okolica staczała się długimi falami na południe ku Peak, na wschód ku Mansfield i Nottingham. Connie jechała na południe. Gdy się znalazła na płaskowzgórzu, widziała po lewej stronie na wyżynie ponad falistą okolicą ciemną, olbrzymią masę zamku Warsop Castle: ciemnoszara budowla, a poniżej czerwone plamy domków robotniczych, jasne, nowo wzniesione domy i poniżej nich sztandary ciemnego dymu i białej pary z wielkiej kopalni, z której co roku płynęło tyle tysięcy funtów do kieszeni księcia i innych akcjonariuszy. Potężny, stary zamek był ruiną, ale ciągle jeszcze wisiał ciemną masą na niskim horyzoncie ponad czarnymi i białymi sztandarami, powiewającymi w wilgotnym powietrzu.

Jeszcze jeden zakręt i wyjechali na wyżej położoną drogę ku Stacks Gate. Stacks Gate, widziane z szosy, było tylko jednym olbrzymim i pysznym nowym hotelem, zwanym „Coningsby Arms”, stojącym w czerwieni, bieli i złocie, w barbarzyńskim odosobnieniu przy drodze. Ale gdy się bliżej przyjrzeć, dostrzegano się po lewej całej szeregi ładnych, „nowoczesnych” domów, ustawionych jak kostki domina, z odstępami i ogródkami; była to dziwna partia domina, grana przez jakichś tajemniczych „panów” na przerażonej ziemi. A poza tymi szeregami domów wznosiły się zdumiewające i budzące grozę, olbrzymie konstrukcje prawdziwie nowoczesnej kopalni, zakłady chemiczne i długie galerie,

Robotnik

potworne i nieznanne dotąd człowiekowi kształty. Same wieże wyciągowe i hałdy kopalni były niepozorne wśród olbrzymich nowych budowli. A przed tym wszystkim stała partia domina, przerwana w jakimś zdumieniu i czekająca, aby ją rozegrano.

To było Stacks Gate, od czasu wojny coś nowego na powierzchni ziemi. W istocie zaś, chociaż Connie nie wiedziała o tym, o pół mili poza hotelem znajdowało się stare Stacks Gate z małą, starą kopalnią i czarniawymi starymi domami, z kilkoma kościółkami i kilkoma sklepikami, z jedną czy dwiema małymi karczmami.

Ale ono już nie wchodziło w rachubę. Potworne chmury dymu i pary wznosiły się z nowej kopalni na wzgórzu, i to było teraz Stacks Gate: bez kościołów, bez karczm, nawet bez sklepów. Tylko olbrzymie „zakłady”, które są nowoczesnym Olimpem ze świątyniami dla wszystkich bogów, tylko wzorowe kolonie robotnicze i hotel. Hotel był w istocie zwykłym szynkiem górniczym, chociaż wyglądał wspaniale.

Nawet od czasu przybycia Connie miejscowość ta rozrosła się jeszcze bardziej, a wzorowa kolonia wypełniła się szumowinami, które napływały zewsząd, aby obok innych zatrudnień czyhać także na króliki Clifforda.

Auto jechało dalej po wzgórzach, i Connie widziała przed sobą rozpostarte faliste hrabstwo. Hrabstwo! Było to niegdyś dumne i piękne hrabstwo. Na wprost, tak samo groźna i zawieszona na skraju nieba, widniała olbrzymia, wspaniała masa Chadwick Hall, składająca się raczej z okien niż murów, jednego z najsłynniejszych domów z czasów elżbietańskich. Szlachetny dom wznosił się samotnie ponad wielkim parkiem — przestarzały, miniony. Konserwowano go jeszcze, ale tylko na pokaz. „Patrzcie, jak po pańsku umieli żyć nasi przodkowie!”

To była przeszłość. Teraźniejszość leżała w dole. Bóg tylko wiedział, gdzie będzie leżała przyszłość. Auto przemykało się już pomiędzy małymi, poczerniałymi domkami robotniczymi, zmierzając ku Uthwaite. Zaś Uthwaite słało w wilgotne dni całe gromady chmur, dymu i pary do nie wiadomo jakich bogów. Uthwaite, położone w dolinie, wywierało zawsze na Connie jakieś dziwne wrażenie swymi poprzeciganymi po ziemi nitkami stalowymi szyn do Sheffield, swymi kopalniami węgla i hutami żelaza, które słały z długich rur dym i żar, i swoją ciągle jeszcze przebijającą się poprzez opary iglastą wieżycą kościoła, bliską zawalenia się. Było to stare miasteczko targowe, punkt centralny otaczających dolin. Jedna z pierwszych gospód nosiła nazwę „Zajazd Chatterley”. Tutaj w Uthwaite Wragby znane było jako Wragby, jakby było odrębną miejscowością, a nie tylko domem, jak uważali obcy: Wragby Hall koło Tevershall; Wragby, „siedziba rodowa”.

Domki górników stały zakopcone tuż przy chodniku, w owej skromności i niepozorności sadyb górniczych liczących ponad sto lat. Obrzeżały one całą drogę. Szosa stała się ulicą, a gdy się zniżala, zapominało się od razu o otwartej, rozciągającej się falisto okolicy, gdzie ciągle jeszcze panowały zamki i wielkie pałace pańskie, ale już niby zjawy z zaświata. Tutaj znajdował się człowiek wprost ponad kłębowiskiem szyn kolejowych, a odlewnie i inne „zakłady” wznosiły się obok, tak wielkie, że miało się tylko świadomość nieskończonych murów. Żelazo szczekało, budząc hałaśliwe echo, olbrzymie lory wstrząsały ziemią, gwizdki brzmiały ogłuszająco.

Ale później, kiedy się zjeżdżało na dół, do samego serca miasteczka, w zagmatwane rojowisko za kościołem, było się znowu w świecie sprzed dwustu lat, na krzywych uliczkach, gdzie stał „Zajazd Chatterley” i stara apteka, na drogach, które wiodły niegdyś w dziki, otwarty świat zamków i wspaniałych siedzib pańskich.

Na rogu policjant podniósł jednak rękę, gdy przejechały trzy naładowane żelazem lory, wprawiające biedny kościółek w drżenie. I nie wcześniej mógł pozdrowić jaśnie panią, aż lory przejechały.

Tak było. Na stare, krzywe uliczki miejskie tłoczyły się hordy zestarzałych, szcerzniętych domków górniczych, obrzeżając wiodące w świat drogi. A bezpośrednio po nich następowały nowsze, bardziej czerwone szeregi większych domów, którymi usiana była dolina: siedziby nowoczesnych robotników. A poza nimi znowu, na rozległych, falistych połaciach zamkowych, ciągnęły się w dal smugi dymu i pary, a plama za plamą surowej czerwonej cegły wskazywała nowe osiedla górnicze, niekiedy w dolinach, niekiedy ohydnie rozlokowane wzdłuż zboczy pagórków. A pomiędzy tym wszystkim, w samym środku, były postrzępione resztki starej Anglii, Anglii dylizansów i chłopskich chat, na-

wet Anglii Robin Hooda — gdzie górnicy walęsali się w posępności tłumionych popędów myśliwskich, kiedy nie mieli pracy.

Anglio, moja Anglio! Ale któraż to była *moja* Anglia? Wspaniałe domy Anglii prezentowały się dobrze na fotografiach i stwarzały złudzenie kontaktu z ludźmi z epoki elżbietańskiej. Piękne, stare dwory z czasów pocziwej królowej Anny i Toma Jonesa. Ale kawałki sadzy opadały na nie, czerniąc stare sztukaterie, które dawno już utraciły po-złotę. Lecz i one, podobnie jak wspaniałe domy, ulegały jeden po drugim opuszczeniu. A teraz rozwalano je. Zaś wiejskie siedziby Anglii — oto one — wielkie plamy murowa-nych budynków w beznadziejnej okolicy.

Burzono wspaniałe domy, dwory z okresu georgiańskiego znikają z powierzchni zie-mi. Fritchley, wzór starogeorgiańskiej budowli, burzono właśnie teraz, gdy Connie prze-jeżdżała autem. Dwór był w doskonałym stanie: aż do wojny Weatherleyowie rezydowali w nim, jak należało. Ale teraz był za wielki, za kosztowny, a okolica stała się zbyt obca. Ziemianie chronili się do miłszych miejscowości, gdzie mogli wydawać pieniądze, nie patrząc, jak się je zarabiał.

Był to bieg historii. Jedna Anglia niweczyła drugą. Kopalnie wzbogaciły dwory. Te-raz niweczyły je, jak zniweczyły już chaty wiejskie. Anglia przemysłowa niweczyła Anglię rolniczą. Jeden światopogląd wypierał drugi. Nowa Anglia niweczyła starą Anglię. A cią-głość była natury nie organicznej, lecz mechanicznej.

Connie, która należała do klasy posiadającej, czepiała się resztek starej Anglii. Trzeba było lat, aż zrozumiała, że stara Anglia istotnie niweczona była przez tę przeraźliwą, nową, okropną Anglię, i że to niweczenie posuwać się będzie dalej, aż do końca. Fritchley znikło, Eastwood znikło, Shipley także niebawem zniknie: ukochane Shipley Squire’a Wintera.

Connie wstąpiła na chwilę do Shipley. Tylna brama parku otwierała się tuż koło na-sypu kolejki kopalnianej; kopalnia Shipley znajdowała się zaraz za drzewami. Brama była otwarta, gdyż przez park prowadziła stara droga publiczna, z której korzystali górnicy. Wałęsali się po parku.

Auto minęło sadzawki, do których górnicy wrzucali gazety, i skręciło na prywat-ny dojazd do dworu. Dom stał nieco wyżej i na uboczu; był to bardzo ładny, ozdobiony sztukateriami budynek z połowy osiemnastego wieku. Posiadał piękną aleję cisową, która stanowiła niegdyś dojazd do starszego domu, a całość rozciągała się wesoło i połyskiwała wprost radośnie swymi georgiańskimi szybami. Za domem ciągnęły się naprawdę wspa-niałe ogrody.

Wnętrze domu podobało się Connie znacznie bardziej niż Wragby. Było znacznie jaśniej-sze, żywsze, kształtniejsze i elegantsze. Pokoje wykładane były kremowymi, lakie-rowanymi boazeriami, sufity z lekka pozłacane, a wszystko utrzymane we wzorowym porządku, komfort był zupełny, bez względu na koszt. Nawet korytarze były obszerne i powabne, o wdzięcznych zakrętach, pełne życia.

Ale Leslie Winter był samotny. Kochał swój dom bałwochwalczo, lecz park był z trzech stron otoczony jego własnymi kopalniami. Winter był człowiekiem o wspa-niałomyślnych ideach. Z radością niemal przyjmował swoich górników w parku. Czyż górnicy nie uczynili go bogatym? A kiedy widział grupy niezgrabnych mężczyzn wałę-sających się wokół sadzawek i fontann — nie w prywatnej części parku, nie, tam była granica — mawiał:

— Górnicy nie są może taką ozdobą, jak zwierzyna, ale są o wiele użyteczniejsi.

Ale to było w owych — pod względem pieniężnym — złotych czasach drugiej połowy okresu wiktoriańskiego. Górnicy uchodzili wówczas za „dobrych robotników”.

Winter wygłosił to zdanie, które było na wpół usprawiedliwieniem, wobec księcia Walii. A książę odpowiedział swoją gardlaną angielszczyzną:

— Ma pan zupełną słusność. Gdyby pod Sandringham był węgiel, otworzyłbym szyb na murawie i urządziłbym tam pierwszorzędny ogród. O, za tę cenę gotów bym zamienić zwierzynę na górników. Słyszałem, że ludzie pańscy są bardzo dobrymi robotnikami.

Ale książę miał może zbyt wysokie mniemanie o piękności pieniądza i błogosławień-stwach przemysłu. W każdym razie książę został królem, król umarł, a teraz był drugi król, którego głównym zajęciem było otwieranie kuchni dla ubogich.

A dobrzy robotnicy jakoś przytłaczali Shipley. Nowe wsie robotnicze napierały na park, a dziedzic miał nieokreślone wrażenie, że jest to obca ludność. Czuł się on zwykle

Historia

Dworek, Dom

Robotnik

Król

Obcy, Szlachcic, Pan

w sposób zupełnie dobroduszny, ale wielkopański władcą swoich gruntów i swoich górników. A teraz jakieś niedostrzegalne przenikanie nowego ducha wypierało go stąd. To on był teraz nieodpowiedni dla tej okolicy. Niepodobna było nie dostrzec tego. Kopalnie, przemysł, wszystko to miało swoją własną wolę, a wola ta skierowana była przeciwko wytwornemu właścicielowi. Górnicy zaś brali udział w tej woli i trudno było oprzeć się temu. Wola ta wypierała człowieka z tego miejsca, może w ogóle z życia.

Squire Winter, żołnierz, bronił się przed tym. Ale nie miał już ochoty wyjść po kolacji do parku. Krył się niemal w domu. Raz wyszedł z Connie, z gołą głową, w lakierkach i fioletowych skarpetkach, aż do bramy parku, rozmawiając z nią w swój wytworny, nieco afektowany sposób. Ale gdy mijali potem małe grupki robotników, którzy patrzyli na nich, nie kłaniając się i nie robiąc nic innego, Connie spostrzegła, jak chudy, wytworny stary pan wzdygnął się, wzdygnął się niby szlachetny samiec antylopy w klatce pod brutalnymi oczyma tłumu. Górnicy nie byli osobistymi wrogami, bynajmniej. Ale duch, który ich przenikał, był zimny i wypierał go stąd. A w głębi ich dusz tliła się ukryta zawiść. Oni „pracowali na niego”. I w brzydocie swojej brali mu za złe jego elegancją, wypielęgowaną, wytworną egzystencję. „Kimże on jest!” Tę różnicę właśnie brali mu za złe.

Robotnik, Pan

A Winter, który miał w sobie wiele z żołnierza, uważał w jakimś najtajniejszym zakątku swego angielskiego serca, że mieli rację, biorąc mu za złe tę różnicę. Czuł, że właściwie niesłuszne jest, aby cała przewaga była po jego stronie. Ale reprezentował określony porządek społeczny i nie chciał się dać wyprzeć.

Chyba przez śmierć. Zaskoczyła go ona nagle, niebawem po wizycie Connie. A w testamencie okazał się dość szczodry dla Clifforda.

Spadkobiercy przystąpili natychmiast do rozbiórki dworu Shipley. Utrzymanie budynku za wiele kosztowało. Nikt nie chciał w nim mieszkać. Został więc zdemolowany. Aleję cisową zrąbano. Park ogołocono z drzew i podzielono na place budowlane. Znajdował się on dość blisko Uthwaite. W dziwnej, nagiej pustelni tej bezpieczeństwa okolicy powstały małe uliczki na wół odosobnionych, bardzo wartościowych jednorodzinnych domków! Miasto-ogród Shipley!

Stało się to w ciągu roku od ostatniej wizyty Connie. Oto stało miasto-ogród Shipley, gromada na wół odosobnionych will z surowych cegieł na nowych ulicach. Nikomu nie przyszłoby na myśl, że przed dwunastu miesiącami znajdował się tu dworek ze sztukateriami.

Ale to było właśnie późniejsze stadium ogrodnictwa krajobrazowego króla Edwarda, w stylu urządzania ozdobnych szybów na murawach.

Jedna Anglia wypierała drugą. Anglia Squire'a Wintera i Wragby Hall przeminęła, umarła. Tylko że to wypieranie nie było jeszcze zupełnie dokonane.

Co nastąpi potem? Connie nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Widziała tylko, jak nowe szeregi domów wysuwały się ku polom, jak nowe zakłady wyrastały przy kopalniach, jak nowe dziewczęta w jedwabnych pończochach chodziły z nowymi chłopakami do *Palais* albo do Domu Ludowego. Młode pokolenie nie wiedziało już nic o starej Anglii. Była to przerwa w ciągłości świadomości. Było w tym niemal coś amerykańskiego. Co nastąpi potem?

Connie miała stale uczucie, że potem już nic nie nastąpi. Najchętniej byłaby ukryła głowę w piasku, a przynajmniej na piersi żywego mężczyzny.

Świat był tak zawikłany, tak niesamowity i przeraźliwy! Masy ludu były tak liczne i naprawdę tak okropne! Tak rozmyślała, jadąc do domu; widziała górników powracających z szychty, szaro-czarnych, zmordowanych, z jedną łopatką wyższą od drugiej, włóczących po ziemi ciężkie, okute żelazem buty. Podziemne, szare twarze, w których błyskało tylko nieruchomo białko oka, szyje zgarbione od stania w niskich sztolniach, ramiona wygięte. Mężczyźni! Mężczyźni! Tak, pod tym względem cierpliwi i dzielni mężczyźni. Pod innym względem — nieistniejący. Coś, co mężczyźni *powinni* posiadać, było z nich wytrzebione, było w nich zabite. A jednak byli mężczyznami. Płodzili dzieci. Można im było rodzić dzieci. Okropna, okropna myśl! Byli dobrzy i uprzejmi. Ale byli tylko połową, byli tylko szarą połową istoty ludzkiej. Dotychczas byli „dobrzy”. Ale i to była dobroć ich połowiczności. Co się stanie, gdy martwa połowa zapragnie w nich życia? Ale nie,

Robotnik



zbyt strasznym było myśleć o tym. Connie czuła bezgraniczny lęk przed masami przemysłowymi. Wydawały się jej wprost *piekielne*. Życie, które tak zupełnie nie posiadało piękna, tak zupełnie pozbawione było intuicji, wiecznie „na szychcie”.

Dzieci takich mężczyzn! O Boże, o Boże!

A jednak Mellors pochodził z takiego ojca. Niezupełnie. Czterdzieści lat stanowiło różnicę, zdumiewającą różnicę męskości. Żelazo i węgiel wżarły się głęboko w ciała i dusze tych innych mężczyzn.

Wcielona brzydota, a jednak żyli. Co się z nimi wszystkimi stanie? Może ze zniknięciem węgla znikną oni znowu z powierzchni ziemi. Wynurzyli się tysiącami znikąd, gdy węgiel zawołał ich. Może byli jakąś niesamowitą fauną pokładów węgla. Byli stworzeniami z innej rzeczywistości, elementarnymi istotami służącymi elementowi węgla, jak hutnicy byli elementarnymi istotami służącymi elementowi żelaza. Mężczyźni, którzy nie byli mężczyznami, lecz zwierzętami węgla, żelaza i gliny. Fauna pierwiastków węgla, żelaza, krzemu: istoty elementarne. Miały one może coś z owej niesamowitej, nieludzkiej piękności minerałów, coś z połysku węgla, z ciężkości i błękitu i wytrzymałości żelaza, z przejrzystości kwarcu. Elementarne istoty, niesamowite i bezkształtne, istoty ze świata minerałów! Istoty przynależne do węgla, żelaza, gliny, jak ryby przynależą do wody, a czerwie do butwiejącego drzewa. Wyziewy mineralnego rozkładu!

Connie była rada, że znalazła się znowu w domu, że ukryła głowę w piasku. Rada była nawet, że może znowu pogawędzić z Cliffordem. Bowiem lęk przed Anglią Środkową węgla i żelaza przejął ją dziwnym uczuciem, które przeniknęło ją na wskroś, jak grypa.

— Musiałam oczywiście wypić herbatę w sklepie panny Bentley — rzekła.

— Naprawdę! Winter chciał cię chyba zatrzymać na herbacie?

— O, tak, ale nie mogłam zrobić zawodu pannie Bentley.

Panna Bentley była serowatą starą panną, posiadającą niezmiernie wielki nos i romantyczne usposobienie; częstowała ona swoich gości herbatą z zapalem godnym udzielania sakramentu.

— Pytała o mnie? — rzekł Clifford.

— Naturalnie! „Czy *możę* zapytać jaśnie panią, jak się czuje Sir Clifford?” Zdaje się, że stawia cię jeszcze wyżej niż Edytę Cavell<sup>65</sup>!

— Powiedziałaś jej pewnie, że wyglądam doskonale.

— Tak! A ona miała tak zachwyconą minę, jakbym jej powiedziała, że niebo rozwarło się przed tobą. Powiedziałaś jej, że jeśli przyjedzie kiedy do Tevershall, musi cię odwiedzić.

— Mnie! Po co? Mnie odwiedzić!

— Ależ tak, Cliffordzie. Nie możesz przecież być przedmiotem takiego uwielbienia, nie okazując się także troszeczkę łaskawym. Święty Jerzy z Kapadocji był w jej oczach niczym wobec ciebie.

— I sądzisz, że ona przyjedzie?

— O, zarumieniła się! I wyglądała naprawdę ładnie przez chwilę, biedactwo! Dlaczego mężczyźni nie żenią się z kobietami, które ich naprawdę uwielbiają?

— Kobiety za późno zaczynają uwielbiać. Ale czy ci powiedziała, że przyjedzie?

— Ach! — Connie poczęła naśladować zadyszana pannę Bentley. — „Proszę jaśnie pani, gdybym ja śmiała pozwolić sobie kiedyś na to!”

— Gdybym śmiała pozwolić sobie! Co za absurd! Ale mam w Bogu nadzieję, że nie zjawi się tu kiedyś. A jak ci smakowała jej herbata?

— O, *bardzo* mocna! Ale Cliffordzie, czy zdajesz sobie sprawę, że stanowisz *Roman de la rose*<sup>66</sup> panny Bentley i wielu podobnych jej?

— I toby mi nawet nie schlebiało.

Robotnik, Kondycja ludzka,  
Obraz świata

<sup>65</sup> *Cavell, Edyta* (1865–1915) — ang. pielęgniarka, przełożona szpitala wojskowego w Brukseli w czasie I wojny światowej. Po wkroczeniu wojsk niemieckich do stolicy Belgii pomagała rannym żołnierzom alianckim, ukrywała Belgów i Francuzów, zaś około dwustu Brytyjczykom pomogła dostać się do neutralnej Holandii. Aresztowana przez Niemców, postawiona przed sądem wojennym i skazana na śmierć przez rozstrzelanie; wyrok wykonano 12 października 1915 w Brukseli. Jej bohaterstwo i męczeńska śmierć zostały rozślawione po wojnie; została uhonorowana pomnikiem w Londynie, jej nazwiskiem nazwano także szczyt w Kanadzie i jedną z planetoid. [przypis edytorski]

<sup>66</sup> *Roman de la rose* — *Opowieść o Róży*, średniowieczny alegoryczny poemat francuski z XIII w. [przypis edytorski]

— Przechowują każdy twój portret z ilustrowanych pism jak skarb i prawdopodobnie co wieczór modlą się za ciebie. To przecież cudowne!

Poszła na górę przebrać się.

Wieczorem Clifford rzekł do niej:

— Czy wierzysz, że w małżeństwie jest coś wiecznego?

Connie spojrzała na męża.

— Ależ Cliffordzie, mówisz to tak, jakby wieczność była pokrywą zamykającą się nad człowiekiem albo długim, długim łańcuchem wlokącym się za nami, dokądkolwiek byśmy poszli.

Clifford rzucił jej gniewne spojrzenie.

— Myślę tylko o tym — rzekł — że jeśli pojedziesz do Wenecji, to nie pojedziesz z nadzieją wielkiej przygody miłosnej, którą mogłabyś traktować *au grand sérieux*<sup>67</sup>, prawda?

— Przygoda miłosna w Wenecji *au grand sérieux*? Nie, zapewniam cię! Nie, nigdy bym nie traktowała przygody miłosnej w Wenecji inaczej, jak *au très petit sérieux*<sup>68</sup>.

Mówiła tonem dziwnie pogardliwym. Clifford patrzył na nią ze ściągniętymi brwiami.

Kiedy zeszła rano, na korytarzu przed pokojem Clifforda siedziała suka leśniczego, Flossie, skomląc cicho.

— Flossie! — rzekła Connie łagodnie. — Co ty tu robisz?

I cicho otworzyła drzwi. Clifford siedział na łóżku, odsunawszy na bok stół z maszyną do pisania, a leśniczy stał przed nim w służbowej postawie w nogach łóżka. Flossie wbiegła do pokoju. Lekkim ruchem głowy i skinieniem oka Mellors wyprawił ją znowu za drzwi. Suka wymknęła się z pokoju.

— Dzień dobry, Cliffordzie — rzekła Connie. — Nie wiedziałam, że jesteś zajęty.

Potem spojrzała na leśniczego i powiedziała mu dzień dobry. Mellors mruknął odpowiedź, spoglądając na nią z ukosa. Ale Connie uczuła, jak musnął ją wiew namiętności, przez samą jego obecność.

— Przeszkodziłam ci, Cliffordzie? Przykro mi bardzo.

— Nie, to nic ważnego.

Connie wyszła z pokoju i pobięła do niebieskiego saloniku na pierwszym piętrze. Siedziała w niszy okiennej i widziała, jak odchodził drogą dojazdową; szedł swoim dziwnym, cichym krokiem, jakby się chciał uczynić niewidzialny. Odznaczał się on naturalną, spokojną wytwornością, nieprzystępną dumą, a w wyglądzie jego było zarazem coś delikatnego. Podwładny! Jeden z podwładnych Clifforda! „Nie z winy gwiazd, drogi Brutusie, lecz z własnej winy jesteśmy poddanymi”<sup>69</sup>.

Czy on był poddanym? Czy był nim? A za co uważał ją?

Był słoneczny dzień, Connie pracowała w ogrodzie, a pani Bolton pomagała jej. Z niewiadomego powodu dwie kobiety zbliżyły się do siebie w jednym z owych niewyjaśnionych odruchów przychylności i odpływu sympatii pomiędzy ludźmi. Zajęte były sadzeniem goździków i małych kwiatków letnich. Była to praca, którą obie lubiły. Szczególną przyjemność sprawiało Connie wsadzanie miękkich korzonków młodych roślin w miękką, czarną masę ziemi. Tego poranka wiosennego czuła w łonie drganie, jakby blask słońca dotknął jej ciała i uczynił je szczęśliwym.

— Wiele to już pewnie lat, odkąd pani straciła męża? — zapytała panią Bolton, wsadzając znowu roślinkę do przygotowanego otworu w ziemi.

— Dwadzieścia trzy! — odpowiedziała pani Bolton, rozdzielając młode orliki. — Dwadzieścia trzy lata, odkąd go przynieśli do domu.

Connie uczuła ukłucie w sercu przy tym nieodwołalnym „przynieśli go do domu!”

— Dlaczego właśnie on postradał życie, jak pani sądzi? — zapytała. — Był z panią szczęśliwy?

<sup>67</sup>*au grand sérieux* (fr.) — bardzo poważnie. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>*au très petit sérieux* — gra słów z wyrażeniem *au grand sérieux* (całkowicie poważnie): *grand*: wielki, wielce, *très petit*: bardzo mały; wyrażenie nie jest poprawne, „mało poważnie” brzmiałoby: *très peu sérieux*. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>*Nie z winy gwiazd, drogi Brutusie, lecz z własnej winy jesteśmy poddanymi* — Shakespeare, *Juliusz Cezar* (*The Tragedy of Julius Caesar*), akt I, scena 2, kwestia Kasjusza (w oryg. „*The fault, dear Brutus, is not in our stars, but in ourselves, that we are underlings*”) [przypis edytorski]

Było to pytanie kobiety do kobiety. Pani Bolton grzbietem dłoni odgarnęła kosmyk włosów z czoła.

— Nie wiem, proszę jaśnie pani! Tak wyglądało, jakby się nie chciał poddawać biegowi rzeczy: prawdę mówiąc, nie chciał chodzić zawsze razem z innymi. A przy tym nienawidził uginania grzbietu, jak niczego na świecie. Przekora, która pędzi w objęcia śmierci. Widzi pani, właściwie niewiele mu na tym zależało. Zdaje się, że kopalnia zrobiła go takim. Nigdy nie powinien był schodzić do szybu. Ale ojciec zmuszał go do zjeżdżania, kiedy jeszcze był chłopcem; a potem, kiedy się już przekroczy dwudziestkę, niełatwo jest wydostać się stamtąd.

— Czy mówił, że tego nie cierpi?

— O, nie! Nigdy! Nigdy nie mówił, że czegoś nie cierpi. Robił tylko taką śmieszna minę. Należał do tych, co po prostu nie chcą uważać. Jak ci chłopcy, którzy pierwsi i tacy uszczęśliwieni ruszyli w pole i których zaraz złapało. Właściwie nie był zuchwale odważny. Ale po prostu nie chciał uważać. Mówiłam mu nieraz: „Na niczym i na nikim ci nie zależy!” Ale tak nie było! Pamiętam, jak siedział, kiedy miałam pierwsze dziecko, nieruchomo, pamiętam jego zrezygnowane oczy, kiedy patrzył na mnie, gdy wszystko już minęło! Było mi ciężko, ale musiałam jego pocieszać. „Już dobrze, mój kochany, już dobrze!” mówiłam do niego. A on rzucił na mnie takie dziwne spojrzenie i przyglądał mi się z takim komicznym uśmiechem. Nigdy nic o tym nie mówił. Ale myślę, że od tej nocy nie miał już ze mnie prawdziwej przyjemności; nie chciał sobie nigdy popuścić cugli. Mówiłam do niego często: „Nie trop się chłopecku, a ulżyj se!” Mówiłam z nim czasami tak, jak tu ludzie mówią. A on nic na to nie odpowiadał. Ale nigdy nie chciał sobie popuścić cugli; albo nie mógł. Nie chciał, żebym miała jeszcze dzieci. Przypisywałam zawsze winę jego matce, bo pozwoliła mu wtedy zostać w pokoju. Nie miał tam czego szukać. Mężczyźni zawsze robią z igły widły, kiedy zaczynają sobie nad czymś suszyć głowę.

— Czy tak bardzo się tym przejął? — zapytała Connie zdziwiona.

— Tak. Nie mógł zrozumieć, że te wszystkie bóle były rzeczą naturalną. I zepsuło mu to tę odrobinę przyjemności, jaką miał dawniej z miłości małżeńskiej. Mówiłam mu: „Jeżeli ja sobie z tego nic nie robię, po co ty się tym przejmujesz? Przecież to moja szkoda!” Ale on odpowiadał mi na to tylko: „To nieprawda!”

— Może był zbyt wrażliwy — rzekła Connie.

— Tak, to prawda! Kiedy się mężczyźni bliżej poznaje, okazuje się, że tacy właśnie są: zbyt wrażliwi w niewłaściwym miejscu. A ja myślę, że nie wiedząc o tym, nienawidził kopalni, po prostu nienawidził. Tak spokojnie wyglądał, kiedy był martwy, jak gdyby się stał wolny. Był takim ładnym chłopcem. Serce mi po prostu pękało, kiedy go takim widziałam, takim cichym i czystym, jak gdyby *chciał* umrzeć. O, to mi naprawdę zламаło serce, naprawdę. Ale to była wina kopalni.

Zapłakała gorzkimi łzami, a Connie płakała jeszcze boleśniej. Był gorący dzień wiosenny z zapachem ziemi i żółtymi kwiatami i mnóstwem roślin, puszczających pąki; ogród był wprost przepojony sokiem słonecznego światła.

— To musiało być straszne dla pani! — rzekła Connie.

— O, proszę jaśnie pani! Początkowo nic nie rozumiałam. Powtarzałam tylko: „O, mój chłopcze, dlaczego mnie chciałeś opuścić?” To było wszystko, co mogłam z siebie wydobyć. Ale gdzieś w głębi duszy czułam, że on powróci.

— Przecież on *nie chciał* pani opuścić — rzekła Connie.

— O, nie, jaśnie pani! To były tylko moje głupie krzyki. I czekałam ciągle, aż on wróci. Szczególnie w nocy. Budziłam się ciągle i myślałam: „Co to znaczy, nie ma go przecież przy mnie!” Jak gdyby moje *uczucie* nie mogło uwierzyć, że jego już nie było. Miałam po prostu wrażenie, że on *musi* wrócić i leżeć przy mnie, że będę go mogła czuć przy sobie. To było wszystko, czego pragnęłam, czuć go przy sobie, gorąco, czuć jego dotknięcie. I wiele bólu mnie to kosztowało, zanim zrozumiałam, że on nie wróci, kosztowało mnie to lata.

— Jego dotknięcie — rzekła Connie.

— O to właśnie idzie, jaśnie pani! Jego dotknięcie! Do dzisiejszego dnia nie pogodziłam się z tym i nigdy się nie pogodzę. A jeżeli istnieje niebo, to i on tam będzie i będzie leżał przy mnie, żebym mogła zasnąć.

Mężczyzna, Dziecko,  
Kobieta, Poród

Connie rzuciła lęklive spojrzenie z ukosa na jej ładną, zasepioną twarz. Jeszcze jeden namiętny człowiek z Tevershall! Jego dotknięcie! Gdyż trudno jest zerwać więzy miłości!

— Straszna to rzecz, gdy męczyzna przeniknął komu w krew! — rzekła.

— O, jasnie pani! I to człowieka najbardziej rozgorycza. Czuje się, że ludzie *chcieli* go zabić. Czuje się, że kopalnia *chciała* go zabić. O, ja czułam, że gdyby nie kopalnia i ci, co kopalnią rządzą, on by mnie nie opuścił. Ale oni wszyscy *chcą* za wszelką cenę rozłączyć kobietę i męczyznę, którzy są razem.

— Którzy są fizycznie razem — rzekła Connie.

— To prawda, proszę jasnie pani! Dużo jest na świecie ludzi o twardych sercach. I co rano, kiedy on wstawał i szedł na szychtë, czułam, że to jest niesłuszne, niesłuszne. Lecz cóż miał robić? Co może człowiek robić?

Dziwna nienawiść rozgorzała w niej.

— Ale czyż uczucie dotknięcia może tak długo trwać? — zapytała nagle Connie. — Że może go pani czuć tak długo?

— O, proszę jasnie pani, cóż innego może trwać tak długo? Dzieci wyrastają i odsuwają się od człowieka. Ale mąż, ach...! Lecz nawet to chcieliby ludzie w człowieku zabić, nawet wspomnienie jego dotknięcia. Nawet własne dzieci tego pragną! Ach, tak! Może byśmy się i tak rozeszli, kto wie? Ale to jest wtedy inne uczucie. Lepiej może, gdy się człowiek niczym nie przejmuje. Lecz kiedy patrzę na kobiety, które nigdy nie były prawdziwie rozgrzane przez męczyznę, tak, wydają mi się wszystkie takie nędzne, choćby się nie wiedzieć jak pięknie stroiły i robiły wyniosłe miny. Nie, wolę już mój los. Nie mam wielkiego szacunku dla ludzi.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Connie poszła zaraz po obiedzie do lasu. Dzień był naprawdę cudowny, pierwsze kaczeńce tworzyły małe słońca, pierwsze stokrotki białeły w trawie. Gęstwa leszczynowa była siecią na wpół rozwiniętych liści i ostatnich, siejących pyłem, zwisających pionowo bazi. Jaskółcze ziele rosło gromadami, płasko rozwarte, cofając się w swojej żółtości. Była to żółtość, silna żółtość wczesnego lata. A pierwiosnki były szerokie i pełne bladego oddania, stały gęsto, już nie lęklive. Soczysta, ciemna zieleni hiacyntów leśnych była morzem, z którego wynurzały się pąki niby blade kłosa zboża, podczas gdy na ścieżce wznosiły się puszyste niezapominajki i orliki rozwijały swoje atramentowo fioletowe koronki. Pod jednym z krzaków leżały kawałki niebieskawych łupinek jaj. Wszędzie wzbierające pąki, wszędzie tryskające życie!

Leśniczego nie było w szałasie. Dokoła panowała wesołość, brunatne piskłeta biegały radośnie. Connie poszła dalej, ku leśniczówce, gdyż chciała go znaleźć.

Leśniczówka stała w słońcu, oddalona o spory kawałek od skraju lasu. W małym ogródku sterczały pękami podwójne narcyzy, w pobliżu szeroko rozwartych drzwi, a podwójne stokrotki stanowiły obramowanie ścieżki. Rozległo się szczekanie psa i Flossie nadbiegła pędem.

Drzwi były szeroko otwarte! Więc on był w domu. I światło słoneczne, padające na czerwoną podłogę z cegieł! Idąc ścieżką, ujrzała go przez okno, jak siedział bez marynarki przy stole i jadł. Pies warczał cicho, machając wolno ogonem.

Leśniczy wstał i podszedł do drzwi; żując jeszcze, otarł usta czerwoną chusteczką.

— Mogę wejść? — zapytała Connie.

— Włóż!

Słońce wpadało do gołego pokoju, gdzie ciągle jeszcze czuć było zapach baraniego kotleta, który usmażono widocznie na patelni, bo stała nadal na kotlinie; czarny garnek do kartofli stał obok na kawałku papieru na białych kaflach. Ogień żarzył się tylko, a czajnik syczał. Na stole stał talerz z kartoflami i resztkami kotleta, chleb w koszyku, sól i niebieski kufel piwa. Obrus zastępowała biała cerata.

Leśniczy stał w cieniu.

— Późno jesz — rzekła Connie. — Jedzże dalej.

Podsunęła drewniany stółek na słońce do drzwi i usiadła.

— Musiołech pojechać do Uthwaite — rzekł leśniczy i siadł przy stole, ale nie jadł.

— Jedzże — zachęciła go Connie.

Ale on nie tknął jedzenia.

— A ty nie zjedłabyś czegoś? — zapytał. — Chcesz szolka teju? Woda już się warzy.

Uniósł się na wpół z krzesła.

— Jeżeli pozwolisz mi zrobić herbatę — rzekła Connie, wstając.

Mellors wydawał się smutny, a Connie czuła, że mu ciąży.

— Ja, garcuszek na esencjo stoi tam. — Wskazał na małą szafkę do naczyń w kącie pokoju. — I szolki tyż. A tej stoi wele ciebie.

Connie wyjęła z szafy czarny czajniczek, a z kominka wzięła puszkę z herbatą. Przepłukała czajniczek gorącą wodą i stała przez chwilę, wahając się, gdzie ją wylać.

— Wylej to na dwór — rzekł leśniczy, widząc jej wahanie. — To cysto woda.

Connie podeszła do drzwi i wylała wodę z czajniczka na ścieżkę. Jak tu było pięknie, jak cicho, jak lesiście! Dęby okrywały się żółtawym listowiem; w ogródku czerwone stokrotki były niby pluszowe guziki. Spojrzała na wydeptany próg z piaskowca, po którym tak mało chodziło teraz nóg.

— Cudownie tu jest — rzekła. — Co za piękna cisza, wszystko jest żywe i ciche.

Leśniczy jadł znowu, wolno i niechętnie, a Connie czuła, że był skrępowany. W milczeniu przyrządziła herbatę i postawiła czajnik na występie kominka, jak to widziała u ludzi. Mellors odsunął talerz i poszedł do tylnego pokoju. Usłyszała zgrzyt zamka, potem wrócił z kawałkiem sera na talerzu i masłem.

Connie postawiła dwie filiżanki do herbaty na stole. Były tylko dwie.

— Chcesz także filiżankę herbaty? — zapytała.

— Ja, prosza pieknie. Jak chcesz być tako dobro. Cukier jest hań w skrzince z nocy-niem, a gorcek na mlyko tyż tam jest. Zaś mlyko stoi w zbónku w spiżarce.

— Odstawić twój talerz? — zapytała Connie.

Spojrzał na nią ze słabym, ironicznym uśmiechem.

— Dobrze... jak chcesz, to łodstow — rzekł, jedząc powoli chleb z serem.

Connie poszła do tylnego pokoju, gdzie był zlew do zmywania naczyń. Po lewej były drzwi, niewątpliwie do spiżarni. Otworzyła je i uśmiechnęła się na widok tego, co on nazywał spiżarnią: wąska, wymalowana na białą szafa ścienna, dość jednak duża, jak na jedną beczułkę piwa, kilka misek i skromne zapasy żywności. Wzięła trochę mleka z żółtego dzbanka.

— Skąd dostajesz mleko? — zapytała, powróciwszy znowu do stołu.

— Łod Flintów! Łostawiajom mi wdyccki flaszka w tym miejscu, kaj sie łozpocyno zagajnik. Wisz już, tam, kaj ech cie spotkoł.

Ale był przygnębiony. Connie nałala mu herbaty. Zawahała się z mlekiem.

— Bez mlyka — rzekł leśniczy.

Potem, jakby usłyszał jakiś szmer, spojrzał ostro na drzwi.

— Czy nie zawrzic lepiej? — zapytał.

— Szkoda by było — odpowiedziała Connie. — Tu przecież nikt nie przyjdzie. Czy może tak?

— Nie. Nojwyżej roz casym. No, ale tego wiedzieć nie idzie.

— Zresztą to nic ważnego — rzekła Connie. — Piję tylko herbatę. Gdzie łyżeczki?

Mellors sięgnął do szuflady stołu. Connie piła herbatę, siedząc w słońcu przy drzwiach.

— Flossie! — rzekł leśniczy do psa, leżącego na słomiance u stóp schodów. — Idź, pilnuj, pilnuj!

Podniósł palec, a słowo „pilnuj!” brzmiało bardzo ostro. Pies wybiegł szybko na zwiady.

— Smutny dziś jesteś? — zapytała Connie.

Zwrócił ku niej szybko niebieskie oczy i spojrzał na nią pełnym wzrokiem.

— Smutny? Nie, tylko zły! Musiałem kazać spisać protokół dwóm kłusownikom, których złapałem, i... sam nie wiem... nie znoszę ludzi.

Mówił poprawnym językiem literackim, a w głosie jego brzmiał gniew.

— Nie lubisz zawodu leśniczego? — zapytała Connie.

— Leśniczego, nie! Póki mi dają spokój. Ale jeżeli mam do czynienia z żandarmerią i Bóg wie z kim jeszcze, i muszę czekać cierpliwie, aż ta banda bałwanów zainteresuje się moją sprawą... o, tak... wtedy staję się dziki... — I uśmiechnął się nie bez pewnej dozy humoru.

— Czy nie mógłbyś być naprawdę niezależny? — zapytała Connie.

— Ja? Sądzę, że mógłbym, jeżeli masz przez to na myśli, czy zdołałbym wyżyć ze swojej emerytury. Mógłbym! Ale muszę po prostu pracować, inaczej zmarniałbym zupełnie. To znaczy, że muszę mieć jakieś zajęcie. A nastrój mój nie jest dość dobry, abym mógł pracować dla siebie. Musi to być jakaś praca dla kogo innego, inaczej rzuciłbym ją pewnego dnia, po prostu w przystępie złego humoru. Tak, na ogół wiedzie mi się tutaj zupełnie dobrze, zwłaszcza ostatnimi czasy...

Uśmiechnął się do niej znowu z figlarnym humorem.

— Ale dlaczego jesteś w złym nastroju? — zapytała Connie. — Czy chcesz przez to powiedzieć, że jesteś zawsze w złym nastroju?

— Mniej więcej — odpowiedział Mellors, śmiejąc się. — Niezupełnie przetrawiam swoją żółć.

— Dlaczego żółć? — zapytała Connie.

— Żółć! — odpowiedział Mellors. — Nie wiesz, co to jest?

Connie zamilkła rozczarowana. On nie zwracał na nią uwagi.

— Wyjeżdżam na pewien czas w przyszłym miesiącu — powiedziała.

— Wyjeżdżasz! Dokąd to?

— Do Wenecji.

— Do Wenecji! Z Sir Cliffordem? Na długo?

— Na miesiąc mniej więcej — odpowiedziała Connie. — Clifford nie jedzie.

— Zostaje tutaj? — zapytał leśniczy.

— Tak! Clifford nie lubi teraz podróży.

— Tak, biedaczysko! — rzekł Mellors współczująco.

Powstała pauza.

— Nie zapomnisz o mnie, gdy mnie nie będzie, prawda? — zapytała Connie.

Leśniczy podniósł znowu oczy i spojrzął na nią pełnym wzrokiem.

— Zapomnieć? — powtórzył. — Wiesz przecież, że nikt nie zapomina. Nie jest to kwestia pamięci.

Connie chciała zapytać: „Więc co?”, ale nie powiedziała tego. Natomiast rzekła bezbarwnym głosem:

— Powiedziałam Cliffordowi, że może będę miała dziecko.

Teraz spojrzął na nią naprawdę z zaciekawieniem, badawczo.

— Powiedziałas to? — zapytał wreszcie. — A co on na to?

— O, Clifford nie ma nic przeciwko temu. Byłby naprawdę szczęśliwy, póki dziecko uchodziłoby za jego własne.

Nie śmiała spojrzeć na niego.

Mellors milczał przez długi czas, potem znowu spojrzął jej w twarz.

— Oczywiście nie wspomniałaś o *mnie*? — zapytał.

— Nie. Nie wspomniałam o tobie — odpowiedziała Connie.

— Naturalnie, nie wydałbym mu się na pewno odpowiednim zastępcą. Więc skądże masz mieć dziecko?

— Mogłabym nawiązać jakiś stosunek w Wenecji — rzekła Connie.

— Mogłabyś — odpowiedział leśniczy wolno. — Więc po to jedziesz.

— Nie żeby mieć stosunek — wtrąciła Connie i spojrzała na niego błagalnie.

— Tylko żeby zbudzić pozór — dokończył Mellors.

Nastąpiło milczenie. Mellors siedział, patrząc przez okno z lekkim uśmiechem na wpół szyderstwa, na wpół goryczy. Nienawidziła tego uśmiechu.

— Nie zastosowałaś więc żadnych środków zapobiegawczych, żeby nie mieć dziecka? — zapytał nagle. — Bo i ja tego nie zrobiłem.

— Nie — odpowiedziała Connie cicho. — Nie potrafię znieść czegoś podobnego.

Mellors spojrzął jej w twarz, potem znowu z owym charakterystycznym, przebiegłym uśmiechem w okno. Zapadła naprężona cisza.

Wreszcie zwrócił się do niej i rzekł drwiąco:

— Więc dlatego chciałaś mnie mieć? Żeby mieć dziecko?

Connie zwiesiła głowę.

— Nie. Naprawdę nie — odpowiedziała.

— A *naprawdę* dlaczego? — zapytał leśniczy zjadliwie.

Spojrzała na niego z wyrzutem i szepnęła:

— Nie wiem.

Mellors wybuchnął śmiechem.

— To niech mnie diabli porwą, jeżeli ja wiem — rzekł.

Nastąpiła długa pauza milczenia, zimnego milczenia.

— No — rzekł wreszcie leśniczy — jak jaśnie pani chce. Jeżeli będziesz miała dziecko, niech należy do Sir Clifforda. Ja nic nie stracę. Przeciwnie, miałem piękne przeżycie, naprawdę bardzo piękne! — I przeciągnął się z na wpół stłumionym ziewnięciem. — Jeżeli mnie wykorzystasz — ciągnął — to nie po raz pierwszy mnie wykorzystano. A zdaje się, że nigdy nie było to dla mnie tak miłe, jak tym razem. Choć oczywiście człowiek nie wydaje się sobie przy tym bardzo godny.

Znowu przeciągnął się dziwnie, z drgającymi mięśniami i zdecydowaną twarzą.

— Ale ja ciebie nie wykorzystalam — rzekła Connie błagalnie.

— Zawsze do usług jaśnie pani — odpowiedział leśniczy.

— Nie — rzekła. — Lubię twoje ciało.

— Naprawdę? — odpowiedział ze śmiechem. — Jeżeli tak, to jesteśmy skwitowani, bo i ja twoje lubię.

Spojrzał na nią dziwnie pociemniałymi oczyma.

— Chciałabyś wejść teraz na górę? — zapytał zdławionym głosem.

— Nie, nie tutaj. Nie teraz! — rzekła Connie głucho, chociaż gdyby w najniższym stopniu zrobił użytek z władzy, jaką nad nią posiadał, byłaby weszła, gdyż nie miała siły przeciwko niemu.

Mellors odwrócił znowu twarz i zdawało się, że zapomniał o niej.

— Chciałabym cię dotykać, jak ty mnie dotykasz — rzekła Connie. — Nigdy naprawdę nie dotknęłam twego ciała.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

— Teraz? — zapytał.

— Nie! Nie! Nie tutaj! W szałasie. Nie chcesz?

— A jakże to ja ciebie dotykam? — zapytał.

— Kiedy mnie głaszczesz.

Spojrzał na nią i spotkał jej zatroskane, załęcznione oczy.

— A lubisz, kiedy cię głaszczę? — zapytał, ciągle jeszcze śmiejąc się do niej.

— Tak, a ty? — rzekła Connie.

— O ja! — Potem zmienił ton. — Tak — rzekł. — Wiesz o tym, nie pytając.

I była to prawda.

Connie wstała i sięgnęła po kapelusz.

— Muszę iść — rzekła.

— Naprawdę chcesz już iść? — odpowiedział Mellors uprzejmie.

Chciała, aby jej dotknął, aby coś powiedział. Ale on nie powiedział nic, czekał tylko uprzejmie.

— Dziękuję za herbatę — rzekła Connie.

— Nie podziękowałam jeszcze jaśnie pani za zaszczyt, okazany mojemu czajnikowi — odpowiedział Mellors.

Connie szła przez ścieżkę, a on stał z lekkim uśmiechem w drzwiach. Flossie nadbiegła z podniesionym ogonem. A Connie musiała wchodzić w milczeniu w las, wiedząc, że on stał tam i obserwował ją z owym niepojętym uśmiechem na ustach.

Powróciła do domu bardzo przygnębiona i rozżalona. Pretensja jego, że go wykorzystywała, nie podobała się jej wcale, gdyż w pewnym sensie była to prawda. Ale on nie powinien był tego powiedzieć. Szarpały ją więc dwojakie uczucia: gniew na niego i pragnienie pojednania się z nim.

Spędziła bardzo niemilą i podnieconą godzinę z Cliffordem przy herbacie, potem poszła zaraz na górę do swego pokoju. Ale i tam było nie lepiej; nie mogła znaleźć spokoju. Musiała coś przedsięwziąć. Nie wolno jej było pozostawiać rzeczy ich biegowi. Powinna powrócić do szałasu; jeżeli jego tam nie będzie — nic nie szkodzi.

Wymknęła się bocznymi drzwiami i nieco rozżalona skierowała się prosto w stronę szałasu. Kiedy przyszła na polanę, była okropnie niespokojna. Ale on był już tam, bez

marynarki, przykucnął na ziemi i wypuszczał kokoszki z kojców do piskląt bażancich, które stały się teraz trochę niezdarne, ale wyglądały o wiele ładniej niż małe kurczęta.

Connie podeszła prosto do niego.

— Widzisz, przyszedłam! — rzekła.

— No, toć widział! — odpowiedział leśniczy, wyprostował się i spojrzał na nią z lekką rozweselony.

— Wypuszczasz teraz kury? — zapytała Connie.

— Dyc wysiedziały się za wszystkie casy — odpowiedział Mellors. — A terazki im już nieskoro do wyjścia i do zarcio. Te kokoszki jak siedzą na gniaździe, to blank nie dbajom ło sia. Cołkiem łoddane som jajcom i pisklyntom.

Biedne kokoszki! Taka ślepa ofiarność! I to dla małych, które nie należą do nich! Connie patrzyła na nie ze współczuciem. Bezradne milczenie zapadło między mężczyzną a kobietą.

— Wleziemy do szopy? — powiedział leśniczy.

— Chcesz mnie? — zapytała z nutą nieufności.

— Aj, jeżeli chcesz przyjść.

Milczała.

— Toż chodź — powiedział.

I weszła z nim do szalasu. Było już zupełnie ciemno, gdy zamknął drzwi, więc zapalił małe światło w latarni, jak poprzednio.

— Nie założyłaś bielizny?

— Nie.

— No cóż, więc ja też zdejmę moje rzeczy.

Rozłożył koce, kładąc jeden z boku do przykrycia. Ona zdjęła kapelusz i potrząsnęła włosami. Usiadł, zdjął buty i getry i rozpiął sztruksowe bryczesy.

— Więc połóż się! — powiedział, gdy został tylko w koszuli.

Posłuchała w milczeniu, a on położył się obok niej i okrył ich oboje kocem.

— Tak, to tu — rzekł.

Zaczął podciągać jej sukienkę, aż dotarł do piersi. Pocałował je delikatnie, biorąc sutki w usta i pieszcząc delikatnie.

— Ech, ale to miyle, jak miyle! — powiedział, nagle pocierając twarzą i przytulając się do jej ciepłego brzucha.

Objęła go pod koszulą, ale bała się, bała się jego szczupłego, gładkiego, nagiego ciała, które wydawało się tak potężne, bała się brutalności mięśni. Skuliła się ze strachu.

A gdy powiedział z lekkim westchnieniem: „Ech, ale to miyle!” coś w niej zadrżało i coś w jej duchu zeszywniało w oporze: zeszywniało od strasznie fizycznej intymności i od szczególnego pośpiechu, by go osiąść. I tym razem ekstaza jej własnej namiętności nie pokonała jej; leżała z bezwładnymi dłońmi na jego prężącym się ciele i robiła, co mogła, jej duch zdawał się patrzeć na nią z czubka głowy, a uderzenie jego bioder zdało się jej śmieszne, rodzaj niepokoju jego penisa, by dojść do małego kryzysu ejakucyjnego, wydawał się farsą. Tak, to była miłość, to śmieszne podskakiwanie pośladków i więdnienie biednego, nic nieznaczącego, wilgotnego, małego penisa. To była boska miłość! W końcu nowoczesni mieli rację, gdy czuli pogardę dla tego przedstawienia; bo to było przedstawienie. To prawda, jak mówili niektórzy poeci, że Bóg, który stworzył człowieka, musiał mieć ponure poczucie humoru, skoro stworzył go jako istotę rozsądną, a mimo to zmusił go do przyjęcia tej komicznej postawy i ślepo popychał do tego śmiesznego przedstawienia. Nawet Maupassant uznał to za upokarzające i rozczarowujące. Mężczyźni gardzili stosunkiem płciowym, a jednak go odbywali.

Zimny i drwiący, jej dziwny kobiecy umysł stał z boku, i chociaż leżała zupełnie nieruchomo, jej impulsem było uniesienie bioder i wyrzucenie mężczyzny, uwolnienie się z jego brzydkiego uścisku i absurdalnych pchnięć jego bioder. Jego ciało było głupie, bezczelne, niedoskonałe i trochę obrzydliwe w swojej niedokończonej niezdarności. Bo z pewnością całkowita ewolucja wyeliminowałaby to przedstawienie, tę „funkcję”.

A jednak, gdy skończył, a skończył wkrótce, i leżał bardzo, bardzo nieruchomo, cofając się w ciszę i dziwną, nieruchomą odległość, daleko, dalej niż horyzont jej świadomości, jej serce zaczęło płakać. Czuli, jak odpływa, odpływa, zostawiając ją jak kamień na brzegu. Wycofywał się, jego duch ją opuszczał. On wiedział.



I w prawdziwym żalu, dręczona własną podwójną świadomością i swoją reakcją, zaczęła płakać. On nie zwrócił na to uwagi albo nawet nie zauważył. Burza płaczu wzbierała i wstrząsała nią, i wstrząsała nim.

— Aj! — powiedział. — Tym razem nie było dobrze. Ciebie tam nie było.

Więc wiedział! Jej szlochy stały się gwałtowne.

— Co jest nie tak? — powiedział. — To się zdarza od czasu do czasu.

— Ja... ja nie mogę cię kochać — szlochała, czując nagle, że serce jej pęka.

— Niy możesz? Coż, niy trop sie! Żodne prawo niy godo, iże tak trza. Weż to ja, jak je.

Nadal leżał z ręką na jej piersi. Ale ona odsunęła od niego obie ręce.

Jego słowa dawały małe pocieszenie. Szlochała głośno.

— Niy, niy — powiedział. — Oddzielej rube łod ciynkigo. To było trocha ciynke jak na jedyn roz.

Płakała gorzko, szlochając:

— Ale ja chcę cię kochać, a nie mogę. Tylko to wydaje się okropne.

Zaśmiał się cicho, na wpół gorzko, na wpół z rozbawieniem.

— To niy ma łokropiczne — powiedział — nawet jeźli ci sie tak wydowo. I niy może być łokropiczne. Niy trop sie tym, eli mie przajesz. Niy idzie cie do tego zmusić. W koźdyj kroby na zicher znojdzie sie zły łorzec. Niy idzie łonczyć chroplawego z śliskim.

Zabrał rękę z jej piersi, nie dotykał jej już. Teraz, niedotykana, czerpała z tego niemal perwersyjną satysfakcję. Nienawidziła tego dialektu: cie, mie i niy trop sie. Mógł wstać, jeśli chciał, i stanąć nad nią, zapinając guziki tych absurdalnych sztruksowych bryczesów wprost naprzeciw niej. Nawet Michaelis miał na tyle przyzwoitości, by się odwrócić. Ten człowiek był tak pewny siebie, że nie wiedział, za jakiego błazna uważają go inni, za mieszańca.

Jednak gdy się oddalał, by po cichu wstać i ją opuścić, przyłgnęła do niego z przerażeniem.

— Nie! Nie odchodź! Nie zostawiaj mnie! Nie bądź na mnie zły! Przytul mnie! Trzymaj mnie mocno! — szeptała w ślepym szale, nie wiedząc nawet, co mówi, i przyłgnęła do niego z niesamowitą siłą. Chciała być ocalona przed samą sobą, przed własnym wewnętrznym gniewem i oporem. Jak jednak potężny był ten wewnętrzny opór, który ją opętał!

Znów wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie, a ona nagle stała się mała w jego ramionach, mała i przytulona. To minęło, opór minął i zaczęła topnieć w cudownym spokoju. I gdy topniała, mała i cudowna w jego ramionach, stała się dla niego nieskończenie pożądana, wszystkie jego naczynia krwionośne zdawały się parzyć intensywnym, ale czułym pożądaniem dla niej, dla jej miękkości, dla przenikliwego piękna jej w jego ramionach, przechodzącego mu do krwi. I delikatnie, z tą cudowną, omdlewającą pieszczotą swojej dłoni w czystym, miękkim pożądaniu, delikatnie głaskał jedwabiste zbocze jej łędzwi, w dół, w dół, między jej miękkimi, ciepłymi pośladkami, zbliżając się coraz bliżej do samego jej wnętrza. I poczuła go jako płomień pożądania, ale czuły, i poczuła, że topi się w płomieniu. Pozwoliła sobie pójść za tym. Poczuła, jak jego penis napiera na nią z cichą, zadziwiającą siłą i zdecydowaniem, a ona pozwoliła sobie, by zwrócić się ku niemu. Ustąpiła z drżeniem, które było jak śmierć, otworzyła się przed nim. I, och, gdyby on nie był teraz dla niej czuły, jakże byłoby to okrutne, bo była otwarta przed nim i bezradna!

Zadrżała ponownie przy nieuchronnym wejściu do jej wnętrza, tak dziwnym i straszonym. Mogłoby nadejść wraz z pchnięciem miecza w jej miękko otwarte ciało, a to oznaczałoby śmierć. Przyłgnęła do niego w nagłej udręce przerażenia. Ale nadeszło dziwnym, powolnym pchnięciem spokoju, mrocznym pchnięciem spokoju i ciężkiej, pierwotnej czułości, takiej, jaka stworzyła świat na początku. I przerażenie ustąpiło w jej piersi, jej pierś odważyła się odetchnąć w pokoju, nie wstrzymywała niczego. Odważyła się puścić wszystko, całą siebie, i zniknąć w powodzi.

I zdawało się, że jest jak morze, nic tylko ciemne fale wznoszące się i falujące, falujące z wielkim rozkołyssem, tak że powoli cała jej ciemność była w ruchu, a ona była oceanem toczącym swoją ciemną, niemą masę. Och, a daleko w jej wnętrzu głębiny rozstępowały się i rozlewały w długie, daleko sięgające kłęby, ciągle, w samym jej wnętrzu, głębiny

rozstępowały się i rozlewały, od środka miękkiego zanurzenia, gdy tłok schodził coraz głębiej, dotykając niżej, a ona stawała się coraz głębiej i głębiej ujawniona, a cięższe jej fale toczyły się do jakiegoś brzegu, odsłaniając ją, a coraz bliżej i bliżej zanurzało się namacalne nieznanne, a coraz dalej i dalej fale jej samej oddalały się od niej, pozostawiając ją, aż nagle, w miękkiej, drżącej konwulsji, dotknięto samego rdzenia jej plazmy, wiedziała, że została dotknięta, skonsumowanie nadeszło i już jej nie było. Odeszła, nie było jej i narodziła się: kobieta.

Ach, to zbyt piękne, zbyt piękne! W odpływie uświadomiła sobie całą rozkosz. Teraz całe jej ciało przylgnęło z czułą miłością do nieznanego mężczyzny i w oślepieniu do wędrującego penisa, gdy tak czule, słabo, nieświadomie wycofał się po gwałtownym pchnięciu jego potencji. Gdy wycofał się i opuścił jej ciało, tajemne i wrażliwe, wydała nieświadomy krzyk czystej straty i próbowała odzyskać go znów. Był tak doskonały! I tak go kochała!

I dopiero teraz zdała sobie sprawę z powściągliwej i delikatnej obecności przypominającego pączek penisa, a cichy okrzyk zdumienia i wzruszenia wyrwał się jej ponownie, jej kobiece serce płakało nad delikatną kruchością tego, co wcześniej było mocą.

— Było tak cudownie! — jęknęła. — Było tak cudownie!

Ale on nic nie powiedział, tylko delikatnie ją pocałował, leżąc nieruchomo nad nią. A ona jęknęła z pewnego rodzaju rozkoszą, jak ofiara i jak nowo narodzona istota.

I teraz w jej sercu obudził się dziwny zachwyt nad nim. Mężczyzna! Dziwna siła męskości, która na nią działała! Jej dłonie powędrowały w jego stronę, wciąż nieco przestraszone. Bała się tej dziwnej, wrogiej, nieco odpychającej rzeczy, którą dla niej był, mężczyzny. A teraz dotknęła go i było to jak spotkanie synów bogów z córkami ludzi. Jak pięknie było go czuć, czystość jego tkanki! Jak cudownie, jak cudownie silna, a zarazem czysta i delikatna, co za spokój wrażliwego ciała! Taki całkowity spokój potencji i delikatnego ciała! Jak pięknie! Jak pięknie! Jej dłonie nieśmiało powędrowały w dół jego pleców, do miękkich, drobnych pośladków. Piękno! Co za piękno! Nagły mały płomień nowej świadomości przeszedł przez nią. Jak to było możliwe, to piękno tutaj, gdzie wcześniej ją tylko odpychało? Niewysłowione piękno w dotyku, ciepłe, żywe pośladki! Życie w życiu, czysta, ciepła, potężna rozkosz. I ten dziwny ciężar kulek między jego nogami! Cóż za tajemnica! Co za dziwny, ciężki ciężar tajemnicy, który może leżeć miękko i ciężko w dłoni! Korzeń, korzeń wszystkiego, co piękne, pierwotny korzeń wszelkiego pełnego piękna.

Przylgnęła do niego z sykiem zachwytu, który był podziwem, niemal przerażeniem. Trzymał ją blisko, ale nic nie powiedział. Za nic by nic nie powiedział. Podgarnęła się do niego tylko po to, by być blisko zmysłowego cudu jego osoby. I z jego całkowitego, niezrozumiałego bezruchu znów poczuła powolny, doniosły, gwałtowny wzrost fallusa, drugą moc. Jej serce rozplynęło się w zachwycie.

Tym razem jego obecność w niej była miękka i opalizująca, czystą miękkością i opalizowaniem, jakich żadna świadomość nie może uchwycić. Cała jej jaźń drżała nieprzytomna i żywa jak plazma. Nie wiedziała, co to było. Nie pamiętała, co to było. Tylko to, że było piękniejsze, niż cokolwiek kiedykolwiek mogło być. Tylko to. A potem była zupełnie nieruchoma, zupełnie nieświadoma, nie wiedziała, jak długo. A on wciąż był z nią, w niezgłębionej ciszy razem z nią. I o tym nigdy nie mówili.

Gdy świadomość tego, co jest na zewnątrz, zaczęła powracać, przylgnęła do jego piersi, mrużąc: „Moja miłości! Moja miłości!”. A on trzymał ją w milczeniu. Zwinęła się w kłębek na jego piersi, idealna.

Ale jego milczenie było niezgłębione. Jego ręce trzymały ją jak kwiaty, nieruchome i dziwne.

— Gdzie jesteś? — szepnęła do niego. — Gdzie jesteś? Odezwij się do mnie! Powiedz mi coś!

Pocałował ją delikatnie, mrużąc:

— Aj, moja dzioucho!

Ale ona nie wiedziała, co miał na myśli, nie wiedziała, gdzie on jest. W tym milczeniu wydawało się jej, że go zagubiła.

— Kochasz mnie, prawda? — wymamrotała.

— Aj, to sie wiy! — powiedział.

— Ale powiedz mi! — błagała.

— Aj! Aj! Niy czułaś tego? — powiedział niewyraźnie, ale delikatnie i pewnie.

A ona przywarła do niego mocno, jeszcze bliżej. Był o wiele bardziej spokojny w miłości niż ona i chciała, żeby ją uspokoił.

— Naprawdę mnie kochasz! — wyszeptwała stanowczo.

A jego dłonie głaskały ją delikatnie, jakby była kwiatem, bez drżenia pożądania, ale z delikatną bliskością. Wciąż jednak prześladowała ją niespokojna potrzeba, by chwycić miłość.

— Nie opuścisz mnie nigdy? — zapytała.

— Nie pytoj ło takie rzeczy.

— Ale wierzysz, że cię Kocham?

— Bez ta jedna chwilka przalaś<sup>70</sup> mi ło wiela wiencyj, aniżeli ci sie to kiej wydowało, że mi bydziesz mogła przac! Ale wto wiy, co sie porobi, jak zacniesz kiejś nad tym łożmyśłoć!

— Nie, nie mów tego! I nie sądzisz chyba naprawdę, że chciałam cię wykorzystać?

— Niby jako to?

— Żeby mieć dziecko...?

— Terozki może sobie ło mnie mieć dziecko wto ino chce! — odpowiedział, siadając i zapinając skórzane getry.

— Ach, nie! — zawołała Connie. — Nie mówisz tego serio!

— Ale ja! — odpowiedział, spoglądając na nią spode łba. — Toby przeca było nojlepsze.

Leżała cicho. Mellors otworzył drzwi. Niebo było granatowe, z kryształowym, turkusowym skrajem. Wyszedł, pozamykał kokoszki, pogadał cicho z psem. A Connie leżała i dziwiła się życiu i jego kolejom.

Kiedy powrócił, leżała jeszcze ciągle, rozplomieniona jak Cyganka. Usiadł obok niej na krześle.

— Musisz kiejś przijść na cołko noc tam do fosztówki, zanim łodjedziesz. Przidziesz? — zapytał i uniośł brwi, przyglądając się jej, podczas gdy ręce jego zwisały między kolanami.

— Przidziesz? — przedrzeźniła go żartobliwie.

Uśmiechnął się.

— Dyc, przidziesz? — powtórzył.

— Dyc! — odpowiedziała, naśladowując jego dialekt.

— Zycher! — rzekł.

— Zycher! — powtórzyła.

— I bydziesz se mnom bez cołko noc spała, prowdo? — zapytał. — Musisz. Kiej przidziesz?

— Kiejdy mom przidzieć?

— Ni! — rzekł. — Ty tego nie poradzisz. Kiej przidziesz?

— Wierzi w niedziely? — zapytała.

— Wierza w niedziela! Tak!

Uśmiechnął się do niej przelotnie.

— Ni, ni, ty tego nie poradzisz!

— Dłaczemu jo tego nie poradzem?

Roześmiał się. Jej próby używania miejscowego dialektu wydały mu się dziwnie komiczne, choć sam nie wiedział dlaczego.

— Pódz już, pódz, cas jest! — rzekł.

— Musza już póść? — zapytała.

— Musza już iść — poprawił ją.

— Dłaczego mam mówić *iść*, kiedy ty mówisz *pódz*? — zaprotestowała Connie. — Jesteś niesprawiedliwy.

— Doprowdy? — odpowiedział, schylając się, i pogłaskał jej twarz.

— Kochasz mnie naprawdę? — zapytała.

Pocałował ją, nie odpowiadając.

— Musisz już iść. Dockej, łoklupia cie ździebko z kurzu — rzekł.

<sup>70</sup>przac komu — kochać [kogo]. [przypis tłumacza]

Ręka jego przesuwiała się po wypukłościach jej ciała, stanowczo, bez pożądania, ale z łagodną, poufałą bliskością.

Kiedy w półmroku biegła do domu, świat wydawał się niby sen; drzewa w parku, jak gdyby zapuściwszy kotwice w tonie, chybotwały się i dążyły ku górze, a zbrocze, wiodące do dworu, było żywe.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W niedzielę Clifford chciał wyjechać do lasu. Był przepiękny poranek, kwiecie grusz i śliw zjawilo się nagle na świecie niby biały cud, rozsiany tu i ówdzie.

Bolesna to była rzecz dla Clifforda, kiedy cały świat stał w kwieciu, być zmuszonym prosić o pomoc w przenoszeniu się z fotela domowego na motorowy. Ale zapomniał o tym i zdawało się, że jest nawet nieco dumny ze swego kalectwa. Connie ciągle jeszcze cierpiała, kiedy musiała przenosić jego bezwładne nogi. Przeważnie robiła to teraz pani Bolton lub Field.

Czekała na niego u szczytu jezdni, na skraju bukowego lasu. Ruchomy jego fotel nadjeżdżał z pewnego rodzaju chorobliwą, ociążałą powolnością. Kiedy dogonił żonę, rzekł:

— Sir Clifford na swoim ognistym rumaku!

— W każdym razie sapiącym! — zaśmiała się Connie.

Clifford zatrzymał się i spojrzął za siebie na fasadę długiego, niskiego, brunatnego, starego domu.

— Wragby ani okiem nie mrugnie! — rzekł. — Bo i dlaczegóż by! Jadę na zdobyczach ducha ludzkiego, które przewyższają rumaka.

— Sądzę, że tak. A dusze Platona, jadące na dwukonnych wozach bojowych do nieba, jechałyby dzisiaj fordem — odpowiedziała.

— Albo rolls-roycem: Platon był arystokratą!

— Słusznie! Nie ma już czarnych koni, żeby je bić i maltretować. Platonowi nie przyszło na myśl, że moglibyśmy zająć o krok dalej, niżeli on ze swoim czarnym i białym koniem, że moglibyśmy w ogóle nie mieć koni, a tylko maszyny!

— Tylko maszyny i gazy! — rzekł Clifford.

— W przyszłym roku będę musiał przeprowadzić kilka reperacji w tych starych murach. Sądzę, że będę mógł wydać na to z tysiąc funtów. Ale robocizna jest dzisiaj tak droga! — dodał.

— O, doskonale! — zawołała Connie. — Żeby tylko nie było znowu strajku!

— Jaki by to miało sens, gdyby znowu strajkowali? Byłaby to tylko zguba przemysłu, a raczej tego, co zeń jeszcze pozostało: już to nawet ślepe sowy widzą!

— Może oni wcale nie chcą gubić przemysłu — rzekła Connie.

— Ach, nie gadajże tak po kobiecemu! Przemysł napelnia im brzuchy, chociaż nie może nabijać im kabz — oznajmił Clifford, używając zwrotów, które dziwnie przypominały panią Bolton.

— Ale czy nie powiedziałeś niedawno, że jesteś konserwatywnym anarchistą? — zapytała Connie niewinnie.

— A czy ty zrozumiałaś, co miałem na myśli? — odparł Clifford. — Rozumiałem przez to tylko, że ludzie mogą być, czym chcą, mogą czuć i robić, co chcą, ale ściśle prywatnie, póki nie naruszają formy życia i całego aparatu społecznego.

Connie szła w milczeniu kilka kroków, potem powiedziała uparcie:

— To brzmi, jakby kto mówił, że jajko może gnić, jeżeli chce, byle tylko zachowało skorupkę w całości. Ale zgniłe jajka pękają same.

— Nie sądzę, aby ludzie byli jajkami — odparł Clifford — nawet nie anielskimi jajkami, mój mały ewangelisto.

Tęgo jasnego poranka był w doskonałym humorze. Skowronki śpiewały ponad parkiem, odległa kopalnia w kotlinie bezgłośnie wyrzucała kłęby pary. Było prawie tak, jak za dawnych czasów przed wojną. Connie nie chciała wywoływać sprzeczki. Ale nie chciała też iść z Cliffordem do lasu. Szła więc obok jego fotelu z pewnego rodzaju upartym zacięciem.

— Nie — rzekł Clifford. — Nie będzie strajku, jeżeli się sprawą dobrze pokieruje.

Cywilizacja

Robotnik, Praca, Korzyść

— Dlaczego?  
— Gdyż strajk będzie niemal uniemożliwiony.  
— Ale czy robotnicy do tego dopuszczają? — zapytała Connie.  
— Nie będziemy ich pytali o zdanie. Zrobimy to bez ich wiedzy: dla ich własnego dobra, aby ratować przemysł.

Robotnik, Własność, Praca

— I dla waszego dobra także — rzekła Connie.  
— Naturalnie! Dla dobra wszystkich. Ale dla ich dobra znacznie bardziej niż dla mego. Ja mogę żyć bez kopalń, oni nie. Jeżeli nie będzie kopalń, zginą z głodu. Ja mam jeszcze inne źródła zarobkowe.

Spoglądali w rozległą dolinę, ku kopalni i ponad nią na kryte czarnymi dachami domy Tevershall, wpełzające jak żmija na zbocze. Ze starego, brunatnego kościoła brzmiały dzwony: Święto, święto, święto!

— Ale czy robotnicy pozwolą sobie narzucić warunki? — zapytała Connie.  
— Moja droga, będą się z tym musieli pogodzić: zwłaszcza, jeżeli się weźmiemy poważnie do dzieła.

Kondycja ludzka

— Czy niemożliwym byłoby wzajemne porozumienie?  
— Oczywiście: gdyby oni potrafili zrozumieć, że przemysł stoi ponad jednostką.  
— Ale czy ty musisz być posiadaczem przemysłu?  
— Nie. Ale w tej mierze, w jakiej jestem jego posiadaczem, tak, bezwarunkowo tak! Własność stała się dzisiaj znowu kwestią religijną, jak była nią już za czasów Jezusa i świętego Franciszka. Ale dewiza, o którą idzie, nie brzmi teraz: „Weź wszystko, co posiadasz, i rozdaj ubogim!”, lecz: „Wykorzystaj wszystko, co posiadasz, dla rozwoju przemysłu, aby dać ubogim pracę!” To jest jedyna droga, aby nakarmić wszystkie usta i przyodziać wszystkie ciała. Oddać wszystko ubogim, to znaczy zarówno dla ubogich, jak i dla nas: zginąć z głodu. A powszechna klęska głodowa nie jest zbyt dostojnym celem. Nawet powszechne ubóstwo nie jest rzeczą nazbyt miłą. Ubóstwo jest brzydkie.

Własność, Religia, Bieda

— Ale te różnice?  
— To przeznaczenie. Dlaczego planeta Jowisz jest większa od Neptuna? Niepodobna zmienić istoty rzeczy!

— Ale gdy zazdrość i zawiść, i niezadowolenie raz się zaczęły? — zapytała Connie.  
— Wówczas trzeba uczynić wszystko, aby je zgnieść. Ktoś musi być panem wszystkiego.

— A kto jest panem wszystkiego?  
— Ludzie, do których należy przemysł i którzy nim kierują.  
Nastąpiło długie milczenie.  
— Mnie się zdaje, że oni są złymi panami — rzekła wreszcie Connie.  
— W takim razie zaproponuj, co mają robić.  
— Traktują swoje władztwo nie dość poważnie.  
— Traktują swoje władztwo znacznie poważniej, niż ty swoje szlachectwo — odparł Clifford.

— To mi zostało narzucone. Nie potrzebuję tego wcale — wybuchnęła Connie.  
Clifford zahamował pojazd i spojrzal na nią.  
— Więc kto unika odpowiedzialności? — zapytał. — Kto stara się ująć przed odpowiedzialnością swego władztwa, jak to nazywasz?

— Przecież ja wcale władztwa nie chcę — zaoponowała Connie.  
— Ach! To są wykręty. Otrzymałaś je: było ci przez los przeznaczone. I musisz żyć w odpowiedni sposób. Kto dał górnikom wszystko, co posiadają i co warte jest posiadania, całą ich swobodę polityczną i oświatę, ich urzędnia sanitarne, ich stosunki zdrowotne, ich książki, muzykę, słowem: wszystko? Kto im to darował? Czy górnicy dali to górnikom? Nie! Wszystkie owe Wragby i Shipley w całej Anglii dawały to i nadal muszą dawać. Na tym polega twoja odpowiedzialność.

Robotnik, Władza,  
Własność, Dar, Handel

Connie słuchała i poczerwieniała nagle.

— Chętnie bym im coś darowała — rzekła. — Ale nie jest mi to dane. Wszystko musi być dzisiaj sprzedawane i płacone. A wszystkie te rzeczy, o których mówisz, Wragby i Shipley sprzedają robotnikom z okazałym zyskiem. Wszystko się sprzedaje. Nie darujesz ani jednego uderzenia serca prawdziwej sympatii. A poza tym, kto zabrał ludowi

jego naturalne życie i jego człowieczeństwo, dając mu w zamian tę przemysłową ohydę? Kto to uczynił?

— Więc cóż mam robić? — zapytał Clifford, zieleniejąc. — Wezwać ich, żeby przyszli do mnie i ograbili mnie?

— Dlaczego Tevershall jest takie brzydkie, takie ohydne? Dlaczego życie tych ludzi jest takie beznadziejne?

— Sami zbudowali sobie swoje Tevershall. Jest to także jeden z przejawów ich wolności. Sami sobie wybudowali swoje piękne Tevershall i sami żyją swoim pięknym życiem. Ja za nich żyć nie mogę. Każdy robak musi żyć własnym życiem.

— Ale każesz im pracować dla siebie. Żyją życiem twojej kopalni.

— Bynajmniej. Każdy robak szuka swego pożywienia. Nikt nie jest zmuszony pracować dla mnie.

— Ich życie jest uprzemysłowione i beznadziejne, i także jest nasze życie! — zawołała Connie.

— Nie sędzę. Jest to po prostu romantyczny frazes, pozostałość tęsknego, marzącego romantyzmu. Nie wyglądasz wcale na beznadziejną osóbkę, moja kochana Connie.

I była to prawda. Gdyż ciemnoniebieskie jej oczy połyskiwały, policzki były rozpalone, cała była pełna buntowniczej namiętności, daleka od beznadziejnego przygnębienia. Spozstrzegła w kępkach trawy wełniste, młode „lwie-ząbki”, spowite jeszcze w pierwszy puch. I z wściekłością zadawała sobie pytanie, dlaczego czuje, że Clifford *nie ma racji*, tak dalece nie ma racji, a jednak nie potrafi mu tego powiedzieć, nie potrafi powiedzieć mu dokładnie, *pod jakim względem* nie ma racji.

— Nic dziwnego, że ludzie cię nienawidzą — rzekła.

— Nic podobnego! — odpowiedział Clifford. — I nie ludź się: w tym sensie, w jakim ty tego wyrazu używasz, nie są oni wcale ludźmi. Są zwierzętami, których ty nie rozumiesz i nigdy rozumieć nie zdołasz. Nie obdarzaj innych ludzi swoimi złudzeniami. Masy były zawsze jednakowe i zawsze jednakowe pozostaną. Niewolnicy Nerona różnili się niezmiernie mało od naszych górników albo od robotników w zakładach Forda. Mam na myśli niewolników Nerona w kopalniach i jego rolników. Takie są masy: są niezmiennie. Jednostka może się wyrwać z masy, ale to masy samej nie zmienia. Mas zmienić niepodobna. Jest to jeden z najważniejszych faktów w naukach socjalnych. *Panem et circenses!*<sup>71</sup> Tylko że dzisiaj oświata jest jedną z kiepskich namiastek cyrku. Błąd dzisiejszy polega na tym, że spartaczyliśmy zupełnie cyrkowy punkt programu i zatruliśmy swoje masy odrobiną oświaty.

Gdy Clifford wpadał istotnie w podniecenie, mówiąc o swoich uczuciach dla ludu, Connie doznawała lęku. W tym, co mówił, było coś niszczycielsko prawdziwego. Była to prawda, która zabijała.

Widząc, że Connie stoi blada i milcząca, Clifford puścił znowu motor w ruch. Nie rozmawiali więcej, aż ruchomy fotel zatrzymał się przed furtką lasu, którą Connie otworzyła.

— Dzisiaj musimy wziąć w rękę bicz, nie miecze — rzekł Clifford. — Masy były od niepamiętnych czasów poskramiane i aż po kres wieków będą musiały być poskramiane. Obludą i kpiną jest twierdzić, że potrafią rządzić sobą same.

— Ale czy ty nimi rządzić potrafisz? — zapytała Connie.

— Ja? O, tak! Ani mój umysł, ani moja wola nie jest okaleczona, a do rządzenia niepotrzebne mi nogi. Potrafię dokonać tego, co do mnie należy; bezwarunkowo. I daj mi syna, a będzie on umiał spełnić pod tym względem to, co do niego należy.

— Przecież to nie będzie twój własny syn, z twojej klasy panującej... albo *może* nie twój własny — szepnęła Connie.

— Nie obchodzi mnie, kto byłby jego ojcem, byleby był zdrowym mężczyzną o inteligencji co najmniej normalnej. Daj mi dziecko jakiegokolwiek zdrowego mężczyzny o normalnej inteligencji, a ja zrobię z niego najdzielniejszego Chatterleya. Nie o to idzie, kto nas płodzi, ale o to, gdzie nas postawi los. Postaw jakiegokolwiek dziecko wśród klasy panującej, a wyrośnie w swoim zakresie na członka klasy panującej. Umieść dzieci kró-

Robotnik, Niewola,  
Kondycja ludzka, Tłum,  
Lud, Szkoła

Władza, Lud

Dziecko, Pozycja społeczna

<sup>71</sup>*Panem et circenses* (łac.) — chleba i igrzysk. [przypis edytorski]

łów i książąt wśród ludu, a staną się małymi plebejuszami, produktami masy. Jest to przemożny wpływ środowiska.

— W takim razie zwykli ludzie nie stanowią odrębnej rasy, arystokracja nie ma szczególnej krwi? — zapytała Connie.

— Nie, moje dziecko! Wszystko to są romantyczne złudzenia. Arystokracja jest funkcją, częścią przeznaczenia. A masy są inną funkcją i inną częścią przeznaczenia. Jednostka niemal w tym nie odgrywa roli. Kwestia polega tylko na tym, do czego się zostało spłodzonym i wychowanym. Nie jednostki tworzą arystokrację: idzie o funkcjonowanie arystokratycznej całości. I podobnie funkcjonowanie ludowej całości robi ze zwykłego człowieka to, czym jest.

— W takim razie pomiędzy nami wszystkimi nie ma wspólnego pierwiastka ludzkiego!

— Jak uważasz. Wszyscy musimy napęłniać żołądki. Ale jeżeli idzie o miarodajne i decydujące funkcje, sądzę, że między klasami panującymi a podwładnymi istnieje przepaść, i to przepaść bezwarunkowa. Funkcje obydwu tych klas są sprzeczne z sobą. A funkcja charakteryzuje jednostkę.

Connie spojrzała na niego oszołomiona.

— Nie chcesz jechać dalej? — zapytała.

Clifford wprawił motor w ruch. Powiedział, co miał powiedzieć. Teraz popadł w swój charakterystyczny i dość pusty stan obojętności, który wydawał się Connie trudny do zniesienia. Była zdecydowana w każdym razie nie prowadzić sporu w lesie.

Przed nimi rozciągał się otwarty wyrąb drogi leśnej pomiędzy leszczynowymi ścianami i wesołymi, zielonymi drzewami. Ruchomy fotel posuwał się wolno naprzód, wolno przygniatał niezapominajki, wznoszące się niby mleczny puszek w miejscach, gdzie krzaki leszczyny nie rzuciły cienia. Clifford jechał środkiem, gdzie nogi przechodniów wydeptały wśród kwiatów ścieżkę. Ale Connie, która szła za nim, widziała, jak koła toczyły się po marzannie i gądzeli<sup>72</sup>, jak zgniatały małe, żółte kielichy świetlików. Teraz złościły bruzdę w niezapominajkach.

W lesie były wszystkie kwiaty, także pierwsze hiacynty niby niebieskie kałuże stojącej wody.

— Rację masz, pięknie tu jest — rzekł Clifford. — Nad podziw pięknie. Cóż może być w istocie piękniejszego od angielskiej wiosny!

Connie pomyślała, że brzmi to tak, jakby nawet wiosna kwitła tylko na podstawie uchwały parlamentu. Angielska wiosna! Dlaczego nie irlandzka? Albo żydowska? Fotel posuwał się wolno naprzód, obok kępek hiacyntów leśnych, sterczących niby kłosa pszenicy, po liściach łopianu. Kiedy wyszli na wolną przestrzeń, gdzie drzewa były wyrąbane, światło wdarło się niemal zbyt jaskrawe, a hiacynty tworzyły tu i ówdzie powierzchnie o jasnoblękitnej barwie, przechodzącej w fiolet. Paprocie wznosiły swoje brunatne, kędzierzawe główki, niby miliony młodych węzów, pragnących szepnąć Ewie nową tajemnicę.

Clifford nie zatrzymywał motoru, aż przybyli na szczyt; Connie szła za nim powoli. Pąki dębów otwierały się miękkie i brązowe. Wszystko wynurzało się delikatnie ze starej, twardej skorupy. Nawet sękaty, surowy dąb stroił się w mięciutki, młode listowie, rozpościerały w świetle brunatne lotki niby młode skrzydełka nietoperzy. Dlaczego ludzie nie mieli na sobie nigdy nic nowego, nic świeżego, w czym by się mogli pokazać? Stęchli ludzie!

Clifford zatrzymał fotel na szczycie zbocza i spojrzał w dół. Hiacynty kołysały się niby niebieska fala wodna na szerokiej drodze, rozjaśniając stok gorącym błękitem.

— Barwa ta w naturze jest bardzo ładna — rzekł Clifford — ale namalować się dobrze nie daje.

— Tak! — rzekła Connie, zupełnie obojętnie.

— Czy zaryzykować zjechanie aż do źródła? — zapytał Clifford.

— A czy fotel wjedzie z powrotem?

— Spróbujmy; kto nie ryzykuje, ten nic nie ma!

I fotel począł się powoli poruszać naprzód, tocząc się po szerokiej drodze leśnej, usia-

Pozycja społeczna, Los

Piękno, Wiosna,  
Nacjonalizm

Rośliny, Wiosna, Kondycja  
ludzka

Okręt

<sup>72</sup>gądział rozłogowa — także: dąbrówka rozłogowa; ożanka. [przypis edytorski]

nej gęsto niebieskimi hiacyntami. O, ostatni okręcie na hiacyntowych toniach! O, żaglowcu na ostatnich dzikich wodach, płynący w ostatnią podróż naszej cywilizacji! Dokąd, niesamowity statku na kołach, dokąd wiedzie twój powolny kurs?! Spokojny i zadowolony z siebie siedział Clifford przy kierownicy przygody: w starym, czarnym kapeluszu i szewiotowej<sup>73</sup> marynarce, nieruchomy i ostrożny. O, kapitanie, kapitanie, nasza wspañiała podróż dobiegła końca! Nie, jeszcze nie! W smudze wodnej za okrętem schodziła Connie ze wzgórze w swojej szarej sukni, patrząc na toczący się fotel.

Minęli wąską ścieżkę, wiodącą do szałasu. Dzięki Bogu, nie była dość szeroka dla motorowego fotelu: zaledwie dość szeroka dla jednego człowieka. Fotel dotarł do stóp zbocza, wykonał zakręt i zniknął. Connie usłyszała za sobą ciche gwizdnięcie. Odwróciła się szybko: leśniczy schodził z pagórka, zbliżając się do niej; pies biegł za nim.

— Czy Sir Clifford chce pojechać do szałasu? — zapytał, spoglądając jej w oczy.

— Nie, tylko do źródła.

— Ach! To dobrze! W takim razie nie potrzebuję się pokazywać. Ale ciebie zobaczę dzisiaj wieczorem, prawda? Będę na ciebie czekał około dziesiątej przy furtce parkowej.

Znowu spojrzął jej prosto w oczy.

— Tak — szepnęła Connie.

Usłyszeli trąbkę Clifforda, dającą sygnał Connie. Odkrzyknęła w odpowiedzi. Po twarzy leśniczego przemknął lekki uśmiech; przesunął łagodnie ręką od dołu po jej piersi. Spojrzała na niego z przerażeniem, potem zaczęła zbiegać ze stoku, wołając ciągle Clifforda. Leśniczy spoglądał za nią, potem odwrócił się z cichym uśmiechem i ruszył dalej swoją ścieżką.

Dogoniła Clifforda, gdy zjeżdżał właśnie powoli do źródła, które znajdowało się w połowie wysokości ciemnego lasu modrzewiowego. Właśnie tam dotarł, kiedy go dogoniła.

— Bardzo to dzielnie zrobił — rzekł, wskazując na motor.

Connie spojrzała na wielkie, szare liście łopianu, sterczące upiornie na skraju modrzewiowego lasu. Ludzie nazywali je rumberbarum Robin Hooda. Jak cicho i ponuro było przy źródle! Ale woda tryskała tak jasno, tak cudownie! I dookoła małe kępki świetlików i niebieskiej gądzeli... A tam, pod trawą, poruszyła się żółta ziemia. Kret! Wyłaził na powierzchnię, sterując różowymi łapkami i kołysząc ślepym, świdrowatym łebkiem, ze wzniesionym małym, różowym pyszczkiem.

— Zdaje się, że widzi końcem nosa — rzekła Connie.

— Lepiej niż oczyma — odpowiedział Clifford. — Chcesz pić?

— A ty?

Zdjęła z gałęzi pobliskiego drzewa emaliowany kubek i schyliła się, aby go napełnić dla Clifforda. Pił powolnymi łykami. Potem schyliła się znowu i wypila sama trochę.

— Taka lodowata! — rzekła, sapiąc.

— Dobra, prawda! Miałas pragnienie?

— A ty?

— Tak, ja miałem, ale nic nie mówiłem.

Usłyszała kucie dzięcioła i wiatr, który powiewał cicho i czarownie między modrzewiami. Spojrzała w górę. Białe obłoki sunęły po błękitnie.

— Obłoki! — rzekła.

— Ale tylko baranki — odpowiedział Clifford.

Cień przemknął po małej polance. Kret wysterował na powierzchnię miękkiej, żółtej ziemi.

— Niemile bydłatko, powinniśmy go zabić — rzekł Clifford.

— Spójrz! Czy nie wygląda jak proboszcz na ambonie? — zawołała Connie.

Narwała trochę marzanny i przyniosła mu.

— Pachnąca marzanna — rzekł Clifford. — Czy nie pachnie jak romantyczne damy ubiegłego stulecia, które jednak nie miały właściwie głowy na karku!

Connie spojrzała na białe obłoki.

— Ciekawam, czy będzie padać — rzekła.

<sup>73</sup>szewiotowy — wykonany z szewiotu (z ang. *cheviot*, od wzgórze Cheviot w Wielkiej Brytanii oraz rasy owiec tam wypasanych), wełnianej, szorstkiej, lekko połyskliwej tkaniny o skośnych splotach. [przypis edytorski]



— Padać! Dlaczego? Chciałabyś, żeby padało?

Ruszyli w drogę powrotną i Clifford ostrożnie zjeżdżał z góry. Przybyli na miękkie dno doliny, skierowali się w prawo i po stu krokach stanęli u stóp długiego zbocza, gdzie błyszcząły w słońcu hiacynty leśne.

— A teraz, przyjacielu! — rzekł Clifford, zwracając w tę stronę fotel.

Było to zbocze dość strome i wyboiste. Ruchomy fotel podrygiwał powoli, z trudem, niechętnie. W każdym razie posuwał się, chybocząc, naprzód, aż przybył na miejsce okolone gęsto hiacyntami; zatrzymał się, wysilił się znowu, wysunął się trochę spośród kwiatów i wreszcie przystanął.

— Zatrąbmy lepiej, może leśniczy przyjdzie — rzekła Connie. — Mógłby trochę popchnąć. I ja to zresztą mogę zrobić, to przecież pomaga.

— Daj nam chwileczkę odsapnąć — odpowiedział Clifford. — Bądź tak dobra i podłóż kamień pod koło.

Connie spełniła jego życzenie. Po chwili Clifford puścił znowu motor i fotel ruszył z miejsca. Kołysał się i potykał z dziwnym stękaniami, jak chory.

— Pozwól, że popchnę! — rzekła Connie, która szła z tyłu.

— Nie! Nie popychaj! — zawołał Clifford gniewnie. — Na co się zda ten przeklęty fotel, jeżeli go trzeba popychać! Podłóż kamień!

Znowu nastąpiła przerwa i znowu próba, ale z jeszcze mniejszym powodzeniem.

— *Musisz* mi pozwolić popychać. — rzekła Connie. — Albo zatrąb na leśniczego.

— Czekaj!

Connie czekała; a Clifford zrobił jeszcze jedną próbę, która raczej zaszkodziła, niż pomogła.

— Zatrąbże przynajmniej, jeżeli nie chcesz, żebym ci pomogła — rzekła Connie.

— Do licha! Bądźże przez chwilę cicho!

Connie była przez chwilę cicho; Clifford robił rozpaczliwe wysiłki z małym motorem.

— Zmarnujesz zupełnie motor, Cliffordzie — upomniała go Connie — a przy tym trwonisz swoje nerwy.

— Gdybym tylko mógł wsiąść i obejrzeć sobie ten przeklęty fotel! — zawołał Clifford podniecony. I zatrąbił hałaśliwie. — Może Mellors będzie mógł zobaczyć, co się tam zepsuło.

Czekali pośród zgniecionych kwiatów pod niebem powlekającym się z wolna chmurami. W ciszy rozległo się gruchanie leśnego gołębia: kuu-ruu-huu-huu! ruu-huu-huu! Clifford zmusił go swoją trąbką do milczenia.

W chwilę później na zakręcie ukazał się leśniczy; rozejrzał się dokoła. Ukłonił się.

— Czy znacie się trochę na motorach? — zapytał Clifford szorstko.

— Niestety, nie. Czy się zaciął?

— Widocznie! — warknął Clifford.

Leśniczy przykucnął gorliwie obok koła, oglądając małą maszynę.

— Niestety, nie znam się zupełnie na tych technicznych sprawach, Sir Cliffordzie — rzekł spokojnie. — Jeżeli jest dość benzyny i oliwy...

— Przyjrzyjcie się tylko uważnie, może zobaczycie, czy coś nie jest złamane — przerwał mu Clifford.

Leśniczy oparł fuzję o drzewo, zdjął kurtkę i rzucił ją obok. Brązowy pies siadł na straży. Potem Mellors przykucnął znowu i zajrzał pod pojazd, obmacał palcami małą, tłustą maszynę, zły na tłuste plamy, jakie pozostały na jego niedzielnej koszuli.

— Zdaje się, że nic nie jest złamane — rzekł.

Wstał, przesunął kapelusz na tył głowy, otarł czoło i zastanowił się.

— Obejrzelście pręty u dołu? — zapytał Clifford. — Zobaczcie, czy są w porządku!

Leśniczy położył się na brzuchu, podciągnawszy szyję, wślizgnął się pod maszynę i dotykał jej palcami. Connie pomyślała, jak wzruszającą istotą jest mężczyzna, jak słaby i mały wydawał się, kiedy tak leżał na brzuchu na wielkiej ziemi.

— O ile widzę, wszystko w porządku — zabrzmiał stłumiony głos.

— Myślę, że chyba nic nie poradzicie — rzekł Clifford.

— I ja tak myślę! — Leśniczy wygramolił się spod maszyny i przykucnął znowu na piętach, na sposób górników. — Na pewno nic nie jest złamane, a przynajmniej nic takiego, co można zobaczyć.

Clifford puścił motor w ruch i włączył bieg. Fotel nie ruszył się z miejsca.

— Znadto pan na nim polegał — zauważył leśniczy.

Clifford był zły na te słowa; ale motor warczał ciągle jak bąk, kaszlał i sapał, potem zdawało się, że idzie głódziej.

— Wygląda to, jakby miał ruszyć — rzekł Mellors.

Clifford włączył już znowu sprzęgło. Fotel wykonał chorobliwy skok i słabo potoczył się naprzód.

— Jeżeli go pchnę, pojedzie — rzekł leśniczy, stając za fotelem.

— Odejdźcie! — syknął Clifford. — Sam sobie dam radę.

— Ależ, Cliffordzie! — wtrąciła Connie. — Wiesz przecież, że to dla motoru za trudna praca. Dlaczego jesteś taki uparty!

Clifford był błydy z gniewu. Szarpnął dźwignię. Fotel wykonał znów skok, potoczył się kilka kroków i zatrzymał się wśród szczególnie obiecującej kępki hiacyntów leśnych.

— Koniec z nim! — rzekł leśniczy. — Nie ma dość siły.

— Był tu już nieraz na górze — oznajmił Clifford zimno.

— Tym razem nie poradzi — rzekł leśniczy.

Clifford nie odpowiedział. Począł wyprawiać z motorem najrozmaitsze sztuki, puszczał go to szybko, to wolno, jakby chciał trafić na właściwe tempo. Las rozbrzmiewał niesamowitymi dźwiękami. Potem Clifford przekręcił nagle dźwignię szybkości, podniósłszy przedtem hamulec.

— W ten sposób poszarpie mu pan tylko wnętrzości — mruknął leśniczy.

Fotel podskoczył chwiejnym ruchem w stronę rowu.

— Cliffordzie! — krzyknęła Connie, biegnąc naprzód.

Leśniczy uchwycił fotel za sztabę. Jednakże Clifford, skupiwszy wszystkie siły, zdołał skierować fotel na środek drogi i z dziwnym hałasem wywalczał sobie, że posuwał się wolno pod górę. Mellors popychał go obojętnie z tyłu, i fotel ruszył z miejsca, jakby chciał naprawić poprzednie błędy.

— Widzicie, że daje sobie radę! — rzekł Clifford triumfalnie i obejrzał się przez ramię. Ujrzał twarz leśniczego.

— Popychacie go?

— Inaczej nie poradzi.

— Przestańcie! Powiedziałem wam przecież.

— Nie poradzi.

— *Pozwólcie mi spróbować!* — syknął Clifford z całym naciskiem.

Leśniczy cofnął się i zawrócił, żeby wziąć fuzję i kurtkę.

Fotel jakby od razu stracił dech. Stał nieruchomo. Clifford, siedzący w nim niby więzień, był biały z wściekłości. Szarpał rękoma dźwignie, nogi jego były na nic. Wydobywał z motoru dziwne dźwięki. Z dziką niecierpliwością poruszał małe dźwignie i sprawiał tym jeszcze więcej hałasu. Ale fotel nie ruszał się z miejsca. Nie, nie ruszał się z miejsca. Clifford wyłączył motor i siedział nieruchomy z gniewu.

Constance siedziała na stoku i patrzyła na biedne, zgniecione hiacynty. „Cóż może być piękniejszego od angielskiej wiosny”. „Potrafię dokonać tego, co do mnie należy”. „Dzisiaj musimy wziąć w rękę bicz, nie miecze”. „Klasa panująca”!

Leśniczy powrócił z fuzją i kurtką. Flossie dreptała mu po piętach. Clifford kazał Mellorsowi zrobić coś przy motorze, Connie, która nie знаła się zupełnie na motorach i nieraz już była świadkiem uszkodzeń, siedziała cierpliwie na stoku, jakby była manekinem. Leśniczy leżał znowu na brzuchu. Klasy panujące i klasy usługujące!

Wstał i rzekł cierpliwie:

— Więc niech pan spróbuje jeszcze raz.

Mówił spokojnym głosem, niemal jak do dziecka.

Clifford spróbował, a Mellors stanął szybko za fotelem i zaczął go popychać. Poszło, motor wykonywał połowę pracy, człowiek resztę.

Clifford obejrzał się, żółty z gniewu.

— Odejdźcie wy stamtąd!

Leśniczy puścił natychmiast drążek, a Clifford dodał:

— Skądże będę wiedział, do czego motor jest zdolny?

Mellors odstawił fuzję i zaczął wciągać kurtkę. Skończył z tą sprawą.

Fotel począł się wolno toczyć w tył.

— Cliffordzie, hamulec! — zawołała Connie.

Ona, Mellors i Clifford zakrzętnęli się jednocześnie, Connie i leśniczy zetknęli się przy tym lekko. Fotel zatrzymał się. Nastąpiła chwila śmiertelnej ciszy.

— To jasne, że zdany jestem na łaskę i niełaskę każdego człowieka! — rzekł Clifford. Był żółty ze złości.

Nikt nie odpowiedział. Mellors przewiesił fuzję przez ramię, twarz miał dziwnie bez wyrazu, w bezgranicznej cierpliwości. Suka Flossie stała na straży prawie między nogami swego pana. Poruszała się niespokojnie, zerkając na ruchomy fotel, podejrzliwie i niechętnie, i bardzo była zmieszana pośród tych dwojga ludzi. *Tableau vivant*<sup>74</sup> trwał tak pomiędzy zgniecionymi hiacyntami i nikt nie mówił ani słowa.

— Myślę, że trzeba go będzie popychać — rzekł wreszcie Clifford z udaną zimną krwią.

Nikt nie odpowiedział. Nieprzytomna twarz Mellorsa sprawiała wrażenie, jakby nie słyszał. Connie spojrzała na niego lęklonie. Clifford obejrzał się również.

— Może popchniecie fotel do domu, Mellors — rzekł chłodnym tonem wyższości. — Mam nadzieję, że nie powiedziałem niczego, co by was uraziło — dodał z niechęcią.

— Bynajmniej, Sir Cliffordzie! Chce pan, żebym pchał fotel?

— Proszę bardzo.

Leśniczy zbliżył się: ale tym razem nie pomogło. Hamulec zaciął się. Ciągnęli i szarpali, a leśniczy odłożył znowu fuzję i zdjął kurtkę. Clifford nie mówił teraz nic. Wreszcie Mellors unióś fotel z tyłu i spróbował jednocześnie zwolnić koła uderzeniem nogi. Nie udało mu się, fotel opadł z powrotem. Clifford czepiał się poręczy. Leśniczy dyszał pod ciężarem.

— Niech pan tego nie robi! — zawołała Connie.

— Gdyby pani chciała pociągnąć za koło, tak! — rzekł i pokazał jej, jak.

— Nie! Niech go pan nie podnosi! Przedźwignie się pan — oświadczyła Connie, czerwona teraz z gniewu.

Ale on spojrział jej w oczy i skinął głową. Musiała podejść i chwycić koło, posłusznie i chętnie. On unióś fotel, ona pociągnęła za koło i pojazd zachwiał się.

— Na Boga! — krzyknął Clifford przerażony.

Ale nic się nie stało, a hamulec był zwolniony. Leśniczy podłożył kamień pod koło i usiadł na stoku. Serce biło mu mocno, twarz miał białą z wysiłku, był na wpół nieprzytomny. Connie spojrzała na niego i omal nie krzyknęła z gniewu. Nastąpiła chwila śmiertelnego milczenia. Widziała jak jego ręce, leżące na udach, drżały.

— Czy pan sobie coś zrobił? — zapytała, podchodząc do niego.

— Nie! Nie!

Odwrócił się prawie gniewnie.

Znowu zapanowała absolutna cisza. Jasnowłosa potylicą Clifforda nie poruszała się. Nawet pies stał bez ruchu. Niebo zachmurzyło się.

Wreszcie leśniczy westchnął i utarł nos w czerwoną chustkę.

— To zapalenie płuc mocno mnie nadszarpnęło — rzekł.

Nikt nie odpowiedział. Connie obliczała, ile trzeba było siły, żeby unieść fotel razem z otępłym Cliffordem: za dużo, o wiele za dużo! Żeby go to tylko nie zabiło!

Leśniczy wstał, wziął znowu kurtkę i przewiesił ją przez poręcz fotela.

— Jest pan teraz gotów, Sir Cliffordzie?

— Jeżeli wy jesteście gotów!

Schylił się i wyjął kamień spod koła. Potem wparł się znowu w fotel. Był tak błądy, jakim go Connie nigdy jeszcze nie widziała; i bardziej niż kiedykolwiek nieprzytomny. Clifford był ciężkim mężczyzną, zбочe było strome. Connie stanęła u boku leśniczego.

— Będę także pchała — rzekła.

I poczęła pchać z gwałtowną energią rozgniewanej kobiety. Fotel ruszył szybciej. Clifford obejrzał się.

— Czy to konieczne? — zapytał.

— Bardzo! Chcesz tego człowieka zabić? Gdybyś puścił motor, póki działał...

<sup>74</sup>*tableau vivant* (fr.) — żywy obraz. [przypis edytorski]

Ale nie dokończyła zdania, dyszała już. Przestała na chwilę pchać, gdyż była to nadspodziewanie ciężka praca.

— Aha! Powoli! — rzekł kroczący obok niej mężczyzna ze słabym uśmiechem w oczach.

— Czy pan jest pewien, że pan sobie nic nie zrobił? — zapytała Connie gniewnie.

Potrząsnął głową. Spojrzała na jego małą, niemal krótką, żywą dłoń, opaloną od wiatru. Była to ta sama dłoń, która ją pieściła. Nigdy na nią dotychczas nie patrzyła. Wydawała się taka cicha, zupełnie jak on, przeniknięta dziwną, wewnętrzną ciszą, która budziła w niej pragnienie, aby pochwycić tę rękę, jak gdyby jej inaczej nie mogła dosięgnąć. Cała jej dusza rwała się w tej chwili do niego: taki był cichy, taki niedosiężony! A on czuł, jak członki jego poczęły znowu odżywać. Popychając lewą ręką, położył prawą na białym przegubie jej dłoni i objął go delikatnie pieścizotą. Płomień siły przemknął po jego grzbiecie i łądźwiach i ożywił go. A Connie pochylała się nagle i ucałowała jego dłoń. Potylicą Clifforda, wąska i nieruchoma, znajdowała się w tej chwili wprost przed nimi.

Na wzgórzu odpoczęli, a Connie była rada, że może przestać popychać. Snuła niegdyś przelotne marzenia o przyjaźni pomiędzy tymi dwoma mężczyznami: jednym — jej mężem, drugim — ojcem jej dziecka. Teraz widziała krzyżącą absurdalność tych marzeń. Ci dwaj mężczyźni byli dla siebie tak wrodoży, jak ogień i woda. Niweczyli się wzajemnie. I pojęła po raz pierwszy, jak dziwną i subtelną rzeczą była nienawiść. Po raz pierwszy świadomie i zdecydowanie nienawidziła Clifforda, nienawidziła całą mocą: jakby musiał być zmieciony z powierzchni ziemi. I dziwne było, jakie uczucie wolności i pełni życia dawała jej ta nienawiść i uświadamianie sobie jej.

„Teraz, kiedy go znienawidziłam, nie będę już mogła nadal żyć z nim” — przeszło jej przez myśl.

Na równym gruncie leśniczy mógł sam popychać fotel. Clifford swobodnie rozmawiał z Connie, aby dowieść swego zupełnego opanowania: o ciotce Ewie, która była w Dieppe, i o Sir Malcolmie, który pisał i zapytywał, czy Connie chce jechać do Wenecji z nim razem, jego małym autem, czy też z Hildą koleją.

— Wolę pojechać koleją — rzekła Connie. — Nie lubię jazdy samochodem, zwłaszcza, gdy jest kurz. Ale zobaczę, co powie Hilda.

— Będzie chciała jechać swoim własnym autem i zabrać ciebie — odpowiedział Clifford.

— Prawdopodobnie!... Tutaj pod górkę muszę pomagać. Nie masz pojęcia, jak ciężki jest ten fotel.

Stała za fotelem i pchając go, szła po różowej ścieżce obok leśniczego. Było jej obojętne, czy jej ktoś nie widział.

— Dlaczego nie zostawisz mnie tutaj i nie sprowadzisz Fielda? On jest na to dość silny.

— To tak blisko — odpowiedziała Connie, dysząc.

Ale oboje, ona i Mellors, ocierali sobie pot z twarzy, kiedy przybyli na wzniesienie. Dziwne było, że ta odrobina wspólnej pracy zbliżyła ich do siebie bardziej, niżeli dotąd byli zbliżeni.

— Dziękuję wam bardzo, Mellors — rzekł Clifford, kiedy dojechali do drzwi domu. — Muszę sobie sprawić inny typ motoru, to wszystko. Może wejdziecie do kuchni i zjecie coś? Musi już być czas na obiad.

— Dziękuję panu, Sir Cliffordzie. Szedłem właśnie do matki na obiad, dziś niedziela.

— Jak wolicie.

Mellors włożył kurtkę, spojrzął na Connie, uklonił się i znikł. Connie weszła wściekła do swego pokoju.

Przy obiedzie nie mogła zapanować nad uczuciami.

— Dlaczego jesteś tak ohydnie nieuprzejmy, Cliffordzie? — powiedziała do niego.

— Wobec kogo?

— Wobec leśniczego! Jeżeli to nazywasz klasą panującą, to bardzo mi cię żal.

— Dlaczego?

— Człowiek, który przeszedł chorobę i nie jest silny! Słowo daję, gdybym ja należała do klasy usługującej, dałabym ci długo czekać na usługi. Zaśpiewałabym ci już!

— Wierzę.

Nienawiść, Wolność

Pozycja społeczna, Pan,  
Sługa

— Gdyby on siedział w fotelu, ze sparaliżowanymi nogami, i zachowywał się tak, jak ty się zachowywałaś, co zrobiłbyś *dla niego*?

— Kochany ewangelisto, to pomieszanie osób i cech osobistych świadczy o złym smaku.

— A twój wstrętny, wyjałowiony brak jakichkolwiek uczuć ludzkich świadczy o jak najgorszym smaku. *Noblesse oblige!*<sup>75</sup> Ciebie i twoją klasę panującą!

— Do czegoś miałoby mnie obligować? Żeby piastować mnóstwo niepotrzebnych uczuć w stosunku do mojego leśniczego? Dziękuję. Pozostawiam to wszystko mojemu ewangelicjiście.

— Jakby on nie był tak samo człowiekiem, jak ty, słowo daję!

— A na domiar moim leśniczym, któremu płacę dwa funty tygodniowo i daję mu wolne mieszkanie.

— Płacisz mu! Jak myślisz, co opłacasz tymi dwoma funtami tygodniowo i wolnym mieszkaniem?

— Jego usługi.

— Ba! Ja bym ci powiedziała, żebyś sobie zatrzymał swoje dwa funty tygodniowo i wolne mieszkanie.

— Prawdopodobnie i on by mi to chciał powiedzieć: ale nie może sobie pozwolić na ten zbytek!

— Ty i *rzządzenie!* — zawołała Connie. — Ty nie rządzisz, nie schlebiaj sobie, Masz tylko trochę więcej pieniędzy, niż ci potrzeba, i każesz ludziom pracować dla siebie za dwa funty tygodniowo albo grozisz im głodem. *Rządzenie!* Jakież ty sprawujesz rządy? Jesteś wysuszony! Tyranizujesz tylko pieniędzmi jak pierwszy lepszy Żyd lub lichwiarz!

— Bardzo elegancko się pani wyraża, Lady Chatterley!

— Zapewniam cię, że zachowywałaś się przez cały czas niezmiernie elegancko tam w lesie. Wstydziałam się za ciebie. Ach, mój ojciec ma w sobie dziesięć razy więcej człowieczeństwa niż ty, gentlemanie!

Clifford wyciągnął rękę i zadzwonił na panią Bolton. Ale szyję miał żółtą.

Connie weszła do swego pokoju, wściekła, powiadając sobie:

„On i kupowanie ludzi! No, mnie sobie nie kupił, nie mam więc najmniejszej potrzeby pozostania z nim. Ta martwa ryba, ten gentleman z celuloidową duszą! A jak oni potrafią człowieka usidlać swoimi manierami, swoją obłudną rozważą i dobrocią! A mają tyleż uczucia, co celuloid”.

Ułożyła plany na noc i postanowiła wybić sobie Clifforda z głowy. Nie chciała go nienawidzić. Nie chciała być z nim związana jakimkolwiek uczuciem. Nie chciała, aby wiedział o niej cokolwiek. A zwłaszcza o jej uczuciach dla leśniczego. Te spory o jej zachowanie wobec służby były rzeczą starą. Clifford uważał, że Connie jest zbyt poufała. Ona uważała, że on był tępym i niewrażliwym, jeżeli idzie o innych ludzi.

Kiedy nadeszła pora kolacji, zeszła na dół spokojnie, bez widocznej zmiany w zachowaniu. Clifford miał jeszcze ciągle żółtą szyję. Czekał go widocznie atak żółciowy, jak zwykle, kiedy się zdenerwował.

Czytał francuską książkę.

— Czytałaś kiedy Prousta? — zapytał.

— Próbowałam, ale nudzi mnie.

— Jest nadzwyczajny.

— Możliwe! Ale mnie nudzi. Cała ta sofistyczna mądrość! On nie ma uczuć, ma tylko strumienie słów o uczuciach. Nie znoszę tych mentalności, traktujących siebie tak poważnie.

— Więc wolisz traktujące siebie poważnie animalności.

— Może! Przypuszczam jednak, że można by znaleźć coś, co siebie nie traktuje tak poważnie.

— Mnie się podoba u Prousta jego subtelność i wytworna anarchia.

— W rzeczywistości on człowieka zabija.

— To mówi znowu mój mały ewangelista.

<sup>75</sup>*noblesse oblige* (fr.) — szlachectwo zobowiązuje. [przypis edytorski]

Znowu doszli do tego, znowu doszli do tego! Ale nie mogła się powstrzymać od walki z nim. Zdawało się jej, że siedzi tu jak kościotrup i wysłała ku niej zimną, przeraźliwą, kościotrupią *wolę*. Czuła niemal, jak ten kościotrup chwyta ją i wciąga do swojej kościstej klatki. I on był naprawdę podniecony: a Connie lękała się go trochę.

Udała się jak tylko mogła najszybciej na górę i wcześniej położyła się do łóżka. Ale o pół do dziesiątej wstała i wyszła na korytarz, nad słuchując. Nigdzie nie słychać było najbliższego dźwięku. Narzuciła szlafrok i zeszła na dół. Clifford i pani Bolton hazardowali się w karty. Prawdopodobnie potrwa to do północy.

Connie wróciła do swego pokoju, rzuciła pyjamę na łóżko, włożyła cienką koszulę nocną, a na nią wełnianą suknię, potem tenisowe pantofle z gumowymi podeszwami i lekki płaszcz. Była gotowa. Gdyby spotkała kogoś: wychodziła właśnie na kilka minut przed dom. A rano, kiedy będzie wracała: była właśnie również na krótkim spacerze po rosie porannej, jak to często robiła przed śniadaniem. Jedyne niebezpieczeństwo polegało więc na tym tylko, że ktoś mógłby wejść w nocy do jej pokoju. Ale to było niezmiernie nieprawdopodobne: nawet nie jeden do stu.

Betts jeszcze nie zamknął. Zamykał dom o godzinie dziesiątej i otwierał go o siódmej rano. Wymknęła się cichutko, niedostrzeżona. Półksiężyc świecił dość jasno, aby oświetlić nieco świat, ale nie dość jasno, aby uczynić jej ciemnoszary płaszcz widzialnym. Szła szybko przez park, w istocie nie tyle podniecona schadzka, ile z jakąś goryczą i buntem, które płonęły w jej sercu. Nie było to właściwe usposobienie, w jakim idzie się na noc miłosną. Ale *à la guerre comme à la guerre!*<sup>76</sup>

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kiedy się zbliżyła do furtki parku, usłyszała szcęk zamka. Więc on tam był, w mroku lasu, i widział ją!

— Wcześniej przychodzisz — rzekł z ciemności. — Czy wszystko gładko poszło?

— Zupełnie.

Cicho zamknął za nią furtkę i rzucił strumień światła na ciemny grunt; przy blasku jego latarki można było dojrzeć blade kwiaty, rozwarłe jeszcze mimo wieczora. Szli oddzielnie, w milczeniu.

— Pewien jesteś, że dzisiaj rano nic sobie nie zrobiłeś przez ten fotel? — zapytała Connie.

— Nie, nie!

— Czy zapalenie płuc nie pozostawiło u ciebie śladów?

— O, bynajmniej! Serce mam tylko nie tak silne, jak dawniej, i płuca mniej elastyczne.

Ale to tak zwykle bywa.

— I powinieneś unikać większych wysiłków fizycznych?

— Poniękad.

Szła dalej w gniewnym milczeniu.

— Czy nienawidzisz Clifforda? — zapytała wreszcie.

— Nienawidzę? Nie! Zbyt wielu spotykałem mężczyzn jego gatunku, aby mnie to mogło skłonić do nienawiści. Wiem z góry, że nie znoszę ludzi zbyt potulnych. Poprzez staję na tym.

— A jakiż to jest gatunek?

Connie zamyśliła się.

— Czy Clifford jest potulny? — zapytała.

— Potulny, a jednocześnie złośliwy. Jak większość takich ichmościów, kiedy się z nimi zetknąć.

— A sądzisz, że ty nie jesteś potulny?

— Może niezupełnie!

Wreszcie dostrzegła z dala żółte światelko. Przystanęła.

— Tam jest światło? — rzekła.

Zawsze zostawiam światło w domu.

Szła znowu u jego boku, ale nie dotykając go, i zadawała sobie pytanie, dlaczego w ogóle idzie z nim.

<sup>76</sup>à la guerre comme à la guerre (fr.) — na wojnie, jak to na wojnie. [przypis edytorski]

Mellors otworzył, weszli, potem zamknął znowu drzwi. „Jak w więzieniu!” — pomyślała Connie. Kociołek szumiał nad czerwonym żarem, a filiżanki do herbaty stały na stole.

Usiadła w drewnianym fotelu przy ogniu. Po przejmującym chłodzie leśnym w pokoju było ciepło.

— Zdejmę buciki, przemokły zupełnie — rzekła.

Siedziała teraz w samych pończochach, oparłszy nogi o błyszczącą kratę paleniska. On poszedł do spiżarni i przyniósł jedzenie: chleb, masło i konserwy z ozora. Gorąco się jej zrobiło, więc zdjęła płaszcz. Powiesiła go na drzwiach.

— Napijesz się kakao, herbaty czy kawy? — zapytał leśniczy.

— Najchętniej nic bym nie piła — odpowiedziała Connie, spoglądając na stół. — Ale ty jedz.

— Nie, nie jestem głodny. Nakarmię tylko psa.

Ze spokojną niewzruszonością przeszedł po ceglanej podłodze pokoju i rzucił psu żarcie do brązowej miski. Ogar spojrzał na niego lękliwie.

— No, mosz, dyc to twoja wieczerzo. Dyc nie rób takiej głupiej miny, jakbyś nic nie dostała — rzekł.

Postawił miskę na dywaniku pod schodami i usiadł na krześle pod ścianą, aby zdjąć buty i sztylpy. Suka nie zbliżała się do jedzenia, lecz podeszła do niego, usiadła i spoglądała na niego zaniepokojona.

Leśniczy rozpiął wolno sprzączki sztylp. Pies zbliżył się jeszcze bardziej.

— No, cóż ci zaś? Zaś cie ździebko drożni, że sam jest inksza? Prowdziwo z ciebie kobitka, prowdziwo! Idź i zrej swoja wieczerzo!

Położył rękę na głowie suki, a ona oparła łeb o jego nogi. Wolno i łagodnie pociągnął za długie, jedwabiste ucho.

— Hań! — rzekł. — Hań! Idź już i zrej swoja wieczerzo, idź!

Posunął swoje krzesło trochę w stronę miski na dywaniku, a suka poszła tam posłusznie i zaczęła żreć.

— Lubisz psy? — zapytała Connie.

— Nie, nie bardzo. Som za zbytek pokorne i za wiele przywiązane.

Zdjął skórzane sztylpy i rozsznurował trzewiki. Connie odwróciła się od ognia. Jak pusty był ten mały pokój! Ale nad jego głową wisiała na ścianie ohydnie powiększona fotografia jakiejś młodej pary małżeńskiej, widocznie jego z jakąś niewiastą o bezczelnym wyglądzie, niewątpliwie jego żoną.

— Czy to ty? — zapytała Connie.

Odwrócił głowę i spojrzał na powiększenie.

— No-dyc. Łotfotografowane wtencos, kiej ech sie łożynił; miałech jeden dwadzieścia lot.

Wpatrywał się w obraz.

— Lubisz tę fotografię? — zapytała Connie.

— Cego? Cy lubia? Nie, do sto djobłów, niecierpia jom! Ale łona to już tak wyrych-towała, żechmy sie tak kozali łodfotografować, jak łona chciała.

Zaczął znowu zdejmować trzewiki.

— Jeżeli jej nie lubisz, po co tu wisi? Może twoja żona chciaaby ją mieć.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Wziena z chałupy wszystko, co było worte wzionć — rzekł. — Jeny to łostawiała.

— Więc po co ty to trzymasz? Ze względów uczuciowych?

— Nie! Nigdy na niom nie patrza. I blank ech nie wiedziol, że łona tam jest. Wisi już sam, łodkond echmy sie sam przikludzili.

Odwrócił się znowu do powiększonej fotografii i spojrzał na nią. Oprawiona była w brązową, pozłacaną ramę — ohydną. Na zdjęciu widać było gładko wygolonego, przystojnego mężczyznę o bardzo młodym wyglądzie, w dość wysokim kołnierzu, i nieco pulchnawą młodą kobietę o zuchwałym wejrzeniu, z kędzierzawymi włosami, w ciemnej bluzce jedwabnej.

— Fajnie to łobmyśliła, prowda? — rzekł leśniczy.

Zsuł już buciki i włożył pantofle. Wszedł na krzesło i zdjął fotografię. Na zielonawej tapecie pozostała wielka, blada plama.

— Nie warto jom nawet łobkurzać — rzekł i postawił fotografię pod ścianą.

Wszedł do komórki z narzędziami i powrócił z młotkiem i obcęgi. Usiadł tam, gdzie przedtem siedział, i począł zdzierać papier z tylnej strony wielkiej ramy i wyciągać gwoźdźniki, które przytrzymały karton za fotografią. Pracował z cichym uporem, który był dla niego tak charakterystyczny.

Niebawem powyciągał wszystkie gwoźdźniki. Potem wyjął karton i samą fotografię w mocnym, białym *passepartout*. Spojrzał na zdjęcie ubawiony.

— Łobrozek ty pokazuj mi tym, cym ech wtencos był: młodym mamlasem, a jom tyż cym była: dziewom — rzekł. — Gupi mamlas i dziewa!

— Daj mi popatrzeć! — rzekła Connie.

Był na zdjęciu istotnie bardzo gładko wygolony i w ogóle wyglądał dziwnie gładko, jak któryś z owych gładkich młodzieńców sprzed dwudziestu lat. Ale nawet na fotografii oczy jego były żywe i nieustraszone, a kobieta nie była tak zupełnie „dziewką”, chociaż miała grube kości policzkowe. Miała w sobie jednak coś pociągającego.

— Takich rzeczy nie powinno się przechowywać — rzekła Connie.

— Nie, nie, doprowdy że nie! Cłowiek nie powinien ich wcale kozać robić!

Przedarł na kolanie fotografię razem z *passepartout* na drobne kawałki, które rzucił w ogień.

— Jemy mi łogień zapaskudzi — rzekł.

Szkoło i karton wyniósł ostrożnie. Ramę połupał kilkoma uderzeniami młotka, aż gips latał dokoła. Potem wyniósł kawałki do komórki.

— Jutro to spolymy — rzekł. — Sporo na tym kaszczków gipsu.

Kiedy uprzątnął wszystko, usiadł.

— Czy kochałeś swoją żonę? — zapytała go Connie.

— Cego? Cy kochałech? — odparł. — A ty przalaś panoczkowi Cliffordowi?

Ale ona nie chciała się dać zbyć byle czym.

— Ale lubiłeś ją?

— Cych jom lubiel? — zaśmiał się.

— Może lubisz ją teraz jeszcze? — zapytała Connie.

— Jo? — Oczy jego rozszerzyły się. — Nie, nie! Nie moga se ani wspomnieć to niej — rzekł spokojnie.

— Dlaczego?

Ale on potrzęsnał głową.

— Więc dlaczego się z nią nie rozwiedziesz? Przecież ona kiedyś do ciebie powróci — rzekła Connie.

Leśniczy spojrział na nią ostro.

— Łona ku mnie nie postompi ani na łodległość flinty. Łona mie jeszcze bardziej nie cierpi, niżli jo jom.

— Przekonasz się, że kiedyś powróci.

— Kaj tam, tego łona nie robi. To sie skończyło. Aż mi sie zimno robi, kiej se pomysła, że mógbych jom jeszcze kiejś łoboczyć.

— Zobaczysz ją. A małżeństwo wasze nie jest nawet sądownie unieważnione, prawda?

— Nie.

— Ach, widzisz! W takim razie ona wróci, a ty będziesz ją musiał przyjąć.

Mellors spojrział na Connie nieruchomym wzrokiem. Potem nagłym ruchem podniósł głowę.

— Może masz rację. Byłem głupcem, że tutaj powróciłem. Ale czułem się rozbitkiem i musiałem się gdzieś podziać. Mężczyzna to biedne stworzenie, którym każdy wiatr miota w inną stronę. Ale masz rację. Postaram się o rozwód, żeby być wolnym. Nienawidzę tego wszystkiego jak śmierci, urzędników, rozpraw sądowych i sędziów. Ale będę się z tym musiał pogodzić. Wniosę sprawę rozwodową.

Connie ujrzała na jego twarzy wyraz stanowczości i zatriumfowała w duchu.

— Chętnie bym się teraz napiła herbaty — rzekła.

Mellors wstał, aby przygotować herbatę. Ale twarz jego pozostała nieruchoma.

Kiedy zasiedli do stołu, Connie zapytała:

— Dlaczego się z nią ożeniłeś? Była niższego pochodzenia niż ty. Pani Bolton opowiadała mi o niej. Nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego się z tą dziewczyną ożeniłeś.



Mellors spojrzął na nią nieruchomym wzrokiem.

— Powiem ci — zaczął. — Z pierwszą dziewczyną, jaką miałem w życiu, zacząłem, kiedy liczyłem sobie szesnaście lat. Była córką nauczyciela w Ollerton, ładną, nawet piękną dziewczyną. Ja uchodziłem za mądrego chłopaka z gimnazjum w Sheffield, umiałem trochę po francusku i po niemiecku, a nosa zadzieralem bardzo wysoko. Ona miała usposobienie romantyczne i nienawidziła wszystkiego, co wulgarnie. Wzbudziła we mnie zamilowanie do poezji i czytania. Poniekąd uczyniła ze mnie mężczyznę. Czytałem i rozmyślałem z największym ogniem, a wszystko dla niej. I zostałem pisarzem w biurze u Butterleya. Byłem wtedy chudym chłopakiem o białej twarzy, napęczniałym od wszystkiego, co przeczytałem. I o *wszystkim* rozmawiałem z nią; o wszystkim. Zajeżdżaliśmy w rozmowach aż do Persepolis i Timbaktu. Byliśmy najbardziej wykształconą literacko parą we wszystkich dziesięciu hrabstwach. Żyłem w pewnego rodzaju ekstazie. Po prostu dymilem uwielbieniem dla niej. A ona mnie ubóstwiała. Ale węzłem w trawie stał się popęd płciowy. Ona, jako dziewczyna, nie posiadała go wcale, a przynajmniej nie tam, gdzieby być powinien. Ja stawałem się coraz bardziej chudy i coraz bardziej obłąkany. Potem powiedziałem jej, że musimy teraz zostać kochankami. Przegadałem ją w tej sprawie, jak zwykle. Ustąpiła mi więc. Ja byłem podniecony, a ona nie czuła prawdziwej potrzeby tego. Po prostu nie czuła potrzeby tego. Ubóstwiała mnie, lubiła, kiedy do niej mówiłem i całowałem ją. Pod tym względem żywiła dla mnie namiętność. Ale tamtego po prostu nie pragnęła. I istnieje mnóstwo takich kobiet, jak ona. Było to właśnie przeciwieństwem tego, czego ja pożądałem. Sprawa rozbiła się więc o to. Byłem okrutny i opuściłem ją. Potem związałem się z inną, nauczycielką, która wywołała skandal przez to, że utrzymywała stosunek z żonatym mężczyzną i doprowadziła go niemal do obłądzenia. Była miękka i miała białą skórę, należała do miękkiego gatunku kobiet, była starsza ode mnie i grała na skrzypcach. I była diabłem. Lubiła w miłości wszystko, z wyjątkiem spraw płciowych. Przytulna, pieszcząca, schlebiała mężczyźnie na wszelkie sposoby. A gdy się ją zmuszało do samego stosunku płciowego, po prostu zgrzytała zębami i parskiała nienawiścią. Zmuszałem ją do tego, a ona wylewała na mnie za to niekiedy potoki nienawiści. Rozczarowałem się więc znowu. Zbrzydło mi już to wszystko. Pragnąłem kobiety, która by chciała mnie i chciała mieć *to*.

Potem zjawiała się Berta Coutts. Mieszkała w sąsiednim domu, kiedy byłem małym chłopcem, znałem więc tych ludzi doskonale. Byli to zwyczajni ludzie. Berta wyjechała na jakąś posadę do Birmingham; ona mówiła, że jako dama do towarzystwa pewnej pani, wszyscy inni twierdzili, że jako kelnerka hotelowa czy coś podobnego. W każdym razie, kiedy już miałem aż zadość tamtej kobiety, zjawiała się Berta, z zachowaniem i manierami i eleganckimi strojami, z pewnego rodzaju puchem kwietnym: z pewnego rodzaju zmysłowym powiewem, jaki spotyka się niekiedy u kobiet albo u gnomów. A ja byłem w nastroju wisielczym. Porzuciłem swoje stanowisko u Butterleya, gdyż uważałem, że jestem tam szmatą, że sobie ręce urabiam przy pisaniu; osiedliłem się w Tevershall jako kowal i głównym moim zajęciem stało się obkuwanie koni. Była to praca mego ojca, a ja zawsze mu przy niej towarzyszyłem. Była to praca, którą lubiłem, mieć do czynienia z końmi: to mi najbardziej odpowiadało. Przestałem więc wyrażać się „uczenie”, jak to ludzie powiadają, kiedy się mówi językiem literackim, i zacząłem znowu mówić dialektem. Ciągle jeszcze czytywałem w domu książki, ale kułem podkowy, miałem własny wózek z kucykiem i byłem mistrzem młota. Ojciec mój pozostawił mi umierając trzysta funtów. Związałem się więc z Bertą i cieszyłem się, że była wulgarna. Chciałem, aby była taka wulgarna. Chciałem być sam wulgarny. Tak, i ożeniłem się z nią, i była niezłą żoną. Inne kobiety, „czyste”, niemal zupełnie pozbawiły mnie męskości, ale jej pod tym względem nic nie można było zarzucić. Pożądała mnie i nie robiła z tym ceregieli. A ja cieszyłem się jak błazen. To było to, czego pragnąłem: kobieta, która chciała, żebym ją oblał. Oblałem ją więc do woli. I zdaje mi się, że pogardzała mną trochę dlatego, że mi się to tak podobało i że jej nieraz przynosiłem śniadanie do łóżka. Przestała się troszczyć o dom, nie dawała mi porządnego jedzenia, kiedy wracałem z pracy, a gdy coś mówiłem, wyjeżdżała na mnie z pyskiem. Więc i ja wyjeżdżałem na nią z pyskiem i przekleństwami. Ona rzucała mi szklankę w głowę, a ja chwytałem ją za kark, aż traciła dech. Tak to było! Ale traktowała mnie bezczelnie i posunęła się tak daleko, że nigdy nie chciała mnie, kiedy ja jej chciałem: nigdy! Odrzucała mnie zawsze tak brutalnie, że nie możesz

Kobieta, Mężczyzna,  
Miłość, Seks

Małżeństwo, Seks, Gra,  
Władza

sobie tego wyobrazić. A potem, kiedy mnie już zupełnie zmroziła i kiedy jej nie chciałem brać, stawała się nagle słodka i miła, przychodziła do mnie i zdobywała mnie. A ja nadbiegałem zawsze, kiedy ona zagwizdała. Wreszcie nie mogłem już tego znieść. Sypialiśmy oddzielnie. Ona sama zrobiła początek przy swoich atakach, twierdząc, że ją tyranizuję. Ona sama zażądała pierwsza własnej sypialni. Ale nadszedł czas, kiedy nie chciałem jej wpuścić do swego pokoju. Nie chciałem.

Nienawidziłem tego. A ona nienawidziła mnie. Boże mój, jakże ona mnie nienawidziła, zanim się dziecko urodziło! Zdaje mi się nieraz, że poczęła je tylko z nienawiści. W każdym razie, kiedy się dziecko urodziło, dałem jej spokój. A potem wybuchła wojna, a ja zgłosiłem się na ochotnika. I powróciłem dopiero wtedy, gdy się dowiedziałem, że ona mieszka z tym chłopakiem w Stacks Gate.

Urwał z pobladłą twarzą.

— A cóż to jest za człowiek, ten w Stacks Gate? — zapytała Connie.

— Wysoki, silny drab o głowie dziecka, popychadło. Berta tyranizuje go. I oboje piją.

— Boże wielki, gdyby ona wróciła!

— Na Boga, tak! Odszedłbym po prostu i zniknął.

Zapanowało milczenie. Karton spalił się na kominku na szary popiół.

— Więc gdy dostałeś kobietę, która cię pragnęła — rzekła Connie — miałaś trochę za wiele dobrego.

— Tak! Tak by wyglądało! Ale i tak wolę mieć ją niż którąś z tych ani-mru-mru: jak ta biała miłość mojej młodości i tamta lilia o trującej woni, i te inne.

— A jakże jest z tymi innymi? — zapytała Connie.

— Inne? Innych nie ma. Tylko że wedle mego doświadczenia większość kobiet jest taka: przeważnie pragną mężczyzny, ale nie seksu. Lecz godzą się na to jako na część całej sprawy. Bardziej staroświeckie po prostu leżą sobie, jakby nigdy nic i pozwalają mężczyźnie działać. Nie biorą mu tego potem za złe: lubią go nawet potem. Ale sprawa sama jest dla nich niczym, jest im nawet trochę wstrętna. I większość mężczyzn lubi ten sposób obcowania. Ja go nienawidzę. Ale sprytne kobiety, kiedy są takie, udają, że takie nie są. Udają, że są namiętne i że przeżywają dreszcz. Ale to wszystko bałamucenie. Oszukują tylko. A potem są inne jeszcze<sup>77</sup>, które lubią wszystko, wszelki rodzaj uczucia i podniecania się i przybijania do portu, tylko nie naturalny. Zawsze potrafią osiągnąć, że człowieka chwyci, kiedy się nie jest w tym jedynym miejscu, w którym się być powinno, kiedy człowieka chwytą. Nie, nie! Nie chciałem mieć w ogóle do czynienia z kobietami. Chciałem pozostać sam, strzec swego spokoju i swojej przyzwoitości.

Był bardzo blady, czoło zasępiło mu się.

— I przykro ci było, kiedy ja przyszłam? — zapytała Connie.

— Było mi przykro, a jednak radowałem się.

— A teraz?

— Teraz jestem smutny, zewnątrznie: lękam się wszystkich tych zawikłań i brzydoty, i wyrzutów, które wcześniej czy później muszą nastąpić, i czuję się nędznie. Ale gdy krew wzbiera we mnie, wówczas raduję się. Czuję nawet triumf. Byłem już naprawdę zgorzkniały. Myślałem, że nie ma już zupełnie prawdziwego seksualizmu: że nie ma już

Seks, Kobieta, Mężczyzna

Rasizm

<sup>77</sup>A potem są inne jeszcze (...) strzec swego spokoju i swojej przyzwoitości. — w oryginale fragment ten jest obszerniejszy: „Then there’s the ones that love everything, every kind of feeling and cuddling and going off, every kind except the natural one. They always make you go off when you’re not in the only place you should be, when you go off.—Then there’s the hard sort, that are the devil to bring off at all, and bring themselves off, like my wife. They want to be the active party.—Then there’s the sort that’s just dead inside : but dead : and they know it. Then there’s the sort that puts you out before you really “come”, and go on writhing their loins till they bring themselves off against your thighs. But they’re mostly the Lesbian sort. It’s astonishing how Lesbian women are, consciously or unconsciously. Seems to me they’re nearly all Lesbian.”

’And do you mind?’ asked Connie.

’I could kill them. When I’m with a woman who’s really Lesbian, I fairly howl in my soul, wanting to kill her.’

’And what do you do?’

’Just go away as fast as I can.’

’But do you think Lesbian women any worse than homosexual men?’

’I do! Because I’ve suffered more from them. In the abstract, I’ve no idea. When I get with a Lesbian woman, whether she knows she’s one or not, I see red. No, no! But I wanted to have nothing to do with any woman any more. I wanted to keep to myself : keep my privacy and my decency.’” [przypis edytorski]

kobiety, która by to mogła w naturalny sposób przeżywać z mężczyzną; z wyjątkiem czarnych kobiet. Ale ostatecznie my jesteśmy przecież białymi mężczyznami, a one są troszeczkę jak błoto.

— A teraz? Czy teraz jesteś rad ze mnie?

— Tak! Kiedy mogę zapomnieć o wszystkim innym. Kiedy nie mogę o tym zapomnieć, najchętniej wślizgnę się pod stół, żeby tam umrzeć.

— Dlaczego pod stół?

— Dlaczego? — zaśmiał się — Schować się. Jak dziecko!

— Musiałeś mieć naprawdę okropne doświadczenia z kobietami — rzekła Connie.

— Widzisz, nie potrafiłem oszukiwać siebie. Większość mężczyzn w ten sposób sobie radzi. Stwarzają w sobie takie nastawienie i kontentują się kłamstwem. Ja nie potrafiłem siebie oszukiwać. Wiedziałem, czego chciałem w stosunku z kobietą, i nigdy nie umiałem sobie wmówić, że to osiągnąłem, jeżeli tak nie było.

— Ale teraz osiągnąłeś to?

— Tak mi się wydaje.

— Więc dlaczego jesteś taki blady i zasępiiony?

— Jestem napęczniały od wspomnień; i może lękam się siebie.

Connie siedziała w milczeniu. Zrobiło się późno.

— I sądzisz, że to rzecz ważna: mężczyzna i kobieta? — zapytała wreszcie.

— Dla mnie tak. Dla mnie jest to najistotniejszy rdzeń życia: mieć właściwy stosunek do kobiety.

— A jeżeli go nie osiągniesz?

— W takim razie musiałbym się bez tego obyć.

Connie zastanowiła się znowu, zanim zapytała:

— I uważasz, że zawsze zachowywałeś się we właściwy sposób wobec kobiet?

— Dalibóg, nie! Uczyniłem swoją żonę tym, czym została: w przeważnej części jest to mój błąd. Rozpieściłem ją. I jestem bardzo podejrzliwy. Na to musisz być przygotowana. Wiele potrzeba, abym komu wewnątrznie ufał. Więc może i ja jestem tylko oszustem. Jestem nieufny. Ale czułości niepodobna nie poznać.

Connie spojrzała na niego.

— Ciałem nie jesteś nieufny, kiedy w tobie krew wzbiera — rzekła. — Wtedy nie jesteś nieufny, prawda?

— Nie, niestety! W ten sposób popadłem we wszystkie kłopoty. I dlatego duch mój jest tak bardzo nieufny.

— Pozwól mu być nieufnym! Cóż to ma za znaczenie!

Pies westchnął boleśnie na dywaniku. Ogień, zduszony przez popiół, opadł.

— My dwoje jesteśmy parą starych weteranów — rzekła Connie.

— I ty jesteś weteranem? — zaśmiał się Mellors. — A teraz powracamy znowu w zgiełk bitwy!

— Tak! Lękam się naprawdę.

— Tak!

Wstał, odstawił jej buciki do wysuszenia, wytarł swoje i przystawił je do ognia. Rano postanowił je natrzeć tłuszczem. Odsunął jak mógł najdalej popiół kartonu.

— Nawet spalony jest jeszcze ohydny — rzekł.

Potem natupał suchych gałęzi i przygotował je na rano. Następnie wyszedł na chwilę z psem.

Kiedy powrócił, Connie rzekła:

— I ja wyjdę jeszcze na chwilę na powietrze.

Wyszła sama w ciemności. Ponad nią były gwiazdy. W powietrzu nocnym wyczuła zapach kwiatów i czuła, jak mokre jej buciki stawały się coraz bardziej mokre. Ale miała wrażenie, że najchętniej by odeszła, odeszła precz od niego i od wszystkich.

Było dotkliwie chłodno. Przejął ją dreszcz i powróciła do domu. Mellors siedział przed wygasłym ogniem.

— Uch! Zimno! — otrząsnęła się Connie.

Leśniczy dorzucił chrustu na ogień i przyniósł go więcej, aż na kominku zatrząskał wesoly płomień. Migoczące, chwiejące się żółte języki czyniły ich oboje szczęśliwymi, rozgrzewały ich twarze i dusze.

— Nie przejmuj się tym! — rzekła Connie, ujmując za rękę Mellorsa, który siedział w milczeniu, daleki od niej. — Robi się, co można.

— Tak!

Westchnął z krzywym uśmiechem.

Connie przysunęła się do niego i wtuliła się w jego ramiona, kiedy tak siedział przy ogniu.

— Więc zapomnij! — szepnęła. — Zapomnij!

Przycisnął ją mocno w budzącym dreszcz ciepłe ognia. Płomienie same były jak zapomnienie. A jej miękki, gorący, dojrzały ciężar! Z wolna krew jego zmieniła kierunek i poczęła się cofać z mocą i nieustraszoną siłą życiową.

— I może kobiety chciały naprawdę być przy tobie i kochać cię prawdziwie, a tylko nie umiały. Może nie wszystko było ich winą.

— Wiem o tym. Czy sądzisz, że nie wiem, jakim byłem biednym bydlątkiem, któremu przetrącono kręgosłup?

Przytuliła się nagle do niego. Naprawdę nie chciała zacząć mówić o tym wszystkim, ale jakiś opaczny upór pchał ją do tego.

— Ale teraz nim nie jesteś — rzekła. — Teraz nie jesteś biednym bydlątkiem, któremu przetrącono kręgosłup.

— Nie wiem, czym jestem. Nadejdą ciężkie dni.

— Nie! — zaoponowała Connie, tuląc się do niego. — Dlaczego? Dlaczego?

— Ciężkie dni nas czekają, nas i wszystkich — powtórzył Mellors z proroczym zaspianiem.

— Nie! Nie mów tego!

Leśniczy zamilkł. Ale Connie wyczuwała w nim ciężką pustkę rozpacz. Była to śmierć wszelkiego pożądania; śmiercią miłości była ta rozpacz, ziejąca w mężczyznach niby ponura jaskinia, ta rozpacz, w której zatracal się ich duch.

— Tak zimno mówisz o sprawach płci — rzekła. — Mówisz tak, jak gdybyś pragnął tylko własnej przyjemności i własnego zaspokojenia.

Nerwowo buntowała się przeciwko niemu.

— Nie — odpowiedział leśniczy. — Chciałem mieć przyjemność i zaspokojenie od kobiety, ale nigdy go nie miałem, ponieważ nigdy nie chciałem osiągnąć swojej przyjemności i zaspokojenia, jeżeli i ona nie otrzymywała ich jednocześnie ode mnie. A to się nigdy nie udawało. Do tego trzeba dwojga.

— Ale nigdy nie wierzyles w swoje kobiety. Nie wierzysz nawet naprawdę we mnie — rzekła Connie.

— Nie wiem, co to znaczy wierzyć w kobietę.

— O to właśnie idzie, widzisz!

Ciągle jeszcze siedziała przytulona do jego kolan. Ale jego duch był szary, nieobecny, daleki, nie istniał dla niej. A wszystko, co mówiła, odpędzało go jeszcze dalej.

— Ale w co ty właściwie wierzysz? — nastawała Connie.

— Nie wiem.

— W nic, jak wszyscy mężczyźni, których kiedykolwiek znałam.

Zamilkli oboje. Potem on ocknął się nagle i rzekł:

— Tak, wierzę w coś. Wierzę w gorące serce. Szczególnie wierzę w gorące serce w miłości, w obłapienie z gorącym sercem. Wierzę, że gdyby mężczyźni potrafili spółkować z gorącym sercem, a kobiety z gorącym sercem to przyjmować, byłoby dobrze. Właśnie to obłapienie z zimnymi sercami jest po prostu śmiercią i obłędem.

— Ale ty ze mną nie spółkujesz z zimnym sercem — zaoponowała Connie.

— Nie chcę z tobą w ogóle spółkować. Serce moje jest teraz tak zimne, jak zimne kartofle.

— O! — zawołała Connie, całując go drwiąco. — Więc postarajmy się, żeby były *sautées*<sup>78</sup>.

Mellors roześmiał się i usiadł wyprostowany.

— To fakt! — rzekł. — Wszystko za odrobinę gorącego serca! Ale kobiety tego nie lubią. I ty tego w istocie nie lubisz. Chciałabys mieć dobre, ostre, przenikliwe obłapienie

Seks, Kobieta, Mężczyzna,  
Rozkosz

Wiara, Serce, Seks

<sup>78</sup>*sautées* (fr.) — smażone. [przypis edytorski]

z zimnym sercem, a potem udawać, jakby to wszystko był cukier. Gdzie twoja czułość dla mnie? Jesteś wobec mnie tak podejrzliwa, jak kot wobec psa. Powiadam ci, potrzeba dwojga, aby być choćby tylko czułymi, aby mieć gorące serca. Oblapianie przypadłoby ci do smaku, aby można je było nazwać czymś wielkim, tajemniczym, jedynie by schlebić znaczeniu twojej osoby. Oznacza ono dla ciebie więcej, pięćdziesiąt razy więcej niż jakikolwiek mężczyzna albo przebywanie z mężczyzną.

— To samo właśnie mogłabym powiedzieć o tobie. Znaczenie twojej osoby jest dla ciebie wszystkim.

— Tak? Więc doskonale! — rzekł Mellors, wykonując ruch, jakby chciał wstać. — Więc trzymajmy się lepiej z dala od siebie. Wolalbym raczej umrzeć niż jeszcze raz spółkować z zimnym sercem.

Connie odsunęła się od niego, a on wstał.

— A sądzisz, że ja tego chcę? — zapytała.

— Spodziewam się, że nie — odpowiedział leśniczy. — W każdym jednak razie połóż się do łóżka, a ja będę spał tu na dole.

Spojrzała na niego. Był blady, twarz miał zgorzkniałą. Taki był daleki w tym cofnięciu się, jak zimny biegun. Mężczyźni byli wszyscy jednakowi.

— Nie mogę wracać do domu, przed rankiem nie mogę wracać.

— Nie, połóż się do łóżka. Jest trzy na pierwszą.

— Tego na pewno nie zrobię.

Mellors podszedł do ognia i wziął buty.

— W takim razie ja wyjdę — rzekł.

Zaczął wkładać buty. Connie wpatrywała się w niego.

— Czekaj! — wybełkotała. — Czekaj! Co między nami zaszło?

Mellors siedział pochylony, zawiązując sznurowadła, i nie odpowiadał. Chwile mijają. Ogarnęło ją otepienie, niemal omdlenie. Cała jej świadomość zamarła. Stała z szeroko rozwartymi oczyma i spoglądała na niego z nieznanej dali i nic już w ogóle nie wiedziała.

Pod wpływem tej ciszy leśniczy podniósł wzrok i ujrzał Connie, stojącą z rozwartymi oczyma i nieprzytomną. I jakby wicher go pognał, podniósł się i pokuszył do niej, z jedną nogą obutą, drugą jeszcze nie i ujął ją w ramiona, przycisnął do ciała, które wydawało mu się na wskroś obolałe. I tak ją trzymał, i tak ona trwała w jego objęciu.

Aż jego ręce po omacku sięgnęły w dół, by ją poczuć, i wyczuły pod ubraniem, gdzie była gładka i ciepła.

— Moja dziucho! — mruknął. — Moja mała! Niy walczmy z sobom! Niy przizwolmy nigdy, bychmy mieli z sobom walczyć! Przaja cie i twój dotyk. Niy wadz sie zy mnom! Niy wadz sie! Niy! Bydźmy razem.

Podniosła twarz i spojrzała na niego.

— Nie denerwuj się — powiedziała stanowczo. — Nie ma sensu się denerwować. Czy naprawdę chcesz być ze mną?

Spojrzała mu w twarz szeroko otwartymi, spokojnymi oczami. Zatrzymał się i nagle znieruchomiał, odwracając twarz na bok. Całe jego ciało znieruchomiło, ale nie wycofało się.

Potem podniósł głowę i spojrzał jej w oczy, z tym swoim dziwnym, lekko kpiącym uśmiechem, mówiąc:

— Ja! Bydźmy razem pod przysięgą.

— Ale naprawdę? — powiedziała, a jej oczy napęłniły się łzami.

— Naprowda! Z rynkom na sercu, brzuchu i kuśce.

Wciąż uśmiechał się lekko do niej, z ironią w oczach, z nutką goryczy.

Cicho szlochała, a on położył się obok na kocu przy palenisku i dopiero gdy wszedł w nią, odzyskali nieco spokoju. A potem szybko poszli spać, bo robiło się coraz chłodniej, a oni byli już zmęczeni. Wtulila się w niego, czując się mała, zwinęta w kłębek, i oboje zasnęli szybko, jednym snem. I tak leżeli bez ruchu, aż słońce wzeszło nad lasem i zaczął się dzień.

Wreszcie obudził się i spojrzał na światło. Zasłony były zaciągnięte. Słuchał głośniego, dzikiego nawoływania kosów i drozdów w lesie. Był wspaniały poranek, około wpół do piątej, jego pora wstawania. Spał tak szybko! To był zupełnie nowy dzień! Kobieta wciąż

spała skulona i delikatna. Położył na niej dłoń, a ona otworzyła błękitne, zdziwione oczy, uśmiechając się bezwiednie do niego.

— Obudziłeś się? — powiedziała do niego.

Patrzył w jej oczy. Uśmiechnął się i pocałował ją. I nagle ocknęła się i usiadła.

— Cieszę się, że tu jestem! — powiedziała.

Rozejrzała się po bielonych ścianach małej sypialni ze spadzistym sufitem i szczytowym oknem, w którym zasunięte były białe zasłony. Pokój był pusty, z wyjątkiem małej, pomalowanej na żółto komody i krzesła, a także małego, białego łóżka, w którym leżała z nim.

— Pomyśleć tylko, że tu jesteście! — powiedziała, patrząc na niego z góry. Leżał i patrzył na nią, głaszcząc palcami jej piersi pod cienką nocną koszulą. Kiedy był ciepły i wypogodzony, wyglądał młodo i przystojnie. Jego oczy potrafiły być takie ciepłe. A ona była świeża i młoda jak kwiat.

— Chcę to zdjąć! — powiedział, zgarniając jej cienką batystową sukienkę nocną i ściągając ją przez głowę. Siedziała z gołymi ramionami i zwisającymi piersiami o lekko złotym kolorze. Uwielbiał sprawiać, że jej piersi kołysały się miękko jak dzwoneczki.

— Ty też musisz zdjąć piżamę — powiedziała.

— Oj, niy!

— Tak, tak! — rozkazała.

Więc zdjął starą, bawełnianą kurtkę piżamową i zsunął spodnie. Oprócz rąk, nadgarstków, twarzy i szyi był biały jak mleko, miał delikatne, smukłe, muskularne ciało. Nagle znów wydał się Connie przeszywająco piękny, tak jak wtedy, gdy widziała go tamtego popołudnia, jak się mył.

Złote promienie słońca dotykały zaciągniętych białych zasłon. Poczuli, że chcą wejść do środka.

— Och, odsłońmy zasłony! Ptaki tak śpiewają! Wpuśćmy słońce — powiedziała.

Zsunął się z łóżka tyłem do niej, nagi, biały i szczupły, i podszedł do okna, pochylił się nieco, rozsunał zasłony i wyjrzał na chwilę. Jego plecy były białe i gładkie, małe pośladki piękne, z widoczną wykwintną, delikatną męskością, tył szyi rumiany i delikatny, a jednocześnie silny.

W tym delikatnym, drobnym chłopcu była wewnętrzna, a nie zewnętrzna siła.

— Ale jesteście piękni! — powiedziała. — Taki czysty i piękny! Chodź! — Wyciągnęła ręce.

Wstydził się odwrócić do niej, bo jego nagość zdradzała podniecenie.

Chwycił swoją koszulę z podłogi i przytrzymał, zasłaniając się, kiedy podchodził do niej.

— Nie! — powiedziała, wciąż wyciągając swoje piękne, szczupłe ramiona i pozwalając opaść piersiom. — Pozwól mi cię zobaczyć!

Upuścił koszulę i stał nieruchomo, patrząc w jej stronę. Przez niskie okno słońce wysyłało promienie, które oświetlały jego uda i szczupły brzuch, a wyprostowany fallus unosił się, ciemny i gorący, z małej chmury wyrazistych, złoto-rudych włosów. Była zaskoczona i przestraszona.

— Jak dziwnie! — powiedziała powoli. — Jak dziwnie on tam stoi! Taki wielki! I taki ciemny i pewny siebie! Czy on taki jest?

Mężczyzna spojrzął w dół na przód swojego smukłego, białego ciała i roześmiał się. Pomiędzy szczupłymi piersiami włosy były ciemne, prawie czarne. Ale u nasady brzucha, gdzie fallus wznosił się gruby i wygięty, były złoto-czerwona, jaskrawa, mała chmura.

— Taki dumny! — mruknęła zaniepokojona. — I taki władczy! Teraz wiem, dlaczego mężczyźni są tacy apodyktyczni! Ale on jest naprawdę uroczy. Jak osobna istota! Trochę przerażający! Ale naprawdę uroczy! I przychodzi do mnie! — Złapała dolną wargę zębami ze strachu i podniecenia.

Mężczyzna patrzył w milczeniu na naprężonego fallusa, który się nie zmieniał.

— Aj! — powiedział w końcu cichym głosem. — Aj, synku! Je ci tam do kna dobrze. Ej, gowa do gory! Je żeś tam u siebie, co? I niy rachujesz się z żodnym! Nic mie to niy łobchodzi, Johnie Thomasie. Je żeś szefym? Mojim? Coż, je żeś barzij pyszny lody mie i mynij godosz. John Thomas! Chcesz jeji? Chcesz mojej Lady Jane? Zanurz mie zaś, dalij. Aj, i dźwigo się z uśmieychym No toż spytej ja! Spytej Lady Jane! Mow: Dźwignijcie

w góra wrot, by móg wchodów król chwoły. Aj, co za frechowność! Cipa. Ło to ci chodzi. Powiydz Lady Jane, iże chca cipa. John Thomas i cipa Lady Jane!

— Och, nie drażnij go — powiedziała Connie, czołgając się na kolanach po łóżku w jego kierunku. Objęła ramionami jego białe, smukłe biodra i przyciągnęła go do siebie tak, że jej kołyszące się piersi dotykały czubka poruszającego się, wyprostowanego fallusa i złapały kroplę jego wilgoci. Mocno trzymała mężczyznę.

— Połóż się! — powiedział. — Połóż się! Pozwól mi przyjść!

Spieszył się teraz.

A potem, gdy już byli zupełnie nieruchomi, kobieta musiała ponownie odkryć mężczyznę, aby przyjrzeć się tajemnicy fallusa.

— A teraz jest malutki i miękki jak pączek życia! — powiedziała, biorąc miękkiego małego penisa w dłoń. — Czyż on nie jest w jakiś sposób uroczy! Tak samotny, tak dziwny! I tak niewinny! I tak głęboko we mnie wchodzi! Nigdy nie wolno ci go obrażać, wiesz? On też jest mój. Nie jest tylko twój. Jest mój! Tak uroczy i niewinny! — I trzymała miękkiego penisa w dłoni.

Roześmiał się.

— Błogosławiona niech będzie więź, która łączy nasze serca w pokrewnej miłości — powiedział.

— Oczywiście! — odrzekła. — Nawet gdy jest miękki i mały, czuję, że moje serce jest do niego po prostu przywiązane. A jakie piękne masz tu włosy! Całkiem, całkiem inne!

— To włosy Johna Thomasa, nie moje — stwierdził.

— John Thomas! John Thomas! — i szybko pocałowała miękkiego penisa, który znów zaczynał się poruszać.

— Aj! — powiedział mężczyzna, rozciągając ciało niemal boleśnie. — Ten dżentelmen ma swoje korzenie w mojej duszy! I czasami nie wiem, co z nim zrobić. Aj, on ma swoją własną wolę i trudno mu dogodzić. A jednak nie chciałbym, żeby go zabito.

— Nic dziwnego, że mężczyźni zawsze się go bali! — powiedziała — Jest raczej okropny.

Drżenie przechodziło przez ciało mężczyzny, gdy strumień świadomości znów zmienił kierunek, kierując się w dół. I był bezradny, gdy penis w powolnych, miękkich falowaniach napęlił się, wzniosł, nabrzmiął i stwardniał, stanął twardy, nadmiernie wystający, w swoim osobliwym, wyniosłym stylu. Kobieta również lekko drżała, gdy patrzyła na to.

— Weź go więc! Jest twój! — powiedział mężczyzna.

Zadrzała, a jej własny umysł się roztopił. Ostre, miękkie fale niewypowiedzianej przyjemności zalały ją, gdy w nią wszedł, i zapoczątkowały osobliwe, roztopione dreszcze, które rozprzestrzeniały się i rozprzestrzeniały, aż została porwana przez ostatni, ślepy, ostateczny przypływ.

Usłyszał odległe syreny Stacks Gate o godzinie siódmej. Był poniedziałkowy poranek. Zadrzał lekko, leżąc z twarzą między jej miękkimi piersiami. Przycisnął je do uszu, żeby zagłuszyć ten dźwięk.

Ale ona nie słyszała wcale gwizdków parowych. Leżała zupełnie cicho, z przejrzystą jasnością w duszy.

— Musisz już wstać! Prowda? — mruknął leśniczy.

— Która godzina? — zabrzmiał jej bezbarwny głos.

— Piskało siedym, niedowno.

— Myślę, że muszę chyba wstać.

Jak zwykle, rozdrażniał ją przymus zewnętrzny.

Mellors usiadł i bez wyrazu wyglądał przez okno.

— Słuchaj, prawda, że mnie kochasz? — zapytała Connie spokojnie.

Spojrzał na nią.

— Wiesz przeca, co wiesz. Po co się pytasz? — rzekł trochę niecierpliwie.

— Chcę, żebyś mnie zatrzymał, nie pozwolił mi odejść — rzekła Connie.

Oczy jego wydawały się pełne jakiegoś gorącego, łagodnego mroku, który nie umiał myśleć.

— Kiej? Terozki?

— Teraz, w twoim sercu. A wówczas przyjdę i pozostanę z tobą na zawsze, niedługo.

Siedział nagi na łóżku, opuściwszy głowę, niezdolny do myślenia.

— Nie chcesz tego? — zapytała.

— Dyc! — odpowiedział.

Potem spojrział tymi samymi oczyma, ale zamroczonymi innym ogniem świadomości, niemal jak ze snu.

— Nie pytej się mnie teraz, bo nic — rzekł. — Łostow mnie. Lubia cie. Przaja cie, kedy tam leżysz. Łostow mnie. Lubia cie. Przaja cie, kedy tam leżysz. Kobiyta je czymś szumnym, kedy pieprzi się ja głymboko i cipa je dobro. Przaja cie, twoje nogi i twój kształt i twoja kobiecość. Przaja twoja kobiecość. Przaja cie mojim ciałym i sercym. Ale niy pytej się mnie teraz. Niy koż mi nic godać. Przizwól mi się zastawić, tak jak je żech, jeżeli moga. Możesz mi pytać ło wszystko niyskorzij. Teraz przizwól mi być, przizwól mi być!

I delikatnie położył dłoń na jej wzdórku Wenus, na miękkich brązowych włosach dziewiczych, a sam usiadł nieruchomo na łóżku, nagi, z twarzą nieruchomą, w fizycznym oddaleniu, prawie jak twarz Buddy. Bez ruchu, w niewidzialnym płomieniu innej świadomości, siedział z ręką na niej i czekał na jakiś zwrot w sobie.

Po chwili sięgnął po koszulę i założył ją, ubrał się szybko w milczeniu, spojrzął na nią jeszcze raz, gdy wciąż leżała na łóżku naga i lekko złocista jak róża Gloire de Dijon, i odszedł. Usłyszała, jak otwiera drzwi na dole. I wciąż leżała, rozmyślając, rozmyślając. Bardzo trudno było jej odejść: wyjść z jego ramion. Zawołał z podnóża schodów:

— Pół do ósmej!

Connie westchnęła i wyszła z łóżka. Goły, mały pokój! Nic poza wąską komodą i niezbyt szerokim łóżkiem. Ale podłoga z desek była czysto wyszorowa. A w kącie pod oknem stała półka z książkami, z których kilka pochodziło z wypożyczalni. Obejrzała je. Były tam książki o Rosji bolszewickiej, opisy podróży, dzieło o atomach i elektronach, inne o składzie wnętrza Ziemi i przyczynach trzęsień; dalej kilka powieści i trzy książki o Indiach. Tak! Więc ostatecznie nawet książki czytywał.

Przez niskie okno padało słońce na jej nagie członki. Przed domem widziała wałęsającą się sukę Flossie. Gęstwina leszczynowa otoczona była zielenią, a niżej stał ciemnozielony szczyr. Był jasny, czysty ranek, ptaki fruwały i śpiewały triumfalnie. Gdyby mogła tu pozostać! Gdyby nie było tego innego, przeraźliwego świata dymu i żelaza! Gdyby tylko on tworzył jej świat!

Zeszła na dół, po stromych, wąskich schodach drewnianych. Zadowolilaby się tym małym domkiem, gdyby stał tylko we własnym świecie.

Leśniczy był umyty i rzeński, a ogień palił się.

— Chcesz coś zjeść? — zapytał.

— Nie! Daj mi tylko grzebień!

Poszła za nim do kuchni i uczesała się przed wąskim lusterkiem obok tylnych drzwi. Była gotowa do wyjścia.

Stała w małym ogródku przed domem i spoglądała na zroszone kwiaty, na srebrnoszarą grządkę gwoździków, puszczających już pąki.

— Pragnęłabym, aby cały pozostały świat zniknął — rzekła — i chciałabym żyć tutaj z tobą.

— Nie zniknie — odpowiedział leśniczy.

Szli w zupełnym niemal milczeniu przez czarowny, odkryty rosą las. Ale byli przy sobie w swoim własnym świecie.

Gorzka to była rzecz dla Connie powracać do Wragby.

— Chciałabym przyjść niebawem do ciebie i żyć zupełnie z tobą — powiedziała, opuszczając go.

Uśmiechnął się bez odpowiedzi.

Cicho, niedostrzeżona dostała się do domu i weszła do swego pokoju.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Przy śniadaniu na stoliku leżał list od Hildy.

„Ojciec jedzie w tym tygodniu do Londynu, wstąpię po Ciebie w przyszły czwartek, 17 czerwca. Musisz być gotowa, żebyśmy mogły zaraz odjechać. Nie chcę trwonić czasu we Wragby. Ohydne to miejsce. Prawdopodobnie zostanę



na noc w Retford u Colemanów, więc w czwartek będę u ciebie na obiedzie. Po południu mogłybyśmy wyruszyć i może przenocujemy w Grantham. Nie ma sensu, żebyśmy spędzały wieczór z Cliffordem. Jeżeli twój wyjazd jest mu niemiły, i to nie byłoby mu przyjemne”.

Tak! Znowu przesunięto ją na szachownicy.

Clifford nie mógł znieść myśli o jej wyjeździe, ale tylko dlatego, że pod jej nieobecność czuł się niepewny. Obecność jej z niewyjaśnionych powodów dawała mu przy jego obecnych zajęciach poczucie pewności siebie i swobody. Spędzał wiele czasu w kopalni i w duchu zmagał się z beznadziejnymi niemal problemami, jak w najbardziej ekonomiczny sposób wydobywać swój węgiel i w najbardziej ekonomiczny sposób go sprzedawać. Wiedział, że musi znaleźć jakąś drogę, aby go *zużytkować* albo przetworzyć, aby nie musiał sprzedawać samego węgla i złościć się, że go sprzedać nie może. Ale gdyby produkował energię elektryczną, czy potrafi ją sprzedawać lub zużytkować? Zaś przetwarzanie na płynne paliwo było dotychczas zbyt jeszcze kosztowne i zbyt skomplikowane. Aby utrzymać przemysł przy życiu, trzeba było jeszcze więcej przemysłu — prawdziwy obłąd.

Był to obłąd i trzeba było obłąkanego, aby mu się to powiodło. Doskonale, przecież on był trochę obłąkany. Tak myślała Connie. Właśnie jego zapal i jego przebiegłość we wszystkim, co dotyczyło kopalni, wydawały się przejawami obłądu. Nawet pomysły jego sprawiały wrażenie pomysłów obłąkanego.

Opowiadał jej o wszystkich swoich poważnych planach, a Connie słuchała z pewnego rodzaju podziwem i pozwalała mu mówić. Potem potok słów opadał i Clifford włączał głośnik radiowy, zapadając w pustkę, podczas gdy plany jego najwidoczniej kłębiły się w nim dalej niby zły koszmar.

I co wieczór grywał z panią Bolton w *pontoon*, grę żołnierzy z okopów, grywał o sześciopensówki. Przy hazardzie ogarnięty był również pewnego rodzaju nieprzytomnością, pustym oszołomieniem czy też oszołomieniem pustki, cokolwiek to było. Connie nie mogła znieść jego widoku w tym stanie. Ale kiedy się kładła spać, on i pani Bolton hazardowali się dalej do drugiej lub trzeciej nad ranem, bez przeszkód i z jakimś dziwnym zapalem. Pani Bolton ogarnięta była tym zapalem tak samo jak Clifford. Tym bardziej, że prawie zawsze przegrywała.

Pewnego dnia rzekła do Connie:

— Przegrałam wczoraj wieczór do Sir Clifforda dwadzieścia trzy szylingi.

— I przyjął od pani pieniądze? — zapytała Connie przerażona.

— Ależ oczywiście, proszę jaśnie pani! Dług honorowy!

Connie robiła im bez ogródek wyrzuty i pokłóciła się z obojgiem. Skutek był ten, że Clifford podwyższył pensję pani Bolton o sto funtów rocznie, aby się mogła tymi pieniędzmi hazardować. Tymczasem Connie miała wrażenie, że Clifford obumiera coraz bardziej.

Powiedziała mu wreszcie, że zamierza siedemnastego wyjechać.

— Siedemnastego! — zawołał Clifford. — A kiedy powrócisz?

— Najpóźniej dwudziestego lipca.

— Tak! Dwudziestego lipca.

Spojrzał na nią obcym, pustym wzrokiem, z nieokreślonym wyrazem dziecka, ale z dziwnie pustą przebiegłością starego człowieka.

— Nie opuścisz mnie teraz, prawda? — zapytał.

— Jak to rozumiesz?

— Kiedy odjedziesz. Mam na myśli, że powrócisz na pewno?

— Jestem niezłomnie przekonana, że powrócę.

— Tak! Dobrze! Dwudziestego lipca!

Spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

A jednak pragnął naprawdę, aby wyjechała. Takie to było osobliwe. Pragnął, aby wyjechała, dosłownie; i żeby przeżyła swoją małą przygodę miłosną i może żeby powróciła w ciąży i tak dalej. A jednocześnie lękał się jej wyjazdu.

Connie drżała z niecierpliwości i łaknęła prawdziwej okazji, aby go zupełnie porzucić, czekała na chwilę, kiedy i on, i ona będą do tego dojrzały.

Siedziała, rozmawiając z leśniczym o swojej podróży.

— A potem, kiedy powrócę — rzekła — mogę powiedzieć Cliffordowi, że muszę go opuścić. I będziemy wtedy mogli wyjechać. Nikt nie musi wiedzieć, że to o ciebie idzie. Możemy wyjechać do innego kraju, prawda? Do Afryki albo do Australii. Dobrze?

Była podniecona swoim planem.

— Nie byłaś nigdy w koloniach? — zapytał Mellors.

— Nie! A ty?

— Byłem w Indiach, w Afryce Południowej i w Egipcie.

— Dlaczego nie mielibyśmy pojechać do Afryki Południowej?

— Moglibyśmy! — rzekł leśniczy wolno.

— Może nie chcesz?

— Mnie wszystko jedno. Mnie zupełnie wszystko jedno, co robię.

— Nie uszczęśliwia cię to? Dlaczego? Nie będziemy biedni. Mam około sześciuset funtów rocznie. Pisałam i dowiedziałam się. Nie jest to wiele, ale wystarczy, prawda?

— Dla mnie to majątek.

— O, jak dobrze nam będzie!

— Ale powinienem się rozwieść. I ty także, jeżeli chcemy uniknąć zawikłań.

Dość było spraw do przemyślenia.

Kiedy indziej wypytywała go o niego samego. Siedzieli w szalase, na dworze szalała burza.

— I czuleś się szczęśliwy, kiedy byłeś porucznikiem, oficerem, gentlemanem?

— Szczęśliwy? Owszem. Lubilem bardzo swojego pułkownika.

— Kochałeś go?

— Tak! Kochałem go.

— A on ciebie kochał?

— Tak! W pewnym sensie kochał mnie.

— Opowiedz mi o nim.

— Cóż tu można opowiedzieć? Doszedł do swego stopnia od zwykłego żołnierza. Kochał wojsko. I nigdy się nie ożenił. Był o dwadzieścia lat starszy ode mnie, był bardzo inteligentnym człowiekiem, a w wojsku żył w odosobnieniu, jak to zwykle taki człowiek. Namiętny człowiek w swoim rodzaju i bardzo dzielny oficer. Gdy byłem z nim, żyłem pod jego urokiem. Pozwalałem mu, że tak powiem, kierować swoim życiem, i nigdy tego nie żałowałem.

— Czy bardzo byłeś przejęty, kiedy umarł?

— Ja sam byłem prawie tak samo bliski śmierci. A kiedy potem wyzdrowiałem, wiedziałem, że znowu straciłem część swojej istoty. Ale wiedziałem też zawsze, że to się skończy śmiercią. Wszystko, co nas dotyczy, tak się kończy.

Connie siedziała i zastanawiała się. Na dworze huknął grzmot. Byli niby w małej arce podczas potopu.

— Wiele rzeczy masz widocznie za sobą — rzekła Connie.

— Tak? Zdaje mi się czasami, jakbym już raz albo dwa razy umarł. Ale oto jestem tutaj i działam dalej i znowu sobie roztrzaskam czaszkę.

Connie zastanawiała się z wytyżeniem, ale jednocześnie nadśluchiwała burzy.

— I nie byłeś szczęśliwy jako oficer i gentleman, kiedy twój pułkownik umarł?

— Nie! Była to wstrętna hałastrą. — Roześmiał się nagle. — Pułkownik mawiał: Mój chłopcze, angielski stan średni musi każdy kęs trzy razy przeżuwać, bo ma tak ciasne kiszki. Kawałek wielkości grochu spowodowałby już zatkanie. Jest to najplugawsza zgraja pretensjonalnych szpaków, jaką kiedykolwiek wynaleziono. Bezgranicznie zarozumiali, przerażeni, kiedy rzemyk u ich trzewika nie jest w porządku, cuchnący dziczyzną jak za stara zwierzyna. I zawsze mają rację. Nie mogą tego wytrzymać. Wieczne kłanianie się i lizanie tyłka: a przy tym zawsze mają rację. Zarozumiałe bałwany. Bałwany! Pokolenie zniewieściałych bałwanów z połową jaja każdy.

Connie roześmiała się. Deszcz lał strumieniami.

— Nienawidził ich!

— Nie — odpowiedział Mellors. — Nie troszczył się o nich. Po prostu nie znosił ich. To coś innego. Bo, jak powiadał, nawet żołnierze stają się dzisiaj takimi samymi bałwanami i półmężczyznami, i żarłokami o ciasnych kiszkach. Taki jest los ludzkości.

— Więc i zwyczajni ludzie także, robotnicy?  
— Wszyscy. Zapal w nich umarł. Automobile, kina i aeroplany wysysają z nich resztki żądz życia. Powiadam ci, że każde pokolenie płodzi coraz bardziej królicze pokolenie, z gumowymi rurkami i blaszanymi nogami, i blaszanymi twarzami. Blasznani ludzie! Wszystko to jest uporczywym rodzajem bolszewizmu, który po prostu zabija wszystko, co ludzkie, a czci wszystko, co mechaniczne. Pieniądz, pieniądz, pieniądz! Cała ta nowoczesna hałastrza czerpie zapal z zabijania w człowieku wszelkich uczuć ludzkich i z siekania na kawałki starego Adama i starej Ewy. Wszyscy są jednakowi. Cały świat posłuszny jest temu samemu hasłu: morduj rzeczywistość człowieczą, suwerena za każdy napletek, dwa suwereny za każdą parę jąder! Po co srom do maszynowego obłapiania! Zawsze to samo. Daj im pieniądze, a obetną światu penisa. Daj im pieniądze, pieniądze, pieniądze, a obedną ludzkość z całej energii i pozostaną tylko małe, wirujące maszyny!

Siedział w szalasi z twarzą skrzywioną w szyderczej ironii. Ale i teraz miał niejako jedno ucho nastawione i nasłuchiwał burzy nad lasem. Darzyła go uczuciem samotności.

— Ale czy to się nigdy nie skończy? — zapytała Connie.

— Tak, naturalnie. Sprowadzi to samo swój ratunek. Kiedy ostatni człowiek zostanie zabity, kiedy wszyscy staną się potulni: biali, czarni, żółci, potulni ludzie we wszystkich barwach: wtedy poszaleją wszyscy. Bowiem korzeń wszelkiego zdrowego rozumu tkwi w jądrach. Wtedy poszaleją wszyscy i urzędzą swoje wielkie *auto-da-fé*<sup>79</sup>. Wiesz przecież, *auto-da-fé* znaczy *akt wiary*? No tak, urzędzą swój wspaniały, mały akt wiary. Jeden drugiego złożą w ofierze.

— Chcesz powiedzieć, że jeden drugiego pozabijają?

— Tak, kochanie! Jeśli będziemy kroczyli dalej w dotychczasowym tempie, za sto lat nie będzie na tej wyspie dziesięciu tysięcy ludzi. Może nawet dziesięciu nie będzie. Z rozkoszą wytrzebią się wzajemnie.

Grzmot zahuczał teraz dalej.

— Jakie to cudowne! — rzekła Connie.

— Niezmiernie cudowne! Pomyśleć o wytrzebieniu gatunku ludzkiego i o długiej pauzie, jaka potem nastąpi, zanim się zjawi nowy gatunek: to człowieka uspokaja bardziej niż cokolwiek innego. A jeśli tak dalej pójdzie, że wszyscy, inteligencja, artyści, rządy, przemysłowcy i robotnicy, wszyscy w obłędzie zabijają ostatnią odrobinę ludzkiego uczucia, ostatnią odrobinę swojej intuicji, ostatnią resztkę zdrowego instynktu, jeżeli to, co się teraz dzieje, będzie rosło w postępie algebraicznym: w takim razie żegnaj, gatunku ludzki! Bywaj zdrów, kochaneczku! Wąż polyka siebie samego i pozostawia pustkę, porządnie zapaskudzoną, ale nie beznadziejną. Niezmiernie cudowne! Kiedy dzikie psy wyją we Wragby, a dzikie koniki kopalniane wierzgają na hałdach Tevershall! *Te deum laudamus!*<sup>80</sup>

Connie roześmiała się, ale niezbyt wesoło.

— Powinieneś się więc cieszyć, że oni wszyscy są bolszewikami — rzekła. — Powinieneś się cieszyć, że wszyscy pędzą ku zgubie.

— I cieszę się też. Nie zatrzymuję ich. Nie mógłbym zresztą, nawet gdybym chciał.

— Więc dlaczego jesteś taki rozgoryczony?

— Nie jestem! Choćby mój kogut piał po raz ostatni, mnie wszystko jedno.

— Ale gdybyś miał dziecko?

Mellors spuścił głowę.

— Tak — rzekł wreszcie. — Wydaje mi się rzeczą bardzo złą i gorzką wydawać dziecko na ten świat.

— Nie! Nie mów tego! Nie mów tego! — błagała Connie. — Zdaje mi się, że będę miała dziecko. Powiedz, że cię to będzie cieszyć.

Położyła rękę na jego rękę.

— Cieszę się, że ty się cieszysz — rzekł leśniczy. — Ale mnie się to wydaje ohydłą zdradą wobec nienarodzonej jeszcze istoty.

Maszyna, Upadek,  
Kondycja ludzka, Obraz  
świata

Dziecko

<sup>79</sup>*auto-da-fé* (z port. *auto-da-fé*: akt wiary) — końcowy etap procesu inkwizycyjnego polegający na publicznej deklaracji przyjęcia lub odrzucenia religii katolickiej przez osoby oskarżone o herezję, powrót do judaizmu, uprawianie czarów itp. Wyznaniu wiary towarzyszyła uroczystość zakończona spaleniem skazańców na stosie (wyrok był niezależny od treści deklaracji, choć tej wymagano). [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*Te deum laudamus* (łac.) — Ciebie Boga wychwalamy. [przypis edytorski]

— Ach, nie! — zawołała Connie przerażona. — W takim razie *nie możesz* mnie naprawdę pragnąć! *Nie moższ* mnie pragnąć, jeżeli tak czujesz!

Mellors milczał znowu. Twarz miał posępną. Na dworze słychać było tylko plusk deszczu.

— To wcale nieprawda! — szepnęła Connie. — To wcale nie prawda! Istnieje jeszcze inna prawda.

Czuła, że był teraz rozgoryczony, ponieważ chciała go celowo opuścić, ponieważ chciała jechać do Wenecji. I to ją niemal cieszyło.

— Powiedz, że pragniesz dziecka, że się go spodziewasz! — szepnęła, tuląc twarz do jego ciała. — Powiedz, że pragniesz!

— Nie wiem! — rzekł wreszcie, a Connie uczuła, jak dziwne drżenie zmiennej świadomości i odprężenia przeniknęło przez jego ciało. — Nie wiem, myślałem sobie nieraz, gdyby się tylko spróbowało, tutaj, pośród górników! Pracują teraz ciężko i zarabiają niewiele. Gdyby im kto powiedział: Nie myślcie jeny wiecznie o piniondach. Jeśli się łożchodzi ło to, cego nom *trza*, to *trza* nam niewiela. Nie żyjemy przeca jeny ło piniendzy... Terazki ech my som do tego zmuszyni. Jezechmy zmuszyni zarobić coś małowiela ło nos i cołko kupa ło panów. Ale z tym musimy roz skończyć. Poleku, polekutku musimy z tym skończyć. Nie *trza* nom sie tak uwijać i tropić sie. Poleku, polekutku musimy ciepnońć to usmolone życie przemysłowe i potem nazod. Zdziebko piniendzy styknie ło każdego, i ło mnie i ło ciebie, ło panów, ło włódców i jeszcze ło króla. Zdziebecko piniendzy doprowdy styknie. Łozwoż se to i zgódź sie na to, a wyzwolisz sie z tej cołkiej komedii!

Urwał, potem ciągnął dalej:

— I powia im: Dziwiejcie sie! Podziwiejcie sie na Zeffika! Jak łon sie fajnie ruszo! Podziwiejcie sie, jak łon chodzi, żywy i wspaniały! Piekny jest, fajnisty! A terazki podziwiejcie sie na Karlika! Grundzelok jest i szpetny, bo sie nigdy nie chciol łobudzić! Powia im: Dziwiejcie sie! Podziwiejcie sie na sia! Jedno ramiencko wyższe, a drugie niższe, krzywe gicole, a nożyska to jak szłapy u źwierzont! Coście sa to narobili bez ta przeklento robota? Zdarliście sie do imentu! To przeca nie *trza* tyła robić, komu sie to zdo? Se-blyczcie wasze łachy i podziwiejcie sie na sia! Mocie być żywi i szumni, a jezeście szpetni i same zdechloki. Tak, widzisz, byda do nich godol. I zmusza tych ludzi, coby nosili ink-sze łachy, można wonskie, krótkie galoty, zielonym łobszywane, i krótkie jakle skórzane z zielonymi klapami, jak to kiejs było we zwycaju. Zaś jak chłopcy bydom mieć piekne nożyska i bydom je pokazywać, to sie wszystko zaś przemieni, zanim sie miesionc skońcy. Wtynczos zaś zacnom być chłopami, prowdziwymi chłopami! A kobity sie bydom mogły łoblykoć, jak im sie żywnie bydzie podobało. Bo jak chłopcy zaś bydom chodzić z krótkimi galotami i z szykownymi zadkami, kiere bydom wyglondać spod kabatów, wtenczos zaś kobity bydom prowdziwymi kobitami. Chodzi ło to, że chłopcy nie som chłopami i ło tego kobity muszom być chłopami. A nieskorzej zburzyłbych naszo wioska i wybudowol zaś piekne chałupy, w kierych bydymy wszyjscy mieli miejsce. I wycyścilibychmy ziemia wokolutko. No i nie mielibychmy kupy dziecek, bo świat już jest przepelniony.

Ale nie prawilbych ludziom kozanio. Pościongołbych z śnich łoblecynie i pedziołbych im po prostu: Podziwiejcie sie na sia! To pochodzi łod tygo, że jeny robicie na piniondze. Wyście robieli ło piniendzy. Podziwiejcie sie na Tevershall, jako ta wioska jest szpetno. A to z kuli tego, że była stawiano, kiejeście robieli ło piniendzy. Podziwiejcie sie na wasze dziolchy! Nie cujom łone prowej miłości ku wom, ani wy ku nim nie cujecie prowej miłości. Bo bez cołkie życie robieliście jeny ło piniendzy i jeny na piniondach wom zależało. I nie poradzicie godać i nie poradzicie stoć, ani chodzić, ani żyć, nie poradzicie ani prowdziwie spać z dziolchom. Nie jezeście żywi! Podziwiejcie sie na sia!

Nastąpiła absolutna cisza. Connie na pół słuchała i wplotła mu we włosy u dołu brzucha kilka niezapominajek, które zebrała w drodze do chaty. Na zewnątrz świat znie-ruchomiał i zrobił się trochę lodowaty.

— Masz cztery rodzaje włosów — powiedziała mu. — Na piersi są prawie czarne, a na głowie nie są ciemne, ale twoje wąsy są twarde i ciemnorude, a twoje włosy tutaj, twoje włosy miłości, są jak mały krzak czerwonołotej jemioly. Są najpiękniejsze ze wszystkich!

Spojrzał w dół i zobaczył mleczne kawałki niezapominajek we włosach na pachwinie.

— Aj! Dobre miejsce, żeby włożyć niezapominajki, we włosy mężczyzny lub dziewczyny. Ale czy nie obchodzi cię przyszłość?

Spojrzała na niego.

— Och, ależ tak, okropnie! — powiedziała.

— Kiedy czuję, że los ludzkości jest przypieczętowany, że przypieczętowała go ona sama swoją plugawą ohydą, to mam wówczas wrażenie, że nawet kolonie nie są dość odległe. Księżyc nie byłby dość odległy. Gdyż i stamtąd można by się obejrzeć za siebie i ujrzeć ziemię, najbrudniejszą, najwstrętniejszą, najohydniejszą ze wszystkich gwiazd: zapaskudzoną przez ludzi. Mam wtedy takie uczucie, jakbym połknął żółć, i żre mi ona trzewia, a żadne miejsce nie jest dość odległe, aby od tego wszystkiego uciec. Ale gdy się mój nastrój zmienia, wówczas zapominam znowu o wszystkim. Chociaż hańbą jest to, co uczyniono ludziom w ciągu tych ostatnich stu lat. Mężczyzn pozamieniano w owady robocze i zabrano im całą męskość i całe ich rzeczywiste życie. Pragnąłbym wytrzebić ze świata maszyny i raz na zawsze zakończyć okres przemysłu niby posępny błąd. Ale że tego nie potrafię i nikt tego nie potrafi, lepiej, abym siedział cicho i próbował żyć własnym życiem: jeżeli mam po co żyć, w co bardzo wątpię.

Grzmoty ustały, ale deszcz, który zelżał, począł nagle siec znowu gwałtownie, z ostatnią słabą błyskawicą i pomrukiem oddalającej się burzy. Connie była zaniepokojona. Tak długo mówił. W istocie mówił do siebie, nie do niej. Zdawało się, że rozpacz opadła go zupełnie, podczas gdy ona czuła się szczęśliwa i nienawidziła rozpacz. Wiedziała, że w nastrój ten wprawił go jej odjazd od niego, który sobie teraz dopiero wewnętrznie uświadomił — i czuła trochę triumfu.

Otworzyła drzwi i wyjrzała w padający prostymi, ciężkimi sznurami deszcz, odgradzający ją od świata niby stalowa zasłona. I nagle uczuła pragnienie, by wybiec w deszcz i uciec. Wstała i poczęła szybko zdejmować pończochy, potem suknię i bieliznę, a on wstrzymał oddech. Jej śpiczaste, zwierzęce piersi poruszały się i drgały za każdym jej ruchem. W zielonkawym świetle ciało jej miało barwę kości słoniowej. Wsunęła nogi w pantofle i z dzikim, krótkim śmiechem wybiegła z szałasu, podając piersi ciężkiemu deszczowi. Z rozpostartymi ramionami biegła, niewyraźnie widoczna poprzez deszcz, biegła eurytmicznymi ruchami tanecznymi, których się przed tak dawnymi czasy nauczyła w Dreźnie. Jej dziwna, biała postać wyciągała się i kurczyła, schylała się, tak że deszcz trafiał jej pełne biodra i połyskiwał na nich, potem znowu wznosiła się, pędząc przez deszcz z wysuniętym brzuchem, i znowu się schylała, tak że tylko pełne uda i pośladek wystawione były na łup deszczu, jak gdyby w ofierze, jak gdyby dla zaznaczenia dzikiej czci.

Mellors skrzywił twarz w uśmiechu i zrzucił ubranie. Tego było za wiele! Wybiegł z szałasu, nagi i biały, z lekkim dreszczem, wybiegł na twardy, tnący deszcz. Flossie biegła przed nim z podnieconym, krótkim ujadaniem. Connie, której włosy lepiły się do głowy, odwróciła gorącą twarz i dostrzegła Mellorsa. Błękitne jej oczy zapłonęły podnieceniem, kiedy się obejrzała i szybko, dziwnymi, skaczącymi ruchami pobiegła przez polanę, wzdłuż ścieżki, smagana przez mokre gałęzie. Pędziła, a on nie widział nic, tylko okrągłą, mokrą głowę, mokre, pochylone w ucieczce plecy i zaokrąglony, połyskujący pośladek. Cudowna, skulona piękność kobieca w ucieczce.

Była już prawie w pełnym galopie, kiedy zbliżył się i zarzucił nagie ramię przez środek jej miękkiej, wilgotnej nagości. Wrzasnęła i wyprostowała się, a brzemię jej delikatnego, chłodnego ciała znalazło się przy jego ciele. Przycisnął ją do siebie, szaleńczo, owo miękkie naręcze chłodnego kobiecego ciała, które szybko, w kontakcie z jego, stało się ciepłe jak płomień. Deszcz lał się na nich strumieniami, aż dymili. Chwycił jej piękne, ciężkie pośladki po jednym w każdą dłoń i przycisnął je do siebie w szale, stojąc bez ruchu w deszczu i drżąc. Potem nagle podniósł ją i upadł z nią razem na ścieżkę, po czym w ryczącej ciszy deszczu krótko i ostro wziął ją, krótko i ostro skończył, jak zwierzę.

Zerwał się po chwili i otarł deszcz z oczu.

— Chodź — rzekł, a ona poczęła biec w stronę szałasu.

On biegł szybko, wyprostowany. Nie lubił deszczu. Ale ona zbliżała się wolniej, zrywając niezapominajki, jaskry i hiacynty leśne, potem biegła znowu kilka kroków i patrzyła za nim, jak oddalał się od niej.

Kiedy dysząc przybiegła do szalasu z kwiatami, on rozpalil już ogień, i chrust trzaskał. Śpiczaste jej piersi wznosiły się i opadały, włosy były zlepione od deszczu, twarz rozpalona, a całe ciało połyskiwało i ociekało wodą. Z szeroko rozwartymi oczyma, bez tchu, z małą, mokrą głową i pełnymi, ociekającymi, naiwnymi biodrami, wyglądała jak inna istota.

Mellors wziął stare prześcieradło i wytarł Connie, która stała przy tym jak dziecko. Potem wytarł siebie samego, zamknawszy najpierw drzwi szalasu. Ogień buchnął płomieniem. Connie owinęła głowę w drugi koniec prześcieradła i wycierała mokre włosy.

— Wycieramy się tym samym ręcznikiem — rzekł leśniczy — to oznacza kłótnię!

Connie spojrzała na niego, z włosami w dzikim nieładzie.

— Nie! — odpowiedziała z rozszerzonymi oczyma. — To nie ręcznik, to prześcieradło.

I poczęła znowu mocno trzeć głowę, podczas gdy on suszył własne włosy.

Ciągle jeszcze dysząc z wysiłku, każde owinięte w wojskowy koc, ale odsłoniwszy przednie części ciała przed ogniem, siedzieli obok siebie na drewnianej ławce przed buchającymi płomieniami, aby się uspokoić. Uczucie koca na skórze było dla Connie niemiłe, ale prześcieradło przemokło już zupełnie.

Zrzuciła koc i uklękła na glinianym palenisku, trzymając głowę przy ogniu i potrząsając włosami, by je wysuszyć. Przyglądał się pięknemu, zakrzywionemu opadowi jej bioder. On go dzisiaj zafascynował. Jak opadał obfitym zboczem ku ciężkiej krągłości jej pośladków! A pomiędzy nimi, złożone w tajemnym cieple, tajemne wejścia!

Pogłaskał jej ogon swoją dłonią, długo i subtelnie rozkoszując się krągłościami i kulistością.

— Masz taki fajny łogon — powiedział gardłowym, pieszczotliwym dialektem. — Masz najładniejszy tyłek na świecie. To najładniejszy, najładniejszy tyłek kobiety! I każda jego część jest kobieca, do szaleństwa kobieca, to pewne. Nie jest taki, jak u którejś z tych dziewczyn, co mają tyłki jak dwa guziki, takie, jakie powinni mieć chłopcy! Masz naprawdę miękkie, opadające tyłki, taki, jaki mężczyzna kocha w głębi swoich trzewi. To tyłek, który mógłby podtrzymać świat. Tak jest.

Przez cały czas, gdy to mówił, delikatnie głaskał jej zaokrąglony ogon, aż wydawało się, jakby śliski ogień spływał stamtąd na jego dłonie. Opuszki jego palców dotykały dwóch sekretnych otworów w jej ciele, raz po raz, z delikatnym, lekkim muśnięciem ognia.

— I z tego, że sro i pulo, tyż się ciesza. Na co mi kobytyta, co niy może srać ani pulać.

Connie nie mogła powstrzymać się, by nie parsknąć nagle śmiechem ze zdumienia, ale on kontynuował niewzruszenie.

— Som prowdziwe, naprowda som! Som prowdziwe, nawet trocha jak u kundy. Tukej sro, a sam pulo: i kłada rynka na łoboch i lubia cie za to. Lubia cie za to. Łoto mo chyndogo, babsko rzic, hyrsko z siebie. Niy stydzi sie siebie, czyż niy?

Położył dłoń blisko i mocno na jej sekretnych miejscach, jak w geście serdecznego powitania.

— Podobo mi sie — powiedział. — Podobo mi sie! Kebych żoł ino dziesiyńć minut, pogłaskał cie po rzici i poznoł go, uznoł bych, że przeżołch jedno życie, wiysz? Co mie łobchodzi systym industrialny! Łoto jedno z mojih żyć.

Odwróciła się i wspięła na jego kolana, przywierając do niego.

— Pocałuj mnie! — wyszeptła.

Wiedziała, że myśl o rozstaniu drzemiała w ich umysłach, i w końcu poczuła smutek.

Siedziała na jego udach, z głową przy jego piersi, jej nogi, lśniące jak kość słoniowa, były luźno rozchylone, a ogień oświetlał je nierównomiernie. Siedząc z opuszczoną głową, patrzył na fałdy jej ciała w blasku ognia i na runo miękkich brązowych włosów, które opadały do punktu między jej rozchylonymi udami. Sięgnął do stołu poza nią i wziął jej bukiet kwiatów, wciąż tak mokry, że deszczowe krople spadały na nią.

— Kwiaty w każdą pogodę są bez dachu nad głową — powiedział. — Nie mają domów.

— Nawet chatki! — mruknęła.

Spokojnymi palcami wplótł kilka kwiatów niezapominajek w delikatne brązowe runo wzgórka Wenus.

— Tutaj — powiedział. — Tu niezapominajki są na właściwym miejscu!

Spojrzała w dół na dziwne, mleczne kwiatki wśród brązowych dziewiczych włosów w dolnej części jej tułowia.

— Czyż to nie wygląda pięknie? — powiedziała.

— Pięknie jak życie — odparł.

I wetknął różowy pączek goździka między włosy.

— Tutaj! To ja, tu mnie nie zapomnisz! To Mojżesz w sitowiu.

— Nie jesteś zły, że odjeżdżam, prawda? — zapytała po chwili i spojrzała w jego twarz z zadumą.

Ale twarz jego pod ciężkimi brwiami była niezbadana. Nie było na niej żadnego wyrazu.

— Rób, co uważasz za właściwe — rzekł.

I mówił teraz poprawnym angielskim.

— Nie odjadę, jeżeli ty tego nie chcesz — odpowiedziała Connie, tuląc się do niego.

Zapadło milczenie. Leśniczy pochylił się i dorzucił jeszcze kawałek drzewa do ognia. Płomień odbijał się na jego milczącej, zatopionej w myślach twarzy. Connie czekała, ale on nie rzekł nic.

— Myślałam tylko — podjęła znowu rozmowę — że byłaby to dobra droga do rozpoczęcia zerwania z Cliffordem. Chcę przecież mieć dziecko. A toby mi dało sposobność, żeby... żeby...

— Żeby dać ludziom trochę kłamstw do myślenia — uzupełnił Mellors.

— Tak, także i to, między innymi. Czy chcesz może, żeby domyśleli się prawdy?

— Jest mi zupełnie obojętne, co sobie myślą.

— Mnie nie! Nie chcę, żeby mnie obmacywali swymi niemilymi, zimnymi myślami, przynajmniej póki jeszcze jestem we Wragby. Mogą sobie myśleć, co chcą, gdy mnie tu już na zawsze nie będzie.

Leśniczy milczał. Potem zapytał:

— Ale Sir Clifford spodziewa się, że wrócisz do niego?

— O, muszę przecież powrócić — odpowiedziała.

I znowu zapadła cisza.

— I chciałaś mieć dziecko we Wragby?

Otoczyła jego szyję ramionami.

— Jeżeli mnie stąd nie zabierzesz, będę chyba musiała — rzekła.

— Dokąd cię mam zabrać?

— Dokądkolwiek! Byle precz! Byle jak najdalej od Wragby!

— Kiedy?

— Oczywiście gdy powrócę.

— Ale jakież sens ma w takim razie powrót? Po co dwa razy robić to samo, jeżeli cię już tu nie będzie? — zapytał Mellors.

— O, muszę powrócić. Przyrzekłam mu to! Przyrzekłam solennie. Zresztą powrócę w istocie do ciebie.

— Do leśniczego twego męża?

— To nie ma znaczenia.

— Nie? — Zastanowił się przez chwilę. — A kiedy zamierzasz wyjechać znowu? Ostatecznie? Kiedy dokładnie?

— O, nie wiem. Z Wenecji w każdym razie powrócę. A potem przygotujemy wszystko.

— Jak przygotujemy?

— Powiem wszystko Cliffordowi. Muszę mu powiedzieć.

— Powiesz!

Milczał długo. Connie mocno otoczyła jego szyję ramionami.

— Nie powinieneś mi tego utrudniać — rzekła błagalnie.

— Czego?

— Wyjazdu do Wenecji i przygotowania się do wszystkiego.

Słaby uśmiech, półuśmiech przemknął po jego twarzy.

— Nie utrudniam ci tego — rzekł. — Chcę tylko zrozumieć, do czego właściwie zmierzasz. Ale w istocie nie znasz jeszcze sama siebie. Chcesz zyskać na czasie: odsunąć

się trochę od tego i przyrzeć się wszystkiemu z daleka. Nie robię ci z tego powodu wyrzutów. Sądzę, że jesteś mądra. Może będziesz wolała zostać panią na Wragby. Nie robię ci wyrzutów. Nie mogę ci zaofiarować drugiego Wragby. Wiesz przecież, czego się możesz po mnie spodziewać. Nie, nie, myślę, że masz rację! Naprawdę, jestem tego zdania. I nie lecę na to, żeby żyć na twój koszt, żeby się dać przez ciebie utrzymywać. I to przecież jeszcze trzeba wziąć pod uwagę.

Connie miała nieokreślone uczucie, jakby jej odplącał pięknym za nadobne.

— Ale chcesz mnie, prawda? — zapytała.

— A ty mnie chcesz?

— Wiesz przecież. To jest oczywiste.

— Doskonale! A *kiedy* mnie chcesz?

— Wiesz, że możemy wszystko urządzić, gdy powrócę. Teraz wprowadziłeś mnie w zupełne zamieszanie. Muszę się uspokoić i patrzeć trzeźwo.

— Naturalnie! Uspokój się i patrz trzeźwo!

Connie czuła się trochę urażona.

— Ale ufasz mi przecież, prawda? — zapytała.

— O, bezwzględnie!

W tonie jego wyczuła szyderstwo.

— Więc powiedz mi — rzekła zduszonym głosem — czy sądzisz, że byłoby lepiej, gdybym nie jechała do Wenecji?

— Jestem przekonany, że lepiej jest, abyś jechała do Wenecji — odpowiedział Mellors chłodnym, nieco drwiącym tonem.

— Wiesz, że wyjeżdżam w przyszły czwartek?

— Tak!

Teraz zamyśliła się. Wreszcie rzekła:

— A kiedy powrócę, będziemy z pewnością lepiej wiedzieli, czego się trzymać, prawda?

— O, na pewno!

Ta dziwna przepaść milczenia pomiędzy nimi!

— Byłem u adwokata w sprawie mego rozwodu — rzekł Mellors głosem trochę wymuszonym.

Connie wzdrygnęła się lekko.

— Byłeś! — zawołała. — I co powiedział?

— Powiedział, że powinienem to być wcześniej zrobić. Teraz mogłyby powstać trudności. Ale ponieważ byłem w wojsku, przypuszcza, że wszystko pójdzie łatwo. Żeby mi tylko *jej* na kark nie ściągnął!

— Czy ona musi o tym przedtem wiedzieć?

— Tak! Dostanie zawiadomienie; tak samo mężczyzna, z którym żyje, jako przyzywany.

— Czy ta cała procedura nie jest ohydna? Przypuszczam, że z Cliffordem będę musiała przejść to samo.

Zapadło milczenie.

— I oczywiście — rzekł Mellors — będę musiał prowadzić wzorowe życie podczas najbliższych sześciu czy ośmiu miesięcy. Jeżeli więc jedziesz do Wenecji, to przynajmniej na kilka tygodni będę wolny od pokusy.

— Więc ja jestem pokusą! — odpowiedziała Connie, głaszcząc jego twarz. — Tak się cieszę, że jestem dla ciebie pokusą! Nie myślmy o tym więcej! Budzisz we mnie lęk, kiedy zaczynasz myśleć. Przytłaczasz mnie zupełnie. Nie myślmy o tym więcej! Będziemy mogli dość rozmyślać, gdy będziemy w rozłące. O to przecież idzie! Pomyślałam sobie, że muszę po prostu przyjść do ciebie jeszcze raz na noc, zanim odjadę. Muszę przyjść jeszcze raz do leśniczówki. Czy mam przyjść w czwartek w nocy?

— Wtedy już przecież twoja siostra będzie tutaj?

— Tak! Ale pisała, że odjedziemy po południu. Mogłybyśmy więc rzeczywiście po południu odjechać, ale ona mogłaby przenocować gdzie indziej, a ja spałabym u ciebie.

— Przecież ona będzie musiała o tym wiedzieć!

— O, powiem jej. Do pewnego stopnia już jej powiedziałam. Muszę to wszystko omówić z Hildą. Jest ona dla mnie wielką pomocą i taka jest rozsądna.



Zastanowił się nad jej planem.

— Więc wyjechałabyś z Wragby po południu, jak gdybyś jechała do Londynu. Jaką drogą pojedziecie?

— Przez Nottingham i Grantham.

— W takim razie siostra twoja wysadziłaby cię gdzieś, a ty przyszlabyś lub przyjechała z powrotem tutaj? Brzmi to bardzo ryzykownie, tak mi się przynajmniej wydaje.

— Sądziysz? Więc Hilda może mnie przywieźć tutaj. Mogłaby przenocować w Mansfield, przywieźć mnie tutaj wieczorem, a rano zabrać znowu. To będzie zupełnie łatwe.

— A ludzie, którzy cię zobaczą?

— Będę nosiła okulary i szal.

Zastanowił się chwilę.

— Dobrze — rzekł. — Rób, jak ci się podoba, jak zwykle!

— Ale czy tobie się to nie podoba?

— O, tak! Mnie się to bardzo będzie podobało — rzekł Mellors trochę ponuro. — Dlaczego nie mam kuć, póki żelazo gorące?

— Wiesz, co sobie pomyślałam? — powiedziała raptem. — Nagle to do mnie dotarło. Jesteś „Rycerzem Płomiennego Tłuczka”!

— Aj! A ty? Czy jesteś Panią Gorącego Czerwonego Moździerza?

— Tak! — powiedziała. — Tak! Ty jesteś Sir Tłuczek, a ja Lady Moździerz.

— W porządku, w takim razie zostałem pasowany na rycerza. John Thomas to Sir John, dla twojej Lady Jane.

— Tak! John Thomas został pasowany na rycerza! Od mojej damy-lonowych-włosów i on także musi dostać kwiaty. Tak!

Wsunęła dwa różowe pędy goździków w gąszcz rudozłotych włosów nad jego penisem.

— Tutaj! — powiedziała. — Czarujący! Czarujący Sir John!

I wsunęła kępkę niezapominajek w ciemne włosy na jego piersiach.

— Tam mnie nie zapomnisz, prawda? — pocałowała go w pierś, po czym ułożyła po dwie gałązki niezapominajek na każdym sutku i ponownie go pocałowała.

— Zrób ze mnie kalendarz! — powiedział. Zaśmiał się i kwiaty zadrżały na jego piersi.

— Zaczekaj chwileczkę — rzekł.

Wstał i otworzył drzwi szałasu. Flossie, która leżała pod okapem, podniosła się i spojrzała na niego.

— Tak, to ja! — rzekł Mellors.

Deszcz ustał. Panowała wilgotna, ciężka, parna cisza. Zapadł wieczór.

Wyszedł przed szałas i ruszył małą ścieżką w kierunku przeciwnym do drogi leśnej. Connie obserwowała jego szczupłą, białą postać: wydała się jej niby duch, niby zjawa, oddalająca się od niej. Kiedy go już nie mogła dojrzeć, serce jej zadrżało z lęku. Stała w drzwiach szałasu, owinięta tylko w koc, i patrzyła w ociekającą, nieruchomą ciszę.

Ale on powrócił, jakimś dziwnym truchtem, przynosząc kwiaty. Connie lękała się go trochę, jakby nie był zupełnie istotą człowieczą. A kiedy się zbliżył, oczy jego spojrzały w jej oczy, ale ona nie mogła zrozumieć, co to znaczy.

Przyniósł orlików i płomyczków, i marzanny, i młodych pędów dębowych, i powoju w małych pąkach. Przymocował puszyste gałązki dębu wokół jej piersi, wtykając w nie kępki dzwoneczków i lepnicy, w pępku umieścił różowy kwiat lepnicy, a w jej dziewczyczych włosach niezapominajki i marzanki.

— Przyjrzyjmy się naszej Jane w kwiecistym stroju! — rzekł.

Wplótł kwiaty we włosy na swoim ciele, owinał wokół penisa kawałek powoju, a w pępek wetknął pojedynczy dzwoneczek hiacynta. Przyglądała się z rozbawieniem jego dziwnemu zapałowi. Wsadziła mu też kwiat lepnicy w wąsy, gdzie utknął, dyndając mu pod nosem.

— To je John Thomas<sup>81</sup> w czasie weselo z Tofle Jane — powiedział. — A my przyzwolimy Constance i Oliverowi pójść swojimi drogami. Może...

Rozpostarł ramiona szerokim gestem, a potem kichnął, zdmuchując kwiaty z nosa i pępka. Kichnął jeszcze raz.

— Może co? — zapytała Connie, czekając, aby mówił dalej.

Spojrzał na nią trochę stropiony.

— Hę? — rzekł.

— Może co? Powiedźże, co chciałeś powiedzieć! — nalegała Connie.

— Ba, cóż to ja *chciałem* powiedzieć?

Zapomniał. I było to jedno z największych rozczarowań jej życia, że nie dokończył tego zdania.

Żółty promień słoneczny przemknął po drzewach.

— Słońce! — rzekł Mellors. — I czas już na ciebie. Czas już, jaśnie pani, już czas! Co leci bez skrzydeł, jaśnie pani? Czas! Czas!

Sięgnął po koszulę.

— Powiedz dobranoc Sir Johnowi Thomasowi! — rzekł, patrząc w dół na swojego penisa. — Jest bezpieczny w ramionach powojowej Jenny! Niewiele w nim teraz z płomiennego tłuczka.

I wciągnął flanelową koszulę przez głowę.

— Najniebezpieczniejsza to chwila dla mężczyzny — rzekł, gdy głowa jego wynurzyła się znowu — kiedy wdziewa koszulę. Wtedy ma głowę w worku. Dlatego wołę amerykańskie koszule, które wkłada się jak marynarkę.

— Spójrz na Jane — powiedział — w jej rozkwicie! Kto cię umai kwieciami w przyszłym roku, mała Jane? Ja czy ktoś inny? „Żegnaj mój dzwoneczku, żegnaj!”<sup>82</sup> Nienawidzę tej piosenki, przypomina mi pierwsze dni wojny.

Usiadł i zaczął zakładać pończochy. Ona wciąż stała nieruchomo. Położył rękę na zbozcu jej pośladków.

— Śliczna mała Lady Jane! — powiedział. — Może w Wenecji znajdziesz mężczyznę, który włoży jaśmin w twoje dziewicze włosy i kwiat granatu w twój pępek. Biedna mała Lady Jane!

— Nie mów takich rzeczy! — powiedziała. — Mówisz tak tylko po to, żeby mnie zranić.

Opuścił głowę. Potem powiedział w dialekcie:

— Aj, może ja, może ja! No to nic niy powiym i nic niy zrobia. Ale musisz sie łoblyc i wrócić do swych zocnych domów Anglije, jakoż piyknie sie znoszom. Czas mino! Czas mino! dlo Sir Johna i dlo małj Tofle Jane! Wraż swoja treska, Tofle Chatterley! Mógby to być fto ino, bez stonie tam na aus, nawet w tresce i z poroma strzępami kwiotków. A toż, a toż rozbiorę cie, młody, krótkoogoniasty droździe.

I zdjął liście z jej wilgotnych włosów, całując je, i kwiaty z jej piersi, i pocałował jej piersi, i pocałował jej pępek, i pocałował jej włosy łonowe, gdzie zostawił wplecione kwiaty.

— Mogom sam łostać, dopoki chcom — powiedział. — No toż! Zasik je żeś nago, dzioucha z guzo rziciom i mało Tofle Jane! A teraz wraż treska, bo zaroz pódziesz, bo Tofle Chatterley spóźni sie na wieczerso, a kaj ty byłaś, moja śliczno dziewczeczko!

Connie nie wiedziała nigdy, jak mu odpowiedzieć, kiedy był w takim usposobieniu. Ubrała się więc i przygotowała do trochę haniebnego powrotu do Wragby. A może ona to tak tylko odczuwała: trochę haniebnny dom.

Nie chciał się wyrzec odprowadzenia jej do szerokiej drogi leśnej. Młode jego bażanty były bezpieczne pod daszkiem.

<sup>81</sup>*John Thomas* — w tłum. Marcelego Tarnowskiego pojawia się tu w zastępstwie Sir Johna Thomasa i Lady Jane Ondraszek oraz bezimienna księżniczka, wraz z wyjaśnieniem w przypisie, że Ondraszek to „bohater ludowy Śląska cieszyńskiego”. Jednakże w związku z pominięciem kilku fragmentów i znacznymi zniekształceniami w tym rozdziale, końcową część uzupełniono i uporządkowano, zgodnie z oryginalną wersją językową, przy czym dla ujednolicenia całości tekstu koncepcja przetłumaczenia żartobliwej nazwy John Tomas jako Ondraszek upadła, ustępując brzmieniu oryginału. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*Żegnaj mój dzwoneczku, żegnaj!* — w oryg. tytuł piosenki: *Good-bye, my bluebell, farewell to you*. [przypis edytorski]

Kiedy wyszli oboje na drogę, ujrzeni zbliżającą się bladą panią Bolton.

— O, proszę jaśnie pani, myśleliśmy już, że się coś stało!

— Nie! Nic się nie stało.

Pani Bolton spojrzała w twarz mężczyzny, wygładzoną i odmłodzoną z miłości. Spotkała się z na wpół roześmianym, na wpół drwiącym spojrzeniem jego oczu. Śmiała się zawsze z niepowodzeń. Ale spojrzał na nią przyjaźnie.

— Dobry wieczór, pani Bolton! Jaśnie pani jest teraz w dobrych rękach, mogę ją więc opuścić. Dobranoc jaśnie pani! Dobranoc pani Bolton!

Uklonił się i zawrócił.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Connie przeszła po powrocie do domu przez prawdziwy krzyżowy ogień pytań. Clifford wyjechał na podwieczorek i powrócił krótko przed burzą, a gdzie była jaśnie pani? Nikt nie wiedział, tylko pani Bolton sądziła, że może poszła na spacer do lasu. Do lasu, w taką pogodę! — Clifford posunął się tym razem aż do stanu nerwowego szaleństwa. Podrywał się za każdą błyskawicą i wzdrygał przy każdym grzmocie. Spoglądał w lodowaty deszcz, jakby koniec świata był bliski. Podniecał się coraz bardziej.

Pani Bolton usiłowała go uspokoić.

— Na pewno schroniła się do szałasu, aż burza przeminie. Niech się pan nie martwi, jaśnie pani jest bezpieczna.

— Nie podoba mi się, że podczas takiej burzy jest w lesie. Nie podoba mi się, że w ogóle jest w lesie. Nie ma jej już od przeszło dwóch godzin. Kiedy wyszła?

— Krótko przed pańskim powrotem.

— Nie widziałem jej w parku. Bóg wie, gdzie ona jest i co się jej mogło stać.

— O, na pewno nic się jej nie stało. Przekona się pan, że wróci zaraz do domu, gdy tylko deszcz ustanie. Jedynie deszcz zatrzymuje ją jeszcze.

Ale jaśnie pani nie wróciła zaraz do domu, gdy tylko deszcz ustał. Przeciwnie, czas mijał, słońce wyrzało zza chmur, aby rzucić ostatnie, żółtawe promienie, a Connie ciągle jeszcze nie było widać. Słońce zaszło, zapadł mrok, gong zabrzmiął już po raz pierwszy na kolację.

— Tak być nie może! — zawołał Clifford, obłąkany z niepokoju. — Wyślę Flinta i Bettsa, żeby jej poszukali.

— O, niech pan tego nie robi! — odpowiedziała pani Bolton. — Ludzie pomyślą, że to samobójstwo czy coś podobnego. Niech pan nie daje powodu do gadaniny. To już lepiej ja sama pobiegnę do szałasu i zobaczę, czy jej tam nie ma. Już ja ją znajdę.

Po krótkim namyśle Clifford pozwolił jej pójść.

W ten sposób Connie spotkała ją niebawem na drodze leśnej, gdzie pani Bolton kręciła się sama i blada.

— Niech mi pani nie bierze za złe, że wysłałam pani na spotkanie! Ale Sir Clifford był w takim okropnym stanie! Przekonany był, że trafił panią piorun albo zabiło wywrócone drzewo. I był już zdecydowany wysłać Fielda i Bettsa do lasu na poszukiwanie zwłok. Pomyślałam więc sobie, że lepiej będzie, jeżeli ja pójdę, zamiast alarmować całą służbę.

Mówiła nerwowo. Widziała jeszcze na twarzy Connie ów nieprzytomny, rozmarzony wyraz, który następuje po wybuchu namiętności, i odczuwała skierowane przeciwko sobie rozdrażnienie.

— Naturalnie! — rzekła Connie. Więcej powiedzieć nie mogła.

Dwie kobiety człapały w milczeniu po mokrej drodze, podczas gdy wielkie krople z hałasem spadały z drzew niby małe eksplozje. Kiedy dotarły do parku, Connie ruszyła przodem, a pani Bolton dyszała nieco. Zaczynała już tyć.

— Jakie to głupie ze strony Clifforda, robić tyle hałasu! — rzekła wreszcie Connie z gniewem, jakby mówiła do siebie samej.

— O, wie pani przecież, jacy są mężczyźni! Chętnie poddają się takiemu zdenerwowaniu. Ale uspokoi się zaraz, gdy jaśnie panią zobaczy.

Connie była zła, że pani Bolton znała jej tajemnicę: gdyż niewątpliwie znała ją.

Nagle Connie zatrzymała się na środku ścieżki.

— To potworne, żeby mnie tak śledzić na każdym kroku!— — rzekła, a oczy jej zabłyśły.

— O, niech jaśnie pani tego nie mówi! Na pewno posłałby Flinta i Bettsa, a oni poszliby prosto do szałas. Ja nie wiedziałam nawet dokładnie, gdzie to jest.

Policzki Connie pociemniały jeszcze bardziej z gniewu wobec tej aluzji. Ale póki była pod władzą namiętności, nie potrafiła kłamać. Nie mogła nawet udawać, że między nią a leśniczym nic nie było. Spojrzała na kobietę, która stała przed nią tak przebiegle, z głową pochyloną, a jednak w kobiecości swej była jej sprzymierzoną.

— Co tam! — zawołała. — Jak jest, tak jest. Mnie tam wszystko jedno!

— Ależ wszystko jest w porządku, proszę jaśnie pani! Po prostu schroniła się pani do szałas. Nie ma w tym nic złego.

Ruszyły dalej ku domowi. Connie weszła do pokoju Clifforda, wściekła na niego, na jego błąd, niezmiernie podnieconą twarz i na jego wybaluszone oczy.

— Muszę przyznać, że nie uważam, aby potrzeba było wysłać za mną służbę — wybuchnęła.

— Boże wielki! — krzyknął Clifford. — Gdzieżeś ty była, okropna kobieto? Nie było cię w domu od szeregu godzin, od szeregu godzin, przy takiej pogodzie! Czegóż ty u licha szukałaś w tym przeklętym lesie? Po co w ogóle wychodziłaś? Co robiłaś przez ten czas? Deszcz ustał już od kilku godzin, od kilku godzin! Czy wiesz, która godzina? Potrafisz człowieka wpędzić w obłąd! Gdzie byłaś? I co do wszystkich diabłów robiłaś przez ten czas?

— A gdybym nie miała ochoty powiedzieć ci tego?

Connie ściągnęła kapelusz z głowy i potrząsnęła włosami.

Clifford spojrzał na nią, oczy nabrzmiały mu, a białka pożółkły. Bardzo szkodliwe było dla niego wpadać w taką wściekłość. Pani Bolton musiała go zwykle potem przez szereg dni z trudem pielęgnować. Connie uczuła nagle wyrzuty sumienia.

— Nie, naprawdę! — powiedziała łagodniej. — Pomyślałby kto, że Bóg wie gdzie byłam. Siedziałam po prostu w szałasie przez cały czas burzy, rozpałam sobie ogień i byłam szczęśliwa.

Mówiła teraz swobodnie. Ostatecznie po co go jeszcze bardziej denerwować?

Clifford spojrzał na nią podejrzliwie.

— Spójrz na swoje włosy! — rzekł. — Spójrz na siebie!

— Tak! — odpowiedziała Connie spokojnie. — Biegałam po deszczu, bez sukni.

Clifford oniemiał i wlepił w nią wzrok.

— Oszalałaś chyba! — zawołał wreszcie.

— Dlaczego? Że lubię natryski deszczowe?

— A czym się wytarłaś?

— Jakimś starym ręcznikiem. Wyszłam przy ogniu.

Ciągle jeszcze wpatrywał się w nią jak rażony udarem.

— A gdyby ktoś nadszedł? — zapytał.

— Któż by mógł nadejść?

— Kto? Ależ ktokolwiek! A Mellors? Czy on tam nie przychodzi? Musi przecież przychodzić co wieczór!

— Tak, przyszedł później, gdy się wypogodziło, żeby nakarmić bażanty.

Mówiła ze zdumiewającą obojętnością. Pani Bolton, która podsłuchiwała w sąsiednim pokoju, była zdumiona. Pomyśleć, że ta kobieta mogła to mówić tak swobodnie!

— Ale wyobraź sobie, że przyszedłby, kiedy ty biegałaś po deszczu i nic na sobie nie miałaś, jak wariatka!

— Przypuszczam, że przeżył by największe przerażenie swego życia i uciekłby, jak tylko by mógł najszybciej.

Clifford wlepił w nią nieprzytomny wzrok. Co myślał w podświadomości, tego nie mógł wiedzieć. A zbyt był oszołomiony, żeby móc w świadomości zdobyć się na jedną choćby jasną myśl. Po prostu w jakiejś pustce wchłaniał w siebie wszystko, co Connie mówiła. I podziwiał ją. Na to nic nie mógł poradzić, musiał ją podziwiał. Była tak podniecona, wyglądała tak ładnie i mile: tak miłośnie.

— W każdym razie — rzekł — będziesz mogła mówić o szczęściu, jeżeli wyjdiesz z tego bez silnego przeziębienia.

— O, nie przeiębiłam się na pewno — odpowiedziała Connie.

Myślała sobie o słowach tamtego mężczyzny: Masz najładniejszy tyłek na świecie! Chciała, bardzo chciała móc powiedzieć Cliffordowi, że ktoś jej to powiedział podczas tej słynnej burzy. A jednak! A jednak zachowała się jak obrażona królowa i poszła na górę, żeby się przebrać.

Wieczorem Clifford chciał być wobec niej uprzejmy. Czytał jedną z najnowszych książek naukowo-religijnych: odznaczał się on jakąś nieszczęzną religijnością i egocentrycznie troszczył się o przyszłość własnego „ja”. Nawykniением jego było toczyć z Connie konwersacje na temat jakiejś książki, gdyż konwersacje były między nimi konieczne, niemal chemicznie konieczne. Niemal chemicznie musieli łączyć się z sobą w głowach.

— Co sądzisz o tym? — zapytał, sięgając po książkę. — Nie potrzebowałabyś chłodzić rozpalonej głowy, biegając po deszczu, gdybyśmy mieli za sobą kilka dalszych eonów ewolucji. O, tutaj jest to zdanie! „Na wszechświat można patrzeć z dwóch stron. Z jednej następuje w nim upadek fizyczny, z drugiej wzniesienie się duchowe”.

Connie słuchała, czekając na ciąg dalszy. Ale Clifford przerwał. Spojrzała na niego zdumiona.

— Jeżeli wszechświat wznosi się duchowo, co zostawia pod sobą, w miejscu, gdzie był jego ogon?

— Ach! — zawołał Clifford — Musisz to rozumieć tak, jak autor to rozumie. *Wzniesienie* się jest tu, jak sądzę, przeciwstawieniem *upadku*.

— Więc jakby duchowe nadęcie się!

— Nie, mówmy poważnie, bez żartów, czy sądzisz, że w tym coś jest?

Connie spojrzała na niego znowu.

— Upadek fizyczny — rzekła. — Widzę, że ty stajesz się coraz cięższy, ja sama także nie podupadam fizycznie. Czy sądzisz, że słońce jest mniejsze, niż było dawniej? Ja nie jestem tego zdania. I uważam, że jabłko, które Ewa zaproponowała Adamowi, nie było naprawdę o wiele większe, jeżeli w ogóle było większe, niż nasze złote renety. Czy jesteś innego zdania?

— Więc posłuchaj, co on dalej pisze: „Proces ten odbywa się niezmiernie powoli, z powolnością, niedostrzegalną dla naszych okresów czasu, i zbliża wszechświat ku nowym stanom twórczym, kiedy świat fizyczny, jaki znamy teraz, reprezentowany będzie jedynie przez słaby nurt, niedający się niemal odróżnić od niebytu”.

Connie przysłuchiwała się z przeblyskiem wesołości. Przychodziły jej na myśl rozmaite nieprzyzwoite rzeczy, które mogła powiedzieć. Ale powiedziała tylko:

— Co za głupie sztuczki magiczne! Jak gdyby jego mała, zarozumiała świadomość mogła w ogóle wiedzieć coś o rzeczach, które odbywają się z taką powolnością! Wszystko to dowodzi jedynie, że on sam jest na tym świecie osobnikiem fizycznie chybionym. I dlatego chce odmówić wartości fizycznej całemu wszechświatowi. Bezwstydna imperytynencja!

— O, posłuchajże jednak! Nie przerywaj podniosłych słów tego wielkiego człowieka! „Obecny porządek świata powstał z niemożliwej do wyobrażenia sobie przeszłości i znajdzie grób w niemożliwej do wyobrażenia sobie przyszłości. Trwa więc tylko niewyczerpane królestwo abstrakcyjnych form i siły twórczej, która w zmiennym swym charakterze ciągle na nowo jest określana przez swoje własne twory i przez Boga, od którego mądrości zależą wszelkie formy porządku świata”. Na tym kończy!

Connie siedziała, przysłuchując się z pogardą.

— On jest duchowo nadęty — rzekła. — Co za bzdury! Rzeczy niemożliwe do wyobrażenia sobie i porządku świata w grobach, i królestwa abstrakcyjnych form, i siła twórcza o zmiennym charakterze, i Bóg z formami porządku świata, wszystko pomieszane razem! To przecież idiotyczne!

— Muszę przyznać, że jest to trochę nieokreślone, że jest to jakby konglomerat, niejako mieszanina gazów — zgodził się Clifford. — A jednak uważam, że jest jakiś sens w tej myśli, iż wszechświat podlega upadkowi fizycznemu i duchowemu wznoszeniu się.

— Sądzisz? Więc niech się wznosi, byle tylko mnie fizycznie pozostawiał w spokoju i bezpieczeństwie na dole!

— Czy tak lubisz swoją cielesność? — zapytał Clifford.

Religia, Egoizm

Dusza, Ciało, Kobieta

— Kocham ją! — A przez jej umysł przebiegły słowa: najładniejszy, najładniejszy kobiecy tyłek na świecie!

— Jest to naprawdę bardzo niezwykle. Niepodobna bowiem zaprzeczyć, że stanowi ona przeszkodę. Domyślam się co prawda, że kobieta nie znajduje najwyższej przyjemności w życiu duchowym.

— Najwyższej przyjemności? — zapytała Connie, spoglądając na niego. — Czyż ten rodzaj idiotycznego gładzenia jest najwyższą przyjemnością duchowego życia? Nie, dziękuję! Ja wolę ciało. Uważam, że życie ciała jest bardziej rzeczywiste niż życie duchowe. To znaczy, jeżeli ciało jest naprawdę zbudzone do życia. Ale tylu ludzi, podobnie jak twój słynny pustogłów, posiada tylko duchową przyczepkę do fizycznego trupa.

Clifford spojrział na nią zdumiony.

— Życie ciała — rzekł — jest po prostu życiem zwierzęcia.

— Lepsze to niż życie zawodowego trupa. Ale to wcale nie prawda. Ciało ludzkie teraz dopiero zaczyna naprawdę żyć. U Greków życie to migotało przepięknie, zanim Platon i Arystoteles zabili ten blask, a Jezus dokończył dzieła. Ale teraz ciało naprawdę wraca do życia, naprawdę powstaje z grobu. I będzie to cudowne, cudowne życie w cudownym wszechświecie, życie ciała ludzkiego.

— Moja kochana, mówisz, jakbyś była prorokiem! Prawda, wyjeżdżasz w podróż dla przyjemności, ale nie zachwycajże się tym tak nieprzyzwoicie. Wierz mi, jakikolwiek Bóg istnieje, usuwa on powoli z człowieka trzewia i narządy trawienia, aby doprowadzić do rozwoju wyższej i bardziej duchowej istoty.

— Dlaczego ci mam wierzyć, Cliffordzie, jeżeli czuję, że jakikolwiek Bóg rządzi światem, zbudził on moje trzewia, jak ty to nazywasz. Dlaczego mam ci wierzyć, jeżeli czuję wręcz przeciwnie?

— O, naturalnie! A co sprawiło w tobie tę niezwykłą zmianę? Bieganie nago po deszczu i udawanie bachantki? Żądza sensacji czy też radość z wyjazdu do Wenecji?

— Jedno i drugie. Czy uważasz, że to takie wstrętne, jeżeli się cieszę na myśl o wyjeździe?

— Dość wstrętne, aby to jawnie okazywać.

— W takim razie będę to ukrywała.

— O, nie fatyguj się. Udzielasz mi niemal nieco ze swego zachwytu. Mam prawie takie uczucie, jakbym to ja sam wyjeżdżał.

— Więc dlaczego nie jedziesz ze mną?

— Omówiliśmy to już dostatecznie. Faktem zaś jest, że domyślam się, iż wielki twój zachwyt pochodzi stąd, że możesz na pewien czas porzucić wszystko tutaj. Nic cię w tej chwili tak nie zachwyca, jak owo: „Żegnajcie wszyscy!” Ale wszelkie rozstanie oznacza spotkanie na innym miejscu. A wszelkie spotkanie to nowe więzy.

— Nie mam zamiaru poddawać się jakimś nowym więzom.

— Nie chwał się, bo bogowie mogą usłyszeć! — rzekł Clifford.

Connie wyprostowała się nagłym ruchem

— Nie, naprawdę, nie będę się chwaliła!

Tym niemniej jednak zachwycona była, że wyjeżdża, że czuje, jak pękają stare więzy. Nie potrafiła temu przeciwdziałać.

Clifford, nie mogąc zasnąć, hazardował się przez całą noc z panią Bolton, która była tak śpiąca, że opadała już z sił.

Nadszedł wreszcie dzień przyjazdu Hildy. Connie umówiła się z Mellorsem, że jeżeli wszystko będzie sprzyjało ich wspólnej nocy, wywiesi z okna zielony szal, gdyby zaś plan jej rozchwiały się, czerwony.

Pani Bolton pomagała Connie przy pakowaniu.

— Zmiana wyjdzie jaśnie pani na dobre — rzekła.

— I ja tak myślę. Nie przejmuj się pani chyba tym, że przez pewien czas będzie pani sama miała na karku Sir Clifforda, prawda?

— O nie, radzę sobie z nim doskonale. Sądzę, że potrafię zrobić wszystko, czego mi potrzeba. Czy uważa pani, że stan jego jest lepszy niż dawniej?

— Och, o wiele lepszy. Sprawia pani cuda.  
— Naprawdę? Ale mężczyźni są wszyscy jednakowi. Po prostu małe dzieci. Trzeba im schlebiać i dogadywać, a wreszcie wzbudzić w nich złudzenie, że posiadają własną wolę. Czy jasnie pani nie jest tego samego zdania?

— Obawiam się, że nie mam pod tym względem dość doświadczenia. — Connie przerwała swoje zajęcie. — A pani mąż? Czy musiała go pani traktować i zagadywać jak małe dziecko? — zapytała, spoglądając na pielęgniarkę.

Pani Bolton przestała także pracować.

— Hm! — rzekła. — Często musiałam mu bardzo ładnie dogadywać, ale on wiedział zawsze, do czego zmierzam. To muszę mu przyznać. I zazwyczaj ustępował mi.

— Nie grał nigdy roli pana i władcy?

— Nie! To znaczy, niekiedy oczy jego miały pewien wyraz i wtedy wiedziałam, że ja powinnam ustąpić. Ale zazwyczaj on ustępował. Nie, nie był panem i władcą. Ale ja także nie. Wiedziałam, kiedy nie wolno mi się dalej posunąć, i wtedy ustępowałam, choć nieraz kosztowało mnie to wiele.

— A co by się stało, gdyby mu się pani sprzeciwiła?

— Nie wiem. Nigdy tego nie uczyniłam. Nawet kiedy nie miał racji, a upierał się przy swoim, ustępowałam. Widzi pani, nigdy nie chciałam zburzyć tego, co między nami było. A jeśli się naprawdę przeciwstawia mężczyźnie własną wolę, wtedy koniec ze wszystkim. Jeżeli się mężczyznę naprawdę lubi, trzeba mu ustępować, kiedy powziął stanowczą decyzję. Czy się ma rację czy nie, trzeba mu ustępować. Inaczej można coś zburzyć. Ale muszę przyznać, że Ted także czasami ustępował, jeżeli ja uparłam się przy czymś, a nie miałam racji. Więc sądzę, że odnosi się to do obydwu stron.

— I postępuje pani tak ze wszystkimi swoimi pacjentami? — zapytała Connie.

— O, to co innego. W stosunku do nich wcale mi na tym nie zależy. Wiem, co jest dla nich dobre, a przynajmniej staram się wiedzieć, a wtedy udaje mi się traktować ich tak, aby im to wyszło na dobre. Nie jest to rzecz wielka w stosunku do człowieka, którego się naprawdę lubi. To zupełnie coś innego. Jeżeli jednego mężczyznę naprawdę się lubi, można być serdeczną niemal dla każdego innego mężczyzny, który nas potrzebuje. Ale to nie to samo. W istocie nic sobie człowiek z niego nie robi. Zdaje mi się, że jeżeli kobieta raz naprawdę kochała, to już nigdy nie robi sobie nic z żadnego mężczyzny.

Słowa te przeraziły Connie.

— Sądzi pani, że można kochać tylko raz? — zapytała.

— Albo nigdy. Większość kobiet nie kocha nigdy, nigdy nie zaczyna nawet kochać. Nie wiedzą wcale, co to znaczy. I mężczyźni także nie. Ale kiedy widzę kobietę, która kocha naprawdę, wówczas serce zamiera we mnie.

— I uważa pani, że mężczyźni łatwo się rozdrażniają?

— Tak! Kiedy się urazi ich dumę. Ale czyż i kobiety nie są takie same? Tylko że te dwa rodzaje dumy są odmienne.

Connie zastanowiła się nad tym. Poczęła znowu odczuwać wyrzuty sumienia, że chciała wyjechać. Czyż ostatecznie nie porzuciła swojego kochanka, chociaż tylko na krótki czas? A on wiedział o tym. Dlatego był taki dziwny i taki sarkastyczny.

Bezwarunkowo! Egzystencja ludzka została w przeważnej części opanowana przez maszynę okoliczności zewnętrznych. Znajdowała się w mocy tej maszyny. Nie mogła wyzwolić się od niej bez trudu. I nie chciała wcale.

Hilda przybyła bardzo wczesnym rankiem w czwartek, w zgrabnym dwuosobowym aucie, do którego przytroczona była z tyłu jej ręczna walizka. Wyglądała skromnie i dziewczęco jak zwykle, ale posiadała też dawny upór. Posiadała diabelski upór, o czym przekonał się jej mąż. Ale mąż jej rozwodził się z nią teraz. Tak, ułatwiała mu to nawet, chociaż nie miała kochanka. W tej chwili miała już dosyć mężczyzn. Była bardzo zadowolona, że będzie mogła znowu być panią siebie samej i panią swoich dwojga dzieci, które zamierzała „porządnie” wychować, cokolwiek by to miało oznaczać.

Connie też zezwolono tylko na zabranie ręcznej walizki. Ale wysłała ona zawczasu wielki kufer do ojca, który jechał pociągiem. Uważał, że nie ma sensu zabierać auta do

Mężczyzna

Kobieta, Mężczyzna, Walka,  
Władza

Wenecji. Już dlatego chociażby, że w lipcu było we Włoszech o wiele za gorąco na wycieczki samochodowe. Jechał więc wygodnie koleją. Powrócił był właśnie ze Szkocji.

Hilda poczęła więc niby dzielny arkadyjski marszałek polny wydawać rozporządzenia w sprawie podróży. Siedziała wraz z Connie, gawędząc w jej buduarze.

— Ale Hildo! — rzekła Connie nieco lękliwie. — Chcę tu zostać przez noc. Nie tutaj: w pobliżu!

Hilda wlepiła w siostrę szare, niezbadane oczy. Wydawała się bardzo spokojna; a bywała przecież często dość dzika.

— Gdzie w pobliżu? — zapytała.

— Wiesz przecież, że kocham kogoś, prawda?

— Myślałam sobie, że coś takiego musi być.

— Otóż on mieszka tu w pobliżu. I chcę z nim spędzić tę ostatnią noc. Muszę! Przynurkłam.

Connie stała się natarczywa.

Hilda pochyliła w milczeniu swoją głowę Minerwy, potem spojrzała na siostrę.

— Czy możesz mi powiedzieć, kto to jest? — zapytała.

— To nasz leśniczy — wybełkotała Connie i zaczerwieniła się silnie, jak zawstydzone dziecko.

— Connie! — zawołała Hilda, unosząc nieco nos ze wstrętu; ruch ten odziedzyczyła po matce.

— Wiem. Ale on jest naprawdę zachwycający. Wie naprawdę, co to jest czułość — rzekła Connie, usiłując usprawiedliwić się za niego.

Hilda, niby rumianolica Atena o żywych barwach twarzy, pochyliła głowę i zamyśliła się. W istocie przejął ją silny gniew. Ale nie śmiała okazać tego, gdyż Connie, która wrodziła się w ojca, stałaby się od razu nieprzystępna.

Prawdą było, że Hilda nie lubiła Clifforda: ta jego chłodna pewność, że jest kimś! Uważała, że wykorzystuje on Connie haniebnie i bezwstydnie. Spodziewała się, że Connie opuści go *kiedyś* naprawdę. Ale należąc do solidnego szkockiego stanu średniego, czuła zgrozę przed wszelkim „zbezczeszczeniem” własnej osoby lub rodziny. Wreszcie podniosła wzrok.

— Będziesz tego żałowała — rzekła.

— Nie, nie będę! — zawołała Connie, rumieniąc się silnie. — On jest rzadkim wyjątkiem. Kocham go *naprawdę*. Jest cudowny jako kochanek.

Hilda ciągle jeszcze zastanawiała się.

— To się skończy bardzo szybko — rzekła — a potem będziesz się przez całe życie wstydziła przez niego.

— To nie do pomyślenia. Spodziewam się, że będę z nim miała dziecko.

— *Connie!* — krzyknęła Hilda twardo, jak uderzenie młota, i poblądła z gniewu.

— Zrobię to, gdy tylko będę mogła. Byłabym niezmiernie dumna, gdybym miała z nim dziecko.

Nie miało sensu mówić z nią. Hilda zastanowiła się.

— A czy Clifford niczego nie podejrzewa? — zapytała.

— O nie! Skądże by?

— Nie wątpię bynajmniej, że dałaś mu dość sposobności do podejrzeń — rzekła Hilda.

— Nic podobnego.

— A ta sprawa dzisiaj w nocy wydaje mi się zupełnie niepotrzebnym głupstwem. Gdzie ten człowiek mieszka?

— W leśniczówce po drugiej stronie lasu.

— Czy jest kawalerem?

— Nie. Żona go opuściła.

— Ile ma lat?

— Nie wiem. Jest starszy ode mnie.

Hilda stawiała się za każdą odpowiedzią coraz bardziej zła, zła, jak bywała jej matka, w pewnego rodzaju paroksyzmie. Ale ciągle jeszcze ukrywała to.

— Na twoim miejscu zrezygnowałabym z tej nocnej eskapady — oznajmiła spokojnie.



— Nie mogę! *Muszę* spędzić z nim tę noc, inaczej nie mogę w ogóle jechać do Wenecji. Po prostu nie mogę.

Hilda rozpoznawała w tych słowach charakter swego ojca i dyplomatycznie ustąpiła. Zgodziła się pojechać z Connie na kolację do Mansfield, odwiedzić ją o zmroku z powrotem aż do końca obramionej żywoplotem drogi i nazajutrz zabrać ją stamtąd, podczas gdy ona sama miała prznocować w Mansfield, oddalonym, jeśli się dobrze jechało, zaledwie o pół godziny. Ale była wściekła. Była zła na siostrę, że pokrzyżowała jej plany.

Connie wywiesiła z okna szmaragdowozielony szal.

Gniew na Connie usposobił Hildę serdeczniej wobec Clifforda. Clifford posiadał ostatecznie ducha. A jeżeli funkcjonalnie nie posiadał płci, tym lepiej: tym mniej możliwości sporu! Hilda nie chciała już słyszeć o tych wszystkich sprawach płciowych, przy których mężczyźni stawali się brzydkimi, egoistycznymi potworkami. Connie miała naprawdę o wiele mniej do zniesienia, niż wiele innych kobiet. Gdybyż tylko o tym wiedziała!

A Clifford doszedł do wniosku, że Hilda jest jednak ostatecznie kobietą niewątpliwie inteligentną i byłaby dla męża pierwszorzędną pomocą, gdyby się na przykład chciał poświęcić polityce. Tak, nie posiadała zupełnie naiwności Connie. Connie była raczej podobna do dziecka. Trzeba jej było niejedno wybaczać, gdyż nie była zupełnie zdolna do ponoszenia odpowiedzialności.

Herbatę podano wcześniej w hallu, którego drzwi stały otworem, aby wpuścić słońce. Wszyscy wydawali się trochę przejęci.

— Bywaj zdrowa, Connie, dziewczeczko! A wracaj do mnie szybko.

— Bywaj zdrow, Cliffordzie! Tak, nie zabawię długo.

Connie była niemal czuła.

— Bywaj zdrowa, Hildo! Prawda, że będziesz miała na nią oko?

— Nawet dwoje! — odpowiedziała Hilda. — Nie zapędzi się za daleko.

— Przyrzekasz mi to!

— Do widzenia, pani Bolton! Wiem, że będzie pani bez zarzutu dbała o Sir Clifforda.

— Zrobię wszystko, co będę mogła, proszę jaśnie pani.

— I niech pani napisze, gdyby było coś nowego. I o Sir Cliffordzie także, jak mu się wiedzie.

— Naturalnie, proszę jaśnie pani, napiszę bezwarunkowo. I niech się pani dobrze bawi! I niech pani szybko wraca, żeby nas znowu rozweeselić!

Wszyscy powiewali chusteczkami. Auto ruszyło. Connie obejrzała się i zobaczyła Clifforda, siedzącego na tarasie w ruchomym fotelu. Ostatecznie był jej mężem. Wragby było jej domem. Okoliczności tak sprawiły.

Pani Chambers otworzyła bramę i życzyła jaśnie pani szczęśliwej drogi. Auto wysunęło się z ciemnych zarośli, które zakrywały park, i wyjechało na gościniec, gdzie górnicy powracali pojedynczo i grupami do domu, Hilda skręciła na drogę do Crosshill, boczną szosę, wiodącą jednak także do Mansfield. Jechały wzdłuż toru kolejowego. Potem przecięły tor na moście.

— To droga do leśniczówki — rzekła Connie.

Hilda rzuciła w tę stronę niecierpliwie spojrzenie.

— Szkoda wielka, że nie możemy jechać zaraz dalej — rzekła. — Mogłybyśmy być o dziewiątej na Pall Mall.

— Żałuję bardzo ze względu na ciebie — rzekła Connie spoza swojej maski automobilowej.

Niebawem wjechały do Mansfield, tego niegdyś romantycznego, teraz zaś zupełnie deprymującego miasteczka kopalnianego. Hilda zatrzymała auto przed wymienionym w przewodniku hotelem i wynajęła pokój. Cała sprawa była zupełnie niezajmująca, a Hilda czuła zbyt wielki gniew, żeby mówić. A jednak kazała sobie opowiedzieć coś niecoś o życiu tego człowieka.

— *On! On!* Jakim ty go nazywasz imieniem? Mówisz zawsze tylko *on!* — przerwała Hilda siostrze.

— Nigdy nie nazwałam go po imieniu; ani on mnie także. Dziwne to właściwie, jeżeli się nad tym zastanowić. Mówimy tylko Lady Jane i Sir John Thomas. Ale nazywa się Oliver Mellors.

— I wolałabyś być panią Mellors, niż Lady Chatterley?

— Bezwarunkowo! Tobo było cudownie!

Nie było rady na Connie. I ostatecznie, jeżeli ten człowiek był przez cztery czy pięć lat oficerem w armii indyjskiej, musiał być do pewnego stopnia znośny towarzyszko. Wiodocześnie miał charakter. Hilda poczęła się stawać ustępliwsza.

— Ale po krótkim czasie będziesz go miała dość — rzekła. — A wtedy będziesz się wstydziła, że byłaś z nim związana. Nie można się mieszać z klasą robotniczą.

— Jesteś przecież taką socjalistką. Zawsze stajesz po stronie klasy robotniczej.

— Podczas jakiegoś kryzysu politycznego mogę stawać po jej stronie, ale właśnie dlatego, że staję po stronie tej klasy, wiem, jakie to niemożliwe związać z nią własne życie. Nie idzie tu o pychę, ale że cały rytm życia jest odmienny.

Hilda żyła wśród prawdziwych inteligentów politycznych, więc na nieszczęście niepodobna jej było odpowiedzieć. Nieurozmaicony wieczór w hotelu posuwał się naprzód; wreszcie spożyły równie nieurozmaiconą kolację. Potem Connie spakowała kilka rzeczy do małej torebki jedwabnej i raz jeszcze przyglądała włosy.

— Wiesz, Hildo — rzekła — miłość może być jednak cudowna. Kiedy człowiek czuje, że żyje i znajduje się w samym centrum stworzenia.

Była to z jej strony niemal pycha.

— Przypuszczam, że każdy komar odczuwa to samo — odpowiedziała Hilda.

— Tak sądzisz? Jak to ładnie z jego strony!

Wieczór był cudownie przejrzysty i zanikał powoli, nawet w tym małym miasteczku. Noc zapowiadała się na wpół jasna. Z twarzą, która z niechęci przybrała pozór maski, Hilda puściła znowu w ruch auto; pojechały z powrotem w tę stronę, skąd przyjechały, ale inną drogą, przez Bolsover.

Connie włożyła okulary automobilowe i kask, który nie dawał jej poznać, i siedziała w milczeniu. Wskutek sprzeciwu Hildy stanęła zdecydowanie po stronie mężczyzny, gotowa była wytrwać przy nim w doli i niedoli.

Przejeżdżając przez Crosshill, zapaliły reflektory, a mały oświetlony pociąg, który sapał obok nich na torze, potęgował jeszcze wrażenie, jakoby to była rzeczywiście noc. Hilda obliczyła zawczasu zakręt na drogę na końcu mostu. Zahamowała dość nagle i zjechała z drogi, a lampy rzuciły oślepiająco białe światło na porośniętą trawą drogę żywopłotową. Connie rozejrzała się. Dostrzegła zarys postaci i otworzyła drzwiczki.

— Jesteśmy — rzekła cicho.

Ale Hilda zgasiła lampy i manewrowała autem, aby móc zawrócić.

— Nie ma nic na moście? — zapytała krótko.

— Wszystko w porządku, niech pani jedzie — zabrzmiał głos mężczyzny.

Cofnęła się aż do mostu, potem przejechała kilka metrów po drodze i cofnęła się znowu na szosę pod więz, gniotąc przy tym trawę i paprocie. Potem wszystkie światła pogasły. Connie wysiadła. Mężczyzna stał pod drzewami.

— Długo czekałeś? — zapytała Connie.

— Niezbyt długo — odpowiedział leśniczy.

Czekali oboje, aż Hilda wysiądzie. Ale Hilda zamknęła drzwiczki i siedziała nieruchomo.

— To moja siostra Hilda. Czy nie chcesz wyjść i pomówić chwilę, Hildo? To jest pan Mellors.

Leśniczy uchylił kapelusza, ale nie zbliżył się.

— Chodź, chodź z nami do leśniczówki, Hildo — prosiła Connie. — To niedaleko.

— A auto?

— Ludzie zostawiają spokojnie auta na drodze. Masz przecież klucz.

Hilda milczała i zastanawiała się. Potem obejrzała się za siebie na żywopłotową drogę.

— Czy mogę cofnąć się za ten krzak? — zapytała.

— O, tak — odpowiedział leśniczy.

Cofnęła się wolno przez zakręt, aż nie było jej więcej widać z drogi, potem zamknęła maszynę i wysiadła. Była noc, ale mrok był jasny. Żywopłoty po obydwu stronach nieużywanej drogi wznosiły się wysoko, zdziczałe, i wydawały się bardzo ciemne. W powietrzu była świeża, słodka woń. Leśniczy szedł przodem, za nim Connie, potem Hilda; wszyscy troje milczeli. W niektórych miejscach Mellors przyświecał latarką, potem szli znowu

Pozycja społeczna,  
Robotnik

Miłość, Obraz świata

dalej, podczas gdy nad dębem cicho hukała sowa, a Flossie w milczeniu biegała dokoła małej grupy. Nikt nie mógł mówić. Nie było nic do powiedzenia.

Wreszcie Connie dojrzała żółte światło domu i serce jej zabiło mocniej. Lękała się trochę. Szli dalej, ciągle jeszcze jak Indianie na ścieżce wojennej.

Leśniczy otworzył drzwi i wszedł pierwszy do ciepłego, ale gołego, małego pokoju. Ogień płonął nisko i czerwono na małym kominku. Stół nakryty był dwoma talerzami i dwiema szklankami, tym razem na prawdziwym, białym obrusie. Hilda potrząsnęła włosami i rozejrzała się po pustym, niewesołym pokoju. Potem zebrała się na odwagę i spojrzała na mężczyznę.

Był średniego wzrostu i chudy, uważała, że wygląda dobrze. Leśniczy zachowywał spokojny dystans i nie wydawał się wcale skłonny do mówienia.

— Siadajże, Hildo! — rzekła Connie.

— Tak! — rzekł Mellors. — Czy mogę zagotować herbaty albo czegoś innego? Czy też wolą się panie napić piwa? Jest dość chłodne.

— Piwa! — rzekła Connie.

— Dla mnie także, proszę! — powiedziała Hilda z udaną nieśmiałością.

Leśniczy rzucił na nią okiem i mrugnął.

Potem wziął niebieski dzbanek i wyszedł do spiżarni. Kiedy powrócił, wyraz jego twarzy uległ znowu zmianie.

Connie usiadła przy drzwiach, a Hilda siedziała w fotelu, plecami do okna.

— To jego fotel — rzekła Connie cicho.

Hilda zerwała się jak oparzona.

— Niech panuchna siedzom, niech siedzom! Mogom se przeca panuchna siedzić, kaj chcom. Nicht z nos nie jest takim srogim ponem — rzekł leśniczy z zupełną obojętnością.

Podsunał Hildzie szklankę i nalał najpierw jej z niebieskiego dzbanka.

— Z cygaretkami to kiepsko sprawa — rzekł. — Jo nie mom ani jednej. Ale może panuchna majom swoje własne. Jo nie kurza. Chcesz może co pojeść? — zwrócił się bezpośrednio do Connie. — No, zjysz co, to ci dom? Zawsze przeca cosik jysz.

Mówił dialektem z dziwną, spokojną pewnością siebie, jakby był gospodarzem w karczmie.

— Co jest do jedzenia? — zapytała Connie, rumieniąc się.

— Warzono szynka, syr, zaprowiane łorzechy, jak zechcesz... niewiela.

— Tak — rzekła Connie. — Chcesz także, Hildo?

Hilda spojrzała na niego.

— Dlaczego pan mówi dialektem?

— A czamu nie mom tak godać?

— Przedtem mówił pan przecież zupełnie czystym językiem.

— Doprowdy? A inakszej nie śmia, jeśli mi sie tak podobo? No, no, niechżys mi panuchna dozwołom godać dialektym, jak mi sie tak podobo. No, i jak im to, panuchno, jest za jedno.

— To brzmi trochę sztucznie — rzekła Hilda.

— No ja, to może być. A zaś w Tevershall jeich godka byłaby sztuczno.

Spojrzał na nią znowu, kącikami oczu, z dziwnym, pogardliwym dystansem, jakby chciał powiedzieć: „O Jezusku, a cożeś to ty takiego jest?”

Wyszedł ciężkimi krokami, żeby przynieść jedzenie.

Siostry siedziały w milczeniu. Leśniczy przyniósł jeszcze jeden talerz i nakrycie. Potem rzekł:

— Jak panuchny dozwołom, to sebleka se jakla, boch je do tego przyzwyczajony.

Zdjął kurtkę, powiesił ją na gwoździu, potem siadł przy stole. Miał koszulę z cienkiej, kremowej flaneli.

— A dyc jydzie — rzekł — jydzie śmiało! Nie dejcie sie przeca prosić!

Nakroił chleba, potem siedział nieruchomo. Hilda czuła, podobnie jak niegdyś czuła Connie, potęgę jego milczenia i oddalenia. Widziała jego małą, delikatnie-nerwową, niedbałą dłoń na stole. Nie był to zwyczajny robotnik, nie: on grał, on grał komedię!

— W każdym razie — rzekła, biorąc kawałek sera — byłoby o wiele naturalniejsze, gdyby pan mówił zwykłym językiem, nie dialektem.

Leśniczy spojrzał na nią i wyczuł jej diabelską wolę.

— Naprawdę? — rzekł bez śladu dialektu. — Byłoby to naturalniejsze? Czy cokolwiek, co mogłoby być powiedziane pomiędzy panią a mną, mogłoby być naturalne, z wyjątkiem, gdyby pani powiedziała, że pragnie pani, aby mnie byli diabli porwali, zanim siostra pani zobaczyła mnie po raz pierwszy, a ja odpowiedziałbym pani coś równie uprzejmego? Czy cokolwiek innego byłoby zupełnie naturalne?

— O tak! — rzekła Hilda. — Po prostu dobre maniery byłyby zupełnie naturalne.

— Druga natura, że tak powiem — odpowiedział Mellors. Potem zaczął się śmiać. — E — rzekł — dosyć mam fajnych manier, dejcie mi już z tym pokój!

Hilda była szczerze stropiona i zła do wściekłości. Ostatecznie mógł przecież naprawdę okazać, iż rozumie, że to dla niego zaszczyt. Tymczasem jego komedia i pańskie zachowanie sprawiały wrażenie, jakby mu się zdawało, że to on okazuje zaszczyt. Po prostu zuchwałstwo! Biedna, zbląkana Connie w kleszczach tego człowieka.

Wszyscy troje jedli w milczeniu. Hilda zwracała uwagę na jego zachowanie przy jedzeniu. Wbrew woli musiała przyznać, że instynktownie okazywał się o wiele bardziej subtelny i dobrze wychowany niż ona. Ona posiadała pewną ociężałość szkocką, podczas gdy on odznaczał się absolutną, spokojną, zadowoloną z siebie pewnością Anglika. Bardzo trudno będzie osiągnąć nad nim przewagę. Ale i on nad nią nie osiągnie przewagi!

— I sądzi pan naprawdę — zapytała nieco życzliwiej — że jest to warte takiego ryzyka?

— Co takiego jest warte ryzyka?

— Ta eskapada z moją siostrą.

Na twarzy jego wykwitł znowu denerwujący uśmiešek.

— Ło to sie panuchna muszom łonej spytać.

Potem spojrzął na Connie.

— Przychodzisz z dobrej woli, dziolszko, prawda? Przeca cie nie przimuszom, co?

Connie rzuciła okiem na Hildę.

— Nie zrzędź lepiej, Hildo!

— Nie mam oczywiście tego zamiaru. Ale ktoś musi przecież myśleć o przyszłości. Twoje życie musi przecież mieć jakąś stałość. Nie możesz nim po prostu szastać do woli.

Nastąpiła krótka pauza.

— Ja, stałość! — rzekł leśniczy. — A cóż to jest? Jako to stałość jest w jeich życiu, panuchno? Słyszotech, że sie łoni łozwodzom. I cóż to za tako stałość? Stałość jeich samolubstwa. To im moga prziznać. A co im to pomoże? Głowa im sie zmonci od takiej stałości, zanim się zestarzejom. Samolubna kobita i uparto do tego, ja, to fajno stałość! Dzieńka Bogu, że to nie jo musza sie z śnimi tropić!

— Jakie pan ma prawo mówić do mnie w ten sposób? — zawołała Hilda.

— Cego, prawo? A jakież to łoni, panuchno, majom prawo, żeby inkszych ludzi zaprzongać do jeich stałości? Łostawiom oni jeny inkszym ludziom ich własno stałość.

— Mój poczcziwy człowieku, nie sądzi pan chyba, że idzie mi tu o pana? — zapytała Hilda łagodnie.

— No dyć! A ło kogóžby inkszego? — odparł Mellors. — Przeca panuchna som do tego przimuszyni. Przeca panuchna som już prawie jakby mojom szwagierkom.

— Od tego jestem jeszcze bardzo daleko, zapewniam pana.

— Nie tak zaś daleko, nie, *jo* im to padom. Znajom przeca dobrze moja stałość, to mogom wierzyć moim słowom. Moja stałość już tam jest lepszo łod waszej. A jeśli jeich siostra sama ku mnie przychodzi z kuli tego ździebka uciechy, to już tam łona wie, cego chce. Była już w moim łóžku. Kej łoni, panuchno, dzieńka Bogu, jeszcze nie byli pomimo jeich stałości.

Zapadło śmiertelne milczenie, potem leśniczy ciągnął:

— O, jo tam nie nosza galot zadkiem do przodku, a jak mi nieroz cosik z nieba sleci, to dzieńkuja za to Bogu. Ta dziolszka poradzi dać chłopu mocka uciechy, ło wiela wiecej, niżby to poradziła tako panuchna. I wielgo szkoda, bo łoniby tyž mogli być dobrym jabłuszkiem w łóžku, miast być pieknym a dzikim jabłkiem w lesie. Takie kobity jak łoni, panuchno, potrzebujom porzondnego przeszcepienio.

Spojrzął na nią z dziwnym, przelotnym uśmiechem, nieco zmysłowo i z uznaniem.

— A tacy mężczyźni, jak pan — rzekła Hilda — powinni być trzymani w odosobnieniu. Usiłuje pan tylko usprawiedliwić swoją własną wulgarność i egoistyczne zachcianki.

— No toć, panuchno! I jest to prawdziwe błogosławieństwo, że jest jeszcze pora takich chłopów jak jo. Ale łoni, panuchno, zasługujom na to, co ich spotyko: że łostanom blank samotno!

Hilda wstała i zbliżyła się do drzwi. Leśniczy powstał także i zdjął kurtkę z gwoździa.

— Sama znajdę drogę — rzekła Hilda.

— Wątpia! — odpowiedział Mellors swobodnie.

Szli znowu w milczeniu śmiesznym marszem gęśnego wzdłuż żywopłotów. Sowa ciągle jeszcze hukała. Mellors wiedział, że powinien ją ustrzelić.

Auto stało nietknięte, nieco wilgotne od rosy. Hilda wsiadła i puściła motor w ruch. Connie i Mellors czekali.

— Uważam tylko — rzekła Hilda z za swego szańca — iż należy wątpić, czy dojdziecie oboje do wniosku, że to było warte trudu!

— Co lo jednygo jest kęskiem mięsa, to lo drugiego jest truciznom — rzekł leśniczy z mroku. — Lo mnie to jest mięso i wino.

Światło reflektorów zapłonęło.

— Nie daj mi długo czekać jutro rano, Connie!

— Nie, nie. Dobranoc.

Auto wyjechało wolno na szosę i oddaliło się szybko, pozostawiając za sobą noc i milczenie.

Connie lekliwie ujęła jego ramię i ruszyli razem z powrotem. Mellors nie mówił nic. Wreszcie zmusiła go do zatrzymania się.

— Pocałuj mnie! — szepnęła.

— Nie, dockaj chwilecka! Daj mi przódzi zdziebko łochłonońć! — rzekł Mellors.

Ubawiło ją to. Ciągle jeszcze trzymała jego ramię, szli szybko i milcząco. Była tak rada, że właśnie teraz znajduje się przy nim! Wzdrygała się na myśl, że Hilda mogła ją ostatecznie oderwać od niego. Leśniczy był niezbadanie milczący.

Kiedy znaleźli się znowu w leśniczówce, Connie skakała niemal z radości, że się pozbyli siostry.

— Okropny byłeś jednak dla Hildy — rzekła.

— Noleżały jej sie przeca roz porzondne baty.

— Ale dlaczego? Jest przecież taka ładna!

Leśniczy nie odpowiedział. Kręcił się po pokoju i spokojnymi, niejako nieuchronnymi ruchami przygotowywał wszystko na noc. Zewnętrznie był zagniewany, ale nie na nią. To Connie czuła. A gniew nadawał mu szczególnie ładny wygląd, było w nim jakieś wewnętrzne zamknięcie, jakiś blask, który podniecał ją głęboko i sprawiał, że członki jej mdlały.

Ale on nie zwracał na nią uwagi.

Wreszcie usiadł i począł rozsznurowywać trzewiki. Spojrzał na nią spod brwi, na których ciągle jeszcze wisiał gniew.

— Nie pódziesz na wierch? — zapytał. — Tam jest świecka.

Ruchem głowy wskazał świecę, palącą się na stole.

Connie wzięła ją posłusznie, a on obserwował pełną krągłość jej bioder, kiedy wchodziła po pierwszych stopniach.

Była to noc zmysłowej namiętności, a Connie czuła się nieco przerażona, prawie niechętna: a jednak aż do głębi przeniknięta wzburzającym dreszczem zmysłowości, innym, ostrzejszym, przeraźliwszym niżeli dreszcz czułości, ale w tej chwili bardziej pożądanym. Choć zalekniona nieco, folgowała jego woli, a niezatroskana, nieznająca wstydu zmysłowość wstrząsała nią aż do rdzenia duszy, rozbierała ją aż do absolutnej nagości, czyniła z niej inną kobietę. Nie była to prawdziwa miłość. Nie była to rozkosz. Była to zmysłowość, ostra i piekąca jak ogień, zmysłowość, w której dusza spalała się na popiół.

W zmysłowości tej spalał się cały wstyd, ów najgłębszy, najstarszy wstyd najtajemniejszych miejsc. Connie musiała się przezwyciężać, aby pozwolić mu robić ze sobą wszystko, co chciał. Musiała się stać bierną, powolną istotą, jak niewolnica, fizyczna niewolnica. Ale namiętność opętała ją i trawiła, a gdy zmysłowy płomień przeniknął przez jej trzewia i piersi, zdawało się jej naprawdę, że musi umrzeć: ale gorącą, cudowną śmiercią.

Nieraz zadawała sobie pytanie, co miał na myśli Abelard<sup>83</sup>, mówiąc, że w czasie swego

Miłość, Seks, Ciało

roku miłości on i Heloiza przebiegli wszystkie stadia i wysubtelnienia namiętności. To samo zupełnie przed tysiącem lat, to samo przed dziesięciu tysiącami lat! To samo na wazach greckich, wszędzie! Wysubtelnienie namiętności, wyuzdanie zmysłów! Konieczne, wieszcie konieczne, aby spalić fałszywy wstyd i wytopić do czysta najcięższą rudę ciała. Ogniem niezmaconej zmysłowości.

Podczas tej krótkiej nocy letniej nauczyła się wiele. Sądziła, że kobieta umarłaby przy tym ze wstydu. Ów wstyd, który jest lękiem, najgłębiej zakorzeniony, organiczny wstyd, stary, fizyczny lęk, który czyha w naszych korzeniach cielesnych i może być wypędzony tylko przez ogień zmysłów — ów wstyd był wreszcie wytrzebiony i wygnany przez falliczne łowy męczyzny, a kobieta dotarła do rdzenia, do serca tkwiącej w niej dżungli. Czula teraz, że dotarła do prawdziwego podkładu swojej natury i w głębiach swej istoty wyzbyła się wstydu. Stała się swoją jaźnią zmysłową, nagą i bez wstydu. Doznawała triumfu o wyuzdanej niemal pysze. Tak! Więc to było to! To było życie! Więc taką było się naprawdę! Nie było w człowieku nic, co musiałby ukrywać, czego by się musiał wstydzić. Dzieliła swoją najdalszą nagość z mężczyzną, z obcą istotą.

I jakim bezwzględny szatanem był ten mężczyzna! Naprawdę szatanem! Trzeba było być silną, aby go znieść. Ale trzeba było tego, aby dotrzeć do wnętrza dżungli fizycznej, do najdalszego i najgłębszego schroniska organicznego wstydu. Tylko fallus mógł te tajniki rozewrzeć. I jakże on w nią przeniknął!

Jak ona tego w trwodze nienawidziła! A jak w istocie pożądała tego! Teraz wiedziała. W głębinach duszy, u samych jej podstaw, potrzeba jej było tego fallicznego zaklęcia, potajemnie tęskniła za nim i sądziła, że nigdy nie stanie się ono jej udziałem. A oto zjawilo się i mężczyzna dzielił z nią jej najsakrajniejszą i najdalszą nagość. Była wolna od wstydu.

Jakimiż kłamcami byli poeci i wszyscy ludzie! Wmawiali człowiekowi, że pragnie uczucia, gdy w istocie tym, czego najbardziej pożądał, była owa przenikająca, trawiąca, niemal straszliwa zmysłowość. Znaleźć mężczyznę, który poważy się to uczynić, bez wstydu lub grzechu, lub późniejszego gniewu! Gdyby się potem wstydział albo wzbudził w niej uczucie wstydu, jakież by to było okropne! Szkoda, że większość mężczyzn miała taką psią naturę, że byli tacy wstydliwi, jak Clifford! Nawet jak Michaelis! Obaj mieli naturę psią, poniżającą. Najwyższa radość ducha! Cóż to znaczy dla kobiety? Cóż to w istocie znaczy nawet dla mężczyzny? Stawał się tylko nieczysty, zagmatwany i psi, nawet w swoim duchu. Trzeba było bezwarunkowej zmysłowości, nawet aby oczyścić i ożywić ducha. Bezwarunkowej, ognistej zmysłowości, a nie zagmatwanej nieczystości.

Ach, Boże, jakimże dziwnym stworzeniem był mężczyzna! Wszyscy byli psami, biegnącymi dokoła, węszącymi i spółkującymi. Znaleźć mężczyznę, który się nie lękał i nie wstydział! Patrzyła na niego teraz, jak spał, tak bardzo podobny do śpiącego dzikiego zwierzęcia. Przytuliła się do niego czule, aby nie być od niego daleko.

Aż wreszcie przebudzenie jego zbudziło ją zupełnie. Siedział na łóżku i patrzył na nią. W oczach jego widziała własną nagość, jego bezpośrednią świadomość tej nagości. O, jakaż to była rozkosz, jaka wspaniałość posiadać członki i ciało, leżące na wpół we śnie, ociężałe, ociężałe i przepojone namiętnością!

— Czy czas już wstawać? — zapytała.

— Wpół do siódmej.

O ósmej miała być na moście. Zawsze, zawsze, zawsze ten mus!

— Mogłbym ugotować śniadanie i przynieść ci — rzekł. — Dobrze?

— O, tak!

Na dole Flossie skomlała cicho. Mellors wyskoczył z łóżka, zrzucił piżamę i wytarł ciało ręcznikiem. Gdy człowiek pełen jest odwagi i życia, jaki jest wówczas piękny! Tak myślała Connie, przyglądając mu się w milczeniu.

— Rozsuń firanki, dobrze?

Słońce padało już na delikatnie zielone poranne listeczki, a tuż blisko widniał niebieskawy, świeży las. Connie usiadła na łóżku i jak we śnie wyjrzała przez okienko, ściskając

Wstyd, Seks, Wolność,  
Kondycja ludzka

<sup>83</sup>Abélard, Pierre (1079–1142) — średniowieczny filozof i teolog, wybitny nauczyciel, jeden z prekursorów scholastyki; znany także z burzliwego romanu z Heloizą i potajemnego małżeństwa z nią. [przypis edytorski]

nagimi ramionami swoje nagie piersi. Leśniczy ubrał się, Connie myślała marzycielsko o życiu, o życiu z nim: po prostu o życiu.

Mellors uciekał przed jej niebezpieczną, skuloną nagością.

— Czy ja zgubiłam koszulę nocną? — zapytała Connie.

Mellors sięgnął ręką pod kołdrę i wyciągnął kawałek cieniutkiego jak pajęczyna jedwabiu.

— Od razu wiedziałem, czułem coś jedwabnego przy nogach — rzekł.

Ale koszula nocna była prawie zupełnie podarta.

— To nic! — rzekła Connie. — Tu jest jej właściwe miejsce. Zostawię ją tutaj.

— Tak, zostaw ją, połóż ją sobie w nocy między nogami, dla towarzystwa. Nie ma na niej chyba monogramu ani innego znaku, prawda?

Connie narzuciła podartą koszulkę i siedziała, patrząc z rozmarzeniem przez okno. Było otwarte, powietrze poranne płynęło do pokoju wraz z dźwiękiem ptaszęcych głosów. Ptaki latały nieustannie za oknem. Potem zobaczyła Flossie. Był ranek.

Słyszała, jak Mellors rozpałał na dole ogień, jak nabierał wody i wyszedł przez tylne drzwi. Z wolna docierał do niej zapach smażonej słoniny, a wreszcie leśniczy wszedł na górę z wielką czarną tacą, która ledwo zmieściła się w drzwiach. Postawił tacę na łóżku i nalał herbaty. Connie siedziała w podartej koszuli nocnej i chciwie zabrała się do śniadania. On siedział na jedynym krześle, trzymając talerz na kolanach.

— Jak to miło! — rzekła Connie. — Jak to pięknie jeść razem śniadanie!

Mellors jadł w milczeniu, myśli jego skierowane były na czas, który upływał szybko. Connie przypomniała sobie o wyjeździe.

— O, jakżebym pragnęła móc pozostać tutaj u ciebie, a Wragby żeby było odległe o tysiąc mil! Uciekam właściwie od Wragby. Wiesz o tym przecież, prawda?

— Tak!

— I przyrzekasz mi, że będziemy razem, że będziemy wiedli wspólne życie, ty i ja? Przyrzekasz mi to, prawda?

— Tak! Jeżeli będziemy mogli.

— Tak! I *będziemy* tak żyli, *będziemy*, prawda?

Schyliła się, rozlewając herbatę i pochwyciła jego rękę.

— Tak! — odpowiedział, wycierając rozlaną herbatę.

— Nie możemy przecież nie żyć razem, teraz już nie możemy, prawda? — powiedziała błagalnie.

Spojrzał na nią z przelotnym, ironicznym uśmiechem.

— Nie! — odpowiedział. — Ale za dwadzieścia pięć minut musisz wyjść.

— Muszę? — zawołała Connie.

Nagle Mellors podniósł ostrzegawczo palec i wstał.

Milcząc, odstawił talerz na tacę i zszedł na dół. Constance słyszała, jak szedł ścieżką ogrodową. Z daleka rozległ się dzwonek roweru.

— Dobry dzień, Mellors! Mom lo nich polecony listek!

— Ach tak! Majom łoówek?

— Ja! Sam trza podpisać!

Pauza.

— Z Kanady! — rzekł głos nieznajomego.

— Dyć! To łołd mojego kolegi z Kolumbii Brytyjskiej. Nie wiem, czamu pisoł listek polecony.

— Można przysyło majątek.

— Prendzjz wierza łołn cegoś potrzebuje.

Pauza.

— Ja! Piekny mamy dzisiok dzień!

— Dyć!

— Toż dowidzynio!

— Dowidzynio!

Po chwili powrócił na górę, trochę zły.

— Listonosz — rzekł.

— Tak wcześniej? — odpowiedziała Connie.

— Ma wielki obchód. Przeważnie jest tu już o siódmej, jeżeli w ogóle przychodzi.

— Czy twój kolega przysłał ci majątek?  
— Nie! Tylko kilka fotografii i wycinków o życiu w Kolumbii Brytyjskiej.  
— Pojechałbyś tam?  
— Myślę, że moglibyśmy spróbować.  
— O, tak! Tobo chyba było cudowne!

Ale on był zakłopotany przyjsciem listonosza.

— Ci przekłęci cykliści! Spadają człowiekowi na kark, zanim się spostrzeże. Mam nadzieję, że nic nie zauważył.

— A cóż by mógł zauważyć?

— Musisz teraz wstać i przygotować się do drogi. Wyjdę na chwilę, żeby się trochę rozejrzeć.

Widziała, jak badał drogę żywoplotową, z psem i fuzją. Zeszła na dół, umyła się, a kiedy leśniczy powrócił, była gotowa i spakowała już wszystko do swojej jedwabnej torebki.

Mellors zamknął drzwi domu, i wyruszyli w drogę, ale nie wzdłuż żywoplotów, lecz przez las. Był ostrożny.

— Czy i ty nie sądzisz, że żyje się dla takich chwil, jak dzisiejsza noc? — zapytała Connie.

— Tak! Ale trzeba myśleć i o innych chwilach — odpowiedział leśniczy dość lakonicznie.

Szli dalej zarośniętą ścieżką, on przodem, milczący.

— I będziemy żyli razem i stworzymy sobie z tego wspólne życie, prawda? — błagała Connie.

— Tak! — odpowiedział leśniczy, idąc dalej i nie oglądając się. — Kiedy nadejdzie pora na to. Teraz właśnie odjeżdżasz do Wenecji czy Bóg wie gdzie.

Szła za nim w milczeniu, ze strwożonym sercem. O, teraz żałowała, że odjeżdża!

Wreszcie Mellors zatrzymał się.

— Przejdę teraz tam — rzekł i wskazał w prawo.

Lecz ona otoczyła szyję jego ramionami i przytuliła się do niego.

— Ale zachowasz dla mnie swoją czułość, prawda? — szepnęła. — Ta ostatnia noc była cudowna. Zachowasz dla mnie swoją czułość, prawda?

Mellors pocałował ją i przez chwilę trzymał ją w objęciu. Potem westchnął i pocałował ją znowu.

— Muszę iść zobaczyć, czy auto już przyjechało.

Przeszedł przez niskie ciernisko i przez krzaki, pozostawiając za sobą ślad w paprociach. Nie było go przez minutę czy dwie. Potem powrócił.

— Auto jeszcze nie ma — rzekł. — Ale na szosie jest wóz piekarza.

Wydawał się zalekniony i zatroskany.

— Słuchaj!

Usłyszeli sygnały zbliżającego się auta. Zatrzymało się na moście.

W bezgranicznym smutku Connie przeszła po jego śladach przez paprocie i stanęła przed wysokim żywoplotem ostrokrzewowym.

Mellors był tuż za nią.

— Tutaj! Przejdź tutaj! — rzekł, wskazując wyrwę w żywoplotcie. — Ja nie wyjdę na drogę.

Spojrzała na niego z rozpaczą. Ale on pocałował ją i popchnął naprzód.

W najwyższym przygnębieniu przeszła przez dziurę w żywoplotcie, potem przez drewniany parkan, potykając się, przelazła przez rów i wyszła na szosę, gdzie Hilda wysiadła właśnie z gniewem z auta.

— Jesteś nareszcie! — rzekła Hilda. — A gdzie on?

— On nie przyjdzie.

Twarz Connie zalana była łzami, kiedy z małą torebką wsiadała do auta. Hilda podała jej okulary samochodowe i kask.

— Włóż to! — rzekła.

Connie włożyła szybko zmieniające ją nie do poznania okulary i kask, potem długi płaszcz automobilowy i usiadła — z nieruchomym wzrokiem, nieludzka, nierozpoznawalna istota. Hilda z fachową wprawą puściła auto w ruch.



Minęły żywopłotową drogę i pomknęły w dół szosy. Connie obejrzała się, ale jego nie było widać. W dal! W dal! Siedziała zalana gorzkimi łzami. Rozstanie przyszło tak nagle, tak niespodziewanie. Jak śmierć.

— Dzięki Bogu, że przez pewien czas będziesz z dala od niego! — rzekła Hilda, wjeżdżając w boczną drogę, aby ominąć wieś Crosshill.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

— Widzisz, Hildo — rzekła Connie po obiedzie, kiedy się zbliżały do Londynu — ty nie znałaś nigdy prawdziwej czułości ani prawdziwej zmysłowości. Ale gdybyś ich kiedy zaznała, i to od tego samego mężczyzny, patrzyłaś na rzeczy inaczej.

— Na Boga, nie pysznijże się swoimi doświadczeniami! — zawołała Hilda. — Nigdy nie spotkałam mężczyzny, który byłby zdolny do poufałości z kobietą, a przy tym oddawałby się jej zupełnie, a tego właśnie chciałam. Nie jestem łasa na samolubną czułość mężczyzn ani na ich zmysłowość. Nie zadowala mnie rola zabawki jakiegoś mężczyzny, nie chcę być dla nikogo *chair à plaisir*<sup>84</sup>. Pragnęłam idealnej poufałości, ale nigdy jej nie osiągnęłam. To mi wystarcza.

Connie zastanowiła się nad tym. Idealna poufałość! Domyślała się, iż znaczy to, że się drugiemu człowiekowi opowiada wszystko, co nas dotyczy, i że tamten tak samo odsłania przed nami wszystko, co dotyczy jego. Ale to była sprawa bardzo jałowa. I całe to puste wzajemne uświadamianie sobie siebie pomiędzy mężczyzną a kobietą! Zaraza!

— Sądzę, że zawsze, z kimkolwiek miałaś do czynienia, byłaś zbyt świadoma siebie — powiedziała do siostry.

— Spodziewam się przynajmniej, że nie mam natury niewolnicy — odparła Hilda.

— A jednak może masz! Może jesteś niewolnicą własnego wyobrażenia o sobie.

Po tak niesłychanej bezczelności ze strony tej smarkatej Connie, Hilda jechała przez pewien czas w milczeniu.

— W każdym razie nie jestem niewolnicą wyobrażenia, jakie ktoś inny ma o mnie, a ten ktoś inny nie jest służącym mego męża — odpowiedziała wreszcie z brutalnym gniewem.

— Widzisz, tak właśnie nie jest — rzekła Connie spokojnie.

Zawsze pozwalała się opanowywać przez starszą siostrę. Teraz, chociaż płakała w duchu, była wolna od władzy *innych kobiet*. Ach! Już to samo było wyzwoleniem, jakby się zostało obdarzoną drugim życiem: być wolną od owej dziwnej władzy, od owego opętania przez *inne kobiety*. Jakie okropne były kobiety!

Cieszyła się na przebywanie razem z ojcem, którego ulubienicą była zawsze. Zatrzymały się z Hildą w małym hotelu w pobliżu Pall Mall, zaś Sir Malcolm mieszkał w swoim klubie. Ale wieczorami wychodził z córkami, a one chętnie wychodziły z nim.

Ciągle jeszcze był barczysty i okazały, chociaż nowy świat, jaki powstał wokół niego, wprawiał go w lekkie zaleknienie. Poślubił w Szkocji drugą żonę, młodszą od niego i bogatszą. Ale w miarę możliwości starał się spędzać jak najwięcej urlopów z dala od niej. Zupełnie tak samo, jak robił podczas swego pierwszego małżeństwa.

Connie siedziała obok niego w operze. Był średnio otyły i miał tęgie uda, ale ciągle jeszcze były one silne: uda zdrowego mężczyzny, który zawsze znajdował przyjemność w życiu. Jego dobroduszny egoizm, jego uparta niezależność, jego nieznaną skrupułów zmysłowość — Connie miała wrażenie, że wszystko to widzi w tych silnie zbudowanych, prostych udach. Po prostu mężczyzna! Który jednak teraz stał się starym mężczyzną, i to było smutne. Gdyż w jego silnych, grubych nogach męskich nie było ani śladu owej żywej zdolności odczuwania i potęgi czułości, które stanowią prawdziwą istotę młodości, nie było ani śladu owego czegoś, co nie umiera nigdy, jeżeli raz istniało.

Connie teraz dopiero poczęła dostrzegać istnienie nóg. Stały się dla niej ważniejsze niż twarze, które wszak dzisiaj nie posiadają już zbyt wiele cech z rzeczywistości. Jak mało ludzi miało żywe, pełne życia nogi! Przyglądała się mężczyznom na parterze. Wielkie, galaretowate uda w czarnym, wzdętym suknie albo chude, drewniane pręty w czarnej żalobie, albo zgrabne, młode nogi bez najmniejszego znaczenia, bez zmysłowości i bez czułości, bez zdolności odczuwania, po prostu chodzące przyzwyczajenie w kształcie nóg.

Ciało

<sup>84</sup>*chair à plaisir* (fr.) — ciało (dosł. mięso, miąższ) dla przyjemności. [przypis edytorski]

Nawet ani śladu zmysłowości, jak u jej ojca. Wszyscy oni byli załęcznieni, tak załęcznieni, że ledwo jeszcze istnieli.

Ale kobiety nie były załęcznione. Te przeraźliwe wiatraki, jakimi była większość kobiet! Naprawdę gorszące, naprawdę na tyle gorszące, aby usprawiedliwić morderstwo. Albo te biedne, chude patyki! Albo te zgrabne, miłe istotki w jedwabnych pończochach bez najmniejszego śladu życia. Ohydna rzecz, te miliony bezdusznych nóg, drepających bezdusznie!

Ale Connie nie czuła się nigdy szczęśliwa w Londynie. Ludzie wydawali się tacy upiorni i puści. Nie posiadali żywej radości, choćby nie wiedzieć jak zgrabnie wyglądali. Wszystko to było straszne. A Connie posiadała ślepe, kobiece pragnienie szczęścia, pragnienie, aby być pewną szczęścia.

W Paryżu czuła przynajmniej trochę zmysłowości. Ale jakaż to była nużąca, zmęczona, wyczerpana zmysłowość! Wyczerpana brakiem czułości. O, Paryż był posępny. Jedno z najsmutniejszych miast. Znudzone swoją mechaniczną już teraz zmysłowością, znudzone napięciem pieniądza, pieniądza, pieniądza, znudzone nawet gniewem i zrozumiałością, po prostu śmiertelnie wyczerpane i ciągle jeszcze nie dość zamerykanizowane lub zlondynizowane, aby ukryć zmęczenie pod mechanicznym podrygiwaniem. Ach, ci mężczyźni, spacerowicze, ci flirtarze, ci zjadacze smacznych obiadków! Jacy oni byli znużeni, jacy znużeni, jacy zużyty z braku odrobiny czułości, dawanej i otrzymywanej! Dzielne, niekiedy czarujące kobiety wiedziały to i owo o zmysłowej rzeczywistości: pod tym względem były silniejsze od swoich mechanicznie podrygujących siostr angielskich. Ale jeszcze mniej wiedziały o czułości. Wyszuszone przez nieskończone, suche napięcie woli, i one stawały się coraz bardziej zużyte. Ludzkość po prostu coraz bardziej się zużywała! Może stanie się kiedyś burzycielska. Rodzaj jakiejś anarchii! Clifford i jego konserwatywna anarchia! Może nie będzie ona już długo konserwatywna. Może rozwinie się w bardzo radykalną anarchię.

Connie zauważyła, że wzdraga się i czuje lęk przed światem. Niekiedy była przez krótką chwilę szczęśliwa: na bulwarach, albo w Lasku<sup>85</sup>, albo w Ogrodzie Luksemburskim<sup>86</sup>. Ale Paryż był już pełen Amerykanów i Anglików, dziwnych Amerykanów w najdziwniejszych strojach, i zwykłych, ponurych Anglików, którzy za granicą zachowują się tak posępnie.

Rada była, jadąc dalej. Zrobiło się nagle gorąco, więc Hilda skierowała się przez Szwajcarię, potem przez Brenner, dalej przez Dolomity do Wenecji. Hilda lubiła to wydawanie zarządzeń i szoferowanie, lubiła być kierowniczką imprez. Connie była zadowolona, że mogła się zachowywać cicho.

Podróż była naprawdę bardzo miła. Connie powiadała sobie jednak ciągle: „Dlaczego mi na tym wszystkim tak zupełnie nie zależy? Dlaczego nie jestem naprawdę przejęta? Jakże to straszne, że nie mam już wcale zrozumienia dla pięknych okolic! Ale tak jest. Jest to straszne. Jestem niby święty Bernard<sup>87</sup>, który potrafił żeglować po Jeziorze Czterech Kantonów, nie widząc wcale, że były tam góry i zielone wody. Po prostu nie zależy mi już zupełnie na pięknych okolicach. Po co się w nie wpatrywać? Po co? Nie chce mi się”.

Nie, nie widziała życia we Francji, ani w Szwajcarii, ani w Tyrolu, ani we Włoszech. Po prostu przejeżdżała te wszystkie kraje. I wszystko to było mniej rzeczywiste niż Wragby. Mniej rzeczywiste niż ohydne Wragby! Czuła, że nie zależało jej wcale na tym, czy zobaczy jeszcze kiedy Francję albo Włochy, albo Szwajcarię. Wragby było bardziej rzeczywiste.

A ludzie! Ludzie byli wszyscy jednakowi, z bardzo małymi różnicami. Wszyscy chcieli wydusić z człowieka pieniądze albo jeżeli byli w podróży, chcieli używać za wszelką cenę, jakby musieli wycisnąć z kamienia krew. Biedne góry! Biedne krajobrazy! Musiały się dawać ciągle wysysać, aby dostarczyć sensacji, rozkoszy. Do czego właściwie ludzie zmierzali z tą wprost *zdecydowaną* wolą używania?

<sup>85</sup>Lasek Buloński (fr. *Bois de Boulogne*) — rozległy park położony w 16. dzielnicy Paryża. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>Ogród Luksemburski (fr. *Jardin du Luxembourg*) — park miejski w Paryżu w 6. dzielnicy, założony w 1630 r., okalający Pałac Luksemburski, obecnie siedzibę Senatu Republiki Francuskiej; słynie z rzeźb i elementów architektonicznych, z Fontanną Medyceuszki na czele. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>Bernard z Clairvaux (1090–1153) — członek zakonu cystersów; opat klasztoru w Clairvaux, filozof i teolog, ojciec mistyki średniowiecznej; święty katolicki. [przypis edytorski]

„Nie! — powiadała sobie Connie. — Wolałabym być we Wragby, gdzie mogę przechadzać się w spokoju i nie gapić się na nic, gdzie niczego nie potrzebuję niszczyć. Ta turystyczna żądza zachwycania się jest tak beznadziejnie poniżająca!”

Pragnęła powrócić do Wragby, nawet do Clifforda, nawet do tego biednego kaleki Clifforda. On w każdym razie nie był takim głupcem, jak ta wałęsająca się wszędzie hałastrą turystów.

Ale w wewnętrznej świadomości zachowywała kontakt z tamtym mężczyzną. Nie wolno jej było zerwać niebacznie swojego związku z nim. O, nie wolno jej było wyzbyć się go, gdyż inaczej byłaby zgubiona, zupełnie zgubiona w tym świecie wulgarnych ludzi i łowców przyjemności. Ach, ci łowcy przyjemności! Ach, te przyjemności! I to było także jedną z nowoczesnych chorób.

Siostry pozostawiły auto w garażu w Mestre<sup>88</sup> i udały się regularnym parowcem do Wenecji. Było cudowne popołudnie letnie. Płytką laguna falowała lekko, mimo pełnego światła słonecznego Wenecja, zwrócona do nich tyłem poza wodą, tonęła zupełnie w oparach.

Na wybrzeżu dworcowym wsiadły do gondoli i podały przewoźnikowi adres. Był to prawdziwy gondolier w biało-niebieskiej bluzie, wyglądał nieszczerólnie, w każdym razie nie robił wielkiego wrażenia.

— Tak! Villa Esmeralda! Tak! Znam ją! Przewoziłem tam gondolą pewnego pana. Spory to kawałek drogi stąd!

Wydawał się młodzieńcem dość dziecinny, porywczym. Wiosłował z przesadną gwałtownością po ciemnych kanałach bocznych z ohydnyimi, mulisto zielonymi murami, po kanałach wiodących przez ubogie dzielnice, gdzie w górze wisi na sznurach bielizna, a wszędzie panuje słabszy lub silniejszy zapach kloaczny.

Przybyły jednak wreszcie na szersze kanały, zaopatrzone z obu stron w chodniki, poprzecinane łukowatymi mostami, wiodące wprost i pod prostymi kątemi do Canale Grande<sup>89</sup>. Siostry siedziały pod małym daszkiem płóciennym, gondolier stał na swoim wzniesionym miejscu za nimi.

— Czy *signorine*<sup>90</sup> zostaną długo w Villa Esmeralda? — zapytał, wiosłując powolniej i ocierając spoconą twarz niebiesko-białą chusteczką.

— Około trzech tygodni. Jesteśmy obie zameżne — odpowiedziała Hilda swoim dziwnie stłumionym głosem, przy którym włoska jej wymowa brzmiała bardzo obco.

— Ah! Trzy tygodnie! — rzekł gondolier. Nastąpiła długa pauza, potem zapytał znowu: — Czy *signore*<sup>91</sup> potrzebują gondoliera na te trzy tygodnie, które spędzą w Villa Esmeralda? Może na dni albo na tygodnie?

Connie i Hilda zastanowiły się. W Wenecji najlepiej jest zawsze mieć własną gondolę, jak na wsi najlepiej jest mieć własne auto.

— A co jest w willi? Jakie łódzie?

— Jest łódź motorowa, gondola również, ale...

To *ale* znaczyło: nie będą one waszą własnością.

— Ile pan żąda?

Wyniosło to około trzydziestu szylingów dziennie albo dziesięć funtów tygodniowo.

— Czy to jest normalna cena? — zapytała Hilda.

— Mniej, *signora*, mniej. Normalna cena...

Siostry zastanowiły się.

— Dobrze — rzekła Hilda — niech pan przyjdzie jutro rano, a załatwimy to. Jak się pan nazywa?

Nazywał się Giovanni i zapytał, o której ma przyjść, a potem, komu zameldować, że czeka. Hilda nie miała przy sobie karty. Connie dała mu swoją. Rzucił na nią szybkie spojrzenie gorących, południowych, niebieskich oczu, potem znowu podniósł wzrok:

<sup>88</sup>Mestre — do 1926 r. samodzielne miasto, dziś położona na stałym lądzie część Wenecji, połączona z częścią wyspowa połączona Mostem Wolności (*Ponte Della Libertà*). [przypis edytorski]

<sup>89</sup>Canale Grande — cieśnina w kształcie odwróconej litery „S” o długości 3,8 km, szerokości 30–60 m i głębokości do 6 m., dzieląca na dwie części Wenecję, przepływająca przez jej środek. Zbudowany na jej bazie kanał powstał w XV w., oba brzegi łączy kilka mostów, wzdłuż kanału, fasadami w stronę wody, stoją zabytkowe pałace i kościoły pochodzące z XIII–XVII w. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*signorine* (wł.) — panny. [przypis edytorski]

<sup>91</sup>*signore* (wł.) — panie. [przypis edytorski]

— Ach! — rzekł z rozjaśnioną twarzą. — Milady! Prawda, Milady?

— Milady Costanza — rzekła Connie.

Skinął głową i powtórzył:

— Milady Costanza!

Pieczołowicie schował kartę do kieszeni.

Villa Esmeralda leżała dość daleko na skraju laguny w kierunku Chioggia<sup>92</sup>. Był to niezbyt stary, miły dom, z tarasami, wychodzącymi na morze, a poniżej z wielkim ogrodem o ciemnych drzewach, który od strony laguny obrzeżony był murem.

Gospodarz ich był przysadzystym, dość rubasznym Szkotem, który przed wojną zebrał ładny mająteczek we Włoszech i został za swój ultrapatriotyzm podczas wojny uszlachcony. Żona jego była chudą, bladą osobą o ostrej twarzy; nie posiadała ona własnego majątku, ale miała za to nieszczęście, że musiała likwidować dość brudne przygody miłosne swego męża. Miała przez niego dużo przykrych kłopotów ze służbą, ponieważ jednak przeszedł zimą lekki atak serca, teraz łatwiej dawał sobą powodować.

Dom był przepełniony. Prócz Sir Malcolm'a i jego dwóch córek znajdowało się tam jeszcze siedem osób: małżeństwo szkockie, także z dwiema córkami; młoda *contessa*<sup>93</sup> włoska, wdowa; młody książę gruziński i niestary jeszcze duchowny angielski, który przeszedł zapalenie płuc i ze względu na zdrowie został czymś w rodzaju kapelana domowego u Sir Aleksandra. Książę był ubogi, ładny, nadawałby się doskonale na szofera, posiadał dostateczną dozę bezczelności i na tym koniec! *Contessa* była cichą kotką, która uprawiała jakąś potajemną grę. Duchowny był nieokrzesanym, zwyczajnym człowiekiem z plebanii w Buckinghamshire: na szczęście pozostawił żonę i obydwójce dzieci w domu. Zaś państwo Guthrie, owa wielogłowa rodzina, byli poczciwymi, solidnymi mieszczuchami edynburskimi, rozkoszowali się wszystkim na swój solidny sposób i pozwalali sobie na wszystko, póki nic nie ryzykowali.

Connie i Hilda natychmiast wyeliminowały księcia. Guthrie'owie należeli mniej więcej do tej samej klasy, co one, zamożnej, ale nudnej; zaś dziewczęta szukały mężów. Kapelan był niezłym towarzyszem, ale zbyt służalczym. Sir Aleksander po lekkim ataku serca odznaczał się w swej jowialności okropną ociężałością, ale mimo to był niezmiernie podniecony obecnością tylu pięknych kobiet. Jego żona, Lady Cooper, była cichą, przebiegłą osobą, która niezbyt wchodziła w rachubę; biedactwo spoglądała na każdą inną kobietę z ową zimną czujnością, która stała się jej drugą naturą, i mówiła zimne, złośliwe słówka, które dowodziły, jak niezmiernie niskiego zdania była o całym pokoleniu ludzkim. Była też zjadliwie wyniosła wobec służby, jak zauważyła Connie. Zachowywała się przy tym tak zręcznie, iż Sir Aleksander mógł sądzić, że jest panem i władcą całego towarzystwa, że rządzi nim, on, ze swoim grubym brzuchem, pretendującym do dobroduszości, i głupimi dowcipami, zupełnie pozbawionymi humoru, jak powiadała Hilda.

Sir Malcolm malował. Tak, ciągle jeszcze malował chętnie, jakiś widoczek laguny weneckiej jako przeciwstawienie jego szkockich krajobrazów. Codziennie rano jeździł więc łódką z olbrzymim płótnem do swego „widoku”. Nieco później wyjeżdżała Lady Cooper ze szkicownikiem i farbami do miasta. Była ona zapaloną akwarelistką, a cały dom pełen był różowych pałaców, ciemnych kanałów, chwiejących się mostów, średniowiecznych fasad i tak dalej. Potem Guthrie'owie, książę, *contessa*, Sir Aleksander, a niekiedy także pan Lind, kapelan, wyjeżdżali kąpać się na Lido i powracali dopiero o pół do drugiej na obiad.

Towarzystwo było jako takie stanowczo nudne. Ale siostry nie przejmowały się tym. Spędzały cały czas poza domem. Ojciec zabierał je na wystawy: mile za milami najnudniejszych malowideł. Zabierał je do swoich dawnych towarzyszków w Villa Lucchese, w gorące wieczory siadywał z nimi na Piazzę, gdzie złowił stolik u Floriana. Woził je do teatru na sztuki Goldoniego. Bywały zabawy na wodzie z lampionami, bywały bale. Było to miejsce rozrywkowe ponad miejsca rozrywkowe. Lido z kilometrami kwadratowymi opalonych lub odzianych w piżamy ciał było niby wybrzeże, na którym zebrały się nieskończone gromady psów morskich do parzenia się. Za wiele ludzi na Piazzę, za wiele ciał ludzkich

<sup>92</sup>*Chioggia* — miasto we Włoszech, w regionie Wenecja Euganejska, w prowincji Wenecja, z historycznym centrum na wyspie stanowiącej część Laguny Weneckiej. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>*contessa* — księżna. [przypis edytorski]

na Lido, za wiele gondoli, za wiele łodzi motorowych, za wiele parowców, za wiele gołębi, za wiele lodów, za wiele cocktailów, za wiele czyhającej na napiwki służby, za wiele warkoczających języków, za wiele słońca, za wiele zapachu Wenecji, za wiele ładunków truskawek, za wiele szali jedwabnych, za wiele olbrzymich befsztykowych płatów kawonów przy stoiskach: za wiele przyjemności, o wiele za wiele przyjemności!

Connie i Hilda paradowały w letnich sukniach. Były tu dziesiątki ludzi, którzy je znali, dziesiątki ludzi, których one znały. Michaelis zjawiał się jak zły szeląg.

— Hallo! Gdzie mieszkacie? Chodźcie, zjedźmy gdzieś lody! Chodźcie, pojedźmy gdzieś gondolą!

Nawet Michaelis był prawie opalony; jednakże na określenie wyglądu całej tej masy ciała ludzkiego odpowiedniejsze byłoby wyrażenie spalony.

W pewnej mierze było nawet przyjemnie. Była to *prawie* przyjemność. A jednak, razem z wszystkimi cocktailami, z całym tym leżeniem w ciepłej wodzie i kąpielami słonecznymi na gorącym piasku pod gorącym słońcem, razem z tym tańcem przy dźwiękach jazzu, kiedy w gorące noce brzuch lepił się do ciała jakiegoś młodzieńca, razem z tym ochładzaniem się później lodami owocowymi — był to tylko doskonały narkotyk. A tego właśnie pragnęli wszyscy ci ludzie: narkotyku. Leniwa woda była narkotykiem; słońce było narkotykiem; jazz był narkotykiem; papierosy, cocktail, lody, wermut. Tylko oszołomić się! Używać! Używać!

Hilda znajdowała poniekąd przyjemność, żyjąc w tym oszołomieniu. Miło jej było obserwować wszystkie te kobiety i snuć co do nich przypuszczenia. Kobiety całe były pochłonięte ciekawością w stosunku do innych kobiet. Jak ona wygląda? Jakiego zловиła męża? Ile ma z tego przyjemności? Mężczyźni byli niby wielkie psy we flanelowych spodniach. Czekali, żeby ich pogłaskać, czekali, żeby się wytarzać, czekali, żeby przy jazzie przylepić brzuch jakiejś kobiety do własnego.

Hilda lubiła jazz, ponieważ mogła przylepiać brzuch do brzucha tak zwanego mężczyzny i pozwalać, aby ruchy jej kierowane były przez centrum jelitowe w tę czy tamtą stronę po posadzce, a potem mogła się wyrwać i ignorować tę „kreaturę”. Mężczyzna był tylko przedmiotem użytku. Biedna Connie była dość niezręczna. Nie chciała tańczyć przy dźwiękach jazzu, ponieważ po prostu nie umiała przylepiać swego brzucha do brzucha jakiejś tam „kreatury”. Nienawidziła konglomeratu prawie nagich ciał na Lido. Nie starczyło niemal wody, żeby je wszystkie zwilżyć. Czuli odrazę do Sir Aleksandra i Lady Cooper. Nie chciała, aby Michaelis czy ktokolwiek inny biegał za nią.

Najszczęśliwsze były dla niej chwile, kiedy namówiła Hildę, żeby się z nią przejechała po lagunie, daleko, do jakiejś samotnej ławicy piaskowej, gdzie mogły się kąpać zupełnie same, podczas gdy gondola czekała od strony lądu.

Giovanni przyjmował w takich wypadkach do pomocy drugiego gondoliera, ponieważ była to daleka droga, a on zlany był w słońcu potem. Giovanni był bardzo miły: uprzejmy jak wszyscy Włosi, a przy tym zupełnie beznamiętny. Włosi nie są namiętni: namiętność posiada głębokie rezerwy. Łatwo podlegają wzruszeniom i często bywają życzliwi. Ale rzadko posiadają trwałą namiętność jakiegokolwiek rodzaju.

Giovanni był więc swoim paniom tak samo oddany, jak poprzednio był oddany mnóstwu innych pań. Był w zupełności zdecydowany sprostytuować się z nimi, gdyby go chciały: a spodziewał się w duchu, że go będą chciały. Dałyby mu hojny upominek, a toby mu się bardzo przydało, ponieważ zamierzał właśnie ożenić się. Mówił im o swoim bliskim weselu, a one okazywały niewielkie zainteresowanie.

Sądził, że taka wycieczka przez lagunę do samotnej ławicy oznacza może interes; interesem była *l'amore*, miłość. Zabrał więc kolegę, żeby mu dopomógł, gdyż była to naprawdę długa droga, a ostatecznie były też dwie damy. Dwie damy, dwie makrele! Dobra arytmetyka! I piękne damy! Był z nich dumny. A chociaż płaciła mu i wydawała rozkazy Signora, spodziewał się jednak, że do *l'amore* wybierze go sobie młoda Milady. Dałaby mu też więcej pieniędzy.

Towarzysz, którego zabrał, miał na imię Daniele. Nie był to zawodowy gondolier, nie miał więc w sobie łowcy napiwków i prostytutki. Był on sandolierem, jeździł zwykle na sandoli, jednej z owych wielkich łodzi, przywożących z wysp owoce i prowianty.

Daniele był piękny; wysoki i zgrabny, z jasną, okrągłą głową, pokrytą krótkimi, przylegającymi, bladoblonde lokami, z ładną, męską twarzą, trochę lwia, i spoglądającymi

w dal, niebieskimi oczyma. Nie zarozumiały ani gadatliwy, nie polował też na pieniądze jak Giovanni. Był milczący i wiosłował z taką siłą i lekkością, jakby był sam na wodzie. Damy były damami, bardzo dalekimi od niego. Nie spojrzął na nie nawet. Patrzył daleko przed siebie.

Był prawdziwym mężczyzną, nieco zagniewanym, gdy Giovanni pił za dużo wina i wiosłował niezręcznie, nadmiernymi uderzeniami wielkiego wiosła. Był mężczyzną, jak mężczyzną był Mellors, i był niesprostytuowany. Connie współczuła z przyszłą żoną wlewnego Giovanniego. Ale żona Daniela była zapewne jedną z owych słodkich Weneccjanek z ludu, skromnych i podobnych kwiatom, spotykanych jeszcze na tylnym planie tego miasta-labiryntu.

Ach, jakie to smutne, że najpierw mężczyzna sprostytuował kobietę, a potem kobieta mężczyznę! Giovanni łaknął sprostytuowania się, jak pies ociekał śliną z pragnienia, żeby się oddać kobiecie. Za pieniądze!

Connie spoglądała na daleką Wenecję, niską i różową na wodzie. Zbudowana z pieniędzy, rozkwitła z pieniędzy i martwa jak pieniądze! Martwota pieniądza! Pieniądz, pieniądz, prostytutka i martwota!

A jednak Daniele ciągle jeszcze był mężczyzną, zdolnym do swobodnej wierności mężczyzny. Nie nosił bluzy gondoliera, tylko niebieski sweter. Był trochę dziki, nieokrzesany i dumny. Był więc najemnikiem psiego Giovanniego, który z kolei był najemnikiem dwóch kobiet. Tak było! Gdy Jezus odtrącił pieniądze szatana, pozostawił szatana niby żydowskiego bankiera jako pana całej sytuacji.

Connie powracała zawsze z oślepiającego, płomiennego światła laguny w pewnego rodzaju tępych oszołomieniu i zastawała potem listy z domu. Clifford pisywał regularnie. Pisywał bardzo dobre listy: można by je wydrukować jako książkę. I dlatego Connie uważała je za niezbyt zajmujące.

Zyla w pewnego rodzaju tępych oszołomieniu, wywołanym przez światło laguny, przez otaczającą ją słoność wody, przez dal i pustkę, przez nicość, ale w zdrowiu, w odrętwiającym otępieniu zdrowia. Było to miłe, sprawiało zadowolenie, i Connie pozwalała się w to spowijać i nie troszczyła się o nic. Poza tym zaszła w ciążę. Teraz była tego pewna. W ten sposób owo tępe oszołomienie światłem słonecznym, solą laguny, kąpielami w morzu, wylegiwaniem się na ławicach, szukaniem muszli, płynięciem w dal gondolą potęgowane było jeszcze przez ciążę, przez pełnię sprawiającego zadowolenie i ogłuszającego zdrowia.

Była już w Wenecji dwa tygodnie i miała jeszcze pozostać dziesięć lub czternaście dni. Blask słońca zaćmiewał wszelką rachubę czasu, a pełnia fizycznego zdrowia tym zupełniejszym czyniła zapomnienie. Connie żyła w pewnego rodzaju ogłuszeniu zadowolenia.

Wyrwał ją z tego stanu list Clifforda.

„I my mieliśmy swoją skromną sensację miejscową. Oto żona leśniczego Mellorsa powróciła do leśniczówki i przekonała się, że była tam niepożądana. Po prostu wyrzucił ją i zamknął drzwi. Fama głosi jednak, że kiedy powrócił z lasu, zastał tę dawno już nie piękność wygodnie rozłożoną w jego łóżku, *in puris naturalibus*<sup>94</sup>; a raczej należałoby powiedzieć *in impuris*<sup>95</sup> *naturalibus*. Wylała okno i w ten sposób wtargnęła do domu. Nie widząc sposobu wypędzenia zużytej poniekąd Wenery ze swego łóżka, Mellors wybrał odwrot, i jak powiadają, schronił się do domu swojej matki w Tevershall. Tymczasem Wenus ze Stacks Gate rozgościła się w leśniczówce, którą uważa za swój dom, zaś Apollo osiadł najwidoczniej w Tevershall.

Powtarzam tylko, co słyszałem, ponieważ Mellors nie przyszedł do mnie osobiście. Tę odrobinę plew lokalnych otrzymałem od naszego dostawcy plotek, od naszego ibisa, naszego wymiatającego ulice sępa, pani Bolton. Nie powtórzyłbym Ci ich, gdyby pani Bolton nie zawołała: »Jaśnie pani nie pójdzie już do lasu, jeżeli ta kobieta się tam wałęsa!«.

Spodobał mi się odmalowany przez Ciebie obraz Sir Malcolma, jak rusza na morze, powiewając białym włosom, płonąc różowym ciałem. Zazdroszczę Ci tego słońca. Tutaj pada deszcz. Ale nie zazdroszczę Sir Malcolmowi jego

<sup>94</sup>*in puris naturalibus* (łac.) — w czystości stanu naturalnego. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>*impuris* (łac.) — nieczysty. [przypis edytorski]

niewytrzebionej, śmiertelnej ochoty cielesnej. Co prawda przystoi ona jego wiekowi. Widocznie im człowiek staje się starszy, tym się staje śmiertelniejszy i cieleśniejszy. Tylko młodość ma zapach nieśmiertelności”.

Nowina ta sprawiła Connie, pogrążonej w stanie półotępienia i zadowolenia, przykrość graniczącą z rozpaczą. Trzeba jeszcze, żeby ją teraz prześladowała ta bestia! Trzeba jeszcze zacząć się o to troszczyć! Nie miała listu od Mellorsa. Umówiła się z nim, że nie będą do siebie w ogóle pisywali. Ale teraz chciała mieć od niego bezpośrednio wiadomości. Ostatecznie był ojcem dziecka, którego się spodziewała. Powinien napisać!

Ale co to za okropność! Teraz wszystko było zepsute. Jak brudni, jak ordynarni byli ci zwyczajni ludzie! Jak miło było tutaj, w słońcu i lenistwie, w porównaniu z brudnym zamętem tej Anglii Środkowej! Ostatecznie przejrzyste niebo było niemal rzeczą najważniejszą w życiu.

Nie wspominała o fakcie swojej ciąży nikomu, nawet Hildzie. Napisała do pani Bolton, prosząc o dokładne informacje.

Duncan Forbes, malarz, przyjaciel jej rodziny, w drodze do Rzymu wstąpił do Villi Esmeraldy. Bywał teraz trzecim w gondoli, kąpał się z siostrami na skraju laguny i stał się ich nieodłącznym towarzyszem. Był to spokojny, niemal milczący młodzieniec bardzo zaawansowany w swojej sztuce.

Connie otrzymała list od pani Bolton:

„Na pewno cieszyłaby się Jaśnie Pani bardzo, gdyby Pani widziała Sir Clifforda. Wygląda naprawdę doskonale, pracuje z wielką wytrwałością i pełen jest najlepszych nadziei. Oczywiście z tęsknotą oczekuje już chwili, gdy znowu ujrzy Panią u nas. Dom jest bez Jaśnie Pani bardzo pusty i wszyscy będziemy się cieszyli, gdy będziemy mogli powitać znowu Jaśnie Panią.

Co do pana Mellorsa, to nie wiem, ile Pani Sir Clifford zakomunikował. Zdaje się, że jego żona zupełnie nagle zjawiła się pewnego popołudnia i leśniczy, powróciwszy z lasu, zastał ją siedzącą na progu. Powiedziała, że wróciła do niego i chce z nim znowu żyć, ponieważ jest jego prawowitą żoną, a on nie rozwiedzie się z nią. Zdaje się bowiem, że pan Mellors próbował uzyskać rozwód. Ale on nie chciał już mieć z tą kobietą nic wspólnego i nie wpuścił jej do domu. Sam także nie wszedł, lecz wrócił do lasu, nie otwierając nawet drzwi.

Ale kiedy powrócił o zmroku, zastał drzwi wylamane, wszedł więc na górę, żeby się przekonać, co się stało, i zastał ją w łóżku, bez najmniejszej szmatki na ciele. Zaproponował jej pieniądze, ale ona powiedziała, że jest jego żoną i on musi ją przyjąć z powrotem. Nie wiem, co tam między nimi zaszło. Matka jego opowiadała mi o tym; jest tym okropnie zdenerwowana. Tak, a on powiedział jej, że wolałby umrzeć, niż kiedykolwiek jeszcze żyć z nią, zabrał więc swoje rzeczy i poszedł prosto do matki do Tevershall. Został tam przez noc, a następnego dnia poszedł przez park do lasu, nie zbliżając się wcale do leśniczówki. Zdaje się, że tego dnia w ogóle żony nie widział. Ale następnego dnia poszła do swego brata Dana do Beggarlee i klęła, i wściekała się, i powiedziała, że jest jego prawowitą żoną i że on miał w leśniczówce kobiety, bo znalazła w jego szufladzie flaszeczkę z perfumami i niedopalki papierosów ze złotymi ustnikami w popiele, i Bóg wie, co jeszcze. Zdaje się też, że listonosz Fred Kirk powiada, jakoby raz rankiem słyszał czyjś głos w sypialni pana Mellorsa i że jakieś auto było na żywopłotowej drodze.

Pan Mellors zamieszkał u swojej matki i zawsze idzie do lasu przez park; zdaje się, że jego żona pozostała w leśniczówce. Otóż było mnóstwo gadania, tak że wreszcie pan Mellors i Tom Philips poszli do leśniczówki i zabrali większość mebli i pościeli i odśrubowali rękojeść od studni, tak że ona musiała się wynieść. Ale zamiast wrócić do Stacks Gate, wynajęła sobie pokój u pani Swain w Beggarlee, bo żona jej brata Dana nie chciała jej przyjąć do domu. I chodziła ciągle do domu starego pana Mellorsa, żeby go omotać, i zaczęła przysięgać, że jej mąż był z nią w łóżku w leśniczówce. Potem poszła

do adwokata, żeby zmusić pana Mellorsa, aby jej co miesiąc coś płacił. Roz-tyła się, zrobiła się jeszcze ordynarniejsza niż dawniej, a silna jest jak koń. Łazi wszędzie i rozpowiada o nim najokropniejsze rzeczy, że sprowadzał sobie kobiety do leśniczówki i jak się wobec niej zachowywał, kiedy się pobrali, opowiada najordynarniejsze, najbezpieczniejsze rzeczy, jakie z nią robił, i sama już nie wiem, co jeszcze. Straszna to naprawdę rzecz, co może narobić kobieta, kiedy zacznie mówić. I choćby to była najniższa kreatura, zawsze znajdą się tacy, co jej uwierzą, a coś z tego brudu zawsze się do człowieka przylepi. Oburzające jest wprost, jak to ona opowiada, że pan Mellors obchodzi się z kobietą na wzór owych brutalnych, bestialskich mężczyzn. A ludzie zawsze są chętni, żeby uwierzyć o człowieku we wszystko najgorsze, zwłaszcza w takie rzeczy. Twierdzi ona, że nie da mu spokoju, póki będzie żył. Chociaż ja powiadam, że jeżeli on był wobec niej taki brutalny, to po co się tak upiera, żeby do niego wrócić? Ale co prawda zbliża się ona do przełomu, gdyż jest o wiele starsza od niego. A te zwyczajne, gwałtowne kobiety stają poniekąd obłąkane, kiedy się zbliżają do wieku przełomowego”.

Był to dotkliwy cios dla Connie. Niewątpliwie i na nią spadnie część całego tego brudu i nikczemności. Zła była na niego, że nie uwolnił się wcześniej od Berty Coutts, ba, że się z nią w ogóle ożenił. Może posiadał jakąś skłonność do wszystkiego, co niskie. Connie wspomniała ostatnią noc, jaką z nim spędziła, i wzdrygnęła się. Znał on to wszystko niskie, nawet z taką Bertą Coutts. Było to naprawdę ohydne. Byłoby bardzo dobrze uwolnić się od niego, zupełnie się od niego wyzwolić. Może był naprawdę wulgarny, naprawdę brutalny.

Uczuła nagle niechęć do całej tej afery i niemal zazdrościła pannom Guthrie ich niezgrabnego niedoświadczenia i nieokrzesanej dziewczęcości. Lękała się teraz myśli, że ktoś mógłby się dowiedzieć o niej i o leśniczym. Jakie to było niewypowiedziane poniżające! Była rozgoryczona i wylękniona, czuła dręczące pragnienie zewnętrznej przyzwoitości, nawet zwyczajnej i zabójczej przyzwoitości takich panien Guthrie. Gdyby Clifford wiedział o jej aferze, jakie by to było niewypowiedziane poniżające! Lękała się, bała się społeczeństwa i jego nieczystego ukąszenia. Pragnęła niemal, aby się mogła pozbyć dziecka i uwolnić zupełnie. Słowem, popadła w stan tchórzliwego lęku.

Co do flaszeczki z perfumami, była to jej własna głupota. Nie mogła się powstrzymać od uperfumowania jego chusteczek i koszul w szufladzie, po prostu z dziecinnego kaprysu. Włożyła na wpół opróżnioną buteleczkę fiołków leśnych Coty'ego pod jego bieliznę. Chciała, żeby mu te perfumy ją przypominały. A niedopałki papierosów pochodziły od Hildy.

Nie widziała innego wyjścia, musiała się trochę zwierzyć Duncanowi Forbesowi. Nie powiedziała mu, że była kochanką leśniczego, powiedziała tylko, że go lubi, i opowiedziała Forbesowi historię jego życia.

— O — rzekł Duncan — przekona się pani, że ludzie nie dadzą mu wcześniej spokoju, póki go nie powalą na ziemię i nie zdepczą. Jeżeli nie skorzystał ze sposobności, żeby się wznieść do stanu średniego, i jeżeli jest mężczyzną, który bronił swojej płci, to go niechybnie powalą. Tej jednej rzeczy nigdy człowiekowi nie przebaczą: prostolinijności i szczerości w sprawach płciowych. Można być nie wiedzieć jak brudnym, ba, naprawdę, im więcej brudu zwala się na sprawy płciowe, tym więcej ma się u nich uznania. Ale jeżeli się wierzy we własną płć i nie pozwala się jej kalać, wtedy muszą człowieka zdeptać. Jest to jedyne ocalale jeszcze, obłąkane *tabu*: seksualizm jako coś naturalnego i doniosłego. Nie chcą mieć tego tabu i raczej człowieka zabijają, niżeli mu je pozostawią. Przekona się pani, że zaszczują tego człowieka wszystkimi psami. A cóż on ostatecznie zrobił? Jeżeli kochał swoją żonę ze wszystkich stron, czyż nie miał do tego prawa? Powinna być z tego dumna. Ale widzi pani, nawet taka ordynarna ścierka jak ona zwraca się przeciwko niemu i używa hienowego instynktu tłumu przeciwko seksualizmowi, aby powalić mężczyznę. Trzeba skomleć i czuć się nędznikiem, grzesznym przez swoją płć, zanim człowiekowi pozwolą posiadać płć. O, już oni tego biedaka zaszczują na śmierć.

Connie przeżyła teraz zwrot swoich uczuć w innym kierunku. Cóż on ostatecznie uczynił? Cóż on zrobił jej samej, Connie, poza tym, że dał jej cudowną rozkosz i poczucie

Plotka, Strach,  
Tchórzostwo, Zdrada

Seks, Obyczaje



wolności i życia? Wyzwolił w niej gorący, naturalny prąd płci. I za to będą go teraz ludzie szczyli wszystkimi psami.

Uczyniła krok nierozważny. Posłała do Ivy Bolton list, dołączyła drugi dla leśniczego i prosiła panią Bolton, żeby mu go doręczyła. Do Mellorsa pisała:

„Jestem bardzo zmartwiona, słysząc o wszystkich tych przykrościach, jakie Panu wyraziła Pańska żona. Ale niech się Pan tym nie przejmuje, jest to pewnego rodzaju histeria. Wszystko to przeminie równie szybko, jak przyszło. Ale bardzo mi żal i spodziewam się naprawdę, że się Pan tym zbyt nie przejął. Ostatecznie nie warto. To przecież tylko historyczna osobka, która chce Panu zadać ból. Za dziesięć dni będę w domu i ufam szczerze, że do tego czasu wszystko będzie znowu dobrze”.

W kilka dni później nadszedł list od Clifforda. Był poważnie zaniepokojony.

„Dowiaduję się z radością, że jesteś gotowa opuścić Wenecję piętnastego. Ale jeżeli się dobrze bawisz, nie śpiesz się z powrotem. Czujemy twój brak, Wragby czuje twój brak. Ale jest rzeczą najważniejszą, abyś się pod dostatkiem nasyciła słońcem, słońcem i piżamami, jak powiadają prospekty z Lido. Proszę Cię więc, pozostań jeszcze trochę dłużej, jeżeli Ci to dodaje humoru i hartuje Cię przeciwko naszej dość okropnej zimie. Nawet dzisiaj pada deszcz.

Pani Bolton opiekuje się mną z największą starannością i pieczołowitością. Jest ona cudownym okazem. Im dłużej żyję, tym jaśniej uświadamiam sobie, jak dziwnymi istotami są ludzie. Niektórzy z nich mogliby mieć równie dobrze sto nóg jak stonoga albo sześć jak homar. Stałość i godność ludzka, jakiej by się można po bliźnich spodziewać, zdaje się rzeczywiście nie istnieć. Człowiek zaczyna już wątpić, czy w nim samym istnieje ona w godnym uwagi stopniu.

Skandal z leśniczym trwa nadal i przybiera coraz większe rozmiary, jak kula śniegowa. Pani Bolton informuje mnie stale. Przypomina mi ona rybę, która sama będąc niema, póki żyje, oddycha cichą plotką przez skrzel. Wszystko przechodzi przez sito jej skrzel i nic jej nie dziwi. Ma się wrażenie, jak gdyby wypadki z życia innych ludzi były dla niej nieodzownym do życia tlenem.

Stale zajęta jest skandalem mellorsowskim, a gdy tylko pozwolę jej zacząć, oprowadza mnie po najdalszych zakątkach. Wielkie jej oburzenie, które w tym nawet wypadku podobne jest do oburzenia aktorki grającej swoją rolę, zwraca się przeciwko żonie Mellorsa, którą uparczywie nazywa Bertą Coutts. Wniknąłem w tajniki brudnego żywota wszystkich Bert Coutts, a gdy się chwilami wyzwalam z potoku plotek, powracam z wolna na powierzchnię i spostrzegam światło dzienne, zdumiony, że ono jeszcze istnieje.

Wydaje mi się bezwarunkową prawdą, że świat nasz, który uważamy za powierzchnię wszystkich rzeczy, jest w istocie *dnem* głębokiego morza; wszystkie nasze drzewa są podmorskimi roślinami, a my sami jesteśmy fantastyczną, odzianą w łuski fauną podmorską i żywimy się odpadkami jak krewetki. Czasami tylko dusza, łaknąca powietrza, wynurza się z niezglębionej toni, w której żyjemy, i wypływa na powierzchnię eteru, gdzie jest prawdziwe powietrze. Jestem przekonany, że powietrze, jakim normalnie oddychamy, jest rodzajem wody, a mężczyzna i kobieta są gatunkami ryb.

Ale czasami dusza wynurza się naprawdę, w ekstazie wystrzela jak mewa ku światłu, kiedy ma już dość polowania w podmorskich głębinach. Prawdopodobnie jest to nasz śmiertelny los, że musimy zerować na przeraźliwym podwodnym życiu naszych bliźnich w podwodnych lasach dziewiczych ludzkości. Ale naszym nieśmiertelnym przeznaczeniem jest, abyśmy, gdy tylko przelknijemy swój rybi połów, znowu uchodzili ku przejrzystemu eterowi, wyskakowali ponad powierzchnię starego oceanu, ku światłu. Wówczas to uświadamiamy sobie swoją wieczną naturę.

Kiedy się przysłuchuję pani Bolton, mam wrażenie, że zanurzam się w głąb, aż do najdalszych głębin, gdzie trzepoczą się i pływają ryby ludz-

kich tajemnic. Pod wpływem głodu chwytą się trochę łupu; a potem znowu w górę, w górę, precz z tej gęstwiny w eteryczny świat, z mokrej przestrzeni w suchą. Tutaj mogą opowiedzieć całe to zajście. Ale przy pani Bolton czuję tylko zanurzanie się, ohydne zanurzanie się pomiędzy wodorosty morskie i blade potwory najniższego dna.

Obawiam się, że stracimy swego leśniczego. Skandal z bezecną małżonką, zamiast przebrzmiewać, wzmaga się coraz bardziej. Mellors oskarżony jest o najniemożliwsze rzeczy i co dziwne, ta osoba dopięła tego, że przeciągnęła na swoją stronę większość żon górników, najohydniejszego gatunku rybiego. Wieś stała się wprost gniazdem plotek.

Jak słyszę, Berta Coutts obiegła poczciwego Mellorsa w domu jego matki, splądrowawszy przedtem leśniczówkę i szałas. Pewnego dnia rzuciła się na własną córeczkę, gdy to jabłuszko z jej pnia powracało ze szkoły. Ale mała, zamiast ucałować rączkę kochającej mamusi, ugryzła ją mocno i dostała za to drugą ręką taki policzek, że się na łeb i szyję wywróciła do ścieku, skąd ją wyratowała oburzona i udręczona babcia.

Ta kobieta rozdmuchała zdumiewającą ilość trujących gazów. Wyciągnęła na światło dzienne wszystkie owe wydarzenia swego pożycia małżeńskiego, które zazwyczaj trzymane są przez małżonków w najgłębszym grobie matrymonialnego milczenia. A gdy się jej spodobało po dziesięcioletnim pogrzebaniu ekshumować je, zebrała niesamowitą wprost kolekcję. Dowiaduję się o tych szczegółach od Linleya i doktora. Ten ostatni jest ubawiony. Naturalnie w rzeczywistości nic w tym nie ma. Ludzie posiadali zawsze dziwny pociąg do niezwykłych pozycji seksualnych, a jeżeli mężczyźni podobają się używać swojej żony w sposób, który Benvenuto Cellini<sup>96</sup> nazywa włoskim, to jest to po prostu kwestia smaku. Nie spodziewałem się jednak, że nasz leśniczy zna się na tylu sztuczkach. Nie ulega wątpliwości, że Berta Coutts pierwsza go ich nauczyła. W każdym razie jest to sprawa jej własnego legowiska i nikogo nie obchodzi.

Ale wszyscy słuchają, nawet ja sam. Przed dziesięciu czy piętnastu laty najprostsza przyzwoitość zatuszowałaby takie rzeczy. Ale prosta przyzwoitość już nie istnieje, a żony górników są wszystkie poruszone, zaś głosy ich nie brzmią bynajmniej lęklivo. Można by przypuścić, że w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat każde dziecko w Tevershall było niepokalanie poczęte, a każda poszczególna z naszych niekonformistycznych niewiast promienną Joanną d'Arc. Że nasz szacowny leśniczy mógł posiadać w sobie taki rabelaisowski<sup>97</sup> rys, to czyni go w ich oczach ohydniejszym i wstrętniejszym niż byłby dla nich najzimniejszy morderca. A jednak, jeśli wierzyć wszystkim pogłoskom, ludzie tevershallscy są dość rozpustną czeladką.

Najgorsze jest jednak, że niesympatyczna Berta Coutts nie ograniczyła się tylko do własnych przeżyć i niedoli. Z nakładem całej swej siły głosu odkryła, że mąż jej gościł w leśniczówce kobiety, i spróbowała na chybił-trafił wymienić kilka osób. Zmieszała z błotem kilka szanowanych nazwisk i sprawa posunęła się o wiele za daleko. Wystosowano przeciwko tej babie sądowe ostrzeżenie.

Miałem w tej sprawie rozmowę z Mellorsem, gdyż niemożliwością było usunąć tę kobietę z lasu. Spaceruje on sobie po lesie jak zwykle, z najswobodniejszą miną, jakby mówił: »Co mnie to obchodzi? To nas zupełnie nie

<sup>96</sup>Cellini, Benvenuto (1500–1571) — włoski rzeźbiarz, złotnik i pisarz; do jego najbardziej znanych dzieł należy posąg *Perseusz z głową Meduzy* i autobiografia *Benvenuta Celliniego żywot własny spisany przez niego samego* (I wyd. 1728), w której opisał swoje burzliwe życie. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>rabelaisowski — przym. od nazwiska François Rabelais'go (ok. 1484–1553) fr. pisarza, lekarza, mnicha, który porzucił zakon, znanego przede wszystkim jako autor arcydzieła francuskiego renesansu, pełnej rubasznego humoru powieści (czy eposu) satyryczno-fantastycznej *Gargantua i Pantagruel*, pisanej w l. 1532–1564, podejmującej krytykę instytucji kościelno-feudalnych, dogmatów, średniowiecznej metafizyki i scholastycznego systemu wychowania, kładącej tym samym podwaliny pod nowoczesną myśl odrodzenia; dosadne opisy cielesności we wszelkich czynnościach stanowią ważny element dzieła Rabelais'go. [przypis edytorski]

dotyczy, nie warto o tym nawet gadać!«. <sup>98</sup> Tym niemniej podejrzewam go, że się czuje jak pies, któremu uwiązano puszkę do ogona; potrafi sobie co prawda nadać zawsze dobry pozór, jakby puszki nie było. Słyszałem jednak, że kiedy przechodzi przez wieś, kobiety wołają dzieci do domu, jakby nasz leśniczy był markizem de Sade <sup>99</sup> we własnej osobie. Kroczy on dalej z niejakim bezwstydem, obawiam się jednak, że puszka jest mocno przywiązana do ogona, i że biedny Mellors biada teraz, jak Don Rodrigo w balladzie hiszpańskiej: »Ach, teraz mnie gryzie tam, gdzie najwięcej grzeszyłem!«.

Zapytałem go, czy uważa, że może nadal spełniać swoje obowiązki w lesie, a on odpowiedział, iż nie sądzi, aby je zaniedbał. Powiedziałem mu, że to rzecz niezmiernie niemiła, gdy ta kobieta włóczy się po posiadłości, na co odparł, iż nie posiada władzy aresztowania jej. Następnie zrobiłem aluzję do skandalu i jego niemiłego przebiegu. »Tak — odpowiedział. — Ludzie powinni by sami trochę więcej obłapiać <sup>100</sup>, toby potem nie byli tacy zawzięci i nie wylewali na człowieka swoich pomysłów.«

Powiedział to z goryczą i niewątpliwie w słowach jego zawarte jest ziarno prawdy. Sposób wyrażania się nie jest jednak ani delikatny, ani przepojony szacunkiem. Napomknąłem o tym, a wtedy usłyszałem znowu dźwięk puszki u ogona. »Człowiekowi w pańskim położeniu, Sir Cliffordzie, nie przystoi robić mi wyrzutów, że mam woreczek między nogami.«

Takie rzeczy, powtarzane bez ogródki każdemu i wszystkim, nie pomagają mu oczywiście w najmniejszym stopniu, a pastor i Linley, i doktor są zdania, że byłoby najlepiej, gdyby ten człowiek opuścił naszą okolicę.

Zapytałem go, czy to prawda, że gościł damy w leśniczówce, a on odpowiedział mi tylko: »A co to pana obchodzi, Sir Cliffordzie?«. Oznajmiłem mu, że muszę dbać, aby w mojej posiadłości prowadzono przyzwoite życie, na co odparł: »Więc musi pan pozapinać babom gęby na guziczki«. Kiedy go zacząłem nagabywać o jego tryb życia w leśniczówce, powiedział: »A jużci, mogliby zrobić skandal ze mnie i mojej Flossie. O tym zapomnieli«. Naprawdę, jako wzór bezczelności jest nieprześcigniony!

Zapytałem go, czy znalazłby bez trudności inną posadę. Odpowiedział mi: »Jeżeli chce mi pan dać przez to do zrozumienia, że rad by mnie pan wyrzucić z mojej posady, to byłoby to bardzo łatwe«. Nie robił więc trudności. Odchodzi w końcu przyszłego tygodnia i oświadczył gotowość, o ile to tylko możliwe, wtajemniczyć w arkana zielonej sztuki pewnego młodzieńca, nazwiskiem Joe Chambers. Powiedziałem, że wypłacę mu dodatkowo jednomiesięczną pensję, gdy będzie odchodził. Odpowiedział, że wołałby, żeby zachował swoje pieniądze, ponieważ nie mam powodu, aby chcieć ulżyć swemu sumieniu. Zapytałem go, co przez to rozumie, i otrzymałem odpowiedź: »Nie jest mi pan nic dodatkowego winien, Sir Cliffordzie, więc niech mi pan nic dodatkowego nie wypłaca!«.

Oto chwilowo koniec całej tej historii. Żona jego znikła, nie wiadomo gdzie. Ale gdyby się znowu zjawiła w Tevershall, naraziłaby się na aresztowanie, a słyszałem, że boi się ona nieludzko więzienia, ponieważ na nie w zupełności zasługuje. Mellors odchodzi od soboty za tydzień, i życie w naszej okolicy powróci niebawem do normalnego stanu.

<sup>98</sup>Spaceruje on sobie po lesie jak zwykle, z najswobodniejszą miną, jakby mówił: »Co mnie to obchodzi? To nas zupełnie nie dotyczy, nie warto o tym nawet gadać!«. — w oryg. *He goes about as usual, with his Miller-of-the-Dee air, I care for nobody, no not I, if nobody care for me!*; fragm. piosenki ludowej o młynarzu znad rzeki Dee. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*Sade, Donatien Alphonse François de* (1740–1814) — fr. pisarz, libertyn, głoszący jako wartość życie w zgodzie ze skrajnie pojętą wolnością jednostki, przekreślającą ograniczenia ze strony moralności, religii czy prawa i nakazującą podążanie za wszelkimi popędami i pragnieniami; w ostatniej dekadzie XVIII w. był jednym z najpopularniejszych pisarzy paryskich, następnie zaś najbardziej tępionym przez cenzurę (zacierano wszelkie ślady jego publikacji); większość swego życia spędził w więzieniu lub na wygnaniu; od nazwiska markiza de Sade pochodzi nazwa jednego z zaburzeń preferencji seksualnych, *sadyzmu*. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>Ludzie powinni by sami trochę więcej obłapiać — w oryg. *folks should do their own fuckin'*. [przypis edytorski]

Tymczasem, moja kochana Connie, gdybyś miała ochotę pozostać w Wenecji albo w Szwajcarii do początku sierpnia, cieszyłbym się na myśl, że jesteś z dala od tych wszystkich ordynarnych plotek; do końca miesiąca gadanina ta prawdopodobnie przebrzmi zupełnie.

Widzisz więc, że jesteśmy potworami głębinowymi, a kiedy homar chodzi po mule, mąci wodę wszystkim. Z konieczności musimy to traktować filozoficznie”.

Podniecenie i brak sympatii w jakimkolwiek kierunku, przejawiający się w liście Clifforda, wywarły złe wrażenie na Connie. Ale rozumiała wszystko lepiej, gdy otrzymała następujący list od Mellorsa:

„Kocica wylazła z worka, razem z rozmaitymi innymi kociętami. Słyszałaś, że moja żona Berta powróciła w moje niekochające ramiona i rozgościła się w leśniczówce, gdzie mówiąc nieczłobitnie, przekonała się rychło, że coś śmierdzi — mianowicie fłaszczka Coty’ego. Innych dowodów winy nie znalazła, a przynajmniej nie w najbliższych dniach. Rozpoczęła więc wycie nad spaloną fotografią. Zauważyła szkło i tekturę w drugim pokoiku. Na nieszczęście ktoś naskrobał na tekturze małe rysunczki i wiele razy wypisywał inicjały: C. S. R. Nie stanowiło to dla niej co prawda punktu zaczepienia. Aż wreszcie włamała się do szafy i znalazła jedną z twoich książek, autobiografię aktorki Judyty z twoim nazwiskiem, Constance Steward Reid, na karcie tytułowej. Wtedy zaczęła chodzić po wsi i oznamiać głośno, że kochanką moją była ni mniej ni więcej tylko sama Lady Chatterley. Nowinka ta doszła wreszcie do uszu pastora, pana Burrough i Sir Clifforda. Rozpoczęli wówczas sądowe kroki przeciwko mojej połowicy, która ze swej strony zniknęła, ponieważ żywi ona stale śmiertelny lęk przed policją.

Sir Clifford chciał ze mną mówić, poszedłem więc do niego. Omijał jądro sprawy i wydawał się na mnie zły. Potem zapytał, czy wiem, że nawet nazwisko Jaśnie Pani zostało wspomniane. Odpowiedziałem mu, że nie słucham nigdy skandalicznych historyjek i jestem zaskoczony, słysząc taką plotkę od samego Sir Clifforda. Oznajmił mi, że jest to oczywiście ciężka obelga, a ja powiedziałem, że królowa Maria jest odmalowana na kalendarzu w mojej kuchni, niewątpliwie dlatego, że Jej Królewska Mość stanowi część mego haremu. Ale on nie potrafił ocenić mego sarkazmu. To, co powiedział, zmierzało do wniosku, że jestem osobnikiem zbytecznym, nikczemnym charakterem, który biega z odpiętymi spodniami, a ja odpowiedziałem mu tyle mniej więcej, że on w każdym razie nie ma czego odpinać. Wyrzucił mnie więc i od soboty za tydzień odchodzę, aby się tutaj nigdy więcej nie pokazać. Pojadę do Londynu, a moja dawna gospodyni, pani Inger, 17 Coburg Square, albo odnajmie mi pokój, albo wyszuka mi jakiś.

Bądź przekonany, człowieku, że grzechy twoje nawiedzą cię zawsze, zwłaszcza, jeżeli jesteś żonaty, a imię jej Berta”.

W liście nie było ani słowa o niej, ani słowa do niej. Connie wzięła mu to za złe. Mógłby napisać kilka słów pociechy, aby ją uspokoić. Ale wiedziała, że on pozostawia jej wolność, wolność powrócenia do Wragby i do Sir Clifforda. I to brała mu za złe. Nie powinien okazywać fałszywej rycerskości. Pragnęła, aby powiedział był do Clifforda: „Tak, ona jest moją kochanką! Jestem z tego dumny!” Ale tak daleko jego odwaga nie sięgała.

Tak! Więc w Tevershall łączono jej imię z jego! To złe. Ale sprawa ta rychło pójdzie w zapomnienie.

Czuła gniew, skomplikowany i zawikłany gniew, który pozbawiał ją zdolności do czynu. Nie wiedziała, co robić, ani co powiedzieć. Nie mówiła więc nic i nic nie robiła. Wiodła nadal obojętnie dotychczasowe życie w Wenecji, jeździła gondolą z Duncanem Forbesem, kąpała się, przyglądała się, jak dni mijały. Duncan, który przed dziesięciu laty był w niej beznadziejnie zakochany, zakochał się w niej znowu. Ale Connie powiedziała mu:

— Żądam od mężczyzn tylko jednej rzeczy: żeby mi dali spokój.

Więc Duncan dawał jej spokój, w istocie rad bardzo, że może to robić. A jednak ofiarowywał jej łagodny potok dziwnie opacznej miłości. Pragnął być *w pobliżu* niej.

— Czy zastanawiała się pani kiedy nad tym — zapytał ją kiedyś — jak mało ludzie są z sobą związani? Niech pani spojrzy na Daniela! Jest piękny i zgrabny niby syn słońca. Ale niechże pani zobaczy, jak on samotnie wygląda w swojej piękności. A jednak gotów bym się założyć, że ma żonę i dzieci, których by nigdy nie mógł porzucić.

— Niech go pan o to zapyta — rzekła Connie.

Duncan zapytał. Daniele odpowiedział, że jest żonaty i ma dwoje dzieci, dwóch chłopców w wieku siedmiu i dziewięciu lat. Ale nie zdradzał w związku z tym żadnego wzruszenia.

— Może tylko ludzie zdolni do prawdziwego współzycia mają taki wygląd, jakby byli zupełnie samotni na świecie — powiedziała Connie. — Inni sprawiają żalosne wrażenie, przylepiają się do masy jak Giovanni.

„I — pomyślała w duchu — jak ty, Duncanie”.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Musiała się zdecydować, co robić. Postanowiła wyjechać z Wenecji tego samego dnia, w którym on opuści Wragby: za sześć dni. Przyjedzie więc do Londynu w przyszły poniedziałek i zastanie go tam. Napiisała do niego na adres londyński, prosząc, żeby pozostawił dla niej list w hotelu Hartlanda i żeby ją odwiedził w poniedziałek wieczorem.

W głębi duszy była dziwnie, w jakiś zawikłany sposób zła, a wszystkie jej uczucia były otępiałe. Nie chciała się nawet zwierzyć Hildzie, a Hilda, urażona uporczywym milczeniem Connie, zaprzyjaźniła się bardzo intymnie z jakąś Holenderką. Connie nienawidziła tych dławiących niemal przyjaźni pomiędzy kobietami, przyjaźni, jakie Hilda stale gorliwie uprawiała.

Sir Malcolm zdecydował się jechać razem z Connie, a Duncan mógł się zabrać z Hildą. Stary artysta lubił zawsze wygody. Zamówił dwa miejsca sypialne w Orient Expressie, mimo niechęci Connie do *trains de luxe*,<sup>101</sup> do atmosfery trywialnego zepsucia, jaka w nich dzisiaj panuje. W każdym razie podróż do Paryża będzie w ten sposób trwała krócej.

Sir Malcolm czuł się zawsze nieswojo, kiedy powracał do żony. Było to przyzwyczajenie, datujące z czasów jego pierwszego małżeństwa. Ale w domu mieli być goście, polowanie na cietrzewie, a Sir Malcolm nie chciał przyjechać bezpośrednio przed rozpoczęciem zjazdu. Connie, opalona i ładna, siedziała w milczeniu, nie zwracając uwagi na okolicę.

— Powrót do Wragby jest dla ciebie trochę nudny — rzekł ojciec, widząc jej zły humor.

— Nie jestem jeszcze pewna, czy powrócę do Wragby — rzekła Connie niespodziewanie i spojrzała przy tym wielkimi, niebieskimi oczyma w jego oczy. A jego wielkie, niebieskie oczy przybrały wyraz mężczyzny, którego sumienie społeczne nie jest zupełnie czyste.

— Chcesz przez to powiedzieć, że pozostaniesz trochę w Paryżu?

— Nie, chciałam powiedzieć, że nie powrócę do Wragby.

Sir Malcolm był obarczony własnymi, drobnymi problemami i spodziewał się szczerze, że nie zwali mu się na kark jakiś jej kłopot.

— Co ci się nagle stało? — zapytał.

— Będę miała dziecko.

Po raz pierwszy powiedziała te słowa do żywego człowieka; zdawały się one oznaczać linię graniczną w jej życiu.

— Skąd wiesz? — zapytał ojciec.

Connie uśmiechnęła się.

— Skąd się takie rzeczy wie?

— Ale... ale oczywiście nie z Cliffordem?

— Nie! Z innym mężczyzną.

Cieszyła się właściwie, że może go wystawiać na torturę.

<sup>101</sup>*trains de luxe* (fr.) — luksusowe pociągi. [przypis edytorski]

— Czy ja go znam? — zapytał Sir Malcolm.

— Nie! Nigdy go nie widziałeś.

Nastąpiła długa pauza.

— I co zamierzasz robić?

— Nie wiem. O to właśnie idzie.

— Czy nie można tego jakoś z Cliffordem ułożyć?

— Domyślam się, że Clifford pogodziłby się z tym — odpowiedziała Connie. — Kiedy z nim ostatni raz rozmawiałeś, powiedział mi potem, że nie miałby nic przeciwko temu, abym miała dziecko, pod warunkiem, że urządzę to dyskretnie.

— Jedyna rozsądna rzecz, jaką w tych warunkach mógł powiedzieć. Przypuszczam więc, że wszystko ułoży się dobrze.

— Jak to rozumiesz? — zapytała Connie, spoglądając ojcowi w oczy.

Były to wielkie, niebieskie oczy, bardzo podobne do jej oczu, ale przepojone jakimś niepokojem; niekiedy migotało w nich spojrzenie świadomego winy malca, kiedy indziej odbijał się w nich blask mrukliwego egoizmu, zazwyczaj jednak pełne były dobrego humoru i ostrożnej przebiegłości.

— Mogłabyś obdarzyć Clifforda dziedzicem wszystkich Chatterleyów i osadzić we Wragby nowego baroneta.

Twarcz Sir Malcolma przeciągnęła się w na wpół zmysłowym uśmiechu.

— Nie sądzę, żebym miała na to ochotę — rzekła Connie.

— Dlaczego nie? Czy czujesz się zbyt silnie związana z tamtym? No, jeżeli chcesz usłyszeć ode mnie prawdę, moje dziecko, w takim razie pozwól sobie powiedzieć, że świat toczy się dalej. Wragby trwa niewzruszenie i będzie nadal trwało. Świat jest w mniejszym lub większym stopniu rzeczą trwałą, a zewnętrznie musimy się do niego dostosować. Wewnętrznie możemy wedle mojego osobistego zdania robić, co nam się podoba. Uczucia zmieniają się. Możesz w tej chwili kochać jednego mężczyznę, a za rok drugiego. Ale Wragby będzie stało nadal. Trzymaj się Wragby, póki Wragby trzyma się ciebie. Poza tym rób, co ci się podoba. Niewiele jednak będziesz z tego miała, jeżeli spowodujesz zerwanie. Możesz to zrobić, jeżeli tak chcesz. Posiadasz niezależny dochód. Jest to jedyna rzecz, która człowieka nigdy nie zawodzi. Ale niewiele będziesz miała z tej całej sprawy. Osadź we Wragby nowego baroneta, to jest przynajmniej coś zabawnego!

Sir Malcolm przechylił się w tył i uśmiechnął znowu. Connie nie odpowiedziała.

— Spodziewam się, że znalazłaś nareszcie prawdziwego mężczyznę — rzekł ojciec po chwili z wielkim ożywieniem.

— Tak. O to właśnie idzie. Niewielu ich jest.

— Nie, dalibóg nie! — zgodził się Sir Malcolm w zadumie. — Naprawdę nie! No, moje dziecko, kiedy tak na ciebie spojrzeć, trzeba go uważać za szczęśliwego człowieka. On by ci chyba nie robił trudności?

— O nie! On mi pozostawia zupełną swobodę.

— Oczywiście! Oczywiście! Prawdziwy mężczyzna zawsze tak postępuje.

Sir Malcolm był uradowany. Connie była jego ulubienicą i zawsze lubił w niej kobietę. Nie miała w sobie tyle z matki, co Hilda. A Clifforda nigdy nie znosił. Był więc uradowany i odnosił się do córki niezmiernie czule, jakby to nieurodzone jeszcze dziecko było jego dzieckiem.

Pojechał z nią do hotelu Hartlanda i został, aż się urządziła. Potem poszedł do swojego klubu. Connie zrezygnowała na ten wieczór z jego towarzystwa.

Zastała list od Mellorsa.

„Nie przyjdę do Ciebie do hotelu, ale będę na Ciebie czekał o siódmej w Golden Cock na Adam Street”.

Stał tam, szczupły i wysmukły, taki inny w przyzwoitym ubraniu z lekkiego, ciemnego materiału. Posiadał naturalną wytworność, ale nie miał skrojonego według żurnalu wyglądu mężczyzny z klasy Connie. Zauważyła jednak natychmiast, że mógł się wszędzie pokazać. Odznaczał się naturalnym sposobem bycia, który był znacznie miłszy niż ten żurnalowy wygląd.

— A, jesteś! Jak dobrze wyglądasz!

— Tak! Ale ty nie wyglądasz dobrze.

Spojrzała zatroskana w jego twarz. Był chudy, a kości policzkowe sterczały ostro. Ale oczy jego uśmiechały się do niej i czuła się przy nim jak w domu. O to właśnie szło: nagle opuściło ją napięcie, z jakim musiała zachowywać pozory. Coś promieniowało z niego fizycznie, umożliwiając jej, że czuła się wewnętrznie swobodna, szczęśliwa, jak w domu. Bacznym, kobiecym instynktem szczęścia spostrzegła to natychmiast. „Jestem szczęśliwa, kiedy on tu jest!” Całe słońce Wenecji nie dało jej tego wewnętrznego przestworu i ciepła.

— Czy był dla ciebie podły? — zapytała, kiedy usiadła naprzeciwko niego przy stole.

Był za chudy, widziała to teraz. Ręka jego leżała, jak ją знаła, z owym dziwnym, zwolonym zapomnieniem śpiącego zwierzęcia. Tak bardzo pragnęła pochwycić tę rękę i ucałować, ale nie śmiała.

— Ludzie są zawsze podli — odpowiedział Mellors.

— Wziąłeś to sobie bardzo do serca?

— Jak zwykle. I wiem, że byłem głupcem, przejmując się tym tak bardzo.

— Czy czułeś się, jak pies, któremu uwiązano do ogona puszkę? Clifford pisał mi, że się tak czułeś.

Mellors spojrzał na nią. Było to z jej strony okrutne w tej chwili, gdyż naprawdę cierpiał bardzo.

— Prawdopodobnie tak się czułem — rzekł.

Nie wiedziała, z jak gwałtowną goryczą przyjmował zawsze obelgi.

Nastąpiła długa pauza.

— I brakło ci mnie? — zapytała Connie.

— Byłem rad, że jesteś daleko od tej całej historii.

Znowu nastąpiła pauza.

— Ale ludzie *uwierzyli* w to, o tobie i o mnie?

— Nie, jestem przekonany, że ani przez chwilę nie wierzyli.

— A Clifford?

— Powiedziałbym raczej, że nie. Odsunął to od siebie, nie zastanawiając się nad tym. Ale oczywiście wzbudziło to w nim pragnienie, abym się jak najszybciej wyniósł na koniec świata.

— Będę miała dziecko.

Wszelki wyraz znikł zupełnie z jego twarzy, z całego jego ciała. Spojrzał na nią pociemniałymi oczyma, oczyma, których spojrzenia Connie zupełnie nie mogła zrozumieć: jak gdyby ciemno-płomienny duch spoglądał na nią.

— Powiedz, że się cieszysz! — błagała, sięgając po jego rękę.

I ujrzała budzącą się w nim radość. Ale radość ta była spętana siecią rzeczy, których Connie nie rozumiała.

— Idzie mi tylko o przyszłość — rzekł Mellors.

— Ale nie cieszysz się? — nalegała Connie.

— Czuję taką okropną nieufność wobec przyszłości!

— Nie troszcz się o jakąś odpowiedzialność. Clifford chętnie uznałby to dziecko za swoje. Byłby rad.

Zobaczyła, jak Mellors pobladł i wzdrygnął się na dźwięk jej słów. Nie odpowiedział.

— Czy mam powrócić do Clifforda i obdarzyć Wragby nowym baronetem? — zapytała Connie.

Mellors spojrzał na nią, błądy i bardzo daleki. Brzydki uśmieшек przemknął po jego twarzy.

— Nie musiałabyś mu powiedzieć, kto jest ojcem dziecka?

— O! — rzekła Connie. — Gdybym chciała, przyjąłby dziecko i tak.

Mellors myślał przez chwilę.

— Tak! — rzekł wreszcie, jakby do siebie. — Przypuszczam, że przyjąłby.

Zapanowało milczenie. Wielka przepaść ziała między nimi.

— Ale ty przecież nie chcesz, żebym powróciła do Clifforda? — zapytała Connie.

— Czego chcesz ty sama?

— Chcę żyć z tobą — odpowiedziała Connie po prostu.

Wbrew jego woli małe płomyki przemknęły po jego ciele, kiedy usłyszał te słowa. Spuścił głowę. Potem spojrzał na nią znowu tymi zaszczutymi oczyma.

— Jeżeli ci o to idzie... — rzekł. — Ja nie posiadam nic.

— Posiadasz więcej niż większość mężczyzn. Wiesz przecież o tym.

— Poniekąd wiem. — Milczał przez chwilę, zastanawiając się. Potem ciągnął: — Ludzie powiadają, że mam w sobie za wiele z kobiety. Ale to nie to. Nie jestem jeszcze babą dlatego, że nie chcę strzelać do zwierzyny ani że nie mam ochoty robić pieniędzy i szukać kariery. W wojsku mogłem sobie łatwo poradzić. Ale nie lubiłem wojska. Chociaż z żołnierzami dawałem sobie doskonale radę. Moi ludzie lubili mnie. I czuli przede mną niepokonany strach, kiedy się stawałem dziki. Nie, właśnie ta otepiała, zabójcza, wyższa siła rozkazywania czyniła wojsko czymś martwym, absolutnie martwym absurdem. Lubię mężczyzn, a mężczyźni mnie lubią. Ale nie mogę znieść małostkowej, władczej bezczelności ludzi, którzy rządzą naszym światem. Dlatego nie mogę się posunąć naprzód. Nienawidzę bezwstydu pieniądza i nienawidzę bezwstydu ambicji klasowej. Cóż ja na takim świecie mogę ofiarować kobiecie?

— Ale po co jej coś ofiarować? To przecież nie handel. Kochamy się przecież — rzekła Connie.

— Nie, nie! To coś więcej niż to. Życie jest ruchem, i to ruchem naprzód. Moje życie nie chce płynąć we właściwym korycie. Po prostu nie chce. Dlatego też jestem czymś w rodzaju spartaczony egzystencji. Nie przystoi mi więc wciągać do swego życia kobiety, jeżeli życie moje nie dokona czegoś i nie osiągnie czegoś, przynajmniej wewnętrznie, aby nas oboje utrzymać w rzeźkości. Mężczyzna musi zaofiarować kobiecie *jakikolwiek* sens w życiu, jeżeli mają wieść razem odosobnione życie, a ona jest prawdziwą kobietą. Nie mogę być tylko po prostu twoją męską konkubiną.

— Dlaczego nie? — wtrąciła Connie.

— Dlaczego? Ponieważ nie potrafię. A i ty znienawidziłabyś to rychło.

— Więc nie mógłbyś mi zaufać? — zawołała Connie.

Uśmiech przemknął po jego twarzy.

— Pieniądze są twoje, pozycja towarzyska jest twoja, decyzja zależy od ciebie. Nie jestem przecież ostatecznie tylko obłapiaczem jaśnie pani<sup>102</sup>.

— A czym jesteś?

— Ty możesz o to pytać! Niewątpliwie trudno to zrozumieć. Ale dla siebie przynajmniej jestem czymś. Ja widzę sens własnego życia, chociaż pojmuję doskonale, że nikt inny go nie widzi.

— A czy życie twoje będzie miało mniej sensu, jeżeli będziesz żył ze mną?

Mellors zrobił długą pauzę, zanim odpowiedział:

— Możliwe.

I ona zamilkła, aby się nad tym zastanowić.

— A jaki jest sens twego życia? — zapytała wreszcie.

— Powiadam ci przecież, że jest niewidoczny. Nie wierzę w świat, ani w pieniądź, ani w karierę, ani w przyszłość naszej cywilizacji. Jeżeli już koniecznie ludzkość ma mieć jakąś przyszłość, potrzebna będzie olbrzymia zmiana wszystkiego, co dzisiaj istnieje.

— A jak będzie musiała wyglądać ta prawdziwa przyszłość?

— Bóg wie! Ja czuję to w sobie trochę, ale wszystko pomieszane ze sporą dozą wściekłości. Do czego to jednak naprawę zmierza, nie wiem.

— Czy mam ci powiedzieć? — zapytała Connie, spoglądając w jego twarz. — Czy mam ci powiedzieć, co ty posiadasz, a czego nie posiadają inni mężczyźni, i co wpłynie na ukształtowanie przyszłości? Czy mam ci to powiedzieć?

— Powiedz mi — rzekł Mellors.

— Idzie tu o odwagę czułości; ona to przejawia się właśnie wtedy, kiedy kładziesz rękę na tylną część mego ciała i mówisz, że mam piękny tyłek.

Przelotny uśmiech ukazał się znowu na jego twarzy.

— Ach, to! — rzekł.

Potem popadł znowu w zadumę.

— Tak! — ciągnął. — Masz rację. Tak jest naprawdę. Tak było zawsze. Doświadczyłem też tego w stosunku do moich ludzi. Musiałem być ze swoimi żołnierzami w kontakcie, fizycznie, i nie odstępować od tego. Musiałem ich sobie cielesnie uświadamiać i być

Mężczyzna, Kobieta

Ciało, Obraz świata

<sup>102</sup>obłapiaczem jaśnie pani — w oryg. *just my Lady's fucker*. [przypis edytorski]



dla nich trochę czułym, nawet kiedy ich łącałem. Jest to kwestia zbudzonej świadomości, jak powiada Budda. Ale i on zmykał przed cielesną świadomością i przed ową naturalną czułością fizyczną, która jest rzeczą najlepszą, nawet wśród mężczyzn; we właściwy, męski sposób. To ich czyni prawdziwymi mężczyznami, nie takimi pajacami. Tak! Czułość, to prawda! Jest to w istocie nic innego, jak świadomość płciowa. Seksualizm jest właściwie tylko kontaktem, najściślejszym kontaktem. I tego się właśnie boimy, kontaktu. Jesteśmy na wół tylko świadomi i na wół tylko żywi. Musimy się stać żywi i świadomi. Ludzie muszą wejść wzajemnie w kontakt i stać się trochę czulsi. To nasza najżywniejsza potrzeba.

Connie spojrzała na niego.

— Więc dlaczego lękasz się mnie? — zapytała.

Spoglądał na nią długo, zanim odpowiedział.

— Lękam się właściwie twoich pieniędzy i twojej pozycji. Obawiam się świata, który jest w tobie.

— Ale czyż we mnie nie ma czułości? — zapytała Connie z zadumą.

Mellors patrzył na nią zaszepionym, nieprzytomnym wzrokiem.

— Owszem! Odchodzi ona i przychodzi, jak u mnie.

— Ale czy nie możesz jej zaufać w stosunkach pomiędzy tobą a mną? — zapytała Connie, spoglądając na niego z załkaniem. Widziała, jak duch jego stawał się zupełnie łagodny i zrzucił swój pancerz.

— Może! — odpowiedział.

Potem zamilkli oboje.

— Chcę, abyś mnie trzymał w ramionach — rzekła Connie. — Chcę, abyś mi mówił, że się cieszysz z dziecka, które będziemy mieli.

Wyglądała tak pięknie, tak gorąco i poważnie! Dusza jego rwała się do niej.

— Myślę, że możemy iść do mojego pokoju — rzekł. — Chociaż jest to znowu coś skandalicznego.

Ale ona ujrzała, jak owładnęło nim znowu zapomnienie świata, ujrzała, jak twarz jego przybrała łagodny, czysty wyraz czulej namiętności.

Poszli przez opustoszałe ulice na Coburg Square, gdzie miał na najwyższym piętrze pokój, mansardę, w której na gazowej kuchence sam sobie przyrządzał jedzenie. Mieszkanie było małe, ale czyste i porządne.

Rozebrała się i skłoniła go, by zrobił to samo. Była piękna w delikatnie zarysowanym, pierwszym okresie ciąży.

— Powiniennem zostawić cię samą — powiedział.

— Nie! — odpowiedziała. — Kochaj mnie! Kochaj mnie i powiedz, że mnie zatrzymasz przy sobie. Powiedz, że mnie zatrzymasz! Powiedz, że nigdy nie pozwolisz mi odejść, ani do świata, ani do nikogo.

Przycołgała się blisko niego, przywierając do jego szczupłego, silnego, nagiego ciała, jedyne domy, jaki kiedykolwiek znała.

— Toż zastawia cię przy się — powiedział. — Jeżeli tego chcesz, to cię zastawia.

Objął ją ciasno i mocno.

— I powiedz, że cieszysz się z dziecka — powtórzyła. — Pocałuj je! Pocałuj moje łono i powiedz, że cieszysz się, że tam jest.

Ale to było dla niego trudniejsze.

— Boja się przykludzać dzieci na tym świecie — powiedział. — Tak barzo boja się łonej przyszłości.

— Ale ty mi je dałeś. Bądź dla niego czuły, a to już będzie jego przyszłość. Pocałuj je!

Zadrzał, bo to była prawda.

— Bądź dla niego czuły, a to będzie jego przyszłość.

W tym momencie poczuł czystą miłość do kobiety. Pocałował jej brzuch i wżgórek Wenus, aby pocałować blisko łonej płodu w łonie.

— Och, kochasz mnie! Kochasz mnie! — powiedziała, wydając okrzyk przypominający jeden z jej ślepych, nieartykułowanych krzyków miłosnych.

A on wszedł w nią delikatnie, czując strumień czułości płynący z jego trzewi do jej, rozpalonych trzewi współodczuwania między nimi. I zdał sobie sprawę, że kiedy w nią

wchodzi, jest to właśnie to, co musi zrobić, być w czułym kontakcie, nie tracąc przy tym swojej dumy, godności ani integralności jako mężczyzna. W końcu, jeśli ona miała pieniądze i środki, a on ich nie miał, powinien być zbyt dumny i honorowy, by z tego powodu powstrzymać swą czułość do niej.

„Opowiadam się za dotykem cielesnej świadomości między istotami ludzkimi — powiedział do siebie — i za dotykem czułości. A ona jest moją partnerką. I to jest bitwa przeciwko pieniądзом, maszynom i bezmyślnej, idealnej małpowatości świata. A ona stanie w niej za mną. Dzięki Bogu, że mam kobietę! Dzięki Bogu mam kobietę, która jest ze mną, jest czuła i świadoma mnie. Dzięki Bogu, że nie jest tyranem ani głupcem. Dzięki Bogu jest czułą, świadomą kobietą”.

A gdy wytrysło w niej jego nasienie, jego dusza również wytrysła ku niej, w twórczym akcie, który jest czymś więcej niż tylko aktem prokreacji.

Connie zdecydowała teraz stanowczo, że między nim a nią nie nastąpi już rozłąka. Trzeba było tylko znaleźć jeszcze środki i drogi.

— Czy nienawidziłeś Bertę Coutts? — zapytała go.

— Nie mów o niej.

— Owszem! Musisz mi pozwolić mówić. Ponieważ ją nigdyś lubiłeś. I byłeś z nią nigdyś tak zbliżony, jak teraz ze mną. Musisz mi to więc powiedzieć. Czy to nie straszne tak ją nienawidzić, gdy nigdyś byłeś z nią zbliżony? Dlaczego tak jest?

— Nie wiem. Wola jej była niejako zawsze skierowana przeciwko mnie, zawsze, zawsze. Jej ohydna, kobieca wola, jej wolność! Potworna wolność kobiety, kończąca się najplugawszym tyranstwem! O, broniła zawsze swojej wolności przede mną, jakby mi oblewała twarz witriolem.

— Ale ona i teraz jeszcze nie jest od ciebie wolna. Kocha cię jeszcze?

— Nie, nie! Jeżeli nie jest jeszcze wolna ode mnie, to przyczyna polega na tym, że opętana jest tym obłąkanym szaleństwem, iż musi mnie tyranizować.

— Ale musiała cię przecież kiedyś kochać!

— Nie! A może tak, od czasu do czasu. Czuła do mnie pociąg. Myślę, że nienawidziła nawet tego uczucia. Chwilami kochała mnie. Ale cofała to zawsze i próbowała mnie tyranizować. Najgłębszym jej pragnieniem było tyranizować mnie i pod tym względem niepodobna było jej zmienić. Wola jej od samego początku była zła.

— A może czuła, że ty jej prawdziwie nie kochałeś, i chciała cię do tego zmusić.

— Na Boga, diabelski to był sposób!

— Ale nie kochałeś jej w istocie, prawda? Wyrządziłeś jej tę krzywdę.

— Jakżebym mógł ją kochać? Zaczynałem właściwie. Zaczynałem ją kochać. Ale ona potrafiła mnie zawsze podburzyć do głębi. Nie, nie mówmy o tym! To było fatum. A ona była kobietą, która musiała się sama dla siebie stać fatum. Ostatnim razem byłbym ją zastrzelił jak dzikiego kota, gdyby mi było wolno. Oszalałe, złowieszcze stworzenie w postaci kobiety! Gdybymż był ją zastrzelił i zakończył w ten sposób całą tę nikczemność! To powinno być dozwolone. Jeżeli kobieta jest na wskroś opętana własną wolą, własną samowolą, która przeciwstawia się wszystkiemu, to to jest rzecz okropna. Powinno się ją zastrzelić.

— A czy nie powinno się zastrzelić także mężczyzny, którego wola stała się opętaniem?

— Tak! Tak samo! Ale muszę się od niej uwolnić, bo spadnie mi znowu na kark. Chciałem ci to powiedzieć. Muszę osiągnąć rozwód, w jakikolwiek sposób się da. Dlatego musimy być ostrożni. Nie możemy pokazywać się razem. Nie zniósłbym tego nigdy, nigdy, gdyby ona zaskoczyła ciebie i mnie.

Connie zastanowiła się nad tym.

— Więc nie moglibyśmy żyć razem? — zapytała.

— W ciągu najbliższych sześciu miesięcy nie, aż ostateczne rozwiązanie małżeństwa uprawomocni się. Myślę jednak, że uzyskam rozwód już we wrześniu. Więc potem do marca.

— Ale dziecko przyjdzie na świat prawdopodobnie w końcu lutego — rzekła Connie. Mellors milczał.

— Pragnę niemal, aby Clifford i Berta nie żyli — powiedział wreszcie.

— Nie nazwałabym tego czułością.

— Czułość? O, tak, największą czułością, jaką można by im okazać, byłoby może

Kobieta, Mężczyzna,  
Wolność, Władza

Morderstwo

nawet zadać im śmierć. Oni nie potrafią żyć! Trwonią tylko życie! Dusze ich są przeraźliwe. Śmierć powinna być dla nich słodka. A ja powinienem mieć prawo zastrzelenia ich.

— Ale nie zrobiłbyś tego — rzekła Connie.

— Zrobiłbym! I z mniejszymi skrupułami, niż kiedy zabijam łasicę. Zwierzę ma przy najmniej jakiś wdzięk i jest samotnym stworzeniem. Ale ich jest legion. O, powystrzelalbym ich!

— W takim razie lepiej może, że nie śmiesz.

— Owszem.

Connie miała teraz dość materiału do myślenia. Jasne było, że Mellors chciał się zupełnie uwolnić od Berty Coutts. A ona czuła, że miał rację: ostatni atak był zbyt dziki. Znaczyło to, że do wiosny będzie musiała żyć sama. Może będzie mogła rozwieść się z Cliffordem. Ale jak? Gdyby wymieniono przy tym Mellorsa, udaremniłoby to jego rozwód. Jakie to ohydne! Czyż nie można było po prostu odejść na drugi koniec świata i być wolnym od tego wszystkiego?

Nie można było. Drugi koniec świata był dzisiaj oddalony o niespełna pięć minut drogi od Charing Cross. Póki działało radio, nie istniał drugi koniec świata. Królowie dahomejscy i lamowie tybetańscy słyszeli Londyn i New York.

Cierpliwości! Cierpliwości! Świat był potwornym i przeraźliwym splotem mechanicznego zamętu i trzeba było wielkiej ostrożności, aby nie zostać przezeń rozszarpanym.

Connie zwierzyła się ojcu.

— Widzisz, ojcze, był to leśniczy Clifforda. Ale dawniej był oficerem armii indyjskiej. Teraz jest czymś w rodzaju pułkownika C. E. Florence'a, który wołał zostać znowu zwyczajnym żołnierzem.

Ale Sir Malcolm nie żywił sympatii dla nierozważnych poczynań słynnego C. E. Florence'a. Poza tą pokorą dostrzegał zbyt wiele reklamy. Wyglądało to zupełnie tak samo, jak ów rodzaj zarozumiałości, którego *knight* najbardziej nie lubił, arogancja samoponizowania.

— Skąd pochodzi twój leśniczy? — zapytał Sir Malcolm zdenerwowany.

— Jest synem górnika z Tevershall. Ale jest niezmiernie dzielny.

Uszlachconego artystę zirykowało to jeszcze bardziej.

— To mi wygląda na poszukiwacza złota — rzekł. — A ty jesteś niewątpliwie piękną kopalnią.

— Nie, ojcze, tak nie jest. I wiedziałbyś o tym na pewno, gdybyś go zobaczył. To jest mężczyzna. Clifford nigdy nie mógł go znieść, ponieważ nie był pokorny.

— Najwidoczniej posiadał kiedyś właściwy instynkt.

Rzeczą, której Sir Malcolm nie mógłby ścierpieć w tym wszystkim, był skandal, że jego córka miała stosunek z leśniczym. Stosunku nie brał jej za złe, tylko skandal.

— Nie mam nic przeciwko temu chłopakowi. Zdołał widocznie podejść do ciebie z właściwej strony. Ale, na Boga, pomyślże o tej całej gadaninie! Pomyśl o swojej macosze, co ona na to powie!

— Wiem — odpowiedziała Connie. — Plotka jest czymś ohydny. Zwłaszcza jeżeli się żyje w społeczeństwie. A jemu niezmiernie zależy na tym, żeby dostać rozwód. Pomyślałam, że może podać kogoś innego jako ojca dziecka i nie wymieniać wcale nazwiska Mellorsa.

— Kogoś innego? Kogo?

— Może Duncana Forbesa. Przez całe życie był naszym przyjacielem. Jest dość znanym artystą. I lubi mnie.

— A niechże mnie licho porwie! Biedny Duncan! A co on ma z tego mieć?

— Nie wiem. Ale może mu to nawet będzie bardzo miłe.

— Myślisz, że mu to będzie miłe? No, zabawny z niego człowiek, jeżeli mu to będzie miłe! Nie miałas z nim przecież nawet stosunku, czy też tak?

— Nie! Ale on też tego naprawdę nie pragnie. Lubi tylko, żebym była blisko niego, ale nie żebym go dotykała.

— Boże, co za pokolenie!

— Najbardziej byłby rad, gdybym mu pozowała. Ale ja nigdy nie chciałam.

— Pomóż mu Boże! Ale wygląda on na to, jakby był do wszystkiego zdolny.

Pokora, Duma

Obyczaje, Społeczeństwo,  
Plotka, Słowo

- W każdym razie nie przejąłbyś się tym zbyt, gdyby plotka odnosiła się do niego?
- Na Boga, Connie, co za wstrętne machinacje!
- Wiem! To ohydne! Ale cóż mi pozostaje innego?
- Wszystkie te machinacje i wybiegi, wybiegi i machinacje! Aż człowiek ma wrażenie, że żył za długo!
- Widzisz, ojcze, gdybyś ty sam nie posiłkował się w życiu do woli takimi machinacjami i wybiegami, mógłbyś o tym mówić.
- To było inaczej, zapewniam cię.
- *Zawsze* jest inaczej.

Hilda przyjechała do Londynu i wpadła we wściekłość, kiedy się dowiedziała o nowym rozwoju wypadków. I ona nie mogła po prostu znieść myśli o publicznym skandalu, którego przedmiotem miała się stać jej siostra i leśniczy. Naprawdę, to zbyt poniżające!

— Dlaczego nie mielibyśmy po prostu, każde z oddzielną, zniknąć, wyjechać do Kolumbii Brytyjskiej, zupełnie bez skandalu? — powiedziała Connie.

Ale to było na nic. Skandal i tak by wybuchnął. A jeśli Connie miała pójść za tym człowiekiem, to już lepiej, żeby mogła wyjść za niego. Takie było zdanie Hildy. Sir Malcolm nie był przekonany. Afera mogła jeszcze przeminąć.

— Czy nie chcesz go poznać, ojcze?

Biedny Sir Malcolm! W najmniejszej mierze nie zależało mu na tym. I biedny Mellors! Jemu jeszcze mniej na tym zależało. Ale spotkanie nastąpiło jednak: obiad w prywatnych salonach klubu; dwaj panowie sami, obserwujący się wzajemnie od stóp do głowy.

Sir Malcolm pił sporo whisky, Mellors pił także. I przez cały czas rozmawiali o Indiach, które leśniczy znał doskonale.

Trwało to póty, póki jedli. Dopiero gdy podano kawę i kelner wyszedł, Sir Malcolm zapalił cygaro i rzekł serdecznie:

— No, młodzieńcze, jakże tam jest z moją córką?

Uśmiech przemknął po twarzy Mellorsa.

— A cóż ma z nią być, Sir?

— W każdym razie zrobił pan jej dziecko!...

— Miałem ten zaszczyt! — uśmiechnął się Mellors.

— Zaszczyt, na Boga! — Sir Malcolm parsknął śmiechem i stał się szkocki i sprośny. — Zaszczyt! Jak było, co? Dobrze, mój chłopcze, co?

— Dobrze!

— Założę się, że tak! Ha, ha! Moja córka, stary wyga, co! Sam nigdy nie cofnąłem się przed dobrym rżnięciem. Chociaż jej matka, och, wszyscy święci! — Przewrócił oczami do nieba. — Ale rozgrzałeś ją, och, rozgrzałeś ją, widzę to. Ha, ha! Moja krew w niej! Podpaliłeś jej stóg siana. Ha, ha, ha! Cieszyłem się z tego, mogę ci powiedzieć. Potrzebowała tego. Och, to miła dziewczyna, to miła dziewczyna i wiedziałem, że będzie dobra, jeśli tylko jakiś cholerny facet podpali jej stóg! Ha, ha, ha! Leśniczy, mój chłopcze! Cholernie dobry kłusownik, moim zdaniem. Ha, ha! Ale teraz, poważnie mówiąc, cóż poczniemy? Poważnie mówiąc, rozumie pan?

Poważnie mówiąc, nie zaszli daleko. Mellors, choć nieco podchmielony, był znacznie trzeźwieszy z nich dwóch. Starał się, by rozmowa była na tyle inteligentna, jak to tylko możliwe: to znaczy nie mówił zbyt wiele.

— Więc jesteś leśniczym! O, masz rację! Taka gra jest warta zachodu dla mężczyzny, co? Test na kobiety jest taki, żeby ją uszczypnąć w tyłek. Już po dotyku jej tyłka możesz wiedzieć, czy będzie dobrze. Ha, ha! Zazdroszczę ci, mój chłopcze. Ile masz lat?

— Trzydzieści dziewięć.

*Knigt* uniósł brwi.

— Aż tyle! Cóż, wyglądasz na dobre dwadzieścia parę. O, leśniczy czy nie, ale niezły z ciebie kogucik<sup>103</sup>. Widzę to z zamkniętym jednym okiem. Nie tak jak ten cholerny Clifford! Krzyżówka liliji i ogara, a nigdy nie uprawiał seksu, nigdy. Lubię cię, mój chłopcze,

<sup>103</sup>kogucik — w oryg. *cock*. [przypis edytorski]

zakładam się, że masz niezłego dorsza; o, z ciebie ostry kogucik, widzę to. Jesteś wojownikiem. Leśniczy! Ha, ha, to ci dopiero, nie powierzyłbym ci swojego lasku! Ale słuchaj, poważnie, co z tym zrobimy? Świat jest pełen przeklętych starych bab.

Poważnie mówiąc, nie doszli do niczego poza starym wolnomularstwem męskiej zmysłowości

— Tak, młodzieńcze, a jeżelibym mógł kiedykolwiek coś dla pana zrobić, niech pan na mnie polega! Leśniczy! Jezu Chryste, to doskonale! Podoba mi się to! O, podoba mi się to! Dowodzi to, że dziewczyna ma ikrę. Co? Ostatecznie, widzi pan, ona ma własny dochód. Skromny, skromny, ale od głodu uchroni. A ja jej pozostawię, co posiadam. Dalibóg, tak zrobię! Zasłużyła sobie na to tym, że miała ikrę w tym świecie starych bab. Ja się mozoliłem siedemdziesiąt lat, żeby się uwolnić od spódnic starych bab, i jeszcze tego nie dopiąłem. Ale pan jest odpowiednim do tego mężczyzną, widzę to doskonale.

— Rad jestem, że pan tak sądzi. Zazwyczaj ludzie dają mi do zrozumienia, że jestem idiotą.

— O, wierzę panu! Drogi przyjacielu, czymże mógłby pan być dla tych starych bab, jak nie idiotą?

Rozstali się niezmiernie serdecznie, a Mellors przez resztę dnia uśmiechał się do siebie.

Następnego dnia zjadł obiad z Connie i Hildą w zacisznym lokalu.

— Wielka szkoda, że z tego wszystkiego wynikła taka brzydka sytuacja — rzekła Hilda.

— Miałem z tego dużo przyjemności — odpowiedział Mellors.

— Wierzę, ale mogliście się powstrzymać od płodzenia życia, aż będziecie oboje wolni, żeby się móc pobrać i mieć dzieci.

— Pan Bóg trochę za wcześniej rozdmuchał iskrę — rzekł Mellors.

— Myślę, że Pan Bóg nie miał z tym nic wspólnego. Connie ma oczywiście dość pieniędzy, żebyście się mogli oboje utrzymać, ale sytuacja jest nie do zniesienia.

— Pani jednak ma z tym ostatecznie bardzo mało wspólnego — odpowiedział Mellors.

— Gdyby pan przynajmniej należał do tej samej klasy, co Connie!

— Albo gdybym siedział w klatce Ogrodu Zoologicznego.

Nastąpiło milczenie.

— Myślę — rzekła Hilda — że najlepiej będzie, jeżeli się z tym połączy nazwisko jakiegoś innego mężczyzny, a pana pominie się zupełnie.

— Myślałem jednak, że się już z tą sprawą dość mocno związałem.

— Mam na myśli proces rozwodowy.

Mellors spojrzął na nią zdumiony. Connie nie odważyła się opowiedzieć mu o planie z Duncanem.

— Niezupełnie panią rozumiem — rzekł.

— Mamy przyjaciela, który prawdopodobnie zgodziłby się być wymienionym jako współwinny, tak że nazwisko pańskie wcale nie byłoby wspomniane — wyjaśniła Hilda.

— Ma pani na myśli innego mężczyznę?

— Oczywiście!

— Ale przecież ona nie ma innego!

Spojrzał ze zdziwieniem na Connie.

— Nie, nie! — rzekła Connie szybko. — To tylko stara przyjaźń, zupełnie zwyczajna przyjaźń, nie miłość.

— Więc dlaczego ten człowiek miałby brać winę na siebie? Jeżeli nic z ciebie nie miał?

— Niektórzy mężczyźni są rycerscy i nie obliczają tylko, co z kobiety mieli — rzekła Hilda.

— Aluzja do mnie, hę? Ale kim jest ten ptaszek?

— Przyjaciel, którego od młodości znamy w Szkocji, malarz.

— Duncan Forbes! — rzekł Mellors natychmiast, gdyż Connie opowiadała mu o nim.

— Więc na niego chcecie zwalić winę?

— Mogliby zamieszkać razem w jakimś hotelu albo po prostu przenocować w jego mieszkaniu.

— Zdaje mi się, że to za wiele kłopotu o nic — rzekł Mellors.

— Więc co pan proponuje? — zapytała Hilda. — Jeżeli pańskie nazwisko zostanie wymienione, nie dostanie pan rozwodu z żoną, która jest podobno niezbyt sympatyczną osobą i z którą najlepiej byłoby nie mieć nic do czynienia.

— To prawda — rzekł Mellors niechętnie.

Nastąpiło długie milczenie.

— Moglibyśmy po prostu zniknąć z Anglii — rzekł.

— Connie zniknąć nie może — odpowiedziała Hilda. — Clifford jest zbyt znany.

Znowu milczenie pełne beznadziejnych myśli.

— Świat jest taki, jaki jest. Jeżeli chcecie żyć razem, nie narażając się na prześladowanie, musicie się pobrać. Żeby się ożenić, musicie być oboje rozwiedzeni. Więc jak to chcecie urządzić?

Mellors milczał przez dłuższy czas.

— A jak *pani* chce to dla nas urządzić? — zapytał wreszcie.

— Zobaczmy, czy Duncan zgodzi się figurować jako współwinny. Potem musimy skłonić Clifforda, żeby wystąpił przeciwko Connie z procesem rozwodowym. Pan musi tymczasem dalej starać się o swój rozwód. I oboje musicie żyć w odosobnieniu, póki nie będziecie wolni.

— To wygląda zupełnie jak dom wariatów.

— Możliwe! A świat będzie was też uważał za wariatów albo za coś gorszego jeszcze.

— Za co gorszego jeszcze?

— Prawdopodobnie za przestępców.

— Spodziewam się, że mogę wobec tego kilka razy żgnąć sztyletem — rzekł Mellors z uśmiechem.

Potem zamilkł zły.

— No, dobrze! — rzekł wreszcie. — Godzę się na wszystko. Świat jest oszalałym kretyńcem, którego żaden człowiek nie zgładzi. Oczywiście zrobię, co tylko będę mógł. Ale ma *pani* rację. Musimy się ratować, jak możemy.

Spojrzał na Connie, upokorzony, gniewny, rozżalony i przygnębiony.

— Dziewuszkę moja! — rzekł. — Świat szykuje się już, żeby ci nasypać soli na ogon.

— Chyba, że mu nie pozwolimy — odpowiedziała Connie.

Przejmowała się ona mniej niż on tymi podstępami w stosunku do świata.

Duncan, kiedy mu wyluszczone propozycję, nalegał także, że chce poznać winowajcę leśniczego. Nastąpiła więc kolacja, tym razem w mieszkaniu malarza: wszyscy czworo. Duncan Forbes był przysadzistym, barczystym, ciemnoskórym, milczącym Hamletem o gładkich, czarnych włosach, odznaczającym się niesamowitym zarozumiałstwem celtyckim. Malowidła jego składały się z samych rur i wentyli, i spirali, i dziwnych barw, ultramodernistycznych, ale odznaczających się jednak pewną siłą, nawet pewną czystością formy i tonu: tylko Mellors uważał je za okropne i odrażające. Nie pozwolił sobie jednak tego powiedzieć, gdyż Duncan był niemal obłąkany na punkcie swojej sztuki; była ona dla niego osobistym kultem, osobistą religią.

Obejrzeni obrazy w pracowni, a Duncan skierował swoje nieco maławe, brunatne oczy na drugiego mężczyznę. Chciał usłyszeć, co leśniczy powie o jego obrazach. Sądy Connie i Hildy już znał.

— To jest niby ekstrakt morderstwa — rzekł wreszcie Mellors; tego wyrażenia nie spodziewałby się Duncan w ustach leśniczego.

— A kto jest mordowany? — zapytała Hilda bardzo szyderczo i chłodno.

— Ja! To zabija w człowieku wszelki ślad współczucia.

Fala najczystszej nienawiści wypłynęła z malarza. W głosie leśniczego usłyszał ton odrazy i pogardy. Uczuł wstręt na wspomnienie współczucia. Chorobliwy sentymentalizm!

Mellors stał szczupły i wysmukły i spoglądał na obrazy z migoczącą obojętnością, przypominającą trochę taniec latającego po pokoju mola.

— Może mordowana jest głupota, sentymentalna głupota — zadrwił malarz.

Obraz świata

— Sądzi pan? Ja myślę, że te wszystkie rury i linie faliste są dostatecznie głupie i niemal sentymentalne. Zdradzają one wiele ubolewania nad sobą i przeraźliwie wiele nerwowego zarozumiałstwa. Tak się mnie wydaje.

Twarz malarza położyła w nowej fali nienawiści. Jednakże z jakąś milczącą pychą odwrócił obrazy do ściany.

— Sądzę, że możemy przejść do jadalni — rzekł.

Wszyscy przeszli przygnębieni.

Po czarnej kawie Duncan rzekł:

— Nie mam nic przeciwko temu, żeby się podać za ojca dziecka Connie, ale tylko pod tym warunkiem, że ona będzie mi w zamian pozowała. Od lat pragnąłem tego, ale Connie odmawiała mi stale.

Wypowiedział to z ponurą stanowczością inkwizytora, który ogłasza *auto-da-fé*.

— Aha! — rzekł Mellors. — Więc robi pan to warunkowo?

— Oczywiście! Zrobię to tylko pod tym warunkiem.

Malarz usiłował wyrazić w swoich słowach najwyższą pogardę dla leśniczego. Wyrażał jej trochę za wiele.

— Powinien by pan jednocześnie wziąć sobie i mnie jako model — rzekł Mellors. — Może by pan namalował od razu grupę: Wulkan i Wenus w sieci Sztuki. Byłem niegdyś kowalem, zanim zostałem leśniczym.

— Dziękuję panu — odpowiedział malarz. — Nie sądzę, aby Wulkan posiadał akt, który by mnie zainteresował.

— Nawet gdyby został uformowany w rury i odpowiednio wyczyszczony?

Nie otrzymał odpowiedzi. Malarz był zbyt wyniosły i zbyt dostojny, żeby trwonić dalsze słowa.

Był to ponury wieczór, podczas którego malarz stale ignorował obecność drugiego mężczyzny i krótkimi tylko zdaniami przemawiał do pań, jak gdyby słowa te wyrwane były z głębin jego posępnej powagi.

— Duncan nie podoba ci się, ale on nie jest właściwie tak zły. Jest to naprawdę dobry człowiek — powiedziała Connie, kiedy odeszli.

— To jest małe, czarne szczenię z falistolinijnym defektem — odpowiedział Mellors.

— Nie, dzisiaj nie był miły.

— I chcesz mu rzeczywiście pozować?

— O, dzisiaj naprawdę nie mam już nic przeciwko temu. Nie dotknie mnie. A ja się niczym nie przejmuję, jeżeli stanowi to tylko dla ciebie i dla mnie drogę do wspólnego życia.

— Ale on cię przecież tylko splugawi na płótnie.

— Wszystko mi jedno. Namaluje tylko swoje własne uczucia dla mnie, a ja sobie z tego nic nie robię. Nie pozwoliłabym się dotknąć przez niego za nic w świecie. Ale jeżeli mu się zdaje, że może dokonać czegoś swoim sowim, artystycznym gapieniem się, pozwól mu się gapić. Może ze mnie zrobić tyle pustych rur i linii falistych, ile mu się tylko spodoba. Jego strata. Znienawidził cię, bo powiedziałaś, że jego rurowata sztuka jest sentymentalna i zarozumiała. Ale to oczywiście prawda.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

„Kochany Cliffordzie, obawiam się, że to, co przewidywałeś, stało się. Jestem naprawdę zakochana w innym mężczyźnie i mam nadzieję, że zgodzisz się na rozwód ze mną. Mieszkam obecnie z Duncanem w jego mieszkaniu. Doniosłam Ci, że był on z nami razem w Wenecji. Jestem okropnie nieszczęśliwa ze względu na Ciebie. Ale proszę Cię, spróbuj przyjąć to spokojnie. Naprawdę już mnie nie potrzebujesz, a ja nie mogę znieść myśli o powrocie do Wragby. Jest mi niezmiernie przykro. Ale proszę Cię, spróbuj mi przebaczyć, rozwiedź się ze mną i znajdź sobie kogoś lepszego. Rzeczywiście nie jestem człowiekiem odpowiednim dla Ciebie. Prawdopodobnie dlatego, że jestem zbyt niecierpliwa i egoistyczna. Ale nie mogę już powrócić i żyć z Tobą. I jest mi naprawdę okropnie przykro ze względu na Ciebie. Ale jeżeli się nie dasz unieść podnieceniu, przekonasz się, że nie będziesz tym tak bardzo

przejęty. W istocie nie zależało Ci wcale na mnie osobiście. Więc wybacz mi, proszę, i uwolnij się ode mnie”.

Kiedy Clifford otrzymał ten list, wewnątrz nie był zaskoczony. Wewnątrz wiedział od dłuższego czasu, że Connie opuściła go. Ale wzdrygał się stanowczo przed jakimkolwiek zewnętrznym przyznaniem. To też zewnątrz stało się to dla niego najokropniejszym ciosem. Dotychczas utrzymywał powierzchnię swego zaufania do Connie zupełnie niezmaconą.

Tacy właśnie jesteśmy. Siłą woli odcinamy swój wewnętrzny intuicyjny obraz od obrazu świadomego, który sobie samym wyznajemy. Wywołuje to jakiś stan trwogi lub przecucia, skutek którego cios, kiedy istotnie spada, staje się dziesięćkroć boleśniejszy.

Clifford był niby histeryczne dziecko. Nabawił panią Bolton nieopisanego strachu, gdy nagle siadł na łóżku, śmiertelnie bład, z twarzą bez wyrazu.

— Sir Cliffordzie, co się stało?

Nie ma odpowiedzi!

W przerażeniu pomyślała, że może dostał ataku sercowego. Podbiegła do niego, dotykając jego twarzy i macając puls.

— Czy pana coś boli? Niechże pan spróbuje powiedzieć mi, gdzie pana boli! Niechże pan mówi!

Nie ma odpowiedzi!

— O Boże, o Boże! Zatelefonuję zaraz do Sheffield, do doktora Carringtona, a doktor Lecky musi zaraz przyjść.

Była już blisko drzwi, gdy on krzyknął głuchym głosem:

— Nie!

Pani Bolton zatrzymała się i wlepiła w niego wzrok. Twarz jego była żółta i bez wyrazu, jak twarz półgłówka.

— Nie chce pan, żebym sprowadziła doktora?

— Nie! Nie potrzebuję go — zabrzmiał grobowy głos.

— Ach, Sir Cliffordzie! Ależ pan jest chory, a ja nie mogę brać na siebie odpowiedzialności. Muszę sprowadzić lekarza. Inaczej wszyscy mnie przypiszą winę.

Pauza. Potem głuchy głos rzekł:

— Nie jestem chory. Moja żona nie wróci.

Zdawało się, że mówi to posąg.

— Nie wróci? Ma pan na myśli jaśnie panią? — Pani Bolton zbliżyła się do łóżka. — O, niech pan tego nie mówi. Może pan polegać na jaśnie pani, ona wróci na pewno.

Posąg w łóżku nie zmienił wyglądu, podał jej tylko nad kołdrą list.

— Niech pani to przeczyta! — rzekł grobowy głos.

— Jeżeli to jest list od jaśnie pani, to jestem pewna, że jaśnie pani nie życzyłaby sobie, żebym czytała jej list do pana, Sir Cliffordzie. Jeżeli pan chce, może mi pan powiedzieć, co jaśnie pani pisze.

Ale twarz ze sterzcącymi na niej nieruchomymi oczyma nie zmieniła się.

— Niech pani to przeczyta! — powtórzył głos.

— Jeżeli muszę, to zrobię to, żeby być panu posłuszną, Sir Cliffordzie — rzekła pani Bolton.

I przeczytała list.

— Naprawdę, dziwię się niezmiernie jaśnie pani — oznajmiła potem. — Przyrzekła przecież solennie, że wróci.

Twarz na łóżku przybrała jeszcze silniejszy wyraz dzikiej, ale nieruchomej rozpacz. Pani Bolton widziała to i zaniepokoiła się. Wiedziała, co to jest: histeria męska. Pielęgnując żołnierzy, poznała tę niemiłą chorobę.

Sir Clifford niecierpliwił ją trochę. Każdy, kto miał zdrowe zmysły, musiał wiedzieć, że jego żona kochała innego i miała zamiar opuścić Wragby. Nawet Sir Clifford (była tego pewna) musiał to sobie w duchu uświadamiać, nie chciał tylko przyznać tego. Gdyby to wyznał wobec siebie i przygotował się do tego albo gdyby to wyznał wobec siebie i walczył ze swoją żoną, wówczas postąpiłby jak mężczyzna. Ale nie! On wiedział, a przez cały czas starał się jak dziecko udawać wobec siebie, że tak nie jest. Czuł ciągle, że diabeł wymachuje

Obraz świata, Wiedza

Mężczyzna, Rozpacz



ogonem, a udawał, że to aniolki uśmiechają się do niego. Ten fałszywy stan sprowadził teraz kryzys fałszu, tę histerię, która była odmianą obłądu.

„Pochodzi to stąd — powiadała sobie pani Bolton w duchu, czując do niego lekką nienawiść — że myśli on zawsze tylko o sobie. Jest tak uwikłany w swoje nieśmiertelne »ja«, że gdy naprawdę spada na niego cios, spowity jest niby mumia we własne więzy. Wystarczy spojrzeć na niego”.

Ale histeria była niebezpieczna. A ona była pielęgniarką i obowiązkiem jej było ratować go. Wszelka próba pobudzenia jego męskości i jego dumy pogorszyłaby jeszcze jego stan: gdyż męskość jego była martwa, chwilowo, jeżeli nie na zawsze. Wiłby się tylko jak robak, coraz mięk szy, coraz mięk szy, i stałby się jeszcze bardziej zwariowany. Jedy na rzecz, którą można było zrobić, to zbudzić w nim litość nad sobą samym. Jak owa pani u Tennysona, musiał płakać albo umrzeć<sup>104</sup>.

Pani Bolton zaczęła więc pierwsza płakać. Zakryła twarz rękoma i wybuchła dzikim łkaniem.

— Tego bym się po jasnie pani nigdy nie spodziewała, tego bym się nigdy nie spodziewała! — szlochała, budząc w sobie nagle całą zadawnioną gorycz i niedolę i przelewając łzy swojej własnej, gorzkiej zgryzoty.

Kiedy raz zaczęła, płacz jej stał się szczery, gdyż naprawdę miała co oplakiwać.

Clifford pomyślał o tym, w jaki sposób oszukała go kobieta Connie i zarażony rozpaczą pani Bolton, uczył, jak łzy napęlniają jego oczy i poczynają staczać się po policzkach. Oplakiwał siebie samego. Gdy tylko pani Bolton ujrzała łzy, płynące po jego twarzy, otarła szybko własne mokre policzki małą chusteczką i pochyliła się nad Cliffordem.

— Niech się pan nie dręczy, Sir Cliffordzie! — rzekła z czarownie hojnym nakładem uczucia. — Niech się pan nie dręczy, nie wolno panu, sam sobie pan tylko zaszkodzi!

Ciało jego zadrżało nagle od powstrzymanego oddechu niemego łkania, a łzy poczęły się szybciej staczać po jego twarzy. Pani Bolton położyła rękę na jego ramieniu i znowu jej samej łzy poczęły kapać z oczu. Znowu dreszcz przebiegł po jego ciele niby spazm, a ona otoczyła go ramieniem.

— Ależ! Ależ! Ależ! Ależ! Niechże się pan nie trapi! — jęczała nieustannie, podczas gdy własne jej łzy kapały z oczu.

Przyciągnęła go do siebie i otoczyła jego szerokie barki ramionami, opierając jego twarz o swoją pierś, i łkała przy tym, kołysząc zarazem jego olbrzymie bary, głaszcząc łagodnie jego ciemnoblond włosy i powtarzając:

— Ależ! Ależ! Ależ! Kto to słyszał! Kto to słyszał! Niechże się pan tak nie przejmuje! Niech się pan tak nie przejmuje!

A on otoczył ją ramionami i uczepił się jej jak dziecko i zlewał łzami jej sztywno nakrochmalony fartuch i bawełnianą bluzkę. Nie hamował się już teraz zupełnie.

Aż pani Bolton ucałowała go wreszcie, kołysząc go na swej piersi i mówiąc do siebie w głębi serca: „O, Sir Cliffordzie, o dumni Chatterleyowie! Więc tak nisko upadliście!” A wreszcie zasnął nawet w jej ramionach jak dziecko. Pani Bolton poczuła wyczerpanie i udała się do swego pokoju, gdzie w napadzie własnej histerii zarazem śmiała się i płakała. Jakie to było śmieszne! Jakie to było okropne! Taki upadek, taka hańba! I jakie to było zarazem podniecające!

Clifford zachowywał się później wobec pani Bolton jak dziecko. Trzymał jej rękę i opierał głowę o jej pierś, a kiedy go raz lekko pocałowała, rzekł:

— Tak! Niech mnie pani całuje! Niech mnie pani całuje!

A gdy nacierała jego wielkie, różowe ciało gąbką, powtarzał to samo:

— Niech mnie pani całuje!

Całowała wówczas jego ciało, wszędzie, na w pół dla żartu.

Łzy

Mężczyzna, Kobieta,  
Dziecko, Erotyzm, Siła,  
Pan, Stuga

<sup>104</sup>u Tennysona, musiał płakać albo umrzeć — chodzi o damę z poematu Tennysona *The Princess* (1847):  
„Home they brought her warrior dead: /  
She nor swoon'd, nor utter'd cry:

*All her maidens, watching, said,*

«She must weep or she will die.» [przypisy edytorski]

A on leżał z dziwaczną, bezmyślną twarzą, jak dziecko, z jakimś lekkim zdziwieniem dziecka. I jak gdyby w uwielbieniu Madonny, które przynosiło mu ulgę, spoglądał na nią szeroko rozwartymi oczyma dziecka. Prawdziwą ulgą było dla niego zaniechać całej swojej męskości, aby zatonać w tym dziecięctwie, które było naprawdę perwersyjne. A potem sięgał ręką do jej piersi i dotykał ich i całował je w namiętym podnieceniu, w namiętym podnieceniu perwersji, polegającej na tym, że był dzieckiem, będąc przecież mężczyzną.

Pani Bolton czuła zarazem zachwyt i wstyd. Lubiła to i nienawidziła tego. Ale nie odtrącała go, nie robiła mu nigdy wyrzutów. Powstała więc między nimi bliska zażyłość fizyczna, zażyłość perwersji, w której on był dzieckiem, ogarniętym pozorną swobodą i podziwem, sprawiającym wrażenie niemal religijnego uwielbienia, niby perwersyjne i dosłowne oddanie owego: „Chyba, że staniecie się znowu jako małe dzieci”, podczas gdy ona była *Magna Mater*<sup>105</sup>, pełna siły i mocy, panująca zupełnie swoją wolą i rozkazem nad tym wielkim, jasnowłosym dzieckiem-mężczyzną.

Najdziwniejsze było przy tym, że to dziecko-mężczyzna, jakim był teraz Clifford i jakim stał się on od lat, było o wiele energiczniejsze i rozumniejsze niż dawny prawdziwy mężczyzna. To perwersyjne dziecko-mężczyzna było teraz *prawdziwym* człowiekiem interesu; jeżeli szło o interes, stawało się ono bezwarunkowym mężczyzną, ostrym jak nóż i nieprzeniknionym jak stal. Kiedy się znajdował poza domem wśród mężczyzn, dążąc do własnych celów i „rozwijając” swoje górnicze przedsięwzięcia, odznaczał się niesamowitą wprost przebiegłością i niezłomnością oraz pewnym, bystrym uderzeniem. Miało się wrażenie, jak gdyby właśnie jego perwersja i prostytutka w stosunku do *Magna Mater* obdarzała go z drugiej strony zaostrzonym rozumem w materialnych sprawach interesu i udzielała mu zdumiewającej, nieludzkiej siły. Chwiejność w prywatnym uczuciu, najskrajniejsze poniżenie jego męskości obdarzała go niejako drugą naturą, zimną, niemal wizjonerską dzielnością w interesach. W interesach był zupełnie nieludzki.

Dla pani Bolton był to powód do triumfowania.

„Jak on się posuwa naprzód! — powiadała sobie z dumą. — To moje dzieło! Zaprawdę, przy Lady Chatterley nigdy by do tego nie doszedł. Nie była ona kobietą zdolną pchnąć mężczyznę naprzód! Za wiele pragnęła dla siebie!”

I jakże ona nim przy tym w jakimś utajonym zakątku swojej niesamowitej duszy kobiecej gardziła, jak go nienawidziła! Był dla niej zwierzęciem, które padło, wijącym się potworem. Pomagając mu i wspierając go, jak mogła, zarazem gardziła nim w najtajniejszym zakątku swojej dawnej, zdrowej kobiecości, gardziła nim dziką pogardą nieznającą granic. Najlichszy włóczęga był lepszy od niego.

Zachowanie jego, jeżeli szło o Connie, było dziwne. Uparł się, że chce ją zobaczyć. Uparł się dalej, że musi ona powrócić do Wragby. Na tym punkcie był definitywnie i niewzruszenie zdecydowany. Connie przyrzekła solennie, że powróci do Wragby.

— Ależ to nie ma sensu! — rzekła pani Bolton — Czy nie może jej pan puścić kantem i uwolnić się od niej?

— Nie! Powiedziała, że wróci, i musi wrócić.

Pani Bolton nie oponowała już. Wiedziała, co to znaczy.

„Nie potrzebuję Ci mówić, jakie wrażenie wywarł na mnie twój list” — napisał do Connie do Londynu. — „Może potrafisz sobie to wyobrazić, jeżeli spróbujesz. Chociaż niewątpliwie nie zadasz sobie trudu nadużywania dla mnie swojej wyobraźni. Mogę Ci odpowiedzieć tylko jedno. Zanim zdolał cokolwiek uczynić, muszę mówić z Tobą osobiście, tu we Wragby. Przyrzekłaś mi solennie, że wrócisz do Wragby, trzymam Cię za słowo. Nie uwierzę w nic i nie zrozumieć niczego, póki nie będę mówił z Tobą osobiście, i to tutaj, w normalnych warunkach. Nie potrzebuję Ci mówić, że nikt niczego nie podejrzewa. Powrót twój będzie więc rzeczą zupełnie naturalną. Jeżeli potem, gdy omówimy całą sprawę, będziesz się nadal upierała przy swoim zdaniu, dojdziemy niewątpliwie do porozumienia”.

<sup>105</sup>*Magna Mater* — także: Bogini Matka, Wielka Bogini, Matka Ziemia, Królowa Niebios; główne bóstwo w wierzeniach wielu kultur, bogini utożsamiana często z Ziemią, niekiedy zarazem królowa niebios, dawczyni życia, matkę bogów, jej atrybutem są obfite piersi; w filozofii jungowskiej (Carl Gustav Jung 1875–1961) te religijne przedstawienia są realizacją archetypu matki, trwałej struktury w psychice ludzkiej. [przypis edytorski]

Connie pokazała Mellorsowi ten list.

— Chce rozpocząć swoją zemstę nad tobą — rzekł Mellors, oddając jej list.

Connie milczała. Była poniekąd zaskoczona odkryciem, że bała się Clifforda. Bała się zbliżyć do niego. Bała się go, jakby był zły i niebezpieczny.

— Co mam robić? — zapytała.

— Nic, jeżeli nie chcesz nic robić.

Odpowiedziała na list, starając się przekonać Clifforda. Odpisał jej:

„Jeżeli nie powrócisz teraz do Wragby, będę uważał, że powrócisz w przyszłości, i postąpię odpowiednio do tego. Pozostawię wszystko w dotychczasowym stanie i będę tu czekał na Ciebie, choćbym miał czekać pięćdziesiąt lat”.

Bała się. To była tyrania w niezmiernie złośliwym gatunku. Nie wątpiła, że zrobi to, co mówi. Nie zgodzi się na rozwód, a dziecko zostanie jego dzieckiem, jeżeli ona nie znajdzie jakiegoś sposobu, żeby je uznać za nieprawę.

Po długim czasie utrapień i namysłów zdecydowała się pojechać do Wragby. Hilda miała się z nią zabrać. Napisała to Cliffordowi. Odpowiedział:

„Wizyta twojej siostry nie będzie mi miła, ale nie pokażę jej drzwi. Nie wątpię, że była ona z Tobą w tajnym porozumieniu, gdy zaniechałaś swoich obowiązków i swojej odpowiedzialności. Nie spodziewaj się więc, abym okazał zadowolenie, widząc ją u siebie”.

Pojechały do Wragby. Kiedy przybyły, Clifforda nie było w domu. Przyjęła je pani Bolton.

— O, jasnie pani, nie jest to ów szczęśliwy powrót do domu, jakiego się spodziewaliśmy, prawda? — zawołała.

— Nie? — zapytała Connie.

Więc ta kobieta wiedziała! A ile wiedziała lub podejrzewała reszta służby?

Connie weszła do domu, którego teraz każdym fibrem ciała nienawidziła. Wielka, obszerna masa tej budowli wydawała się jej teraz czymś złym, po prostu czymś, co jej groziło. Nie była już panią tego domu. Była jego ofiarą.

— Długo nie mogę tu pozostać — szepnęła do Hildy, pełna przerażenia.

Cierpiała, gdy weszła do swojej dawnej sypialni i objęła ją znowu w posiadanie, jakby się nic nie stało. Nienawidziła każdej minuty spędzonej w murach Wragby.

Siostry zobaczyły Clifforda dopiero, gdy zeszły na kolację. Był w wieczorowym ubraniu, w czarnym krawacie, prawdziwy gentleman. Podczas jedzenia zachowywał się z idealną uprzejmością i prowadził uprzejmą konwersację. Ale wszystko to zdradzało jakiś rys obłądu.

— Ile wie służba? — zapytała Connie, kiedy pokojówka opuściła jadalnię.

— O twoich zamiarach? Nic.

— Pani Bolton wie.

Clifford zaczerwienił się.

— Pani Bolton niezupełnie należy do służby.

— O, nie zależy mi na tym wcale.

Aż do kawy panowało napięcie. Potem Hilda powiedziała, że pójdzie teraz do swego pokoju.

Po jej odejściu Clifford i Connie siedzieli w milczeniu. Żadne z nich nie chciało zacząć mówić. Connie była rada, że nie przyjął tonu patetycznego; podniecało to jego pychę do najdalszych granic. Siedziała więc po prostu w milczeniu i spoglądała na własne ręce.

— Przypuszczam, iż nie bierzesz sobie zbyt do serca tego, że zламаłaś słowo — rzekł wreszcie Clifford.

— Nie mogę na to zaradzić — mruknęła Connie.

— Jeżeli ty nie możesz, to kto może?

— Prawdopodobnie nikt.

Clifford spojrział na nią z dziwną, zimną wściekłością. Był do niej przyzwyczajony. Była niejako dopasowana do jego woli. Jakże mogła porzucać go teraz, buntować się przeciwko

Dom

niemu i burzyć tkaninę jego powszedniej egzystencji? Jak śmiała powodować zniweczenie jego osobowości!

— I dla kogo chcesz wszystko porzucić? — pytał dalej uporczywie.

— Dla miłości! — odpowiedziała Connie. Najlepiej być banalną.

— Dla miłości Duncana Forbesa? Kiedy mnie poznałaś, miłość jego nie wydawała ci się warta, aby ją przyjąć! Czy chcesz przez to powiedzieć, że kochasz go teraz bardziej niż cokolwiek innego w życiu?

— Człowiek się zmienia.

— Możliwe! Możliwe, że masz kaprysy. Ale musisz mnie dopiero przekonać o doniosłości swojej zmiany. Nie wierzę w twoją miłość do Duncana Forbesa.

— A dlaczegoż miałbyś w nią wierzyć? Nie idzie o to, żebyś wierzył w moje uczucia, tylko żebyś się ze mną rozwiódł.

— A dlaczego mam się z tobą rozwieść?

— Ponieważ nie chcę żyć tutaj dłużej. A ty mnie naprawdę nie potrzebujesz.

— Przepraszam cię! Ja się nie zmieniam, Co do mnie, to ponieważ jesteś moją żoną, wolałbym, abyś w spokoju i godności pozostała pod moim dachem. Pomijając uczucia osobiste, a zapewniam cię, że dla mnie znaczy to pominąć bardzo wiele, jest dla mnie rzeczą niezmiernie bolesną obalać porządek mego życia tu we Wragby i burzyć codzienny tryb rzeczy po prostu dla jakiegoś twojego kaprysu.

Po chwili milczenia Connie odpowiedziała:

— Na to nic nie mogę poradzić. Po prostu muszę stąd odejść. Spodziewam się dziecka. I on milczał przez chwilę.

— I ze względu na to dziecko musisz odejść? — zapytał wreszcie.

Skinęła głową.

— Dlaczego? Czy Duncan Forbes jest tak zawzięty na swoje nasienie?

— W każdym razie bardziej zawzięty, niżbyś ty był — odpowiedziała Connie.

— Ale naprawdę, chcę mieć swoją żonę i nie widzę powodu, żeby jej pozwolić odejść. Jeżeli ona chce urodzić pod moim dachem dziecko, przyjmę chętnie i ją, i dziecko. Pod warunkiem, że zachowana zostanie przyzwoitość i porządek życia. Czy powiesz mi może, że Duncan Forbes przykuwa cię silniej? Nie uwierzę w to.

Nastąpiła pauza.

— Ale czyż ty nie widzisz — zawołała Connie — że ja muszę od ciebie odejść? Muszę żyć z mężczyzną, którego kocham!

— Nie, tego nie widzę. Złamanego szeląga nie dam za twoją miłość do niego ani w ogóle za tego mężczyznę, którego kochasz. Nie wierzę w tego rodzaju frazesy.

— Ale widzisz, że tak jest.

— Naprawdę, tak jest? Moja kochana żono, zapewniam cię, że jesteś zbyt inteligentna, aby uwierzyć w swoją miłość do Duncana Forbesa. Nie, wierz mi, nawet teraz jeszcze masz dla mnie więcej uczucia. Więc dlaczego miałbym się zgodzić na taki absurd?

Connie czuła, że miał rację. I czuła, że nie może dłużej milczeć.

— Ponieważ nie Duncan Forbes jest tym, kogo naprawdę kocham — rzekła, spoglądając na niego. — Mówimy tylko, że to Duncan, żeby oszczędzać twoje uczucia.

— Żeby oszczędzać moje uczucia?

— Tak! Bo tym, kogo naprawdę kocham, a będziesz mnie za to nienawidził, jest pan Mellors, który był tutaj leśniczym!

Gdyby Clifford mógł wyskoczyć ze swego fotelu, uczyniłby to. Twarz jego pożółkła, oczy nabrzmiały złowieszczo, gdy utkwiał nieruchomy wzrok w Connie.

Potem opadł na fotel, chwytając powietrze i patrząc w sufit.

Wreszcie wyprostował się.

— Czy chcesz mi może wmówić, że to ma być prawda? — zapytał. Wyglądał przy tym przeraźliwie.

— Tak! Wiesz o tym.

— A kiedy z nim zaczęłaś?

— Wiosną.

Clifford oniemiał jak zwierzę w pułapce.

— Więc to ty jednak byłaś w sypialni w leśniczówce?

Wewnętrznie wiedział więc o tym naprawdę przez cały czas.

— Tak!

Siedział jeszcze ciągle pochylony do przodu na swoim fotelu i wpatrywał się w nią jak zaszczute zwierzę.

— Boże wielki, powinnaś być zgładzona z powierzchni ziemi!

— Dlaczego? — zapytała Connie cicho.

Ale on zdawał się nie słyszeć.

— Ten wyrzutek społeczeństwa! Ten zarozumiały bałwan! Ten nędzny lajdak! A ty włożyłaś się z nim przez cały czas, kiedy mieszkałaś tutaj i kiedy on był moim sługą! Boże mój, Boże mój! Czyż istnieje granica bydlęcej nikczemności kobiet?

Jak przewidywała, był nieprzytomny z wściekłości.

— I chcesz może powiedzieć, że zamierzasz takiemu łotrowi urodzić dziecko?

— Tak! Zrobię to.

— Zrobisz to! Jesteś tego pewna? Od kiedy jesteś tego pewna?

— Od czerwca.

Oniemiał znowu, a dziwne, puste spojrzenie dziecka powróciło do jego oczu.

— Trzeba się dziwić — rzekł wreszcie — że takie istoty mogą się rodzić na świecie.

— Jakie istoty?

Spojrzał na nią niesamowicie, ale nie odpowiedział. Niepodobna się było ludzić, że nawet faktu istnienia Mellorsa nie mógł przyjąć w związku ze swoim własnym życiem. Była to wyłącznie niewysłowiona, bezsilna nienawiść.

— I masz zamiar poślubić go teraz? I nosić jego plugawę nazwisko? — zapytał wreszcie.

— Tak, mam zamiar.

Znowu oniemiał.

— Tak! — rzekł wreszcie. — To dowodzi, że prawdą jest, co zawsze o tobie myślałem. Nie jesteś normalna. Nie jesteś przy zdrowych zmysłach. Należysz do owych na wpół obłąkanych, nerwowych kobiet, które ulegają najgorszemu zepsuciu, owej *nostalgie de la boue*<sup>106</sup>.

Nagle stał się moralistą, widząc w sobie ucieleśnienie Boga, a w takich ludziach, jak Mellors i Connie, uosobienie brudu, zła. Rozpływał się w swoim nimbie.

— Czy nie sądzisz zatem, że powinienesz raczej rozwieść się ze mną i uwolnić się ode mnie na zawsze? — zapytała Connie.

— Nie! Możesz iść, dokąd chcesz, ale ja się z tobą nie rozwiodę — odpowiedział Clifford idiotycznie.

— Dlaczego?

Clifford milczał, milczeniem głupkowatego uporu.

— Więc uznasz dziecko wobec prawa za swoje i pozwolisz, aby zostało twoim dzieckiem? — zapytała Connie.

— Dziecko mnie nie obchodzi.

— A jeżeli to będzie chłopiec, stanie się on prawnie twoim synem, odziedziczy twój tytuł i będzie posiadał Wragby.

— To mnie nie obchodzi.

— Ale *musi* cię obchodzić. Jeżeli będę mogła, zapobiegnę temu, aby dziecko zostało prawnie uznane za twoje. Wolę, aby było nielegalne i moje, jeżeli nie może być dzieckiem Mellorsa.

— Rób, jak chcesz.

Był niewzruszony.

— Więc mimo wszystko nie chcesz się ze mną rozwieść? — zapytała Connie. — Możesz użyć Duncana jako pretekstu. Nie ma potrzeby wciągać w to prawdziwego nazwiska. Duncan nic sobie z tego nie robi.

— *Ja* się z tobą nigdy nie rozwiodę — rzekł Clifford, jakby wbijał gwóźdź.

— Dlaczego? Dlatego, że ja chcę, żebyś to zrobił?

— Dlatego, że idę za swymi skłonnościami, a nie jestem skłonny tego uczynić.

Wszystko było bezcelowe. Connie weszła na górę i opowiedziała Hildzie o wyniku rozmowy.

<sup>106</sup>*nostalgie de la boue* (fr.) — nostalgia za błotem. [przypis edytorski]

— Postaraj się lepiej wyjechać stąd jutro — rzekła Hilda — i daj mu czas na opamiętanie się.

Connie spędziła więc pół nocy na pakowaniu swoich osobistych rzeczy. Rano, nie mówiąc o tym Cliffordowi, kazała odesłać swoje walizy na dworzec. Postanowiła zobaczyć się z nim tylko, żeby go przed obiadem pożegnać.

Ale pomówiła z panią Bolton.

— Muszę się z panią pożegnać, pani Bolton, wie pani, dlaczego. Ale mogę pani chyba zaufać, że nie będzie pani o tym mówiła?

— O, może mi jaśnie pani zaufać, choć jest to naprawdę smutny i bolesny cios dla nas wszystkich. Mam jednak nadzieję, że będzie pani z tamtym panem szczęśliwa.

— Z tamtym panem! Jest to pan Mellors, a ja go kocham. Sir Clifford wie o tym. Ale niech pani nikomu nie piśnie ani słówka. A jeśli będzie pani kiedyś zdania, że Sir Clifford jest może skłonny rozwieść się ze mną, niech mi pani da znać, dobrze? Pragnęłabym bardzo być legalną żoną człowieka, którego kocham.

— Wierzę jaśnie pani. O, może mi pani zaufać. Będę wierna Sir Cliffordowi i będę wierna pani, gdyż widzę wyraźnie, że pani ma rację na swój sposób, a on na swój.

— Dziękuję pani! I jeżeli można, chciałabym pani tę drobnostkę podarować... można?...

Opuściła więc ponownie Wragby i pojechała z Hildą do Szkocji. Mellors wyjechał na wieś i dostał pracę w jakimś dworze. Zamiarem ich było przy tym, aby on starał się nadal o rozwód, bez względu na to, czy Connie dostanie rozwód czy nie. Przez sześć miesięcy miał pracować w majątku, aby on i Connie mogli w razie potrzeby nabyć także mały folwarczek, gdzie Mellors mógłby wyładować swoje siły. Gdyż jakąś pracę będzie musiał mieć, nawet twardą pracę, i będzie musiał zarabiać na swoje utrzymanie, jeżeli nawet kapitał Connie ułatwi im początek.

Będą więc musieli czekać do wiosny, aż się urodzi dziecko, a potem znowu, aż nadejdzie wczesne lato.

The Grange Farm Old Heanor 29 września.

Nająłem się tutaj do pracy, ponieważ znałem z wojska Richardsa, inżyniera Towarzystwa. Nie jest to majątek prywatny, lecz folwark, należący do Towarzystwa Górniczego Butler and Smitham i dostarczający im siana i owsa dla koników kopalnianych. Ale Towarzystwo hoduje tu świnie i krowy, i inny żywy inwentarz. Dostaję trzydzieści szylingów tygodniowo jako robotnik rolny. Zarządca Rowley daje mi jak najwięcej rozmaitej pracy, abym się do najbliższej Wielkanocy jak najwięcej nauczył. O Bercie nie mam żadnych wiadomości. Nie wiem, dlaczego się nie zjawiła na rozprawę rozwodową, nie wiem też, gdzie ona jest ani co zamierza. Domyślam się jednak, że jeżeli się będę do marca zachowywał cicho, to będę wolny. I Ty nie trap się o Sir Clifforda. Nadejdzie dzień, kiedy będzie się chciał od Ciebie uwolnić. Jeżeli Ci chwilowo daje spokój, to już wiele.

Znalazłem sobie mieszkanie w małym, starym domku, bardzo przyzwoite. Gospodarz mój jest maszynistą kolejowym w High Park, wysokim, brodatym mężczyzną. Żona jego jest kobietką o ptasim wyglądzie, rozmiłowaną we wszystkim, co wzniosłe, w wytwornej wymowie i powtarzającą stale „Pozwoli pan!” Ale stracili jedyne syna na wojnie, co ich złamało. Jest tam jeszcze wyrosnięta, niezdarzna córka, która przygotowuje się do egzaminu nauczycielskiego. Pomagam jej niekiedy w nauce, stanowimy więc poniekąd rodzinę. Są to bardzo przyzwoici ludzie, dla mnie niezmiernie dobrzy. Przypuszczam, że jestem tu bardziej rozpieszczany niż Ty.

Zawód rolnika podoba mi się bardzo. Nie jest on uduchowiony, ale ja też nie wymagam uduchowienia. Do koni jestem przyzwyczajony, a krowy, chociaż są bardzo kobiece, wywierają

Sluga

ją na mnie kojący wpływ. Gdy siedzę, oparty głową o ich bok i doję, czuję się przeniknięty otuchą. Mamy tu sześć pięknych okazji herefordzkich. Żniwa skończyły się właśnie, a sprawiły mi wielką przyjemność, mimo poranionych rąk i ciągłego deszczu. Nie troszczę się wiele o ludzi, ale żyję z nimi zupełnie dobrze. Większość rzeczy po prostu się ignoruje.

W kopalniach kiepsko się dzieje; jest to podobny okręg węglowy jak Tevershall, tylko ładniejszy. Siedzę czasami w „Wellingtonie” i rozmawiam z ludźmi. Mają dość tematów do sarkania, ale nie zmienią nic. Jak to wszyscy mówią, górnicy z Nottinghamshire i Derbyshire mają serca na właściwych miejscach. Ale reszta ich anatomii musi być na zupełnie niewłaściwym miejscu w tym świecie, który nie ma dla nich zastosowania. Lubię ich, ale nie rozweselają mnie wcale. Za mało w nich jest dawnego ducha bojowego. Mówią ciągle o upaństwowieniu: upaństwowienie koncesji górniczych, upaństwowienie całego przemysłu. Ale nie można upaństwowić węgla, a pozostałe przemysły pozostawić bez zmiany. Mówią o tym, żeby zastosować węgiel do nowych celów, jak to próbował Sir Clifford. Może się to uda zaprowadzić gdzieś, ale sądzę, że nie wszędzie. Cokolwiek się wytwarza, trzeba to sprzedawać. Ludzie są tu bardzo apatyczni. Czują, że cały ten przeklęty kram skazany jest na zagładę, a ja myślę, że tak jest naprawdę. A tym samym i oni skazani są na zagładę. Kilku młodych ma ciągle w pysku Sowiety, ale nie mają wielkiej siły przekonywującej. Brak tu w ogóle silnego przekonania w stosunku do czegokolwiek poza tym, że wszystko to jest chaosem i bagniskiem. Nawet przy Sowietach trzeba by jeszcze sprzedawać węgiel: i na tym właśnie polega trudność.

Posiadamy olbrzymią ludność przemysłową, którą trzeba wykarmić, i dlatego to przekłete widowisko musi być w jakiś sposób utrzymywane przy życiu. Kobiety mówią dzisiaj o wiele więcej od mężczyzn i są znacznie zuchwalsze. Mężczyźni są gnuśni, czują grożącą zagładę, a walczą się, jakby na to nic nie można było zaradzić. W każdym razie, mimo całej gadaniny, nikt nie wie, co należałoby robić. Młodzi stają się bezczelni, ponieważ nie mają pieniędzy na wydatki. Całe ich życie uzależnione jest od wydawania pieniędzy, a teraz nie mają ich. To jest nasza cywilizacja, nasza kultura: wychowuje się masy w tym kierunku, aby były wyłącznie uzależnione od wydawania pieniędzy, a potem wydawanie pieniędzy nagle ustaje. Kopalnie pracują dwa, dwa i pół dnia w tygodniu, a i na zimę nie ma widoków poprawy. Oznacza to, że człowiek musi utrzymać swoją rodzinę za dwadzieścia pięć lub trzydzieści szylingów tygodniowo. Kobiety są najzuchwalsze. Ale i one uzależnione są dzisiaj od wydawania pieniędzy.

Gdybyż im można powiedzieć, że żyć a wydawać pieniądze to nie to samo! Ale to nie ma sensu. Gdyby przynajmniej byli wychowani do życia, a nie do zarabiania i wydawania pieniędzy, mogliby być bardzo szczęśliwi, obywając się dwudziestoma pięćmi szylingami. Gdyby mężczyźni nosili barwne stroje z krótkimi spodniami, jak to mówiłem, nie myśleliby tyle o pieniądzu. Gdyby umieli tańczyć i skakać i śpiewać, i paradować dumnie, i nosić się okazale, mogliby sobie radzić bardzo małą gotówką. I mogliby się radować swymi kobietami, a kobiety nimi. Musieliby się nauczyć być nagimi i okazałymi i śpiewać razem, i tańczyć stare tańce grupowe, i rzeźbić krzesła, na których siedzą, i tkąć swoje własne emblematy. Wtedy nie potrzebowałiby pieniędzy. A to jest jedyna droga rozwiązania kwestii przemysłowej:

Robotnik, Pieniądz,  
Kobieta, Obraz świata,  
Katastrofa

Lud, Bóg, Pieniądz

wychować ludzi w tym kierunku, aby byli zdolni żyć, żyć przyzwoicie i z wdziękiem, i nie potrzebowali do tego wydawać wiele pieniędzy. Ale to się nie da przeprowadzić. Dzisiaj istnieją tylko jednotorowe umysły. Masy ludowe nie powinny nawet próbować myśleć, ponieważ nie umieją myśleć. Powinny być żywe i radosne i czcić wielkiego boga, greckiego Pana. Jest to jedyny bóg dla mas, na wieki. Nieliczni mogą się — jeśli chcą — poświęcić wyższym kultom. Ale masy powinny zawsze pozostać pogańskie.

Górnicy nie są jednak pogańscy, bynajmniej. Smutne to jest zbiorowisko, obumarła zgraja ludzi, martwa dla kobiet, martwa dla życia. Młodzi pędzą z dziewczynami na motocyklach i tańczą przy jazzie, jeżeli mają sposobność. Ale są zupełnie martwi i potrzebują do tego pieniędzy. Pieniądze zatrują człowieka, kiedy je ma, a każą mu umrzeć z głodu, kiedy ich nie ma.

Jestem przekonany, że już Ci z tego wszystkiego niedobrze. Ale nie chcę mówić ciągle o sobie, zwłaszcza, że w moim życiu nic się nie dzieje. Nie chcę też za wiele rozmyślać o Tobie, bo wtedy tylko oboje popadamy w zamęt. Oczywiście jednak żyję teraz po to tylko, żebyśmy w przyszłości mogli żyć oboje razem. W istocie boję się. Czuję diabła w powietrzu, będzie on próbował dostać nas w swoje szpony. A raczej nie diabeł, lecz Mammon: ostatecznie jest on, jak sądzę, tylko masową wolą ludzi, łaknących pieniędzy i nienawidzących życia. W każdym razie czuję w powietrzu wielkie, chwytające ręce, które każdego, kto próbuje żyć, żyć poza obrębem pieniądza, łapią za gardło i grożą, że wycisną z niego życie. Nadchodzą złe czasy. Złe czasy nadchodzą, ludzie, złe czasy nadchodzą! Jeżeli tak dalej pójdzie, to dla tych mas przemysłowych przyszłość kryje w sobie tylko śmierć i zniszczenie. Niekiedy czuję wewnętrzne osłabienie. I jeszcze jesteś Ty, i chcesz mieć ze mną dziecko. Ale to nic. Wszystkie złe czasy, jakie były kiedykolwiek, nie zdołały zniweczyć kwiatu szafranu; ani nawet miłości kobiety. Nie zdołają więc także zniweczyć mojego pożądanego dla Ciebie ani tej odrobiny żaru, jaka jest między Tobą a mną. Na przyszły rok będziemy razem. A chociaż się lękam, wierzę jednak, że będziesz ze mną. Mężczyzna musi bronić swojej skóry i radzić sobie, jak może, ale musi ufać w coś poza sobą. Nie można się ubezpieczyć przed przyszłością inaczej, jak tylko wierząc naprawdę w najlepszą część siebie samego i w jakąś moc poza sobą. Wierzę więc w mały płomień pomiędzy nami. Dla mnie jest to teraz jedyna rzecz na świecie. Nie mam przyjaciół, nie mam prawdziwych przyjaciół. Tylko Ciebie. A ten mały płomień jest teraz wszystkim, na czym mi w życiu zależy. Jest jeszcze co prawda dziecko, ale ono jest tylko zjawiskiem ubocznym. Ten zygzakowaty płomień pomiędzy Tobą a mną — to moje Zielone Świątki. Dawne Zielone Świątki nie były zupełnie właściwe. Ja i Bóg, to trochę za wzniosłe. Ale ten mały, zygzakowaty płomień pomiędzy Tobą a mną: tak, to właśnie to! Przy tobie wytrwam, i wytrwam przy tym płomieniu, a żaden Clifford ani żadna Berta, ani żadne towarzystwo górnicze, ani rząd, ani nawet zaprzędane pieniądźowi masy ludzkie nie przeszkodzą mi w tym.

Oto powód, dla którego w istocie niechętnie o Tobie rozmyślam. Torturuje mnie to tylko, a Tobie nie pomaga. Nie chcę, abyś była daleko ode mnie. Ale kiedy się staję niecierpliwy, coś więdnę. Cierpliwości, zawsze cierpliwości! To jest moja czterdziesta zima, a nie mogę ponosić odpowiedzialności za te wszystkie zimy, które były. Ale tej zimy muszę wytrwać przy swo-

Pieniądz

Pieniądz, Śmierć, Katastrofa

Natura, Miłość, Obraz świata, Dobro, Zło

Miłość, Erotyzm, Religia, Święto



im małym płomieniu Zielonych Świątek i mieć trochę spokoju. I nie pozwolę, aby oddech ludzi zdmuchnął ten płomień. Wierzę w wyższe misterium, które nie dopuszcza nawet do zniweczenia kwiatu szafranu. I jeśli nawet Ty jesteś w Szkocji, a ja w Midlands i nie mogę objąć cię ramionami ani owinąć nogami, to jednak mam coś z ciebie. Moja dusza delikatnie trzepocze w małym płomieniu Zielonych Świątek z tobą, i to jest jak spokój ruchania<sup>107</sup>. Spółkowaliśmy ze sobą, aby zaistniał płomień. Nawet kwiaty są ruchane, by zaistniały między słońcem a ziemią. Ale to delikatna sprawa, wymaga cierpliwości i długiej pauzy.

Więc teraz kocham czystość, bo to jest spokój, który przychodzi ze spółkowania. Teraz kocham być czystym. Kocham to tak, jak przebiśniegi kochają śnieg. Kocham tę czystość, która jest pauzą w spokoju naszego obłapiania, między nami teraz jak przebiśnieg rozwidlonego białego ognia. A kiedy nadejdzie prawdziwa wiosna, kiedy nadejdzie przyciąganie, wtedy będziemy mogli ruchać mały płomień błyszczący i żółty, błyszczący. Ale nie teraz, jeszcze nie! Teraz jest czas, aby być czystym, tak dobrze jest być czystym, jak rzeka chłodnej wody w mojej duszy. Kocham czystość teraz, gdy płynie między nami. Jest jak świeża woda i deszcz. Jak mężczyźni mogą chcieć tak męcząco flirtować? Jaką nędzą jest Don Juan, jak impotentny, by ruchać się się w pokoju, gdy mały płomień płonie, jak impotentny i niezdolny, by być czystym w chłodnych chwilach pauz, jak przejście przez rzekę.

Cóż, tyle słów, ponieważ nie mogę Cię dotknąć. Gdybym mógł spać z tobą w ramionach, atrament mógłby zostać w butelce. Moglibyśmy być razem czyści, tak jak możemy się kochać. Ale musimy być przez jakiś czas osobno i sądzę, że to naprawdę mądrzejsze wyjście. Gdyby tylko mieć pewność.

Nieważne, nieważne, nie będziemy się tym zadręczać. Ufajmy małemu płomieniowi i bezimiennemu mu bogu, który chroni go przed zgaszeniem. Naprawdę, tak wiele z Ciebie jest przy mnie, iż wielka to szkoda, że nie jesteś przy mnie cała.

Nie martw się o Sir Clifforda. Jeżeli nie masz od niego wiadomości, nie przejmuj się tym. Naprawdę nie może Ci nic zrobić. Czekaj cierpliwie, będzie się chciał Ciebie w końcu pozbyć, będzie Cię chciał odtrącić. A jeżeli tego nawet nie zrobi, uda nam się jakoś trzymać się od niego z daleka. Ale on to zrobi. Ostatecznie będzie Cię chciał jednak wypluć z siebie jako rzecz plugawą i nieczystą.

A teraz trudno mi zakończyć ten list do Ciebie.

W dużej mierze jesteśmy przecież razem i możemy się tylko poddać się temu i obrać odpowiedni kurs, by spotkać się wkrótce. John Thomas mówi dobranoć Lady Jane, trochę ospale, ale z sercem pełnym nadziei.

---

<sup>107</sup>Moja dusza delikatnie trzepocze (...) wymaga cierpliwości i długiej pauzy — w oryg. *My soul softly Naps in the little Pentecost flame with you, like the peace of fucking. We fucked a flame into being. Even the flowers are fucked into being between the sun and the earth. But it's a delicate thing, and takes patience and the long pause.* [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lawrence-kochanek-lady-chatterley/>

Tekst opracowany na podstawie: D.H. Lawrence, Kochanek Lady Chatterley, tłum. Marceli Tarnowski, Nakład Księgarni M. Fruchtmanna, Warszawa 1933.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Wolne Lektury.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kowalewska, Aleksandra Sekuła, Tomasz Pałasz.

ISBN 978-83-288-7905-8

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.